



MONTAŻ

Vladimir Volkoff

To doskonała powieść szpiegowska
Bronisław Wildstein

Rosjanin w Paryżu. Agent literacki, który jest agentem wywiadu. Wielka operacja („montaż”) służb specjalnych Moskwy wobec elit „wolnego świata”. Tajna wojna o duszę Zachodu. Czy można jeszcze wycofać się z cyrografu?

Vladimir Volkoff (1932 – 2005) to autor licznych powieści historycznych i szpiegowskich, w tym wydanego także w Polsce bestselleru *Gość papieża*. Jednak najgłośniejsza powieść francuskiego pisarza to *Montaż*, klasyczna powieść szpiegowska z silnym podtekstem religijnym, bo Volkoff to nie tylko świetny pisarz i były pracownik francuskiego wywiadu, ale także wybitny znawca spraw Kościoła.

Książka z taką perfekcją ujawnia mechanizmy i kulisy najbardziej wyrafinowanych działań Kremla na Zachodzie, że sama stała się celem autentycznej KGB-owskiej operacji (montaż za *Montaż*). Na szczęście operacja nie powiodła się i książka nie tylko się ukazała, ale także odniosła wielki sukces – została nagrodzona najważniejszą francuską nagrodą literacką w kategorii powieści (Grand Prix du Roman Akademii Francuskiej).

Montaż to doskonała powieść szpiegowska. To także powieść polityczna i niezwykle szyderczy, a jednocześnie prawdziwy obraz dzisiejszej Francji. W sumie jest to jednak przypowieść o współczesnych maskach zła, a raczej demona, który manipuluje naszą, nie wierzącą w niego rzeczywistością.

Bronisław Wildstein



Vladimir Volkoff

MONTAŻ

Przekład Adam Zalewski

Tytuł oryginału: Le Montage

Copyright © Julliard/l'Age d'Homme, 1982

Copyright © for the Polish translation by Klub Książki Katolickiej, 2005

Published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”.

Projekt okładki: Piotr Łysakowski Redakcja techniczna: Agnieszka Bryś

Pierwsze polskie wydanie: Polonia Book Fund, Londyn 1986

Wydanie II poprawione ISBN 83-88481-69-X

Klub Książki Katolickiej Sp. z o.o.

ul. Woźna 13, 61-777 Poznań

tel. 061 851 55 82 fax 061 851 55 93

e-mail: klub@kkk.com.pl

Jeśli twierdziłbym, że Montaż jest tylko wytworem mej wyobraźni, nikt by w to nie uwierzył. Pozwalam sobie zatem wyrazić wdzięczność wielu towarzyszom, z których fachowych porad korzystałem.

Vladimir Volkoff

Twoim celem musi być zdobycie wszystkiego bez niszczenia czegokolwiek.

Sun Tsu

1

ZARZUCANIE SIECI

30 kwietnia 1945 roku, po dziewięciu dniach walk o każdą ulicę, każdy dom, wreszcie o każdą klatkę schodową i o każdy pokój, na Reichstagu pojawiła się rosyjska flaga — tym razem nie nazwiemy jej sowiecką.

Berlin padł 2 maja i zwycięskie rosyjskie oddziały, po raz trzeci w historii, odbyły defiladę przed Bramą Brandenburską.

9 maja Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, zwany Stalinem, wystąpił z odezwą do narodu: „Wielkie ofiary, jakie ponieśliśmy dla wolności i niepodległości naszego Kraju, niezliczone straty i cierpienia, jakim poddany był nasz naród podczas wojny, trudy i znoje złożone na ołtarzu Ojczyzny przez armię i przez ludność cywilną nie zostały zmarnowane: uwieńczyło je totalne zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Walka o egzystencję i niezależność, jaką od wieków toczyły ludy słowiańskie, zakończona została triumfem nad niemieckim napastnikiem i niemiecką tyranią”.

Ci sami więc, co doszli do władzy powołując się na powszechną jedność proletariatu i popiskując *Międzynarodówkę*, uznali stoczoną przez siebie i wygraną wojnę za patriotyczną i zrezygnowali z użycia słowa „sowiecka”. Na jakiś czas.

Do ludzi, których najbardziej dotknęły te wydarzenia, zaliczyć trzeba rosyjskich emigrantów, zwanych białymi. Niektórzy spośród nich postanowili bić się po stronie Niemiec, gdyż milszy niż komuniści był im diabeł, inni natomiast opowiedzieli się po

stronie Związku Radzieckiego, jako że woleli diabła od Niemca. Byli też — wiem o tym dobrze — ludzie bardzo inteligentni, bardzo wierni, pozbawieni nadziei cynicy, i tylko oni, garstka, oparli się entuzjizmowi, ani zdumiewającemu, ani nieczystemu, jaki u pozostałych wywołały sukcesy rosyjskich armii. Miała tu swój udział дума narodowa, do której dochodziło uczucie zadośćuczynienia za połajanki znoszone przez dwadzieścia pięć lat, ale także trzy motywy nierównej wagi, motywy, które pewnym umysłem wydadzą się błahe; będą to błahe umysły.

Po pierwsze, zwycięstwo wiecznej Rosji nad Niemcami przedstawiało się w oczach emigrantów jak triumf Świętej Rusi nad bolszewickimi uzurpatorami. Zgoda, powiewająca nad Reichstagiem flaga była jednolicie czerwona, a nie biało-niebiesko-czerwona, lecz ci żołnierze radzieccy, których spotykaliśmy, mówili raczej o Rosji niż o „Związku”, żyli w przekonaniu, że walczyli o ziemię, nie o ideę, a ich dobre, naiwne twarze przypominały starszym pośród nas tych Iwanów, którymi dowodzili podczas poprzedniej wojny. Krótko mówiąc, zdawało się, że organizm ojczyzny sam z siebie zwalczył wprowadzone doń antyciała. To nie my wyleczyliśmy Rosję, ona sama się uleczyła; napawało nas to radością bardziej pokorną i czystsza niż gdybyśmy sami mieli sposobność posłużenia się skalpelem.

Dalej: we Francji, dla przykładu, ambasador Związku Radzieckiego zaczął przychodzić na nabożeństwa do katedry św. Aleksandra Newskiego i było coś nadzwyczajnego w tym, że widziało się diabła w chrzcielnicy i że nie wyglądał on wcale na nazbyt okropnego diabła. Wielu emigrantów odczuwało przywiązanie raczej do swobód religijnych niż do porządku politycznego Dawnego Ustroju; jeśli by więc Cerkiew odzyskała swe prawa, wystarczyłoby im to, by znów stać się lojalnymi poddanymi Imperium, obojętnie jaką nosiłoby nazwę, brzmiącą gorzej czy lepiej. Odnależli przecież Cerkiew, złoconą, w mitrze, brodatą, pełną śpiewu i pachnącą tak jak dawniej. Prawda, Cerkiew

zaznała męczeństwa, i nigdy nie zapomni się o popach rozkrzyżowanych na wrotach kościołów i przebitych bagnietami; to jednak dotyczyło przeszłości, nowy reżim zrozumiał wreszcie, że wiara stanowiła niezbywalną część rosyjskiej rzeczywistości i że trzeba to zaakceptować. Czyż były uczeń seminarium duchownego, ten, który poprowadził Rosję do zwycięstwa, nie zwracał teraz swych przemówień do „braci i siostr”, zamiast do „towarzyszy”? Czegóż chcieć więcej?

Istniał wreszcie widzialny i dotykalny dowód odrodzenia się naszej Rosji, jej wewnętrznej restauracji, chociaż znak ten apelował głównie do wojskowych. Czy jednak powołanie emigracji nie ma w swej istocie czegoś żołnierskiego? Poza tym znak ten opłacony został tyłoma istnieniami ludzkimi, tyłoma cierpieniami, że nawet ci, co lekceważyli na ogół zewnętrzne symbole rangi i honoru, zaczęli temu kartonikowi, zaszytemu w tkaninę i umocowanemu przy pomocy mosiężnego guzika na barku, przyznawać znaczenie równe temu, które w innych epokach przysługiwało krzyżowi o takim czy innym kształcie, różnokolorowym kokardom, beretom, fezom, tatuażom, nacięciom, to jest stygmatom wyrażającym zwalczające się strony. Już pod rządami Dawnego Ustroju zerwać naramienniki oficerowi znaczyło zdegradować go. Później czerwoni zdierali przy pomocy noża z epoletów swych jeńców carskie inicjały i koronę. Uwięziony przez bolszewików car, by tylko nie przywdziać pozbawionego naramienników munduru, nie rozstawał się z czerkieską tuniką, która zgodnie z regulaminem i tak nie miała epoletów. I oto, począwszy od 6 stycznia 1943 roku dla wojsk lądowych i od 15 lutego dla marynarki, nawróceni czerwoni defilowali — szeregami liczącymi 48 żołnierzy! — mając u ramion tę sztywność, to pasowanie na rycerza. Nostalgiczny tyran, któremu przedłożono projekty umundurowania, wskazał na uniform różniący się tylko dwoma guzikami od wzoru, jaki musiał pamiętać z czasu swej młodości. Nie byliśmy tak małostkowi, by się unosić z powodu dwu guzików. Epolety powstały z popiołów; wybaczymy tym

spośród nas, którzy wierzyli, że razem z nimi zmartwychwstała cała cywilizacja przez nie symbolizowana. W marzeniach naszych zdawało się, że nastał kres koszmaru.

Nadzieja mogła się karmić jeszcze i amnestią. Rząd pozwalał swym wczorajszym wrogom na powrót. Amnestia to słowo wspaniałomyślne, cesarskie. Wydawało się, że nie idzie tu o łaskę, lecz o rzucenie zasłony na minione konflikty. Zwycięzcy i zwyciężeni mieli odtąd solidarnie służyć swej wspólnej ojczyźnie. Pierwszym spośród powracających — ukuto nawet specjalny rzeczownik: *wozwraszczeńcy* — był metropolita, którego nikt w dobrej wierze nie mógł podejrzewać o współnictwo z Antychrystem; to on założył Akademię Prawosławnej Teologii w Paryżu, to on sprawił, że katedry Św. Aleksandra Newskiego nie oddano bolszewikom, którzy urządziliby w niej kino. Metropolita Eulogiusz otrzymał sowiecki paszport, opatrzone — symbolicznie — numerem 1. Zmarł co prawda nim zdołał opuścić Zachód, i wielu widziało w tym interwencję Opatrzności, tym niemniej fakt pozostawał faktem: jeden z duchowych przywódców białej emigracji opowiedział się za pojednaniem.

Pierwszy transport *wozwraszczeńców*, pełnych radości, ale i mających łzy w oczach, odjechał pociągiem z Gare du Nord. Nie bez niepokoju czekaliśmy na wiadomości od nich: nawet najbardziej przekonani spośród tych, którzy zostali na miejscu, nie byli pewni, czy przypadkiem ich przyjaciół nie przywitał na granicy pluton egzekucyjny. Po paru miesiącach zaczęły nadchodzić listy. Amnestionowanych osiedlono w różnych punktach kraju. Jeśli o coś prosili, to tylko o rękawiczki lub wełniane czapki. Wykonywali prace fizyczne. Okrutna wojna domowa, zdawało się, dobiegła końca, zablizniła się. Coraz to nowi kandydaci do powrotu pojawiali się przed zieloną bramą radzieckiej ambasady — tak niedawno jeszcze wyklętą — pod numerem 79 rue de la Grenelle.

Jednym z nich był Dymitr Aleksandrowicz Psar, albo też, jak on sam lubił się przedstawiać, podporucznik marynarki Psar.

Dymitr Aleksandrowicz był niewysokim mężczyzną w wieku lat około pięćdziesięciu. Lubił sobie wyobrazać, że służył jako oficer carski, w gruncie rzeczy jednak przysięgę składał marionetkom rewolucji lutowej, co miało mu ułatwić konfrontację z własnym sumieniem. Monarchista przez wierność raczej niż z przekonania, bił się pod rozkazami Wrangla, a gdy nadeszła klęska, znalazł się na tureckiej wysepce zwanej Antygoną. Przymierał tam głodem, otoczony takimi samymi jak on rozbitkami. Trzeba było jechać dalej. Jak? Po co? Niektórzy marzyli o Ameryce, jako że myśleli o przyszłości i o tym, że słońce wędruje ze wschodu na zachód. Inni ze wzruszeniem przypominali sobie *Fräulein*, która uczyła ich *der die das*. Psara, jak i wielu innych, pociągała Francja.

I to nie tylko dlatego, że język francuski znał tak jak rosyjski, że w dzieciństwie do snu kołysały go opowiadki hrabiny de Ségur, znał na pamięć fragmenty *Nędzników* oraz żywili romantyczny podziw dla Napoleona. Francja była dla niego uosobieniem sojusznika Rosji. Kraj ten nie mógł przecież zapomnieć o dwóch armiach rosyjskich, wycofanych na jego żądanie spod Tannenbergu, co było aktem idiotycznej wspaniałomyślności, jedynym w swoim rodzaju w całej historii; armie te pomogły marszałkowi Joffre ocalić Paryż.

Pojawili się pośrednicy pracy. Ich kartonowe teczki wypchane były ofertami. Nie musieli się specjalnie wysilać, każda ich propozycja była dla głodomorów z Antygony zaproszeniem do Eldorado. Podaż określić można było jako dziewięć milionów poległych; popyt nazywał się „umieram z głodu”. Można się było dogadać.

Podporucznik marynarki Psar przyjął posadę stajennego w Ardèche. Choć nie był kawalerzystą, wiedział, że zajmowanie się końmi nie przynosi nikomu ujmy. A zależało mu na tym; jego kłopoty dopiero się zaczynały. Tymczasem Francja nie śpieszyła się z okazywaniem swej wdzięczności. Zamiast mówić o Tannenbergu czy też o korpusie ekspedycyjnym, który dał się

zmasakrować w Szampanii aby alianci wiedzieli, jak umieją giąć Rosjanie, gorzko mu wciąż wypominano nie spłaconą pożyczkę:

— Ach! Pańska piękna Rosja! Pochłonęła oszczędności całego mojego życia.

Z początku Psar tak się tym przejmował, że niewiele brakowało a próbowałby wypłacać tym dzielnym ludziom odszkodowanie z własnej kieszeni, gdyby nie była pusta. Szczęśliwie się złożyło, że jego pracodawca żywił go, lecz nie wypłacał mu pensji.

— A poza tym — powtarzali bywalcy małego *bistro* w Chomérac — jak tylko wam się znudziła wojna, dalszcie nogę!

Psar tłumaczył wtedy, że ani on, ani jego car nie ponosili odpowiedzialności za odrębny układ pokojowy, podpisany w Brześciu Litewskim przez Trockiego. Gdyby Jego Wysokość uciekła się do tak tchórzowskich postępów, byłaby zapewne wciąż jeszcze Wysokością, i to żywą. Nie można prawdziwej Rosji oskarżać o to, że porzuciła swych aliantów, nie, to międzynarodowi rewolucjoniści wypowiedzieli sojusz po tym, jak ich sowiecie opłacono w Reichsmarkach. Wyjaśnienia te nie przekonywały zbiedniałych emerytów. Gdy natomiast Psar próbował dowodzić, że leżące na kontuarze papiery, kupony pożyczki, nie straciłyby wartości gdyby — jak tego domagał się Foch — alianci interweniowali na rzecz suwerena, który tak wiele dla nich uczynił, odpowiadano mu tonem moralnego i cynicznego zarazem pouczenia:

— Wszystko to dlatego, że żył pan jak bojar, podczas gdy lud cierpiał.

W ten sposób sprawa była załatwiona.

Dymitr Aleksandrowicz nie był wcale bojarem. Ale nie miał też doświadczeń w pracach polowych. Stajennym został tylko nominalnie, naprawdę zatrudniono go jako parobka. Nigdy przedtem nie zdarzało mu się dźwigać widłami snopków o ciężarze równym połowie jego wagi. Marynarz chwiał się i zataczał, czemu złym okiem przyglądał się jego patron, chłop, przekonany, że pół darmo zatrudnia osiłka z egzotycznego kraju. Któregoś dnia doszło do dramatycznej sceny, kiedy to pracodawca

zagroził, że przemówi do tylnych części ciała pracownika, na co tenże, nie mając przy sobie ani rękawiczek, ani karty wizytowej, ani też nie dysponując świadkami, zmuszony był wypowiedzieć ustnie formułę wyzwania na pojedynek, wyzwania zdecydowanie odrzuconego przez drugą stronę. Wtedy też Dymitr Aleksandrowicz, wydając ostatnie grosze na bilet trzeciej klasy i zastanawiając się, czyjego honor został znieważony czy też nie, udał się do Paryża, który wciągał wszystkich jak wir rzeczny.

Wir ten miał dwa różne i sprzeczne ogniska: prefekturę policji i zakłady Renault, *Re-na-ul-te*, jak wymawiali prostaczkowie. Bez pozwolenia na pracę nie dostawało się zatrudnienia, ale i przeciwnie, trzeba było wykazać się zatrudnieniem, by otrzymać kartę pracy. Kończyło się to nie tylko niedojadaniem, ale nieraz i odwiezieniem do granicy i ekstradycją do sąsiedniego kraju, który powtarzał ten sam zabieg: wywiezienia na następną granicę, przekazania innemu krajowi, i tak dalej. W przypadku Dymitra Aleksandrowicza dylemat karta pracy-zatrudnienie rozwiązała uczynność pewnego wyrozumiałego Francuza, który wystawił dziesiątki zaświadczeń o zatrudnieniu niezliczonym sekretarkom, korepetytorom, rządcom, gubernantkom i damom do towarzystwa, całemu fikcyjnemu personelowi, który nie niepokoił nigdy dworku tego hreczkosieja bez grosza.

Legitymując się jako profesor muzyki, Dymitr Aleksandrowicz, który nie miał pojęcia o nutach, mógł sobie zaskarbić łaski prefektury. Cóż z tego jednak, skoro drogocenna karta pracy wystawiana była tylko na rok. Aby ją przedłużyć, trzeba było godzinami stać w kolejce, tracąc całą dniówkę. Mrukliwy urzędnik zajmujący się obcokrajowcami („Co? nie rozumie pan po francusku?”) wystawiał w końcu zaświadczenie, że podanie zostało złożone. Kilka tygodni później, gdy listonosz przynosił urzędowe wezwanie, wszystko zaczynało się od początku: metro, kolejka, stracona dniówka, zręśliwy urzędnik, i wreszcie

nieoceniony, złożony w harmonijkę kartonik zaopatrzonej w fotografię, ukazującą profil, „odsłonięte prawe ucho i oczy patrzące wzwwyż” (*sic!*).

Już w pierwszym roku Psar Dymitr, apatryda, zapomniał przedłużyć w terminie ważność swej karty. Skandal. Winny zaniedbania stawia się przed sądem. On, który dobrze znosił napięcie w chwili ataku na okopy przeciwnika, bliski był choroby na myśl o znalezieniu się przed sądem. Spodziewał się procesu jak z *Braci Karamazow* i przygotował mowę obronną, w której bitwa pod Tannenbergiem odgrywała pewną rolę. Tymczasem zażądano od niego tylko, by podał swe nazwisko i datę urodzenia. Zresztą pośród setki chyba współoskarżonych rozpoznał kilku znajomych, co poprawiło mu humor. Skazano go na grzywnę w wysokości jednego franka, wrócił więc do domu spokojniejszy i pełen wdzięczności. Jego żołądek znów zaczął normalnie funkcjonować. Zarabiał dziennie 16 franków i 75 centymów. Z tego 10 wydawał na pokój w hotelu, plus frank za obsługę. Frank grzywny pozbawiał go więc tylko jednego śniadania. O, wielkoduszne sądownictwo francuskie! Jakies dziesięć dni później poczta przyniosła rachunek, który osłabił jego entuzjazm: grzywna wyniosła jeden frank w złocie, to znaczy jedenaście franków zwykłych, czyli trzy lub cztery posiłki. W końcu można wytrzymać. Gdy jednak odkrył, że do jedenastu franków grzywny trzeba było dodać okrągłych sto tytułem kosztów sądowych, przeżył przykry moment zniechęcenia.

Drugi ośrodek wiru, fabryka Renault, okazał się bardziej gościnnie, chociaż 48-godzinny tydzień pracy był jeszcze wtedy odległym mirażem. W najlepszym razie pracowało się 56 godzin, sobota była takim dniem roboczym jak wszystkie inne, a rok mijał i nie było w nim przerwy na urlop. W dodatku zakaz siadania w godzinach pracy nie był zbyt korzystny dla kręgosłupa. No cóż — i tak lepiej tu niż u „towarzyszy”.

W stosunkach Psara z innymi robotnikami nie brakowało

momentów zaskoczenia, wzajemnego zdziwienia — ale nie było wrogości. Chłopcy pytali go na przykład:

— Czy to prawda, panie Dymitrze, że u was zjada się świece?

Jeden z nich, przyjaźnie usposobiony, przyniósł panu Dymitrowi świecę, a ten przyjął ją, by nie urazić ofiarodawcy. Można się też było przyzwyczać do cosobotniej kolejki piwa. Pod koniec tygodnia setki kobiet oczekiwały pod bramą fabryki, i dobrze czyniły stając na drodze między kasą a knajpą, ale w niczym nie przeszkadzało to Psarowi, który był kawalerem. Na szyi nosił krzyż, ale tylko najbardziej zaciekli antyklerykałowie mieli mu to za złe, i nawet oni umieli sobie wytłumaczyć, że pop to nie to samo co zwykły klecha. Wzajemna tolerancja, nie pozbawiona pewnego ciepła, sprawiła, że jego kontakty z kolegami z pracy — świadczone sobie nawzajem różne usługi — układały się bardzo dobrze. Tu przynajmniej nikt nie wypominał Psarowi rosyjskiej pożyczki.

Zresztą to wszystko, co działo się w tygodniu, prawie wcale go nie zajmowało. Jego prawdziwe życie zaczynało się dopiero w niedzielę.

Tego dnia wstawał nieco później niż zwykle, mył się starannie, przyszywał brakujące guziki do koszuli, przybijał skuwki do obcasów. Potem udawał się do cerkwi przy ulicy Daru, gdzie z uwagą natury raczej patriotycznej niż religijnej wysłuchiwał pieśni *Gospodi pomiluj* śpiewanej przez chór, a po mszy spędzał godzinę czy dwie przed katedrą, wykrzykując, że należałoby powywieszać bolszewików i przywrócić carski tron. Na koniec łądował w swej „rodzinie”; nazywał tak grupę niespokrewnionych ze sobą mężczyzn, skupionych wokół jednego z nich, mającego żonę. Przez dwanaście godzin pod rząd kobieta ta zajęta była dolewaniem herbaty przyjaciołom męża, kombatantom. Tutaj, w brzydkim, wychodzącym na podwórko pokoju, w ciepłe ikony i czajniczka do parzenia herbaty — wciąż brakowało pieniędzy na kupno samowaru — wszyscy zebrani dzielili jedno: wiarę.

Wszystko to, co w szarej codzienności mogło się było wydawać tylko ambicją, rutyną, wulgarnością, zabijaniem czasu, tutaj powracało do swej nieskalanej i świętej istoty. Monетка wartości pięciu kopiejek zaledwie stawała się skarbem, relikwią. Chorągiew św. Andrzeja, niebieski krzyż na białym tle, póki powiewała nad krążownikami, mogła nieść w swych fałdach wicher przemocy, lecz, przekształcona w małą emaliowaną odznakę, którą nosiło się w butonierce, symbolizowała już tylko wierność, poświęcenie, a także — dla tego, kto ją produkował — niewielki zarobek.

Właśnie podczas jednego z tych niedzielnych zgromadzeń, kiedy to podchorążowie marynarki i piechoty, już dwudziesto-pięcioletni, zamieniali się w ministrów i generałów i od nowa wszczynali wojnę domową (kierując się jedną tylko zasadą: pragnieniem zwycięstwa), Dymitr Aleksandrowicz dowiedział się, że Elena Władimirowna von Engel, jego narzeczona, żyje. Zapewne od dawna już przymierała głodem, gnieźdząc się w którymś z przeraźliwie zimnych, wspólnotowych teraz mieszkań dawnego Sankt-Petersburga.

Rodzina von Engel była rosyjską rodziną, biada temu, kto by temu przeczył. W wieku XVIII była zamożna, mając w różnych punktach Rosji posiadłości, domy i letnie wille, lecz ożywienie przemysłowe pod koniec dziewiętnastego stulecia nie wyszło jej na dobre. W pamięci Dymitra Aleksandrowicza von Englowie zapisali się jak stadko nocnych ptaków, zagubionych i bezradnych w godzinie świtu. Biegali z miejsca na miejsce, poruszali długimi ramionami, dziwili się ze słodką naiwnością, widząc huzarów w dragońskich mundurach, kobiety o krótko obciętych włosach czy też szlachtę zasiadającą w Dumie. Nie tracąc poczucia humoru, nie żywiąc żadnych iluzji, godzili się z tym, że należą do gatunku skazanego przez postęp na wymarcie: ekologia nie zajmuje się ludźmi.

Szczupła, blada, jasnowłosa, Elena von Engel zaszczepiła w

młodym Dymitrze jedno z tych nordyckich przywiązań, których siedliskiem nie jest ani serce, ani mózg, ani zmysły, ani też cała istota człowieka, lecz najwidoczniej jakiś organ tajemniczy i wyspecjalizowany. Uwielbiał jeździć z nią na łyżwach w taurydzkim parku, uwielbiał przysłuchiwać się, jak o zmierzchu nieco fałszywie nuci melodie. Byli uczniami tej samej klasy tańca; stawali naprzeciwko siebie w kadrylu, a niekiedy opatrnościowy przypadek łączył ich w parę w mazurze. Nie złożyli przed sobą żadnych przysięg — takich rzeczy nie robiło się — lecz pewnego razu, w zimowym ogrodzie książąt Szcz., ich dłonie złączyły się na moment. Od tej chwili Dymitr uznawał się za człowieka związanego honorem. Rewolucja sprawiła, że jego amory stały się niemożliwe do zrealizowania i przez to tym bardziej nieuchronne.

Myśl, że jego narzeczona uszła cało z masakry, zelektryzowała Dymitra Aleksandrowicza. Gdy spotka się to co możliwe, z całą jego trywialnością, i to co konieczne, nieprzejednane jak zawsze, rezultat rzadko kiedy jest nadzwyczajny. Ochotnikowi walczącemu pod rozkazami Wrangla zdarzało się, wśród niebezpieczeństw i rzezi, wyobrazić sobie, że jest rycerzem bladej Eleny. Rosja, która nigdy nie miała rycerstwa, wciąż o nim marzy. Od czasu kiedy przez dziewięć godzin dziennie obsługiwał tokarkę i palce miał wiecznie pokryte metalowym pyłem, brakowało mu chwili wytchnienia, które mógłby poświęcić na myślenie o swej narzeczonej. O kobiecie, której nawet nie zdołał zawiadomić, że uważa ją za narzeczoną. Ona tymczasem pojawiła się znowu, realna choć nieobecna, nieszczęśliwa, uboga, osierocona i, zupełnie prozaicznie, głodna. Teraz nie szło już o to, by kruszyć kopie broniąc jej imienia, lecz o to po prostu, by zadbać o befsztyk dla niej lub przynajmniej o makaron. Było w tym coś szokującego: panny winny w zasadzie odżywiać się w ukryciu, nie obrażając swych rycerzy widowiskiem gryzienia i żucia potraw. Ale Dymitr Aleksandrowicz nauczył się już przyznawać pierwszeństwo życiu przed literaturą. Postanowił sprowadzić Elenę do Francji.

ZSRR odczuwał w tym czasie wielką potrzebę zachodnich walut. Sporządzono tam tabelę stawek, za które emigranci mogli całkowicie legalnie wykupywać swych krewnych lub przyjaciół, pod warunkiem wpłacenia na konto państwa sumy, której trudno nie nazwać okupem. Najtańsze były babcie; można było wykupić jedną babcię nawet za cenę pojedynczej wypłaty w zakładach Renault, wystarczyło przez jakiś czas oszczędniej żyć. Najdrożsi — chłopcy; trzeba było być kreuzem, by sobie pozwolić na sprowadzenie własnego syna z raju narodów. Dziewczęta były łatwiej osiągalne, ale i tak w grę wchodziły sumy nieosiągalne dla zwykłego tokarza. Dymitr Aleksandrowicz musiał zmienić zawód.

Jego kruche zdrowie i niepokąźny wzrost nie pozwalały mu na podjęcie najsowiciej opłacanych prac, na przykład pracy górnika. Narzucało się inne wyjście: taksówka. Wielu emigrantów decydowało się zostać, jak mówili, woźnicą fiakra. Unikali dzięki temu pracy przy taśmie, a zarabiali nieźle, biorąc godziny nadliczbowe. Problemem był napiwek. Czy oficer mógł przyjmować gratyfikacje jak lokaj? *Centurio in aeternum*. Niektórzy, snobując się, otwarcie odrzucali ofiarowywaną im przez francuskiego *bourgeois* monetę, lecz miejscowi taksówkarze burzyli się: nie miało się prawa niszczyć zawodu. Skończyło się na tym, że wszyscy, z humorem, goryczą czy wściekłością, zależnie od temperamentu, zrezygnowali ze swych zastrzeżeń.

— To dla pana — powiedział pasażer do jednego z moich kuzynów, wręczając mu śmiesznie mały napiwek, dwa sous, jeśli dobrze pamiętam.

— A to dla pana! — odrzekł kierowca, rzucając monetę, pięćdziesiąt sous.

Jednak wciąż było to przykre; dłoń zgarniała monety jakby potajemnie.

Ktokolwiek nosił sygnet, zdejmował go, gdy zasiadał za kierownicą. Trudno, trzeba było ratować Elenę. Dymitr Aleksandrowicz wbrew woli porzucił dla tej problematycznej synekury

pracę męczącą, lecz godną. Dziwiło go, jak szybko przyzwyczał się do poniżających napiwków. Po upływie paru miesięcy zaczął nawet irytować się na klientów — do niedawna byli to jego ulubieńcy! — płacących tylko podstawową cenę kursu. W końcu chodziło o to, żeby z dnia na dzień gromadzić więcej pieniędzy, a co dwa tygodnie wysłać paczkę z żywnością.

Nawiązał miłosną korespondencję ze swoją „narzeczoną”, posługując się przy tym naiwnym kodem, ulubionym przez emigrantów. By nie wzbudzać podejrzeń Czeki, która jakoby miała otwierać zagraniczne listy, ochrzcił żeńskimi imionami wszystkich mężczyzn, tych, o których ją informował i tych, o których los chciał się dowiedzieć. Sam subtelnie podpisywał się jako Dina.

Po upływie trzech lat zdołał zebrać wymaganą sumę i zaniósł ją adwokacynie, występującemu w jego imieniu. Psar nie wyobrażał sobie, że bezpośrednio pertraktacje między „towarzyszami” i nim w ogóle wchodzi w rachubę. Poza tym jednak nie żywił żadnej urazy, uważał wręcz, że miał szczęście:

— A gdybym nie umiał prowadzić samochodu? Albo gdyby emigranci nie mogli dostawać licencji taksówkarskiej?

Nadszedł wreszcie dzień, gdy mógł wynająć dodatkowy pokój w swoim hoteliku przy ulicy Lecourbe. Zrobił tam gruntowne porządki, ustawił prawdziwe kwiaty, z prawdziwej kwiaciarni, odczyścił jedyny swój garnitur, ubrał się jakby to była Wielkanoc i wyruszył w drogę własną taksówką. Tym razem nie zatrzymywał się, słysząc wezwania z chodnika:

— Czyż nie widzą, że opuściłem chorągiewkę?

Przejazd Eleny w niczym nie przypominał świąt wielkanocnych. Wręcz przeciwnie, to co oboje widzieli jako uroczystość zmartwychwstania, przybrało raczej postać konstatacji zgonu. Gdyby przynajmniej wyznali to sobie nawzajem! Sądził jednak, że muszą sobie nawzajem dotrzymać słowa, i pobrali się mimo mrozu w sercach.

Dla Eleny Dymitr był postacią z przeszłości, oznaczał bezpieczeństwo, wygody, serdeczność całego otoczenia, kojarzył się z nastrojem ostatnich lat dojrzewania, kiedy to szczęście i tragedia zdają się równie mocno pociągać szlachetną duszę. Odnajdując go w Paryżu czuła się tak, jakby sama wróciła do Sankt-Petersburga. W listach, jakie jej posyłał, nie skarżył się na nic, bo nie wypada, i dlatego, by nie sprawiać wrażenia, że opłacenie okupu stawia go w trudnym położeniu. Myślała więc, że jest człowiekiem zamożnym, cóż bardziej oczywistego? Francuzi nie byli przecież tacy głupi albo niewdzięczni, żeby pozwolić zmarnieć oficerowi sojuszniczej armii. Żartował co prawda niekiedy ze swego zajęcia, lecz brała to także za część szyfru, który miał wprowadzić w błąd cenzorów. Naprawdę był z całą pewnością adiutantem francuskiego generała, któremu towarzyszył na różnych placówkach.

Skromne ubranie Dymitra, wytarte i wystrzępione, jego taksówka, banalna taksówka, na którą mógłby sobie pozwolić byle prostak, pokój hotelowy bez jednego kąta prostego (taki był tańszy), za to wyposażony w luksusowy parawan, odgradzający umywalkę i nieprzyzwoity bidet, wszystko to wydało się Elenie Władimirownej von Engel nieprawdopodobnie nędzne i wstrętne. Tam skąd przybywała, omal nie umarła z głodu, podczas gdy Dymitr żył, a w dodatku uważał, że żyje nie najgorzej. Ale tam dokonała się rewolucja, największa w historii, tam wciąż tlił się płomyk wojny domowej, apokalipsa. Tu natomiast na sznurze, rozciągniętym między dwoma gwoździemi, suszyły się, tak żeby nie widział tego właściciel hotelu, drobne sztuki bielizny, gdyż regulamin zabraniał lokatorom prania. I ten obrzydliwy zapach w korytarzu...

— Można się przyzwyczaić — mawiał Dymitr, podobnie jak Makary Dziewuszkin w *Biednych ludziach*, nie brzmiało to jednak przekonująco.

W oczach Dymitra Elena także była kimś, kto zdawał się

ucieleśniać niewinność minionych czasów. Nastawił się na spotkanie z dzieckiem: blondynką, której palce ścisnął w tamtym zimowym ogrodzie, jakże poetycznym miejscu. Może nawet marzyło mu się, że znów zamieni się w tego eleganckiego kadeta marynarki, którym był niegdyś? Szybko odkrył, że jej dłonie są zniszczone przez lodowato zimną wodę, a stopy — przez odmrożenia. W jej spojrzeniu pojawiały się na przemian lęk i wyniosłość. Przy każdej okazji powtarzała wulgarne porzekadło: „Nawet z czarnej owcy można zebrać garść wełny”. Dymitr Aleksandrowicz wyrzucał sobie, że ma jej to za złe:

— Takie delikatne stworzenie! Ileż ona musiała przejść...

Nie mógł się jednak pogodzić z tym, że obficie używała taniej szminki, podobnie jak ona z tym, że nie dostaje od niego lepszej.

Życie w dwójkę w ciasnym mieszkaniu, do którego przenieśli się z hotelowych pokoi, nie zadowalało żadnego z małżonków. On bowiem przekonany był, iż odkąd u jego boku znajdowała się żona, powinien szeroko otworzyć dom dla trzydziestoletnich podchorążych, karmić ich w sobotnie wieczory i przez całą niedzielę; ile tylko razy zapragną, zapraszać ich, by przyszli ogrzać się w ciepłe domowego ogniska, patrząc na młodą kobietę, pochyloną nad haftem lub — niebawem — pieluszką. Tą właśnie nadzieją kierował się, zawieszając na ścianie ikonę i tradycyjną lampkę oliwną.

Ale Elena buntowała się, nie chciała spędzać swego życia na warzeniu zupy i dokarmianiu darmozjadów:

— Jeszcze trochę, a każesz mi cerować ich skarpetki i gacie. (Tak jest, wymawiała to szokujące słowo, gacie; sowiecki styl dawał o sobie znać.) Cóż to za towarzystwo, ci twoi golcy, co to nawet nie są w stanie przynieść damie porządnego bukietu!

Miała rację — podchorążowie piechoty przynieśli jej wkrótce różę, podchorążowie marynarki trzy goździki. Ci, co nic nie przynieśli, gładzili z zażenowaniem łysiny.

Ich związek przetrwał niewiele dłużej niż trzeba było, by

urodził się Aleksander Dmitrycz. Elena źle zniosła ciążę, a opieka nad noworodkiem wyczerpywała ją całkowicie. Dziecko było zaniedbane, jego widok odpychający. W Elenie gust delikatnej kobiety łączył się z pospolitym niedbalstwem, co rzecz jasna prowadziło do strasznych rezultatów.

Dla Dymitra Aleksandrowicza narodziny syna były źródłem radości, odkupieniem; jego nazwisko przetrwa, a car, kiedy powróci na tron, będzie miał o jednego poddanego więcej. A poza tym, po wszystkich okrucieństwach wojny domowej, doznawał wzruszenia na widok tego małego człowieczka, jego niezupełnie jeszcze uformowanej czaszki i małych rączek, które pewnego dnia będą mogły chwycić za broń. Wzruszała go też nieśmiertelna dusza dziecka, przezierająca przez jego mętne oczka. Pielęgnował więc małego, sam prał. Mówił przepraszająco: moja żona jest słabego zdrowia.

Elena Władimirowna zniknęła pewnego dnia, a razem z nią zniknęło futro z kretów i podchorąży, który ostatnio żył ze sprzedaży frywolnej damskiej bielizny i jeździł sportowym kabrioletem. Zostawiła krótki list: „Wiem, co o mnie myślisz, ale ja chcę żyć, żyć! Bądź wielkoduszny, oszczędź naszego syna”.

Dziecku, którego matka umarła, mówi się często, że wyjechała w podróż. Dymitr Aleksandrowicz uczynił przeciwnie. Opuszkami palców pogładził policzek syna i wyszeptał:

— Mamusia umarła, Alek. Jesteśmy teraz sierotami.

Kiedy wybuchła druga wojna światowa, wielu emigrantów zaczęło od nowa żyć nadzieją — z pewnością narzucony Rosji system nie przetrwa zawieruchy wojennej. Tak, ale co zajmie jego miejsce, Rosja skolonizowana przez rzeźników? Dymitr Aleksandrowicz nie brał udziału w tych dyskusjach. Nie był obdarzony wyższą inteligencją, ale ciężkie przeżycia zaszczepliły w nim fatalizm, odebrały mu nadzieję. Nie liczył już na możliwość powrotu dawnego ustroju, przestał też myśleć, że wola jego i jego przyjaciół, podporuczników marynarki, czterdziestoletnich

podchorążych, może wyrzucić jakikolwiek wpływ na Historię. Nie opuściła go tylko jedna, gorąca nadzieja: że prochy jego nie spoczną w obcej ziemi. Wróci do ojczyzny, żeby tam umrzeć. „Tego jednego jestem pewien” — powtarzał często. To się stanie samo z siebie, któregoś dnia.

Status, jakiemu podlegali we Francji emigranci, był mocno skomplikowany. Jednych zmobilizowano, innych nie. Psara poproszono, żeby rzucił taksówkę i został szoferem w fabryce amunicji. Kilku oficerów znów wypomniało mu rosyjską pożyczkę, ale poza tym było całkiem znośnie. Kiedy nadeszła klęska, fabrykę ewakuowano na południowy wschód Francji.

— Ależ ja jestem obcokrajowcem. W czasie wojny nie wolno mi zmieniać miejsca pobytu we Francji.

— To nas nic nie obchodzi. Jeżeli nie znajdzie się pan w Tarbes, zostanie pan uznany za dezertera.

Po kilku dniach starań w prefekturze Psar wyjednał dla siebie odpowiednie zezwolenie, ale zaledwie dotarł do Tarbes — na własny koszt — zostało podpisane zawieszenie broni i fabryka amunicji przestała istnieć.

Dymitrowi Aleksandrowiczowi nie pozostało nic innego jak wrócić do Paryża w poszukiwaniu pracy.

— Praca? Dla pana? Kiedy przegraliśmy wojnę z powodu tych cholernych cudzoziemców? Nie ma mowy.

A jednak trzeba było jeść, a przede wszystkim nakarmić małego Aleksandra. Było pewne rozwiązanie, ale budziło ono wstręt w duszy podporucznika marynarki: mógł, biorąc za wzór wielu Francuzów, przyjąć propozycję zatrudnienia od władz okupacyjnych.

Rosjanie dzielą się na dwie kategorie: jedni podziwiają niemiecką technikę, Goethego i Kruppa, drudzy natomiast, począwszy od Aleksandra Newskiego, nie znoszą Niemiec. Dymitr Aleksandrowicz należał, na swoje nieszczęście, do tych drugich. Pracować dla Niemców oznaczało dla niego zdradę wobec

miliona siedmuset tysięcy zabitych podczas pierwszej wojny i setek tysięcy innych, mordowanych przez całe wieki przez miecz Krzyżaków czy też popleczników Napoleona. A jednak i tym razem poddał się konieczności. Znał niemiecki, dobrze go traktowano; jego pensja powiększyła się trzykrotnie. Ale był jednym z tych ludzi, którym brak komfortu moralnego doskwiera bardziej niż niedostatek materialny. Te dwa lata, kiedy prowadził niemiecką ciężarówkę, należały do najbardziej niszczycielskich w jego życiu. W jednym tylko był nieugięty: systematycznie odrzucał propozycje lepszej i lepiej płatnej pracy na stanowisku tłumacza, pisarza, czy też w pomocniczej służbie informacyjnej. Gdyby był włożył na siebie mundur *feldgrau*, odzyskałby może swój stopień wojskowy, lecz konsekwentnie mówił „nie”. Bzar Tmidri kompromitował się, ale podporucznik marynarki pozostał bez skazy, jak ikona.

Gdy wojna się skończyła, nikt nie okazał mu wdzięczności. Administracja przeszła w ręce partyzantów ostatniej godziny, którzy swego patriotyzmu dowodzili pastwiąc się nad wszystkimi stojącymi niżej. W dodatku bohaterstwo prawdziwych partyzantów, spośród których wielu było komunistami, sprawiło, że we Francji wybuchła wielka miłość do Związku Radzieckiego. Biali emigranci byli teraz ledwie tolerowani. Obcokrajowiec do niedawna opłacany przez wroga godzien był ostrej krytyki, był zesłanym przez opatrność kozłem ofiarnym narodu, który zgrzeszył najciężej jak tylko można, bo zwątpił sam w siebie.

Sytuacja Dymitra Aleksandrowicza stała się nie do zniesienia. Z jednej strony bezustannie nękanym był przez administrację, z drugiej dokuczano mu bezrobocie. I od czasu do czasu: „Wracaj do siebie, ty cholerny Rusku”, wykrzykiwane z końca kolejki w piekarni.

Myśl o powrocie do kraju, już nie przez zrządzenie boskie, ale w wyniku świadomej decyzji, coraz częściej nawiedzała Dymitra Aleksandrowicza. Nigdzie nie będzie mu gorzej, nigdzie nie

będzie się go bardziej atakować niż tutaj. Toteż gdy w pewnym lazarecie lekarz wyjawiał mu, że jego organizm jest wyczerpany, że zdradziły go komórki jego ciała, poczuł w gardle falę tęsknoty silniejszej niż wszystkie poprzednie.

Jak kiedyś pogładził policzek syna i powiedział:

— Wracamy.

Aleksander, milczący jak zawsze, nic na to nie odpowiedział.

Dymitr Aleksandrowicz nie miał żadnych złudzeń. Wiedział, że nie odnajdzie błyszczącego Petersburga z czasów swego dzieciństwa. Ale będzie słyszał dookoła własny język, a jego ciało, kiedy będzie musiał umrzeć, spocznie w ojczyściej ziemi.

— Nawet czerwoni nie mogą mi tego odmówić.

No właśnie, czy istnieli jeszcze czerwoni? Czy można kwestionować egzystencję państwa, które tak chwalebnie odepchnęło napastnika? Niepodległość jest cenniejsza niż wolność obywateli. Zresztą słowo wolność nie budziło radosnego oddźwięku w sercu podporucznika marynarki. Podobnie jak jego męscy przodkowie szukał chwały w służbie; wolność uważał za ideał niewolników. A jeśli tam zniesiono własność prywatną — Psar przystanie na to z radością, poczucie przynależności było o tyle ważniejsze niż własność! Cóż to będzie za ulga, wrzucić do pieca ten nansenowski paszport znikąd. I Aleksander wychowa się w rodzinnym kraju, a także nauczy się służyć, może nawet w szkole kadetów imienia Suworowa — bo szkoły te znowu powstały!

Jakie to było niezwykle przeżycie dla Dymitra Aleksandrowicza, wejść w kontakt z „towarzyszami”. Kiedy położył palec na guziku dzwonka pod numerem 79, spodziewał się nieledwie, że zaraz świat rozleci się w kawałki, tak jakby cząsteczka materii zderzyła się z cząsteczką antimaterii. Ale świat ocalał, a Sowieci na obczyźnie przypominali z grubsza normalnych rodaków.

— Wiecie — opowiadał później swoim prawdziwym towarzyszom, chorującym i podporucznikom marynarki, którzy zbliżali się już do pięćdziesiątki — oni wcale nie mają rogów ani kopyt.

Co go natomiast zdumiało to arogancja urzędników i hojnie okazywane petentom poczucie wyższości. Dano mu do zrozumienia, że nie idzie o żadne pojednanie się, tylko o udzielenie przebaczenia. By je otrzymać, trzeba było naprzód zademonstrować całkowitą uległość i uznać swoje błędy, we wszystkich dziedzinach, nie tylko pomyłki polityczne.

Na przykład manieri Dymitra Aleksandrowicza: były całkowicie anachroniczne. Pewnego dnia zdarzyło mu się poślinić palec, aby przewrócić stronicę w dziele Lenina.

— Proszę tego nigdy nie robić! U nas oznacza to brak wychowania — wycedził surowo przydzielony mu katecheta, mierząc w ucznia garbatym nosem i złowrogo skrzącymi się szklami okularów.

Skruszony grzesznik musiał zacząć od wypełnienia płacht formularzy, zwanych ankietami. Trzeba było nie tylko wyznać własne przewiny wobec rządu radzieckiego, ale również podać pełną listę bliższych i dalszych krewnych oraz ich życiorysy. Dymitr Aleksandrowicz odpowiednio pomniejszył swoje wyczyny i oświadczył, że krewni jego nie żyją już. Zaraził się obsesją powracających — byle tylko nie zaszkodzić tym, którzy znajdują się w ZSRR.

— Czy powinienem był wspomnieć, że kuzyn Alosza nie żyje, czy też lepiej nie wymieniać go wcale? — dręczył się w środku nocy.

Potem przyszła faza rehabilitacji. Wypowiadany i, jak się wydawało, z uzyskanym przebaczeniem, syn marnotrawny miał obecnie zapoznać się z prawdziwą wiarą. Zorganizowano kursy wieczorowe; emigranci, którzy prawie nie mieli odwagi spojrzeć na siebie, spotykali się trzy razy w tygodniu, wchłaniając wykłady o błędach carów, ucząc się na pamięć myśli Marksa, Engelsa, Iljicza i, oczywiście, słów największego geniusza, najwybitniejszego wodza, najgłębszego filozofa i ekonomisty, najślawniejszego przywódcy ludowego wszystkich czasów, tego, którego

patronimik wypowiedany był jednocześnie ze służalczą czułością i z męskim szacunkiem: Józefa Wissarionowicza.

Nie było oczywiście mowy o tym, by można było potraktować tę liturgię choć trochę humorystycznie. Rewolucjoniści nie mają poczucia humoru.

Nie mając żadnego wykształcenia ekonomicznego i nie utożsamiając się ani z interesami, ani z cnotami burżuazji, Dymitr Aleksandrowicz zdał część egzaminów nie „lewicując swej duszy”. Z satysfakcją wyliczył marszałków Związku Radzieckiego i ich zwycięstwa, ze ściśniętym gardłem zrelacjonował przebieg bitwy pod Stalingradem. Ale zająknął się kilkakrotnie, zanim zdołał wypowiedzieć — tuż przed nim błyszczały wymagające okulary katechety — „Mikołaj Krwawy” czy też „Leningrad”. Inni kandydaci przysłuchiwali się temu ze spuszczonego wzrokiem, milcząc podzielać jego zawstydzenie. Potem z kolei oni musieli, zacinając się, mówić o „białogwardyjskich hordach” i „obszarpanych kontrrewolucjonistach”. Na zakończenie odśpiewano chórem *Katiuszę*: to było sowieckie, ale nie komunistyczne, heroiczne i sentymentalne, jednym słowem — rosyjskie.

Jeśli Dymitr Aleksandrowicz liczył, iż w zamian za ten niewielki wysiłek otrzyma paszport i będzie mógł oznajmić Francuzom, że teraz także i on ma swój kraj, swój rząd i swego ambasadora — to się przeliczył. Teraz należało dowieść swej szczerości. W niedzielne poranki zaniedbywał cerkiew, aby oklaskiwać filmy propagandowe, takie jak *Gorąca głowa* czy też *Przysięga*, wyświetlane specjalnie w porze mszy świętej. Pomagał także w organizacji balów, wydawanych w rocznicę Rewolucji Październikowej. Wznosił toasty na cześć niewypowiedziane wielkiego Iljicza i za zdrowie największego z największych ludzi. Próbował nawet wymawiać po sowiecku dwa słowa, z pozorów niewinne: autobus i biblioteka. Sposób ich wymawiania dzielił Rosjan na dwa obozy. Jeszcze jedno poświęcenie, myślał, i będę mógł wsiąść do pociągu. Wrócić.

Wreszcie katecheta wezwał go i oświadczył:

— Obywatelu, przekonaliśmy się, że jesteście prawdziwym synem naszej sowieckiej ojczyzny.

Zielony paszport był tuż obok, leżał na biurku. Dymitr Aleksandrowicz mógł go wziąć do ręki, sprawdzić pieczętki, zdjęcie, podpisy. Nowoczesna pisownia jego imienia i imienia jego ojca drażniła go jeszcze, ale był to drobiazg; od dawna już skreślił twarde znaki i łacińskie „i” na formularzach, które wypełniał.

— Dziękuję, dziękuję — powtarzał.

Czuł, że staje się pełnym człowiekiem. Z podniesioną głową wyjdzie na ulicę Grenelle, podejdzie do policjanta i powie mu:

— Jestem obywatelem radzieckim.

Być obywatelem, wydawało mu się, jest nieomal tyle samo warte co być poddanym cara.

— Kiedy mogę wyjechać?

Katecheta delikatnie wyjął z rąk wzbraniającego się nieco Dymitra Aleksandrowicza paszport.

— Na razie schowamy tę zabaweczkę tutaj.

Podniósł się i umieścił paszport na jednej z półek sejfów wbudowanego w mur.

— Oczywiście pewnego dnia powróci pan do kraju, ale na razie przyniesie pan więcej pożytku socjalistycznej ojczyźnie nie opuszczając Paryża. Zna pan Francuzów, przyzwyczał się pan do nich, a oni do pana.

Dymitr Aleksandrowicz nie od razu pojął, że oznacza to koniec jego marzeń. Uczepił się słów „oczywiście” i „na razie”.

Wpatrując się swymi przedwcześnie zmatowiałymi oczami w zieloną plamkę, widoczną na dnie sejfów, jęknął:

— Ale... paszport, proszę mi go dać.

— Na cóż on panu?

— Nie mogę żyć we Francji bez dokumentów.

Nie był to jedyny powód, chciał bowiem zabrać tę małą książeczkę powodowany czułością. U siebie w pokoju pokryły ją pocałunkami; miałby materialny dowód, że znów stał się sobą.

— To — odrzekł katecheta, złowrogo pobłyskując grubymi szklami okularów — nie przedstawia żadnego problemu. Nie powie pan Francuzom, że otrzymał pan radzieckie obywatelstwo, będzie się pan w dalszym ciągu posługiwał paszportem nansenowskim.

Dostrzegając, że serce biednego człowieka pęka z żalu, dodał jeszcze, powodowany, nie wiadomo, litością czy też sprytem:

— Właśnie w ten sposób odda pan największe przysługi socjalistycznej ojczyźnie, która mimo wszystkich pana pomyłek wyciągnęła do pana ramiona.

Dymitr Aleksandrowicz nie miał już żyć długo. Od tej chwili rak pustoszył jego organizm ze zdwojoną siłą. Nigdy przedtem nie pił dużo, teraz zaczął pić tak, jakby chciał jeszcze przyspieszyć proces zniszczenia. Nocny stróż, pomywacz, tragarz, zamiatacz ulic — tracił kolejno wszystkie swoje posady, pracując tylko od czasu do czasu. Teraz, kiedy wiedział, że nigdy nie wróci do kraju, miał już tylko jedno życzenie: być pochowanym na cmentarzu w Sainte-Geneviève-des-Bois, gdzie próchniało tyle rosyjskich trupów, że na pewno zniszczyły ziemię.

Chorążowie i podporucznicy, teraz pięćdziesięcioletni, surowo oceniali zdradę, ale nie zdrającę. Złożyli się, aby spełnione zostało skromne ostatnie życzenie tego, którego nazywali posługując się trudnym do przetłumaczenia rosyjskim słowem... jakby współbiedziadnikiem.

Dymitr zmarł w szpitalu, bez żadnej opieki, jako że personel szpitalny tego właśnie dnia strajkował.

— Nie wrócę do kraju, Alek. Ty to zrobisz za mnie.

To były jego ostatnie słowa. Uniósł dłoń, by pogłaskać policzek Alka, ale nie zdołał już dokończyć tego gestu.

Pogrzeb odbył się w kaplicy cmentarnej Zaśnięcia Matki Boskiej. Czerwiec był wyjątkowo ciepły i ksiądz obficie używał kadzidła. Odśpiewano *Między świętymi*, *Nieśmiertelną pamięć* i *Jakże chwalebnie*, pieśń, którą tradycja łączy z żołnierskimi pogrzebami.

Trumnę opuszczono do grobu przy pomocy haftowanych

pasów, wypożyczonych przez pewną starą generałową. Trzeba je było zwrócić, dlatego też nie zostawiono ich — jak każe obyczaj — grabarzowi. Cóż by zresztą z nimi począł?

Grudki ziemi rozbijały się na świerkowych deskach trumny.

Aleksander Dmitrycz, jasnowłosy, pełen rezerwy, przyglądał się temu z ostentacyjnym spokojem. Przyjaciele ojca odczuwali wobec syna raczej nieufność niż sympatię. On także złożył podanie o repatriację i przesiadywał w ambasadzie. Czy nie był to przypadkiem mały bolszewik? Żony przyjaciół Psara, przeciwnie, rozczułały się nad szczupłą chłopięcą twarzą o zaczerwienionych powiekach, nad młodzieńczą szyją, którą odsłaniała rozpięta biała koszula, noszona bez krawata (Dymitr Aleksandrowicz nienawidził tej wzorzystej ozdoby) do starego, niebieskiego ubrania, zapewne prezentu jakiegoś zamożniejszego kuzyna albo daru instytucji charytatywnej.

— Ileż on może mieć lat?

— Dziewiętnaście? Nie wygląda nawet na tyle, biedak.

Wśród uczestników pogrzebu znajdował się też pewien młody człowiek, którego nikt z obecnych nie znał. Przeżegnał się kilka razy w nieodpowiednim momencie. Miał pyzată twarz i nosił okrągłe, poczciwe okulary. Ubrany był w brązową marynarkę, zbyt szerokie spodnie i wielkie niezgrabne buciory.

Aleksander Dmitrycz nie chciał, jak wszyscy inni, czekać na autobus. Gdy tylko pogrzeb się skończył, ruszył sam w stronę dworca kolejowego. Szedł w oślepiającym słońcu. W pewnej chwili tuż obok niego zatrzymał się samochód.

— Proszę wejść, podwiozę pana — powiedział ktoś, otwierając drzwi samochodu.

To był właśnie ten młody człowiek.

Aleksander zawahał się. Pomyślał jednak, że to zaproszenie było może grzecznie wypowiedzianym rozkazem.

— Dziękuję, Jakubie Mojsiejewiczu.

Wsiadł do samochodu.

W dzieciństwie Jakuba Mojsiejewicza Pitmana kołysały do snu opisy bohaterских wyczynów dzielnych czekistów ratujących Rewolucję. Gdyby nie oni, białogwardziści odnieśli by zwycięstwo. Jakub marzył więc o pracy w komisariacie ludowym, w wydziale spraw wewnętrznych. Właśnie tam, myślał, byłby najbardziej użyteczny dla partii i dla ojczyzny.

Jakub Pitman pamiętał o swoim żydowskim pochodzeniu, nie sądził jednak, by sytuacja Żyda miała być inna niż Tatarów czy Gruzina. Dumny był, że to właśnie jego kraj wyprodukował Puszkina, Czajkowskiego, Piotra Wielkiego. Uwielbiał rosyjski folklor. Potrafił zupełnie nieźle zaciągać *Raz na balu* czy też odtańczyć ognistego kozaka. Nie znaczyło to, że wstydził się swoich rodziców, przeciwnie, traktował ich z czułością, ale ich problemy wydawały mu się anachroniczne. Poza domem jadł wieprzowinę i nie miał żadnych wyrzutów sumienia, raczej podkreślał przyjemność, jaką mu to sprawiało. Jak bohaterowie Czechowa wzdychał do czasów, kiedy wszyscy ludzie będą się kochali, szczęśliwi i beztroscy. Nad Czechowem miał jednak tę przewagę, że wiedział kiedy to nastąpi: już jutro.

Lokomotywą szybko zbliżającej się przyszłości była partia. Jakub miał dla niej tak żywe uczucia i tyle wdzięczności, że często aż łzy stawały mu w oczach. To dzięki partii jego ojczyzna stanie się najpotężniejsza na całym świecie, silna i opiekuńcza. Naród radziecki jak jeden mąż pracuje nad wznoszeniem powszechnej sprawiedliwości i równie powszechnego dostatku. Oczywiście, że Jakub chciał stanąć w pierwszym szeregu pracujących.

Nic nie przeszkadzało temu, by przyjęto go na wydział werbujący kandydatów spośród młodych ludzi garnących się do tego rodzaju działalności. Mojżesz Pitman był ubogim krawcem, tak samo jak niegdyś jego ojciec. Matka i babcia Jakuba Pitmana też pochodziły ze skromnych rodzin, z Berdyczowa. Ankieta, obejmująca dwa pokolenia wstecz, wykazała więc pochodzenie proletariackie w zasadzie bez zarzutu. W tym okresie „narodowość”

żydowska była jeszcze plusem raczej niż minusem. Wuj rewolucjonista upiększał obraz. Tak więc po opuszczeniu uniwersytetu Jakub Pitman przepełniony radością i wdzięcznością przyjęty został do szkoły „Biełyje Stolby” i studiował tu przez dwa lata, głównie zagadnienia kontrwywiadu. Znał francuski i to sprawiło, że skierowano go do piątego departamentu. Wojna właśnie się skończyła i Jakub Pitman oddelegowany został do pracy w ambasadzie, która znów podejmowała swą działalność w Paryżu.

Jego entuzjazm nie miał granic! Będzie pracował ze wszystkich sił, aby uczynić z Francji siostrzycę Rosji, równie szczęśliwą i wolną jak ona. Młodszą siostrę, rzecz jasna, której starsza, dla jej dobra, dyktować będzie sposób postępowania.

Te wspaniałe zamiary nie uchroniły jednak porucznika Pitmana od tego, że po roku pobytu w Paryżu znalazł się nagle o krok od utraty honoru i stanowiska. Na początku wszystko szło doskonale, chociaż Pitmana szokował prymitywizm tutejszego środowiska, składającego się głównie z karierowiczów i hulaków. Jego przełożonym był oficer, który prowadził sprawy emigrantów „powracających” — narkomanów, degeneratów, niedobitków bandytów Wrangla i katów Kołczaka. Rząd radziecki okazał niezwykłą łagodność, amnestionując tych lokajów reakcji. Pitman był jednocześnie onieśmielony i przejęty obrzydzeniem. Nie opuszczała go też ciekawość. Kiedy po raz pierwszy znalazł się w obliczu autentycznego księcia, spodziewał się, że ujrzy wilkołaka albo nadcześniaka. Tymczasem księżę O. był garbaty, delikatny, biedny jak Hiob, nie narkotyzował się i z pewnością nigdy nie posługiwał się knutem.

Ucieleśnione zło nie zawsze było tak łatwo rozpoznawalne, jak się tego spodziewał. Ale pragnął się uczyć.

Inteligencja jego była żywa i giętka, przede wszystkim zaś właściwa mu była intuicyjna zdolność trafnego wyczuwania ludzi. Wkrótce polecono mu zająć się wyszukiwaniem pośród

kandydatów do powrotu osób, które mogłyby stać się, jak ich nazywano, „seksots”, *sekretnyje sotrudniki*.

Amnestia nie była bowiem całkowicie bezinteresowna. Większość tych, co domagali się powrotu, miała pozostać we Francji, aby przez sam fakt swej obecności odwracać uwagę od zwerbowanych współpracowników. Pitman mógł się pochwalić świetną zdobyczą, byłym partyzantem, którego siostra studiowała atomistykę! Nie mogło być mowy o tym, żeby pozwolić na powrót takim ludziom, znajdującym się już, najzupełniej legalnie, na miejscu, ludziom, których w przyszłości łatwo będzie pchnąć na odpowiedzialne stanowiska. Żeby jednak uspić czujność Francuzów, trzeba było, żeby starzy kierowcy taksówek, wiekowi Cyganie, teolodzy, którzy i tak nie mieli czego szukać w ZSRR, zdychali sobie w dalszym ciągu na obczyźnie.

Pitman dobrze się spisał, przeprowadzając selekcję; teraz jego zwierzchnik przesunął go do innej sekcji. Chodziło o to, żeby Jakub Mojsiejewicz miał okazję poznania wszystkich rodzajów działalności, prowadzonych przez ich placówkę. Następnym szefem Pitmana został stary czekista z niebieskim nosem, bohater licznych anegdot, opowydanych między jednym i drugim kieliszkiem.

Pierwsza misja, w jakiej uczestniczył, polegała na porwaniu w samym środku Paryża pewnego pułkownika carskiej armii, który natychmiast po zakończeniu wojny próbował powołać znów do życia organizację „Union interarmes”. Poprzednio kierowali nią Kutiepow i Miller. Stary pułkownik nie był specjalnie niebezpieczny, tradycja jednak wymagała, by zadać zdecydowany cios takiej organizacji. Tym razem zresztą nie przewidywało się żadnych komplikacji, jako że uprzednio uzyskana została zgoda władz francuskich. Pozostawało tylko „zgarnąć” pułkownika z domu, tak samo jak zgarniało się ludzi w Moskwie czy w Niżnym Nowogrodzie, najlepiej nad ranem, gdy temperatura ciała jest najniższa, a co za tym idzie zdolność stawiania oporu najmniejsza.

Kiedy Jakub Pitman wsiadał do specjalnie wynajętego samochodu, nie dręczyły go żadne moralne rozterki. Pułkownik był tylko nędznym wicherzycielem, którego trzeba było usunąć. Przed 25 laty z pewnością nie odmawiał sobie przyjemności wieszania czerwonych więźniów. Teraz chodziło o to, by nie mógł siać zamieszania w kraju, który już wkrótce stanie się rajem. Pułkownik nigdy nie był obywatelem radzieckim i Francuzi nie bardzo mieli ochotę na otwarte wydanie go Rosjanom, ale przecież nie będą protestować, jeśli się go przyrmknie. Czyż nie biliśmy się razem z Niemcami? Pitman przycisnął guzik dzwonka. Za starymi drzwiami, które pokrywał łuszczący się lakier, panowała cisza. Zaczął stukać, grzecznie choć stanowczo, po cztery uderzenia, ugiętym palcem wskazującym prawej dłoni. Na karku czuł przesycony wódką oddech czekisty. Jeden z jego przybocznych został na czwartym piętrze, drugi wszedł na podest szóstego piętra, skąd obserwował wszystko, gotów w razie czego do interwencji.

Jakiegokolwiek komplikacje były zresztą mało prawdopodobne: dozorczyńni co prawda bardzo lubiła pana Rosjanina, który zawsze starannie wycierał buty, ale jej mąż, dawny komunistyczny partyzant, a obecnie policjant, obiecał, że przypilnuje, żeby nie robiła żadnych trudności.

— Jak będziesz tak sobie postukiwał — powiedział czekista — to on gotów pomyśleć, że chcesz pożyczyć 10 franków, których zresztą nie ma.

Zaczął walić w drzwi, najpierw otwartą dłonią, potem kopniakami, aż drzwi dygotały. Nagle Jakub poczuł przed sobą jak gdyby wielką pustkę, chociaż brama była nadal zamknięta. Nigdy nie dowiedział się, skąd pojawiło się to wrażenie. Może przeciąg? Na schodach rozległ się zdenerwowany głos dozorczy: „Towarzysz! Psze pana! Panie kapitanie! Zdarzyło się nieszczęście”.

Gdy Jakub zobaczył to coś na chodniku, ten naleśnik z człowieka z kępką brody sterczącą z twarzy, połamane nogi z kością, która przebiła mięso, i zniszczoną pidżamę, zrobił wielki krok do

tyłu i zaczął otwarcie, bez skrępowania wymiotować, wstrząsany czkawką.

— Zdechlak! Baba! — wysyczał do niego czekista.

A potem, kiedy już przestał wymyślać swojemu podwładnemu, zaczął uporczywie przyglądać się Jakubowi, strzelając okiem na swoich ludzi, jakby chciał ich wziąć na świadków. Dozorca trzymał się z tyłu, kręcił głową z mieszaniną litości dla ofiary i jednocześnie z trudem opanowując nerwowy śmiech na widok tego śmierdzącego pajaca rozciągniętego na bruku, z tą jego bródką. Z drugiej jednak strony odczuwał głęboki zawód — sądził, że towarzyszom radzieckim zawsze udawały się akcje, a tu masz! — zachowali się jak niezdary. Od tej chwili jego wiara w marksizm topniała szybko. Po dwu latach dotknięty łaską zaczął chodzić do kościoła i głosować na partię pravicową.

Czekista napisał mściwy raport — akcja nie udała się z winy porucznika Pitmana, który stukał do drzwi tak długo, że osobnik zdążył wyskoczyć przez okno. Późniejsze zachowanie się porucznika potwierdziło, że przyczyną niezdecydowania Pitmana był brak odwagi fizycznej.

Wydawało się, że Pitman, któremu do tej pory wszystko sprzyjało, teraz skazany był na klęskę, upodlenie. Z dnia na dzień przestano podawać mu rękę, odwracano się, kiedy wchodził do pokoju. Była to tylko kwestia bezwładu biurokratycznego: wkrótce zostanie usunięty z departamentu, być może nawet z KGB. Niebieskie epolety nie są dla tchórzy. Kiedy nieśmiało poprosił o wyjaśnienie — nie miał prawa czytać raportu — szef komórki spojrzął mu w oczy.

— Na twoim miejscu wstydzilibym się, Pitman, schowałbym się w najciemniejszym kącie.

Zaczął się więc wstydzić, jako że KGB, bliska partii, której rola jest wiodąca a doktryna niezawodna, nie może się mylić. Zaczął się także chować, ponieważ cierpiał z powodu okazywanej mu pogardy. Poza tym nie dostawał już żadnych poleceń. Nie

pozostawało mu więc nic innego, tylko zaszyć się w kącie i czekać na odwołanie.

Jakub Mojsiejewicz Pitman był głęboko zraniony w swoich ambicjach, w swym pragnieniu służenia, w samej substancji swego istnienia. Wiedział przecież, że jeśli się już jest w KGB, można popełnić pewną liczbę pomyłek, które będą zatuszowane dla dobra organizacji. Jemu stawiano tylko zarzut zwykłej słabości. Oznaczało to, że tak naprawdę nie został zaakceptowany przez zwierzchników i odrzucano go jako nieprzydatnego. Cierpiał także z powodu swej miłości. Słodka Eliczka słała mu czułe, gorące i pełne nadziei listy. Czyż miał znosić i to, żeby jego narzeczona miała się rumienić ze wstydu przez niego? Myślał o zerwaniu. Potem o samobójstwie. Tymczasem pewnego dnia przyszedł do niego szeregowiec, który nie miał odwagi spojrzeć w oczy komuś, o kim wiedział, że jest w niełasce:

— Towarzysz Abdurachmanow was prosi.

Abdurachmanow, monumentalna postać z małą głową, został przez młodszych pracowników ambasady nazwany Stalagmitem, i to nie tylko z powodu jego stożkowatego kształtu, ale także dlatego, że przypominał raczej fenomen przyrodniczy niż ludzką istotę. Przewisko to jednak wyszło z użycia. Od jakiegoś czasu personel ambasady unikał aluzji na temat Abdurachmanowa, jakby wymienianie jego imienia mogło spowodować nie wiadomo jaki kataklizm. Abdurachmanow był prawdopodobnie w KGB, ale w której dyrekcji i w jakim departamencie? I jaką miał funkcję? Zagadka. Nic o nim nie wiadano, nieznan był nawet jego stopień wojskowy: reagował jednakowo ochoczo na „towarzyszu kapitanie” jak i „towarzyszu generale”. Jego działalność zaczynała się, gdy inni kończyli pracę, szperał wtedy we wszystkich biurach, nie wyłączając gabinetu ambasadora. Miał wszystkie klucze i wytrych. Kto mu je dał? Brano go za inspektora, składającego sprawozdania samemu towarzyszowi Berii, to znów za wysokiego dygnitarza partyjnego, odpowiadającego

wyłącznie przed Józefem Wissarionowiczem. Nigdy nie powiedział nic ostrego, a jednak budził przerażenie. Być wezwanym przez niego — w sytuacji Pitmana! — oznaczało to samo, co dla skazanego na śmierć wizyta o 4 rano w jego celi.

Usłyszawszy, że może wejść, Pitman stanął dość niezdarnie na baczność w progu niczym nie wyróżniającego się, pustego pokoju, mało świadczącego o tym, by się tu ktoś przemęczał pracą. Oczekiwał wojskowego wrzasku albo lodowatego szeptu, tymczasem dobiegł go melodyjny głos, recytujący śpiewnie: „Nim zdążyłem zwilżyć krwią ostrze noża, wróg się poddał. Nim zdążyłem zwilżyć krwią ostrze noża, wróg się poddał”.

Przed stożkową głową unosił się palec wskazujący, nie wyrażał jednak groźby, raczej intencje wychowawcze.

— Niech pan wejdzie, Jakubie Mojsiejewiczu, serdecznie, i umieści na tym krześle swoją starą panią. Czy zna pan Sun Tsu?

Sięjący postrach tow. Abdulrachmanow nie wyrażał się jak oficer KGB, a nawet jak zwykły obywatel radziecki. Mówił śpiewnym basem, posługując się najbardziej wyrafinowaną dykcją. Używał swojego głosu jak aktor, lecz jego nienaganna wymowa przypominała raczej profesora uniwersytetu przedrewolucyjnej Rosji. Skojarzenie to musiało powstawać automatycznie na widok tego zażywnego, na granicy otyłości, pełnego kurtuazji człowieka, w którym jednocześnie wyczuwało się ogromną siłę. Pitman byłby zaszokowany tym mało radzieckim stylem zachowania, gdyby nie opanowały go zupełnie inne emocje. Oto po raz pierwszy od dwu miesięcy ktoś odezwał się do niego serdecznie. On jednak będzie musiał zawieść swego rozmówcę, gdyż nie miał zielonego pojęcia, kim może być Sun Tsu — zapewne jakiś lokaj Czang Kai-szeka.

— Nie, towarzyszu generale. Ja nie jestem w szóstym departamencie, towarzyszu generale. I ten Sun Tsu, ja nie...

— Ależ proszę usiąść, Jakubie Mojsiejewiczu. Zaraz się ze sobą zapoznamy, wszyscy trzej.

Pitman rozejrzał się wkoło, ale nie spostrzegł żadnej trzeciej osoby w pokoju, chyba żeby wziąć pod uwagę wiszący na ścianie portret Feliksa Edmundowicza. On jednak był wszędzie, nie było w KGB pomieszczenia, w którym nie pojawiałoby się to inkwizytorskie spojrzenie.

— Proszę mi na początek powiedzieć, jak ocenia pan tę myśl, zarazem wielkoduszną i podstępną.

Jeszcze raz nieszczęśliwy porucznik miał zawieść swego przełożonego, który wydawał się tak dobrze wobec niego usposobiony.

— Jaką myśl, towarzyszu generale?

Mówił „generale”, ponieważ jest to najwyższy stopień, ale nigdy jeszcze nie widział tak uprzejmego generała.

— Tę, którą przed chwilą przytoczyłem. Nim zdążyłem zwiłyć, i tak dalej. Co myśli pan o tym?

Pytanie było bardzo trudne, nawet dla kogoś, kto zawsze starał się rozmawiać tak jak trzeba. Być może Lenin wypowiedział się gdzieś na temat, ale Pitman nie mógł sobie niczego przypomnieć. Czując swą winę, wyjąkał żałośnie:

— Nie wiem, towarzyszu generale.

— Proszę usiąść — powiedział człowiek zwany Stalagmitem.

— Zanim spotkamy towarzysza Sun Tsu, podejmiemy kilka wstępnych decyzji. Po pierwsze, i pan, i ja jesteśmy zbyt ukulturalnieni, jak to nazywają ci, którzy wcale tacy nie są, żebyśmy musieli rzucać sobie w twarz co pięć minut nasze przekonania polityczne. Więc przestanie pan, miły mój Jakubie Mojsiejewiczu, nazywać mnie towarzyszem. Dalej. Przywiązujemy zbyt wielką wagę do prawdy tkwiącej w rzeczach i ludziach, by miały dla nas znaczenie powierzchowne i zbędne stratyfikacje społeczne. Przestanie pan więc, mój bezcenny Jakubie Mojsiejewiczu, posługiwać się tytułem generała. A wreszcie, ponieważ ja pozwoliłem sobie nazywać pana Jakubem Mojsiejewiczem, chciałbym, żeby pan łaskawie mówił do mnie *per* Matwiej Matwiejowicz.

— Ależ, towarzyszu generale, nikt pana tak nie nazywa!

— Mój drogocenny Jakubie Mojsiejewiczu, otaczający nas towarzysze są bardzo użyteczni, użyteczność ich godna jest szacunku, ale ani oni nie mają nic do powiedzenia Matwiejowi Matwiejewiczowi, ani Matwiej Matwiejewicz im. Dlatego też niechaj mnie nazywają jak im pan Bóg każe, a ja na to pluję. Jeśli by ktoś mi powiedział: chodź tu, Jasiu-głuptasiu, to poszedłbym, gdybym miał ochotę pójść. Czy słyszał pan o Einsteinie? Proszę się nie niepokoić, nie chcę go aresztować — dodał z gryzącą ironią, zaraz zresztą zduszoną.

— Tak, Matwieju Matwiejewiczu, słyszałem o Albercie Einsteinie. Nie jest jeszcze pewne, czyjego nauka pozostaje w zgodzie z podstawowymi aksjomatami marksizmu-leninizmu.

— Proszę się nie niepokoić. Będzie pozostawała w zgodzie. Zrobi się co trzeba. No więc, Jakubie Mojsiejewiczu, mój szmaragdowy. Czym Einstein jest w fizyce, ja i parę innych osób jesteśmy w strategii. Osoby te składają się na radę, areopag, którego członkiem, jeśli Bóg pozwoli, stanie się i pan pewnego dnia. My odkryliśmy względność sztuki wojennej. Sun Tsu mówi: najwyższe wyrafinowanie sztuki wojennej polega na pokrzyżowaniu planów wroga... Tyle tylko, że Sun Tsu nie dysponował środkami odpowiednimi do jego geniuszu.

Pitman odważył się spytać:

— Dlaczego?

— Dlatego, mój srebrny Jakubie Mojsiejewiczu, że towarzysz Sun Tsu poszedł do nieba około dwa i pół tysiąca lat temu. No więc... — Abdurachmanow posługiwał się dawną, przeciągłą wymową tych słówek, uznaną obecnie za przesadnie kurtuazyjną — ...my posiadamy odpowiednie środki. Możemy pokrzyżować nie tylko sztabowe plany wroga, co nie byłoby niczym nadzwyczajnym, lecz także wszystkie jego projekty, wszelkiej natury, od stopy urodzeń do literatury, od seksu do religii. Oby Bóg pozwolił, abyśmy potrafili wykorzystać te fantastyczne środki.

Nagle Abdulrachmanow podniósł się, a raczej wzniosł się. To nie był już człowiek, to była wieża. Przerastał wszystko. Powtórzył tonem, który byłby odpowiedniejszy w kościelnym chórze:

— Nim zdążyłem zwilżyć krwią ostrze noża, wróg się pod dał. Czyż zna pan coś równie skutecznego i eleganckiego? Aha, załatwmy pewien drobiazg. Wiem o panu wszystko. Gdyby pozwolono panu działać, prawdopodobnie nie wystraszyłby pan tego starego osła, który ryczałby w tej chwili na Łubiance. Wszystkiemu jest winien ten sukinsyn, co to koniecznie chciał zamoczyć ostrze noża w krwi. Pokażę mu, gdzie raki zimują! A jeśli pan ma trochę zbyt delikatny żołądek...

Pitman chciał się wytłumaczyć:

— Z mojej strony to właściwie nie była litość. Tylko ta broda na chodniku. Ta nędzna broda...

— Na panu robi wrażenie broda, na kimś innym coś innego. To bez znaczenia. Gdyby mierzyć wartość człowieka odpornością jego przewodu pokarmowego, Henryk IV nie zostałby nigdy królem Francji. To ja rekrutuję ludzi. Widziałem pańskie notatki. Mój wybór padł na pana.

Było coś przerażająco drapieżnego w tym słowie: wybór. Abdulrachmanow stał wyprostowany, jego dziwnie małe dłonie leżały na blacie biurka. Przypominał pterodaktyla gotowego do ataku na swą ofiarę.

— Czuję się zaszczycony, Matwieju Matwiejewiczu.

— Jest pan w błędzie. Czyż to pana zasługa, że ma pan brązowe włosy albo że jest pan krótkowidzem? Posiada pan właściwości potrzebne mi w pewnej miksturze, którą właśnie przygotowuję. Innych panu brak; tym lepiej, bo się wzajemnie wykluczają. Proszę się zastanowić, mój diamentowy Jakubie Mojsiejewiczu. Czy mogę liczyć, że wśród zatrudnionych u nas ludzi znajdę posiadaczy cechy, która jest dla mnie nieodzowna: umiejętności wczuwania się w innych? Odwaga, tak, oddanie sprawie i spryt, i okrucieństwo — te cechy można znaleźć u naszych

towarzyszy, ale zdolność do wejścia w cudze położenie, wdarcia się w cudzą świadomość, a nawet podświadomość, tak jakby się wskakiwało za kierownicę jakiegoś pojazdu? Proszę zobaczyć.

Abdulrachmanow obszedł swoje biurko, wziął Pitmana za rękę jak dziecko i zaprowadził przed drewnianą tablicę wiszącą na ścianie. Widniał na niej następujący tekst, ułożony z fantazyjnych, stylizowanych na Daleki Wschód liter, wygrawerowanych scyzorykiem:

1. — Poddawaj w wątpliwość dobro.
2. — Kompromituj przywódców.
3. — Wstrząśnij ich wiarą, niech gardzą.
4. — Posługuj się ludźmi złymi.
5. — Dezorganizuj działalność władz.
6. — Siej niezgodę między obywatelami.
7. — Podżegaj młodych przeciwko starym.
8. — Drwij z tradycji.
9. — Zakłócaj aprowizację.
10. — Rozpowszechniaj zmysłową muzykę.
11. — Sprzyjaj rozwiązłości.
12. — Nie żałuj pieniędzy.
13. — Zbieraj informacje.

— Oto — powiedział Abdulrachmanow, który nie krył swego zadowolenia — trzynaście przykazań, znalezionych u Sun Tsu. Zabawiłem się wpisując je w to twarde drewno oliwki i zarazem we własną pamięć.

Pitman przyjrzał się człowiekowi, który zdawał się sam tworzyć obowiązujące go ustawodawstwo. Ze swą skórą śniadą i matową, głową przypominającą wycelowany w niebo mózdzierz, rękami czerkieskiej księżniczki, ogromnymi wsrubowanymi w posadzkę stopami, ze swym orientalnym imieniem, wymową z ubiegłego stulecia, Abdulrachmanow przybrał dlań postać symbolicznego skrótu Związku Radzieckiego, lub raczej — kto mówi

o związku, powoduje niezgodę — tego, co jeszcze do niedawna było Cesarstwem Rosyjskim.

— Ci, co wyćwiczyli się w kunszcie wojennym, biorą do nie woli armię przeciwnika bez walki — ciągnął Abdurachmanow. — Zdobywają miasta nie oblegając ich wcale i błyskawicznie opanowują całe kraje. Cóż za finezja! Ileż w tym wdzięku! Rzecz jasna, nasi zawodowcy, nasze zabijaki nie dostrzegają wzniosłości tego ideału. Przeciwnie, wolą bić się, napadać i prowadzić długie operacje wojenne, częściowo po to, żeby nabierać medali i awansów, a częściowo dla czystej przyjemności. My jednak, złoty mój Jakubie Mojsiejewiczu, nie jesteśmy tu dla przyjemności. Jesteśmy tu po to, by wystrychnąć wszystkich na dudka. W tym właśnie sęk, jak mawiał Szekspir, albo też, jak mówi się u nas, tu jest pies pogrzebany. Więc jak, czy to pana interesuje?

Nie czekając na odpowiedź mówił dalej:

— Zajęty jestem tworzeniem w pierwszej dyrekcji departamentu «D». Szukam przedstawiciela na Francję. Nasze metody są dosyć ezoteryczne, ale opanuje je pan bez kłopotu. Jak najszybciej obsypimy pańskie epoety gwiazdkami, żeby zrobić wrażenie na głupcach. Pan jest młody i na początku i pan będzie pod wrażeniem swego awansu. Proszę się nie dać zwieść. Gwiazdki to środki do celu, a nie cel, oto czego nie potrafią zrozumieć nasi wojownicy. Marzą, by zakrwawić ostrza swych noży i za to dostać gwiazdki. Lecz Sun Tsu powtarza: podczas wojny najlepsze co się może zdarzyć, to opanować kraj nieprzyjacielski nietknięty przez zniszczenia; unicestwienie go to ostateczność. Oto właśnie metoda naszego postępowania we Francji, mój rubinowy Jakubie Mojsiejewiczu. Zgarniemy ją nietkniętą.

W tydzień po tej rozmowie Jakub pisał do swej narzeczonej: „Moja słodziutka Eliczko, spotkałem ostatnio człowieka zupełnie niezwyklego. To Karol Marks i Dziadek Mróz w jednej osobie. Wiedz, że ten żart nie ma nic wspólnego z brakiem szacunku. Przeciwnie. Ten ktoś wprowadzi mnie w techniki, o których nie

wolno mi nic powiedzieć, nawet tobie. Techniki te pozwalają uszczęśliwiać ludzi bez zadawania im bólu. A teraz najważniejsze: zostałem mianowany kapitanem i będziemy mogli się pobrać, jak tylko dostanę zezwolenie. Mam nadzieję, że wkrótce będę je miał. Napisz, że i ty na to czekasz, mój chytrusku”.

Przeniesiony do departamentu «D», i to z promocją, Pitman znowu ścisnął dłonie wszystkich kolegów. Ponieważ z natury był dobroduszny, wybaczył im ich zachowanie, lecz nie widywał się z nimi. Coraz bardziej pochłaniała go wyjątkowa misja, jaką mu powierzono. Misja ta, nie tyle przez swą tajemniczość, ile przez to, co w niej było trudne do wyjaśnienia, skazywała go na coraz głębszą samotność. Zresztą nie zdawał sobie nawet sprawy ze swego osamotnienia, tak bardzo cieszyły go względy, jakie od pierwszego dnia okazywał mu Matwiej Matwiejewicz. Niezależnie od więzi natury czysto profesjonalnej, nawiązała się między nimi przyjaźń, mająca przetrwać lata, przyjaźń, którą wzbogacała jeszcze dzieląca ich różnica wieku.

Generał-major Abdulrachmanow — wreszcie przyznał się, jaka w istocie przysługiwała mu ranga — interesował się, pośród tysiąca innych rzeczy, „powracającymi”. Przejrzawszy w telegraficznym tempie ich teczki, położył palec na aktach Dymitra Aleksandrowicza Psara:

— Przyjrzymy się synowi. Zda mi pan dokładne sprawozdanie.

Po miesiącu Pitman złożył raport. Młody Psar, szesnastolatek, był chłopcem inteligentnym, zadufanym, zamkniętym, interesował się literaturą, mówił doskonale po rosyjsku. Swym politycznym wychowawcom nie okazywał wrogości, ale nudziły go najwidoczniej prowadzone przez nich zajęcia. Zapytany, dlaczego zwrócił się o przyznanie mu sowieckiego obywatelstwa w tym samym czasie co jego ojciec, odpowiedział: chcę wrócić.

Abdulrachmanow zażądał zdjęcia, po czym wykrzyknął natychmiast:

— Jest piękny, będzie wspaniały!

Pitman nie przywiązywał wagi do urody kobiecej, męska jeszcze mniej go obchodziła. Zresztą, cóż może łączyć miłą powierzchowność ze względnością sztuki wojennej? Ukrył jednak swoje zaskoczenie.

— No więc — Abdurachmanow przesunął się w swym fotelu, trzeszczącym pod jego ciężarem — jakie jest pańskie zdanie?

— Jeśli chce pan z niego zrobić *agent d'influence*, Matwieju Matwiejewiczu, to nic z tego, on się nie nadaje.

— Czemu?

— Ponieważ, jak pan sam powiedział, szuka pan ludzi „promieniujących”. Ten nie promieniuje. A jeśli to do wewnątrz. W ukryciu.

— Wystarczy przestawić kurek jednym kopniakiem.

— Kurek?

— Już ja wiem, o co chodzi. Proszę, niech pan mówi dalej.

— Jakby to ująć? On nie jest i nigdy nie będzie „czerwony”. Zgodnie z zaleceniami naszego *Vademecum* próbowałem otoczyć go wpływem ideologii. Wie pan, co zrobił? Nauczył się na pamięć podstawowych rozdziałów *Kapitału*. Na pamięć. Co za bezczelność!

— Złoty mój Jakubie Mojsiejewiczu, cóż to za przyjemność obcować z człowiekiem o pańskiej inteligencji! A jednak chciałbym, żeby pan nie rezygnował. Proszę przeczytać jeszcze raz strony poświęcone zdobywaniu nowych dusz. Niech ten chłopak zostanie pańskim przyjacielem, albo raczej: pan niech będzie jego przyjacielem. Niech mu pan pochlebia, tak żeby zapomniał o czujności. I niech pan pamięta, że nie wolno głaskać kota pod włos.

Pitman potrzebował trochę czasu, by „ująć zagadnienie na płaszczyźnie ludzkiej” (był to termin techniczny), i musiał w tym celu prowadzić chłopca do kina, na filmy niesowieckie, zapraszać go do kawiarni, gdzie nie upijał go, tylko rozmawiał z nim o Rosji, i wcale nie o marksizmie; określał to jako „czyszczenie do

połysku syndromu brzoź”. Przyniosło to jednak owoce w postaci zwierzeń chłopca.

Do swego ojca Aleksander odnosił się z patetyczną mieszaniną podziwu i pogardy. Braku matki nie odczuwał specjalnie. Nienawidził Francji, tego „drobnomieszczańskiego narodu”. Pisał wiersze i próbował swych sił w prozie. Wreszcie pokazał Pitmanowi niektóre z tych tekstów, wyznając, że marzy o tym, by zostać wielkim pisarzem. Jeśli zaś idzie o sławetny „powrót”, mówił o nim jak o czymś świętym i wymarzonym, zdawał się jednak rozumieć lepiej niż jego ojciec, że wprowadzenie tej nadziei w życie jest czymś odległym i niezupełnie pewnym.

Abdulrachmanow przeczytał *Pory roku* i *Opowieści wuja Stepana*.

— Jego proza jest doskonała, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że pisana jest przez chłopca, który urodził się za granicą. Wiersze mniej mi się podobają. Jakubie Mojsiejewiczu, niech pan zrobi ankietę w jego otoczeniu.

Pitman dziwił się, że jego szef uparł się, by coś osiągnąć w przypadku tego suchego i skreconego drzewka, lecz ankietę przeprowadził.

Ramię departamentu sięgało daleko. W zasadzie nie wolno było korzystać bezpośrednio z wpływów „korporacji”, tym razem jednak sięgnięto wysoko i dzięki temu młody Georges Puch przyjął pewnego dnia nieznanego mu pana, „przyjaciela ojca”, i odpowiedział na pytanie dotyczące jednego z jego kolegów, pewnego białego Rosjanina.

— Ach, proszę pana, ten Rusek jest nieznośny. Zawsze prawie na pierwszym miejscu. Nie wszędzie jest prymusem, ale niewiele brakuje.

— Nie przepadasz za nim, co?

— Nic się nie da powiedzieć, jest w porządku, nie jest szpiclem. Ale w końcu ma się trochę dość, zawsze na pierwszym miejscu Psar. Oczywiście, nazywa się go carem albo ojczulkiem.

- Dajecie mu w kość, co?
- No, trochę trzeba uważać.
- Dlaczego?
- On nie bije się często, ale jak raz zacznie, to nie żartuje.

Tylko Coroller jest od niego silniejszy, ale to mięczak.

Na podobne pytania odpowiadał też nauczyciel francuskiego, komunista, mały, suchy zrzęda, noszący czarny, ciasno związany krawat.

- Proszę mi opisać pańskich uczniów.
- Których?
- Wszystkich. Czy ktoś zapowiada się na wybitniejszą postać?

Profesor mówił długo. Pochlebiało mu, że zwrócono się właśnie do niego.

- To wszystko?
- Jeszcze jest prymus, ale to biały Rosjanin. Wierzy w Pana Boga i tak dalej.
- Inteligentny?
- Tak, ale zamknięty w sobie. Zaryglowany. Żyje w przeszłości.

Rezultaty rozmów Pitman przedstawił Abdurachmanowi.

— Cóż to za stary osioł! Chociaż nie, jedna jego uwaga jest niezła. Trzeba więc naprowadzić naszego pupilka na rozmowę o Bogu. I jeszcze coś. Pan ma narzeczoną, prawda? Jak ona się nazywa?

- Elektryfikacja Baum.
- Oczywiście: „Władza dla bolszewików i elektryfikacja wsi”. Jak pan do niej mówi? Elektra?
- Eliczka, Matwieju Matwiejewiczu.
- Eliczka? To urocze. Proszę, niech pan opowie o Eliczce naszemu chłopcu. Proszę o to tak, jak się prosi o osobistą przysługę. I niech pan jak najczęściej rozmawia z nim o jego ojcu, trzeba, żeby rana nie zagoiła się. Pewnego dnia niech go pan zapyta, czy nie zechciałby dla nas pracować i w jakim charakterze.

Pitman mówił o Bogu, na co Aleksander odpowiedział:

- Poróżniliśmy się.
- Ale wierzy pan w jego istnienie?
- Ach, nie, to by go zanadto ucieszyło.

Pitman wspomniał o Dymitrze Aleksandrowiczu:

— Oficer pokładowy, zarabiający na życie szorowaniem podłogi — powiedział sentencjonalnie Aleksander — to zjawisko czysto patologiczne. Z drugiej strony, świadczy to o indolencji Francuzów. Przypadł im w udziale kapitał ludzki wykraczający poza przeciętność, i oto co z nim zrobili.

Pitman zaczął się wywnętrzać: jest zakochany, ożeni się wkrótce, będzie miał wiele dzieci. Aleksander przyjął to ironicznie. Nie sądził, by ktoś poza nim był na tyle subtelny, żeby zrozumieć, czym jest miłość.

— Zgłosił pan chęć powrotu. Ale rozumie pan, prawda, że nasza ojczyzna może pana potrzebować tu na miejscu. Czy zdaje pan sobie sprawę, o jaki rodzaj działalności chodziłoby?

Aleksander odrzekł na to, bez entuzjazmu:

— Mniej więcej wyobrażam sobie.

Niedługo potem w tajemniczy sposób opuścił ambasadę Abdulrachmanow, nie uprzedzając nikogo o wyjeździe. Pitman niepokoił się. Na ogół KGB, zwane przez bardziej wykształconych swych pracowników *patria nostra*, opiekowało się „swoimi”, nawet wbrew woli partii. Nie zawsze się to udawało i zdarzało się, że czekiści wysokiej rangi tracili nagle stanowisko i, nie wiadomo z jakiego powodu, znikali raz na zawsze. Wkrótce jednak pisany ręcznie list pocieszył skłonnego do niepokoju Jakuba. Jego ortografia była nowoczesna, reakcyjne znaki nie pojawiały się wcale, lecz charakter pisma, cechujący się wysokimi, lekko pochylonymi i starannie połączonymi literami, tak czytelnymi, jakby to był druk, mógł równie dobrze wyjść spod ręki carskiego dygnitarza:

Drogi mój Jakubie Mojsiejewiczu, stało się to, co było nieuniknione, zająłem miejsce pośród areopagu tych, których

oficjalnie nazywa się „ Teoretykami „. Nieoficjalnie zaś nasi młodzi towarzysze, figlarni jak zawsze, nadają nam inną nazwę, wziętą z bajek ruskich, gdzie często nakrycie głowy ofiarowuje bohaterowi niewidzialność. Nadają nam więc przydomek „ czapki-niewidki „. Od tej chwili ma pan przyjaciela w tym niewidocznym gronie.

Niestety, wzięty z bajki przydomek jest dosyć trafny: wiemy o tylu rzeczach minionych, bieżących i przyszłych, że nie wolno nam już opuszczać terytorium kraju. Tak więc ten ogromny zaszczyt odbierze mi przyjemność widywania pana tak często, jakbym sobie tego życzył. Trzeba będzie, żeby pan przyszedł do „Mahometa”, skoro „Mahomet” nie będzie mógł pofatygować się do pana. Korzystam z okazji, by wyznać panu, z wysokości postumentu, na którym się odtąd znajduję, że prawdziwy mój patroni-mik brzmi Mohamed Mohamedowicz. Jeżeli używałem innych, to dlatego, by nie niepokoić tych, co sądzą, że dobrym bolszewikiem może być tylko zły chrześcijanin.

Teraz zajmijmy się panem. Nadszedł czas, by odbył pan staż jako „agent d 'influence” . Chodzi o praktyczne zastosowanie zdobytej przez pana wiedzy. Pozwoli to panu spokojnie i bez żadnych wahań wejść na wyższe piętra pańskiej kariery. Proszę też o przygotowanie dla mnie listy około piętnastu kandydatów, spośród których wybierze się „agents d'influence”, działających na różnych stanowiskach we Francji. Zatrzymamy nie więcej niż sześciu, siedmiu i skierujemy ich tam, gdzie będą najbardziej przydatni. W zasadzie należy unikać kandydatów pochodzenia rosyjskiego, z wyjątkiem Psara, którego włączy pan do tej piętnastki. Przeczuwam w nim ogromne możliwości.

Na zakończenie stażu dostanie pan oczywiście urlop i proponuję, żeby go pan spędził tutaj. Dzięki temu ja nacieszę się pańskim towarzystwem, a pan będzie mógł poślubić uroczą Eliczkę i sprowadzić ją do Francji, co Pana uchroni przed bieganiami na panienki i przed niepożądanym wpływem jakiejś grasejującej Maty Hari.

Przed departamentem «D» otwierała się wspaniała przyszłość. Po dziesięciu latach miał się przekształcić w zupełnie niezależny oddział, co przydałoby członkom areopagu znaczenia, które tajność ich działań mogła tylko uwydatnić. Już teraz wyrażał ponad szare masy pracowników KGB. Tylko ukryte przejście łączyło niebieski pałac książąt Roztopczynów z bliźniaczymi budynkami placu Dzierżyńskiego: w jednym mieściło się niegdyś przedrewolucyjne towarzystwo ubezpieczeniowe — za nim ukrywało się więzienie zwane Łubianką — drugi natomiast dokończyli niemieccy jeńcy wojenni, tak aby można tu było pomieścić dyrekcję instytucji zatrudniającej kilkaset tysięcy pracowników.

Pośród gzymsów i złocień, kinkietów i fryzów zdobiących pałac Roztopczynów, generał-major Abdulrachmanow zdawał się być w swoim żywiole. Tylko wszechobecny portret bezbożnego mnicha wiszący w gabinecie świadczył o pewnym ustępstwie na rzecz innych lokatorów tego gmachu. Ogromne, płaskie policzki, usta w kształcie serduszka, kryjące zapewne zaciśnięte mocno zęby, obfity wąs, bródka zmarszczona jak ścierka kuchenna, ciężkie powieki, które zdawały się miażdżyć gałki oczne: spojrzenie wciąż jeszcze hipnotyzowało świat, w dwadzieścia pięć lat po śmierci tego mężczyzny. (W taki sam sposób dociera do nas światło od dawna wygasłych gwiazd.) Połączana tabliczka wyliczała cnoty Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego: „Postrach burżuazji, wierny rycerz proletariatu, szlachetny bojownik komunistycznej rewolucji”. Naprzeciw portretu znajdowała się tablica z oliwkowego drewna, pokryta przykazaniami Sun Tsu.

— Moje dziecko, cieszę się, że pana widzę — powiedział Abdulrachmanow. — Przygotowałem parę drobiazgów dla Eliczki, to mój prezent ślubny.

Analiza francuskich kandydatur zajęła prawie cały miesiąc, co bardzo szczęśliwie przedłużyło urlop Pitmana. Trzeba było obsadzić kilka stanowisk: przyszłego deputowanego, przyszłego biskupa, niekomunistycznego związkowca, reżysera filmowego,

dziennikarza i absolwenta Wyższej Szkoły Administracji. Pewnego razu, późnym popołudniem, gdy wszystkie decyzje personalne zostały już podjęte, Mohamed Mohamedowicz Abdulrachmanow kazał przynieść herbaty i wrócił do sprawy Aleksandra Psara.

Miasto przykryte było śniegiem i w świetle latarní ulicznych migotało, pełne dziwnych fioletowych cieni i refleksów. Szklanki z herbatą, osadzone w srebrnych koszyczkach, parowały przyjemnie. Pitman z radością myślał o chwili, kiedy znajdzie się na mroźnej ulicy, chłód będzie go szczypał w twarz, a on jak licealista pobiegnie galopem, by schronić się w zacisznym, przegrzanym mieszkaniu Baumów.

Abdulrachmanow krążył ciężko po gabinecie, jak statua Komandora. Jego monumentalne stopy miażdżyły ozdobione wielobokami dywany.

— Wie pan, że wszystkie te dywany pochodzą z mojego kraju? Ten na przykład to niebieska buchara... Jakubie Mojsiejewiczu — zaplótł dłonie na plecach — przeczytałem pański raport poświęcony Psarowi. Całkowicie zgadzam się z pańskimi wnioskami, tyle tylko że jestem przeciwnego zdania. Tak, jeśli przyjąć filozofię mojego *Vademecum*, racja jest po pana stronie. Ale, wie pan, trzeba też umieć, i mam nadzieję, że nauczy się pan tego w przyszłości, sprzeniewierzać się *Vademecum*.

Jest pan młodym oficerem, którego trawi nie tylko ambicja, ale przede wszystkim chęć służenia. Musi to też wywołać u pana pewne lęki. Chciałbym pana od nich uwolnić. Przepowiadam panu, że pańska kariera w departamencie powiedzie się, że pewnego dnia stanie się pan Czapką Niewidką i dzięki temu w pańskich rękach będą się ważyły problemy polityki naszego kraju, to znaczy przyszłość świata. Proszę wziąć pod uwagę, że jestem starą wróżką albo też astrologiem w spiczastym kapeluszu. Jak tylko ogarną pana wątpliwości, proszę sobie przypomnieć moją przepowiednię. Musi pan też jedną rzecz zakarbować sobie raz na zawsze: ma pan pewną straszliwą wadę, Jakubie Mojsiejewiczu.

- Jaką wadę, towarzyszu generale?
- Nie rozumuje pan swobodnie. Gdy w grę wchodzi kopiejski, pan zaraz myśli o rublach. Pomaga pan sobie palcami tam, gdzie wystarczyłaby siła ciężenia.

Wybrałem pana, ponieważ, jako początkujący, nie zdołał pan jeszcze wyzbyć się współczucia oraz poczucia humoru. W naszej ogromnej organizacji tylko nam, pracownikom naszego departamentu, wolno zachować litość i poczucie humoru. Są dla nas czymś niezbędnym. Zresztą pozwala nam się zachować właśnie dlatego, że są niezbędne w naszej pracy. Bez współczucia, które prowadzi do zrozumienia innych, byłibyśmy niczym. Natomiast bez poczucia humoru, które prowadzi do zrozumienia samego siebie, chcielibyśmy być wszystkim. Niechże pan, Jakubie Mojsiejewiczu, dba o swoją litość i swe poczucie humoru, niech pan nie traci dystansu. Koledzy pana lepiej zrobią trzymając nos w książce, my jednak potrzebujemy odrobiny dystansu, wielkoduszności. My musimy oddychać głęboko.

Przedstawia mi pan liczący trzydzieści stron raport poświęcony Psarowi, i raport ten prowadzi do takich samych wniosków jak te, z którymi wystąpił pan na samym początku. Jeśli się to bierze z zaślepienia, no to trudno, wszyscy popełniamy błędy. Jeśli jednak boi się pan zaprzeczyć samemu sobie... Powtarza pan, że to żaden komunista, że nie czuje pan w nim promieniotwórczości, zdolności wpływania na innych.

Tymczasem on jest piękny, bo w niższych rejestrach naszego rzemiosła (nas to na szczęście nie dotyczy, my fruujemy zbyt wysoko) uroda fizyczna jest czymś nieocenionym. Dalej; widziałem go kiedyś, poszedłem go zobaczyć w trakcie jednego z wieczornych wykładów. Poczułem w nim wielką siłę, tyle że uwięzioną. Pamięta pan tę bajkę, w której olbrzym zamyka swą własną śmierć w worku i rzucają do morza, by stać się niezwykłym? Wystarczy zanurkować i uwolnić biedaczkę, Kościec jest zgubiony. Z Psarem jest na odwrót: to jego życie spoczywa

na dnie morza. Nakazuję panu wydobyć je stamtąd i uczynić z niego słońce.

Na początek niech go pan podda egzaminowi ze zdolności wpływania na innych. Powierzy mu pan do wykonania jakąś niewielką i ściśle określoną misję, na terenie liceum czy nawet jego klasy. Jeżeli zawiedzie (ale nie chce mi się w to wierzyć), zrezygnuję z moich zamiarów wobec niego. Niech ta misja nie ma charakteru politycznego, w żadnym zaś razie marksistowskiego. Zależy mi na Psarze, gdyż na dłuższą metę jego pochodzenie będzie mu zjednywało zaufanie ludzi Zachodu. Zależy mi więc na nim właśnie dlatego, że nie jest, jak pan spostrzegł, prawdziwym „czerwonym”. Dla roli, jaką mu wyznaczam, prawdziwy komunista byłby o wiele mniej przydatny.

I właśnie w tej domenie, co prawda delikatnej, chętnie przyznaję, mój srebrny Jakubie Mojsiejewiczu, popełnił pan błąd. *Vademecum* kładzie na to nacisk: wpływ wywiera się zawsze dzięki działalności pośredników. Wyłącznie pewnego rodzaju gra punktów oparcia sprawia, że strzała-opinia trafia w target-społeczeństwo. Przecież my nie zajmujemy się propagandą! Propaganda jest czymś niezbędnym, lecz tak prymitywnym, że umysł naszego pokroju nie byłby w stanie jej się poświęcić. Powinniśmy właśnie wykorzystać rezerwę Psara, a nie chcieć zjednać go całkiem dla nas. Wyłania się tylko jedno pytanie, mianowicie czy będzie nam wiernie służył. Musimy więc zbadać motywy sprawiające, że gotów byłby przyjąć rolę, jaką mu proponujemy. Świadomie mówię o roli, nawet w sensie teatralnym.

W tym właśnie punkcie pański raport przynosi odpowiedź pozytywną. Z jednej strony młody Psar aż kipi od pragnienia siły, mocy, i to sprawia, że chętnie będzie służył tym, których uważa za ludzi z przyszłością, do których należy jutro, to jest nam właśnie. Po drugie, marzy o „powrocie”. Cóż, myślę, że te dwie pobudki w duszy tak pełnej siły jak jego mogą się stać wystarczająco silnymi sprężynami misji, którą mu wyznaczam.

Zresztą *agent d'influence* w gruncie rzeczy nie ma do spełnienia zadania przerastającego ludzkie siły. Nie zagrażają mu bezpośrednio niebezpieczeństwa, operuje, że tak powiem, na wolnym powietrzu, nie ukrywa się, pokazuje się publicznie, nie ryzykuje ani tortur, ani śmierci. Przeciw komu będzie się zwracała praca młodego Psara? Przeciw Francuzom, których nienawidzi. Dlaczego ich nienawidzi? Ponieważ byli świadkami, jeśli nie sprawcami, upadku jego ojca, ponieważ jego samego źle traktują, szydzą z niego, ponieważ zawiedli nadzieje, jakie w nich pokładali emigranci, ponieważ dali się pokonać Niemcom. Psar, jestem przekonany, należy do ludzi bardzo pobudliwych, nie może nie gardzić tymi, z którymi spotyka się na co dzień i których nie potrafi podziwiać. Pan się obawia, że nie będzie wystarczająco solidarny, jako że my jesteśmy w jego oczach wrogiem klasowym. Ale przynajmniej jesteśmy Rosjanami, podczas gdy otaczający go *bourgeois* są także jego wrogami klasowymi, w dodatku Francuzami.

Myśli pan zapewne, że podejmuję zbyt wielkie ryzyko, że bawi mnie ten karkołomny pomysł, by zatrudnić kogoś, kto pochodzi z rodziny naszych dziedzicznych wrogów. Być może. Ale bez takich przyjemności nasze zajęcia byłyby równie monotonne jak wszystkie pozostałe. Nie mówiąc już o tym, że przygotowuję dla niego pewną drobną niespodziankę, dla naszego arystokraty, który raczy nieco pobrudzić sobie ręce w naszym towarzystwie, byle tylko załatwić swoje osobiste porachunki. Oczywiście, będziemy go utrzymywali w przekonaniu, że będzie mógł wrócić kiedy tylko zechce i na powitanie rozłoży się przed Dobrze Urodzoną Jego Wysokością czerwony chodnik. Nie, będzie inaczej. Gdy już wykorzystamy go całkowicie, rzucimy go jak zmiętą szmatkę na kolana Francji. Jeśli ośmieli się opowiadać, że ponoć służył nam jako agent, nie zrobi to na nas najmniejszego wrażenia. Nasze techniki będą już wtedy szeroko stosowane przez naszych specjalistów, i to w taki sposób, że opinia publiczna zostanie bez trudu wprowadzona w błąd. Myśli pan, że to zbyt piękne,

żeby było prawdziwe? Proszę, niech pan spojrzy, jak sobie poczyna książkę tego świata. Nigdy jeszcze nie wiodło mu się tak dobrze jak teraz, gdy udaje, że wcale go nie ma. A nawet gdybym się miał pomylić: założmy, że Psar opublikuje pamiętnik i oświadczy, że oto przez trzydzieści lat manipulowaliśmy francuską opinią publiczną. Przecież to tylko wzmoże panikę, jaka będzie się szerzyła na Zachodzie przed nadejściem roku dwutysięcznego. Nie, Jakubie Mojsiejewiczu, niczego nie musimy się obawiać ze strony Psara. Trzeba tylko powziąć stosowne środki ostrożności, by nie porzucił nas w trakcie jazdy. Proszę to sobie dobrze zakarbować.

Zaraz po powrocie do Francji Pitman z właściwą sobie rzetelnością przeprowadził test badający oddziaływanie Psara na innych.

Postanowił urządzić trzy próby. Na początek zażądał od Aleksandra, by zrezygnował ze swej pozycji prymusa: „Niech pan będzie w piątce najlepszych, ale nie na samym czeluście”. Efekt będzie podwójny. Koledzy przestaną mieć mu za złe jego wyczyny, a poza tym wykaże, iż jest zdolny do tego rodzaju pomniejszenia samego siebie (teolodzy mówią w takim wypadku o *kenosis*). Agent wywiadu musi być zdolny do takich wyrzeczeń. Pitman orientował się, jak trudne to będzie dla Aleksandra. Pierwsze miejsce w klasie zastępowało mu prawie wszystko inne, wakacje, wysokie kieszonkowe, snobistyczne kluby, dziewczęta — zwykłe symbole prestiżu dorastającego chłopca. Nie tylko to: w grę wchodziły i inne wrażliwe punkty. Aleksandrowi będzie się zdawało, że zdradza swój kraj ojczysty, którego ambasadorem w czasie i w przestrzeni czuł się jeszcze. Wreszcie nasuwało się pytanie, jak zniesie pewną degradację nazwiska, które było dla niego czymś cennym? Pitman odgadywał te niepokoje i umiał je zrównoważyć romantyczną aurą przedsięwzięcia.

— Właśnie w ten sposób — mówił — zostaje się panem, tak

poznaje się rzemiosło pana, by zacytować Niemców. Można też być panem ukrytym, zamaskowanym.

Przytoczył myśl Sun Tsu, który i dla niego stał się mistrzem: „Podstawą wszelkiej sztuki wojennej jest fortel”. Powołał się na to, że narzucając sobie tego rodzaju autodyscyplinę Aleksander zacznie już swą służbę; jego ojciec, wtajemniczony, nie będzie mógł nic mu zarzucić, wreszcie każda inicjacja łączy się z przejściem trudnej próby, nawet szykan, w tym zaś wypadku cena, jaką trzeba będzie zapłacić, będzie miała w sobie coś eleganckiego, gdyż pozostanie w tajemnicy.

— Trzeba będzie znieść ich przechwałki — mówił rozmarzony Aleksander. — Będą szczęśliwi, bo nie będą im mógł nic odpowiedzieć.

— Opowiem panu pewną historyjkę: był sobie raz pewien książę chiński. Nazywał się Mo Tun. Jego sąsiedzi, Hu, chcieli go wy badać i wysłali do niego emisariuszy. Emisariusze powiedzieli tak: „Chcemy kupić konia, który biegnie tysiąc li”. Był to ogier, zupełnie wyjątkowy, przebiegał tysiąc li, to jest pięćset kilometrów, obywając się bez wody i siana. Doradcy księcia oburzyli się, słysząc tę propozycję, lecz Mo Tun odrzekł, iż nie chciałby nikogo obrazić i sprzedał konia, który biegnie tysiąc li. Wtedy Hu zażądali jednej z księżniczek. Doradcy byli oszołomieni: „Domagać się księżniczki! Błagamy cię, panie, wypowiedz wojnę tym zuchwalcom”. Książę powiedział jednak: „Nie odmawia się ręki młodej kobiety swojemu sąsiadowi”, i posłał księżniczkę. Hu, coraz bardziej ośmieleni przez to, co brali za oznaki słabości, zażądali wówczas pewnej części terytorium: „W waszym posiadaniu znajduje się tysiąc li ziemi. Chcemy mieć tę ziemię”. Mo Tun znów zebrał swych ministrów. Niektórzy radzili, by był nieustępliwy, inni zaś chcieli mu się przypodobać i sugerowali, żeby oddał tę ziemię. Książę najpierw kazał ściąć pochlebców, potem skoczył w siodło, zwołał swe wojska i zmiażdżył Hu, którzy nie byli wcale przygotowani do wojny. Oto w jaki sposób

Mo Tun odzyskał ziemie, które niegdyś należały do jego przodków.

Wbrew własnym oczekiwaniom Aleksander odnalazł pewną przyjemność wprowadzając z rozmysłem błędy do łacińskich tłumaczeń czy równań drugiego stopnia. Jednocześnie na boku zapisywał, dla samego siebie, prawidłową wersję tłumaczenia i poprawne rozwiązanie równania. Jego kontakty z kolegami stały się łatwiejsze. Coraz bardziej też nimi gardził; zaczęły się w nim formować właściwości tajnego agenta.

Drugim testem wymyślonym przez Pitmana była zmiana trybu życia Aleksandra. Miał odtąd zrezygnować ze swej samotności, nauczyć się tańczyć, chodzić na prywatki. Aleksander zareagował na to upokorzony i pełen złości:

— Jak mam iść na prywatkę? Tak jak jestem ubrany?

Wskazał na swój stary garnitur z niebieskiego płótna, na zniszczone buty. Pitman wyjął portfel.

— Nie jest pan moim wujkiem, żebym mógł przyjąć od pana pieniądze.

Pitman uśmiechnął się dobrotliwie:

— Tu nie chodzi o żaden prezent. Podpisze mi pan pokwitowanie.

Aleksander, zadowolony, złożył swój podpis. W ten sposób został oficjalnie wciągnięty na listę współpracowników. Dostał pseudonim „Oprycznik”, chociaż nazywano go tak nie oficjalnie, w departamencie, tylko pośród okazjonalnych informatorów KGB. Dymitr Aleksandrowicz nie mógł już niczego aprobować czy potępiać. Na zmianę pił i trzeźwiał, pozwalał na wszystko.

Młody Psar nigdy nie lubił tańczyć. Nie umiał bawić się tak, żeby zapomnieć o całym świecie. Zapraszano go jednak chętnie. Zainteresowanie, jakiego przedtem odmawiał swym kolegom, a teraz zaczął im okazywać, pochlebiało im. Ich siostry uważały Aleksandra za ładnego chłopca. Rodzicom podobały się jego staroświeckie manieri. W ciągu paru miesięcy nawiązał wiele nowych

znajomości i nawet nauczyciele, którzy zawsze uważali go za ucznia zachowującego wielki dystans i podejrzewali w tym bezczelność, mówili: „Psar się uczyłowiec”.

Wtedy Pitman zaproponował mu trzecią próbę. Był to moment, kiedy głośna była sprawa Rosenbergów. Oskarżeni o przekazanie ZSRR amerykańskich tajemnic związanych z bombą atomową, skazani zostali na karę śmierci, co podzieliło opinię publiczną na dwa zwalczające się obozy. Powstawały stowarzyszenia walczące o ulaskawienie małżeństwa Rosenbergów.

— Co pan myśli o tej sprawie? — pytał Pitman.

— Gdybym był jednym z Rosenbergów, postąpiłbym tak jak oni. Gdybym był prezydentem USA, posłałbym ich na krzesło elektryczne, podobnie jak Golda, Borthmanna, Greenglassa i całą tę szajkę.

— Doskonale. Założy pan w liceum stowarzyszenie, domagające się przykładowego ukarania małżeństwa Rosenbergów.

— Ale... oni pracują dla nas!

— Nie sądzi pan chyba, że petycja kilku francuskich licealistów będzie miała jakikolwiek wpływ na los naszych towarzyszy Ethel i Juliusza Rosenbergów? Korzystne będzie, jeżeli tymczasem wytworzymy wokół pana aurę człowieka prawicy. To się panu później przyda.

Aleksander nazwał swoją organizację „Stowarzyszeniem Walczącym o Ograniczenie Dostępu do Broni Atomowej”. Obawiał się bowiem, że inna nazwa, bardziej bojowa, nie będzie miała szans powodzenia u dorastających chłopców, których chrześcijaństwo, romantyzm i demokracja uczyniły niepoprawnie sentymentalnymi. Tymczasem należało protestować przeciwko proliferacji broni atomowej. Nie dość na tym, że Stany Zjednoczone dysponowały bronią, która mogła zniszczyć świat, brakowało jeszcze tego, żeby inne kraje, o mniej pokojowej przeszłości, także uzyskały do niej dostęp, co mogło prowadzić do powszechnej zagłady. Rosenbergowie, zdradzając sekret tej broni,

ułatwili ekspansjonistycznemu ZSRR osiągnięcie równowagi atomowej. Stworzyli tym samym zagrożenie dla całej ludzkości. Trzeba było przynajmniej dbać o to, by podobna zdrada nie powtórzyła się więcej. Surowa kara mogła podziałać jak straszak.

Argumentacja Aleksandra podobała się tym, co historycznie bali się zagłady atomowej, tym, co chcieli, by Francja stała się wyłącznie mocarstwem w dziedzinie kultury, tym, co kochali Amerykanów, tym, co nienawidzili Rosjan i tym, co lękali się komunistów. Chłopcy o poglądach skrajnie prawicowych nic sobie nie robili z rozprzestrzeniania broni atomowej, natomiast zależało im na tym, żeby załatwić Rosenberga. Psar dał im do zrozumienia, że dzieli ich przekonania, jednak liczba podpisów jest w tym wypadku najważniejsza. Podpisali więc z ironicznym uśmiechem. Może bardziej niż argumentacja liczyła się tu osobowość Aleksandra, jego trzeźwy sposób mówienia:

— Wiecie, że niełatwo mnie poruszyć, no, ale w tym wypadku trzeba naprawdę coś zrobić, w przeciwnym razie niedługo nawet księstwo Monaco będzie miało bombę.

Podobała mu się nowa dla niego rola przywódcy. Stowarzyszenie podjęło uchwałę w sprawie pobierania składek. Aleksander przyniósł tych parę franków do gabinetu swego przełożonego, postępując zgodnie z obyczajem tajnych agentów. Jak bardzo starał się ukryć radość ze swego triumfu i jak jeszcze nie potrafił opanować emocji! Pitman zainkasował pieniądze tak jakby to było zupełnie naturalne i wystosował list do Abdurachmanowa:

Drogi Mohamedzie Mohamedowiczu, jak zwykle racja była po pana stronie. „Oprycznik” przypomina naszego Ilję Muromca. Potrzebuje trochę czasu, by się rozpędzić, potem jednak nic go nie potrafi zatrzymać. Dzwon wyda dźwięk czysty i jasny. Nie jest to jeden z urodzonych przywódców, którzy idą naprzód pchani wewnętrznym impulsem, za to nie zawsze potrafią sprostać odpowiedzialności związanej z nieco lekkomyślnie podjętą przez nich funkcją. „Oprycznik” musi jeszcze przezwyciężyć

pewną arystokratyczną nonszalancję — przypomina mi w tym Oblomowa — być może też nieśmiałość. Lecz dla natury takiej jak on decydujący jest fakt otrzymania misji. W samym akcie spełniania misji znajduje energię działającą jak zapalnik w stosunku do spoczywających w nim w ukryciu mocy.

Abdulrachmanow uśmiechał się, gdy odczytywał, zanurzając wargi w mocnej, pachnącej garbnikiem herbacie, stylizowany, podyktowany i przez zapał, i przez pragnienie przypodobania się zwierzchnikowi, list Pitmana.

„Niechże pan przyjedzie, zobaczymy się znowu. Powinniśmy teraz wyszukać dla mojego protegowanego odpowiednią misję” — odpisał.

Tym razem przywitała go wiosna. Wielkie sople lodu, niektóre skuwające zielone już gałązki, grzechotały wesoło nad Moskwą. Eliczka była szczęśliwa, że znów widzi swych rodziców i siostry. Nawiozła paryskich prezentów dla wszystkich. Jakub Mojsiejewicz, uśmiechnięty, wkraczał do znanego mu już majestatycznego gabinetu.

Generał-major uściśnął majora:

— No więc?

Pitman uwielbiał sposób, w jaki Abdulrachmanow wypowiadał swoje *nno więc*; doznawał skojarzeń z bonzurką, z *ex-libriem*, z kieliszkiem koniaku.

— Wydaje mi się oczywiste, Mohamedzie Mohamedowiczu, że powinniśmy wykorzystać talent literacki Aleksandra. Proszę pomyśleć, wielki pisarz, nikt nie śmie odmawiać mu znaczenia, i atakuje nas systematycznie, ściągając na siebie i na myślących tak jak on odium społeczeństwa. Moglibyśmy wtedy, za jego pośrednictwem, propagować pewne idee. To znaczy on byłby im przeciwny, i to samo wystarczyłoby, żeby uczynić je popularnymi. Reakcyjny i sterowany przez nas pisarz mógłby wyrządzić wiele zła reakcjonistom.

— Nie ma zgody, nie ma zgody — odezwał się grzecznie

Abdulrachmanow, zezując jednocześnie w stronę papierosa, którego wkręcał do cygarniczki. — Nie ma zgody, mój srebrzysty Jakubie Mojsiejewiczu, i to dla trzech powodów. *Primo*, po cóż mamy walczyć z reakcjonistami, skoro oni nie znajdują teraz żadnego posłuchu. *Secundo*, każdy sterowany pisarz traci talent, niech pan spojrzy na naszą literaturę, płakać się chce. *Tertio*: wie pan, co zrobiłem? Zaniósłem przysłane mi przez pana próbki pisarskie towarzyszowi Bernhardtowi. W końcu to specjalista. Czytał je bardzo uważnie. Ja czekałem. Wreszcie zaburczał, jak to jest w jego zwyczaju, jak zatkana trąbka, i oddał mi kartki:

— Jak na siedemnaście lat to jest niezwykle, ale ten chłopak nie będzie nigdy pisarzem.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że nie ma w tym żadnej oryginalności: w prozie naśladuje Gogola, w poezji Tiutczewa. Poza tym pisze po rosyjsku.

— I cóż z tego?

— Ten chłopak żyje w Europie Zachodniej i nie zamierza szybko jej opuścić. Gdzie i jak będzie publikował?

— Wydaje mi się, że on nie myśli na razie o publikacji, tylko doskonali swoje pisarstwo.

— To tylko potwierdza moje przypuszczenia: to nie jest prawdziwy pisarz. Prawdziwy pisarz przede wszystkim interesuje się publikacją swoich prac, dopiero później ich doskonaleniem.

— Czy nie przesadzacie trochę, towarzyszu Bernhardt?

— Jeżeli, to bardzo nieznacznie. Powołaniem urodzonego pisarza jest stać się osobą publiczną. Pisanie jest jego sposobem osiągnięcia tego celu.

— Z tego stanowiska Bernhardt już nie ustąpił — kontynuował Abdulrachmanow — i, biorąc wszystko pod uwagę, myślę, że mógł mieć rację. No bo założmy, że stawiamy na talent Psara, a tu okazuje się, że on go wcale nie ma!

— Co w takim razie z nim zrobić? Przecież nie polityka.

Wszystko, co się wiąże ze zbiorowością, nudzi go śmiertelnie, począwszy od gier zespołowych aż do głosowania powszechnego. Może żołnierz? Ma to we krwi, a mieć swojego generała w armii francuskiej...

— Kto powiedział, że nie mamy? To są jednak agenci penetrujący przeciwnika, a nie kształtujący jego poczynania. Nie będziemy wyręczać dyrekcji «S», niech oni się tym zajmują. Kogo zresztą miałby urabiać swym wpływem generał? Pułkowników, którzy tylko czekają, aż on odejdzie na emeryturę, żeby zająć jego miejsce?

— Może więc dziennikarz?

— Tych mamy już dosyć, mój tombakowy Jakubie Mojsiejewiczu. Nie powinniśmy dopuszczać do tego, żeby nasi *agents d'influence* spotykali się zbyt często. Nie mogliby się wtedy powstrzymać od śmiechu, jak rzymscy wieszczbiarze. Nie, nie to. Ale już wiem, co zrobimy z naszym Psarczykiem, zostanie agentem literackim. Nie wie pan, co to za zwierzę? Ja też do niedawna nie wiedziałem, ale jeden z pańskich kolegów, zajmujących się Ameryką, wyjaśnił mi to.

Agent literacki to ktoś, kto sam nie potrafi nic napisać, za to innych namawia do pisania. Zamawia u innych maszynopisy, poprawia je trochę, by wykazać się swą użytecznością, zanoszą je wydawcom i pobiera procent od honorarium. Zdarza mu się także być naganiaczem pisarzy, zwłaszcza gdy go o to prosi jakiś wydawca. Zawsze inkasuje swój procent od zysku. Oto jak się sprawa ma w Ameryce. My zadbamy o to, żeby zaszczerpić ją także we Francji.

Widzi pan, nie można być geniuszem na zamówienie, ale za to można nakierowywać geniuszy, pobudzać ich, jednym pomagać w rozwoju, tłamsić rozwój innych, inscenizować pogromy krytyczne lub przynajmniej milczenie recenzentów. Inaczej mówiąc, przy pomocy sfory psów myśliwskich osiągnąć można to samo, czego nie jest się w stanie osiągnąć przez własną twórczość.

Niechże pan, mój perłowy Jakubie Mojsiejewiczu, przeczyta raz jeszcze rozdział o Dźwigni w *Vademecum*. Pereł prawdziwych nie potrafimy wydrukować, ale perełki kulturalne, czemu nie? Przekona się pan, że większość współczesnych pisarzy przypomina kolonię sztucznie hodowanych ostryg, nasi autorzy nie będą się więc wyróżniali. Dobrze, postanawiamy więc, że Psar nie będzie pisarzem, lecz zajmie się wylęgiem innych pisarzy.

Proszę mi teraz powiedzieć, jakie są, pańskim zdaniem, niepewne strefy jego osobowości, miejsca kruche, gdzie mogłaby się zrodzić reakcja przeciwko naszym zamiarom, i, w związku z tym, jak z tym walczyć?

— Widzę dwa zagrożenia, Mohamedzie Mohamedowiczu. Po pierwsze służba wojskowa. Jeśli odbędzie ją we Francji, wystarczy że spotka inteligentnego oficera, by zmienił przynależność. Ktoś z jego tradycjami, z jego atawizmem, jeśli atawizmy naprawdę istnieją, nie może całkiem gładko przełykać dzień w dzień własnego odstępstwa. Jeśli Oprycznik poczuje się Francuzem, nie będzie go z nami wiązała żadna lojalność polityczna.

— Będziemy nad nim pracować. Druga rzecz to, jak sądzę, płeć piękna?

— Tak. Trudno go nakłonić do rozmowy na ten temat. Patrzy wtedy na mnie z wyższością albo też, jeśli żartuję w sposób nieco żołnierski, czerwieni się, bardziej ze złości niż ze wstydu, jak mi się wydaje. Dochodzę do przekonania, że mamy do czynienia z romantykiem, prawdziwym rosyjskim romantykiem, w stylu biednego rycerza puszkiniowskiego, o którym marzy Dostojewski. Czasem bąka coś na temat „bratniej duszy” czy siostrzanej duszy. Jeśli dobrze rozumiem, nie spotkał jej jeszcze.

Pitman mówił o tych chłopięcych fantazmach z pewną delikatnością, tak jakby dotykał skrzydeł motyla. Zdawał też sobie sprawę, z wdzięcznością, o przyjaźni łączącej go z Mohamedem Mohamedowiczem. Któryż inny oficer tej instytucji potrafiłby powstrzymać się od sarkastycznych uwag?

- Mówiąc krótko, jest wciąż prawiczkim?
- Tak mi się wydaje.
- Nno wwieć... trzeba będzie, żeby siostrzana dusza miała w sobie coś wielkorosyjskiego. W przeciwnym razie trzeba się strzec kobiecej dominacji. Kobiety łańskie, jak się zdaje, są w tym dość mocne. Zobaczymy, co się da zrobić dla naszego niepokalanego panicza. Na razie trzeba go zakonserwować w tym stanie, póki nie będzie nowych instrukcji. Gdyby się coś zmieniło, proszę o wiadomość. Proszę też przygotować jego przyjęcie do departamentu. Tych parę groszy, które mu pan dał, żeby się mógł przyzwoicie ubrać, to jeszcze nie był prawdziwy akt przyjęcia do służby. *Agent d'influence*, Jakubie Mojsiejewiczu, to nie to samo co jakiś informator, którego się trzyma na smyczy żądając wciąż nowych „dostaw”. Aleksander powinien być zupełnie samodzielny. Dlatego też sposób, w jaki podszeptnie mu pan pierwszą inspirację, będzie dla niego równie znaczący jak chrzest dla chrześcijanina lub obrzezanie dla Żyda. Tylko proszę mi nie skaleczyć podczas tej operacji mojego beniaminka.

Pitman wrócił do Francji. Nie rozumiał wrogości, z jaką Abdulrachmanow wypowiadał się na temat młodego Psara lokując w nim równocześnie wielkie nadzieje, ale nie przeszkodziło mu to wypełnić otrzymanych rozkazów kompetentnie i z poświęceniem.

W samą porę przyszła śmierć Dymitra Aleksandrowicza. Przyniosła też oczekiwaną okazję dalszego działania. Pitman uzyskał, posługując się specjalnie szyfrowanym telefonem, zgodę swego przełożonego, po czym wybrał miejsce, czas i dekorację ceremonii zaprzysiężenia. W dniu pogrzebu wziął samochód i udał się do Saint-Geneviève-des-Bois.

2

BOSKI WĘZEŁ

Naprzód — zaraz po zakończeniu uroczystości pogrzebowych — Jakub Mojsiejewicz zaprosił Aleksandra na obiad do „Złotego koguta”, taniutkiej restauracji rosyjskiej położonej na skraju Dzielnicy Łacińskiej. Malowidła nawiązujące do rosyjskiego folkloru pokrywały ściany i niski sufit. Kelnerzy różnych narodowości starali się stwarzać wrażenie, jakby wszyscy przed chwilą opuścili koszary cesarskiej gwardii.

— Nie jestem głodny — oświadczył Aleksander.

— Trzeba uczcić pamięć zmarłego — odparł na to Pitman. Zamówił wódkę i zrobił w powietrzu znak krzyża nim wychylił pierwszy kieliszek. Aleksander spoglądał nań ironicznie:

— Pan wierzy w Boga? I to w Boga chrześcijan! Pan, czeka-
sta?

— Ależ pan jest nafaszerowany przesądami, mój młody przyjacielu! Po pierwsze Czeka nie istnieje już od dawna. Komitet Bezpieczeństwa Państwa to coś zupełnie innego, choć nie chcemy się wyrzec naszej babci. Jeśli zaś idzie o Boga... jakże to panu powiedzieć? Widzę, że ludzie potrzebują bogów i myślę, że sama ta potrzeba jest już Bogiem we własnej osobie. Pośród wszystkich bogów bóg mojego ludu był od dawna najbardziej boski. Proszę, niech go pan postawi obok tego rozpustnika Jupitera. Ale w dziedzinie boskiej istnieje stały postęp, tak samo jak w sprawach ludzkich. Podobnie więc jak KGB góruje nad Czeka, bóg chrześcijan jest wydaniem przejrzanym i poprawionym boga Żydów. Zaskakuje pana, że robię znak krzyża? To ze względu

na myśl o pańskim ojcu. Żeby uczcić muzułmanina dotknąłbym czoła i piersi. Gdy natomiast mam urlop i odwiedzam mojego ojca, nie domagam się wieprzowiny, a w sobotę nie kiwnę nawet palcem.

Aleksander też napił się wódki. Na widok zakąsek poczuł gwałtowny głód. Jeść i pić na pamiątkę zmarłego równało się świętowaniu życia w obliczu śmierci. Po kilku kieliszkach był nawet w stanie mówić o ojcu, którego ciało zaczęło właśnie podlegać rozkładowi w ciepłe promieni słonecznych Sainte-Geneviève.

— Nie udało mu się wrócić. To ja mam wrócić, zamiast niego.

— Pomogę panu wypełnić wolę ojca.

Po obiedzie wyszli na zakurzoną, upalną ulicę. Czuli się tak, jakby połączyły ich nowe więzi, jakby jednoczył ich ten dziwny sakrament stypy.

— Czy widział pan kiedyś Paryż stamtąd? — spytał Jakub Mojsiejewicz, wskazując jednocześnie wieże Notre-Dame.

Aleksander skinął głową. Weszli na ciasne, kręcone schody. Prowadził Pitman. Mięśnie jego krótkich nóg zeszytywniały szybko, jego płucom urzędnika brakowało powietrza. Tuż za nim lekko wspinał się Aleksander, któremu ten wysiłek fizyczny wydał się nagłym szczęściem, płomieniem spalającym jednocześnie nadmiar wódki i zmartwienia.

Pokonali dwieście pięćdziesiąt pięć stopni prowadzących do galeryjki. Po krótkiej chwili odpoczynku oglądnęli dzwonnice, przestrzeń dziwnie teatralną, pełną drabinek i pomostów, między którymi tkwił nieruchomy, ogromny dzwon, ochrzczony przez Ludwika XIV i Marię Teresę. Przewodnik mówiący z ostrym, właściwym wszystkim drobnym funkcjonariuszom akcentem, objaśniał, że dzwon waży trzysta ton, do stopu włącznie też złoto i srebro; dźwięk bijącego dzwonu rozchodzi się w promieniu dziesięciu kilometrów; dzieje się to cztery razy do roku. Wskazując na odstęp między składającymi się na rusztowanie dębowymi i kasztanowymi belkami powiedział:

— Jest to rodzaj filtru ucinającego wibrację. Gdyby go za brakło, rozhuśtany dzwon doprowadziłby do zniszczenia całego kościoła.

Z powrotem na galeryjce nakazał zwiedzającym podziw dla siedzących w kucki potworów, które pożerały się nawzajem ponad Paryżem.

— Sławne średniowieczne rzygacze — powiedział z uznaniem Pitman.

— Ależ nie, proszę pana. Rzygacze, to jest gargulce, umieszczone są u wylotu rynien, odprowadzających wodę z dachu. Tu natomiast mamy do czynienia z chimerami, które zaprojektował sto lat temu Viollet-le-Duc. Proszę się przyjrzeć tej figurze o trzech głowach. Wie pan, co ona symbolizuje? — przemawiał jak nauczyciel zwracający się do leniwego ucznia.

— Nie wiem — przyznał się pokornie Pitman.

— Architekta, ponieważ architekt tworzy w trzech wymiarach: dłuu-gość, szeroo-kość, wysoo-kość.

Uzupełniwszy w ten sposób swe wykształcenie, Aleksander i Jakub Mojsiejewicz oparli się łokciami o parapet. Na tej wysokości lżej się oddychało niż na poziomie asfaltu, chociaż migotanie światła na dachach niezliczonych kamienic zdawało się jeszcze bardziej nasilać promieniowanie słońca. Nie przeszkadzali im turyści, którzy o tej porze roku byli mniej liczni. Mogli więc pograżyć się w namyśle, ten dorastający chłopiec i obok niego młody mężczyzna. Ich oczy pełne były Paryża, który roztaczał się przed nimi, jednak bardziej zajmowały ich myśli i perspektywy wewnętrzne. Milczeli. Aleksander myślał o ojcu, Pitman o tym, co nazywał „świętą chwilą” rekrutacji. Patrzyli więc nie widząc kopuł, wież, kościołów, dzwonnicy i kołyszącego się morza dachów. Nieświadomie musieli rozpoznawać tiarę Inwalidów, piuskę Panteonu, szkielet św. Eustachego i bryły Saint-Sulpice, pływającą wyspę Sacré-Coeur i igłę busoli — wieżę Eiffla. Ten krajobraz, jednocześnie gigantyczny w skali i wyrafinowany,

zdawał się wznosić ku nim, jakby dźwigany przez ogromną win-
dę transportującą talerze. Trwali na galerijce balkonu, mając za
sobą tę mogącą przyprawić o zawrót głowy konstrukcję, zawie-
szeni ponad światem, i świat powracał do nich błyskając swymi
szarościami i szarymi zieleniami, kredową bielą lub białawą si-
nością, pełen kurzu i patyny, różnic i podobieństw. Wreszcie
Pitman przerwał milczenie:

— Czytał pan Balzaca?

— Ma pan na myśli Rastignaca, rzucającego wyzwanie Pary-
żowi?

— Przyjemnie byłoby mieć to wszystko, co rozpościera się
przed nami.

Aleksander nie zareagował na to. Pitman mówił dalej:

— Oh, nie chodzi mi o posiadanie w sensie mieszczańskim.
To dziecinne wyobrazać sobie, że posiada się jakiś kwadrat zie-
mi, ponieważ płaci się zań podatek gruntowy. Chodzi mi o głę-
szy związek. Król Francji, gdyby znalazł się na tej galerijce i wi-
dział to wszystko co my widzimy, mógłby sobie powiedzieć: „To
moje”, chociaż żaden z tych budynków, nie licząc tego najwięk-
szego, na dole, nie należałby do niego.

— Nie ma już królów — rzucił zimno Aleksander.

— Ależ są. I będą zawsze. I nawet...

Pitman czuł przyspieszone bicie własnego serca. Zbliżała się
„święta chwila”. Mógł jeszcze opóźnić jej nadejście, lecz zwle-
kając mógł też wszystko popsuć. Był wzruszony tak jak musiał
być wzruszony młody mężczyzna epoki wiktoriańskiej na mo-
ment przed oświadczeniami.

— .. i nawet — dokończył — pan mógłby być jednym z nich.
To zależy tylko od pana.

— Jakubie Mojsiejewiczu, widzę, że czyta pan nie tylko Bal-
zaca, lecz i Ewangelię. Jak na marksistę to niepoważne. Czyżby
chciał mnie pan wystawić na pokusę, prowadząc mnie „na szczyt
świętyni”?

Pitmana uraziło to, że odgadnięto jego zamiary, lecz nie zdradził swej reakcji:

— W dniu, do którego pan nawiązuje, Chrystus popełnił wobec ludzkości nie dający się odkupić grzech. Widzi pan, ja czy tam także Dostojewskiego. On to przeczuwał, tyle że w tamtej epoce nie ośmielił się tego wypowiedzieć. A może brakowało mu ostrości spojrzenia.

Aleksander nic na to nie powiedział.

Natrafiwszy na niesprzyjającą rezerwę Psara, Pitman począł się zastanawiać, czy nie należałoby chwilowo wycofać się. Kuszając młodego człowieka chciał korzystać z mitologicznych skojarzeń, nie tak jednak, by kuszony zdawał sobie z nich sprawę. Okazja została zmarnowana. Nieprędko jednak pojawi się równie korzystny zbieg okoliczności: pogrzeb ukochanego ojca, gwałtowna chęć „powrotu”. Czy nie należałoby mimo wszystko iść dalej?

— Aleksandrze Dmitryczu — zaczął znów Pitman, tym razem innym tonem: od czasu do czasu posługiwał się w rozmowie z Aleksandrem patronimikiem, co miało podkreślić szacunek, jaki dla niego żywi — czy wie pan, jaki jest najstarszy zawód świata?

— Tak, ale jeśli chce pan zakończyć ten żałobny dzień wycieczką do domu publicznego, to niech pana diabli wezmą!

To, że Aleksander posłużył się stosunkowo pruderyjnym określeniem charakterystyczne było dla dystansu, jaki zachowywał zawsze wobec „tych spraw”.

— Źle mnie pan zrozumiał. Żeby pójść do domu, który pan miał na myśli, trzeba jeszcze znać adres. Nie. Widzi pan, posłużyłem się ulubionym żartem oficerów wywiadu. Chętnie igramy z myślą, że to nasz zawód jest najbardziej czcigodny.

Aleksander patrzył prosto przed siebie:

— Rozumiem. Postanowił pan zwerbować mnie dzisiaj na dobre. A skąd pan wie, że ja się nadaję do wywiadu? I czy w ogóle

to mnie interesuje? Nie chciałbym pana dotknąć, Jakubie Mojsiejewiczu, ale dla mnie to zajęcie pachnie czymś trywialnie politycznym. Niech mnie pan pośle na wojnę, to bardziej będzie odpowiadało moim skłonnościom. Jeśli dobrze pamiętam, Łysenko dowiódł, że dziedziczy się cechy nabyte, a od dwudziestu pokoleń moi przodkowie zajmowali się wojaczką. Sądzę, że żaden bolszewik nie będzie miał mi tego za złe. Przeciwnie, w tym punkcie możemy się najlepiej porozumieć pod nosem burżuja, jak mi się wydaje.

— Rzykować własnym życiem potrafi każdy idiota. Myślę, że o wiele przyjemniej jest połamać kości komuś innemu — odpowiedział Pitman, pogodnym uśmiechem przepraszając za ostrość wyrażenia. — Tyle że nie żyjemy już w czasach księcia Sieriebranego, ani w czasach naszych *bogatyrow*. Wtedy niewielki rozumek i maczuga wystarczały do wygrania bitwy. Nie szczęśliwie się dla pana składa, że przyszłość nie należy do sztuki wojennej rozumianej w sposób tak tradycyjny. Amerykanie mają bombę atomową, wkrótce i my ją będziemy mieli. Efekt: koniec łamania kości. To znaczy zawsze gdzieś, w jakimś kącie świata, będą trwały potyczki, będą zabici, niestety, bohaterskie czyny i okrucieństwa, tyle że bez realnych konsekwencji, jak strącenie pionków na dalekim przedpolu, próba sił, nic więcej. Prawdziwie nowoczesna wojna, Aleksandrze Dmitryczu, nie pociągnie za sobą prawie żadnych zniszczeń materialnych. Będzie to wojna bardzo wydajna, ekonomiczna. Jej zwycięzca będzie panem życia i śmierci na zdobytych terytoriach i wśród podbitych ludów. Będzie nimi władał w sposób bardziej suwerenny niż niegdyś królowie. Znajdujemy się u zarania rozwoju nowej broni, wcale nie śmiertelniejszej, wydajniejszej niż wszystkie dotychczasowe. Jeżeli chce pan wziąć udział w wojnie zwycięskiej, musi się pan stać oficerem tej nowej kawalerii.

Pitman był szczerze wzruszony. Zależało mu na szczerości, chciał, żeby jego entuzjazm był zaraźliwy.

— Oczywiście, jest pan człowiekiem wolnym, może pan nie skorzystać z otwierającej się przed panem drogi. Ale wtedy, po dwudziestu czy trzydziestu latach, zobaczy pan, że się nie myliłem. Obie armie będą wyposażone w broń i liczebniejszą, i doskonalszą niż kiedykolwiek, ale nie będą z niej robiły żadnego użytku. To będą wielkie szable, zawsze tkwiące w pochwach.

— Wszystko zrozumiałem. W skrócie: chce pan, żebym zajął się wywiadem.

— Aleksandrze Dmitryczu, wyjawię panu teraz coś ważnego — pauza. — To, co pan nie dość precyzyjnie nazywa wywiadem, ująć można w dwóch aspektach...

— Wiem: wywiad i kontrwywiad.

Pitman uśmiechnął się pobłaźliwie:

— Wywiad i kontrwywiad to tylko dwie strony tej samej rzeczy, istotnej, owszem, nie można zaprzeczyć, lecz wciąż dość prymitywnej. Próbować poznać zamiary przeciwnika, przeszkodzić mu w poznaniu moich sekretów, to dość pasywne rozumie nie naszych zadań. Sprawy nabierają rozmachu od momentu, kiedy to my podpowiadamy przeciwnikowi jego intencje i zamiary, które on później zechce wprowadzić w życie. Niech pan sobie wyobrazi Kutuzowa, dyrygującego Wielką Armią napoleońską, albo też, jako że pański ojciec był marynarzem, Roździe stwieskiego decydującego o ruchach floty japońskiej pod Cuszimą. Co, nie płynie panu ślinka do ust?

Aleksander uniósł oczy, brązowe i jakby przysłonięte mgiełką. Jego wargi poruszyły się:

— To może być zabawne.

— I to właśnie nazywamy aspektem czynnym operacji, którym przysługuje wspólna nazwa wywiadu.

— I myśli pan, że naprawdę można...

— Nasz towarzysz Mao Tse-tung powiada, iż świadomości społecznej przeciwnika trzeba „nadać formę”. Ponieważ to my sami sporządzamy tę matrycę, przeciwnik jest odtąd uzależniony

od nas — Pitman udał, że się waha. — Myślę, że mogę panu wyjawić, iż posługujemy się pięcioma różnymi technikami, pozwalającymi kierować postępowaniem naszego przeciwnika. Po pierwsze, biała propaganda, polegająca po prostu na stałym powtarzaniu: „Jesteśmy od was lepsi”. Można to powtarzać miliony razy. Dalej, czarna propaganda, do której trzeba trzech partnerów: przypisuje się przeciwnikowi zamiary, których on wcale nie żywi, a które nie będą się podobały temu trzeciemu, to dla niego gra się tę komedię. Dalej, intoksykacja. Tu może być dwóch lub trzech partnerów. Chodzi o oszukiwanie za pomocą metod subtelniejszych niż zwykle kłamstwo. Na przykład nie podrzucam panu fałszywych informacji, ale zaaranżuję coś takiego, że pan mi je wykradnie. Wreszcie dezinformacja, pojęcie, którego używamy też dla oznaczenia wszystkich tych metod. W węższym sensie dezinformacja jest w stosunku do intoksykacji tym, czym strategia wobec taktyki. Pitman zatrzymał się, patrzył na Sekwanę, lustro, z którego odpływała rtęć. Stateczek wycieczkowy, pełen turystów w pstrokatych ubraniach, mijał się z barką, na której suszyła się litania koszul i girlanda kałesonów.

— A piąty sposób?

Trucizna zaczęła działać.

— Piąty sposób jest tajny, Aleksandrze Dmitryczu. Jesteśmy jedynym mocarstwem, które wypracowało pewne techniki... Gdybym je panu zdradził, byłoby to niczym przekazanie sekretu bomby atomowej pięć lat temu.

— W takim razie niech pan nic nie mówi — Aleksander znów stał się chłodny, daleki.

Pitman poprawił się:

— Jedno słowo tylko: piąty sposób polega na wywieraniu wpływu. Cztery pozostałe w porównaniu z nim to dziecinne zabawki. Powiem coś, co będzie pana szokowało. Pamiętaj pan słowa Karola Marksa: „Minęła już epoka rewolucji, znaczonej przez ciosy zadane...”

— „...przez świadomą mniejszość, stojącą na czele nieświadomych mas ludowych” — dokończył Aleksander. — Znam tę waszą tabliczkę mnożenia.

Pitman zniżył głos:

— Otóż właśnie, to już nie obowiązuje.

— Czyżby prorok się pomylił?

— Miał słuszność w odniesieniu do jego czasów, ale te czasy minęły już. Socjologia poczyniła znaczne postępy i teraz wiemy już, że można rozpocząć rewolucję nie tylko wychodząc od obiektywnych uwarunkowań socjoekonomicznych, ale także i od czyjegóż przekonania, jakoby uwarunkowania te zaistniały, choćby przeczyło to faktom.

— Chce pan powiedzieć, że nie potrzebujemy już kur do wysiadywania jajek, ponieważ dysponujemy inkubatorami?

— Chcę powiedzieć, że mamy inkubatory, które same znoszą jajka. Według Marksa rewolucja przypadła na określony moment historyczny, poprzedzony przez wcześniejszą ewolucję. Miała ona na miejsce dawnego porządku wprowadzić porządek nowy, który był już wcześniej zaprojektowany. Miała też z konieczności być epizodem gwałtownym, spazmem Historii. Wszystko to przestało odpowiadać realiom dwudziestego wieku.

Pitman nie wierzył nigdy, by Aleksander nawrócił się na marksizm. Łatwiej było sobie wyobrazić, że bardziej go zainteresuje system, w którym „Jehowa z Trewiru” poddany został poważnym rewizjom.

— Dzisiaj możemy sprowokować „historyczny moment” przy pomocy odruchu Pawłowa. Tego Marks nie mógł przewidzieć. Odkryliśmy też, że w miejsce dawnego porządku nie powinno się proponować żadnego „nowego porządku”, ten bowiem może natychmiast stać się przedmiotem ataków. Naprawdę, nic nas nie drażni bardziej niż zagraniczne partie komunistyczne (nazywamy je „korporacjami”), powtarzające w kółko, jakim to rajem jest Związek Radziecki. Nie, to nie jest raj, łatwo to wykazać,

i nasi wrogowie korzystają z okazji. Wierzmy, że raj dopiero powstanie, ale to jest właśnie akt wiary, i nie można domagać się, by większość danego społeczeństwa poświęcała znany sobie stan rzeczy dla takiego ryzyka. Co natomiast należy robić, to rozmontować stary porządek nie proponując na jego miejsce żadnej konkretnej wizji. Dopiero w momencie, gdy stary system będzie się już rozsywał, wprowadzi się nowy porządek. Schemat, zgodnie z którym zaczyna się od propagandy, a potem rozpętuje się powstanie, jest całkowicie przestarzały. Terror, owszem, jest niezbędnym, ma jednak służyć tylko jako detonator eksplozji i wybuch ten wcale nie musi być gwałtowny. Marks rozumował jeszcze w kategoriach dwumianu encyklopedysta-jakobini, my jednak poszliśmy dalej. Obecnie terroryzm ma nam po prostu dostarczyć okazji wywarcia naszego wpływu, i to za pośrednictwem metod, o których Marksowi nawet się nie śniło, za pośrednictwem środków masowej informacji, *mass media*.

W średniowieczu zabójstwo jednostki, powiedzmy księcia, mogło zmienić historię danego kraju. Później jednak lud pokazał się na scenie i odtąd terror indywidualny stracił przydatność. Dzisiaj znowu zmierzamy, wielkimi krokami, ku epoce, która na nowo przywróci znaczenie jednostce, ale nie dzięki jej nadzwyczajnym właściwościom, tylko na skutek wzrastającej roli masowej komunikacji. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że charakter człowieka, już zmodyfikowany przez fotografię prasową i kino, zmieni się raz jeszcze w ciągu najbliższych dwudziestu pięciu lat dzięki telewizji. Nie sądzę, żebym się mylił: za dwadzieścia pięć lat wzięcie zakładników albo zabójstwo jakiegoś urzędnicy wywoła większy rozgłos niż wojna kolonialna w wieku dziewiętnastym.

Nie chciałbym, Aleksandrze Dmitryczu, żeby ten pociąg odjechał bez pana.

Szczupła i blada twarz Aleksandra zwracała się wciąż ku Paryżowi, który unosił się, dźwigał i mimo to pozostawał w miejscu.

W miarę jak upływało popołudnie Aleksander z coraz większą jasnością pojmował, że rozpoczął się jeden z największych pojedynków, jakie miał stoczyć w życiu.

Stawką był powrót, którego pragnął i który stał się wręcz jego obowiązkiem. Zresztą także i inne motywy i pasje kłębiły się w jego wyobraźni tym podatniejszej na bodźce, że skrytej pod warstwą udawanego chłodu. Jeżeli rzeczywiście współczesna socjologia i psychologia pozwalają władać duszami... Młody Psar nie należał do ludzi, których by to nie zainteresowało.

— To mi się wydaje dosyć ciekawe — powiedział — to... wywieranie wpływu.

Pitman spojrział w niebo. Szukał na gwałt odpowiednich zdań i zagadek. Wiedział, że teraz powinien raczej intrygować niż pouczać. Zarazem jednak, palony namiętym zapalem neofity, chciał tę samą gorączkę przekazać chłopcu, dla którego żywił już pewne przywiązanie lub nawet sympatię, a także coś w rodzaju szacunku.

— W naszym departamencie — zaczął znowu mówić — dysponujemy podręcznikami, zawierającymi naszą doktrynę, a przynajmniej tyle z niej, ile można ofiarować agentom. Ten podręcznik napisany został przez naszych przełożonych, a w szczególności przez największego spośród nich. Być może i panu, tak jak i mnie, los pozwoli spotkać się z nim kiedyś.

Pitman uśmiechnął się, i uśmiech wyrażał naiwny podziw:

— Największy, i to w obydwu znaczeniach.

Zobaczył przed sobą figurę swego dobroczyńcy wysoką jak galeria chimery, jak wieża Notre Dame, a nawet jeszcze wyższą. Matwiej Matwiejewicz trzymał cały świat we wnętrzu dłoni. A jednocześnie czyż nie był najserdeczniejszym z ludzi?

— Nazwał swój podręcznik *Vademecum dla «agents d>influence»*. Lubi żartować: „*Quo vadis? Mecum*, mój koteczku, *mecum!*” I z przekory grozi wam palcem! Oczywiście, my wszyscy *vadons secum*, prawda.

Pitman zawsze chętnie się poddawał wielkodusznemu uczuciu podziwu i apotezy, nawet jeśli jego łacina szwankowała nieco.

— I cóż mówi to *Vademecum*?

— Myślę, że nie popełnię wielkiego przestępstwa... — (Pitman, na pół szczerze, na pół cynicznie wykorzystywał własne słabości; był przecież oficerem wywiadu w wielkim stylu) — ...jeśli odkryję przed panem... Zaraz, niech pan zobaczy, tam, ta chimera o trzech głowach. Jest jakieś podobieństwo pomiędzy nią i nami. Nasza doktryna jest jednolita, ma jednak formę troistą. Rzecz podstawowa, co już dałem panu do zrozumienia, to zasada, że nasze działania nie mogą być prowadzone bezpośrednio. Widział pan ten dzwon: nie bije się weń pięścią, wprawia się go w ruch przy pomocy sznura. Nasz sznur, Aleksandrze Dmitryczu, jest długi, bardzo długi. Bez niego bylibyśmy niczym, podobnie jak ktoś, kto próbowałby rozhuścić ten dzwon gołymi rękami. Pokaleczyłby sobie palce.

— Wasza doktryna czerpie swą siłę skądinąd.

Pitman odgadywał, że Aleksander stara się go przechytryć, by zmusić go do mówienia; Aleksander odgadywał, że Pitman odgaduje jego zamiary. Domyślał się też, że Pitman celowo drażnił i pobudzał jego ciekawość i że aby to osiągnąć musiał, do pewnego stopnia przynajmniej, wtajemniczyć go w rzeczy sekretne. Ze swej strony Pitman domyślał się, że Aleksander chciał się dużo dowiedzieć i mało obiecać. A jednak gra ta nie była nieprzyjemna.

— To prawda — przyznał Pitman — skądinąd.

Był jeszcze bardzo młody, z czego Aleksander, rzecz jasna, nie zdawał sobie sprawy. Ktoś, kto zbliżał się do trzydziestki, był już w poważnym wieku. Ale Pitman czuł swoją młodość, tym bardziej, że jak sam powiedział, wielkie przygody miały się dopiero zacząć. Jeśli w coś mógł wątpić, to w zdolności Aleksandra, nie w siłę swej własnej wiary. Oczywiście, podczas pierwszego seansu wtajemniczenia będzie uważał, by nie przekroczyć dozwolonej

granicy wyznań. Skoro jednak wytyczona została granica, dla-
czegożby miało się jej nie osiągnąć? Z całą pewnością jego
mistrz, człowiek-góra, nie zrobiłby mu z tego zarzutu.

— Nasza doktryna, tak jak wyłożona została w *Vademecum*,
zbudowana została na trzech archetypach, chociaż samo pojęcie
archetypu nie wchodzi w skład naszego słownika. Powiedzmy
więc raczej: na trzech obrazach, trzech artykulacjach. Obrazy te
są jednocześnie tak bardzo tajemne, że nie powinienem ich pa-
nu zdradzać, i tak ważne, że nie mogę się od tego powstrzymać.
Pan wie, pan i ja jesteśmy połączeni, łączy nas Rosja, nasza wia-
ra w Rosję... Obaj wiemy, że to Rosja czerwona zbawi świat. I
jeszcze coś: zwyczajny fakt, że właśnie w tej chwili oglądamy ten
sam krajobraz, odczuwamy ten sam podziw, przeżywamy tę
samą tęsknotę wygnańców. Znaleźliśmy się na pokładzie tego
samego statku, i tak musiało się stać, tak chciało przeznaczenie.

Pitman poddawał się egzaltacji i wiedział też, że egzaltacja
dobrze mu służy, przynajmniej do pewnego momentu. Aleksan-
der natomiast wiedział, że egzaltacja Pitmana jest poddana kon-
trolii. Co do statku, zgoda. Rzeczywiście można było sobie wy-
obrazić, że się stoi na mostku okrętu, którego ładunkiem był
cały mikrokosmos, tak jakby to była arka Noego. Aleksander
milczał, nie chciał zadawać więcej pytań, bo w ten sposób dałby
okazję Pitmanowi do zasłonięcia się tajemnicą. Pitman rozu-
miał, iż milczenie Aleksandra brało się nie z obojętności, lecz
podyktowane było chytrą, i wobec tego postanowił cierpliwie
podsycać ogień.

— Ostatecznie mogę panu w przybliżeniu nakreślić te trzy
obrazy, ale później trzeba będzie — pan, człowiek wielkoduszny,
rozumie to z całą pewnością — trzeba będzie, żeby pan dał mi
swoje słowo, wyraził zgodę... Dzisiejszy dzień wydaje się bardzo
odpowiedni.

Aleksander poszukał wzrokiem południa, tam gdzie znajdo-
wała się Sainte-Geneviève, grób, trumna i ciało.

— Oto trzy archetypy... — zaczął Pitman. Temat wykładu wydał mu się tak piękny, tak bogaty, że przymknął oczy i na sekundę zamilkł, tym razem nawet nie z wyrachowania, lecz powodowany szacunkiem, i także poddając się zmysłowej zawartości obrazów. — ...Dźwignia, Trójkąt i Druć.

Aleksander był zaskoczony popolitością tych obrazów.

— Zaraz przedstawię to bardziej szczegółowo — dodał Pitman, poruszony własną ewangelią.

Pod nimi krążyły w powietrzu gołębie. W pustej teraz Sekwanie odbijały się obłoki. Na dole mieszkańcy ciasnych mieszkań otwierali przed wieczorem okna.

— Zacznijmy od Dźwigni. Im większa odległość między punktem oparcia i punktem przyłożenia, tym większy ciężar może być uniesiony przy stałej sile nacisku. Trzeba zapamiętać, że to odległość między tymi punktami tworzy dźwignię, i, dalej, zawsze dążyć do jej powiększenia, nigdy zaś jej nie zmniejszać. Co z tego wynika dla metody wywierania wpływu na przeciwnika? Nigdy nie powinno się tu działać na własną rękę, zawsze przez pośrednika lub raczej przez cały łańcuch pośredników. Dam panu przykład wzięty z historii, jako że wielcy ludzie dawnych czasów wyprzedzali czasem intuicyjnie nasze metody, choć nie uczynili z nich jednolitej doktryny. Oto Filip Macedoński chce zawładnąć Atenami. Czy posłuży się białą propagandą: „Ateńczycy, będziecie szczęśliwsi pod moimi rządami”? Nie, za dowala się penetracją pacyfistycznej partii pod wodzą Eubuliusza i Ateny spadają mu w ręce jak dojrzała gruszka z drzewa. Pacyfiści byli dźwignią Filipa. Posługiwanie się pacyfistami stało się zresztą procedurą klasyczną, przekona się pan o tym, gdy będzie pan u nas staż. Chcąc zdobyć jakiś kraj tworzy się w nim stronnictwo pacyfistyczne, dba się o to, by zdobyło wielką popularność, i równocześnie stronnictwo dążące do wojny. Ta druga partia sama się zdyskredytuje, gdyż niewielu tylko ludzi rozumnych będzie przychylnych wojnie.

Kiedy byłem mały, wielu rodziców francuskich nie kupowało swoim dzieciom zabawek wojskowych. Biedne maleństwa dorosły nie znając ołowianych żołnierzyków i karabinków marki Eureka.

Propaganda pacyfistyczna we Francji była przykładem operacji typu „wpływ”, prowadzonej przez Hitlera, który jednocześnie w Niemczech uprawiał kult armii. Rezultat: rok 1940.

— A teraz my robimy to samo, na jeszcze większą skalę, dzięki apelowi sztokholmskiemu?

Pitman parsknął śmiechem:

— Widział pan plakat przedstawiający matkę, która trzyma w ramionach dziecko, a nad nią napis: „Walczymy o pokój”?

— Oczywiście.

— Ten pomysł wyszedł z naszego departamentu. W ZSRR, w związku z apelem, mamy plakat z tym samym napisem. Ale wie pan, co jest na plakacie? Żołnierz Armii Czerwonej trzymający pistolet maszynowy.

— To właśnie plakat działa jak dźwignia?

— Ależ nie! Dźwignią jest naiwny widz, który przyjmuje przesłanie plakatu. Na przykład dziennikarz, pełen dobrej wiary, wierzący w zalety pokoju, nie podejrzewający, że ktoś mógłby cynicznie posłużyć się tym hasłem. Wie pan przecież, że całkiem dobrze można głosić jedną rzecz, a robić coś całkiem przeciwnego. Jeżeli tylko krzyczy się dość głośno i jeśli dobrze przygotowuje się opinię publiczną, zauważony zostanie tylko krzyk, działanie natomiast przejdzie niepostrzeżenie. Właśnie dlatego ideałem dźwigni jest prasa, a wkrótce także inne *mass media*. Gdy raz się poczyni odpowiednie przygotowania, nie trzeba nawet pamiętać o stałym manipulowaniu informacją, wystarczy zdać się na „rezonans”. Przykład: postanawia pan sterroryzować jakieś społeczeństwo. Inscenizuje pan pojedynczy akt terroryzmu. Prasa konserwatywna z oburzeniem potępia ten akt. Ale im głośniejsze jej potępienie, tym bardziej powiększa się rozgłos i znaczenie tego czynu, co jest dla nas korzystne.

Dotychczas Aleksander uważał się zawsze za przyszłego wielkiego pisarza. Nie tylko zresztą przyszłego: napisał już przecież wiele wierszy, opowiadań i dwie powieści, z których był zadowolony. Lecz nagle Pitman odkrył przed nim inną dziedzinę i w tej samej chwili dziedzina ta wydała mu się nieskończenie bardziej pociągająca. Jakże błędnie teatr cieni, teatr wyobrażonych tylko postaci, jeżeli można inscenizować prawdziwe morderstwa i inspirować prawdziwe miłości! Czyż istnieje bardziej wzniosłe królestwo niż to, którego poddanymi są dusze i wola ludzka? Czyż można sobie wyobrazić coś wspanialszego od Guildensterna, który gra na swojej fujarce, a Hamlet i wszyscy jego Duńczycy tańczą do wtóru?

— Sądzę — powiedział Aleksander, szukając bez powodzenia ironicznego tonu — że ten flecista, który wyprowadził wszystkie szczury z Hameln, też był z waszego departamentu.

— Tyle tylko, że nasze ambicje znacznie przerastają tamten wyczyn. Nam nie chodzi o odszczurzenie świata. Niech pan pomyśli, jakie to szczęście, że to my odkryliśmy tę grę na flecie, a nie kapitaliści. Wie pan, Aleksandrze, nie wierzę, żeby w grę wchodził tylko przypadek. W gruncie rzeczy czyż pewnego rodzaju determinizm i pewna Opatrzność nie są jednym i tym samym?

— Powiedział pan, że trzeba naprzód przygotować opinię publiczną. W jaki sposób pan to robi, Jakubie Mojsiejewiczu?

Pitman westchnął; trzeba było jeszcze pozbyć się części balastu.

— Przez podawanie tendencyjnych informacji. W tym celu opanowuje się któryś z poważnych dzienników. Jeżeli postępuje się rozważnie i nie dopuszcza do kompromitacji gazety, cała prasa zaczyna dotrzymywać jej kroku, pomnażając w nieskończoność nasz pierwotny wkład.

— I na czym polega tendencyjna informacja?

Aleksander mówił tak, jakby pytał tylko od niechcienia.

Pitman zachowywał się, jakby wpadł we własne sidła.

— *Vademecum* podaje dziesięć przepisów na tendencyjną informację. Chce pan je poznać?

— Tak, to by mnie interesowało.

— Nieprawda nie dająca się zweryfikować, mieszanka prawdy i fałszu, deformacja prawdy, zmiana kontekstu, zacieranie i jego odmiany: wybrane fakty, komentarz podtrzymywany, ilustracja, generalizacja, nierówne części, części równe.

— Czy może mi pan podać kilka przykładów?

— Spróbuję odtworzyć dla pana wykład mojego nauczyciela z okresu stażu. Założmy, mówił, następujący fakt historyczny: Iwanow przyłapuje swoją żonę w łóżku z Pietrowem... — Aleksander zeszywniał; nie znosił erotycznych facecji. Francuzi nie mogli się bez nich obejść, zgoda, ale wydawałoby się, że w rozmowie z Rosjaninem można ich uniknąć. Okazuje się, że nie. Pitman uśmiechał się frywolnie: — Pokażę wam, jakim operacjom można poddać ten fakt, jeśli z powodów politycznych trzeba by go było naświetlić tendencyjnie.

Pierwszy przypadek: nie było świadków. Opinia publiczna nie może w żaden sposób sprawdzić, jak było naprawdę. Oznajmia się więc po prostu, że to Pietrow przyłapał żonę w łóżku z Iwanowem. Oto właśnie nieprawda nie dająca się zweryfikować.

Drugi. Byli świadkowie. Piszecie, że w małżeństwie Iwanowów nie brakowało problemów i przyznajecie, że istotnie w sobotę Iwanow zaskoczył swą żonę z Pietrowem. Prawdą jest też, dodajecie, że przed tygodniem Iwanowa przyłapała swego męża na gorącym uczynku z Pietrową. To jest mieszanka prawdy i fałszu. Proporcje jednego i drugiego mogą się zmieniać. Chłopcy z intoksykacji, jeśli chcą uprawdopodobnić sprawę, dają do 80% prawdy na 20% fałszu, ponieważ z ich punktu widzenia ważne jest, by jakąś bardzo konkretną fałszywą informację wzięto za dobrą monetę. My natomiast, zajmujący się dezinformacją i wywieraniem wpływu na przeciwnika, gramy raczej na ilość i uważamy inaczej niż oni, że już jeden jedyny fakt prawdziwy

służy jako doskonały przewodnik dla wielu kłamstw.

— To trochę tak jak twórcy tego wielkiego dzwonu, który przed chwilą oglądaliśmy. Do wielkiej ilości brązu dodali odrobinę złota.

— Tak, rzeczywiście. Teraz trzeci sposób. Przyznajecie, że obywatelka Iwanowa znajdowała się w sobotę wieczorem u Pietrowa, ale ironizujecie na temat łóżka. Cóż mają wspólnego ze sprawą ruchomości? Najprawdopodobniej Iwanowa siedziała po prostu na krześle czy w fotelu. Iwanow, który, jak wszyscy wiemy, tyle razy leżał pod stołem, ma w zwyczaju rzucanie oszczerstw na swą nieszczęsną żonę. A co miała robić? Czy miała pozwolić, żeby mąż pijak pobił ją znowu? Sądziła, że powinna się schronić u Pietrowa, gdzie najprawdopodobniej towarzyszyły jej dzieci, małeńkie dzieci. Czyż mamy podstawy do oskarżenia jej o to, że nie zostawiła dzieci wydanych na pastwę tego brutala? Ponadto nie ma powodów by wątpić, że także i obywatelka Pietrowa brała udział w spotkaniu Iwanowa-Pietrow. Jest to wręcz bardzo prawdopodobne, jako że wszystko to wydarzyło się w sypialni Pietrowów, w mieszkaniu zajmowanym przez nich wspólnie z Iwanowymi. Oto właśnie deformacja prawdy.

Cztery — Pitman liczył na palcach — czyli modyfikacja kontekstu. Zgadza się, mówicie, Iwanow nakrył żonę w łóżku Pietrowa, ale przecież wszyscy wiedzą, jaki jest Pietrow. To prawdziwe monstrum lubieżności. Nie da się wykluczyć, że ma za sobą czternaście wyroków sądowych za gwałt. Tego dnia natknął się na Iwanową w korytarzu, rzucił się na nią, wciągnął ją do siebie i właśnie rozpoczął proceder gwałcenia, gdy, na szczęście, pełen godności obywatel Iwanow, wracający z fabryki, gdzie po raz któryś z rzędu osiągnął rekordową liczbę trzech tysięcy nakrętek utoczonych w ciągu dwóch godzin dwudziestu pięciu minut, wyważył drzwi i ocalił swą skromną małżonkę od losu gorszego niż śmierć. Najlepszy dowód, krzyczycie głośno, że pierwotna

informacja nie zawiera najmniejszej wzmianki na temat wyrzutów, jakie Iwanow miałby wobec żony.

Piąte: zacieranie. Zalewacie wasz prawdziwy fakt wielką masą innych informacji. Pietrow, mówicie, to stachanowiec, świetnie gra na organkach i w warcaby, urodził się w Niżnym Nowgorodzie, w czasie wojny był artylerzystą, na sześćdziesiąte urodziny ofiarował matce kanarka, ma kilka kochanek, między innymi Iwanową, przepada za kielbasą z czosnkiem, dobrze pływa stylem grzbietowym, potrafi ugotować syberyjskie *pielmeni*, i tak dalej.

Istnieje też wykręt będący odwrotnością zacierania, mianowicie wybrane fakty. W sprawie, którą macie zrelacjonować, przeprowadzacie selekcję szczegółów, prawdziwych lecz niepełnych. Opowiadacie na przykład, że Iwanow wszedł do pokoju Pietrowa bez pukania, Iwanowa aż podskoczyła, taka jest nerwowa, Pietrow zachowywał się tak, jakby był zaszokowany złymi manierami Iwanowa, i wymieniwszy uwagi na temat powszechnego zepsucia obyczajów, będącego jednym z przeżytków carskiej Rosji, małżonkowie Iwanowowie wrócili do siebie.

Szósta metoda: komentarz podtrzymywany. W niczym nie modyfikujecie faktu, lecz korzystacie z niego, by przeprowadzić, dajmy na to, krytykę mieszkań dzielonych przez wielu lokatorów. Jest ich już coraz mniej, lecz to w nich właśnie incydenty, w których mężowie zaskakują kochanków, zdarzają się znacznie częściej niż to przewiduje plan pięcioletni. Następnie opisujecie nowoczesne osiedle, gdzie każda para turkawek ma swoją garsonierę, w której może sobie gruchać do woli, i przedstawicie idylliczny obraz szczęścia, jakie stanie się tam udziałem Iwanowów.

Siódmy chwyt to pewna odmiana szóstego, to ilustracja, w której przechodzi się od rzeczy ogólnych do szczegółowych, a nie od szczegółowych do ogólnych. Można tu rozwinąć ten sam motyw: sielanka par małżeńskich w nowoczesnych osiedlach wzniesionych dzięki dobroczynnej wydajności władzy Rad, lecz

zakończenie będzie inne: o, jaki to postęp w stosunku do mieszkań o wielu lokatorach, gdzie zdarzały się pożalowania godne epizody, na przykład właśnie sytuacja Iwanowa, natrafiającego na swą żonę u sąsiada!

Ósma jest generalizacja. Z zachowania Iwanowej wyprowadzacie ogólne, pełne konfuzji wnioski na temat niewdzięczności kobiet, ich niewierności, rozwiązłości, natomiast pomijacie milczeniem współudział Pietrowa. Lub też, przeciwnie, obwiniając Pietrowa-Casanovę, nikczemnego uwodziciela, uniewinniając jednocześnie nieszczęsną przedstawicielkę bezwstydnie eksploatowanej płci.

Technikę numer dziewięć nazywamy: nierówne części. Zwracacie się do waszych czytelników i proponujecie im, by sami ocenili ten incydent. Publikujecie następnie jeden list potępiający Iwanowa — nawet jeżeli dostaliście sto takich listów. Drukujecie też dziesięć listów w jej obronie, nawet jeśli nie przyszło takich listów więcej niż dziesięć.

Wreszcie części równe, dziesiąta metoda. U profesora uniwersytetu, świetnego i lubianego przez czytelników polemisty, zamawiacie tekst pisany w obronie kochanków, mający pięćdziesiąt linijek, i równocześnie u jakiegoś idioty ze wsi zamawiacie ich potępienie, też na pięćdziesiąt linijek. W ten sposób dowodzicie waszej bezstronności.

Oto, Aleksandrze Dmitryczu, krótki wykład, by mógł pan wyrobić sobie zdanie, czym jest tendencyjna informacja i na czym polegają ćwiczenia, którymi zajmie się pan podczas stażu. Wtedy, rzecz jasna, ich temat będzie znacznie poważniejszy.

— Wydaje mi się — powiedział Aleksander — że znam pewną gazetę francuską, postępującą właśnie według tych zasad. Ale... czy mógłby mi pan jeszcze opowiedzieć o Trójkącie?

— Pan jest nienasycony. Wyobraża pan sobie, że wyjawię panu całą naszą doktrynę o, tak sobie, tu, na tej galerijce, tylko po to, żeby pana rozerwać?

— Tak, proszę. Czy zdąży mi pan wszystko opowiedzieć, nim dozorca zamknie więzę?

— Oczywiście, że nie. Jako przykład podałem panu dziesięć dziecinnie łatwych przepisów. Tymczasem myśmy opracowali setki metod, którymi możemy posługiwać się razem lub rozdzielnie, wypracowaliśmy całą interpretację Historii, cały światopogląd techniki wywierania wpływu, wręcz całą kosmogonię...

— Czy mógłby mi pan jeszcze opowiedzieć o Trójkącie? Tylko o Trójkącie.

— Dobrze, bardzo krótko. Chodzi o jeszcze jedno zastosowanie głównej zasady: żadnych działań bezpośrednich, zawsze pośrednictwa. Nigdy nie walczyć z przeciwnikiem na własnym ani na jego terenie, dobierać się do niego gdzie indziej, w innym kraju, innym kontekście społecznym, w innej dziedzinie intelektualnej niż ta, w obrębie której doszło do konfliktu. Doktryna ta zakłada trzech uczestników gry: nas, przeciwnika i, że tak powiem, materiał kontrastujący, oświetlający, odzwierciedlający nasz manewr. Powiedzmy, że chcę zaatakować wielkie cesarstwo. Nie będę go zaczepiał bezpośrednio, za to zdyskredytuję je pośród jego sojuszników i klientów, czyli państw utwierdzających jego panowanie w świecie. Zobaczysz pan już niedługo, jak korzystne okaże się dla nas pojawienie się słabo rozwiniętych zdekolonizowanych krajów: za ich pośrednictwem będzie można podjąć działania antyamerykańskie na wielką skalę. Założmy teraz, że zainteresowałby mnie któryś z tych krajów. Otóż zacząłbym mnożyć przyjacielskie gesty pod jego adresem i zarazem prowadziłbym niszczyielskie prace wewnątrz kraju, aż rozsypałby się, jako że cała jego struktura zostałaby unicestwiona.

— W jaki sposób zniszczyłby go pan od wewnątrz?

— Przy pomocy metod, których można się nauczyć, Aleksandrze Dmitryczu. Naprzód trzeba dogłębnie poznać społeczeństwo, nad którym się pracuje. Oto dlaczego metody, które odkryliśmy i które nasi wrogowie odkrywają w jakiś czas później,

nie przydadzą im się na nic! Kapitałiści są zbyt leniwi i zbyt pewni siebie, by potrafili zachowywać się „jak ryby w wodzie” na obcym terenie. Trzeba zrobić wielki wysiłek i poznać społeczeństwo, które chcemy opanować, lepiej niż je znają jego członkowie. Wypracowaliśmy tu odpowiednie techniki, których nie wyjaśnię panu dzisiaj. Grupujemy je pod hasłem „teoria wnikania”.

Zalóżmy więc, że postanawiam rozciągnąć mój wpływ na pewien kraj. Trójkąt będzie się składał ze mnie, z władz tego państwa i z jego społeczeństwa, przy czym społeczeństwa nie będę ujmował w kategoriach przeciwnika, tylko jako „kontrast”. Stawiam sobie trzy cele: rozbić tradycyjnych elit, które mogłyby osłonić społeczeństwo przed skutkami moich działań; dyskredytacja mojego przeciwnika, władz, w czym pomoże mi lud, to jest mój „kontrast”; wreszcie neutralizacja samego ludu. Każdy z tych trzech elementów wspomagany będzie przez specjalne akcje. Tradycyjne elity rozbiję przez wywołanie w nich poczucia winy. Wytworzę w społeczeństwie i u najsłabszych przedstawicieli elit przekonanie, że były one w przeszłości szkodliwe i wciąż szkodliwe pozostają. A jednocześnie, nie troszcząc się o żadną konsekwencję, będę się starał wykazać, że grupy te nie przynoszą żadnego pożytku, są pasożytami, iluzją, a nie rzeczywistością. Dzięki temu wytworzę przepaść między rodzicami i dziećmi, przełożonymi i podwładnymi, między dowódcą i jego żołnierzami. Moi agenci będą posługiwali się potrójnym sloganem: dobra wiara, słuszność, zdrowy rozsądek. Wychodząc z pozycji siły będą atakowali władze, czyniąc je odpowiedzialnymi za wszelkie rzeczywiste zło istniejące w tym społeczeństwie, nie licząc zła wymyślonego. Jeżeli to społeczeństwo będzie dość autorytarne, zdobędzie się na represje, a to przysporzy mi męczenników i będę mógł odwoływać się do opinii międzynarodowej. Społeczeństwo liberalne ulegnie jeszcze szybciej, gdyż dowodząc, iż można je bezkarnie atakować przejdę do trzeciej fazy mojej akcji (na tym zresztą polega istota inteligentnie pojmowanego terroryzmu). Po drodze posłużę się też propagandą

projekcyjną, to jest oskarżę przeciwnika o stosowanie metod, z których sam mam zamiar zrobić użytek. Sprawি to, iż będę mógł się powoływać na okoliczność obrony koniecznej. Proszę nie zapominać, Aleksandrze, że obecne rewolucje, w przeciwieństwie do rewolucji dawnych czasów, prowadzone są przeciwko większości, nie przeciw mniejszości. Większość kapituluje, gdy udaje się nam ją obezwładnić. Można to osiągnąć na kilka sposobów. Czasem udaje się przekształcić większość społeczeństwa w gigantyczną grupę gimnastyków: podnieście lewą nogę — podnoszą, podnieście prawą — podnoszą; podnieście obie — spadają na cztery litery. Niekiedy natomiast trzeba, przeciwnie, podzielić społeczeństwo na miliony indywiduów, zatimizować je tak, aby każdy obywatel znalazł się naprzeciw maski Gorgony, czując swą bezbronność, skłonny do kapitulacji. Tworzy się wtedy nastrój paniki. Wystarczy rozpowszechnić przekonanie o wyższości przeciwnika, przeprowadzić parę zamachów terrorystycznych, by wytworzyć fascynację podobną do tej, której doznaje żaba na widok zaskrońca. Czasem można się też posłużyć pseudo-nadmysłową rupieciarnią: przepowiedniami, wizjami, Rasputinami różnego kalibru. W każdym razie gdy tylko mowa o mobilizacji mas, naprawdę chodzi o to, by je zdemobilizować. Kiedy się to osiągnie, gdy więc „kontrast” jest unieruchomiony i bezsilny, przeciwnik realny dostaje się w nasze ręce jak oblużowana cegła. Oto, w skrócie, teoria Trójkąta. — Jeszcze wspominał pan o Drucie.

Tym razem Pitman zawahał się. Zrobił kilka kroków. Przewodnik spoglądał na zegarek. Autokary, zabrawszy na pokład Barbarzyńców, odjeżdżały w stronę Opery. Światło zmieniało kolor: nie było już białe, jeszcze nie stało się złote. Zdawało się, że padało na wielki krążownik Notre Dame przefiltrowane przez ukryty gdzieś witraż o delikatnej barwie.

Trzy zasady *Vademecum*, zrelacjonowane bez podania konkretnych sposobów zastosowania, nie składały się jeszcze na

kompletną inicjację, zaledwie jej załączek. Ale jednak załączek został przekazany Aleksandrowi. Młody Psar, mimo że obywatel sowiecki, pochodził z rodziny reakcjonistów, wychowany został we Francji, mógł utrzymywać sekretne związki z przeciwnikiem, kontakty, których ankieta nie zdołała odkryć. Któregos dnia doktryna wywierania wpływu znana będzie całemu światu, na razie jednak trzeba było przestrzegać najdalej idącej dyskrecji. Jakub Mojsiejewicz Pitman musiał teraz podjąć decyzję: albo wyjawí jeszcze i ten sekret, ryzykując zdradę, albo też ukryje go, narażając się na unik ze strony Aleksandra.

— Niech pan słucha — znów stanął tuż obok chłopca i oparł się łokciami o balustradę — mogę o tym mówić w sposób bardzo ogólnikowy. Obraz Drutu wziął się stąd, że, jak wiadomo, by złamać drut trzeba go wyginać w obie strony. W tym miejscu mamy do czynienia z samą istotą naszej sztuki wojennej. *Agent d'influence* to przeciwieństwo propagandysty, albo raczej propagandysta absolutny: nigdy nie jest za, zawsze przeciw, rozdając karty, zmiękczać, rozklejając, rozwiązując, niszcząc, otwierając wszystkie zamki. Jeśli nadal będzie się pan nami interesował, pożyczę panu książkę myśliciela chińskiego, Sun Tsu, który żył przed dwudziestu pięciu wiekami i był kimś w rodzaju Clausewitza swej epoki. Pomiędzy innymi niezwykłymi myślami wypowiedział i tę sentencję, która odnosiła się do wojska stojącego w obliczu przeciwnika, ale charakteryzuje też świetnie nas samych: „Przede wszystkim powinno się unikać przybrania kształtu, który mógłby zostać precyzyjnie opisany. Jeśli się wam to powiedzie, uodpornicie się na spojrzenia najprzenikliwszych szpiegów i nawet najlepsze umysły nie będą w stanie przygotować zwróconych przeciwko wam planów”. Przykład: sowiecki *agent d'influence* nie może w żadnym razie uchodzić za komunistę. Obojętnie, na lewicy czy na prawicy, zawsze będzie nadwyręzał istniejący system. Do tego sprowadza się jego zadanie. Spełniając tę rolę pozostaje całkowicie bezkarny. Żadna ustawa,

Aleksandrze Dmitryczu, to znaczy żadna ustawa prawna na Zachodzie, nie zabrania demontażu własnego społeczeństwa. Wystarczy grać w czerwone i czarne, w parzyste i nieparzyste.

Aleksander wpatrywał się w zachodzące słońce, które zbliżało się do horyzontu niczym statek wracający do portu.

— Pewnego dnia — powiedział — gdy byłem dzieckiem, ojciec zaprowadził mnie do wesołego miasteczka. Zatrzymaliśmy się przed wielkim kołem, podzielonym na czerwone i niebieskie sektory. Trzeba było trafić w jeden z tych kolorów. Nagrodą była rybka w słoju. Miałem na nią ochotę i wtedy ojciec zapłacił za dwa rzuty i powiedział: „Ty postawisz na czerwone, a ja na niebieskie, w ten sposób na pewno wygramy”. Rybka kosztowała mniej niż dwa rzuty, może nawet mniej niż jeden. Mimo to nie byłem pewny, czy nasze postępowanie było uczciwe. Ale powiedziałem ojcu: „Zgoda”. To on wygrał rybkę i ofiarował mi ją. Byłem z tego zadowolony.

Pitman milczał długo. Aleksander też zamilkł.

— Czy mam rozumieć, że kryje się w tym odpowiedź? — za pytał Pitman.

Chłopiec uśmiechnął się melancholijnie:

— Tak, ale pod jednym warunkiem. Będę wam wiernie służył przez trzydzieści lat, nie skąpiąc energii, nie szczczędząc własnego życia. Ale, nim przekroczę pięćdziesiąty rok życia, pozwolicie mi wrócić, tak jak sobie tego życzę, jak mi nakazał mój ojciec.

— Ma pan moje słowo oficera i bolszewika — powiedział Pitman wyciągając dłoń do uścisku.

— Zamykamy— oznajmił południowym akcentem ziewający przewodnik.

Gdy tylko świeżo zwerbowany agent i jego przełożony rozstali się u stóp katedry, Pitman pognął znów do swego telefonu:

— Mohamedzie Mohamedowiczu, wygraliśmy!

Aleksander wrócił do pokoju, który dzielił z ojcem, i rozplakał się. Oplakiwał śmierć biednego podporucznika marynarki, tak, ale może jeszcze bardziej utratę własnej niewinności. Czytał niedawno Goethego i doskonale zdawał sobie sprawę, co uczynił tam, na wieży katedry. Pozbawiać ludzi wolności działania uchodzi za rzecz diabelską, on jednak szedł jeszcze dalej, sam zajął miejsce tego kogoś, kto mówi wewnątrz nas: „Wybieram”. Rozciągnięty w ciemnym pokoju na swoim łóżku o połamanych sprężynach, wpatrywał się w ciemnobłękitny trapez wyświetlany przez okno na suficie. W pewnej chwili powiedział pompacyjnie, z grandilocwencją właściwą swemu wiekowi:

— Będę złym duchem myśli francuskiej.

Można być pompacyjnym i nie mijać się z prawdą.

Niedługo później Aleksander dostał wezwanie do komisji poborowej i stanął, zupełnie nagi, przed lekarzem wojskowym, który nazywał się Nanan i miał na sobie jaspisowy mundur, granatowe kepi i złożone galony.

Nanan, niezadowolony z żołdu, poświęcał chwile wolne od garnizonowych zajęć na dyskretne przeprowadzanie sztucznych poronień. Z tarapatów wyciągnął go pewien komunistyczny deputowany i odtąd Nanan służył dwóm panom. Na żądanie zwalniał młodych ludzi od służby wojskowej jako niezdolnych i uchodziło mu to na sucho, jako że protekcje w tej dziedzinie nie należą we Francji do rzadkości. Psar był w jego praktyce zupełnie wyjątkowym niewdzięcznikiem i niewiele brakowało, by przysporzył mu poważnych kłopotów.

— Nie nadają się? Ja? Domagam się drugiej ekspertyzy! — szlochał Aleksander, wyzywający w swej jasnowłosej nagości.

Pitman musiał interweniować, popełnił błąd, powinien był zażądać od Aleksandra tego poświęcenia zamiast zmuszać go do zaakceptowania prawnego szwindlu. Powinien był wytłumaczyć mu, że szkoda czasu, że przecież nie miało sensu, by Aleksander czyścił buty do połysku, podczas gdy sowiecka ojczyzna oczekuje

jego usług... Aleksander podporządkował się, lecz przez długi czas miał żal do swych przełożonych i przebaczył im dopiero pod koniec roku 1968, gdy mianowany został podporucznikiem KGB: epolety lub prawie.

We wszystkim innym był całkowicie posłuszny. Chciano, żeby legitymował się dyplomem Sorbony, z literatury francuskiej. Otrzymał go więc, i to z wynikiem bardzo dobrym. On, który później za pośrednictwem jednego ze swych „pudeł rezonansowych” miał puścić w obieg hasło: „Ortografia jest reakcyjną i represyjną dyskryminacją, ostatnim burżuazyjnym okowem, jakiego proletariats jeszcze nie zerwał”, otrzymał 16 punktów na 20 za dyktat z Mérimée'go! Swoje studia traktował jak rekonesans, wyprawę na terytorium wroga. Później zechciano, by zapisał się na Columbia University. Wyjechał do Nowego Jorku nie żegnając się z nikim.

— To będzie — powiedział Pitmanowi — moja kampania egipska.

— Niezupełnie. Po pierwsze trzeba, żeby się pan nauczył amerykańskiego. Bez tego nic pan nie osiągnie w nowoczesnym świecie, mój złoty Aleksandrze Dmitryczu (Pitman ograniczał się tylko do metali). Ponadto tylko Amerykanie mają tradycję zawodu agenta literackiego, więc musi pan odbyć u nich staż. Wreszcie będzie to świetna okazja stworzenia pretekstu dla kapitału, który będzie panu potrzebny do założenia własnej agencji. Powie się, że przywiózł pan oszczędności z Ameryki.

Był jeszcze i dodatkowy powód: po kilkuletnim pobycie w Stanach Zjednoczonych Aleksander będzie się czuł mniej pewnie we Francji. Dzięki temu ryzyko przejścia do przeciwnika, na stronę francuską, znacznie się zmniejszy. Efektu przeciwnego, wynikłego z nostalgii, Pitman prawie nie brał pod uwagę, zbyt wiele upokorzeń i uraz wiązało się z młodością Aleksandra.

Aleksander tymczasem, jak zawsze flegmatyczny, posłuszny i nieuchwytny, ukończył studia na Columbia University *summa cum laude*.

Pewnego dnia wstąpił do baru przy 43 Ulicy i zamówił parówki. Zajął miejsce na wysokim taborecie przed kontuarem. Sąsiedni taboret był pusty, i, w rozmarzeniu, Aleksander pomyślał, że za chwilę usiadzie na nim piękna dziewczyna.

Piękna dziewczyna zajęła miejsce obok Aleksandra. Rozglądała się dokoła nieco trwoźnie. Niezbyt biegłą angielszczyzną zamówiła porcję lodów. Aleksander przyglądał jej się dyskretnie, jak to jest w zwyczaju zakochanego Rosjanina, przejętego bogobojnym respektem.

Miała długie rzęsy, w których cieniu kryły się zielone oczy. Długa szyja przydawała jej dystynkcji. Blade usta nie miały w sobie nic zmysłowego. Jej owalne czoło, myślał Aleksander, aż prosiło się o diadem. Zapewne była istotą cielesną, on jednak nie brał tego pod uwagę.

Pierwsza skończyła swój skromny posiłek i chciała zapłacić kelnerce, ta jednak podbródkiem pokazała na kasę. Aleksander ze ściśniętym gardłem — nigdy w życiu nie przemówił do nieznamomej — wyjaśnił, co należało zrobić. Dziewczyna podziękowała mu — „Tank you” — patrząc na niego nieśmiałym wzrokiem. Znaleźli się przy kasie. Aleksander rozdarty był pomiędzy dwa sprzeczne uczucia: „Oby tylko nie pomyślała, że będę za nią szedł” oraz: „To zbrodnia, stracić ją z oczu, jeżeli to Ona”.

Dziewczyna otworzyła swą portmonetkę. Grzebała w niej, badając zawartość spojrzeniem krótkowidza. Wydobyła stamtąd zaledwie kilka miedziaków.

— Za mało — powtarzała złym głosem kasjerka.

Gdy wreszcie piękna dziewczyna zrozumiała, że zabrakło jej pieniędzy, krzyknęła z rozpaczą:

— *Boże mój!*

Reszta była już całkiem łatwa. Następne trzy godziny młoda para spędziła włócząc się po ulicach i po parku, który jeszcze wtedy był względnie bezpieczny. Aleksander szybko poznał jej znakomite imię i nazwisko: Tamara Szcz. Była członkinią chóru

folklorystycznego. (Pitman zaproponował tancerkę — jako że balet sowiecki częściej podróżuje — ale Abdurachmanow zaprotestował: „Nie, nie, Jakubie Mojsiejewiczu, żadnych fikających nóg, nasz chłopak jest na to zbyt delikatny!”) Tego wieczoru chór nie występował, Tamarze udało się zmylić czujność „tłumaczy” i pójść obejrzeć prawdziwy Nowy Jork. Podobnie jak Kopuszek musiała wrócić do hotelu przed północą. O czym rozmawiali? O Rosji i o miłości. Pożegnali się bez pocałunku.

Nazajutrz Aleksander wybrał się na koncert i przekonany był, że rozpoznaje jej głos w świetnej *Łuczynoczce*. Później chór poleciał do San Francisco.

Aleksander nie pisał do Tamary, by nie narażać jej na przykrości. Służąc temu reżimowi nie miał złudzeń co do jego liberalizmu; kto wie, może właśnie dlatego chciał mu służyć. Mógł co prawda powołać się wobec władz sowieckich, że i on pracuje dla Sprawy, zbyt jednak wielką wagę przywiązywał do konspiracji. Tamara? Uznał Ją, to była Ona, kochał Ją, nie zobaczy Jej nigdy więcej: dla Rosjanina było to zupełnie zrozumiałe.

Lata biegly i pewnego razu Abdurachmanow zwrócił się do Pitmana:

— Nie można karmić słowika tylko bajkami.

Rzeczywiście, obyczaj Aleksandra rozluźniły się nieco. Gdy tylko chciał, mógł, bez najmniejszego uczuciowego zaangażowania, korzystać z kochanek, które podsuwało mu KGB. Żadna z nich nie była Francuzką. Trzeba było unikać fizycznych związków z krajem, przeciw któremu pracował. Żadna też nie była Rosjanką. Poślubi rodaczkę, gdy „wróci”, na razie jednak trzeba było starannie oddzielić to, co było „prawdziwe” od najzwyczajszej konieczności fizjologicznej. Zresztą Aleksander nie był w tej dziedzinie bardzo wymagający. Zdarzało mu się nie wykorzystywać okazji podsuwanych mu przez organizację.

Miał lat dwadzieścia siedem, dyplom Columbia University, przeszedł staż *agent d'influence* w tajnej szkole w Brooklynie

oraz praktykę u agenta literackiego przy Madison Avenue. Z takim dorobkiem wrócił do Paryża. Z samolotu, który lądował na Orly, wyszedł krokiem przypominającym nieco krok zdobywcy. Słowa, jakie przed ośmiu laty wypowiedział na wieży Notre Dame, zapisały się w jego duszy, zostawiły w niej ślad podobny do tego, jaki zostawia na palcu długo noszona obrączka. Wracał, by uregulować swoje porachunki z Francją, zagrać jej do tańca na fujarce.

Pitman wciąż jeszcze zajmował swoje stanowisko w Paryżu, tak więc obaj mężczyźni, których przestała już dzielić różnica wieku, znaleźli przyjemność w ponownym spotkaniu. W ich stosunku nic nie przypominało relacji między synem i przybrany ojcem, był to raczej związek Mefistofelesa i Fausta. Ton ten narzucił Aleksander, a Pitman, jak zawsze, zręczny i dobronuduszy, nie zaprotestował przeciw temu układowi. To on był prawdziwym zawodowcem, przyjęło się jednak uważać, że pewne śmieszności nie pozwalają mu pokazywać się publicznie na scenie, na której wystąpić miał Aleksander.

— Pan, Aleksandrze Dmitryczu, jako arystokrata... — mawiał Pitman z mieszaniną złośliwości i podziwu.

Aleksander odpowiadał na to:

— Rzeczywiście, Jakubie Mojsiejewiczu, powinien pan nauczyć się, jak wypluwać pestki z oliwek.

Panowała między nimi atmosfera wzajemnego zaufania; jeden widział w drugim jego zalety. Była w tym nawet odrobina czułości, jako że Aleksandrowi nie brakowało pobłażliwości, a Jakubowi współczucia.

Wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy Pitman, który zwerbował Aleksandra, pozostawał też jego pierwszym przełożonym, co tworzyło w ich stosunkach ryzykowną kombinację przyjaźni i związku czysto zawodowego. Pierwszy wstrząs mógł zepsuć wszystko.

Zgodni byli co do tego, że postępowanie Aleksandra nie może

ściągać żadnych podejrzeń, i, co za tym idzie, podróże za żelazną kurtynę, przed ukończeniem misji, nie wchodziły w grę. Każdy uważniejszy policjant mógłby wtedy zadać sobie pytanie, czego ten biały Rosjanin szuka w czerwonej Rosji. Tymczasem *agent d'influence* funkcjonuje skutecznie tylko wtedy, gdy nie wzbudza najmniejszych podejrzeń. Naraz jednak Aleksander wbił sobie w głowę, że najbliższy urlop spędzi w ZSRR.

Wrażliwy jak zawsze Pitman powiadomił o tej prośbie Abdurachmanowa. Człowiek-góra zamienił się w człowieka-wulkana:

— Wydaje mi się, mój tekturowy Jakubie Mojsiejewiczu, że już panu powiedziałem: ten kacap, szlachciura, ma zdechnąć w gnojówce emigracji.

Wówczas Pitman, poeta-manipulator, pokazał swą klasę:

— Aleksandrze Dmitryczu, zgodził się pan na misję mającą trwać trzydzieści lat, u końca których ma pan ujrzeć na nowo od krytą ojczyznę. Miała to być niezwykła historia miłosna. I teraz co, chce pan to zmienić na zwyczajny flirt?

Aleksander nie wspomniał już nigdy więcej o wycieczce do ZSRR. Był upokorzony tym, że ktoś, kogo uważał za mniej subtelnego od siebie, zwrócił mu uwagę na tę właśnie stronę zagadnienia.

Wkrótce później pułkownik Pitman przeniesiony został do sztabu departamentu. Mógł jeszcze podróżować, ale przestawał odtąd dyrygować bezpośrednio podległymi mu agentami. Od tej chwili Oprycznik podlegał „Iwanowi”. Mimo drobnych nieporozumień współpraca z Iwanem układała się dość gładko. Na znak szacunku Aleksander przezwał go „Iwanyczem”. Dopiero przy następnym zwierzchniku pojawiły się problemy: ten nazywał się też „Iwan”, wobec czego Aleksander mówił o nim „Iwan II”. Iwan II traktował Oprycznika tak, jakby miał do czynienia z najzwyklejszym donosicielem. Stosował wobec niego metodę kija i marchewki. Oprycznik zażądał, by odwołano tego gbura. Pitman wahał się. Lękał się, że jest dla Aleksandra zbyt łaskawy i dlatego

jego pierwsza reakcja była gwałtowna: ukarać Psara lub też wymówić mu definitywnie służbę.

— Nie ma o tym mowy, ojczulku — powiedział mu Abdulrachmanow, puszczając kłęby błękitnego dymu. — Zdarza się, że przemoc nie wystarcza i trzeba odwołać się do brutalności.

— Nie ma pan chyba na myśli... departamentu piątego?

— Nie, mój kartonowy Jakubie Mojsiejewiczu. Popełnił pan grubą niezręczność, wyznaczając na pilota Oprycznika podobnego chama. Musi pan teraz wziąć na siebie całą winę, uderzyć w ton patriotyczny, odwołać tamtego durnia i posłać go gdzie pieprz rośnie. Dobrze pan zrobił nie ukrywając przede mną tej sprawy. W przeciwnym razie to pan, ojczulku, zajmowałby się w przeszłości dezinformowaniem Buriatów.

Iwana II zastąpił „Igor”, którego Aleksander ochrzcił „Iwanem III” — „Skoro nie podaje się ich prawdziwych imion, będę ich nazywał zawsze tak samo, tak jak w przypadku pokojówek”.

Iwan III rozumiał się dobrze z Aleksandrem, ale zauważył, że przyswaja sobie pewne jego opinie czy sądy.

— Czy nie kryje się w tym ryzyko, Mohamedzie Mohamedowiczu? — spytał Pitman.

Abdulrachmanow westchnął:

— Jest pan zadowolony z Oprycznika? Tak. Nadzoruje go pan? Tak. Czy nie skaptował go przeciwnik? O ile nam wiadomo — nie. Niech się pan więc nie zachowuje jak sklepikarz. Nie ma nic dziwnego w tym, że człowiek o silnej, promieniującej osobowości — o czym przecież my dobrze wiemy, bowiem właśnie dla tej cechy nasz wybór padł na niego — wywiera wpływ na niższe szarże, których zadaniem jest nadać połysk temu słończku. Wywieranie wpływu jest zawodem tego nieboraka. Zamiast więc lękać się wpływu z jego strony, niech pan zdaje sobie z niego sprawę i niech pan to odejmuje od wagi, tak jak się taruje ważony towar. Jeżeli chce pan zachować pewność, że wszystko jest w najlepszym porządku, niech mu pan przydziela zawsze

pilotów czułych na jego wdzięk, zauroczonych przezeń, wręcz bliskich obsesji. Gdy tylko poczuje pan, że trzeba go trochę bardziej surowo potraktować, zmieni pan pilota.

Na miejsce Iwana III, który zakończył swój pobyt we Francji, przyszedł Iwan IV, osobowość raczej bezbarwna, ale człowiek dobry, ciepły. Także i on stał się „Iwanyczem”. Uwielbiał Oprycznika, co jednak nie przeszkadzało mu w wykonywaniu zawodu, to znaczy w stałym transmitowaniu instrukcji i pieniędzy w jedną stronę, pokwitowań i sprawozdań w drugą. Pitman uśmiechał się radośnie pod swymi okularkami. Chciał tylko jednej rzeczy: żeby wszyscy byli szczęśliwi.

Aleksander liczył sobie lat czterdzieści trzy, miał rangę podpułkownika, w chwili gdy Iwan IV, ten banalny *bon vivant*, najprzeciętniejszy oficer, paryski kagebista, podniósł alarm. Wezwany do dyrekcji na okresową rozmowę z pułkownikiem Pitmanem (co nazywał pójściem do spowiedzi), stworzył wrażenie, że nie o wszystkim opowiedział, chociaż z ochotą odpowiadał na wszystkie pytania. Wstawał z krzesła, siadał znowu, kontemplanował portret Dzierżyńskiego, odczytywał po raz dziesiąty przykazania Sun Tsu, które Pitman, na wzór Abdurachmanowa, kazał wyrycić w drewnie. Przypominał psiaka, który jakoś nie może ułożyć się do snu. Pitman postanowił więc rozmawiać z nim tak długo, póki poczciwiec nie wyrzuci z siebie tego, co mu leżało na sercu. Na razie zadawał mu niewinne, obojętne pytania. Odpowiedzi, równie swobodne, miały przyczynić się do rozluźnienia nastroju. Za oknami zapadał zmierzch. Pitman nie zapalał światła. Wreszcie, w półmroku, Iwan Iwanycz wymamrotał:

— Jest jeszcze coś... Być może nie ma to żadnego znaczenia... Jeżeli jestem starym idiotą, proszę nie brać tego za złe... Niech mi pan powie: jesteś imbecylem, osłem, który nie zasługuje na swoje sianko! Proszę tak powiedzieć, towarzyszu pułkowniku, niech się pan nie krępuje. A jednak, wydaje mi się...

sumienie czekisty...

Pitman czekał cierpliwie.

— Towarzysz pułkownik ogląda się za małymi chłopcami.

— Chce pan powiedzieć?... — Pitman nabrał powietrza z obrzydzeniem.

Iwan Iwanycz zaczerwienił się po czubki uszu i zatrzepotał ramionami:

— Nie, nie o to chodzi. Pan ma dzieci, przepraszam za niedyskrecję?

— Sześcioro.

Eliczka spełniła swój obowiązek.

— Ja sam mam trójkę, trójkę udanych pętaków, i, rzecz jasna, może pan być spokojny, bolszewików. Trójka ślicznych bolszewiczków, jasnowłosych, największa radość mojego życia, po godzinach służby, ma się rozumieć. Cóż, gdybym był w jego wieku i nie miał żadnej blond główki do pieszczenia... Niech pan pomyśli o sobie, towarzyszu pułkowniku... Gdy tylko w pobliżu przechodzi jakiś mały chłopczyk albo dziewczynka, także, lecz przede wszystkim chłopczyk, on śledzi go wzrokiem i wydaje się, że szepcze coś pod nosem. I także, od pewnego czasu, posługuje się wciąż zdrobnieniami, on., który do niedawna szydził z nich. „Pan, Iwanie Iwanyczu, z pańskim spotkankami i polecenkami...”. Wykonałem nawet małe badanie statystyczne. Wypada mniej więcej pięć do sześciu zdrobnień na godzinę. To trwa już od roku.

Pitman poczuł falę wzruszenia. Było to szczerze wzruszenie: ta sama szczerota była źródłem jego siły. Problem zdrobnień i małych główek do pieszczot przedstawił wkrótce generałowi, który, w wieku lat siedemdziesięciu pięciu, gotował się do przejścia na emeryturę. Żeby móc spokojnie porozmawiać z Abdulrachmanowem, trzeba było naprzód odprawić ordynansów, zajętych w jego gabinecie o pustych ścianach rolowaniem bucharskich dywanów.

Mohamed Mohamedowicz zastanowił się. Jego własne życie

prywatne pozostawało dla jego współpracowników całkowitą zagadką. Jedni obdarzali go haremem, inni twierdzili, że gustuje w obu płciach, jeszcze inni byli zdania, że lata służby pozbawiły go potrzeb w tym względzie. Jego wielkie oblicze nie było mimo wieku prawie wcale porysowane zmarszczkami, ale wyglądało nieomal jak bazaltowa skała, na której nie malowały się żadne uczucia. Po upływie minuty zawyrokował:

— Trzeba kobiety. Żadnej tam jaskółeczki. To musi być oficer. Niech ona o tym wie. Na razie nie ma mowy o małżeństwie, ale niech mają syna. Załatwi pan dla nich miesiąc miodowy, gdziekolwiek, a potem korespondencję za pośrednictwem pilota. Żadnych spotkań. Pierwsze po pięciu czy sześciu latach. On zaczeka.

— Ale... później, Mohamedzie Mohamedowiczu? Czy pozwolimy mu wrócić?

— Nigdy. Ale to, co Sun Tsu określa jako „boski węzeł”, zwiąże się jeszcze ciaśniej wokół niego.

Pitman wciąż nie mógł zrozumieć, skąd brała się niechęć wielkiego człowieka do Aleksandra.

— Niech ona będzie dobrze zbudowana — ciągnął wielki człowiek, który zachował zdumiewającą pamięć. — Nie taka platoniczna jak poprzednia.

Gdy Pitman zbierał się do wyjścia, generał dodał jeszcze:

— Dziewica. Lub uchodząca za dziewicę.

— Ale, towarzyszu generale...

— Jest pan czekistą. Musi pan sobie poradzić.

Powracający do gabinetu ordynans otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Ała Kuzniecowa miała dwadzieścia cztery lata, stopień kapitana i piękne szare oczy. Pochodziła z wielkorosyjskiej rodziny chłopskiej. Była dorodna, cechował ją ciężkawy nieco wdzięk jej rasy. Była marzycielką. Kochała muzykę. Lubiła wspinać się na

drzewa. Osobista ambicja i dziedziczna pruderia sprawiły, że nie poświęcała dotąd zbyt wiele uwagi mężczyznom.

Aleksander wybrał ją tak, jak księżęta wybierali niegdyś swe żony. Studiował jej fotografie, badał informacje, jakie mu dostarczano na temat stanu jej zdrowia, jej studiów i jej charakteru. Nigdy nie marzył o prowadzeniu zwykłego mieszczańskiego żywota; spodobało mu się, że oto w taki sposób rzuca chusteczkę pod nogi swej wybranki. Jednocześnie doceniał troskę przełożonych o ułożenie jego życia.

Abdulrachmanow zażądał, by przedstawiono mu wybrankę Aleksandra.

— Królewski kąsek — oświadczył, zbadawszy twardość jej mięśni. — Łobuz ma niezły gust.

Pitman nie wyrzekł ani słowa. Każda pociągająca kobieta wywoływała w nim odruch czułości i od nowa budziła jego namiętność dla grubej już Eliczki.

Powzięto tysiąc środków ostrożności, by spotkanie tych dwojga odbyło się potajemnie. Psar oświadczył wszystkim, nawet swej wiernej sekretarce, że wybiera się na przejażdżkę statkiem po fiordach Norwegii, kupił bilet lotniczy do Senegalu i pojechał do Jugosławii, wynajmując BMW pod fałszywym nazwiskiem.

Jego firma dobrze to przygotowała. Romantycznie mały lecz wygodny domek, po którego murach pięła się winorośl, domek o dwóch łazienkach, wzniesiony na wzgórzu nad Adriatykiem, otoczony kwitnącym ogrodem i oddzielony od szosy siatką pod napięciem, czekał na pułkownika i przyszlą pułkownikową. Dywany (Abdulrachmanow: dywany to bardzo ważne, usposabiają do wylewności) wyścielały wielki salon o kamiennej posadzce. Ściany o fantazyjnych załomach poprzecinane były czymś w rodzaju otworów strzelniczych. W kącie naprzeciw kominka stał fortepian, dalej kanapa wyłożona wyszywanyimi poduszkami i tuż obok gramofon, wyposażony w przynajmniej pięćdziesiąt płyt, milczał tak jak milczą, w szczególny sposób, wszystkie

aparaty muzyczne (Pitman: to ważne, muzyka, apeluje do serca). W lodówce, prócz wielu innych rzeczy, znajdowały się cztery gatunki kawioru i dwanaście rodzajów wódki (Abdulrachmanow: trzeba, żeby mogli codziennie jeść ostrygi — Pitman: przygotowuję dla nich chałwę). Barek mieścił koniaki gruzińskie (ze względów patriotycznych) i francuskie (dla ich smaku!). (Abdulrachmanow: oby tylko nie zapomnieć o napojach! — Pitman: trzeba pamiętać o butelce śliwownicy.)

Nie zapomniano też o dekoracjach. W sypialni Abdulrachmanow kazał zawiesić *Skradziony pocałunek* Fragonarda, wypożyczony z Ermitażu, co było możliwe dzięki randze wielkiego człowieka. Narzekali na to tylko niektórzy turyści (do dziś przypominają sobie puste miejsce na ścianie). Pitman natomiast polecił ozdobić ściany salonu rycinami rosyjskich romantyków. Nad kominkiem umieszczono portret Feliksa Edmundowicza. Miał on przypominać kochankom o ich misji. Lubiący tortury asceta zdawał się wpatrywać w promienną przyszłość, oświetloną blaskiem płonących szczap. Pod obrazem wyczytać można było sławetną dewizę: „Umysł chłodny, gorące serce, ręce zawsze czyste”.

Obaj kompani cieszyli się po ojcowsku moszcząc gniazdko dla swych agentów:

— Mam nadzieję — powiedział Pitman z przekonaniem — że będą szczęśliwi.

— Nie mają innego wyjścia — skomentował Abdulrachmanow, uśmiechając się złośliwie.

Zaraz po przyjeździe Aleksander nawiązał kontakt ze starą wieśniaczką, która miała pełnić funkcję kucharki. Służyła niegdyś u rosyjskich emigrantów, dzięki temu poznała dość dobrze język i lubiła się nim posługiwać. Aleksandra wzruszyło spotkanie z tą rusofilską Słowianką z południa. W jej głowie car, opiekun prawosławia, mieszał się w przedziwny sposób z małymi, mściwymi komisarzami jej plemienia, lecz mit „wielkiego brata” z Północy nie stracił nic na rzeczywistości. Szybko przywykł do sposobu,

w jaki zwracała się do niego: „Wasza Wysokość, towarzyszu pułkowniku”.

Aleksander nie znał do tej pory Jugosławii. To, co tu zobaczył, zaskoczyło go. Zawsze przekonany był, że Słowianie i ludy śródziemnomorskie należą do dwóch całkiem różnych światów, tymczasem odkrywał coś całkiem przeciwnego. Ten kraj rozciągał się między Europą Środkową i Starożytnością, między Wschodem i Zachodem. Była to jakby niewielka Rosja otwarta na Morze Śródziemne, to znaczy synteza, w której przeglądało się także i jego własne przeznaczenie.

Napełnił samochód naręczami kwiatów i pojechał na dworzec.

Ała miała na sobie niebieski kostium i białą bluzkę o wielkim kołnierzu. Szła wzdłuż peronu krokiem prawie męskim, z wysoko uniesionymi barkami, świadoma swojej urody i zdecydowana nie przywiązywać do niej żadnego znaczenia. Jej szare oczy wyrażały ten stan czujności, który powinien charakteryzować zawsze oficera w chwili, gdy znajdzie się w obecności przełożonego. Lecz kryły się w nich także bardziej marzycielskie, melancholijne, kpiarskie ogniki. Z najwyższym trudem oboje tłumili w sobie wielką ciekawość, którą tak bardzo chcieli zaspokoić. Przedstawiła się z werwą:

— Kuzniecowa.

— Jest pani taka sama jak na fotografiach.

Spojrzała na niego:

— A pan wcale nie.

W jej szarych oczach błysnęła kokieteria.

— Nie?

— W rzeczywistości jest pan młodszy.

Chciał wziąć jej walizkę:

— Niech pan zostawi. Mogę ją sama wziąć.

— Wiem, że pani może, ale nie zgadzam się na to.

Puściła rączkę walizki. Ich dłonie zetknęły się.

Szli obok siebie w milczeniu, póki on nie zapytał:

— Czy nie jest pani zmęczona? Chce pani pójść od razu do domu? Spać do jutra?

Spojrzała na niego. Jej powieki wydawały się odrobinę zmięte:

— Chcę robić to wszystko, na co pan ma ochotę.

Zatrzymał się:

— Ała, ustalmy jedną rzecz. Jeśli będę chciał, żeby pani robiła to co ja chcę, powiem pani o tym. Gdy jednak pytam, co by pani chętnie zrobiła, pani powinna mi odpowiedzieć całkiem szczerze.

— Zrozumiano.

Odebrał to „zrozumiano” jak szok. Było w tym coś pospolitego.

— No więc co sprawiłoby pani przyjemność?

— Nie jestem zmęczona. Chciałabym... zobaczyć miasteczko, co? Pójść na spacer? Z panem, oczywiście.

Irytacja Aleksandra szybko się rozplynęła. Ała miała w sobie coś z posłusznego, miłego pieska: „W tę uliczkę? Dobrze. Do tego ogrodu? Doskonale”. Ale zarazem cechowała ją też godność urzędnika. Jedno i drugie było wzruszające. Świadoma była, że należy do elity tych, którzy wiedzą, jak trzeba się zachować w towarzystwie, umrzeć za ojczyznę, wytłumaczyć historię świata w kategoriach walki klas. Czowała, że zasługuje na szacunek, wymagała, by okazywano jej respekt. Głupcy posługujący się chętnie tym słowem uznaliby zapewne, że jest zanadto „elitarna”. „Niewiele brakuje — myślał Aleksander z rozbawieniem — żebym to ja oburzył ją jakimś zanadto poufałym odezwaniem się albo, przy stole, unosząc serwetkę jedną tylko dłonią”.

Po upływie godziny nieśmiałość Ały, płynąca z różnicy stopni oficerskich, rozwiała się. Dziewczyna stała się bardziej zwyczajna, rzuciła nawet w stronę Aleksandra kilka śmiałych spojrzeń. Wcale nie próbowała go uwodzić, nie umizgała się do niego, tylko oddychała tak, jak oddychają kobiety, które wiedzą, że budzą pożądanie mężczyzn. I w dodatku gdy unosiła lekko

prawą brew, lewy kącik jej ust opadał troszkę w dół, co czyniło ją szczególnie pociągającą.

Zjedli obiad na tarasie restauracji, pod gałązkami grabu. Przed nimi rozciągało się fioletowe morze Ulissesa. Ała śmiała się, zadowolona:

— Jakie to romantyczne!

Aleksander przyglądał się jej uważnie, nie jako kobiecie — ten egzamin zdała bez najmniejszego trudu, a zresztą Psar uważał, że wszystkie kobiety są jednakowe — lecz jako przyszłej małżonce i, jeszcze bardziej, matce jego mających się narodzić dzieci. To, że energicznie służył światowemu komunizmowi nie głuszyło wcale właściwej Aleksandrowi dumy należenia do linii przywódców. Przeciwnie, był nawet zdania, iż właśnie społeczeństwo komunistyczne przywiązuje większą wagę do rozpoznawania i promowania przywódczych talentów. Liczył więc na to, że mali Psarowie osiągną w przyszłości wysokie stanowiska w kraju, zajmując należne im miejsce. Myśl ta nie miała w sobie nic snobistycznego. To, że jego żona wyszła z rodziny chłopskiej, nie przeszkadzało mu wcale, wymagał jednak, by była dobrze urodzona w innym, głębszym sensie, by zdolna była zachowywać pewną jakość życia, w stosunku do której szlacheckie nazwisko pozostaje tylko symbolem, nigdy gwarancją.

Obserwował — dyskretnie, jak mu się wydawało — jej nadgarstki, mocne i delikatne zarazem, zwracał uwagę na braki sowieckiej gramatyki, na smakowitą wymowę, pozbawioną drobnomieszczkańskiej śpiewności, nie umknął mu brak biżuterii, sposób, w jaki Ała opuszczała głowę, patrząc jednocześnie spod oka, co mogłoby być manierą, lecz nią nie było, czystość krótko obciętych paznokci, troska o to, by nie mówić z pełnymi ustami, pewność, że ma się zawsze rację w sprawach zasadniczych, i coś w rodzaju pogodnej pokory, gdy w grę wchodziły problemy drugorzędne; stopy duże, lecz nie ciężkie; umiarkowanie w jedzeniu i zarazem rozkoszowanie się potrawami; wreszcie wspaniała

szyja. Zacytował żartobliwy wiersz Aleksandra Tołstoja:

*Łabędzia szyja, szyja pawia,
Łodygi wdzięczny ruch.
Szyja radosna, wyniosła i godna,
Białego marmuru okruc.*

Także i Ała przyglądała mu się, zdecydowana spełnić swój obowiązek, nie tracąc jednakże estymy, jaką miała dla samej siebie. Dziwiły ją żarty, do których nie była przyzwyczajona. Jakiś czas później powiedziała Aleksandrowi:

— Pan kpi sobie ze mnie przez cały czas.

Jemu tymczasem wydawało się, że odnosi się do niej z szacunkiem i uwagą, może aż nazbyt podkreślonymi.

Po obiedzie wybrali się posłuchać piosenek. Aleksandra uderzał kontrast między słowiańskim językiem i arabskimi melodia-
mi. Gdy wracali, reflektory samochodu oświetlały kaskady kwia-
tów; Ała, w ekstazie, wyliczała ich nazwy, chociaż nie mogła
nawet dobrze rozróżnić kolorów. Aleksander, obojętny jak zawsze na świat zewnętrzny, niezdolny odróżnić fiołków od mieczy-
ków, myślał o alchemicznym sekrecie, który łączy w jedno dwa
rody, jego własny i tej kobiety.

Ałę zachwyciła „dacza”, o ileż obszerniejsza niż dwupokojo-
we mieszkanie, które zajmowała z matką w budynku KGB na
Strence.

— Czy zna pan Stretenkę, Aleksandrze Dmitryczu?

Wyjaśnił, że nigdy nie był w ZSRR.

Nie chciała wierzyć własnym uszom.

— Ależ pan mówi po rosyjsku nienagannie! Czasem używa pan nieco staroświeckich zwrotów, ale mimo to mówi pan świetnie.

— Nie powiedziano pani, że jestem emigrantem? — po raz pierwszy zrobił aluzję do okoliczności poprzedzających ich spotkanie.

— Wydawało mi się, że wyjechał pan z kraju w dzieciństwie.

Odsunął się odruchowo; w stosunku do tych, których określił jako „drugą emigrację” odczuwał zawsze podwójną niechęć. Jako bolszewik widział w nich zdrajców, jako dawny emigrant, którym pozostał, uważał ich za podrzędniejszy gatunek.

— Wyjechałem z kraju jeszcze nim się urodziłem — wyjaśnił.

Ała przysiadła na uzbeckim dywanie i, mimo późnej godziny, zaczęli mówić o sobie, on z oporami, ona całkiem płynnie, gładko. Siedziała wyprostowana, ze skrzyżowanymi nogami, nie było w niej ani nienaturalnej sztywności, ani ociążałości. Opowiadała o swoich studiach i ambicjach, które, bardzo szczęśliwie, szły w parze z jej wielkim pragnieniem okazania się osobą przydatną.

— U nas kobiety mogą się zajmować wszystkim. Być może zostaną kiedyś generałem. Pan — dodała nie chcąc go urazić — będzie marszałkiem. Czy chce pan herbaty? Albo kawy, jako Francuz? Zaraz zrobię.

Objęła władzę w kuchni bez najmniejszego wahania i całkiem kompetentnie. Przekonana była, że będzie chciał mieszać kawę z whisky, Aleksander zaprzeczył jednak ironicznie. Wreszcie mogli mówić otwarcie o związku, jaki miał ich łączyć. Ała znowu usiadła na podłodze i piła herbatę —, ja piję już herbatę tak jak się powinno pić, ale wyznam coś panu: nie udało mi się nigdy oduczyć mojej mamy zwyczaju trzymania cukru w zębach” — on wyciągnięty na kanapie, odkrywający po raz pierwszy ciężkie opary gruzińskiego koniaku. Pomyślał o zaletach francuskiej cywilizacji.

Zbliżyły ich do siebie patriotyzm oraz przekonanie, że system komunistyczny zawładnie światem. Pewność tego zwycięstwa budziła w niej wyłącznie radosne emocje: to tak, jakby się oczekiwało szczęśliwego zakończenia bajki. Dla Aleksandra było to o wiele bardziej złożone, tym niemniej życzył zwycięstwa partii, na którą postawił. Pogodziło ich następujące sformułowanie:

— Służymy. Nasza działalność jest służbą.

Ała wiedziała dobrze, że małżeństwa pomiędzy pracownikami KGB były jak najbardziej popierane i nie widziała nic niesłusznego w tym, że miała poślubić mężczyznę, którego przedstawiono jej jako bohatera. Na dodatek był przystojny, pełen kurtuazji, miły, inteligentny i tylko trochę mniej męski niżby sobie tego mogła życzyć. Nie to, żeby wydawał jej się zniewieściały, ale nie miał w sobie nic z kulturysty czy mocarnego ciężarowca. Jeśli zaś idzie o samą zasadę małżeństwa z rozsądku, to nie była nią bardziej zgorszona niż miliony kobiet w ciągu minionych wieków.

— W pierwszych latach — powiedział Aleksander — nie będziemy się często widywali.

Dla niego nie było to aż tak przerażające. Myśl o niemowlętach w koszulkach napełniała go lękiem i niechęcią. Przeciwnie, znajdował pewną przyjemność w wyobrażeniu, że pozna swego syna dopiero wtedy, gdy ten zacznie potrzebować ojcowskiego autorytetu i gdy można będzie wspólnie z nim bawić się ołowianymi żołnierzami. No cóż, nie będzie przez ten czas widywał Ały. Pitman nie sprecyzował liczby spotkań, na jakie się im pozwoli. Nawet jednak gdyby brać pod uwagę najgorszą możliwość, to znaczy całkowity zakaz spotkań ze względu na zachowanie sekretu, Aleksander czuł, że potrafi znieść rozłąkę.

Gdy trzeba będzie, skorzysta z prowizorycznych namiastek. Nie przewidywał też trudności z jej strony. Ała będzie wychowywała ich dziecko czekając, aż skończy się misja Aleksandra i aż będzie mógł wrócić i zająć miejsce w rodzinie. W tej dziedzinie nic się nie zmieniło od czasów księcia Igora.

Tego wieczoru spali oddzielnie. Najkrótszy choćby okres narzeczństwa wydawał się delikatnemu Aleksandrowi niezbędny. Gdyby Ała oceniła jego gest w sposób mało dla niego korzystny, będzie miała wkrótce sposobność przekonać się o swej pomyłce. O wschodzie słońca zbiegli na małą plażę, ukrytą u stóp wzgórz, i wykąпали się nago. Później Aleksander objął ją, w skupieniu, tak jak przy stole, gdy łamie się chleb.

— Po raz pierwszy — powiedział jej ze szczerością, do której nie nawykł — nie mam poczucia, że popełniam cudzołóstwo.

— Dlatego, że mamy się pobrać?

— Nie. Dlatego, że jesteś Rosjanką.

To, że była Rosjanką zmieniało w sposób zasadniczy sam akt miłosny. Coś, co na ogół łączyło się tylko z przyjemnością lub z uczuciem ulgi, stawało się sakramentem. Pogarda, jaką odczuwał dla innych kochanek: robię z ciebie użytek — zamieniała się w uwielbienie: jesteś moim pokarmem. Przeświadczenie, że oto spełnia się przeznaczenie i świat wraca do normy, jeszcze powiększało jego zapał. Przyłapywał się na tym, że szeptał tej nieznamomej kobiecie słowa miłości. Pewnej nocy powiedział do niej cicho:

— Czuję się tak, jakbym już wrócił.

Niekiedy małżeństwa z rozsądku mają najwięcej poetyckiego wdzięku.

Alłę wzruszały czułość i szacunek ze strony tego mężczyzny, starszego od niej o dwadzieścia lat. Oczekiwała czego innego. Przyjaciółki, od których dowiadywała się o dokonaniach ich kochanków, nie powiedziały jej nigdy, że mężczyzna może być istotą tak ufną i tak bezbronną. Otwartość Aleksandra była dla niej czymś rozbijającym. Jednocześnie jednak mówiła sobie, że wszystko toczyłoby się inaczej, gdyby miała do czynienia z prawdziwym bolszewikiem, a nie z tym przeżytkiem epoki (jak mówią Rosjanie: *bywszuj*). To stąd brały się jego względy, stąd ten uroczysty nastrój, przenoszący się nawet do łóżka. Gdy, później już, opowiadała o swoich przeżyciach przyjaciółkom, które słuchały jej przygód z sarkazmem i współczuciem zarazem, tak to ujmowała (oczy szeroko otwarte):

— Obejmował mnie tak, jakbym była świętym obrazkiem... I nigdy żadnego zgrzytu czy fałszu... I wchodząc do sypialni pukał do drzwi... I chciał wiedzieć, czy jestem szczęśliwa. Myślę, że prawdziwy mężczyzna nie powinien się o to troszczyć. To niedyskretne, i zresztą po cóż mu to wiedzieć?

Na razie jednak była w nim zakochana. Przytuliła się do niego w uniesieniu, z radością. Wybuchnęła śmiechem, gdy pokazał jej z dziesięć buteleczek perfum, spośród których miała wybrać prezent dla siebie. Śmiała się, gdy przyłapała go na polerowaniu pilniczkiem paznokci. Śmiała się, gdy uniósł ją w ramionach i przerzucił przez okno, tak że znalazła się wśród masy goździków. Śmiała się, gdy twierdził, że ona nie umie przyrządzić pierogów tak jak trzeba i gdy utrzymywał, że rewolucja zabiła rosyjską kuchnię. Śmiała się, gdy wychodziły na jaw jego luki w znajomości marksizmu-leninizmu. Śmiała się z przyjemnością, gdy tylko wspomniał o przyszłości: ile dzieci? jak je nazwać? gdzie będziemy spędzali nasze wspólne urlopy? Śmiała się za każdym razem, gdy czytała w jego oczach, że jej pragnie. Ale to on, na ogół umiarkowany w wesołości, myślał, że się udusi od śmiechu, gdy ona, nago, zanim znalazła się w jego ramionach, pomaszerowała w stronę portretu Feliksa Edmundowicza i odwróciła obraz twarzą do ściany:

— Nie chcę, żeby stary na nas patrzył. Gdy trzeba się było rozstać, rozplakała się:

— Sasza, jestem twoja.

Odprowadził ją na dworzec i umieścił w przedziale, obsypując ją kwiatami i czekoladkami. „Ach, jeszcze ten drobiazg”. W szkatułce znajdował się najpiękniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek widziała. Rozplakała się jeszcze raz, tym razem z wdzięczności:

— Ja przecież tylko wykonałam mój obowiązek. Nie masz mi za co dziękować — mówiła naiwnie, przez łzy.

Odpowiedział jej poważnie, ale i wzruszony, nieomal rozbawiony:

— Nie dziękuję ci za to, co zrobiłaś. Dziękuję ci za to, że, jak sądzę, miałaś w tym przyjemność.

Klejnot, mówił sobie Aleksander, zabierając się do powrotu, to za mało. Już w Paryżu ten pułkownik Komitetu Bezpieczeństwa Państwa kupił sygnet i zaniósł go do grawera. Zamówił u

niego wyrycie na owalnej tarczy sygnetu herbu rodu Psarów, herbu, na widok którego zadrżeliby zachodni heraldycy: psie paszcze, w kolorze naturalnym, zwrócone w lewo, i skrzyżowane złote różgi. Pośle go dla Alły, gdy tylko urodzi się ich syn.

Generał Abdurachmanow, zanim przeniósł się do swej „pułstelni”, w której chciał dożyć końca swych dni, zażywał kąpiei słonecznych na plaży w Soczi. Tam właśnie odnalazł go Pitman, w dziewięć miesięcy po jugosłowiańskim epizodzie.

Po raz pierwszy podwładny ujrzał ciało swego przełożonego w całej okazałości, prawie nagie. Zaskoczyła go ciemna barwa skóry — tylko czaszka zachowywała swą oliwkową błądź — wgłębienia kręgow i chuda szyja, na widok której myślało się o zwłokach, rozciągniętych na anatomicznym stole.

— Mohamedzie Mohamedowiczu, bardzo mi przykro... Czuję się odpowiedzialny także i za to.

— Urodziła się córka.

Abdurachmanow poprawił swoje spłowiałe czerwone kąpielówki i spojrzął w dal. Na horyzoncie widać było żaglówkę. Generał zacytował Lermontowa:

— Samotny biały żagiel...

Mruczał coś pod nosem. Pitman stał przy nim, w mundurze. Czuł piasek w butach. Patrzył na kołyszące się palmy.

— To bardzo niedobrze, mój emaliowany Jakubie Mojsiejewiczu, bardzo niedobrze.

Ten człowiek, urodzony na początku stulecia, służył pod rozkazami Lenina, Stalina, Malenkowa, Chruszczowa i Breżniewa. Jego przełożonymi byli Dzierżyński (przeniesiony na inne stanowisko), Jagoda (rozstrzelany), Jeżow (powieszony na drzewie w szpitalu psychiatrycznym), Beria (zlikwidowany), Semiczastny (zdjęty ze stanowiska), Szelepin (zdjęty ze stanowiska), Andropow (w jaki sposób on skończy?). Był wynalazcą nieprześcignionej broni współczesności. Jeżeli ktoś napisze jego biografię,

okaże się, że był kimś w rodzaju europejskiego Sun Tsu. W tajemniczy sposób — tak że nawet Pitman, który nie został jeszcze przyjęty do wąskiego grona „Teoretyków”, nie ogarniał tego dobrze — człowiek ten rządził światem. Tymczasem teraz Pitman miał przed sobą zaledwie wielkie brązowe cielsko piekące się w promieniach słońca.

— Cóż — powiedział — mogą przecież próbować tyle razy, ile będzie trzeba.

Od razu jednak zdał sobie sprawę, że jego sugestia nie będzie przyjęta.

Każde spotkanie z Ałłą stanowiło ryzyko dla Aleksandra, narażało jego misję. Poza tym nie było wiadome, czy był w stanie spłodzić chłopca. Jednakże było oczywiste, że narodziny jednej córki nie zaspokoją jego potrzeby zakorzenienia się w czasie i w przestrzeni.

Pitman nie miałby może dość odwagi, by uciec się do rozwiązania całkiem oczywistego. Abdurachmanow nie wahał się wcale. Całe jego życie ubiegło na robieniu sztuczek. Był posiadaczem wysokiego stopnia wojskowego i służył w organizacji policyjnej, z powołania jednak był czarownikiem. Zamknął oczy. Jego ogromna klatka piersiowa, pocięta zębą żeber, uniosła się i wydała z siebie tchnienie:

— Niech to będzie syn.

Słowa te bardziej przypominały zaklęcie niż rozkaz.

Gdyby to był rozkaz, Pitman, formalnie rzecz biorąc, nie musiałby brać go pod uwagę: zasadniczo Abdurachmanow opuścił już organizację. Tyle że tam, gdzie obaj oni operowali, nie można już było mówić ani o hierarchii, ani o aktywie, ani o kadrach rezerwowych. Liczył się wyłącznie departament, który pożegnać można tylko pożegnawszy się z życiem (i nawet to nie było całkiem pewne). Było to coś w rodzaju obcowania świętych. Święci nawzajem okazywali sobie zaufanie w sprawach służbowych idące tak daleko, że Abdurachmanowowi nie przyszłoby do

głowy zapytać, czy przypadkiem nie zawiadomiono już ojca o narodzinach córki.

Synek porucznika Jermakowa z drugiej dysekcji fotografowany był bardzo często. Kapitan Kuzniecowa otrzymała dokładne instrukcje co do treści listów, jakie wysyłała swemu kochankowi. Rzecz jasna listy te przechodziły przez ręce pułkownika Pitmana, który wyrażał zgodę na ich wysłanie. Ała bez skrupułów wykonywała instrukcje. Małą Kasię wychowywała babcia. Ała tymczasem zaczęła żywić pretensje do tego mężczyzny w średnim wieku, którego jakoś tam kochała i za którym, jak jej się zdawało, niepotrzebnie i w dziwnie nieokreślony sposób tęskniła.

Należycie wprowadzony w błąd Aleksander wybrał się na grób do Sainte-Geneviève. Z gołą głową, w palącym słońcu, przysiadł obok grobu:

— Teraz, tatusiu, pojawił się nowy Dymitr Aleksandrowicz.

W pewnym sensie, pomyślał, ostatnia wola podporucznika marynarki została już spełniona: częśćka jego ciała „powróciła”.

3

JEDEN DZIEŃ W ŻYCIU ALEKSANDRA DMITRYCZA

Dokładnie w trzydzieści lat od chwili, kiedy na wieży Notre Dame przyjęty został do służby, Psar otworzył oczy w mieszkaniu na jedenastym piętrze eleganckiego domu w Suresnes. Nie był jeszcze całkowicie rozbudzony, lecz coś podpowiedziało mu od razu:

— Od dzisiaj zacznę wracać.

Sypialnia była ogromna; jedną ze ścian, szklaną płytę, pokrywała układająca się w fałdy firana. Pod stopami ścielił się jedwabisty dywan. Harmonia delikatnych odcieni niebieskiego i stłumionych beżów świadczyła o dekoratorze, z którego talentu można było być dumnym. Ani w sypialni, ani w przylegającym do niej salonie nie znać było żadnego z tych śladów osobowości, które przekonują gości, że dekorator co prawda proponuje, lecz decyzje podejmuje lokator. To samo w łazience: starannie osuszone mydła, szczotki, w których nie tkwiły kłębki włosów, brzytwa wyczyszczona po goleniu — wszystkie te przedmioty ułożone były starannie i nic nie chciały zdradzić na temat ich właściciela. Można było domyślać się tylko, że jest to ktoś dbający o porządek i zamożny. Także książki, ustawione w salonie, powtarzały to samo. Był to kompletny i nigdy nie przeglądany zbiór wydań Plejady. Jeden tylko przedmiot wyłamywał się z ogólnej banalności

dobrego tonu, i na nim też spoczął wzrok budzącego się Aleksandra. Były to szachy elektroniczne, o ogromnych figurach z rzadkiego gatunku drewna. Czerwony wskaźnik migotał co jakiś czas, w regularnych odstępach.

— Co, nie znalazłeś jeszcze? — Aleksander zwrócił się po rosyjsku do towarzysza swych nocy.

Podniósł się z łóżka.

Decyzję swą podjął dawno temu, podjęta była właściwie od zawsze. Nie miał zamiaru jej zmieniać. A przecież nie jest rzeczą łatwą dla czterdziestodwuletniego mężczyzny zmienić nagle bieg życia, choćby w jego drobiazgach. Tam nie odnajdzie zapewne takiej wygody życiowej, luksusu nie tyle nawet materialnego — bo tego mu nie zabraknie — ile wyrażającego się w nawykach, w wieloletnich czynnościach i zwyczajach. Straci krawca, do którego przywiązał się od lat — czy tam w ogóle są krawcy? — i będzie musiał wziąć inny samochód, z uwagi na kłopoty z częściami zamiennymi. Sieć znajomości, tkana przez niego cierpliwie latami całymi, zdmuchnięta zostanie jak pajęczyna zmieciona przez szczytkę. Będzie musiał nawiązać nowe stosunki i znajomości, z ludźmi innej kategorii, wobec których nie będzie wykonywał miłego posłannictwa oszusta. Pewna niezależność, na jaką mu do tej pory pozwalano, będzie musiała ustąpić miejsca uzależnieniu. Nie wiedział nawet, jak zniesie tamtejszy klimat. Wszystkie te jednak zastrzeżenia nie mogły w najmniejszym nawet stopniu podważyć decyzji, powziętej przed trzydziestu laty.

Przy goleniu myślał znowu o dziwacznej scenie, która rozegrała się wtedy na szczycie Notre Dame, w odurzeniu i migotaniu tamtego upalnego czerwca. Nie dorównywał mu obecny czerwiec.

Gdy wychodził z łazienki, komputer przestał mrugać czerwonym okiem — oznaczało to, iż znalazł wreszcie rozwiązanie.

— F6: właśnie tak jak myślałem.

Aleksander znał ripostę już od poprzedniego wieczoru. Natychmiast ją zaprogramował:

— Masz teraz cały dzień na zastanowienie się.

Zjechał do betonowych wnętrzności budynku, do garażu. Lubił swoją bordową omegę. Kupił ją niedawno i miała to być symboliczna aluzja do alfy, którą kupił okazji dwadzieścia pięć lat temu. Teraz omega, mruczając pod dotykiem jego ubranych w rękawiczki dłoni, nie była już nawet wyskokiem; odpowiadała jego pozycji.

Zatrzymał się na moment na przejściu dla pieszych i obniżył szybę okna. Sprzedawczyni gazet, znająca go od dawna, wręczyła mu «Niezależny Dziennik». Inne gazety znajdował rano na swoim biurku, ta jednak należała do jego „orkiestry” i lubił ją przerzucać, gdy samochód uwięziony był w korkach. W trakcie jazdy odnalazł prawą ręką literacką stronę dziennika. «Niezależny» nie ogłosił jeszcze artykułu o *Słowniku dyktatur*. Aleksander, który był ojcem chrzestnym tego dzieła opublikowanego przez wydawnictwo Lux, zadał sobie trud zadzwonienia do redaktora naczelnego pisma:

— Wybory już za nami, wkrótce zaczynają się wakacje. Jean-Xavier, to już ostatni moment! Przecież wczasowicze w Saint-Tropez nie będą się trudzić lekturą podobnie pracowicie udokumentowanej książki! Zobacz pan zresztą, że *Słownik* jest napisany całkowicie w pańskim duchu, a więc...

Jean-Xavier de Monthignies lubił pozować na człowieka lewicy. Prowadził dziennik, uchodzący za pismo prawicowe. Z konieczności musiał poruszać się zygzakiem.

— Jak pan to wszystko godzi? — pytano go nieraz.

— Ja godzę zwaśnionych — odpowiadał błyskotliwie.

Wierzył w to, co mówił. Prawie w to wierzył. Słyszając nalegania Psara westchnął.

— Wiem, co chce pan powiedzieć — odparł. — My obaj dźwigamy jarzmo ciężkiej przeszłości.

Miało to znaczyć: zadał mi pan cios poniżej pasa, mówiąc o mojej linii redakcyjnej. Tak samo jak i ja jest pan potomkiem klasy panów.

Jean-Xavier de Monthignies nie czułby się dobrze, gdyby zapomniano, że jest potomkiem wyzyskiwaczy.

Dał jednak słowo i w takich wypadkach — jako redaktor naczelny — dotrzymywał słowa. *Słownik dyktatur* omówiony został w artykule zajmującym pół kolumny. Miało to być rekompensatą za opóźnienie w publikacji recenzji. „Książka obfituje w nowatorskie sformułowania — pisał Hugues Minquin, młody, poważny dziennikarz. — Na wstępie autor definiuje kryteria reżimów dyktatorskich. Oto ich przykłady: poddanie sądownictwa pod nadzór władzy wykonawczej, monopartyjność, różnego rodzaju dyskryminacje, stosowanie presji fizycznej w trakcie przesłuchań, karanie za wypowiedanie przekonań. Następnie autor wylicza trzydzieści trzy państwa, którym przysługuje określenie «dyktatury», i omawia je, przechodząc kolejno wymienione powyżej kryteria polityczne. Nie musimy podzielać jego przekonań, nie sposób jednak nie wyrazić uznania dla obiektywizmu autora. Wszystkie opisywane państwa przedstawione zostały na tej samej ilości stron (wiem, bo liczyłem). Trzeba powiedzieć, że Związkowi Radzieckiemu dostało się, co mu się należy”.

Cień uśmiechu przemknął przez nieco końską twarz Aleksandra Psara, ponad którą falowały bujne brązowe włosy Febusa. Uważał za godne podziwu, że, będąc poniekąd zawodowym iluzjonistą, znajdował zawsze bez trudu iluzjonistów niższego szczebla, palących się do przyjęcia odeń magicznej pałeczki. Co najdziwniejsze, iluzjoniści niższego szczebla uważali się za ludzi rzetelnych! Autor *Słownika dyktatur* przekonany był, że poświęcając tyle samo czujnej uwagi ZSRR i Paragwajowi daje dowód obiektywności. W rezultacie obok siebie znajdowały się hasła: „baza materialna i techniczna komunizmu, liczba mieszkańców: 240 milionów; nieukrywany cel: narzucenie własnej doktryny całemu światu”, oraz: „liczba mieszkańców: 3 miliony, cel: przetrwanie”. I oczywiście Minquin wpadł w tę pułapkę. W gruncie rzeczy wystarczyło pozwolić działać takim jak on Minquinom.

Jakub Mojsiejewicz nie omieszkąby w tym miejscu zacytować Sun Tsu: „Należy wyciągać korzyści z sytuacji jak wtedy, gdy toczymy kulę po stromym stoku; siła, jaką w to wkładamy, jest minimalna, a zyski nieobliczalne”.

„Cóż — pomyślał Aleksander, odczuwając przyjemność nieco tylko zabarwioną poczuciem wyższości — zobaczę wkrótce Pitmana, sentymentalnego, przebiegłego Pitmana”.

W jego sercu, uśpionym od tylu lat, coś drgnęło.

Przeglądał wciąż «Niezależny Dziennik» leżący na fotelu obok. Miał kolumny gazety, potem uderzał w nie dłonią, żeby móc odczytać jakiś tytuł, który go zainteresował. Cały czas przeprowadzał selekcję: najbardziej zajmowało go śledzenie pracy jego współtowarzyszy, ludzi, których nie znał i zapewne nie pozna nigdy, jako że gra, jaką wspólnie prowadzili, pozwalała im tkwić w ukryciu. Nie ryzykowali dekonspiracji. Ponieważ zaś byli Francuzami, nie mieli żadnych powodów, by żądać „powrotu”. Dzisiaj nie udało mu się odszukać śladów interwencji „pierwszego stopnia”, natrafiał tylko na drugi i trzeci stopień aktywności, to jest na tony, które przeszły już przez odpowiednie „pułła rezonansowe”, i nic więcej, nic sensacyjnego.

Pewna jednak wiadomość przyciągnęła jego uwagę. Nowa stronica dzieła pod tytułem *Rosyjska prawda* dotarła do wydawnictwa Mewa w Rzymie. Prawdopodobnie autorem pracy był jeden z więźniów Szpitala Specjalnego w Leningradzie, zakładu psychiatrycznego, do którego kierowano dysydentów. Anonimowość pisarza, okoliczności, w jakich tajemnicze kartki, stanowiące części rękopisu docierały na Zachód, a także koloryt literacki dzieła, nawiązujący jakby do typu wschodniej bajki, wszystko to ekscytowało prasę. „Żelazna Maską” — bo tak nazywano nieznanego autora — stała się może nie gwoździem sezonu, ale w każdym razie budziła sensację. Trzeba powiedzieć, że wszystkie składniki tej sprawy, to jest sytuacja tego człowieka, który nie miał ani imienia ani oblicza, uwięzionego pośród

chorych umysłowo i niewątpliwie poddawanego zabiegom niewiele odbiegającym od tortur, cała groza i litość tego losu, wystarczały do zbudowania z nich nie tylko klasycznej tragedii, ale i współczesnego, post-romantycznego melodramatu. Zainteresowanie Aleksandra „Żelazną Maską” miało charakter raczej zawodowy niż sentymentalny. Zadawał sobie pytanie: „Czy to robota naszej dyrekcji? I jeśli tak, to o co chodzi w tej operacji?”

Niestety, «Niezależny Dziennik» nie podawał w całości tekstu ostatniej przesyłki. Wiadomo było tylko, że chodziło w niej o ukarany dzwon (*sic*).

Gabinet Aleksandra mieścił się przy ulicy de Verneuil. Umożliwiała mu też prawo do parkowania samochodu w podwórku starej rezydencji, którą obecnie zajmowały różne firmy. Aleksander nie przepadał wprawdzie za Paryżem lewego brzegu, zanadto już przesyconym intelektualistami i handlem, lubił jednak klatkę schodową tego budynku z końca XVII wieku, która, rozkładając przed nim niewidzialne prawie stopnie, niosła go na wysokość pierwszego piętra.

Małgorzata była już na miejscu, w większym pokoju. Pomieszczenie to, ozdobione szarymi *panneaux* w stylu Trianon (z których nie wszystkie były autentyczne), wewnętrznymi okiennicami wykrzywionymi przez wiek i skrzypiącym pod stopami parkietem, jednoczyło w sobie przepych z aurą pewnego zaniedbania, co było w najlepszym guście.

Małgorzata miała lat czterdzieści. Połowę swego życia spędziła tu, w Agencji. Aleksander wzdrygał się na wspomnienie całej armii nieudolnych sekretarek, które następowały po sobie, jedna po drugiej, w Agencji, gdy ta nosiła jeszcze nazwę „Czterech Prawd” i zajmowała dwie izdebki na poddaszu kamienicy przy bulwarze Beaumarchais. W tamtych czasach Aleksander myślał już, że poniósł klęskę, finansową w każdym razie. Misja jego nie była narażona na szwank, jako że inteligencja paryska rzucała się na zastawione przez niego przynęty jak piranie na

kawałek mięsa. Pitmanowi zależało bardzo na tym, żeby firma przynosiła zysk, podczas gdy Aleksander dla spraw handlowych żywił pogardę typowo żołnierską. Pitman zaapelował do jego ambicji w sposób zupełnie genialny:

— Myśli pan, że sprawne zarządzanie nie jest jednakowo potrzebne w firmie i na pokładzie kontrtorpedowca?

Sprawiło to, że Aleksander zabrał się do prowadzenia finansów z konieczną energią, a nawet znalazł przyjemność przeprowadzając jakąś korzystną transakcję. W momencie gdy pojawiła się Małgorzata, doszło właśnie do poprawy materialnej sytuacji przedsiębiorstwa, a także do przeprowadzki w bardziej literackiej rejon i zmiany nazwy z „Czterech Prawd” na „Agencję Literacką Aleksandra Psara”. To ostatnie było o wiele poważniejsze.

— Wszystko w porządku, Małgorzato?

— Dzień dobry panu.

Wstawiała zawsze z krzesła, gdy wchodził do biura i uśmiechała się do niego z rewerencją.

— Poczta jeszcze nie nadeszła. Dzwonił pan de Monthignies. Chciał wiedzieć, czy jest pan zadowolony z artykułu.

— Niech pani będzie tak dobra i połączy mnie z nim.

Przeszedł do własnego gabinetu, mieszczącego się w pokoju węższym i dłuższym niż biuro Małgorzaty. Kazał wyłożyć ściany boazerią, tak że oryginalne *panneaux*, na przemian prostokątne i owalne, pojawiały się w otoczeniu cieplej różowości naturalnego drewna. Na krawędziach gzymsów, ozdobionych kwietnymi motywami, znać było jeszcze ślady dłuta, którym nieco niecierpliwie posługiwał się robotnik trzysta lat temu.

Aleksander rzucił swą wypchaną aktówkę na empirowy stół, a na to jeszcze złożył rękawiczki. Wkrótce opuści tę dekorację, która dawała mu tyle zadowolenia, a której nie dawał jednak zapanować nad własną wyobraźnią.

Jak zwykle rzucił okiem w kierunku ikony, wiszącej nie w kącie pokoju, jak być powinno, lecz płasko na ścianie: miała ją to

zdegradować. Był to Zbawiciel, ciemnoczerwony, ukryty pod połączoną blachą ze srebra.

— Pomóż nam tylko troszeczkę — zwrócił się do niego Aleksander.

Była to jego poranna modlitwa.

Rozsiadł się w swym fotelu z angielskiej skóry. Wiedział, że jego gabinet nie był utrzymany w jednolitym stylu i cieszył się z tego. Zgromadzone tu sprzęty nasuwały na myśl pokój do pracy, który jego ojciec miałby w mieszkaniu przy ulicy Gwardii Konnej, gdyby nie... Kanapa pokryta była też czerwoną skórą; abażury i podwójne firany ciemnozielone; mahoniowa szafa biblioteczna; kaukaski dywan, zakrywający usterki starego parkietu; para czerkieskich kindżałów na ścianie, jeden z nich wielki, drugi mały.

Zajrzał do kalendarzyka:

10.30 — Panna Józefina Petit. (*Psychoanaliza terroru.*)

11.30 — Pan Aleksy Lewicki, dysydent. (Ma jakiś pomysł. Nie chciał ujawniać szczegółów.)

13.00 — obiad w „Petersburgu”, zaprasza pan „Divo”.

15.10 — pokaz filmu *Topaz* w kinotece.

Obiecał pan zajrzeć do biura po filmie.

Spojrzał na zegarek. Otworzył teczkę z papierami do podpisania i złożył podpis pod dwoma listami, które tam znalazł. Dostrzegł ręcznie pisaną epistołę, spoczywającą od paru dni w koszu z naklejką „Odpowiedzieć”. Włączył dyktafon:

— Do pana Walerego — uwaga na ortografię, Małgorzato, proszę porównać z oryginałem — Miagkoserdecznego. Data dzisiejsza. Szanowny panie. Praca „Dekabryści”, przecinek, zredagowana w języku rosyjskim, przecinek, którą mi pan przysłał wiedziony dobrą intuicją żywo mnie zainteresowała, nie, nie żywo. Zainteresowała mnie. Odstęp. Nie sądzę, by nadawała się do serii Białej Księgi, do której pan nawiązuje, jako że seria ta na stawiona jest na problemy aktualne. Wydaje mi się natomiast,

przecinek, taka jest przynajmniej moja pierwsza reakcja, przecinek, że książka mogłaby ewentualnie ukazać się w serii Geneza Rewolucji, u tego samego wydawcy. Kropka. Wie pan, że prowadzę, nie, że... że... że mam wpływ, nie, że mam czasem coś do powiedzenia jeśli idzie o dobór książek do tych dwóch serii. Odstęp. Żałuję tylko, że postanowił pan ukazać bohaterów powstania dekabrystów — no trudno, dekabrystów z dużej litery — w niezbyt korzystnym świetle. To prawda, że, jak pan pisze, i w więzieniu, i na wygnaniu zachowywali się w sposób tchórzliwy, prawdą też jest, że w wypadku niektórych spośród nich ambicje osobiste odgrywały ogromną rolę, a jednak byłoby może rzeczą właściwą ukazać to przedsięwzięcie w bardziej przychylny sposób. Wzbudziło ono przecież tak wiele reakcji pozytywnych. Należałoby może zwrócić większą uwagę na nadużycia, które chcieli oni naprawić i nie kłaść tak wielkiego nacisku na ich brak kompetencji; nie odbiera to przecież szlachetności ich planom. Należałoby też przemilczeć fakt, iż nie mieli zamiaru uwolnić własnych poddanych — nie należy to w gruncie rzeczy do tematu. Odstęp. Wreszcie zdaje mi się, że prześladowania, jakie ich dotknęły — pięć kar głównych, przez powieszenie, czyż nie, wykrzyknik — domagają się bardziej dramatycznego rozwinięcia. Trzeba by też podkreślić poświęcenie kobiet, które zażądały, by wolno im było towarzyszyć mężom na wygnaniu. Warunki życiowe dekabrystów, ich wygody, ilość służących, i tak dalej, nie mają nic do rzeczy. Odstęp. Odsyłam więc panu rękopis z nadzieją, że niebawem znów ujrzę go na mym biurku. Proszę przyjmując najlepsze, i tak dalej. Telefon zabrzączał poważnie:

— Pan de Monthignies na linii.

— Dziękuję. Jak skończę — Aleksander zerknął na zegarek; bez przerwy zerkał na zegarek — zadzwonił pani do madame Boisse.

Gruby Monthignies był jak zawsze zalękniony:

— Jak tam, wszystko w porządku? Zrobiłem ile się dało, he. Chciałbym, żeby wszyscy byli zadowoleni, he.

Tu miał rację.

— Sam zresztą też zajrzałem do tej książki. To okropne, he. Garota w Hiszpanii, osaczenie ludzi w Związuniu. Żyjemy w strasznych czasach.

— Podzielałam pańskie cierpienie, Jean-Xavier. Wszystko potoczy się lepiej jak tylko znajdziemy się za miesiąc w R.

— Może panu będzie lepiej. Pana nie niepokoi głód na świecie. Dwóch ludzi na trzech, Aleksandrze, przymiera głodem. Jeśli o mnie chodzi, to mnie to przeszkadza w cieszeniu się życiem.

— Nie przesadzajmy. Co najwyżej jest to dla pana czymś w rodzaju hamulca.

— Niech pan słucha, pan jest kozakiem, reakcjonistą. Być może to nie pańska wina, że nie ma pan serca, ale my, pozostali...

— Jean-Xavier, dziękuję panu z głębi serca, tego serca, z którym się nie obnoszę. Hugo Minquin świetnie sobie poradził z tym tematem. Najbardziej mi się podobał fragment o karnych szpitalach psychiatrycznych.

— Rzecz jasna, pan zawsze myśli wyłącznie o tyranii sowieckiej. Są jednak i inne na świecie i Minquin jest całkowicie obiektywny.

Rozmowę zakończyła wzajemna obietnica wspólnego obiadu przed wakacjami, które były taką mordegą.

— Sprawi mi pan przyjemność — powiedział Aleksander — przyprowadzając na obiad Minquina.

Hugo Minquin był doskonałym kandydatem na „pudło rezonansowe”. Nie będzie sobie nawet zdawał sprawy, że został zwerbowany. Usłyszał głos Małgorzaty, mówiącej swobodnym tonem:

— U madame Boïsse dzwoni telefon.

Grubiaństwo, jakim było dzwonicie do kochanki za pośrednictwem sekretarki, zostało wykalkulowane przez Aleksandra.

Nie wątpił w dyskrecję Małgorzaty, ale, skoro nauczono go troski o stwarzanie pozorów, starał się być wirtuozem w tej dziedzinie. Jeśli jego telefon był na podsłuchu, tym lepiej. Jeśli nie, przynajmniej Małgorzata będzie wiedziała, że ma tego wieczoru nieco konspiracyjną — a więc niewinną — randkę.

— Jessica?

— To pan?

Głos osoby, która dużo paliła.

Pitman popełnił lekki błąd.

— Wszystko w porządku?

— Doskonale. Boli mnie głowa, straciłam czucie w ustach.

Pan się śmieje, brutalu? Ale to z pańskiej winy.

— Przecież nie zawsze pije pani przeze mnie.

— Zawsze.

— To już dziesięć dni, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

— Właśnie: usiłuję utopić moją frustrację w alkoholu.

— Pani frustracja wkrótce się skończy. Czy mogę zajrzeć dzisiaj wieczorem?

— Życzenie mojego pana jest dla mnie rozkazem.

— Napijemy się wódeczki. Nie ma lepszego lekarstwa na pani dolegliwości. Po rosyjsku mówi się na to *opochmielit'sia*.

— Cóż za język! Jak można należeć do rasy, która wynalazła rosyjski język i knut!

— Słuchaj, Jessica, nie jesteś chyba poważnie chora?

To nagłe zaniepokojenie, to „ty”, które pojawiło się jakby w wyniku roztargnienia...

— Niech pan będzie spokojny. Będę dziś wieczór w doskonałej formie.

Aleksander odłożył słuchawkę. Załatwione. Oto postawił pierwszy krok w drodze powrotnej na wschód, palec musnął mechanizm przekładni. Nic pozornie nieodwołalnego, ale w rzeczywistości procedura — i proces — zostały puszczane w ruch. „Zabiorę kindżały”, pomyślał.

Małgorzata przyniosła dzisiejsze gazety. Była trochę tęga w

biodrach, miała zbyt obfity biust, lecz poruszała się zgrabnie i każdy inny mężczyzna zwróciłby na to uwagę. Dobrze się ubierała: suknie w kolorze jesiennych liści, ciemne błękity, zawsze dobrze zestawione, ciemnoczerwone sweterki w dobrym guście, bluzki klasyczne w kroju, spódnice z szarej flaneli, kupowane pod dobrym adresem, a może nawet, kto wie, skrojone przez krawca (pensja, jaką wypłacał jej Aleksander, wystarczyłaby i na to). Nade wszystko zaś, niech Bogu będą dzięki, nie nosiła nigdy spodni.

— Przyszła panna Petit, nieco przed czasem.

— Jak wygląda?

— Hmm... Dwadzieścia siedem lat. Pewna siebie.

Aleksander przysunął do siebie grubą teczkę z niebieskiego kartonu, na której wielkimi literami wypisany był tytuł: *Psychoanaliza terroru*. Maszynopis nadto starannie przygotowany świadczy o tym, że jego autor chciałby sugerować, iż ma się do czynienia z kimś, kto już opublikował książkę. Nieczytelny maszynopis charakteryzuje autora, uważającego się za zapoznanego geniusza. Józefina Petit nie popełniła żadnego z tych dwóch błędów. Skreślenia, jakie wprowadziła do tekstu, zaznaczone były tak grubym pisakiem, że nie dało się odcyfrować pod nimi poprzedniej wersji tekstu. Pierwsza stronica zaczynała się w taki oto sposób:

Istnieje terror, który się odczuwa i terror, który się narzuca. Jeden związany jest z drugim, lecz nie powinno się zacierać granicy między nimi. Terror narzucony może być dziełem despotycznego rządu, lecz może też brać się z dołu, jego sprawcami są wówczas ci, których określa się mianem terrorystów. Mamy do czynienia z dwiema odmianami terroru. Terror odczuwany może paraliżować masy, jak się to dzieje w systemie totalitarnym, ale może też być odczuwany przez elitę rządzącą, na przykład w dekadentckim systemie liberalnym...

Jedność myśli i wykładu podobały się Aleksandrowi i zarazem

żenowały go. Autorka posługiwała się ogólnie znanymi pojęciami i jednocześnie wykraczała poza nie. Tekst wywarł wrażenie na Aleksandrze-miłośniku literatury, wprawił w zakłopotanie Aleksandra-specjalistę od techniki wywierania wpływu. Czarodziejskie sztuczki, stanowiące istotę jego zajęcia, znajdowały wyraz raczej w języku niejasnym i zagmatwanym. Sam pisał na ten temat, gdy jeszcze uważał się za teoretyka, ponieważ nie zdążył zamienić się w wykonawcę, człowieka czynu: „Uczono mnie, że najlepiej atakować wolność niszcząc myśl, ja jednak poszedłbym jeszcze dalej: dobrze jest atakować język, jeśli chce się zniszczyć myśl. Pomimo bowiem strat, jakie zadały jej *mass media*, myśl może w najgorszym razie schronić się w fortecy indywidualnej inteligencji. Język tymczasem, wspólny dla całej zbiorowości, nie ma się gdzie ukryć. Gdy jednak myśl nie będzie miała do dyspozycji giętkiego i precyzyjnego języka, zginie z braku powietrza. Trzeba więc za wszelką cenę dążyć do wywołania procesów gnilnych w języku, dzięki czemu zniszczymy to, co chcemy zniszczyć: myśl. Aby to osiągnąć, musimy opanować w sposób możliwie najpełniejszy środowiska twórcze grupujące pisarzy, a także środowiska związane z oświatą i nauczaniem”. Na zakończenie posłużył się, z młodzieńczą werwą, sformułowaniem, które miało zapisać się w pamięci czytelników tekstu: „Gdy nasi przeciwnicy zaczną mieć podstawowe problemy z ortografią, zwycięstwo będzie bliskie”.

Aleksander był zdania, że *Psychoanaliza terroru*, choć pisana językiem klarownym, mogła wywrzeć na publiczności czytającej pożądany skutek. Podobnie jak w *Słowniku dyktatur*, także i tutaj metoda równych części święciła triumf, choćby autorka nie była tego świadoma. Panna Petit żywiła poglądy liberalne i terror pod każdą postacią był dla niej czymś odrażającym. Przez to jednak, że szukała swych przykładów w różnych kontekstach politycznych i geograficznych, jej oburzenie rozrzedziło się nieco. W rezultacie garstka greckich pułkowników, którzy rządzili

zaledwie przez sześć lat, nabierała tak wielkiego znaczenia, że mogła konkurować z międzynarodową partią, liczącą miliony członków i władającą Rosją od sześciu dziesiątków lat. Poza tym „terror” w tytule korzystnie wpływał na powodzenie książki u czytelników. Od pewnego czasu Aleksander nie lekcewał tego rodzaju korzyści. W jednym tylko punkcie będzie musiał zażądać poprawki. Instrukcje jego dyrekcji były niekiedy bardzo dokładne. Nie spodziewał się jednak silniejszego oporu; autorzy, mimo wszystkie ich fanfaronady, marzyli w gruncie rzeczy o jednym tylko: chcieli być wydawani. Cóż za dziwaczny ekshibicjonizm! Aleksandrem wstrząsnął dreszcz niesmaku, gdy przypomniał sobie, że i on kiedyś myślał o tym, by stać się człowiekiem znanym. Jakież to wulgarne!

— Dzień dobry pani. Pani Petit, prawda?

Pani Petit była bardzo niska, niewiele większa od krasnoludka. Miała brązowe włosy, krótko przycięte i sztywne. Pod nimi kryła się mała kwadratowa twarzyczka z kwadratowym noskiem. Usta miały w sobie coś twardego, ale i subtelnego. Miało się wrażenie, że jej skóra nie jest dość cienka, co by się podobało Aleksandrowi. Lecz pod gęstymi rzęsami o nastroszonych włoskach patrzyły na świat oczy, za którymi kryła się bezkompromisowa inteligencja. Panna Petit była dość dziwnie ubrana — w każdym razie Aleksander uznał ten strój za osobliwy — miała na sobie mianowicie koronkową bluzkę i długą spódnicę ze sztywnego dżinsowego płótna. Kraj spódnicy ocierał się o wyzierające z niebieskich bucików kostki.

Aleksander wstał z fotela, wyciągnął rękę do swego gościa. Promieniował sympatią i nadzieją:

— Zostaliśmy stworzeni do tego, by się porozumieć! — wykrzyknął.

Patrzyła poważnie na człowieka, który miał w swych rękach decyzję. Mógł sprawić, że stałaby się członkinią tej zupełnie odrębnej rasy autorów: pisarzy, których książki są publikowane.

— Czy to pani pierwsza książka?

Iluz ich miał już w swoim gabinecie, debutantów różnej płci i charakteru, arogantów i błagalników, poufałych, noszących krawaty, wydekoltowanych, tych, co stawiają na pewność siebie lub na nieśmiałość, tych, co chcą rezygnować z honorarium i tych, co niczego by mu nie odmówili; debutantów zaprzyjaźnionych ze sławnymi profesorami i takich, co nic nie jedli od trzech dni, wariatów, rzecz jasna, ale i tych, co od pierwszego razu budzą zaufanie, gdyż wiedzą dobrze, czego mogą oczekiwać od Aleksandra i na co on może w zamian liczyć.

— Tak.

— Czy mogę pani zadać pytanie, czemu zwróciła się pani do agenta literackiego zamiast skierować się wprost do wydawnictwa?

— Nie wiedziałem, że jest pan agentem. Chciałam zwrócić się do redaktora *Białej Księgi*.

Uwielbiał te szczegóły, pytania, i — chociaż i tak podjął już decyzję — nie chciał nic zmieniać w repertuarze swych metod. Przez chwilę zastanawiał się: „Ciekawe, co się stanie z Agencją? Czy ktoś mnie zastąpi, czy też firma zostanie zlikwidowana?”

Usiadł, po czym podniósł się znowu. Czuł się młodo, był pewny swych mięśni i głowy.

— Ach! *Biała Księga*! Oczywiście.

Ta seria należała do największych jego sukcesów. Rzucił spojrzenie na mahoniową bibliotekę: na półkach ustawione były tomy *Białej Księgi* w kolejności ich pojawiania się na polu bitwy: *Biała Księga o rasizmie*; *Biała Księga o eksploatacji dóbr naturalnych Ameryki Łacińskiej*; *Biała Księga o kobiecie*; *Biała Księga o edukacji narodowej we Francji* (ten katechizm rewolucjonistów z maja 68 przyniósł Aleksandrowi sukces w postaci wcielenia w szeregi KGB i jego pierwszego stopnia oficerskiego; nie chodziło o tę poronioną rewolucję, lecz, jak to wyszczególniał towarzyszący awansowi komentarz departamentu, zasługa polegała na „praktycznym sparaliżowaniu na przeciąg przynajmniej jednego pokolenia francuskich uniwersytetów i

liceów”); *Biała Księga o neokolonializmie*; *Biała Księga o wojsku francuskim*; *Biała Księga o Kościele katolickim*; *Biała Księga o policjach paralelnych*; *Biała Księga o systemie penitencjarnym we Francji*; *Biała Księga o CIA*; *Biała Księga o odrodzeniu się nazizmu*; *Biała Księga o wyścigu zbrojeń*; *Biała Księga o obozach koncentracyjnych na świecie*; *Biała Księga o energii nuklearnej*. Wziął do ręki jeden z tomików: była to mała, zwarta i ciężka książeczka w formacie *in 16°*. Na białej okładce czcionki o rzymskim charakterze, podające imię i nazwisko autora i tytuł publikacji. Można było pomyśleć, że ma się do czynienia z publikacją urzędową. Kto wydał książkę w tej serii, dysponował, jak to niemądrze określano, kartą wizytową, ułatwiającą wejście do którejś z poważnych gazet, do klubu politycznego, czy też, rozumie się, w szeregi administracji państwowej. Iluż autorów zabijało się o to, by móc odczytać własne nazwisko na okładce jednego z tomów tej serii, która graficznie utrzymana była — specjalnie! — w nieco staroświeckim stylu. Iluż autorom już udało się wydać książkę w takich okładkach! Aleksander rzucił opasy tomik na stół i odsunął go na bok ruchem ręki.

- Pani rozumie, robić z debiutu *Białą Księgę*...
- Cóż z tego, skoro to dobra książka?

Rozmawiali długo. Gromadził przeszkody i godził się, by pały, jedna po drugiej. Ta dziewczyna, powiedział sobie, nie będzie nigdy dobrym „pudłem rezonansowym”. Miała na to zbyt niezależny sąd. Łączyła w sobie, w dobrej proporcji, dozę pychy i dozę pokory. Miałby ochotę odesłać ją do diabła. Lecz wtedy ona zwróciłaby się do innego wydawcy, który zarobiłby na książce i, przede wszystkim, mógłby ją opublikować bez tej zasadniczej poprawki.

Dziewczyna patrzyła na Aleksandra i wydawało się, że jego powierzchowność, atrakcyjna przecież, nie robi na niej wrażenia, ani w dobrym, ani w złym znaczeniu tego słowa. Doskonale

zbudowany, wydawał się wyższy nawet niż był w rzeczywistości. Gęste, nieco kręcone włosy podkreślały to, co w układzie kostnym jego długiej twarzy było energicznego, prawie brutalnego — ale nie prostackiego, przeciwnie, arystokratycznego. Na jego widok powiedziałoby się spontanicznie: „O, to ktoś z dobrej rodziny!”. Albo: „O tak, on jest doskonały”. Ubierał się z elegancją klasyczną, spokojną, lecz i wyrazistą. Nosił garnitury z flaneli, ciemnopopielatej, wpadającej w ciemny brąz, lub też ciemnobrązowej wpadającej w jasny róż. Były to ubrania dwurzędowe, doskonale skrojone, niekiedy z kamizelką. Koszule białe ze sztywnym kołnierzykiem, na mankietach ciężkie złote spinki. I jego ciało, zawsze w doskonałej formie. Uprawiał gimnastykę i czuło się, że jego kolana są lekkie i swobodne, a mięśnie pełne skrywanej siły.

— Niech mi pan odpowie zdecydowanie: tak czy nie? Nie lubił, gdy przypierano go do muru.

— Nie przeczę, że pani książka jest dobrze napisana i doskonale udokumentowana. Może trochę zbyt teoretyczna dla czytelników *Białej Księgi*, którzy przyzwyczajeni są raczej do książek „faktograficznych”. Czy mogę wiedzieć, jaki jest pani zawód?

— Jestem nauczycielką matematyki.

— Ach! W takim razie nie będzie się pani zapewne upierała przy tym słowie: „psychoanaliza”. Zresztą nasze tytuły zawsze... To byłaby *Biała Księga o terrorze*.

Zastanowiła się:

— Ma pan rację. „Psychoanaliza” może wprowadzić w błąd.

— Dobrze. Przedstawię książkę pani naszemu komitetowi redakcyjnemu. (Nic takiego nie istniało.) I jeszcze coś. (Uważał, że wzbudził w niej dość nadziei i że zarazem nadzieja ta wciąż była na tyle ulotna, iż nadszedł dobry moment, by przejść do jedyne go punktu, budzącego naprawdę jego wątpliwości.) Poświęca pani całe studium temu, co określa pani jako terror leninowski. Jeśli zastąpić ten termin przez „terror stalinowski”, książka tylko na tym skorzysta.

— Dlaczego? — w jej czarnych oczach pojawiło się coś twardego. — To Lenin powiedział: „Terror jest jedną z metod rządzenia”. To on traktował swych wrogów politycznych jak „szkodliwe insekty”. To on radził Gorkiemu, by nie „płakał nad losem zginiętych intelektualistów”. To on napisał do ludowego komisarza sprawiedliwości: „Według mnie należy w jeszcze większym zakresie praktykować egzekucje przez rozstrzelanie”. A Władimir Bukowski zauważył: „Stalin i wszystkie jego okrucieństwa wynikają w sposób całkiem bezpośredni i, by tak rzec, organiczny z idei Lenina, z samej idei socjalizmu. To nie przypadek, że partia wybrała właśnie Stalina”. Wszystko to jest w książce, poparte cytatami — wskazała maszynopis.

— Wiem, wiem, proszę pani, ale ma pani do czynienia nie z ludźmi przecież, tylko z zasadami. Należy więc posłużyć się najbardziej odpowiednim przymiotnikiem.

— Nie rozumiem, dlaczego miałabym określić terror organizowany przez Lenina jako stalinowski.

Aleksander nie mógł podać jej prawdziwej przyczyny. Nie mógł przecież wyjawic jej, że dyrekcja wystosowała do wszystkich *fellow travellers* następującą instrukcję: „Na Stalinie nam nie zależy, wylewajcie na jego głowę najgorsze nawet pomyje. Co innego z Leninem. Ręce precz od Lenina! Musimy mieć jedno bóstwo absolutnie nieskalane”. W związku z tym Pitman miał, uśmiechając się złośliwie i dobroduszenie zarazem: „To, co moi poprzednicy wynaleźli najlepszego, to niewątpliwie metoda kozła ofiarnego”.

— Proszę pani, dla zachodniego czytelnika Lenin nie jest tyranem, lecz wyzwolicielem. Trudno mnie, potomka zniszczonej cywilizacji, której jestem pogrobowcem — tu spojrzął na ikonę, potem powiódł wzrokiem w stronę kindżałów — posądzać o wyrozumiałość dla tych ludzi. A jednak muszę przyznać, że Stalin ma na swym koncie więcej ofiar niż Lenin.

— Ponieważ był u władzy trzydzieści lat, a Lenin tylko siedem.

— Tak, ale pani nie zajmuje się porównywaniem tych dwóch terrorów. Chce pani powiedzieć tylko tyle: terror bolszewicki, który przyjęło się nazywać stalinowskim.

— Chcę powiedzieć: terror, który zainaugurowany został przez przywódcę bolszewików. Pan wie, że w języku francuskim pojemnik na śmiecie nazywa się *poubelle*, a nazwa ta pochodzi od prefekta, pana Poubelle. Jego następcą nazywał się Papon, ale pojemniki na śmiecie w dalszym ciągu nosiły nazwę *poubelle*, nikt nie mówił na nie *papon*.

Zazwyczaj Aleksander umiał bez trudu poradzić sobie z czyimś sprzeciwem, rozwijając cały wachlarz banalnych powiedzonek i deklarując swe najlepsze chęci. Z tą dziewczyną jednak szło mu nie tak łatwo. Odpowiedział sucho:

— Ma pani przed sobą człowieka nawróconego, nie musi mnie pani przekonywać. Ale wydawcy powiedzą pani, że określenie „terror leninowski” źle usposobi prasę. Wskutek tego zostanie sprzedanych pięćset egzemplarzy mniej.

— A jeśli im odpowiem, że nie zależy mi na tym?

— Oni pani powiedzą, że im nie jest wszystko jedno.

Położył dłoń na niebieskiej teście, tak jakby zamierzał ją od dać autorce.

Panna Józefina Petit podniosła się z krzesła i podeszła do okna. Inni autorzy, w podobnej sytuacji, próbowali ukryć walkę, jaką toczyli z sobą. Panna Petit wcale się z tym nie kryła. Skrzyżowała ręce na piersiach i przyglądała się bukinistom i antykwariuszom przechodzącym ulicę. Nawet jej plecy wyrażały skupienie i namysł.

Odwróciła się:

— Dobrze, niech pan zmieni na „terror stalinowski”, ale nie „terror Stalina”.

— Woli pani w ten sposób? Jak pani sobie życzy. Dam pani znać, jak tylko komitet redakcyjny poweźmie decyzję. Poproszę o pani adres.

To Małgorzata powinna się tym zająć. Czemu odczuwał potrzebę

zapisania adresu panny Petit w swoim osobistym kalendarzyku? Może w przewidywaniu rychłego wyjazdu chciał przyspieszyć wykonanie powziętych już decyzji? Gorączkowa atmosfera ostatniego aktu? Postanowił bardziej się pilnować.

Wyszła nie uśmiechnąwszy się nawet. Ciekawe, ci nowocześni młodzi ludzie twierdzą, że są tak bardzo „na luzie”, tymczasem widać, jak męczą się i jacy są niezgrabni. Nie można widać bezkarnie odrzucić rusztowania tradycji i *savoir-vivre'u*.

Następnym interesantem był Aleksy Lewicki, młody człowiek o pełnych wargach, noszący połączane okulary. Zaczął od wygłoszenia małej pogadanki na temat stanu wiedzy — lub ignorancji raczej — Zachodu o realiach rosyjsko-sowieckich. Jego obserwacje były trafne, ale francuszczyzna, którą się posługiwał, niedoskonała i bezceremonialna, zirytowała Aleksandra:

— Możemy przejść na rosyjski, jeśli to będzie łatwiejsze dla pana.

— O nie, dziękuję bardzo. Pański rosyjski z epoki kamienia łupanego, te wszystkie „łaskawy panie”, „bardzo czcigodny”, nie, to starzyzna, wolę mówić z panem po francusku, na którym to języku mówię bez trudu. Pan rozumie, że Zachód stworzył sobie mit rosyjsko-sowiecki, który powinniśmy wydoić? Wie pan, co mam na myśli.

— Niestety, wcale nie rozumiem.

— Niech pan ze mną nie gra w idiotę. Ludzie Zachodu obrażają sobie, że w Rosji nic się zmienia. Ani w 1917, ani w 1905, ani w 1861. Zawsze ta sama konspiracja. Dobrze, więc ja mam pewien pomysł dotyczący tej konspiracji. Piszę po francusku. Jeżeli pan chce wynająć tam kogoś, kto wygłodzi, zgoda, pan zapłaci. Pan się zgadza, to się panu opłaci.

— Proszę pana, musi pan zrozumieć, że ja nie jestem wydawcą. ..

— Ja wiem, co pan robi. Pan jest na procencie. Ale ja wyliczyłem, że tak jest sprawiedliwie, bo pan zna wszystkie dojścia.

Aleksander zerknął na zegarek.

— Więc cóż to za pomysł?

— Ja go opatentowałem, tak że mogę go spokojnie opowiedzieć. Może pan sprawdzić w Towarzystwie Literackim. Oczywiście pan orientuje się, co się stało 22 grudnia 1849 roku o siódmej rano?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— I to ma być znawca literatury! U nas najślabszy uczeń powie panu, że w tym historycznym momencie inżynier porucznik Fiodor Michajłowicz Dostojewski przywiązany został do słupa i miano już wykonać egzekucję, lecz wyrok został zamieniony na karę ciężkich robót. W rezultacie skazany miał przeżyć jeszcze czterdzieści dwa lata. Ale najślabszy uczeń jest w błędzie. Inżyniera porucznika uduszono w więzieniu i jego miejsce zajął agent Ochrony. Jemu to oznajmił, jękając się, generał Rostowcew, że car darował mu życie. To on przebył cztery lata w więzieniu, żeby dało się usprawiedliwić przemianę jego poglądów politycznych. To on napisał dzieła wysławiające Rosję carską, *Biesy*, *Dziennik pisarza* i tak dalej. Proszę zauważyć, te późne dzieła różnią się bardzo od *Biednych ludzi*, *Sobowtóra*, *Nietoczki*, *Białych nocy*, to jest od utworów skomponowanych przez prawdziwego inżyniera porucznika Dostojewskiego.

— Ale zaraz, przepraszam bardzo, co zrobić ze świadectwem Hercena, który, jeśli się nie mylę, był przy tej scenie?

— Wybrano agenta, który podobny był do Fiodora Michajłowicza.

— Ale rodzina, brat Michał...

— Michał był zadłużony, zmuszono go do milczenia.

— I ten agent okazał się genialnym pisarzem?

— Tego się nie zabrania agentom. Marlowe, De Foe, Beaumarchais, Greene... Mikołaj, rzecz jasna, nie posłużył się analfabetą.

— Powiedzmy. I co pan zamierza zrobić z tym wspaniałym

tematem? Pamflet, skierowany przeciwko wielkiemu kontrrewolucyjnemu autorytetowi? Powieść historyczną w stylu *Hrabiego Monte Christo*, pracę naukową?

Pozłacane okulary błysnęły, pulchne dłonie wykonały wymowny gest:

— Do wyboru.

— I dysponuje pan elementami, które...

— Dysponuję wszystkimi elementami. Rzecz jasna, na granicy skradziono mi archiwa, które skonfiskowałem w Bibliotece Lenina i w różnych klasztorach. Powiedzmy jednak, że porobiłem wcześniej notatki, a poza tym mam fotograficzną pamięć.

Lewicki kłamał, nie mając nawet nadziei czy nie chcąc wręcz, żeby mu uwierzono. Czy to jednak miało jakieś znaczenie? Archiwa można było sfabrykować, a „presja opinii międzynarodowej” sprawiłaby, że zostałyby „oddane” Lewickiemu. Najmniejszy nawet cios zadany reputacji Dostojewskiego mógł być użyteczny. To znaczy idea była niezła, ale może lepiej byłoby podszepnąć ją jakiemuś Francuzowi, który uwierzyłby w istnienie tych archiwów i napisałby rzecz lepszą niż Lewicki. Gdyby ten protestował, opinia publiczna musiałaby uwierzyć, że obaj odkryli jednocześnie to samo. Tak, koniecznie trzeba o tym porozmawiać z Iwanem Iwanyczem. Nawet jeśli nic z tego nie wyjdzie, już sama hipoteza rozbawi Pitmana.

Odprowadził do drzwi Lewickiego, obiecując mu, że przemyśli jego propozycję.

— Niech pan nie myśli zbyt długo, nie jest pan jedynym agentem literackim w Paryżu — powiedział na to Lewicki.

Aleksander podyktował jeszcze dwa listy. Znów spojrzał na zegarek. Obiad z Divo nie uśmiechał mu się wcale, ale nie mógł się z tego wykreścić. Wyjął z szafy bibliotecznej parę czarnych półbutów i rogową łyżkę do butów, po czym, zmieniawszy obuwie, schował do szafy brązowe zamszowe buty, które do tej pory miał na nogach. Był gotów do wyjścia.

W drzwiach gabinetu ukazała się głowa Małgorzaty.

— Proszę pana, panna Petit chce się jeszcze z panem krótko zobaczyć. Powiedziałam jej, że...

— Już wychodziłem, ale...

Nieomal pod ramieniem Małgorzaty panna Petit wśliznęła się do gabinetu. Stawiając długie kroki, tak jak na to pozwalała jej długa spódnica, dotarła szybko do stołu, ujęła swoją niebieską, kartonową teczkę szybkim i precyzyjnym gestem złodziejki i przycisnęła ją obiema rękami do piersi. Wreszcie spokojniejsza, wymierzyła swój ostry podbródek w Aleksandra:

— Zmieniłam zdanie, proszę pana.

Szybko opuściła pokój.

Aleksander wymienił z Małgorzatą spojrzenie pełne konsternacji. Co ją ugryzło, tę małą? Co zrobić, autorzy to wariaci, każdy kto z nimi pracuje jest do tego przyzwyczajony. Później Małgorzata spojrzała na czarne buty Aleksandra. Wiedziała już, że jej szef kłamał mówiąc, iż zagładnie jeszcze do biura późnym popołudniem. Wolałby umrzeć niż wyjść wieczorem w brązowych trzewikach. Jeśli już teraz włożył swoje czarne pantofelki, to znaczyło, że zaraz po filmie uda się do kochanki.

Aleksander przybył punktualnie do restauracji „Petersburg”, ale Divo, najmniej paryski z paryżan, był już na miejscu. Nie było rzeczy, którą by Divo robił tak jak wszyscy. Na przykład płacił co drugi raz za obiad zjedzony z Aleksandrem, chociaż, jako autor, powinien był za każdym razem patrzeć w kąat sali, gdy przychodziło do płacenia rachunku. Ci dwaj Rosjano-Francuzi nie lubili się nawzajem serdecznie od czasów, kiedy chodzili do tego samego liceum. Zawsze też rozmawiali o projektach wydawniczych, które nigdy nie były realizowane.

— Bliny z kawiozem, może być? Ja wolę czerwony, prawdę mówiąc, jeśli jednak ty chcesz czarny, wybieraj. Uskuteczniaj, jak to się mówi na Północy. Czysta wódka, co? Czy może na starość popsuł ci się gust?

Zawsze te same zbyt spiczaste klapy marynarki, te same krzywe uśmiešky. Zawsze te same niepokojące powieści, pół-sukcesy i nie wiadomo skąd biorące się pieniądze.

— Jak się miewają twoi autorzy? O czym będzie następna *Biała Księga*?

— Przygotowuję dwie. Jedna o Bogu, druga o policji.

— Cóż za zestawienie! Policja ma przygotować czystkę, co? A Bóg? Co on ci takiego zrobił?

Niekiedy Aleksandrowi wydawało się, że Divo przejrzał go na wylot i wyśmiewa go całkiem otwarcie. Czasem zaś, przeciwnie, uważał, że Divo jest drażniąco obiektywny.

— *Biała Księga* poświęcona Bogu będzie prawdopodobnie najciekawsza ze wszystkich dotąd opublikowanych. Jeanne Bouillon i Patrice Duguest przeprowadzają bardzo istotną demistyfikację.

Divo gwizdnął:

— Demistyfikują Boga? Nie uważasz, że jest w tym coś chamskiego? Nie, nie, niech nam pani poda całą karafkę. Za kogo pani nas bierze?

— Dlaczego chamskiego? Jestem pewien, że książka będzie dobrze przyjęta przez część Kościoła. Jest coraz więcej księży, którzy sądzą, że raj można stworzyć tu na ziemi.

— Trzeba więc powiedzieć, że inkwizycja miała swoje dobre strony. Demistyfikować Boga to dla mnie szczyt snobizmu i chamstwa jednocześnie. Ja sam nie mam tego rodzaju ambicji, ale przyszedł mi do głowy pomysł powieści, który mógłby cię zainteresować. Dlatego właśnie niepokoję twoją szanowną osobę. Napijmy się.

Opróżnili kieliszki tak jak to czynią artyści, z odrzuconą w tył głową i prawie nie unosząc łokcia, tylko pomagając sobie szybkim ruchem dłoni.

— Masz przecież swych wydawców, Divo.

— Tak, ale zbliża się wielkimi krokami Wielki Strach roku

dwutysięcznego... Auto-cenzura zastąpi wkrótce auto-kadziłło. Mam wydawców, zgoda, i zmieniam ich z powieści na powieść. Powodem nie jest moja niewierność, tylko ich ostrożność. Myślę, że ty mógłbyś mnie skierować do jakiegoś zucha. Wiem przecież, że jesteś „postacią paryską” i tak dalej. Wszystko to, co nazywam rokfortem w stanie rozkładu. Ale twój ojciec pływał jeszcze pod banderą św. Andrzeja, nie możesz być zepsuty do szpiku kości. Wypijmy za banderę.

— Rokfort? O co ci chodzi?

— Nie, przepraszam, ty jesteś więcej wart niż rokfort. Powiedzmy wino, tokaj, szlachetna zgnilizna, rozumiesz. Nie chodzi jednak o to. Czy chcesz, żebym ci przedstawił mój scenariusz?

— Bądź tak dobry.

Rozmawiali, jak w czasach szkolnych, śmieszną mieszanką rosyjskiego i francuskiego. Divo bawił się wymawianiem słów francuskich jak gdyby były to słowa rosyjskie i na odwrót.

— To ma być, rozumiesz, fikcja polityczna. Załóżmy, że istnieje sobie pewien kraj, a w nim Konfederacja Nieokreślonych Komun, KNK, która pragnie uszczęśliwić cały świat własnym programem politycznym. Załóżmy teraz inny kraj, zajmujący ważną pozycję strategiczną, bez którego nie da się zrealizować tamtych planów. To, powiedzmy, Galacja. Na przestrzeni pięćdziesięciu lat KNK finansuje, faworyzuje i obsypuje komplementami partię konfederatów Galacji, popychają i tak dalej. Galaci jednak, chociaż lekkomyślni, nigdy nie oddają na konfederatów w wyborach więcej niż 15% głosów. Także i inne czynniki sprawiają, że ich popularność spada z roku na rok.

— Jakie czynniki?

— Usunięty z KNK pisarz ujawnia zbrodnie panującego tam reżimu. Prawdę mówiąc nie obwieszcza niczego nowego, ale udaje mu się znaleźć posłuch, i to się liczy. Pewna grupa filozofów, do niedawna konfederackich, przechodzi z lewa na prawo. Sytuacja międzynarodowa zmusza KNK do interwencji zbrojnych

w wielu punktach kuli ziemskiej, co szokuje głupców. A głupcy zawsze są w większości. Krótko mówiąc z 15% spada się do 14%, do 13%. Przywódcy KNK zdają sobie sprawę, że konfederaci nie odniosą nigdy sukcesu w Galacji, jeśli będą funkcjonowały mechanizmy demokratyczne.

— Co wtedy?

— Wtedy mądre głowy w KNK przygotowują takie oto posunięcie. Stawiają na czele partii konfederatów w Galacji kogoś, kto przypomina kłowna w ataku złości i kto po każdym występie w telewizji jeszcze bardziej nadwyreżą popularność swojej klikki. Jesteśmy już przy 12%, przy 11, przy 10 i pół. Efekt jest podwójny. Z jednej strony burzuje, którzy do niedawna drżeli ze strachu przed konfederatami, teraz śmieją się z nich. Z drugiej strony gwałtownie zwiększają akcje innej partii lewicowej, nazwijmy ją synkretyczną. Jak wiesz, w psychologii myślenie w kategoriach nieokreślonych, konfuzyjnych, stanowi pewien gatunek myśli synkretycznej. Zbliżają się wybory. By mieć całkowitą pewność, że odchodzący prezydent nie zostanie ponownie wybrany, KNK ogłasza, iż popiera jego kandydaturę. Wprowadza to zamieszanie i kandydat synkretystów triumfalnie obejmuje władzę.

Powiedzmy, że nazywa się Puszkin, ten nowy prezydent. To awanturnik średniego szczebla. Mało o nim wiadomo poza tym, że od czasu do czasu figuruje zamachy przeciwko sobie. Gdy tylko obejmuje swój urząd, co czyni? Ułaskawia zabójcę policjanta. Naiwniaczki z prawicy zacierają ręce: Puszkin wszedł w konflikt z policją. Nie rozumieją jednak, że każda zniżka *morale* policji destabilizuje republikę i przez to jest na rękę wywrotowcom. Druga akcja Puszkina — wymieniam je w kolejności, w jakiej przychodzą mi na myśl, nie według żadnej hierarchii — w sytuacji, gdy synkretyści dysponują większością absolutną, a konfederaci dostali minimalną ilość głosów, polega na zaproszeniu do gabinetu czterech ministrów konfederackich. W ten sposób, pod pretekstem, że uciszy to konfederatów, ich partia zostaje zrehabilitowana. Myślę, że doceniasz elegancję tego posunięcia.

Oto ugrupowanie polityczne, które dotychczas uchodziło za jednocześnie poważne i bardzo groźne, zostało ośmieszone, tak że straciło obie te właściwości. Tymczasem Puszkin przywrócił mu pierwszą z nich, lekceważąc wolę 90% Galatów. Niech żyje demokracja. Puszkin posuwa się jeszcze dalej: uderza w tony patriotyczne i doprowadza do znacznego ochłodzenia stosunków z KNK. Nie myśl jednak, że stanowiska w rządzie, które ofiarował konfederatom, były kluczowe, sprawy wojskowe czy wewnętrzne, nie, to by przecież zaalarmowało opinię publiczną. Nie, nie, portfele ministerialne, które im się dostały całkiem niewinne, tyle że znalazło się pośród nich Ministerstwo Transportu, a wiadomo, że podczas kryzysu transport ma decydujące znaczenie.

Także i trzecie z kolei posunięcie Puszkin wydało mi się bardzo znamienne, chociaż dotyczyło jedynie terminologii. Widzisz, Galacja posiadała wydajny system administracyjny, który składał się z powszechnie szanowanych urzędników zwanych preto-rami. I oto Puszkin nie tylko ogranicza ich uprawnienia, co już sprzyja destabilizacji kraju, ale także nadaje im inny tytuł, typowo konfederacki i nie lubiany przez społeczeństwo. Będą się odtąd nazywali inkwizytorami.

Dalej, w sytuacji gdy dwie trzecie Galatów domagają się utrzymania kary śmierci, synkretysta Puszkin znosi ją, gwałcąc otwarcie wolę ludu. Jaki z tego pożytek? Osłabienie autorytetu władzy. Nikt tego nie widzi, gdyż Puszkin sam reprezentuje władzę, a przynajmniej w pewnym przejściowym okresie.

Akcja numer pięć, jeśli dobrze liczę. Od dawna istniał w Galacji trybunał ścigający przestępstwa przeciwko państwu, to jest przeciwko społeczeństwu. Łatwo zgadnąć, że nic nie wydawało się Puszkinowi pilniejsze niż zniesienie tej instytucji.

Numer sześć: galetka, pieniądz Galatów, osiągnęła godną pozazdroszczenia stabilność. Oczywiście, Puszkin dewaluuje ją, wbrew interesom Galatów i konwencjom, zawartym z sąsiadami.

Numer siódmy i na razie ostatni... Ach, to posunięcie najbardziej może zapłodnić wyobraźnię pisarza. Puszkina rozmyślnie sabotuje galacki przemysł nuklearny i to nie dlatego, żeby rozbroić naród, jako że otwarte wojny stały się niemożliwe, ale po to, by wydać Galację na łaskę i niełaskę KNK. Jednocześnie KNK widzi korzyści w sprzedaży Galacji nadwyżek swego gazu i raduje ją fakt, że będzie mogła przykręcać kurek energii kraju, o którego strategicznym położeniu w skali światowej już ci wspominałem. To ostatnie posunięcie, mój drogi — Divo powiedział: mój drogi — można śmiało uznać za przyczynę ostateczną, jak to nazywali filozofowie, całego tego manewru.

No i jak, Alek, chociaż ty nie jesteś Alioszą, a ja troszkę zostałem Iwanem, jak ci się podoba mój projekt powieści?

Aleksander odpowiedział mu cichym głosem:

— Powieści, w których nie pojawia się bohater, źle się sprzedają, Divo.

Divo wybuchnął śmiechem:

— Ty nic nie zrozumiałeś! Moim bohaterem jest Puszkina! Wypijmy za Puszkina! Za Puszkina, którego czytelnik poznaje już w dzieciństwie, w krótkich spodenkach, z którym się utożsamia, o którego się lęka. Odwiedza z nim groby przodków, poznaje jego predylekcje w dziedzinie kwiatów i w dziedzinie seksu, razem z nim przeżywa upokorzenia operacji chirurgii plastycznej i inkasuje niewielkie gratyfikacje pochodzące z byłych kolonii, i wreszcie razem z nim wtrąca Galację w otchłań kiereńszczyzny, z której nie ma wyjścia.

Śmiejąc się i pijąc Divo patrzył jednocześnie w piwne oczy Aleksandra i próbował odczytać ukrytą w nich myśl.

— Chcesz więc powiedzieć — Aleksander mówił powoli i z namysłem — że Puszkina jest „kretem”?

— Zdaje się, że we Francji używa się tradycyjnie określenia „łódź podwodna”.

Ich spojrzenia spotkały się. Divo wciąż uśmiechał się trochę

krzywo. Aleksander czuł, jak rośnie w nim złość, dzika złość, jaką przeżywają ludzie stale tłumiący swoje prawdziwe uczucia. „Szkoda — pomyślał — że minął już czas «mokrej roboty». Wiedziałbym, komu zgłosić odpowiedni meldunek. Nie jesteś niebezpieczny, nie o to idzie, ale irytujesz mnie w najwyższym stopniu”.

A jednocześnie kto wie, czy nie wolałby w tym momencie znaleźć się w skórze Divo, nie zaś w swojej własnej.

Odpowiedział wysokim głosem, bez emocji:

— Nie wiem, czy «Inny Dziennik» drukuje powieści w odcinkach. Tam miałbyś szansę. Jeśli idzie o wydawców, to raczej wątpię... Chociaż nie wiadomo. Wszystko jest możliwe. Być może miałbyś wreszcie swój *bestseller*. Jak to się nazywa, twoja fikcja polityczna?

— Myślałem o tytule *Akt wojenny*.

— Ładny tytuł.

Słowo „wojna” przypomniało Aleksandrowi, w jaki sposób zwrócił się do Pitmana przed trzydziestu laty:

— Ależ ja chcę prowadzić wojnę!

— Niech się pan nie niepokoi, będzie pan miał swoją wojnę!

— odpowiedział wtedy Pitman, a jego twarz zniknęła za okrągłymi szklami okularów.

Dlaczego Divo chciał się z nim spotkać? Aleksander pożegnał się z nim nie wyjaśnwszy tej kwestii. Być może ten półnieudacznik naprawdę wyobrażał sobie, że agencja Psara może mu opublikować jego usypiającą bajkę. W szkole Divo był chłopcem błyskotliwym i łatwowiernym zarazem. Można mu było wmówić, że „dahu” jest afrykańskim zwierzęciem, cenionym przez myśliwych.

Dzień nie układał się tak dobrze, jakby Aleksander sobie tego życzył. Przecież to pierwszy dzień jego „powrotu”. Naprzód ten gaduła, a potem Divo, ironiczny kompan jego życia... Za to teraz miał przed sobą godzinę szczęścia.

Było to jego ulubione kino, na Polach Elizejskich. Wyświetlano tu dzisiaj *Topaz*, nie Pagnola, lecz Hitchcocka. Widział ten film już dwa razy. Usiadł blisko wyjścia. Po pięciu minutach, gdy nikt następny nie wszedł na salę, a na ekranie poruszali się bohaterowie filmu, Aleksander wstał z miejsca i opuścił kino, wychodząc zapasowym wyjściem. Znalazł się w bocznej uliczce, pięć minut spędził w ogródku kawiarni, zszedł do metra, wyskoczył z wagonu, gdy pociąg ruszył i to samo powtórzył przy następnym pociągu. Gdy znalazł się na dworcu Saint-Lazare, był już prawie pewien, że nikt za nim nie idzie, na wszelki wypadek jednak podjął dodatkowe środki ostrożności. Kupił bilet do Wersalu, chociaż jechał do Pontoise, i wskoczył do pociągu w ostatnim momencie. Jego obecna wyprawa była jego prywatną sprawą, dlatego odczuwał nieco złośliwą przyjemność, stosując przeciwko swym pracodawcom — sądził, że mogli czuwać nad jego ruchami — pewne elementy metod, jakie mu zaszczepili.

Na peronie kupił «Głos». Wolał go od «Le Monde», który nie należał do jego orkiestry. «Głos» poświęcał pół strony artykułowi Jeanne Bouillon pod tytułem *Zdemaskować Żelazną Maskę*. Wewnątrz, w ramce, znajdował się krótszy tekst: „*Dzwon ukarany*: fragment supertajnego dzieła anonimowego więźnia”.

Zaczął lekturę od artykułu Jeanne Buillon, która należała do jego wypróbowanych „pudeł rezonansowych”, głośników emitujących przed francuską publicznością posłania, przygotowane przez niego czy też, mówiąc ściślej, przez jego przełożonych. „Dyrekcja niepokoi się popularnością papieża i naciskiem, jaki on kładzie na prymat duchowości — mówił oficer-pilot. — Czy nie miałby pan jakiegoś pomysłu w tej mierze?” Wtedy Aleksander zapraszał Jeanne Bouillon na obiad do „Antykwaryuszy” i wygłaszał następujące słowa: „Jeanne, myślę o pani w związku z nową *Białą Księżką*. To by pani odpowiadało, nieprawdaż, usadzić nieco Pana Boga”.

Tym razem jednak pani Bouillon działała na własną rękę.

Aleksander uważał to za właściwe. Jeanne Bouillon nie była zwyczajną propagandystką i jej użyteczność była wprost proporcjonalna do swobody, jaką się jej zostawiało. Co innego, rzecz jasna, sprawa kontroli jej wytworów.

Od lat już anonimowy więzień celi numer 000 Szpitala Specjalnego (ul. Arsenалу, Leningrad, ZSRR) przesyła na Zachód — jaką drogą? — doniosłe obserwacje polityczne, notatki, których jakość każe przeczuwać w ich autorze kogoś na miarę Sołżenicyna czy Zinowiewa. Być może góruje on nawet nad tymi sławnymi dysydentami, jako że przedstawia pozytywne propozycje rozwiązania sowieckiego dylematu, nie ograniczając się do szkolowania teraźniejszości czy gloryfikacji dawnych czasów. Odnosi się wrażenie, że jego uwagi są wyrwane z większej pracy, noszącej tytuł *Rosyjska prawda*. Rodzi się pytanie, gdzie się znajduje to dzieło i jak to się stało, że psychiatrzy i policjanci reżimu — niewielka między nimi różnica — nie położyli jeszcze na nim swej łapy. Stąd właśnie bierze się legenda osoby, którą prasa nazywa „Żelazną Maską”, osoby na pewno godnej podziwu. Tym bardziej godne uwagi staje się zadanie odsłonięcia jej tajemnic.

Czemu jednak wietrzyć tu schowki i podstępny na miarę Siuksów albo Old Shatterhanda? Dzieło może nie istnieć wcale na papierze, może być zapisane w całości w fenomenalnej pamięci więźnia, z której próbują je wywabić ci bardzo specjaliści psychiatrzy. Dzięki Sołżenicynowi wiemy, jak niezwykle może się rozwinąć pamięć prześladowanych.

Powstaje jednak inne pytanie: kim jest owa malownicza „Żelazna Maską”?

Enzo Grucci, dyrektor domu wydawniczego Mewa, publikującego często materiały samizdatu, utrzymuje, że nie wie nic więcej niż opinia publiczna, chociaż to on właśnie jest od r. 1975 odbiorcą tajemniczych, siedmiu jak dotąd, przesyłek. Dwaj emigranci świeżej daty, niedawno zwolnieni z ponurego Szpitala Specjalnego, opowiedzieli o izolatce noszącej numer 000.

Otóż do izolatki tej zagląda jeden tylko psychiatra, ogromnego wzrostu lekarz, którego poza tym nie widzi się na terenie zakładu. Lokatorem izolatki jest więzień, którego inni chorzy nigdy nie widzieli na oczy. Także i oni przezwali go „Żelazną Maską”, co świadczy o poczytności Aleksandra Dumasa po obu stronach żelaznej kurtyny. Tylko dwaj pielęgniarze mają wstęp do izolatki, i także i oni nie są znani w szpitalu.

Psychuszkę obiegają jednak dziwne plotki. Mówi się o tym, jakoby izolatka numer 000 była zbytownie urządzona. Ma z niej wychodzić kabel anteny telewizyjnej. Jeden z pielęgniarzy czyścił dywan, który zaniósł później do celi niewidzialnego lokatora. Zza drzwi izolatki dobywają się nieraz dźwięki muzyki klasycznej, a potrawy przynoszone „Żelaznej Masce” wydają zapachy w niczym nie przypominające odoru potraw tutejszej kuchni.

Zestawmy teraz te uwagi z innymi faktami.

Trzynastego lipca 1971 niejaki Michał Kurnosow, urodzony w Kostromie w r. 1926, przebrany za milicjanta, otworzył ogień do samochodu, w którym, jak był przekonany, znajdował się Leonid Breżniew. Tymczasem Breżniew jechał innym samochodem. W zamachu lekko ranny został szofer pojazdu. Kurnosowa ujęto i cały świat — pamiętamy — zadawał sobie ze zgrozą pytanie, jaka też straszliwa kara spadnie na nieszczęśliwca... Jakiś czas później pojawiła się wiadomość, że Kurnosowa przeniesiono do Instytutu Serbskiego w Moskwie, gdzie miał być poddany badaniom psychiatrycznym. Reputacja tego zakładu jest od dawna ustalona: to naukowa filia strasznej Łubianki.

Kurnosowa osadzono wówczas w izolatce Czwartej Sekcji instytutu. Więzień uniknął sądu i, w konsekwencji, plutonu egzekucyjnego, gdyż psychiatrzy uznali, iż tylko szaleniec mógł być się targnąć na życie dobroczyńcy ludzkości. Co jednak stało się dalej z Kurnosowem? Dziennikarze zachodni wielokrotnie stawali to pytanie. Moskiewski sfinks dobrze strzegł tajemnicy.

Tymczasem — i to może jest najważniejsze — przedstawione

prasie fragmenty ekspertyzy psychiatrycznej zawierały następujące stwierdzenia: „Michał Kurnosow cierpi na psychozę paranoidalną z urojeniami doktrynalnymi. Jedno z nich polega na przekonaniu, iż jest on wynalazcą doktryny politycznej, która zawiera projekt utworzenia systemu idealnego w jednym tylko kraju. Jak wiadomo, sprzeciwia się to słusznym koncepcjom marksistowsko-leninowskim, z definicji uniwersalistycznym”.

A więc? Dlaczego nie przyznać, że pogłoski obiegające dobrze poinformowane kręgi są prawdziwe? Dlaczegożby więzień izolacji 000 nie miał się nazywać Michał Kurnosow?

Nie da się uniknąć pytania, dlaczego władze sowieckie otaczają swymi względami „Żelazną Maskę” zamiast zesłać więźnia do Syczewki, gdzie zgniłby razem z innymi nieuleczalnymi, bo przecież trudno założyć, że ktoś zorganizowałby próbę ucieczki — jej rezultat byłby łatwy do przewidzenia. Oto jeżeli pod „Żelazną Maską” kryje się Michał Kurnosow, przyczyny szczególnego postępowania władz mogą być następujące:

Coraz liczniejsi świadkowie zapewniają nas, iż ZSRR jest jedynym krajem na świecie, w którym nikt nie wierzy w marksizm-leninizm. Sytuacja ta jest przykra dla członków nomenklatury. Oni też nie są wyznawcami tej doktryny, ale zależy im na tym, by nie stracić swych przywilejów. Można więc przyjąć, że założyli oni ultratajne biuro polityczne, którego zadaniem byłoby wypracowanie nowej doktryny, następującej po całkowicie już zdemontowanym komunizmie. Jeśli tak, to w tym laboratorium politycznym oryginalny myśliciel Michał Kurnosow miałby zapewnione miejsce.

Hipoteza pewnego rodzaju *szaraszki* (więzienia-laboratorium dla filozofów, przez analogię do więzienia-instytutu naukowego, o którym dowiedzieliśmy się od Sołżenicyna) wyjaśniałaby w sposób racjonalny, dlaczego zdecydowana zazwyczaj sowiecka sprawiedliwość nie obesła się ostro z Michałem Kurnosowem, pechowym tyranobójcą. „Wątpię — pomyślał Aleksander — żeby wyjaśnienie mogło być tak prościutkie, jak

się to wydaje Jeanne Bouillon. Zwłaszcza jeżeli sprawą zajął się Pitman...”

Drażniło go ubóstwo języka Jeanne Bouillon, cecha, z której ona była tak dumna. Dołączała się do tego też irytacja natury profesjonalnej, z której wolał nie zdawać sobie zbyt dokładnie sprawy: jakim prawem ta dziennikarka, prowadzone przez niego „pudło rezonansowe”, powtarzała pochodzące z „kół dobrze poinformowanych” pogłoski, które nigdy do niego nie dotarły? A zresztą, czyż to ma jakieś znaczenie? Wkrótce przecież „wróci”.

Przeczytał też tekst zawarty w ramkach, przekład z języka włoskiego:

«ROSYJSKA PRAWDA» O MASS MEDIACH

albo

DZWON UKARANY

W dawnych czasach dzwony kościelne były chrzczone i namaszczone olejami świętymi. Jeśli dobrze się sprawowały, oddawano im cześć. Jeśli niedobrze, tym gorzej dla nich: tym gorzej dla ciebie, mały, podnieś sukienkę, dostaniesz klapsa.

W r. 1593 w Ugliczu poderżnięto gardło małemu carewiczowi Dymitrowi. Zabójców nasłał na niego najprawdopodobniej Borys Godunow. Wielki dzwon ugliczowski zaczął wtedy, jakby sam z siebie, bić na alarm: „Morderstwo! Morderstwo!”

Borys rozgniewał się. Na jego rozkaz zdjęto dzwon i wychłostano różgami. Złamano mu jedno ucho, tak jakby ukarano skazańca, ucinając mu ucho, i zesłano go na Syberię, do Tobolska. Naprzód umieszczono go w cerkwi Wszechmiłosiernego, przy rynku miasteczka. Następnie wybijał godziny na wieży Św. Zofii. Wybił ich bardzo wiele, mniej więcej dwa miliony dwieście czterdzieści dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt.

W r. 1849 ugliczanie doszli do wniosku, że dzwon dość już wycierpiał. Zażądali jego powrotu.

Naprzód trzeba było udowodnić, że to rzeczywiście dzwon z Uglicza wybija godziny w Tobolsku. Gdy tego dokonano,

amnestiowany dzwon mógł już wrócić do domu. Stało się to 20 maja 1892 roku, po trzech stuleciach bez jednego roku od chwili deportacji. 21 maja wszystko było gotowe. W obecności wielkich mas ludowych dzwon, gołąbek, znów rozdzwonił się na swej rodzinnej wieży.

Oto historia pomyłki sądowej. Założmy jednak, że było inaczej.

Czym byłaby dusza rosyjska bez *trojki*? A czym byłaby *trojka* bez dzwoneczków? Mówi się o nich: wałdajskie dzwoneczki. Dlaczego?

Wielki Książę moskiewski, Bazyli III, zdobył Psków i posłał tam swego intendenta, Dołmatowa: „Posłuchaj, Dołmaszka, przywieź mi ich dzwon alarmowy”. Dzwon alarmowy był wówczas, jakby się powiedziało, symbolem niezależności mieszczan.

Podczas transportu, w wiosce Wałdaj, dzwon pękł. Mieszkańcy wsi pozbięli okruchy dzwonu i przetopili je na dzwoneczki do *trojki*.

A gdyby tak dzwon z Uglicza pękł w drodze do Tobolska i gdyby przetopiono go na dzwoneczki, i gdyby wszystkie dzwoneczki mówiły: „Morderstwo! Morderstwo!”?

Oto co «Rosyjska prawda» myśli o *mass-mediach*.

„Bez sensu! — rozżościł się Aleksander. — *Rosyjska prawda* w ogóle nic nie myśli. Parabolę tę można przecież interpretować na tysiące sposobów. «Żelazna Maską», obojętne, czy pod nią kryje się Kurnosow czy kto inny, jest zwyczajnym szarlatanem”.

W Pontoise Aleksander raz jeszcze sprawdził, czy nikt go nie śledzi, po czym wziął taksówkę i kazał się wieźć na strzelnicę.

— Ach! Pan Aleksander! Dawno nie widziany.

Posługując się dowodem osobistym lekko podrobionym, a potem zgubionym, Aleksander Psar zapisał się do towarzystwa Strzeleckiego jako Aleksander Rsar. Miało to dwie zalety: musiało wprowadzić w błąd ewentualnych szperaczy, którzy posuwali się

w swych badaniach w porządku alfabetycznym, a także zmuszało członków towarzystwa do posługiwania się tylko imieniem, skoro nazwisko nie dawało się wymówić.

Strzelnicę, jedną z najnowocześniejszych w Europie, prowadził wesolutki i okrągłutki pułkownik w stanie spoczynku. Uważał on Aleksandra za wielki talent strzelecki i w związku z tym wyświadczał mu stale uprzejmości. Prawdopodobnie zresztą był w błędzie: w Aleksandrze odzywał się po prostu niezaspokojony temperament żołnierza. Brakowało mu zimnej pasji dla techniki strzelania, pasji, którą odznaczają się strzelcy zarazem najpoważniejsi i najbardziej zwariowani. Nie posługiwał się ani rzadkimi, ani zdobnymi odmianami broni, nie przeprowadzał obliczeń balistycznych, nie znał na pamięć wagi ładunków i szybkości lotu pocisku, nie uważał się za specjalistę od uzbrojenia i nie rozmontowywał mechanizmu spustu. Nie był nawet strzelcem wyborowym, nie brał udziału w zawodach strzeleckich. Ale strzelanie dawało mu dużo przyjemności i było to widoczne, choć Aleksander niechętnie się do tego przyznawał. Przestrzegał skrupulatnie przepisów bezpieczeństwa, żywił szacunek dla broni. Wszystko wskazywało na to, że gdyby nie był prosperującym człowiekiem interesu, mógłby być równie dobrze doskonałym oficerem.

W sali, w której strzelało się z wiatrówek, panowała cisza jak w akwarium. Dwaj strzelcy uprawiali tu swoje ćwiczenia, skupieni i dbający też o skupienie sąsiada. Odgłosy strzałów, małe plaff, nie bardziej zakłócały spokój tego miejsca niż poruszenia płetw w głębinie wód.

Aleksander koncentrował się. Przygotowanie się do strzału ma w sobie coś z techniki zen i z treningu aktorskiego w szkole Stanisławskiego. Dłoń zaciśnięta na kolbie, spokojnie i stanowczo; sztywny palec wskazujący na kabłąku spustu; śrutowy pocisk wsunięty precyzyjnie do komory; mięśnie rozluźnione: były to zarazem wymogi praktyczne i rodzaj rytuału, ułatwiającego osiągnięcie pożądanego stanu łaski. I nagle jest się gotowym,

przenosi się spojrzenie na tarczę. Na świecie istniejemy tylko my dwoje, tarcza i ja.

Aleksander strzelał bez pośpiechu, zatopiony w purytańskim skupieniu, które przystoi wiatrówce. Strzelanie z wiatrówki ma się do prawdziwego strzelania tak jak *tocatta* do symfonii. Po każdym strzale naciskał guziczek specjalnego urządzenia, które po napiętych linkach sprowadzało do niego tarczę jakby w koleje linowej. Badał swoje wyniki surowo: „Skąd ten odstęp? Czy ruszyłem palcem?” Następnie odsyłał tarczę na jej miejsce. Od-dychał głęboko, wypuszczał powietrze, jeszcze raz go nabierał, wydychał powietrze do połowy i tak, z zawieszonym na moment oddechem, podnosił ramię, opuszczał je, ustawiał szczerbinę na muszce, i wreszcie zcierał mocniej dłoń, jakby ścisnął gąbkę. Lekkie plaff wystrzału zaskakiwało go za każdym razem.

Strzelanie z wiatrówki było dla niego czymś w rodzaju oczyszczającego ćwiczenia przed strzelaniem z broni palnej — podobnie oczyszczają się prawosławni, poszcząc przed nadejściem świąt Bożego Narodzenia. Dopiero gdy był zadowolony ze swych wyników wracał do swojej szafki i brał z niej ochronne nauszники. Na dnie szafki błękitna poświata: *Smith & Wesson*. Gdy Aleksander brał go do ręki, odczuwał emocję, której nie potrafił do końca wytłumaczyć. Przyrównywanie broni palnej do symbolu seksualnego wydawało mu się śmiechu warte. Nie chciał też widzieć obiektu świętości, w przedmiocie służącym przecież do ćwiczeń tylko, do gry. Może jednak któregoś dnia ta asceza dobiegnie końca? Aleksander pochodził z rodziny wojowników, którzy poprzez posługiwanie się bronią osiągnęli zaspokojenie podobne temu, jakiego inni dostępowali za pośrednictwem narzędzia, pióra, krzyża lub banknotów.

— Chodź — powiedział po rosyjsku. (Dokładniej zaś: chodźmy.)

Broń palna nie jest ani psem, ani koniem, lecz w pewnym sensie należy do tej samej rodziny.

Dlaczego zdecydował się na rewolwer, a nie na pistolet automatyczny? Mechanika interesowała go nie bardziej niż sprawy zarządzania i administracji; pistolet automatyczny, pomimo jego oczywistych zalet, wydawał mu się zbyt uzależniony od sprężyny powrotnej i sprężyny magazynka. System zabezpieczania pistoletu uważał za sztuczny, w pewnym sensie zbędny, dorzucony. Rewolwer to co innego, prostota jego budowy miała w sobie coś oczywistego. Poza tym jedyną bronią, jaka należała do wojskowego ekwipunku jego ojca był nagan. Być może dla jego podświadomości pistolet automatyczny był obrazem innego już świata, świata, w którym nie było miejsca dla takich jak on.

— Sylwetki, panie Aleksandrze?

— Naprzód tarcza, panie pułkowniku.

Przeszedł do pomieszczenia, gdzie strzelało się z broni palnej. Zastał tam tylko jednego strzelca. Ulokował się najdalej jak tylko mógł od niego.

Jego *Smith & Wesson* mógł być ładowany nabojami 357 magnum albo 38 „special”. Mimo że nie był w tej dziedzinie pedantem, Aleksander wiedział, że zależnie od użytego naboju energia i szybkość lotu pocisku mogła się znacznie zmieniać, nawet podwajać. Strzelając do tarcz używał 38 „specjalnych”, o ostrych ołowianych pociskach, obciążonych nylonem. Były one względnie tanie.

Stał przed tarczą. Opuścił rękę, w której trzymał rewolwer. Była to raczej broń polowa niż sportowa, dość duża jednak: długość lufy wynosiła cztery cale, a całość, po naładowaniu, ważyła więcej niż kilogram. Stojąc w ten sposób przyzwyczajał swe ciało do tego nowego organu, przedłużającego linię ramienia.

Odbezpieczył rewolwer.

Strzelając do tarczy posługiwał się najprostszym sposobem. Jaka to przyjemność, odciągając kciukiem kurek, czuć opór kurka, potem czuć, jak ustępuje i jak usztywnia się język spustu.

Uroczyście uniósł ramię, jak do błogosławieństwa. Jednocześnie przymknął lewe oko. Stopy pod kątem prostym. Biodra i barki odwrócone w bok, płaskie jak na fresku egipskim. Jego ciało zamieniło się jakby w figurę geometryczną, rozciągającą się wyłącznie w planie pionowym, prostopadłym do powierzchni tarczy. W tym samym planie poruszała się jego ręka, z góry na dół, jak skrzydło wiatraka.

Wyregulowana do perfekcji muszka objęła sobą szczerbinę. Trójkąt szczerbinki zdawał się szczelnie wypełniać ciemne koło muszki. Aleksander miał wielkie dłonie. Prawie nie czuł ciężaru broni w palcach. Zgodnie z zaleceniami techniki amerykańskiej starał się, by palec wskazujący był swobodny i jednocześnie uważał, by w niczym nie zburzyć cudownej równowagi, jaką udało mu się osiągnąć. Strzelił. Strzelił, ciągnąc ku sobie spust.

Broń przemówiła.

Strzelał dalej. Jakiś wewnętrzny licznik — psychosomatyczny? — powiadamiał go o ilości oddanych strzałów. Po sześciu strzałach wiedział, że może już wyrzucić łuski. Był zadowolony z wyników na tarczy. Był w dobrym nastroju. Zwrócił się do pułkownika, który nie odstępował go przez cały czas:

— Teraz, panie pułkowniku.

Strzelnica sylwetkowa była w zasadzie przeznaczona dla policjantów i oficerów rezerwy, to jest dla tych, co do których można było żywić przekonanie, iż towarzystwo strzeleckie nie jest dla nich tylko kursem dziurawienia bliźnich. Aleksander miał tam wstęp. Strzelając do sylwetek posługiwał się amunicją 357 magnum. Nie rozpieczętował paczuszki, leżącej na dnie jego szafki — były tam naboje o wydrążonych pociskach — lecz używał *semi-wadcutter*, też niczego sobie. Przesunął bębenek rewolweru i włożył ciężkie ziarna śmierci do odpowiednich gniazd. Za moment ogromne, płasko ucięte pociski opuszczą lufę, osiągając szybkość 500 metrów na sekundę.

— Gotów?

— Gotów, panie pułkowniku.

Sylwetki nie wyskakują aż tak szybko, żeby nie dało się stosować zwykłej metody repetowania rewolweru, ale system podwójny wydawał mu się właściwszy w tym wypadku. Strzelanie do sylwetek, gdzie wszystko zależy od refleksu, ma się do strzelania do tarczy tak jak prawdziwa, spełniona miłość do miłości platonicznej.

Oto po lewej stronie ukazała się wąska sylwetka. Ogień. Inna, wyższa, po prawej. Ogień. Był spokojny: tych dwóch załatwił. Tuż przed nim ukazała się następna. Ogień. Powinien rozluźnić palec. Odgadł, że tym razem trafił tylko w ramię i poprawił się, strzelając w pępek, nim sylwetka obróciła się na zawiasach. Czuł w sobie straszną wściekłość.

— Myślałeś, że już mnie masz, co? Zdychaj.

Jedna z prawej. Ogień. Z lewej. Pułkownik, śmiejąc się wszystkimi zmarszczkami okrągłej twarzy, przyśpieszał tempo poruszania się sylwetek. Usłyszał suchy trzask iglicy. Licznik psychosomatyczny pomylił się.

— Ach, panie Aleksandrze, a nie chciał mnie pan słuchać. Zawsze panu powtarzam, że pistolet automatyczny...

— Wiem. Ostatni byłby mnie dostał.

Z nienawiścią spojrzął na kpiącą sylwetkę. Naładował rewolwer: małe fasolki wracały do swych strączków, listy wsuwały się do kopert. Oby dosięgły swych adresatów...

Znów zaczął strzelać. Tym razem była to prawdziwa orgia strzelecka. Zatrzymał się dopiero na progu wyczerpania. Jego eminencja kciuk zeszytniał z wysiłku. Palec wskazujący, wymęczony przez dodatkową pracę systemu podwójnego, nie mógł już płynnie działać. „Ciekaw jestem, jak tam wyglądają strzelnice. Z pewnością równie nowoczesne...”

— No, przedziurawił pan z pięćdziesiątkę Żółtków. Niech pan zdejmie nauszники i napije się czegoś.

Wrócił do kina zapasowym wyjściem; te drzwi nie domykały się i właśnie dlatego chodził na prawie wszystkie filmy, grane w

tym kinie. Dzisiejsza wycieczka zajęła czas dwóch lub trzech seansów, lecz to go nie niepokoiło: film wyświetlany był *non stop*, a on wyrobił sobie już markę bywalca pozostającego w kinie znacznie dłużej, jeśli tylko obraz mu się podobał. Opuścił kino po scenie dziejącej się w hotelu. Zostawił swoją omegę na parkingu i udał się do Jessiki piechotą.

Czerwcowe wieczory trwają bez końca. Bez pośpiechu przemierzał wielkie mieszczańskie trakty swej ulubionej ósmej dzielnicy. Dla kogo wybudowano te wspaniałe domy, niewiele skromniejsze od pałaców? Nie dla arystokratów, lecz dla agentów giełdowych i bankierów. Ci umieli jeszcze żyć. Te wielkie klatki schodowe, te masywne balkony z kratami z kutego żelaza (Aleksander uwielbiał kute żelazo). Ogrody, przesuwane się za bramami. Zielona masa bluszczu, wylewająca się z murów pięciometrowej wysokości. Przepych alei ogrodowych, ze zwierem zgrzytającym pod nogami. Aleksander zdawał się odkrywać tu fantomy przeszłości, rycerzy, szlachciców, karoce. Jego dziadek przechadzał się tędy jakieś osiemdziesiąt lat temu, może pod tymi samymi drzewami; nosił fioletowe rękawiczki. Była to era sojuszu: republikanie francuscy nie żywili żadnych uprzedzeń wobec bojarów, albo też ukrywali je przez sympatię dla rubli. Później zjawiał się tu jego ojciec, z pustym żołądkiem, próbował dzwonić do jednych czy drugich drzwi, bez powodzenia. I oto teraz on żegnał się z tym miastem, rozgniatając piasek podszwami butów fabrykowanych przez najlepszego włoskiego producenta obuwia w Paryżu. Szedł z uniesioną głową, robiąc miejsce każdej przechodzącej kobiecie, elegancko, obojętnie, czy była to mieszkanka dzielnicy, czy też zwykła portugalska bona.

Jessica mieszkała blisko La Muette, w bardzo brzydkim i bardzo komfortowym budynku, wzniesionym tuż przed wojną. Z balkonu można było zobaczyć Lasek Buloński. Tuż obok znajdowała się sowiecka ambasada.

— Pani Boisse zrobiła się na piękność?

Zwracając się do tej kobiety Aleksander stawał się zawsze trochę grubiański; coś w niej prowokowało go do tego.

Jessica była szczupłą brunetką, przystojną, owszem, nasyconą zapachem tytoniu, zawsze ubraną na czarno. Dzisiaj był to czarny, prawie przezroczysty szlafroczek, retro do drugiej potęgi, same koronki i falbanki. Pasek, ściągający tę zwiewną materię, był ledwie związany.

Zaprowadziła gościa do salonu. W jednym kącie prążkowane na czarno i biało kanapy ustawione były na brzegach skóry z zebry. W drugim czekał przykryty szklaną taflą stół, a na nim nowoczesne srebra, ogromne talerze, typowe dla nowego stylu gotowania, nakrycie dla dwóch osób i wreszcie złota szyjka butelki, wynurzająca się z wiadra z lodem.

— Jeśli idzie o mnie, gotowa jestem w każdej chwili dotrzymać umowy... — bawiła się paskiem szlafroka. — Nie? Nie zmienił pan zdania?

Aleksander usiadł na jednej z kanap. Miał ochotę odpowiedzieć jej niegrzecznie, ale zmilczał.

— Może jednak? Iwan będzie tu najwcześniej za dwadzieścia minut. Niech pan się wreszcie przyzna: czy ja się panu nie podobam, czy też jest pan impotentem?

Mówiła z lekkim akcentem amerykańskim.

— Moja droga Jessico — odpowiedział jej rozleniwionym głosem — doświadczenie uczy nas, że nie powinno się nigdy mieszać obowiązku i przyjemności.

— Gdy jednak obowiązek staje się przyjemnością, jest w tym coś wspaniałego, czyż nie?

— Ale przyjemność, która zamienia się w obowiązek, staje się torturą. Zresztą, jeżeli któregoś dnia przestanie pani pełnić funkcję pośrednika, zobaczymy. Proszę jednak nie udawać, że narzeka pani na brak wielbicieli.

Miała ze czterdzieści lat, lecz wciąż była bardzo atrakcyjna. Jessica zapaliła papierosa. Nawet nie udawał, że chce podać jej

ogień. Cóż, Pitman popełnił błąd, przydzielając mu tę palaczkę. Ktoś powinien wreszcie spostrzec, że nienawidził kobiet palących. Być może jednak Pitman zrobił to rozmyślnie: związek między nimi mógłby zaszkodzić sprawie. Po raz pierwszy tego dnia w jego pamięci pojawiła się Ała. Jej wspomnienie przeszło mu serce.

Zazwyczaj zabraniał sobie myślenia o niej i o małym Dymitrze. Nawet dzisiaj rano, gdy wyobrażał sobie bliski powrót, świadomie pominął te dwie drogie mu osoby. „Pitman ma mnie w ręce, nie trzeba, żeby ta zależność była jeszcze większa”. Czasem jednak, gdy myślał o czymś zupełnie innym, działo się tak, jakby zrywała się jakaś tama: „Och, moja żona! Och, mój syn!”. Wyrzucał sobie później ten brak czujności: „Trzeba się kryć”. Oglądał swoje paznokcie. Miał ładne dłonie i pozwalał sobie na nieco staroświecki \ luksus starannego wygładzania pilniczkiem paznokci.

Jessica śledziła jego spojrzenie i zadrwiła:

— Ani impotent, ani też to, żebym się panu nie podobała, tylko po prostu jest pan ciotą, co? Z pewnością mówi się tak o panu w środowiskach literackich.

— Istotnie, w tych środowiskach nie szkodziłoby mi to w żaden sposób — odrzekł Aleksander nie prostując. — Znam literatów całkowicie normalnych, którzy podają się za inwertytów, bo uważają, że taka opinia będzie dla nich korzystna. Zachód jest naprawdę zgniły, Jessica, to nie propaganda.

Kanadyjka urodzona w Cannes, żona najpierw pewnego włoskiego księcia, potem amerykańskiego impresaria i później innych jeszcze dżentelmenów, Jessica Boisse miała swoje znajomości w międzynarodowym *high society*, chociaż naprawdę do niego nie należała. Od czasu do czasu pokazywała się z Aleksandrem u „Maxima”, albo zabierała go swą małą, białą lancią do któregoś z wydawców: wystarczało to do zaspokojenia ciekawości paryżan co do prywatnego życia Aleksandra Psara. Co sprawiało, że Jessica posłuszna była Pitmanowi? Pieniądze? Szantaż? Aleksander nie wiedział tego i wolał się nie dowiadywać.

W jego dyrekcji do dobrych obyczajów należało nie wiedzieć zbyt wiele. „Funkcjonowanie zamków w drzwiach to nie nasza dziedzina”. Po co podpatrywać kogoś, szpiegować, choćby to nawet był przeciwnik, skoro o wiele prościej jest uzależnić go, instruować. „Zaskroniec — mawiał Pitman — nie zajmuje się podpatrywaniem żaby”.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Jessica poszła otworzyć. Stosownie do swego dezabilu poruszała się imitując styl „na panterę” lat dwudziestych.

— Cieszę się, że pana widzę, Iwanie Iwanyczu.

— Co słyhać, Aleksandrze Dmitryczu?

Iwan IV był krępyim mężczyzną około pięćdziesiątki. Rude, rzadkie włosy, czesane w poprzek czaszki, miały za zadanie zasłonięcie łysiny. Jego twarz pokryta była śladami po ospie. W niebieskich oczach często pojawiał się wyraz czułości, wzruszenia. Miał na sobie koszulę w biało-niebieskie paski, brązowy garnitur i wielkie półbuty.

Uścisnęli sobie mocno dłonie. Iwan Iwanycz wpatrywał się w swego agenta:

— Dobrze wyglądasz, Aleksandrze Dmitryczu. I wciąż jesteś piękny jak bóg.

— Ręka boga nie jest uchwytem pompy, Iwanie Iwanyczu. Skończ już z tym udowadnianiem mi, że mógłbyś mi wyrwać ramię, gdybyś tylko zechciał. Napij się raczej ze mną wódki.

Był to stały żart Aleksandra: Iwan Iwanycz nie znosił wódki, czego zresztą bardzo żałował.

— Dajcie spokój, towarzyszu pułkowniku. To nieładnie wyśmiewać się z biednego żołądkowca.

Aleksander miał stopień pułkownika z nadania, Iwan Iwanycz był zawodowym oficerem, majorem.

— No i co? Żadnych APK dzisiaj?

Aleksander lubił popisywać się żargonem KGB: na pijatykę mówiło się Aktywność Polityczno-Kulturalna.

— Nie, skądże. Miałbyś ochotę, co? Jeżeli nasza damulka pomyślała o kropelce szampana...

Jessica wtrąciła się:

— *Szampanskoje?* Tak, tak, jest *szampanskoje*. Znam się na moim zawodzie.

Mówiła kiepskim rosyjskim.

— Panowie, zostawię was z waszymi sprawami. Jeśli będziecie mnie potrzebowali, zawołajcie. Ale myślę, że będziecie równie szczęśliwi beze mnie. Gdybyście chcieli tańczyć na golasa, zasłońcie okna: mam sąsiadów.

Wyszła z pokoju. Iwan Iwanycz zmrużył oko:

— Chętnie by tu z nami została, dziwka.

— Jeżeli serce ci to dyktuje, nie krępuj się.

— Ach, serce, serce... — Iwan Iwanycz podszedł do szklanego stołu: — Kawiorek! Homarek! Gaska! Coś mi się wydaje, że rachuneczek będzie słony.

Usiedli przy stole. Iwan złożył nakrochmaloną serwetkę w trójkąt, którego rozek wsunął między dwa guziki pomiętej kamizelki. Wydając radosny okrzyk oczekiwania wyciągnął rękę po butelkę. Czuło się w nim pogodnego człowieka, który radośnie zabierał się do odłamywania szczypców homara i łamania zębami kości gęsi. Aleksander pomyślał — była w tym i litość dla Iwana, i zadowolenie — że wkrótce popsuje mu apetyt.

— Iwanie Iwanyczu, poprosiłem o pilne spotkanie nie tylko ze względu na homara. Co prawda mam dla ciebie kilka drobnych spraw, na przykład powieść historyczną szkalującą Dostojewskiego, ale to mogłoby poczekać. Co innego było bardzo pilne: chciałem ci powiedzieć, że skończyłem.

— Co skończyłeś?

— Skończyłem moją pracę dla dyrekcji. W każdym razie we Francji.

— Ty... co?! Ty mnie zadusisz, Aleksandrze Dmitryczu.

— To twoja sprawa. Jeśli o mnie idzie, wracam.

W jasnych oczach Iwana Iwanycza pojawiła się miękka czułość:

— Sasza, Saszeńka... Nie możesz mi tego zrobić. Ja się już przyzwyczailem do Paryża, i moja żona także... I przede wszystkim nie można przerwać misji tak sobie, w czasie jazdy! Pomyśl o organizacji, o ojczyźnie! Aleksandrze Dmitryczu, przyznaj się, żartujesz sobie ze mnie, gołąbku, prawda?

— Iwanie Iwanyczu, zgodziłem się wykonywać moją misję trzydzieści lat. Trzydzieści lat upłynęło, nadszedł czas powrotu.

— Zgodziłem się, zgodziłem... Ty nie masz się co zgadzać, masz słuchać, tak jak my wszyscy.

— Nie masz racji, Iwanie Iwanyczu. Powtarzam, gdy zgodziłem się przyjąć uczynioną mi propozycję...

— Co? kiedy? Jaką propozycję?

— Trzydzieści lat temu, powiedziałem ci. Gdzie? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, na wieży Notre Dame, dokładnie rzecz biorąc na galerijce chimera, między dwiema wieżami. Gdy więc przyjąłem propozycję, postawiłem pewien warunek: mianowicie że wrócę, nim skończę pięćdziesiąt lat. Zgodzono się na moje warunki. Jakub Mojsiejewicz dał mi swoje słowo. Pewnie nie wiesz o tym, ale to właśnie on mnie zwerbował.

Iwan Iwanycz wyrwał serwetkę i rzucił ją na stół:

— To skandal! To potworne! Nie uwierzę w to nigdy. Będziemy dalej pracowali jak do tej pory.

Aleksander patrzył na niego uważnie:

— Iwanie Iwanyczu, ja cię lubię, ale musisz pamiętać, że twoje zadanie sprowadza się do jednego: jesteś pasem transmisyjnym, niczym więcej. Wykonaj więc, co do ciebie należy. Przekaż wiadomość dalej. Transmituj.

Gdy Aleksander wrócił do domu, było wciąż jasno, chociaż była już dziesiąta w nocy. Działo się to w okolicy św. Jana i wieczory paryskie niewiele różniły się od białych nocy Petersburga.

W pokoju majaczył błękitny półcień. Elektroniczne szachy

musiały znaleźć rozwiązanie, bo światełko zgasło. Aleksander siadł przy szachownicy i szukał riposty. Nie miał jednak wolnej głowy. Przed jego oczami przepływały obrazy. Chłopczyk o jasnych włosach; za każdym razem musiał uczyć się na pamięć jego zdjęć i potem niszczyć fotografię. Stary człowiek umierający w szpitalu: „Ja nie wrócę już, Alek, ale ty wrócisz zamiast mnie”. I dłoń, opadająca dłoń, która nie dosięgła już policzka syna. Młoda kobieta o oczach pełnych patosu i czujnych. I wreszcie wielka nawa kościoła, płynąca niebem, i dwie małe sylwetki na mostku kapitańskim: młody mężczyzna i jego kusiciel.

Iwanowi Iwanyczowi, choćby był nie wiadomo jak wściekły, nie pozostawało nic innego jak tylko przekazanie żądania powrotu Oprycznika. Jedyne co mógł zrobić, to złagodzić nieco wymowę tego apelu przez osłodzenie go przeprosinami i usprawiedliwieniami. Depesza znalazła się na biurku generała majora Jakuba Pitmana.

Mając lat pięćdziesiąt siedem Pitman był najmłodszym członkiem Areopagu Teoretyków, jednym z tych, których młode pokolenie nazywało czapkami-niewidkami. Jednym z jego zadań, najmniej jeszcze odpowiedzialnym, było wymyślanie najróżniejszych bzików i aberracji, które ZSRR wmówi światu w czasie następnych dwudziestu lat. Inne funkcje, jeszcze bardziej tajne, poznawał krok po kroku, w trakcie następujących po sobie wtajemniczeń. Już teraz jednak wysysał boską ambrozię najwyższej prawdy i przekonany był, że dzięki nieprzeniknionym arkanom byłego departamentu «D», który zmienił nazwę na dyrekcja «A», życie jego nie pójdzie na marne, przysłuży się ludzkości.

Gdyby w dyrekcji «A» przestrzegano ściśle regulaminu, generał major od dawna przestałby się zajmować bagatelami rodzaju jednego z *agent d'influence*, działającego gdzieś w świecie. Zajmowałaby się dwiema rzeczami: administracją podległych mu sektorów i polityką w stosunku do „góry”. Ale Pitman, zarażony bakcyłem Sun Tsu, przyznał sam sobie prawo rozplątania do

końca „boskiego węzła”, który sam zasupłał w młodości, rekrutując owych siedmiu Francuzów. Gdy czytał raport Iwana Iwanycza, przeżył ponownie scenę na galerijce chimer... Potem sięgnął dłonią w stronę *wiertuszki*, aparatu telefonicznego, którym posługiwać się mogli tylko władcy świata:

- Czy mogę przyjechać?
- Czekam na pana.

Podjechał samochód służbowy. Pitman usiadł z tyłu. Nie aprobował populistycznego gestu niektórych przełożonych, którzy zajmowali miejsce obok kierowcy, ale też brakowało mu śmiałości, by domagać się tego, co Abdurachmanow otrzymywał bez prośzenia: żeby otwierano przed nim drzwi samochodu.

- Do Wołkowa.

Abdurachmanow osiadł o jakieś sto kilometrów od Moskwy, w starożytnej wiosce, w której KGB zbudował dacje dla swych pracowników. Około czterystu hektarów ogrodzono i odcięto od świata. Obszar ten był strzeżony przez uzbrojonych wartowników i psy. Panowała tu cisza natury pozostawionej w stanie dziewiczym. Można było łowić ryby w jeziorze, polować lub zbierać grzyby w lesie.

Dacza Abdurachmanowa zbudowana była tuż nad jeziorem. Weranda zawieszona była nad taflą wody. Drewniany dom, wzniesiony tuż po wojnie, przybrał już wygląd starej rosyjskiej chaty, z jej koronkowymi szczytami i pokrzywionymi stopniami ganku.

Abdurachmanow żył tu samotnie, mając do towarzystwa jedynie niemego ordynansa; obywał się bez haremu i bez rodziny. Pitman zastał starego człowieka na werandzie, przed szachownicą, na której stały ogromne kolorowe figury w dawnym stylu. Na stole leżała prymitywnie zadrukowana kartka papieru, zawierająca zadania szachowe. Pomiędzy drzewami zachodziło słońce i, jakby angażując się w ostatni bój, wypuszczało strzały swych promieni w las. Na gałęziach wykwitwały małe eksplozje światła. Jezioro było całkiem gładkie i bezbarwne.

— Kenti, samowar!

Innokienti, bez wątpienia uprzedzony przez wartowników, wnosił już w wyciągniętych ramionach brzuchaty, buchający parą srebrny samowar. Wracał jeszcze kilkakrotnie przynosząc małe chleby o różnych kształtach, kołaczki, bublik, słoiczki z konfiturami i miodem, ogórki małosolone, kiełbasę; głowę miał opuszczoną, minę starego zrzędy, nie patrzył ani na swego pana, ani na gościa.

— Mohamedzie Mohamedowiczu, zawsze byłem przekonany, że pańskie zamiary wobec Oprycznika są bardzo konkretne.

Wiek nie przygarbił Abdurachmanowa, tyle że jego barki zaokrągliły się i teraz już nie tylko jego czaszka, ale i cała sylwetka upodobniła się do gigantycznej głowy cukru. Gryzł ogórka. Jego wielkie zęby pożółkły, lecz nie wypadły. „Bardzo stary ludojad — pomyślał Pitman. — Ludojad, który ma więcej niż osiemdziesiąt lat”.

— Oprycznik? Przypominasz sobie, ekscelencjo, że nie chciałeś go kiedyś zatrudnić?

Dla żartu Abdurachmanow posłużył się tytułem, który przysługiwałby Pitmanowi w starej Rosji. Zrównoważył to mówiąc mu „ty”.

Pitman chętnie przyznał się do swej ówczesnej pomyłki i zaczęli obaj przypominać sobie największe osiągnięcia Oprycznika. Pierwszym z nich była powieść Emanuela Bluna, *Wierny przyjaciel*. Nie chciał jej z początku żaden wydawca, a tymczasem Psarowi udało się — musiał w tym celu potrząsnąć paroma szkieletami w paru szafach — uzyskać dla niej jedną z wielkich nagród literackich. Książkę Bluna przetłumaczono na wiele języków, a w ZSRR przyznano jej nawet laur opatrzony imieniem jednego z najkrwawszych katów ludzkości. Mimo to Blun w dalszym ciągu uchodził za liberała: wiernym przyjacielem bohatera powieści był pewien milczący lecz sprawny członek partii komunistycznej, który przybywał zawsze w porę, by ocalić

narratora od niebezpieczeństw, na jakie narażały go jego wielkoduszność i roztargnienie.

Później Psar wpadł na pomysł *Białej Księgi*. Trzeba było go niekiedy hamować. W szczególności trzeba było interweniować w przypadku *Księgi* poświęconej wojnie algierskiej. „Nie chodzi o to — usłyszał wtedy Psar — żeby znalazł się pan na lewicy. Niech pan pamięta, jest pan uczciwym człowiekiem, który nie może przeczyć oczywistym dowodom, jednak naturalne skłonności kierują pana ku prawicy...” Był wtedy jeszcze jeden powód, i Psar domyślił się tego: kampanię w sprawie wojny algierskiej powierzono innemu agentowi i trzeba było unikać interferencji.

— Ale jego *Biała Księga o edukacji narodowej!*. Francuzi do tej pory odczuwają jej skutki.

— Także i jego *Biała Księga o kobiecie* nie była zła, Mohamedzie Mohamedowiczu.

— O, tak. Zastanawiam się, na ile można obliczać liczbę obywateli francuskich odesłanych nadawcy dzięki staraniom Oprycznika. Nie sądzisz, ekscelencjo, że otchłanie pełne są „małych krwawiących embrionów” francuskich, skierowanych tam przez naszego przyjaciela?

Abdulrachmanow posmarował masłem kromkę chleba i ułożył na niej plasterki kielbasy w fantazyjnie zakrzywioną linię.

— No i jeszcze *Rosyjski dla każdego*, Mohamedzie Mohamedowiczu.

Tak, *Rosyjski dla każdego*, kurs językowy realizowany w ciągu czterech lat, przygotowany w ZSRR i nafaszerowany propagandą wszędzie, w każdej czytance i każdym ćwiczeniu gramatycznym, był mistrzowskim osiągnięciem. Zysk polityczny był ogromny, jeśli sądzić po wpływach finansowych.

— I *Słownik synonimów*, gdzie hasło „wyzysk” znajdowało się w artykule poświęconym kapitałowi, a rewolucja pod hasłem „proletariat”.

— No i *Słownik cytatów*: dwadzieścia osiem cytatów z Jaurès'a i tylko trzy z Péguy.

— Tu popełniono pewien błąd: o wiele zręczniejsze jest zjednywać dla nas Péguy przez odpowiednie manipulacje kontekstem.

— Nie można mieć tego za złe Psarowi, brakowało mu jeszcze wtedy doświadczenia.

Obaj mężczyźni lubili przypominać sobie wydarzenia, które przypadły na młodość jednego i wiek dojrzały drugiego.

— Były też te apokryficzne przepowiednie Guillaume'a Postela. Trzeba je było co prawda później zdementować, ale, jak mówi nasze *Vademecum*, dementi są szybko zapominane, a kłamstwa pozostają.

Ależ się zaśmiewano na placu Dzierżyńskiego, gdy Francuzów, tych kartezjańskich Francuzów, ogarnęła panika w wyniku lektury Apokalipsy maga z Barenton: „Zaciężni rycerze upuszczają halabardy, bombardierzy porzucą kule armatnie, galery popłyną bez wioślarzy i sakiewki pełne złota rozsypią się w rynsztokach w dniu, kiedy Czerwony Wojownik z uniesioną dłonią ukaże się w promieniach wschodzącego słońca... i będzie się to działo w roku 7488 od stworzenia świata...” Czy słuszne było podejrzenie, że niektórzy przenosili swe kapitały do zagranicznych banków, gdyż ogarnął ich Wielki Strach? W każdym razie sukces psychologiczny był ogromny.

Nagle jednak generał-pułkownik nachmurzył się i zmienił ton rozmowy:

— Nno więc... zauważam we Francji pewne przesunięcie, może nie ku prawicy, lecz w stronę pewnego cynizmu politycznego, pesymizmu, i gotowość widzenia w faktach faktów, a nie ucieleśnienia idei. Tak się wyrażają przekonania reakcyjne. Nie robię ekscelencji wyrzutów, ale za moich czasów doszliśmy do tego, że marksizm stał się doktryną numer jeden, rodzajem absolutu. Otóż teraz dochodzą mnie słuchy, że we Francji ktoś, kto nie jest marksistą, nie ośmiesza się tym samym w towarzystwie. Czy to prawda?

Pitman złożył na obrusie pierożek, który już niósł do ust.

Rozgniewać przełożonego było czymś, czego obawiał się najbardziej. Ten przełożony był w dodatku jego dobroczyńcą. Jakże można było znieść zawód, jaki się mu sprawiało?

— Mohamedzie Mohamedowiczu, nic nie ukryje się przed pańskim spojrzeniem. Nie wiem, czy jest w tym moja wina, czy czegoś nie zaniedbałem; robię co tylko jest w mojej mocy, zapewniam pana, lecz rzeczywiście, informacje dotyczące stanu opinii publicznej świadczą o tym, że nie dyrygujemy już inteligencją francuską tak sprawnie, jak się to działo, gdy pan był szefem. Być może osłabła nasza czujność. W każdym razie w Paryżu szykuje się fronda przeciwko nam.

Abdulrachmanow westchnął jak stary człowiek, którym był w istocie. Mimo trzydziestu lat zażyłych stosunków, przyjacielskich przysług i prezentów dla tej idiotki Eliczki, nie udało mu się wyleczyć Pitmana z nawyku zanurzania się w nastrój samokrytyki, paraliżujący biurokrację totalitarne.

— Ja — burknął — jestem już poza tym wszystkim. Czy jednak było to możliwe, w dyrekcji?

— Gdybym jednak był na waszym miejscu, nie lekceważyłbym paryskiej frondy, której inicjatorami są w znacznej mierze nasi dysydenci. Francuska opinia publiczna ma jeszcze trochę znaczenia w świecie. Proponowałbym, żeby ująć sprawy żelazną ręką. A nasi dysydenci zasługują na to, by przeprowadzić przeciwko nim ekspedycję karną w wielkim stylu. Obie te operacje mogą być wykonane jednocześnie.

— Czy mielibyście dla nas szczegółowe polecenia, towarzyszu generale?

Słońce zaszło już. Powierzchnia jeziora zabarwiła się na czerwono, by za chwilę zgasnąć. W oddali z wody wyskoczyła ryba i, wykonawszy skok, płasko uderzyła o powierzchnię. Po jeziorze rozchodziły się kręgi, coraz rozleglejsze i coraz słabiej zaznaczone. Pitmanowi zdawało się, że słyszy, jak rozbijają się na palach, na których wzniesiona została weranda.

Abdulrachmanow nie odpowiedział. Patrzył przed siebie. Być może i on próbował usłyszeć ten dźwięk, a może inny, równie nieuchwytny, który miał się narodzić dopiero w przyszłości.

Wreszcie:

— Co zamierzasz zrobić z Oprycznikiem?

— Właśnie chciałem się pana poradzić, Mohamedzie Mohamedowiczu. Oprycznik jest po trosze pańskim dzieckiem.

Abdulrachmanow uniósł głowę:

— Słuchaj — powiedział — zrobisz jak zechcesz, jeśli jednak o mnie idzie, to lubiłem zawsze jasne podziały i koszule, w których ilość guzików zgadzała się z ilością dziurek na guziki. Nie wiesz, co zrobić z Oprycznikiem, nie wiesz, jak przykręcić śrubę Francuzom i dysydentom? Trzeba tylko włożyć odpowiednią śrubę do odpowiedniej nakrętki. Car Iwan prawie starł z powierzchni ziemi Psków, żeby dać nauczkę jego mieszkańcom. Przydałaby się nam operacja Psków... Od kiedy poznałem młodego Psara, przekonany byłem, że mógłby odegrać rolę w pewnym małym, dobrze przygotowanym montażu. Czy ekscelecja chciałby dowiedzieć się szczegółów?

4

OSTATNIA DROBNA PRZYSŁUGA (Montaż *Psków*, faza numer jeden)

Na uniwersytecie leningradzkim miały się wkrótce zacząć wakacje, ale Gemma nie wracała do Włoch, zajęta posłannictwem, które sama sobie wyznaczyła: walką przeciwko prześladowaniom.

Wypowiedziała wojnę komunizmowi; gdyby żyła w czasach faszystowskich, próbowałaby zabić Mussoliniego, w dziewiętnastym wieku rzucałaby bomby na cesarzy i ich ministrów, zaś w epoce Rewolucji Francuskiej zasztyletowałaby Marata. By móc zrealizować swe plany nauczyła się rosyjskiego i, jako amatorka konspiracji, wybrała sobie jako przykrywkę swej działalności studia filologiczne w ZSRR.

Gemma, urodzona w Toskanii, miała ładną twarz, lecz ubierała się strasznie. Jej potężnych rozmiarów pierś okrywały niezgrabne, nieforemne swetry, spodnie, które nosiła, groziły w każdej chwili pęknięciem. Mimo to nie mogła narzekać na brak zainteresowania: cały rój studentów, głoszących — by się jej przypodobać — mniej czy bardziej dysydenckie poglądy, kręcił się wokół niej. Nikomu zresztą nie pozwalała się zbliżyć. Interesowała ją wyłącznie walka.

Na razie, w oczekiwaniu działalności bardziej krwawej, stworzyła system konspiracyjnego wywozu tekstów samizdatu, i chwilowo się tym zadawała.

System istniał już od ponad dwóch lat i jego początki wiążą się z pewnym wieczorem, kiedy to, po wyjściu od przyjaciół,

Gemma nie mogła znaleźć taksówki, która by ją odwiozła do domu, na ulicę Marata (ateistka, lecz pełna przesądów, potencjalna tyranobójczyni widziała pomyślny znak w tym, że znalazła dla siebie mieszkanie, w mieście, gdzie było o to tak trudno, przy ulicy noszącej podobne imię!). Było zimno, do butów przyklejał się śnieg. Znajomi wyjaśnili Gemmie, że prawie każdy z prywatnych kierowców zawiezie ją do domu za parę rubli. Zatrzymała pierwszy pojazd, jaki nadjechał.

Była to ogromna ciężarówka na której niebieskimi literami na białym tle wypisana była nazwa: *Sowtransawto*, obok widniały dwie przecinające się litery C oraz numer telefonu, który Gemma zapamiętała, jako że przygotowując się do sekretnych działań wojennych wyćwiczyła się w zapamiętywaniu długich serii cyfr: 2213653. Wielka masa żelaza, pędząca z łoskotem przez noc, zazgrzytała i zatrzymała się. Gemma wspięła się do przegrzanej kabiny kierowcy.

— Dokąd?

— W pobliże Dworca Moskiewskiego.

— Pięć rubli.

Nie targując się wyjęła z kieszeni pięć rubli.

— Mówisz dobrze po rosyjsku, ale jesteś cudzoziemką...

— Włoszką.

— Niemożliwe! Naprawdę? Ja właśnie wracam z Włoch!

Szofer ciężarówki był wysokim chłopcem o kwadratowej twarzy i małych zezujących oczkach, zawsze patrzących w jeden punkt, jakby jakiś niewidzialny papieros stale przyciągał jego wzrok. Wyjechał z ZSRR z ładunkiem chromu, wrócił z Europy przywożąc alkohol:

— Prawdziwy gołąb pocztowy.

Gemma strąciła ze swego kolana dłoń kierowcy i ostro zaatakowała ZSRR, oskarżając go o niedotrzymywanie umowy helsińskiej. Chłopak mruczał coś pod nosem, hm i tak, w sposób, który go do niczego nie zobowiązywał. Już na ulicy Marata wymamrotał bez przekonania:

— Może byśmy się spotkali?

Gemma, w przewidywaniu najróżniejszych usług, jakie mógłby jej oddać, zgodziła się. Następną niedzielę spędzili razem. Pojechali do Pietrodworca. Wiaczesław był zły, gdyż fontanna, w której, jak słyszał, mechaniczny pies poluje na sztuczne kaczki, była zamarznęta. Gemma znów rozpoczęła swą agitację i tym razem osiągnęła pewne umiarkowanie pomyślne rezultaty:

— Ja jestem człowiekiem kulturalnym i dzięki temu nie cierpię, ale to prawda, że chłopak, który zarabia 75 rubli na miesiąc, podczas gdy para porządnych butów kosztuje 150...

Tydzień później wybrali się do Pawłowska. Wiaczesław chciał zobaczyć Lwie Schody, szersze u dołu, co, w zamierzeniu budowniczych, miało podwyższać je optycznie.

— My, Rosjanie — skomentował — nie musieliśmy wcale czekać na komunistów, żeby coś osiągnąć.

Gemma doszła do wniosku, że Wiaczesław nawrócił się już dostatecznie i że można mu już zaproponować zabranie w kolejną podróż jednego czy dwóch manuskryptów. Zgodził się nie żądając niczego w zamian:

— Zrobię to, powiedzmy, z miłości dla wolności.

Gemma poleciała pierwszym samolotem do Rzymu. Znała tam Enzo Grucciego, małego, ciężko pracującego wydawcę, który publikował książki na koszt autorów. Wyjaśniła mu, na czym polega jej projekt, i zostawiła mu coś, co nazywała swoim „breviarzem”: listę miejsc spotkań i całą serię haseł i kodów, określających dni i godziny. Dumna ze swego profesjonalnego podejścia, wróciła natychmiast do Leningradu. Z maszynopisami nie będzie miała kłopotu: samizdat był dla rosyjskich studentów czymś w rodzaju LSD.

Po tygodniu zadzwoniła do „wujka Enzo”. Powiadomiła go, że miała pierwszą randkę z pewnym młodym człowiekiem, Rosjaninem, że czytała właśnie książkę, wydaną w roku 1825,

ortografia tej książki sprawia jej pewne trudności, a ponadto ma zdawać egzamin, we wtorek lub może we środę.

Signor Grucci, wciąż jeszcze sceptyczny, zajrzał do brewiarza i zadał sobie trud przetransportowania swego obfitego cielska pod łuk Tytusa. Znalazł się tam w najbliższy czwartek, o godzinie 18.25. Tego dnia nic nie osiągnął, powtórzył więc to samo nazajutrz i natychmiast zwrócił uwagę na wysokiego zucha o bardzo długich nogach i krótkim torsie. Chłopak kręcił się w umówionym miejscu, trzymając pod prawym ramieniem pakiet starych «Oggi». Zdawał sobie sprawę ze śmieszności tego, co miało nastąpić, lecz wietrząc jednocześnie przyszyły zysk, Grucci podszedł do nieznajomego i zacytował, bardzo wyraźnie, wezwanie do mordy, zaczerpnięte z libretta *Normy*:

— *Strage! strage! sterminio, vendetta!*

Mężczyzna, zaciskając powieki, bez słowa wręczył mu paczkę «Oggi». Wewnątrz Grucci znalazł kopertę, a w niej dosyć sprośne opowiadanie, które, przetłumaczone tak, by stało się nieco bardziej sprośne, pozwoliło wydawnictwu Mewa wypłynąć na szersze wody i przeżyć najbliższych sześć miesięcy. Sprawa toczyła się dalej. Nawet nie licząc sukcesów sprzedaży w księgarniach — dochodziło do nich! — Grucci mógł w każdym wypadku polegać na permanentnej klienteli, na którą składali się rosyjscy emigranci, biblioteki uniwersyteckie (głównie amerykańskie), służby wywiadowcze i instytucje propagandowe. Jedni ciekawi byli oryginałów, drudzy opierali się już na tłumaczeniach; jedni i drudzy sprawili, że Mewa stała się głównym na Zachodzie importerem samizdatu. Wszystko to było zasługą Gemmy, która, nie żądając najmniejszego wynagrodzenia, przyniosła wydawcy szczęście, zapewniła mu pomyślność. Autorzy, rzecz jasna, najczęściej w ogóle nie upominali się o swe honoraria, jeśli natomiast, wyjątkowo, trzeba było zapłacić któremuś z nich, Grucci czynił to z ociąganiem i stosując wszelkie możliwe wybiegi — odwlekał moment wypłaty, a pieniądze przynosił mu procent.

Dziwna współpraca pomiędzy kochającą wolność dziewczyną i zarabiającym na ideologicznej dywersji wydawcą rozkwitła w najlepsze.

Każdego dnia, idąc na uniwersytet, Gemma sprawdzała punkty, które wyznaczała „członkom swojej siatki”. Rozsiane były w różnych miejscach: dwa znajdowały się na Newskim Prospekcie, jeden na Polach Marsowych, jeden na Placu Pałacowym, dalsze w ogrodach Gorkiego i na Placu Dekabrystów. Tego poranka — był właśnie czerwiec, i słońce, jak zakochany po raz pierwszy młodzieniec, nie ułożyło się wcale tej nocy do snu — znalazła na jednej z ławek w ogrodzie Gorkiego narysowany kredą romb. Wieczorem więc zaszła do pewnej knajpki na Newskim Prospekcie, do baru, którego szyld ogłaszał lakonicznie jedną tylko rzecz: piwo.

Dunduk był już na miejscu, wielki i rudy; spod prochowca, który idiotycznie włożył na siebie, wyzierała biała koszula (chciał ją ukryć zapewne). Nie przyniósł ze sobą numeru «Prawdy». Gemma natomiast, zgodnie z umową, miała przy sobie «Prawdę». Powinni byli wymienić między sobą egzemplarze tej gazety. Być może Dunduk nie przyniósł jej nowego odcinka *Rosyjskiej prawdy*, ale w takim razie dlaczego domagał się spotkania?

Usiadła przy stoliku. Butelka była już prawie pusta.

— Co, nie czytasz już gazety? Nie obchodzi cię, co się dzieje na świecie? Przemawiała surowo. Trzeba nimi wstrząsnąć, tymi Rosjanami. Słowianie to w językach zachodnich prawie to samo co niewolnicy.

Dunduk śmiał się bezgłośnie, ukazując szeroko otwarte usta, do których wlał następny kieliszek wódki. Gemma wstała z krzesła:

— Z pijakami nie mam zaszczytu.

Dunduk śmiał się wciąż, nie wydając żadnego dźwięku jak w niemym filmie.

— Gdybyś wiedziała, co przyniosłem — wyszeptał, posługując

się teatralną manierą świszczącego wymawiania spółgłosek
— nie odeszłabyś.

— Co takiego przyniosłeś?

Otworzył prochowiec, rozpiął wiatrówkę, kamizelkę, koszulę,
wyciągnął paczkę brązowego papieru.

— Tym razem mamy ich w rękę.

„Ich” oznaczało partię, rząd, mocarzy tego świata.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Co to za brudny papier?
Nie przestawał się śmiać.

— Ależ filut z niego! Wiesz, gdzie to chował? W pudle aparatu telewizyjnego. Znalazł tam miejsce. W aparacie telewizyjnym, który mu dali, żeby go uspokoić. Tym razem skończył. Kropka. Powiedział mi: „Dunduk, wiem, że ty kochasz mateńkę Rosję. Weź to”. Na całym świecie istnieje tylko ten jeden egzemplarz, Gemma. Mam w rękach *Rosyjską prawdę, ja, Dunduk*.

Przycisnęła do piersi brązową paczkę. Drugą ręką posłużył się, by wychylić następny kieliszek.

Gemma chciała wyrwać mu ten papier, przypomniała sobie jednak reguły postępowania, które sama opracowała.

— Jeżeli ktoś zobaczy, że mi to dajesz...

Dunduk podniósł się, zachwiał się i zgiął się w ukłonie:

— Piękna panienko, oto prezent dla ciebie: dwa zgniłe śledzie i zdechła mysz. Przyjmij, proszę, wybranko mego serca, przyjmij to, co ci ofiarowuje szlachetna dusza.

Wręczył jej paczkę, nie przestając się zataczać. Ktoś w sąsiedztwie roześmiał się, jakiś chłopak zarżał:

— Jeżeli masz dość tego chwiejnego kawalera, chętnie go zastąpię!

Gemma przyglądała się pakunkowi, który znalazł się w jej rękach. *Rosyjska prawda* będzie w dziejach świata znaczyła tyle samo co *Kapitał* lub *Mein Kampf*, była tego pewna. Poczula wdzięczność: to przecież ona, dzięki temu staremu pijaczynie, antykomuniście Dundukowi, przekazała na Zachód pierwsze

kartki dzieła. Trzeba było, żeby także i ona doprowadziła to dzieło do końca.

Wyszła z knajpy bardziej jeszcze oszołomiona niż Dunduk. Jeśli wszystko się uda, jej życie nie pójdzie na marne.

Trzeba było zacząć od skopiowania egzemplarza *Prawdy*. Tak samo Bóg, ten Bóg, w którego wierzą katolicy, skopiował i powielił Adama. Kopiarki były pod kontrolą, ale Gemma przechowywała u siebie aparaturę fotograficzną. Wiedziała, jak się nią posłużyć, odbyła kiedyś odpowiedni kurs. Materiały fotograficzne kupowała w małych ilościach, w różnych sklepach, częściej sprowadzała je z Włoch.

Gdy znalazła się u siebie, na ulicy Marata, wśród starych zniszczonych mebli, jak z powieści Dostojewskiego, otworzyła drogocenną paczkę. Dunduk nigdy jej nie zawiódł. Przyszedł do niej któregoś dnia:

— Jesteś Włoszką, prawda? Słyszałem o tobie. Jak tylko będę mógł coś zrobić przeciwko nim... Zabili moich rodziców... Czy interesowałyby cię wielki myśliciel polityczny, z którego oni chcą zrobić wariata? Jestem jego pielęgniarzem i on mi ufa.

Od tego czasu siedem przesyłek dotarło na Zachód, z pomocą Wiaczesława.

Kartki papieru, które znalazła w paczuszce, przypominały te, które dostawała już wcześniej: cieniutkie jak bibułka do papierosów, pokryte niebieskim pismem, pochylonym i gęstym, o literach raczej wysokich, nieomal ozdobnych, miniaturowych dla ekonomii zapisu. Wyczuwało się, że człowiek, który rozwijał te bibułki, wołałby pisać na pergaminie, posługując się rozległymi marginesami, światłem, odstępami pomiędzy linijkami. Tymczasem musiał mu wystarczyć zwitek papieru.

Gemma czytała po rosyjsku tak samo biegle jak po włosku. Przebiegła wzrokiem wstęp:

Co myśli *Rosyjska prawda* o rosyjskiej prawdzie? Nie bez powodu ludy germańskie mają aż dwa słowa na „robić”: *tun* i

machert, to do i to make. Nie bez powodu Hiszpanie w dwojaki sposób nazywają byt, a Helleni używali trzech rzeczowników na oznaczenie miłości: *agape, eros i philein*. My tymczasem, barbarzyńscy Scyci, używamy słów *swoboda i wolia*, i obydwie one znaczą *libertas*. Mamy też *prawdę i istinę*, czyli *veritas*. Nie sądzę, by było to dziełem przypadku, jako że, o ile wiem, jesteśmy jedynym w świecie narodem, który posiada wyraz oznaczający nie fałsz czy kłamstwo, czy też błąd, lecz bardzo precyzyjnie przeciwieństwo prawdy: *kriwda*.

Tak, panowie czy też towarzysze, my, Rosjanie, pijani jesteśmy *veritas*. (Owszem, także i *libertas*, ale wolność to tylko zastosowanie, wcielenie prawdy: prawda was wyzwoli, mówi Chrystus u św. Jana, a Sołżenicyn uczy nas „żyć nie kłamiąc”, gdyż to tylko jest wolnością.) Zanim jeszcze staniemy się narodem Bogonością, jak o tym marzył Fiodor Michajłowicz, jesteśmy ludem prawdonością, ciężarni prawdą, ciężcy od prawdy. Niesiemy prawdę tak jak niesie się krzyż, na plecach, i jak nosi się dziecko w łonie kobiety.

Ponieważ jednak diabeł jest wielce złośliwy, tak już dzieje się w świecie, że kto nosi jakąś rzecz, niesie też przeciwieństwo tej rzeczy, i dlatego właśnie jesteśmy też największymi w całym uniwersum dostarczycielami *kriwdy*. Takie są wypukło-wklęsłe prawa Apokalipsy.

Nasza oficjalna gazeta nosi nazwę «Prawdy», gdyż przynosi przeciwieństwo prawdy. Wystarczy odczytać ją przy pomocy zwierciadła, aby wiedzieć, czego chce od nas Prawda-Matka nasza.

W Rusi Kijowskiej począwszy od połowy XI wieku znany był kodeks mądrych i umiarkowanych praw, określany *Rosyjską prawdą*. I każdy z nas słyszał tę ludową bajkę, w której car przywołuje do siebie Jasia Głuptasia i wysłał go w świat szeroki: „Przynieś mi prawdę”.

Kopciuszek wyraża prawdę chrześcijańską, Faust niemiecką,

a Don Kichot hiszpańską. Ale prawda rosyjska to Jaś Głuptas udający się na poszukiwanie prawdy.

Otóż, kochany mój czytelniku, Jasiem Głuptasiem jestem ja i jesteś ty, tak nam dopomóż Bóg!

Oto co myśli *Rosyjska prawda* o rosyjskiej prawdzie.

Gemma była równie wrażliwa na język *Bajek z tysiąca i jednej nocy* co na styl niezależnej myśli: anonimowy więzień nie powoływał się ani na Marksa, ani na Sartre'a czy Heideggera. Przyznawał się do swych korzeni duchowych (Rosja: folklor, chrześcijaństwo: św. Jan), lecz zarazem poruszał się całkiem swobodnie w tej przestrzeni, co potwierdzało intuicję Gemmy — prawdziwa wolność może się narodzić tylko pod ciśnieniem totalitarnego dramatu, nie w demokratycznej operetce.

Zasunęła żaluzje i zaciągnęła firanki, zaciemniając pokój. Chłopcy mogą sobie stukać do jej drzwi, ona miała teraz lepsze towarzystwo.

— A on? — zadała sobie pytanie, przygotowując reflektor i trójnog — on, szalony od swej mądrości, zamknięty w wyłożonej materacami celi, strzeżony przez Dunduka, dobry, dla innych niedobry, jak on spędza te godziny, on, który wie już, że dzieło jego życia dostało się w ręce cudzoziemki. „Och, nie bój się, nie się nie bój”, mamrotała po włosku, „nie ma na całym świecie istoty, która byłaby ci wierniejsza niż ja”.

Na zewnątrz nie było ani zmroku, ani nocy, ani świtania, za ledwie trochę się ściemniło. Gemma myślała, że tak samo będzie w śmierci: lekko się ściemni, i nie będziemy nawet wiedzieli, że nadeszła śmierć. W pokoju jednak panowała stworzona przez nią noc, pocięta stożkami projektorów, zupełnie niezależna od reszty świata. Jej noc dla jej światła. Przewracała stroniczkę za stroniczką, aparat robił swój „klik” i *Rosyjska prawda* stawała się nieśmiertelna.

Gdy już wszystkie strony zostały sfotografowane, Gemma przygotowała w wanience wywoływacz. Zrobi z każdej kliszy trzy

odbitki. Czują nieomal macierzyńską radość, gdy na pięknych, wilgotnych, świecących powierzchniach papieru fotograficznego pokazywał się pisany cyrylicą tekst. Podobnie ukazało się Mojżeszowi Dziesięcioro Przykazań; niewidzialna dłoń, ukryta w skale, wypisała je na kamieniu.

— Zajmuję się reprodukowaniem, będę miała trojczki — powiedziała sobie Gemma.

Gdy skończyła wywoływanie zdjęć, włączyła do prądu kolbę lutowniczą. Nim przystąpiła do swej działalności, opanowała ze dwadzieścia różnych i dziwacznych technik, przydatnych, jak sądziła, w konspiracji. W małej szafce przechowywała mnóstwo puszek po konserwach. Trzy z nich wypełniła egzemplarzem *Rosyjskiej prawdy*; uzyskała w ten sposób konserwę prawdy. Przylutowała wieczka puszek, topiąc metal w niebieskim, warczącym płomieniu.

Następnie sięgnęła po oprawny tom *Dzieł zebranych Lenina*. Wpierw skleila jego stronicę, a potem wycięła je, tworząc w ten sposób coś w rodzaju pudełka, w którym umieściła drugi egzemplarz, po uprzednim przyklepieniu okładki do pierwszej strony książki, tak żeby się pudełko nie otworzyło przez przypadek.

Uporawszy się z tym, zdjęła jedną z listew przyściennych, biegnących wokół całego pokoju. Wyjęła już wcześniej kilkanaście cegieł, uzyskując skrytkę, w której przechowywała już liczne maszynopisy. Nie chodziło jej o ukrywanie książek, przeciwnie, chciała, żeby przemówiły przeciwko niej; jeżeli będzie u niej przeprowadzona rewizja, niechże policjanci zobaczą od razu, na jaką skalę mierzyć trzeba rozmiary jej akcji przeciwko reżimowi.

Oryginał tymczasem — zawsze wysyłała na Zachód oryginały, by nikt nie mógł podważyć autentyczności jej towarów — wsunęła do koperty, kopertę zaś pomiędzy numery «Ogonioka», które związała na krzyż sznurkiem.

Przez cały ten czas nie myślała wcale o tym, że w każdej chwili mogła się pojawić policja: w Leningradzie konspirowała nie ona jedna i policja pojawiała się tylko wtedy, gdy już nie mogła

się zdać na subtelniejsze metody. Teraz jednak, w przeciągu paru minut, *Rosyjska prawda* miała być narażona na wielkie ryzyko i otwierając drzwi pokoju Gemma poczuła falę lęku.

Korytarz mieszkania był pusty. Sąsiedzi, dzielący z Gemmą wspólne mieszkanie, spali snem sprawiedliwego, chrapali albo nie chrapali, ale w każdym razie nie kręcili się po mieszkaniu. Ukryła Lenina na wierzchu zbiornika z wodą w ubikacji. Nawet jeśli jej pokój zostanie przeszukany, istniało prawdopodobieństwo, że ten egzemplarz ocaleje. Wróciła do pokoju, rzuciła paczkę «Ogonioków» w kąt, wzięła siatkę na zakupy, włożyła do niej puszki konserw i wyszła.

Światło odebrane godzinom zegara wibrowało delikatnie na załomach kamienic i pałaców ulicy Rastrelliego. Miasto było całkiem puste, tylko paru pijaków spało w bramach domów.

Gemma doszła do kanału Gribojedowa, którego oswojone wody kołysały się pomiędzy dwoma równoległymi nabrzeżami: oto gwałt zadany naturze przez administrację. Gdy znalazła się na moście Bankowym, rozejrzała się dookoła. Nikt jej nie obserwował. Wrzuciła puszki do wody, jedną za drugą. Zniknęły na dnie, ich obecność mógł zdradzić co najwyżej słaby odbłask blachy, zakrytej przez brązową wodę. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z przewidywaniem, puszki pozostaną w mule dna do chwili, kiedy kanał zostanie oczyszczony, albo, być może, doczekają Sądu Ostatecznego dzieł sztuki.

Gemma wróciła do siebie, wzięła tom Lenina, który czekał na nią na podłodze, i wyszła na uniwersytet. Nie zjadła śniadania mimo nieprzespanej nocy. Czowała się jednocześnie wyczerpana i lekka, beztraska.

Otoczyli ją wielbiciele, przyjęli ją uroczyście, jak każdego poranka. Jeden z nich ofiarował jej konwale, drugi przyniósł napisany dla niej wiersz, jeszcze inny żartował, wskazując tom Lenina:

— Przecież nie musisz tego czytać! Po co poisz się tą brudną wodą?

Odpędziła ich wszystkich:

— Nie chce mi się wygłupiać z wami.

W przerwie między dwoma wykładami poszła do biblioteki. Mikołaj Gerasimow siedział zawsze przy tym samym stoliku. Koledzy Gemmy przekonani byli na ogół, że Gerasimow jej nie lubi: nie ukrywała swej wrogości wobec systemu, podczas gdy on był członkiem Komsomołu. Pochyliła się nad jego stołem:

— Oto Lenin, którego mi pożyczyłeś. Można umrzeć z nudów. W każdym razie dziękuję.

Zamruczał coś pod nosem, nie patrząc nawet na nią.

Tej nocy Mikołaj nie położył się do łóżka. Był szczęśliwym posiadaczem maszyny do pisania. Postawił ją na złożonym podwójnie kocu, żeby nie drażnić sąsiadów, i będzie stukał przez całą noc. Od jutra *Rosyjska prawda* zacznie się rozchodzić pomiędzy czytającą publicznością. Za tydzień ilość jej egzemplarzy zwielokrotni się, osiągnie zawrotną liczbę.

Po wykładach Gemma weszła do kabiny telefonicznej i wykręciła numer:

— Wiaczesław?

— To ja.

Jakie szczęście! Wiaczesław był w Leningradzie.

— Może poszlibyśmy na spacer?

— Jutro do Puszkina?

— Nie. Jutro jestem zajęta.

— No to trudno. Zadzwonimy jeszcze do siebie.

Jeszcze jeden kod: spotkanie zostało ustalone na dzisiaj, na szóstą wieczorem, pod pomnikiem Piotra Wielkiego.

Wiaczesław stawiał się pierwszy na umówionym miejscu. Miał na sobie jak zwykle krótką skórzaną wiatrówkę przywiezioną z Włoch, która jeszcze bardziej skracała jego tułów i źle harmonizowała z jego barkami tragarza. Stał z rękami opartymi o biodra i odrzuconą w tył głową: przyglądał się pomnikowi.

— Ten tu na górze to była naprawdę waga ciężka. Puszkina

miał rację, gdyby taki aparat zaczął nagle galopować tuż za tobą, możesz zwariować. Cześć, Gemma.

— Cześć. Kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro.

Wszystko składało się świetnie.

— Chcesz coś doczytania na podróż?

Wręczyła mu paczkę «Ogonioków». Zrobił kwaśną minę:

— Za grube. Jeżeli przetrząsną mi kabinę, zobaczą to. Przykro mi, stara.

— Wiaczesław, zrobiłeś to już dwadzieścia razy.

— Zgadza się.

— Więc zrób to jeszcze tym razem, błagam cię. Wiesz dobrze, że to w imię wolności.

— Wolność, wolność... Boję się o moją skórę. Nie tylko nasi celnicy przeczesują moje bagaże tak dokładnie, jakby szukali pcheł. Potem są jeszcze Polacy. I Niemcy. Czy rewidował cię już kiedyś jakiś Niemiec? Mogę wziąć kartkę czy dwie, ale dzieła zebrane twojego kumpla to już przesada.

Gemma poczuła, że lży jej napływają do oczu.

— A w kieszeni? Albo pod siedzeniem? W silniku?

Wzruszył ramionami.

— Wykluczone, dziewczynko. Znają się na wszystkich sztuczkiach. Niekiedy rozkręcają nawet zapasowe koła.

— No a w samym samochodzie, w nadwoziu? To taka wielka buda.

— Nadwozie? Zapieczętowują je. Pieczęcie zrywane są dopiero w Rzymie. Dzięki temu przejeżdżam przez wszystkie granice bez problemu.

Odwróciła się, żeby nie spostrzegł jej łez.

Wiaczesław odezwał się, nie patrząc w jej stronę:

— Chyba żeby istotnie... To w imię wolności, co? W końcu znam się trochę na majsterkowaniu...

— Powiedz, powiedz, co ci przychodzi do głowy?

— Szczypce do pieczęci to znowu nie taka wielka sztuka. Założą mi je, a ja je zdejmę. Przykleję twoją paczkę między dwie sztaby, założę znowu pieczęcie. Ani widu, ani słyhu. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Gemma, zawsze tak rozważna i powściągliwa wobec chłopców, rzuciła mu się na szyję. Trzeba powiedzieć, że Wiaczesław nie ponawiał swoich zalotów z pierwszego wieczoru. Gemma była dumna, że wymogła na nim zachowanie pełne szacunku.

— Hasło brzmi tym razem: *Armi, furore e morti*. Powtórz. Powtórzył te słowa wiele razy. Nie potrafił zgubić swego prymitywnego, silnego akcentu.

— Kiedy będziesz w Rzymie?

— Nie wiem. Chyba w piątek.

— Czy znasz Piazza Navona? To ten owalny plac. Fontanna w środku placu, godzina 13.05. Jeżeli przyjedziesz w sobotę, ta sama godzina. Będziesz trzymał «Ogonioki» pod lewym ramieniem.

Zadzwoiła do „wujka Enzo”. Dotarła właśnie do strony „23” w książce, którą dostała od niego. Petrarka wydawał jej się trudny. Jeśli idzie o historię, pasjonowała się księciem Michałem Twerskim, który panował do roku „1305”. „W środę lub czwartek” idzie do opery.

Grucci notował wszystko skrupulatnie, ssąc jednocześnie papierosa. Nie wiedział, czy przesyłka będzie ważna, w każdym jednak razie reflektował na nią. Otworzył „browiarz” pod numerem 23 : spotkanie na Piazza Navona, hasło znowu wzięte z libretta *Normy*. Romantyczne? I cóż z tego? Gdyby system zaopatrywania go w manuskrypty był mniej romantyczny, musiałby płacić. Postanowił, że tym razem osobiście wybierze się na umówione miejsce; często wysługiwał się którymś ze swoich synów, bardziej z lenistwa niż przez ostrożność.

Także i Wiaczesław odbył rozmowę telefoniczną:

— Parfion Mitrofanycz?

— Tak, słucham.

— Tu Wiatia. Dostałem paczkę.

— Jakie jest miejsce spotkania?

Podał je.

— Hasło? Wyrecytował hasło.

— Udawałeś, że nie chcesz wziąć przesyłki?

— Tak. Proszę nie zapomnieć o szczypcach.

— Dostaniesz je wieczorem razem z twoją kopertą. Wiacze-
sław?

— Tak, Parfionie Mitrofanyczu?

— Przyjedź na spotkanie dwadzieścia minut wcześniej. Poza
tym wszystko jak zawsze.

— Zrozumiane.

Signor Grucci byłby mocno zdziwiony, jeśli nie zakłopotany, gdyby się dowiedział, że niektórzy uczestnicy jego „romantycznej” siatki opłacani są przez KGB. Ponieważ nie dało się zatamować strumienia tekstów samizdatowych docierających na Zachód, druga dykcja główna podjęła decyzję, podpowiedzianą jej przez dykcję «A» — i aprobowaną przez pierwszą dykcję główną — by strumień ten przekształcić w prawdziwy potop. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć powtórzenia się historii z Sołżenicynem i dlatego warto było popierać masowy eksport tekstów drugo- i trzeciorzędnych, pomiędzy którymi zatrać się całkowicie dzieła oryginalne. Zaraz po pierwszym zetknięciu się z Gemmą, Wiaczesław zadenuncjował ją w organach jako szpiega. Zaproponowano mu, żeby został seksotem (*sekretnyj so-trudnik*). Odtąd dorabiał sobie na boku, przynosząc do ocen-
zowania maszynopisy, które mu powierzono. Potem zgodnie z umową dostarczał je odbiorcom w Rzymie. Dzięki temu układowi wszyscy byli zadowoleni: publikowani na Zachodzie auto-
rzy, triumfująca Gemma, dobrze opłacony Wiaczesław, prosperujący Grucci i, rzecz jasna, dykcja «A», jako że z dnia na dzień malał prestiż dysydentów w tak zwanym wolnym świecie.

Łańcuch, którym opiekował się „Parfion Mitrofanycz”, funkcjonował tak dobrze, że generał Pitman wpadł na pomysł, by wykorzystać go w operacji oznaczonej kryptonimem Psków. Obawiał się, że zmiana adresata przesyłek, którą zamierzał ukartować, mogłaby wzbudzić podejrzenia Gemmy, dlatego dorzucił motyw szczypiec do zamykania pieczęci. Gdyby bowiem Wiaczesław chciał zdradzić, nie wyrażałby swych obaw i niepokojów przed Gemmą, nie starałby się o zdobycie szczypiec, które przy okazji pokaże dziewczynie. Gemma, jako nie profesjonalistka, trzymała się tej właśnie linii rozumowania i siatka pracowała należycie.

Trzy dni po tym, jak Aleksander wyraził pragnienie powrotu, Iwan Iwanycz umówił się z nim na spotkanie w barze w pobliżu Porte de Versailles.

- Aleksandrze Dmitryczu, ucieszysz się.
- Do rzeczy, Iwanie Iwanyczu, do rzeczy.
- Ależ ty jesteś nerwowy! Trudno byłoby patrząc na ciebie zgadnąć, że jesteś drugim Sorge'em! A jednak pewnego dnia zaczniemy przyklejać na listy znaczki z twoją podobizną.
- Opróżnij twoje bagaże, kolporterze.
- Otóż to. Wszyscy się zgadzają na twój powrót. Dymisja została przyjęta. Wracasz. Jest tylko prośba, żebyś wyświadczył jeszcze jedną małą przysługę.
- Jaką?

Iwan Iwanycz pochylił się. W jego oczach pojawił się wyraz czułości:

- To nawet nie przysługa, Sasza. Prawie nic. Uwieńczenie twojej kariery. Jeden z tych montaży... paluszki lizać.
- Złączył palce prawej dłoni i wycisnął na nich głośnego całusa.
- A konkretnie?

Iwan Iwanycz wyprostował się w krześle i, aby przydać sobie uroczystego wyglądu, otwierał i zamykał rude powieki.

- „Żelazna Maską” — czy to ci coś mówi?

- Czytałem Dumasa jak każdy.
 - Na pewno nie chodzi o Dumasa. Mówię przecież o „Anonimowym więźniu”, jak go tu nazywają.
- Aleksander natychmiast chwycił przynętę:
- To ten, co chciał załatwić Leonida Iljicza?
- Iwan Iwanycz wiercił się w swoim cagowym ubraniu:
- O tym nic mi nie wiadomo. „Co myśli *Rosyjska prawda*”.
- To ten. Trzeba będzie wydać jego książkę.
- On współpracuje z tymi Włochami.
 - Załatwi się to.
 - To znaczy, że to nasi tak się zabawiają?
 - Wydaje się, że tak.
 - Ale on jest przecież przeciwko nam!
 - Czyja wiem. To wy, głowacze z twojej dyrekcji, powinniście połapać się w tym wszystkim. My z wywiadu, z kontrwywiadu, jesteśmy za malutcy do tego.

Z jednym tylko małym wyjątkiem — były nim wycieczki na strzelnicę — Aleksander zachowywał się wobec swych przełożonych w sposób absolutnie lojalny. Wątpić w ich poczynania wydawało mu się czymś niedopuszczalnym, trywialnym. Tego rodzaju postawy były dobre tylko dla sprzedajnych sługusów zgniłego kapitalizmu. Jeśli był jakiś powód, dla którego warto było ogłaszać myśli *Rosyjskiej prawdy*, powód ten na pewno był doskonały. Pułkownik Psar chciał go poznać.

— Nie żądam, żebyś rozumiał, belko stropowa, żądam, żebyś udzielił mi wyjaśnienia.

— Chodzi o dysydentów, Aleksandrze Dmitryczu. W kraju już nie daje się z nimi wytrzymywać, z tymi potwarcami. W dodatku poczyniono spostrzeżenie, że ci spośród nich, którzy emigrują, tracą nieco ze swego prestiżu. Teraz wyobraź sobie prawdziwego dysydenta, pozostającego wewnątrz kraju, publikującego książkę co prawda antysowiecką, ale też książkę, która załatwia porachunki ze wszystkimi Solżenicynami świata.

— Chcesz powiedzieć, że to my jesteśmy autorami tej książki? I żeby przygotować ten wystrzał inscenizuje się tajemniczą aferę „Żelaznej Maski”?

Iwan Iwanycz wzruszył ramionami:

— Książka jest napisana. Przez kogo? Tajemnica. Tak czy owak pojedziesz po nią do Rzymu.

— Pod nosem pana Grucci?

— Nie po raz pierwszy wydawcy biją się o książki dysydentów, wiesz o tym lepiej niż ja.

Iwan Iwanycz podał szczegóły spotkania: Piazza Navona, piątek, godzina 12.45, *Armi, furore e mord*, paczka «Ogonio-ków», „trzydziestoletni blondas, nogi żyrafy”.

— I szybko zniknij z tej okolicy.

— Grucci też tam będzie?

— Dwadzieścia minut później.

Obaj wybuchnęli śmiechem, ciesząc się ze sztuczki, którą wytnął włoskiemu wydawcy.

— Natychmiast załatwisz wydawnictwo Lux dla francuskiego tłumaczenia książki.

— Chyba najpierw muszę mieć maszynopis?

— Nie, natychmiast. Z tekstu oni i tak nic nie zrozumieją. Przyniosę ci próbki. Przetłumaczysz je i powiesz, że masz u siebie całość.

— Taki pośpiech?

— Na to wygląda.

— A wydanie rosyjskie?

— Na razie nie ma o tym mowy. Do użytku zewnętrznego wyłącznie. W żadnym wypadku nie połykać. Wydanie rosyjskie wraca potem do kraju.

— Rozumiem. Wydawnictwo Lux, mówisz. A gdybym zwrócił się do innego wydawcy?

— Nie ma o tym mowy.

Aleksander nie przewidywał najmniejszych nawet kłopotów

z Luxem czy jakimkolwiek innym wydawcą. Prasa była zaalarmowana sprawą „Żelaznej Maski”, książka sprzeda się niezależnie od jej zawartości.

— Co z prawami światowymi?

— Sprzedasz temu, kto da najwięcej. Naciskaj na zaliczkę, nie na procent.

— Zawsze tak robię, nie ma sposobu, żeby kontrolować sprzedaż książki za granicą.

— Książka ma wyjść przed targami we Frankfurcie.

— Poczekaj, trzeba ją jeszcze przetłumaczyć. Czy to jest długie?

— Czteryście stron, zapisanych maczkiem. Jeżeli tłumaczenie nie rozplynie się w peryfrazach, trzeba liczyć trzysta pięćdziesiąt stron druku.

— Chcesz powiedzieć, że tekst nie wyszedł jeszcze od nas, ale już znane są jego rozmiary?

Na ospowatym obliczu Iwana Iwanycza ukazał się chytry i czuły zarazem uśmiech.

— Ano tak, nasi chłopcy nie zasypiają gruszek w popiele. Wyciągnął z kieszeni dwie pogniecione koperty:

— Zacznijmy od tego. Podpisz mi pokwitowanie.

Zyski Agencji wpływały, rzecz jasna, do kasy dyrekcji. Dyrekcja jednak opłacała usługi Oprycznika: połowa jego żołdu zbierała się na koncie pewnego moskiewskiego banku, połowę zaś wypłacano do ręki Aleksandrowi. Aleksander podpisał kwit i wsunął kopertę do czarnej aktówki.

— I jeszcze coś dla ciebie. Otwórz.

W drugiej kopercie znajdowały się dwie fotokopie stron rękopisu, cyrylicy. Jedna opatrzona była tytułem: *Co myśli „Rosyjska prawda” o mass-mediach*, druga zaś — *Co myśli „Rosyjska prawda” o antysemityzmie*.

— To — powiedział Iwan Iwanycz — żebyś mógł Luxowi dać dowód, że przechytryłeś Grucciego.

— Krótko mówiąc, moglibyście dać mi całość nawet bez mojej podróży do Rzymu?

— Tak będzie bardziej romantycznie. Będziesz mógł opowiedzieć niektóre szczegóły twojego spotkania w Rzymie. Dodasz jeszcze, że KGB ścigało cię wewnątrz Koloseum. Chowasz się za Pietą, albo coś w tym rodzaju. No i siatka Grucciego nie zostanie zerwana.

— Chcesz powiedzieć, że to od początku nasza robota?

— Nic nie chcę powiedzieć. Nie zapomnij wziąć od Luxa zwrotu kosztów podróży samolotem. Najlepiej pierwszą klasą.

Znalazłszy się z powrotem w biurze Aleksander sięgnął po arkusz kredowego papieru i swym piemem, lekkim, zdecydowanym, trzymającym się pionu, chociaż naturalne skłonności ciągnęły go, by pochylać litery w prawą stronę, napisał: „Operacja Żelazna Maski”.

Taktyczne rozpracowywanie nowej operacji wprawiało go zawsze w dobry humor. Wypisując nazwiska — zawsze te same, gdyż chodziło o stale z nim współpracujące „pudła rezonansowe” — odczuwał przyjemność taką samą, jakiej doznawać muszą oficerowie sztabowi, gdy ozdabiają czerwonymi i niebieskimi strzałkami swoje osłonięte celuloidem mapy.

Tym razem przygotowywana operacja, ostatnia już, była szczególnie smakowita: zaprzęcając całą kapitalistyczną maszynę propagandową do powozu przygotowanego na placu Dzierżyńskiego, cóż to za wspaniały przykład wywierania wpływu w wielkim stylu! Trzeba by go dołączyć do opisu szczegółowych przypadków, zamieszczonego jako aneks do *Vademecum*.

Aleksander spodziewał się, że nim będzie mógł „wrócić”, po I prosi się go o wyświadczenie „ostatniej małej przysługi”. Był zachwycony, że — jak trafnie zauważył Iwan Iwanycz — nie chodziło tu właściwie o przysługę, tylko o najpiękniejszą okazję, jaką napotkał w całej swej karierze. Pokaże dyrekcji, na co go stać. Kto wie? Może nim „wróci” zostanie awansowany o stopień

wyżej w hierarchii rang? Jeżeli na dodatek, co byłoby już szczytem szczęścia i pychy, zostanie włączony w szeregi organizacji, nic już nie stanie na drodze jego przejścia do areopagu czapek-niewidek.

Wezwał sekretarkę:

— Niech pani usiądzie, Małgorzato.

Zbliżyła się do krzesła i, jak zwykle, usiadła na brzeżku, żeby pokazać mu, że nie zamierza w żaden sposób nadużywać przyznanych jej przywilejów.

— Małgorzato, przystępujemy do operacji na wielką skalę. Czytała pani artykuły o „Żelaznej Masce”? No więc niedługo dostanę rękopis *Rosyjskiej prawdy*.

— Ale, proszę pana, wydawało mi się, że włoskie wydawnictwo Mewa...

— To już nieaktualne, Małgorzato.

Otworzyła szeroko usta, by zademonstrować swój podziw. Pokazał jej obie fotokopie.

— I to jest autentyczny rękopis „Anonimowego więźnia”?

— To są kopie oryginału, który odbiorę w piątek. Będzie pani tak dobra i załatwi mi rezerwację.

— Do... Moskwy, proszę pana?

— Nie, do Rzymu. Tam i z powrotem w ciągu jednego dnia. I trzeba, żebym się tam znalazł dobrze przed dwunastą. Dobrze. Teraz niech pani patrzy: „Operacja Żelazna Mask”, czy pani sobie wyobraża, jaki to będzie cyrk?

Umiał zarażać współpracowników swoim entuzjazmem.

— Będę pani płacił za godziny nadliczbowe, Małgorzato.

Uśmiechnęła się szeroko: szef żartował sobie z niej.

— Jestem zawsze gotowa, proszę pana.

— Będziemy postępowali tak jak zawsze. Nie będziemy od razu angażowali całej prasy, tylko uderzymy w paru wybranych miejscach, żeby wywołać zazdrość. Proszę załatwić mi spotkanie z panem Fourveret, jak najszybciej.

— Pójdzie pan do Luxa czy też zaprosi pan pana Fourveret na obiad?

— Jak będzie chciał, ale niech mu pani da do zrozumienia, że chodzi o prawdziwą bombę. Jeśli idzie o prasę, mam następujące pomysły.

Pokazał jej przygotowaną wcześniej listę:

Dziennik poranny: «Niezależny Dziennik», J.-X. de Monthignies.

Dziennik wieczorny: «Głos», Jeanne Bouillon.

Tygodnik polityczny: «Obiektyw», Ballandar.

Tygodnik popularny: «Mozaika», pani Choustrewitz.

Poważne pismo: «Krytyka», Johannès-Graf.

— Czy ma pani jakieś sugestie?

— A może «Le Monde»? Zawsze mieliśmy tam dobre artykuły. Albo «L'Express»?

— Później, Małgorzato, jak już wprawimy mechanizm w ruch.

— A w telewizji nikogo?

Na początku skracala słowo telewizja i mówiła po prostu „tele”, ale poprosił ją, żeby przestała.

— Jak książka już się ukaze. Teraz trzeba będzie zgromadzić ekipę tłumaczy.

Aby książka mogła ukazać się przed targami we Frankfurcie, musimy oddać maszynopis najpóźniej w sierpniu, nawet jeśli spowoduje to zmiany w planach Luxa. Proszę pamiętać o tłumaczach, którzy robili antologię liberalnych myślicieli rosyjskich XIX wieku. Proszę mi zebrać czterech lub pięciu. Ja sam ich sprawdzę. A poza tym oto co zrobimy: skontaktujemy się z głównymi dysydentami i zapytamy o ich zdanie na temat „Żelaznej Maski”. To będzie wspinałe na okładkę, po skróceniu.

Jaka radość w przygotowaniach do walki! To prawda, że Aleksander chciał jak najszybciej „wrócić” i znów zobaczyć Ałę, poznać Dymitra, ale przecież trzy miesiące nie sprawiały żadnej różnicy.

*

Pan Fourveret, królujący za stołem w stylu Ludwika XIII (autentycznym!) położył rękę na sercu i wznosił oczy do nieba:

— Bóg mi świadkiem. On wie, że nic nie przynosi mi większej satysfakcji jak służenie mu poprzez niesienie pomocy prześladowanym: tak aby świat mógł usłyszeć ich głos. A jednak podpisywać umowę nie znając całego tekstu...

— To powinno panu wystarczyć... — Aleksander wyjął własne tłumaczenie jednego z dwóch skopiowanych tekstów.

Co myśli *Rosyjska prawda* o antysemityzmie.

My, Rosjanie, jesteśmy uważani za antysemitów, pomimo że ta plaga nie osiągnęła u nas nigdy rozmiarów germańskich. Szczególnie carska Rosja często zachęcała do pogromów. Statystyki pozwalają sceptycznie spojrzeć na to oskarżenie, jako że Żydzi stanowili 4.1% ludności Cesarstwa Rosyjskiego, a w 1959 roku już tylko 1.48% społeczeństwa sowieckiego. Jakkolwiek by było, *Rosyjska prawda* sądzi, że antysemityzm polega na monstrualnym nieporozumieniu.

Gdyby zapytano Rosjanina z XIX wieku, dlaczego nienawidził Żydów, odpowiedziałby: ponieważ są to lichwiarze. To samo przekonanie panowało w większości krajów europejskich; francuski pisarz Bernanos już o tym wspominał. Przeciwnie, Włochy są jednym z najmniej antysemickich krajów europejskich; prześladowania Mussoliniego są niczym w porównaniu z terrorem hitlerowskim. Dlaczego? Po prostu dlatego, że we Włoszech nie tylko Żydzi zajmowali się lichwiarstwem: mieszkańcy Lombardii stanowili dla nich zbawienną konkurencję.

Zobaczmy więc, jak wygląda Mateczka Historia:

1. Kościół wydaje dekret, wzbraniający chrześcijanom uprawiania lichwiarstwa.

2. Chrześcijanie, którzy koniecznie chcą zaciągać długi, zmuszają Żydów, żeby stawali się lichwiarzami, jako że Żydzi są niezależni od Kościoła.

3. Przenosząc nienawiść z procederu na rasę czy też religię,

chrześcijanie zaczynają nienawidzić Żydów za postępowanie, do którego sami ich skłonili.

To prawda, że należało zakazać uprawiania lichwiarstwa: wykazuję to w innym miejscu. Ale należało napiętnować dłużników w tym samym stopniu co wierzycieli.

Żydzi są takimi samymi ludźmi jak wszyscy; lichwiarzy, jakiegokolwiek byłoby ich drzewo genealogiczne, należałoby wytepić.

Oto co *Rosyjska prawda* sądzi o antysemityzmie.

Fourveret czytał. Ponad szlachetnie pochyloną głową wielkiego, liberalnego i uduchowionego wydawcy Aleksander przyglądał się koronom rachitycznych jesionów, rosnących na podwórzu. Ich liście dotykały okien gabinetu.

— Interesujące — powiedział Fourveret. — Interesujące, chociaż nieco folklorystyczne. Widzę, co pana tak zachwyca w tej stronie: to zdańko na temat carskiej Rosji niesłusznie oskarżonej. Drogi panie Psar, jest pan niepoprawnym reakcjonistą. Ale to w końcu nic strasznego. Odrobina współczucia nie wskrzesi martwej tyranii, i ja pierwszy jestem gotów przyznać, że nietolerancyjna lewica jest tylko nieco łatwiejsza do zniesienia niż dogmatyczna prawica. Natomiast zawsze się trochę denerwuję, gdy jakiś autor zaczyna mówić o Żydach: niech tylko Żydzi nie zostaną przedstawieni jako święci, geniusze czy bohaterowie, zaraz znajduje się jakiś recenzencina, który przypnie mu łatkę antysemity. Bóg mi świadkiem, że moje serce krwawi dla Żydów, ale w pewnym sensie im mniej się o nich mówi, tym lepiej. Myślę jednak, że z takim słownictwem, to znaczy — „plaga”, „monstrualny”, „postępowanie, do którego ich zmuszono” — nie mamy się czego obawiać.

— Ależ drogi Fourveret, jeśli żywi pan najmniejszą nawet wątpliwość... Po wyjściu od pana wybierałem się do wydawnictwa Presses. Mogę przecież zaproponować *Rosyjską prawdę* Bernardowi i nie zepsuje to w najmniejszym nawet stopniu naszych stosunków.

— Ależ mój drogi, chyba nie myśli pan o tym poważnie! *À propos*, proszę mi powiedzieć, czy Jeanne Bouillon ma realne podstawy, by sugerować, że „Żelazną Maską” jest Kurnosow, niedoszły zabójca Breżniewa? Dobrze, rozumiem, nie może mi pan tego powiedzieć. Ale musi pan przyznać, że byłby to wspa- niały argument handlowy!

Piękna surowa twarz Fourvereta rozświetliła się mistycznym światłem.

— Każę przeglądnąć prasę z tamtego okresu, być może ist- nieją zdjęcia z zamachu.

Jean-Xavier de Monthignies zaprosił Aleksandra na obiad do „Tour d'Argent”. Nadszedł spieszonym krokiem, miał rozpiętą na szacownym brzuszku marynarkę. Można by go przyrównać do grubego wróbla z przyciętymi skrzydłami.

— Nie zabrałem z sobą Minquina, choć pan to proponował. On jest za młody, nie potrafiłby docenić. Nie uwierzy mi pan, Aleksandrze, ale żarcie jest moją grzeszną pasją. Niedobrze mi się robi, w sensie moralnym, chcę powiedzieć, ponieważ nie mogę zapomnieć o głodzie panującym na świecie. Dwie trzecie ludzkości są niedożywione. Skandaliczne, prawda? A my, pan i ja, wydajemy tyle pieniędzy, żeby nabawić się zgagi! No, ale bardzo lubię zachodzić tu na obiady, gdyż kuchnia jest równie dobra jak wieczorem, lecz jest taniej i to trochę koi moje sumie nie. Chciał mi pan powiedzieć o jakimś nowym projekcie.

Wiadomość zachwyciła go:

— „Żelazna Maską”! Wspaniale! Ależ z pana gość! Czy mogę to zaanonsować? Nikomu pan tego jeszcze nie zdradził?

— W każdym razie nie prasie porannej. Jeżeli pan puści ju- tro tytuł, będzie pan pierwszy.

— Ale niech pan sam powie... Czyż to nie idiotyczne, hierar- chia tych wszystkich piśmideł? Przecież nakłady nie są ograni- czone! Niech pan powie, czy to możliwe, że „Żelazna Maską” to

ten facet, co chciał kropnąć Breżniewa? Jeszcze trochę i byłby go załatwił. To prawie jakby już to zrobił, nie?

— To możliwe, Jean-Xavier.

— To by zwiększyło sprzedaż o co najmniej 50 tysięcy egzemplarzy, no nie? Wyobraża pan sobie, gdyby Solżenicyn sprzątnął Chruszczowa?

Ballandar, stary młodzieniec w kaszmirowej kamizelce, trochę sepleniący, trzymający nogi na biurku (pracował w piśmie o stylu amerykańskim), przyrzekł mu sukces.

— Będziemy z panem, Aleksandrze Psar. «Obiektyw» miał opinię pisma nieco lewicującego, ale właśnie prostujemy kurs. Przecież nie staniemy się organem rządowym. To zbyt upokarzające! Czymże ja jestem? Zaledwie workiem piasku, który stara się przeważać słabszą szalę wagi. Na lewo, kiedy wiatr wieje z prawej, na prawo lub prawie na prawo, kiedy wiatr przychodzi z lewa. Zresztą już sama nazwa, «Obiektyw»! Przecież to już cały program. Oczywiście, kiedy ją wybieraliśmy, myśleliśmy raczej o zdjęciach niż o obiektywności, ale w końcu fotografia jest sztuką obiektywną, nie uważa pan? Niech nam pan podrzuci jakiś wyjątek, wsadzimy go do numeru wakacyjnego, w ramach, ze streszczeniem tego, co się wie o „Żelaznej Masce”. A czy pan sądzi, że to prawda?

— Co?

— Że w rzeczywistości on go zranił i że od tego momentu coś z nim nie tęgo? Aleksander zaproponował drugą medytację dotyczącą *mass mediów*.

Znasz już historię ukaranego dzwonu i dzwonu, który pękł, i dzwoneczków, w których on odżył. A oto jeszcze jedna historia dzwonu.

W roku 1667 car Aleksy Michajłowicz Spokojny, zadecydował, że ofiaruje jakiś łakomy kąsek klasztorowi Sawino-Storojewskiemu ze Zwenigrodu, zamówił u mistrza Aleksandra

Grigoriewa dzwon o wadze blisko czterdziestu ton. Ten grubas miał niezwykle głoś i w następnych stuleciach odwiedzali go niezliczeni muzycy. Nie zabrakło ani Rachmaninowa, ani Szalipina.

To wspaniałe, że miasto, w którym się dzwon znajdował, nosiło tę opatrnościową nazwę (Zwenigrod — Dzwonogród). Ale to nie wszystko, jest jeszcze coś ciekawszego. W brązie dzwonu wyryto tajemny napis, który długo pozostał nie odczytany. Udało się to wreszcie i był to zaledwie podpis ofiarodawcy, tyle że sformułowany niezwykle zwięźle: „Car Aleksy, sługa boży”.

W 1941 roku Niemcy zagrozili Zwenigrodowi i zarządzono ewakuację dzwonu. Dzwon pękł. Odłamki znajdują się w muzeum miasta, które dzwoniło i które już nie dzwoni. Dzwony nie powinny uciekać przed wrogiem.

Nie ma lepszego symbolu carskiej Rosji niż carski dzwon, ważący czterdzieści ton, który spadł z rusztowania i który, niemy i bez dzwonnicy, leży wbrew naturze na ziemi i milczy pomiędzy nami, ukazując nam swą wielką ranę w boku.

Czy chcesz, żebym ci wytłumaczył moją przerośnię? Zastanów się chwilę. Nasze nowoczesne dzwony to nasze *mass media*, które biją na alarm i wydzwaniają podzwonne. Jeśli kłamią, zasługują na obcięcie uszu. Jeżeli jednak przemawiają czystym głosem Złego, czci się je i namaszcza świętymi olejami. Nawet gdy ich dźwięk wydaje się szlachetny, nie zaszkodzi odcyfrować podpisu ofiarodawcy.

Oto co *Rosyjska prawda* myśli na temat *mass mediów*.

Ponad jasną łysiną Ballandara Aleksander obserwował bujne i zakurzone kasztany rosnące w alei.

— Czy nie sądzi pan, że wyczuwa się tu wrogość wobec wolności prasy? — zapytał wielki krytyk po skończeniu lektury.

— Wprost przeciwnie. Dzwon rozbity i przetopiony na dzwoneczki pochodzi ze strażnicy w Pskowie i pozostaje symbolem wolności, której nie da się stłamsić. Dzwon ze Zwenigrodu symbolizuje wolną prasę, sumienną i odpowiedzialną, jednym

słowem — «Obiektyw». Dzwon z Uglicza, który musi być ukarany, to prasa kłamliwa.

— Można by może dorzucić przypis z tą interpretacją. W każdym razie może pan na mnie liczyć. W przyszłym tygodniu zapowiem, w lecie zarzucę wędkę, a wreszcie urządzę panu wielką pompę. Czy nie moglibyśmy dołączyć kilku zdjęć?

— Zdjęć? Czego?

— To bez znaczenia. Na przykład tego szpitala, z oknem nieco różnym od innych, sfotografowanym przy pomocy teleobiektywu? Można by pomyśleć, że to jego okno.

— Zaraz dam panu adres. Proszę tam wysłać fotografa.

Pani Choustrewitz przyjmowała w swoim salonie, który nazywała buduarem, i przyjmowała tam w peniuarze, o każdej porze dnia. Lubiła dawać do zrozumienia, że w młodości była prostytutką w Wiedniu.

— Aleksander! Drogi! Cóż może zrobić dla pana taka stara baba

jak ja? Ach! Ależ on całuje po rękach! Nie ma to jak Rosjanie!

— Ależ oczywiście, będzie zębami i pazurami walczyć o „Żelazną Maskę”.

— Co panu o nim wiadomo? W jakim jest wieku? Czy to ładny chłopak? Czy mogę powiedzieć, że udało się panu wejść po rywnie do tego domu wariatów?

Jeanne Bouillon uznała „Żelazną Maskę” za swoje dzieło. Oczywiście, trzeba odżegnać się od jakiegokolwiek zbieżności; a jednak co za zbieg okoliczności, że jej przyszedł do głowy pomysł napisania tego artykułu właśnie w chwili, gdy jej przyjaciel Aleksander miał dostać do ręki manuskrypt... Da tytuł: „Książka, która (być może) zmieni bieg historii ZSRR”.

Aleksander, wtopiony w fotel, przyglądał się ogromnym owadom — termity? modliszki? — wspinającym się po świeczniku. Wokół huczał codzienny zgiełk godzin szczytu na placu Alma.

— *À propos*, Jeanne, co to za plotki na temat Kurnosowa i „Żelaznej Maski”? Skąd je pani wzięła?

Uczyniła gest, jakby chciała ukryć uśmiech:

— Nie sądzi pan chyba, że spalę moich informatorów? O tym się mówi, to wszystko.

Aleksander pewien był dwóch rzeczy: plotki produkowane były przez tę czy inną orkiestrę Pitmana i nie odpowiadały prawdzie. Kurnosow, niedoszły zabójca, został z pewnością rozstrzelany, to było normalne. Ale czy w celi 000 przebywał rzeczywiście „Anonimowy więzień”? A może pielęgniarze i gigantyczny psychiatra wchodzili do tego pomieszczenia tylko po to, żeby dostarczać wciąż pokarmu kampanii dezinformacji? W królestwie iluzji wszystko może się zdarzyć. Rozmarzył się, wyobrażając sobie wspaniałe danie przygotowywane być może dla nieistniejącego pensjonariusza. Z pewnością pochłaniali je pielęgniarze.

Johannès-Graf urzędował w małym pokoiku bez okna w suterenie.

— Panie Psar, chciałbym zadać panu dwa pytania. Pierwsze, jakby to powiedzieć, dotyczące faktów, drugie, jakby to ująć, związane z istotą sprawy.

Pan Johannès-Graf miał pociągłą twarz, narysowaną wyłącznie pionowymi kreskami. Nosił sędziowskie okulary. Został pastorem, ale potem przyciągnął go ten dziwny światek, gdzie literatura jest polityką, a polityka literaturą. Zarzucano mu to. Odpowiadał: „Wiem, to środowisko jest skrajnie skorumpowane. Dlatego dobrze, żeby znalazł się w nim, jakby to powiedzieć, uczciwy człowiek”.

— Panie Psar, pierwsze pytanie. Czy rękopis znajduje się w pańskich rękach? Czy pan go przeczytał? Drugie pytanie. Czy może pan zaświadczyć, że dzieło to jest autentycznie szczere? Że jego autor, obojętne jakie były jego doświadczenia i opinie, rzeczywiście wierzy w to, co mówi?

— Proszę pana, nie spotkałem „Anonimowego więźnia”, co jest zrozumiałe. Ale ton tego rodzaju tekstu nie może wprowadzić w błąd. Ktoś, kto przeczytał to dzieło od początku do końca — (dzieło nie opuściło jeszcze ZSRR) wie, że jest ono równie autentyczne jak *Wspomnienia z martwego domu*, *Więzienia* albo (Johannès-Graf był specjalistą od Jana Jakuba Rousseau) *Wyznania*.

— Widzi pan, ta sensacyjna atmosfera, którą próbuje się stworzyć. .. to nas trochę niepokoi. Wiemy oczywiście, że trzeba sprzedawać, ale jednak nie byle co. Ufam panu w każdym razie. Podejrzewam, że opublikował pan rzeczy, które nie zawsze zgadzały się z pańskimi najbardziej intymnymi przekonaniem, ale dał pan pierwszeństwo, jakby to powiedzieć, respektowi dla sprawiedliwości. Wie pan, że pismo nie ukazuje się w lecie, ale może pan na nas liczyć zaraz po wakacjach — (wielkie purytańskie szczęki zwierały się i rozwierały w monotonnym rytmie) — zresztą nie znając tekstu cóż moglibyśmy powiedzieć? Przecież wie pan, że w odróżnieniu od innych, my czytamy zanim zawnieśmy krytykować. Dzięki temu cieszymy się autorytetem w klubach politycznych, w kołach rządowych, na uniwersytetach, wśród przedstawicieli administracji, czyli, jakby to powiedzieć, wśród tych czytelników, którzy się liczą.

Każde pojedyncze życie osiąga swój moment szczytowy. Aleksander osiągnął swój szczyt życiowy w wieku czterdziestu dziewięciu lat, pewnego piątku, o godzinie 12.45 na Piazza Navona w Rzymie.

Przed fontanną Berniniego snuł się wielki dryblas, przystrojony brązowo-pomarańczową połyskliwą wiatrówką lalusia. Pod lewą pachą ścisnął paczkę gazet; na okładce pierwszej można było przeczytać wypisany cyrylicą tytuł «Ogoniok».

Aleksander zbliżył się do niego:

— Nie wiem — powiedział po rosyjsku — jaki kretyn wymyśla

te komiczne słowa hasła, ale na dzisiaj to jest: *Armi, furore e morti*.

Wiaczesław zmrużył oczy, jakby chroniąc je przed dymem z papierosów:

— To nie kretyn. To kretynka.

Podał Aleksandrowi paczkę gazet związanych cienkim sznurkiem na krzyż i chciał odejść.

— Nie tak szybko, chwileczkę.

Aleksander odsunął gazety, znalazł kopertę, otworzył ją paznokciem, rozpoznał drobne pismo na prawie przezroczystych kartkach nie wyjmując ich z paczki.

— Może pan odejść.

„Można by go wziąć za oficera — pomyślał Wiaczesław — ale jednak nie, bo powiedział do mnie «pan»„.

Wiaczesław oddalił się pogwizdując, z rękami wbitymi w skośne kieszenie wiatrówki.

Dziesięć minut później nadszedł signor Grucci. Czekał na kontakt pół godziny. Nikogo. Trzeba będzie znowu przywlec się tutaj jutro, to znaczy w sobotę. A on liczył, że spędzi ten dzień na plaży w Ostii! Co za pech!

W taksówce Aleksander rozwiązał rosyjski sznureczek, zwinął go i wsunął do kieszeni. Nie miał dla niego żadnego przeznaczenia, ale sznurek pochodził stamtąd; nie mógł go po prostu wyrzucić. Gazety i koperta również pochodziły stamtąd, ale Bóg wie czemu nie budziły w nim podobnego sentymentu i pozostawił je na siedzeniu.

Rękopis, który trzymał w rękach — 399 kartek bez marginesu, pokrytych niebieskim ostrym, pochylonym, drobnym piśmem — był skarbem, ale skarbem nieco dwuznacznym. Dla czytelników był to skamieniały krzyk idealisty, który omal nie zabił i nie zginął. Dla wydawnictwa Lux była to mała kopalnia złota. Dla dyrekcji natomiast sposobność nowego sukcesu, dla Aleksandra — rękojmia nowego życia. Aleksander nie należał do

marzycieli i rzadko zdarzało mu się wyobrażać sobie to nowe życie, ale od czasu do czasu nawiedzały go intuicje, tak jak w tej chwili, w rzymskiej taksówce. Pomyślał z tkliwą dumą o swoim synu, którego będzie wychowywał właściwie, w duchu służenia, o którym zapomniano już na Zachodzie.

Kartkował małe stroniczki o niestandardowym formacie. Machinalnie sprawdził ortografię: był to nowoczesny rosyjski, którego uproszczona pisownia — jedna litera na siedem została zniesiona, wprowadzono końcówki słów sprzeczne z regułami filologii — zawsze go drażniła. Już samo to, że pomyślał o sprawdzeniu pisowni, zdradzało pewien niepokój — staroświecki charakter pisma, styl nawiązujący do starych baśni, wszystko to nie było typowe dla autora wywodzącego się z szeregów KGB.

Rzym uciekał za oknami taksówki. W tyle zostawały pokryte zieloną patyną ochry. Aleksander nie widział tego, myślał o triumfie, jakim będzie publikacja *Rosyjskiej prawdy*. Tłumaczenia na wszystkie języki, poważne zyski, zdyskredytowani dysydenci...

Wszedł na pokład samolotu. Obiecał sobie, że nie zacznie czytać przed startem.

Wydawało mu się, że podróż trwała zaledwie chwilę.

Podczas lądowania wiedział już, dlaczego Iwan Iwanycz chciał, aby umowa z wydawnictwem oraz poparcie „orkiestry” załatwione zostały, zanim Aleksander zapozna się z tekstem.

Rękopis nie nadawał się do pu-bli-ka-cji.

- Małgorzato, proszę mnie połączyć z panią Boïsse.
- Pani Boïsse przy telefonie... Oblewamy dziś wieczorem. I tego samego wieczoru kolejne spotkanie z Iwanem Iwanyczem.
- Kto jest autorem tego steku kryminalnych bzdur? Nie, nie pytam cię o to, wiem, że tego nie wiesz. Ale kto zadecydował, że trzeba to publikować? Na pewno nie Pitman. On zrozumiałby, że to niemożliwe. Z umową czy bez, Lux nigdy tego nie zaakceptuje.

Zresztą któżby to zaakceptował? Nie pozwolę wymienić nazwy mojej agencji na stronie tytułowej. Jeżeli istnieje jakikolwiek szalony powód, aby te brednie ukazały się, należy stworzyć wydawnictwo wyłącznie dla tej książki lub innych w tym samym stylu, założywszy, że macie ich więcej na składzie. Słuchaj, Iwanie Iwanyczu, czapki-niewidki być może oszalały, ale paryscy wydawcy jeszcze nie. Dziennikarze także nie. Jeśli w wyniku niezrozumiałej dla mnie aberracji jakieś skrajnie prawicowe wydawnictwo odważyłoby się nawet opublikować podobny tekst...

— To byłby skandal? Ależ Aleksandrze Dmitryczu, serdecznie, skandal jest popłatny.

— Rozśmieszasz mnie swoim prymitywnym cynizmem. Nie byłoby żadnego skandalu. Nic by nie było. Cisza. Najmniejszego echa. Mówiłoby się o czymś innym, tak jak wtedy, kiedy komuś odbije się przy stole. Nic nie rozumiesz, Iwanie Iwanyczu. Żyjemy w społeczeństwie, w którym role są rozdzielone raz na zawsze. Należy przyjąć swoją rolę albo pogodzić się, że jest się niczym. To właśnie ludzie Zachodu nazywają wolnością. Na przykład sowiecki dysydent musi być liberalny. Może być marksistą, jeżeli ma na to ochotę, ewentualnie nacjonalistą, ale zawsze liberalnym. Dysydent nie liberalny jest nie do pomyślenia. Czy wiesz, co bym zrobił z tym tekstem, gdybym go dostał pocztą?

Iwan Iwanyczu zwilżył językiem palec i przyglądał kilka rudych włosów, które przecinały poziomo jego czaszkę:

— Jesteś na tyle inteligentny, Aleksandrze Dmitryczu, aby zrozumieć, że być może właśnie dlatego nie wysłano ci go pocztą.

— Iwanie Iwanyczu, wiem, co to jest dezinformacja. To mój zawód. Ale istnieją pewne granice. Nie mogę wydać na moją odpowiedzialność zdań w rodzaju... Gdyby chodziło tylko o zdania! To można przeredagować. Ale cała książka przesycona jest tym duchem.

— Jakim duchem?

Aleksander przeczytał na głos akapit, który przekreślił dwiema czerwonymi liniami:

— „Za każdym razem, kiedy jakaś zorganizowana partia komunistyczna, nie popierana potajemnie przez ZSRR, zderzała się w zamkniętym polu jakiegoś narodu z partią liberalną, burżuazyjną, arystokratyczną, konserwatywną lub reakcyjną, wygrywała pojedynek. Za każdym razem, kiedy zderzała się z partią faszystowską, czyli reformatorską, i również zorganizowaną, przegrywała”. I on przytacza historyczne przykłady! Rozumiesz, że tego typu prowokacje w wolnym społeczeństwie są nie do przyjęcia.

— Nawet przy założeniu, że istnieje „nowa prawica”?

— Przede wszystkim przy tym założeniu. Fourveret oderwał się trochę od lewicy w ciągu ostatnich lat, ponieważ sprzedaje się ona gorzej, co wszystkim wiadomo. Ale podjąć ryzyko przyłączenia się do kierunku całkiem przeciwnego... Publikacja *Rosyjskiej prawdy* nie wchodzi w rachubę. Dlaczegoż nie wyciągnięcie *Protokołów Mędrców Syjonu*, *Mein Kampf* albo *Wszego pięknego dzisiaj*? O, przepraszam, nie powinienem wymieniać Maurrasa w tym towarzystwie. Prawdziwy monarchista nie może być faszystą. Czekał, coś ci powiem. To moja dyrekcja miała ten genialny pomysł, żeby połączyć faszyzm z tendencją pravicową, podczas gdy w rzeczywistości jest on bardziej lewicowy niż my. W każdym razie odmawiam współpracy przy tym przedsięwzięciu skazanym na klęskę. Czy jesteś pewien, że nie chodzi tu o sabotaż? Przeniknąć kampanię wpływów przeciwnika i obrócić ją na swoją korzyść, to byłoby dopiero sztuką!

Oczy Iwana Iwanycza złagodniały:

— Martwisz mnie, Saszeńka. Bardzo mnie martwisz. Nigdy jeszcze nie widziałem, żebyś otwarcie odmówił wykonania polecenia.

— Głupstwo. Napiszę ci odpowiedni raport, który wyślesz Pitmanowi przez radio. Zobaczysz, że chodzi tu o jakąś pomyłkę. Odpowiedź na raport nadeszła zaraz następnego dnia:

Niniejszym potwierdzamy instrukcje przekazane ustnie. Proszę traktować tę depezę jako rozkaz na piśmie. Rękopis musi być opublikowany przez wydawcę wskazanego wam wcześniej. Nie może on w żadnym wypadku ukazać się u wydawcy prawicowego. Ostrzegamy was również przed jakimkolwiek złagodzeniem tekstu, którego moglibyście próbować w trakcie tłumaczenia. Każde odchylenie w tym kierunku byłoby traktowane jako uchybienie dyscyplinarne. Jeśli wydawca domaga się tekstu w miarę postępów tłumaczenia, odmówcie. Tekst musi być dostarczony w całości. Żaden nowy fragment nie będzie udostępniony prasie. Kontynuujcie, wzmagajcie wszelkie wysiłki, aby publikacja stała się międzynarodowym ewenementem politycznym. Podpisano generał-pułkownik Pitman.

W kawiarni przy Porte d'Auteuil — Iwan Iwanycz lubił kawiarnie usytuowane przy wylotowych arteriach; było to jedno z tych przyzwyczajzeń, przez które drugorzędni agenci pozwalają się w końcu zgarnąć — Aleksander czytał wciąż od nowa kartkę zapisaną maszynowym pismem, opatrzoną wskazówkami „bardzo pilne” i „ściśle tajne”, a także znakami określającymi datę i godzinę, jak w każdym telegramie.

Iwan Iwanycz uśmiechnął się z miną pełną politowania i wyciągnął rękę. Depeszę trzeba mu było oczywiście zwrócić.

Na rogu stołu Aleksander nabazgrał swoją odpowiedź. Potwierdzał odbiór. Wykona. Ale odmawia wzięcia na siebie odpowiedzialności: „Ani Lux, ani żadne inne porządne wydawnictwo nie opublikuje *Rosyjskiej prawdy*. W mało prawdopodobnym przypadku, gdyby jednak książka ukazała się, prasa odwróci się od niej z obrzydzeniem i nie będzie mowy o żadnym ewenencie międzynarodowym ani nawet lokalnym. Obserwacje: autor tekstu, kimkolwiek jest, musiał znacznie wykroczyć poza instrukcje, jakie otrzymał. Postulat: sugeruję aby tekst został ponownie przeczytany na najwyższym szczeblu”.

Tymczasem sławni dysydenci, z którymi nawiązała kontakt Agencja Psar, zaczęli odpowiadać. Ci spośród nich, którzy pozostali marksistami, wyrażali wątpliwość co do egzystencji prawdy specyficznie rosyjskiej, ale cieszyli się ze stylu populistycznego „Anonimowego więźnia” i chwalili go za powoływanie się na pskowski dzwon, symbol dawnej niezależności gminy, czyli tym samym komunistycznego powołania kraju. Oczywiście przyłączali się do potępienia lichwiarstwa, które jest równoznaczne z potępieniem kapitalizmu. Jeden z nich napisał długi artykuł, w którym wykazywał, że „Anonimowy więzień” czerpał swą inspirację z jego dzieł. Gratulował sobie, że jego dzieła dotarły nawet do celi 000 w szpitalu specjalnym. Inny przewidywał z góry konkluzje, jakie z całą pewnością uwieńczą obserwacje tajemniczego autora: komunizm w swej istocie jest dobry, jedynie sposób jego realizacji jest na ogół katastrofalny w skutkach. Należy więc znów rozpocząć eksperymentowanie, a nie odrzucać doktrynę komunizmu.

Pewien antymarksistowski powieściopisarz pochwalił język „Anonimowego więźnia”: Dobry jak chleb; chrupiąca skórka, która kryje delikatne wnętrze”. Pewien krytyk skomentował: „Nasz chór dysydentów już prawie zaczął nudzić, gdy oto pojawił się wspañiały baryton, który przychodzi z nowym słowem, nawiązującym w pewnej mierze do Kryłowa”. Pewien moralista otwarcie wyrażał swoje zadowolenie, że mieszkaniec celi „potrójne zero” jeszcze nieprędko z niej wyjdzie: „Z całą pewnością należy odróżnić dezserterów, którzy dopiero po znalezieniu się na Zachodzie zaczynają szczebrać przeciwko reżimowi, od profetów, którzy zaczęli przemawiać jak ludzie wolni jeszcze wówczas, kiedy nimi nie byli. Ale oto po raz pierwszy nieposkromiony śpiew wolności podnosi się z samego dna psychuszki”.

Ta ostatnia uwaga rzucała być może trochę inne światło na zgodność, z jaką dysydenci, zwykle podzieleni, przyklasnęli z góry publikacji *Rosyjskiej prawdy*. Niektórzy spośród nich woleli

uniknąć zbyt jawnej demonstracji wewnętrznych podziałów, inni rozumieli, że sytuacja więźnia była ważniejsza niż wszystkie małostkowe spory pomiędzy koteriami. Brodaty mędrzec, podziwiany aż do nienawiści, wyszedł ze swej wieży z kości słoniowej otoczonej drutem kolczastym, aby dać następujący komentarz na temat kryptogramu, umieszczonego na dzwonie: „«Żelazna Maska» pokazała palcem to, co w micie monarchicznym jest w sposób nie dający się naśladować rosyjskie. Z lękiem i nadzieją będziemy się przyglądali, jak nasza wewnętrzna, prosta i święta prawda, która przez wieki całe wyrażała się w dewizie «Jesteśmy Rosjanami, Bóg jest z nami», natchnęła tego krzyżowca naszych czasów, jedyne spośród nas, który odważył się sięgnąć po broń w obronie naszej wiary”.

Aleksander czytał to wszystko z pogardą: „Nie cierpię kurków na dachu, obojętnie, w którą stronę się kręcą”. Ludzie tego typu byli dla niego zdrajcami, niezależnie od motywacji: jakaś niezaspokojona ambicyjka, niewystarczająca pensja, niewystarczające sumienie.

Doszło do spotkania tłumaczy. Aleksandrowi nie chodziło już o tłumaczenie najlepsze z możliwych, dostarczone jak najszybciej, lecz o tłumaczenie, które pozostałoby tajne tak długo, jak to będzie potrzebne. Zamiast pięciu tłumaczy wybrał zaledwie dwóch. W ten sposób niebezpieczeństwo przecieków było minimalne, a praca ukończona zostanie później, dzięki czemu Forveret będzie miał mniej czasu, żeby wycofać się z umowy. Pewna kostyczna stara dama rosyjska, mieszkająca w domu starców, oraz młody profesor slawista, który miał pracować podczas wakacji w Irlandii, zostali zaangażowani nie tyle dla ich talentów, co raczej dlatego, że nie będą mogli się komunikować ani między sobą, ani z paryskimi intelektualistami. Pozostali trzej tłumacze obrazili się. Aleksander zrozumiał już, że „Operacja Żelazna Maska” będzie jak pożar, który niszczy wszystko na swej drodze. A to był tylko początek. Na szczęście zestawienie

przypowieści w *Rosyjskiej prawdzie* pozwalało na całkowicie niekoherentne podzielenie tekstu między tłumaczy. Profesor uznał wprawdzie w pierwszej lekturze, że strona polityczna była dość trudna do przełknięcia, a stara dama, że pełno było terminów tryw., gwar., i fam., jakich zazwyczaj nie spotykała, lecz wystarczy dać im do zrozumienia, iż część przypadająca na każdego z nich zostanie właściwie oświetlona dopiero przez tekst tłumaczony przez drugiego, aby przyjęli to za pewnik. Zresztą, do diabła, byli opłaceni i to nawet zupełnie nieźle. Zadanie, w które wciąż nie wierzył, zaczęło pochłaniać bez reszty Aleksandra, jak Iwana Denisowicza układanie cegieł.

Przeszedł lipiec. Poczta przynosiła strony tłumaczenia. Aleksander poprawiał, ujednolicał, oburzał się, przyzwyczajał się do swego własnego oburzenia. Powierzono mu zadanie z góry skazane na niepowodzenie. Uprzedził o tym, a teraz będzie próbował pomimo wszystko dążyć do sukcesu, chociaż będzie się czuł równie usprawiedliwiony w wypadku porażki, którą przewidywał, co w wypadku powodzenia w wyniku czynionych przez siebie wysiłków.

Aby książka ukazała się we wrześniu, Fourveret, zmieniając swój kalendarz wydawniczy, domagał się manuskryptu pod koniec lipca. Aleksander zwlekał aż do 10 sierpnia. Miał spędzić dwa tygodnie wakacji z Jessicą na jachcie jej przyjaciół. Musiał zrezygnować z zaproszenia. Jessica nie skarżyła się: „Obejdę się bez takiego kochanka”. I zabrała ze sobą *attache* z ambasady jednego z krajów Południowej Ameryki. W tym roku korki na drogach były zupełnie rekordowe. W Paryżu ulubione restauracje Aleksandra były zamknięte, jadał więc w bistrach, konstatuując ze zdziwieniem ich taniość. Potrzebował teraz cztery razy mniej czasu na podróż z domu do biura. Dwóch wydawców chciało publikować *Rosyjską prawdę* w języku oryginału. Odmowa. Jeden z nich próbował się dyskretnie poinformować, kim są tłumacze. Kłeska. W kinach dawano wznowienia starych

filmów. Można było parkować samochód gdzie się chciało. Małgorzata, która chciała wyjechać w sierpniu, zapytała, czy nie byłoby lepiej, żeby została, jako że miała się ukazać ważna książka. Aleksander myślał, że książka nie ukaże się wcale. Tak czy inaczej cały ten cyrk, jeśli w ogóle ruszy, nie zacznie się przed początkiem września.

— Nie, nie, Małgorzato, proszę wyjechać i odpocząć. A dokąd w końcu pani jedzie?

Wyjeżdżała do swojej matki, do Lisieux. Wyjechała. Jeśli będzie jej potrzebował, wystarczy jeden telefon. Dopiero po kilku dniach zaczął odczuwać jej brak. Jej spojrzenia były tak oddane i pełne uwagi... Zastanawiał się z roztargnieniem, jakiego koloru były jej oczy i stwierdził, że nie wiedział tego. „Żyję już zbyt długo pochłonięty tylko jednym. To wszystko niedługo się zmieni”.

Pogoda była niepewna, nie było zbyt ciepło. „Obecny sierpień jest o wiele chłodniejszy niż czerwiec sprzed trzydziestu lat”. Przyszło mu nagle do głowy, żeby zobaczyć galerię chimer, ale kiedy tuż przed nim dziesięć autobusów wyrzuciło ładunek Teutonów na wprost schodków Quasimodo, zrezygnował z tego zamiaru. Zastanawiał się, jaka jest pogoda w Moskwie, w Leningradzie. „Jeśli dyrekcja ma jakąś filię w Leningradzie, chciałbym, żeby mój apartament był na Fontance...”

W końcu tłumaczenie było gotowe. Mimo ponagleń Fourvereta — „Drukarnia czeka! Nie zamknęli jej w sierpniu tylko ze względu na nas!” — Aleksander ociągał się jeszcze kilka dni. Poprawiał niektóre fragmenty, przepisywał najbardziej pokreślone stronicie. Jednak w końcu trzeba było zanieść do wydawnictwa Lux gruby, biały klaser, zapięły białym paskiem, przesytytym czerwona nitką. Aleksander oddał swój ładunek wybuchowy, wysłuchał wylewnych podziękowań i zaczął czekać na eksplozję.

Gabinet naczelnego dyrektora wydawnictwa Lux był duży, biały, jego umeblowanie składało się wyłącznie ze stołu, foteli i gablotki, zawierającej hiszpańskie krucyfiksy, przedmiot kultu

dla jednych, kolekcja nagród dla innych. Stół ustawiony był przy oknie w ten sposób, że każdy gość znajdował się w pełnym świetle, podczas kiedy surowa lecz sprawiedliwa twarz naczelnego dyrektora pozostawała w półcieniu. Niektórzy myśleli, że był to tylko przypadek, lecz wystarczyło złożyć wizytę panu Fourveretowi wieczorem, aby móc stwierdzić, że lampy były ustawione tak, by osiągnąć dokładnie ten sam efekt.

Uścisk dłoni. Proszę siadać. Fourveret zasiadł za stołem, złożył ręce, opuścił oczy. Na jego dużej, ascetycznej twarzy widniały okulary w kwadratowej oprawce, które potrafił majestatycznie zdejmować i wkładać w odpowiednich momentach.

Aleksander czekał. Nie był z natury lękliwy, ale konieczność obrony projektu, którego nie pochwałał, stawiała go w niewygodnej pozycji.

Po dłuższej chwili medytacji Fourveret uniósł głowę, zdjął wymownie okulary i powiedział z drapieźnym uśmiechem:

— A więc trzeba być na prawicy, ponieważ dobry łotr został ukrzyżowany po prawej stronie cieśli z Nazaretu!

Odczekał kilka sekund i ciągnął dalej, o ton głośniejsz:

— A kiedy z głęboką odrazą odepchnął sztukę złota, którą Mu podawano i stwierdził, że należy oddać cesarzowi jego błyskotki, to, co chciał w rzeczywistości powiedzieć, to nic innego jak to, iż do państwa, a nie do banków należy bicie monet! Carska Rosja liczyła siedem razy mniej policjantów niż Wielka Brytania i pięć razy mniej niż Francja! Komunizm, ta dziwna choroba, zapanował w Rosji jak grypa na Hawajach, ponieważ carska Rosja w swojej niewinności nie wyprodukowała odpowiednich przeciwciał!

Fourveret założył znów okulary i jego twarz nabrała wielkiej powagi:

— Proszę mi w końcu powiedzieć, mój drogi, co jest grane? Kto tu sobie urządza kpiny?

Aleksander przygotował sobie plan kontrataku. Położył na

stole serię cytatów, pochodzących z listów od dysydentów. Ich opinie, i tak pozytywne, zostały jeszcze dodatkowo przemyślnie spreparowane i zredagowane. Całość była olśniewająca.

— To na skrzydełko okładki.

Fourveret spojrział na papiery i odsunął je od siebie.

— Oni nie czytali książki. Ja także, dopóki jej nie przeczytałem...

Podniósł się z krzesła i zaczął spacerować po pokoju z rękami założonymi na plecach, rozplatając je od czasu do czasu, by wykonać pełen wigoru i jednocześnie nobliwy gest.

— Mój drogi, zawsze sądziłem, że pomimo różnic, które nas dzielą, posiadamy pewną wspólną cechę — całkowitą integralność intelektualną. Bóg mi świadkiem, chociaż Bóg nie jest do tego potrzebny, bo moja reputacja jest wystarczająco znana na rynku — wiadomo, że jestem wydawcą, wiadomo też, że przede wszystkim jestem sumieniem i że w miarę moich możliwości dążyłem zawsze do tego, żeby moje wydawnictwo posłuszne było mojemu sumieniu. I nie dlatego, że to moje sumienie, tylko sądzę, że sumienia wszystkich ludzi dobrej woli nastrojone są na tę samą nutę. Jestem chrześcijaninem, mam współpracowników, którzy nimi nie są. Są wśród nich być może — a nawet na pewno — komuniści. Ale jakież to ma znaczenie, skoro wszystkich nas jednoczy poparcie dla udanych dzieł literackich i dobrych uczynków, lub też niechęć do złych książek i złego postępowania. Inni wydawcy być może mają tylko jedno zmartwienie: forsa. (Wy mówił to z dreszczem obrzydzenia, jakby to było nieprzyzwoite słowo. Wykonał obleśny gest liczenia banknotów.) Jeśli o mnie chodzi, forsa... Gdybym tylko chciał, mój drogi, byłbym bogatym człowiekiem. Ale to, co dla mnie się liczy, to wielkie, krwawiące serce ludzkości, dla którego krwawi moje serce, i właśnie w tym cierpieniu jednych dla drugich i artysty dla społeczeństwa widzę prawdziwe znaczenie działalności wydawnictwa Lux. *Lux* oznacza tutaj światło, rzecz jasna. Jeśli o pana chodzi, darzę pana szacunkiem, panie Psar. (Wymawiał

„Psaaaaar”, miał pełne usta samogłoski „a”, i tak wyraźne podkreślanie egzotyki jego nazwiska stawało się obraźliwe.) Prowadzi pan dla mnie *Genezę rewolucji* i *Białą Księgę*, z którymi nie może się równać żadna seria innego wydawcy. Nie przypuszczam, żeby pana opinie polityczne były nie w porządku, bo w końcu póki nie jest się ekstremistą, można być człowiekiem godnym szacunku nawet na prawicy. W każdym razie tak sobie to wyobrażam. Pytam więc pana (zatrzymał się nagle, jak wryty, i zdjął okulary, jakby wyciągał szablę z pochwy): co się stało?

Aleksander patrzył na wydawcę nie ukrywając swego rozbowienia:

— Co się z panem dzieje, Fourveret? Po co ten patos? Nie zgadza się pan z programem „Anonimowego więźnia”? A kto panu powiedział, że ja się z nim zgadzam? Czyżbyśmy byli fanatykami, którzy publikują wyłącznie poglądy zgodne z ich poglądami? Czyżby wolność słowa polegała na tym, że pozwala się mówić tylko tym, którzy myślą podobnie jak pan, albo są trochę na lewo od pana?

Fourveret zasiadł ponownie przy stole. Zaczął przecierać chusteczką szkła okularów, okazując w ten sposób, że jego cierpliwość nie ma granic. Odwrócił wzrok od Aleksandra. Przez chwilę pokazywał mu swoje plecy.

— Jak pan sobie może wyobrazić, gubiłem się w domysłach na temat pańskiej osoby — dodał cichym głosem. — Może pan być dumny, bo dzięki panu spędziłem bezsenną noc. Zastana wiałem się, czy nagle pan oślepił, stracił rozum, czy też, proszę mi wybaczyć to słowo, lecz mam tu swoje powody, stał się pan przekupny? W tym ostatnim przypadku, komuż by się pan sprzedał? Czyżby wszedł pan w kontakt z jakąś organizacją neofaszystowską? Czy ktoś panu zapłacił, aby mnie skompromitować? Powinien pan wiedzieć, że nie pozwolę na to! Zresztą jaką bym miał mieć z tego korzyść, gdybym wydał tę książkę? *Rosyjska prawda* nie sprzeda się nawet w dwu tysiącach egzemplarzy.

Mogę się panu przyznać, że w moim zakłopotaniu wybrałem się do José Ballandara, który jest, jak panu wiadomo, moim starym przyjacielem. Prosząc o dyskrecję dałem mu do przeczytania kilka wyjątków z tych brudów. „Gdybym to opublikował, zrobiłbym coś złego i zdaję sobie z tego sprawę. Ale przypuśćmy, że jednak to robię. Jaka byłaby pańska reakcja?” Zna pan Ballandara. To sumienie. Odpowiedział mi: „Przez szacunek dla pana, dla pańskiego wydawnictwa, spuściłbym na to zasłonę milczenia. Zachowałbym się tak, jakby się książka wcale nie ukazała”.

— Jeśli pana dobrze rozumiem, Fourveret, zamierza pan zerwać naszą umowę? — zapytał Aleksander powściągliwie.

Ta uwaga rozweseliła wydawcę:

— Przecież nie będę pana, Psaaaaar, uczyć, że umowa wydawnicza... Zwracam panu pańskie prawa, które w myśl prawa nie należą do pana, ponieważ nie ma pan upoważnienia autora. I to wszystko. Ale w końcu (obrócił się nagle i oparł się plecami o stół) czy byłby pan łaskaw wytłumaczyć mi, jakim prawem pozwolił pan sobie zaproponować mi ten zbiór idiotyzmów i podłości?

Aleksander miał wyjątkową zdolność stawiania czoła w trudnych sytuacjach, nawet wbrew oczywistości. Przydało mu się to w jego obydwu zawodach, pozornym i rzeczywistym.

— Podłości, bzdury i brudy... To nie są żadne argumenty, Fourveret. Wszystko, co słyszę od kwadransa, to obelgi pod adresem człowieka zdychającego właśnie w więzieniu psychiatrycznym. O co panu chodzi? O spokojne sumienie wydawcy, który zawsze cieszył się opinią gwiazdora uczciwości intelektualnej i który zerwie umowę, ponieważ dobrze wie, że „Anonimowy więzień” nie będzie miał żadnych możliwości obrony prawnej. Co pan właściwie zarzuca *Rosyjskiej prawdzie*?

— Takie chwytaki poniżej pasa nie są pana godne, Psar — powiedział Fourveret, oddzielony od niego stołem. — Albo ten tekst nadaje się do publikacji i nie robię panu krzywdy, odsyłając

pana do innych wydawców, albo się nie nadaje i wówczas pan jest wobec mnie nie w porządku, namawiając mnie na druk.

Usiadł i założył okulary tak jak angielski sędzia zakłada perukę. Zajrzał do swoich notatek:

— Jeśli w ogóle można coś z tego zrozumieć, mimo bezładu kompozycji, dzieło niniejsze broni takiej oto tezy: 1. Kapitalizm jest źródłem wszelkich nieszczęść, 2. dlatego też należy zniszczyć komunizm (*sic!*) oraz 3. zastąpić go monarchią teokratyczną, której zasadniczym atrybutem będzie bicie monety.

Niczego nie wymyśliłem. Do tego dołącza się jeszcze absurdalna demaskacja rzekomego spisku światowego lichwiarzy. Tezę tę mają ilustrować pseudohistoryczne przykłady: Roosevelt był agentem Stalina, który z kolei działał jako agent Rockefellera. I pan mnie pyta, co zarzucam *Rosyjskiej prawdzie*? Jak pan wie, moje serce krwawi dla Rosji, ale *Rosyjskiej prawdzie* zarzucam, że nie jest ani rosyjska, ani prawdziwa. I to wszystko.

Kiedy Fourveret wypowiadał słowa „moje serce krwawi”, kładł na swej lewej piersi dłoń o szeroko rozstawionych palcach i trzymał ją tam kilka sekund. Aleksander nie miał na to żadnych argumentów.

— To oczywiście, że nie podzielam w najmniejszym nawet stopniu poglądów tego wariata, ale uważam, niech pan sobie wyobrazi, że jego szaleństwo jest interesujące i że przy poparciu prasy...

— Tak, drogi przyjacielu, ale nie będziemy mieli tego poparcia. Powiedziałem panu, co mi odrzekł Ballandar, którego autoritet jest panu znany i który zawsze był dobrze usposobiony dla naszego wydawnictwa.

Aleksander podniósł się i przyciągnął do siebie maszynopis. Fourveret, wciąż siedząc, zlustrował go spojrzeniem. Później zdjął okulary, jak zdejmując maskę.

— Psaaaaaar, ukazał mi się pan w zupełnie nowym świetle i być może myślę się, ufając panu w dalszym ciągu. Bóg mi

świadkiem i widzi, że wolę grzeszyć nadmiarem niż skąpstwem. (Kiedy mówił „Bóg mi świadkiem” wznosił oczy do nieba i opuszczając je potem zatrzymywał przez sekundę spojrzenie na kolekcji krucyfiksów.)

— Jeśli ta rzecz ukaże się u jakiegokolwiek wydawcy — a byłbym zdziwiony, gdyby nawet w tej profesji udało się panu znaleźć kogoś aż tak nędznego, by wziął na siebie to ryzyko — będę musiał ze szczerym żalem wyrzec się dalszej współpracy z panem. Jeśli natomiast zrozumie pan, do jakiego stopnia zaślepiła pana słowiańska wrażliwość i jeśli wyrzuci pan tę paczkę makulatury do najbliższego ścieku...

Uśmiechnął się szeroko. Przypominał teraz rozpieranego przez radość ojca, witającego swego marnotrawnego syna.

— ...wtedy *Geneza rewolucji* i *Biała Księga* będą się nadal ukazywały. Zakopimy topór wojenny i nigdy nie będziemy wracali do naszego małego kryzysu. To prawda, że stracę sporo pieniędzy wskutek wywrócenia się mojego planu wydawniczego, ale... co to są pieniądze?

Wykonał ręką, trzymając okulary, szeroki gest. Nałożywszy okulary odprowadził Aleksandra do drzwi. Na progu zatrzymał się i chwycił go za rękę. Jego szlachetna twarz stała się jeszcze bardziej szlachetna:

— Mam dwadzieścia lat więcej niż pan. Pozwolę sobie dać panu pewną radę.

Zamknął oczy i bardzo cicho wymówił:

— Proszę się modlić.

Zamknął dłoń Aleksandra w swoich rękach i zatrzymał ją kilka sekund.

Aleksander przewidział odmowę Fourvereta; właściwie zgadzał się z nim. W niczym nie ułatwiało to jednak sytuacji, wzięwszy jeszcze pod uwagę zawołowane groźby i paternalistyczne porady wydawcy.

Iwan Iwanycz w rozmowie telefonicznej nie okazał wcale zdziwienia, kiedy dowiedział się o odmownej decyzji Fourvereta. Zapytał tylko:

— Przypuśćmy, że książka jednak ukaże się, co należałoby zrobić, żeby spotkała się z sukcesem?

— Jeśli kiedykolwiek rozwiązesz tę zagadkę, zmień pracodawcę. Będziesz miliarderem.

— Badania rynku...

— Nie służą niczemu w świecie książek. Przynajmniej na początku. Można wpłynąć na powodzenie sprzedaży, jeżeli książka zostanie dobrze przyjęta, ale na początku rzuca ją na głęboką wodę, zdając się na przypadek, albo na kaprys fortuny. Większość książek tonie, tylko niektóre utrzymują się na powierzchni, i te właśnie umiemy doprowadzić aż na pełne morze. Pierwszy skok jest niewiadomą. Pomyśl, że są pornograficzne kryminały, których nikt nie kupuje i prawdziwe, wielkie książki, świetnie idące.

— Jednak poparcie prasy...

— Niczego nie przesądza.

— Ale rzadko się zdarza, żeby prasa robiła hałas wokół jakiejś książki i żeby nikt jej nie kupował.

— Rzadko.

— I nigdy nie zdarza się, żeby tylko jeden pies szczekał na wsi, a inne nie odpowiadały.

— Do czego zmierzasz, Iwanie Iwanyczu?

— Jacy są najlepsi szczekacze? Ci, co pociągają za sobą innych?

— Najlepszy jest Ballandar i należy do mojej orkiestry. Ale właśnie ci powtórzyłem, jakie jest jego zdanie, słuszne zresztą, na temat waszego towaru.

— Nie chodzi o to. Czy możesz znaleźć jeden lub dwa głosy, które mu odpowiedzą?

— Oczywiście, jak tylko on się wypowie. Trzy czwarte dziennikarzy mówi wyłącznie o książkach, które zacytował Ballandar.

Jedni, żeby powiedzieć to samo co on, drudzy żeby mu się przeciwstawić. Ale powtarzam ci, Fourveret nas nie opublikuje, a nawet jeżeli tak, to Ballandar będzie milczał. Uprowadzałem was.

— Poradzimy sobie. Domyślasz się, że jeśli przydzielilibyśmy do twojej orkiestry tych dwóch muzyków, to dlatego, że, jak mówią Francuzi, umieją śpiewać.

— Nie bądź naiwny, Iwanie Iwanyczu. Jesteśmy w Paryżu, w ostatniej ćwiartce dwudziestego wieku, nikt już nie ma na sumieniu wstydliwych sekretów, ponieważ wszystko jest dozwolone. Gdyby twoja żona dowiedziała się, że zezujesz na Jessicę, to być może pogłaskałaby cię wałkiem do ciasta, ale to dlatego, że nie należy do inteligencji idącej z duchem czasu.

Iwan Iwanycz nie podjął wyzwania. Naznaczył spotkanie na następny poranek, w kawiarni tuż obok Porte d'Orléans.

Z Porte d'Orléans Aleksander pojechał prosto do biura wydawnictwa Lux. W ręce trzymał czarną, grubą teczkę. Był czternasty sierpnia i drzwi były zamknięte. Fourveret znajdował się zapewne w swej posiadłości w Dourdan. Jechać tam natychmiast? Pokusa była silna, ale korki na drogach... Zresztą poczekać chwilę z otwarciem ognia też było przyjemne... „Pojadę jutro”.

Następnego dnia około jedenastej trzydzieści Aleksander znalazł się w Chatelet, gdzie był dawniej mile widzianym gościem. Tam właśnie świętowano sukces *Białej Księgi o edukacji narodowej* z profesorami z Sorbony, a z kilkoma prałatami oblewano powodzenie *Białej Księgi o Kościele*.

Biała fasada w stylu Napoleona III, nawiązująca zarazem do Ludwika XVI, została niedawno odnowiona. Żwir podwórka, nieskazitelnie wygracowany, chrząścił rozkosznie pod oponami.

— Wszyscy sana mszy, panie Psar — powiedziała pani Emilienne. — Chce pan na nich poczekać w salonie, czy też podać panu *apéritif w ogrodzie*?

Zazwyczaj Aleksander wołał wewnątrz domu, tego jednak dnia

potrzebował powietrza. Usiadł pod parasolem. Park miał niewiele więcej niż hektar powierzchni i ścieżki były w nim poprowadzone w stylu angielskim, tak aby osiągnąć jak największą ilość perspektyw i przedłużyć odległości. Wielkie drzewa unosiły ku niebu ciężkie od liści gałęzie. Ptaki śpiewały. Światło załamywało się w lekkiej mgielce. Aleksander położył swoją teczkę u stóp, i co jakiś czas dotykał jej czubkiem buta. Kostki lodu dzwoniły w kryształowej szklaneczce. Nagły hałas i cała chmara dzieci, za którymi kroczyło kilkoro dorosłych, wypadła z drzwi balkonu.

— Drogi Psaaaaar! Cóż za niespodzianka! Naturalnie zje pan z nami obiad?

Fourveret pokazywał w uśmiechu wszystkie zęby, jego oczy jednak pozostały czujne. Potrząsał ręką Aleksandra, lecz jego zaproszenie było z rzędu tych, których nie powinno się przyjąć.

— Jeszcze nie wiem. Musiałem pana zobaczyć w pilnej sprawie. Przykro mi, że musiałem pana ścigać aż tutaj.

— Ależ nic podobnego — powiedziała pani Fourveret, duża, chuda, z czymś nieokreślenie prowincjonalnym w sposobie bycia. — Szalenie się cieszymy pańską wizytą. Zna pan moją córkę, madame Faubert? A to moje wnuki...

Dzieci nosiły imiona bezpretensjonalne. Były tak dobrze ułożone, że grzeczność ich miała w sobie coś naturalnego. Udawały onieśmienie tylko tyle, ile trzeba było. Aleksander nie zapytał o ich postępy w szkole, ale przywitał się z nimi poważnie, patrząc każdemu z nich prosto w oczy, i to im się spodobało. Jego spojrzenie zatrzymało się być może nieco dłużej na Mikołaju, pięcioletnim blondynie o krótko obciętych włosach.

— Co będziesz robić, Mikołaju, jak będziesz duży? Mikołaj jeszcze seplenił.

— Chcę placować na giełdzie jak tatuś.

Aleksander zdziwił się.

— Ja, Mikołaju, w twoim wieku chciałem zostać dowódcą łodzi podwodnej.

Fourveret ujął go za łokieć.

— No więc, ta pilna sprawa? Proszę mi powiedzieć, że się pan zastanowił i chce pan zrezygnować z publikacji tego...

— Przejdźmy się trochę — zaproponował Aleksander.

Odczuwał żywą przyjemność na myśl o tym, co miał zrobić, a jednak nie bardzo wiedział, jak zacząć. Nie chodziło tu, Bogu niech będą dzięki, o litość, ale o konwenans, który głęboko nazaczył jego naturę. Czuł zażenowanie na myśl, że ten człowiek za chwilę będzie od niego całkowicie zależny. Nawet psy nie gryzą ofiarowanej im obrożą.

Szli pośród przystrzyżonych trawników, które lato zdążyło już przyzołcić. Brzęczały pszczoły. Emilienne nakrywała do stołu na tarasie. Będzie to prawdziwe święto rodzinne, w dniu Matki Boskiej Zielnej, z mszą świętą, dziadkiem, babcią, obiadem pod gołym niebem, wodą zabarwioną winem dla starszych dzieci, z drobną kłótnią przy deserze na temat osy, którą złapie jeden z chłopców i będzie chciał przekroić nożem.

Fourveret zatrzymał się, kontemplując scenę rodzinną ponad trawnikiem, ścieżką, klombem, jeszcze jedną ścieżką. Dzieci przekomarzały się milutko o miejsca przy stole. „Nie, mówię ci: jeśli jest ten pan, to wszystko się przesuwają o jedno miejsce”. Jedną z dziewczynek z przejęciem pomagała Emilienne nakrywać do stołu. Pani Faubert i pani Fourveret, każda z kieliszkiem porto w ręce, rozprawiwały z ożywieniem:

— Możesz mówić co chcesz — mówiła z przekonaniem matka — ale ja bardzo żałuję, że nie ma już sukni do pierwszej komunii. Cóż to komu przeszkadzało. A wyobraź sobie, jak Marii Karolinie byłoby ślicznie w tych wszystkich koronkach.

Madame Fourveret mówiła głośno, z rozpaczliwą emfazą tych, których już nikt nie słucha. Jej córka śmiała się czule:

— Mamo, nikt mamy już nie zmieni. Zresztą gdyby się mama zmieniła, pierwsza bym tego żałowała.

Surowa twarz Fourvereta rozświetliła się od wewnątrz:

— Jakie to piękne — powiedział cicho — chrześcijańska rodzina.

Na to właśnie czekał Aleksander:

— Tak, to piękne, tyle że nie zawsze wystarczające.

— Nie bardzo pana rozumiem.

Mówili nie patrząc na siebie, z oczami wciąż utkwionymi w idylli, która rozgrywała się pod parasolami.

— Jakieś trzydzieści lat temu — podjął Aleksander — pewna ilość dobrze sytuowanych osób, z których wiele miało chrześcijańskie rodziny, narobiła sobie kłopotów, biorąc udział w czymś, co nazywano raz różowymi baletami, raz niebieskimi baletami. Doszło do paru samobójstw, załamały się niektóre kariery. Ci panowie byli nieostrożni. Ich ofiary, czy też partnerzy, niech pan to nazywa jak pan chce, były przesłuchiwane. Rozpoznały swoich klientów i wszystko opowiedziały: „To ten pan, co mi to robił, a to ten, co mi robił tamto”.

— Znam tę historię — powiedział Fourveret, uśmiechając się i nie patrząc na Aleksandra.

— Trochę później w Ville d'Avray założono pewną instytucję charytatywną. Jej celem jest opieka nad młodymi sierotami i kształcenie ich. Dziwna sprawa. Instytucja ta nie apeluje do miłosierdzia ludzkiego i nie zabiega o wsparcie. A jednak dorastające sieroty opuszczają ją z okrągłym kapitałikiem. Prawdą jest, że te wzruszające maleństwa nie są całkowicie bezczynne i mają jeszcze jedną cechę szczególną, która czyni je tym cenniejszymi w oczach ich protektorów... Czy słyszał pan, Fourveret, o instytucji dla młodych niewidomych sierot w Ville d'Avray?

Fourveret odwrócił się od Aleksandra. Mówił głosem pełnym przejęcia, choć na twarzy jego utrzymywał się wciąż uśmiech nobliwy i szlachetny:

— Dlaczego mi pan opowiada tę okropną historię? Te potwory, niewątpliwie podle, są z pewnością bezkarne, jako że nikt ich nigdy nie widział.

— No tak — powiedział lekko Aleksander — wiem dobrze, że ci panowie mają pseudonimy, co pozwala im porozumiewać się z dyrekcją nie ujawniając się, a także klucze, dzięki czemu mogą wejść do willi, a nawet do pewnego w niej pokoju, nie będąc widzianym. Ale Bóg, drogi panie Fourveret, Bóg, jak lubi pan powtarzać, jest świadkiem w każdej sytuacji. I nie tylko Bóg. Rozumie pan, aparaty fotograficzne ukryte w murze istnieją nie tylko na filmach.

Otworzył z trzaskiem jeden z zamków swej teczki:

— Interesują pana zdjęcia pornograficzne, Fourveret? Na jednych z nich widać nawet małą białą laseczkę w nogach łóżka.

Instytucja niewidomych sierot funkcjonowała od piętnastu lat. Departamentowi musiało bardzo zależeć na publikacji *Rosyjskiej prawdy*, skoro nie cofał się przed ryzykiem zaalarmowania stałych bywalców willi!

Fourveret patrzył znów na swoją żonę, córkę, wnuki i ich balet Wniebowzięcia, rozgrywający się za trawnikiem i klombem dali.

— Jus są osy ! — wykrzyknął Mikołaj wymachując nożem do chleba.

Fourveret miał zeszytniałe jakby z zimna wargi. Wymówił z trudem:

— Książka ukaże się w przewidzianym terminie.

— I zrobi pan wszystko co trzeba, żeby to był triumf— powiedział Aleksander, skandując każde słowo. — W przeciwnym wypadku niczego nie obiecuję.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Na suchej twarzy Aleksandra pojawił się uśmiech:

— W takim razie z przyjemnością przyjmuję pańskie zaproszenie na rodzinny obiad.

Po południu, wciąż w roli karzącego archanioła, Aleksander zatelefonował do «Obiektywu». Nikogo nie było. Te coraz częstsze wywczasy pracowników umysłowych drażniły go. „Tam

przynajmniej zmusza się ich do przepracowania dla partii niedziel w dobrowolnym czynie społecznym!” Czy Ballandar pojechał do Ramatuelle, czy do Port-Grimaud? Fourveret widział go trzy dni temu w Paryżu i w jego stylu byłoby raczej pozostanie w Paryżu w sierpniu — zarówno przez snobizm, jak i przez zamiłowanie do urlopowych intryg. Zatelefonował do niego do domu. „Ależ oczywiście, proszę przyjść”. Jednak pewna niechęć w głosie: Ballandar przeczytał *Rosyjską prawdę* i obawiał się, czy przypadkiem Aleksander nie przeszedł do obozu tych niedotykalnych (trędowatych), prawicowych ekstremistów.

Ulica de Tournon. Siedemnastowieczny budynek, odnowiony w najbardziej agresywnie nieskazitelny sposób. Kamienny mur. Dywany. Aleksander nie wszedł do windy, bo to dobre dla ćwiczenia oddechu, a poza tym mała kabina powodowała w nim przyływ klaustrofobii. Zadzwonił do wysokich drzwi z rzeźbionego dębowego drewna. Niezła imitacja starej bramy.

Iluż młodych autorów dygotało przed tymi drzwiami! Iluż z nich, publikowanych lub nie, przychodziło tu, by grać szczerą lub szyderczą komedię uwielbienia. „Tak pana podziwiam”. Co za świnia, nawet nie dał najmniejszego słowa polecającego dla Grasset. „Panie Ballandar, jest pan wspaniały!” Zgodził-(a)-bym się pójść z nim do łóżka, ale nawet nie zaproponował. Ballandar należał do ludzi, o których mówi się, zresztą mylnie, że rządzą literaturą. W rzeczywistości wycinek, w którym mógł sprawować swoje rządy, nie był wielki. Aby utrzymać swój autorytet Ballandar poddawał się bez przerwy autocenzurze, ograniczał się tylko do: „Tego nie można powiedzieć. Tego się nie robi...” Udało mu się osiągnąć reputację kogoś śmiałego, ale w rzeczywistości atakował tylko bałwany śniegowe, wymierzał ciosy w miękką materię, a gdy tylko natrafiał na opór, giął się w ukłonach. Zdawać się mogło, że znajdował się u szczytu kariery, a jednak żył w ciągłym poczuciu zagrożenia. Obawiał się, że jakiś X., ożeniony z siostrzenicą Y., czy też posiadający odpowiednie środki, żeby wyrzucić

presję na Z., może go wysadzić z siodła, co okazałoby się całkiem proste, jako że wiedział, nie przyznając się do tego przed sobą, że nie ma żadnego szczególnego talentu, i jedyne, co posiada to nazwisko. Dlatego też, dbając o swą opinię młodego intelektualisty, popierającego młodszych od siebie (był młody od chwili kiedy przestał być dzieckiem, to znaczy dobre czterdzieści lat), starannie dobierał swych protegowanych wśród neofitów, którzy nie mieli żadnego talentu. Popierał ich pierwsze książki, potem zaś jego faworyci, nie stanowiąc żadnej konkurencji dla niego, znikali gdzieś, stając się znowu lub debiutując w roli inspektorów ubezpieczeń, gwiazdek filmowych czy też nauczycieli. I tak było lepiej dla wszystkich. Zastanówmy się: gdyby Ballandar utracił swoją pozycję, cóż mógłby robić innego? Nieudany pisarz może się stać krytykiem, ale krytyk? Zresztą Ballandar nie był ani zły, ani dobry, był ostrożny. Kariera intelektualisty przypomina jazdę na nartach wodnych, należy się trzymać uchwytu liny jak najdłużej.

Naciskając palcem wskazującym słońce miedzianego dzwonka, Aleksander pomyślał, że on także, w okresie kiedy brał siebie za pisarza, mógł być się tu pojawić, pewien że przynosi wybitne dzieło i że lekkie popchnięcie pana José Ballandara uczyni go sławnym i kochanym. Szczęśliwie udało mu się uniknąć tej gamy upokorzeń. Przeżył za to inną. Jako debiutujący agent literacki poznał różne przedpokoje. „Proszę to przeczytać, podziękuje mi pan. Czy nie chciałby pan rzucić okiem przynajmniej na pierwszy rozdział? To będzie wielki sukces, pan pierwszy się o tym dowiaduje. Czy wie pan, że autor spalił żywcem swoją pierwszą żonę?” Było rzeczą dość miłą pojawić się u jednego z kapłanów literatury, stojącego na świeczniku inteligencji, mając w zanadrzu fujarkę; zaraz na niej zagra i Ballandar zatańczy.

— Ależ proszę wejść.

Uprzejmy, z odrobiną wyższości i, rzecz jasna, ostrożności. Czyż niepokoi się ludzi wizytami piętnastego sierpnia? Chodziło

z pewnością o to, żeby wpłynął na zmianę decyzji Fourvereta. Ale Fourveret miał rację, *Rosyjskiej prawdy* nie należało dotykać nawet dwoma palcami, nawet w rękawiczkach.

Aleksander wszedł. Mógł uzyskać satysfakcję natychmiast, mógł poprosić Ballandara, żeby fikał przed nim koziołki na dywanie, i Ballandar by to zrobił. Ale chodziło o coś lepszego niż o koziołki, chodziło o przeprowadzenie pewnej demonstracji aż do absurdu.

Aleksander zapytał zwyczajnie:

— Czym jest dla pana literatura?

Ballandar, w koszuli z nieodzownym jedwabnym fularem, w białych spodniach, których wystudiowana forma zdawała się zwęzać biodra, uniósł jasne brwi:

— Literatura? Ależ proszę wejść. (Żadnego kontaktu fizycznego, ton anglosaski.) Co mogę panu podać? Sok z papai? Może *batidy*? Nie powie mi pan chyba, że chce pan whisky? To trywialne. Ach, byłbym zapomniiał. Oczywiście wódka, z sokiem pomarańczowym. To, co Amerykanie nazywają śrubokrętem. Nie, nie chce pan śrubokręta? Naprawdę whisky? Ale przynajmniej nie Glenfiddish? Wszyscy ją mają. Może Old Mortality? Powiedział pan Literatura... Drogi Aleksandrze Psar, pan mnie wprawia w zakłopotanie. Literatura... to rewolucja w pigułce. Właśnie tak. Literatura jest w swej istocie rewolucyjna; Racine przeciwko Corneille'owi, Hugo przeciwko Racine'owi, klasycy przeciwko modernistom, chciałem powiedzieć modernišci przeciwko klasykom. Zgadza się?

— Hugo nie był przeciwko Racine'owi ani modernišci przeciwko klasykom. Próbowali po prostu być lepsi.

— No... To wszystko jedno. Literatura (nareszcie znalazł odpowiednie sformułowanie) jest aktem kreacji, poprzez który pewna klasa czy generacja afirmuje się przeciwko swym poprzednikom.

— A więc dialektyka?

— Nie wszystko jest złe u Marksa.

- Dialektyka pochodzi od Engelsa.
- Także i u Engelsa nie wszystko jest złe.
- Engels był kapitalistą, który nigdy nie przyznał najmniejszych nawet ulg zatrudnionym u niego robotnikom.
- Pan potrafi z każdej szczapy wykrzesać ogień. Albo zrobić z niej strzałę. Jeśli chodzi o pogrążenie Engelsa, troszczy się pan o dobre samopoczucie mas pracujących! Jakie to do pana podobne!

Siedzieli po obu stronach malachitowego stolniczka w pokoju o nieokreślonym przeznaczeniu. U Ballandara wszystkie pokoje były jednocześnie salonami, palarniami, bibliotekami. Wszędzie były książki, egzemplarze okazowe, których dobry smak nie pozwalał mu sprzedawać i dla których kazał zrobić wspaniałe hebanowe półki.

Aleksander rozejrzał się dookoła. Bez wątpienia znajdował się wewnątrz świątyni, muzeum, w jednym z niewielu schronień współczesnej literatury. Gdyby jakiś historyk zajmował się krytyką francuską w drugiej połowie dwudziestego wieku, nie mógłby pominąć José Ballandara, jakiegokolwiek miałby o nim zdanie. Ballandar żył dostatnio ze swego złotego pióra (i niewinnych spekulacji giełdowych), był przyjmowany wszędzie (lub prawie), inni dziennikarze wymieniali jego nazwisko z szacunkiem lub oburzeniem, co wychodzi na to samo. W rzeczypospolitej literatury pozycja Ballandara była niemalże oficjalna. Gdyby przewidziano w budżecie posadę dworskiego krytyka — jak dworskiego poety u Anglików — byłby nim Ballandar. I wszystko w tej świątyni pozwalało odczuć, do jakiego stopnia jego eksce-lencja zadowolony był z samego siebie: chińskie parawany i obrazy mniej znanych impresjonistów, japońskie kakemono i ukryte urządyzenia klimatyzacyjne, centralnie regulowane, dyskretne światło w gablotach, osiemnastowieczne srebra, kaukas-kie dywany, biurko Jacoba,

— Ma pan — powiedział Aleksander — bardzo piękne mieszkanie.

— Jakąś chatę trzeba mieć. I lepiej, żeby nie była odrażająca.

Spojrzenie Ballandara padło na ścianę, na której urządził małą wystawę sztuki współczesnej. Obrazy nie kosztowały go drogo, ale nie można było zgadnąć, jaka będzie ich wartość za dwadzieścia lat. To go niepokoiło. Być może bajeczna. Jeśli nie, jakie rozczarowanie!

— A więc — powiedział, żeby zmienić temat rozmowy — pan także należy do tych, co w sierpniu zostają w mieście?

— Ja muszę. Mam tę ważną książkę, która wychodzi zaraz po wakacjach.

— Myślałem, że Fourveret...?

— Zmienił zdanie. Chce narobić hałasu wokół tej książki. Nie pożałuje na to grosza.

Ballandar zaniepokoił się. Był zawodowym wyzyskiwaczem okazji. Obstawiał równocześnie różne okazje, dla pewności. Znał Fourvereta. To był chytry lis, który polował w tym samym rejonie co on. Wiedzieli obydwaj, że opublikować czy też oklaskiwać dzieło „niemożliwe” było samobójstwem. Wiedzieli jednak także, że nie zauważyć książki „ważnej” było czymś równie fatalnym.

— Fourveret powiedział panu, że rzuciłem okiem, a raczej połową oka, na maszynopis?

— Tak, powiedział mi o tym.

— Proszę pana, musi pan spróbować mnie zrozumieć. Lubiemy się, pan i ja, ale wywodzimy się z różnych tradycji. Coraz bardziej jestem przekonany, że nikt nie jest odpowiedzialny za swoich przodków, i nie mam panu za złe pańskich, co nie zmienia faktu, że jesteśmy uwarunkowani. Pan przyszedł na świat z pewnymi upodobaniami, których panu nie zazdroszczę. Ja urodziłem się rewolucjonistą, i nic na to nie mogę poradzić. Mój ojciec był bankierem, co prawda w małym banku, był także wolterianinem, antyklerykałem... W Vésinet nazywano go czerwonym bankierem! Więc... Jest się takim, jakim się przyszło na świat. Zgadza się? Mogę w pewnych przypadkach oburzać się na zbrodnie lewicy, niedawno jeszcze przydarzyło mi się to, ale,

daruje pan, kiedy jakiś autor zaczyna wykazywać, że rewolucja rosyjska mogła być udaremniona i że przy Leninie Hitler jest jak chłopczyk w krótkich majtkach, to jednak, widzi pan, to kwestia reakcji organizmu...

— Pańskie serce krwawi?

— Moje...? Ach nie, to specjalność Fourvereta. Wydawcy mają swoje imperatywy, muszą sprzedać. Nie, ja...

— Pan ma czerwoną płachtę na oczach.

Aleksander mógłby otworzyć swoją czarną teczkę, wyjąć z niej kartkę, położyć ją na malachicie i odejść, ale przybrał minę pełną skruchy.

— Jednym słowem, myśli pan rzeczywiście, że należałoby raczej powstrzymać się z wydaniem tej książki?

— Fourveret wie co robi. Prowadząc od trzydziestu lat wydawnictwo Lux potrafił nadać mu odpowiedni ton i prężność... W dodatku moralnie jest bez zarzutu. Jednakowoż dziwi mnie...

— *Rosyjska prawda* wydaje się panu w końcu jaka, wywrotowa?

— Wydaje mi się... Po pierwsze, proszę mi wybaczyć, ale to mi się wydaje... źle napisane. Właśnie tak, źle napisane. Być może jest to sprawa tłumaczenia. Te wszystkie przenośnie, te lejt-motywy... Oczywiście, pelen jestem sympatii dla tego nieszczęśnika w azylu. Jeżeli to rzeczywiście on strzelał do Breżniewa, trzeba przyznać, że nie brak mu odwagi... Ale w końcu być nieszczęśliwym to jedno, mieć odwagę fizyczną to drugie, lecz być pisarzem to jeszcze coś innego. Nikt bardziej niż ja nie bronił dysydentów, ale trzeba przyznać, że zdarzają się pośród nich absolutne zera literackie. Oklaskiwano je z zupełnie innych powodów. Gdyby każdy męczennik chrześcijaństwa opisał w książce swoje kłopoty, stworzyłyby to równie wspaniałe zbiór jak dzieła wszystkich laureatów nagrody Nobla. Zgadza się?

— Radzi więc pan...?

— Jest pan moim przyjacielem, Fourveret także. Uczciwie

przekonany jestem, że publikacja esejów w tym stylu... Wiem, że poniósł pan już koszta, ale gdybym był na pańskim miejscu... Chyba że nos Fourvereta... Aleksander podniósł się.

— Tak — powiedział — ma pan bardzo piękne mieszkanie. Wie pan może, do kogo należało przed panem?

Przeleciał anioł, czy też, jak mówią Rosjanie, bardziej doświadczeni, narodził się milicjant.

— Nie mam pojęcia. Mieszkam tu już od tak dawna...

Aleksander podszedł do okna i wpatrywał się w surrealistyczną perspektywę ulicy Tournon. Czuł, że nie cierpi Ballandara. Dlaczego? Bo był rewolucjonistą? To mogło być zrozumiałe, chociaż paradoksalne, ale Ballandar nie był rewolucjonistą. Bo był *bourgeois*. To byłoby podwójnie zrozumiałe, ale Ballandar nie był też prawdziwym *bourgeois*. Nie każdy może być *bourgeois*, nawet jeśli daje do zrozumienia, że chce nim być. Choć introspekcja nigdy go nie pociągała, poczuł nagle potrzebę wytłumaczenia przed sobą tego przyływu dławiącej nienawiści. „Nienawidzę Ballandara, ponieważ jest niczym”. I to była prawda. Człowiek, który cieszył się opinią twórcy opinii, w rzeczywistości nie posiadał żadnej. Wśród gibelinów był gibelinem, wśród gwelfów gwelfem. Był kolaborantem w czasie okupacji i partyzantem w chwili wyzwolenia. Następnie ustawił się w opozycji, ale to dlatego, że we Francji intelektualści nie mają wyboru. Nawet mając przyjaciół u władzy, zmuszeni są do buntu przeciwko rządowi, aby nie zostać uznanymi za sprzedawczyków. Na dodatek nikt nie chciał kupić Ballandara. „Nikt — napisał on kiedyś — nie może wątpić w moją odwagę. Zawsze stawiałem do walki z wielkim zwierzęciem”. I rzeczywiście, nikt w to nie wątpił. Ale w rzeczywistości nigdy nie stanął do walki z wielkim zwierzęciem, zaledwie trochę się z nim drażnił przez pręty klatki. W innym kraju lub w innej epoce Ballandar byłby wyznawcą panującego systemu, jakikolwiek by on był. „To nie człowiek — pomyślał Aleksander — to próżnia w ciągłości. A ja

jestem jak natura, nie znoszę próżni”. To prawda, nie odczuwał wrogości wobec tego, co było skonstruowane, miało swój ciężar, nawet jeśli chodziło o konstrukcje i ciężary wrogie mu. Ale Ballardar i jemu podobni pozbawieni byli kręgosłupa, nie mieli żadnej wiary, żadnego celu, zależało im tylko na dobrym samopoczuciu i komforcie, chociaż gotowi byli nawet i przeciwko temu konspirować, ponieważ tak nakazywała aktualna moda. „Jestem w stanie zrozumieć egoizm szlachetnie urodzonych łupieżców, przemysłowców-wyzyskiwaczy, kolonizatorów wyciskających pot z niewolników, rozumiem rewoltę uciskanych, pojmuję, że marzą tylko o jednej rzeczy: by znaleźć się na miejscu ich oprawców, przyjmując terror i kontrterror, ewentualnie. Jestem nawet w stanie podziwiać wybór triumfalnej klęski męczeństwa. Ale co innego ostrożny oportunizm przeciętniaków...”

Aleksander wrócił do malachitowego stołu, położył na nim swą aktówkę, z trzaskiem otworzył jej zamki.

— *À propos* stylu, chciałbym, żeby przyjrzał się pan tej oto próbce sztuki epistolarnej. Powie mi pan, co pan o tym myśli.

Była to fotokopia ręcznie pisanego listu.

Paryż, 2 stycznia 1942

Szanowny Panie,

Pragnąc przyczynić się do oczyszczenia narodu francuskiego, zawiadamiam Pana, że Aronson Leon, który rozpuścił pogłoski, jakoby wyjechał do Ameryki, w rzeczywistości ukrywa się w jednym z pomieszczeń swego ogromnego mieszkania przy ulicy de Tournon 218. Wejście do tego pomieszczenia zamaskowane jest przez wielką szafę. Wiem o tym, ponieważ mój zmarły niedawno ojciec był dozorcą tej kamienicy. Pozostając do Pańskiej dyspozycji w razie, gdyby potrzebne były dodatkowe wyjaśnienia, kreślą się z poważaniem —

Józef Ballardar, ulica Jaurès 4, Paryż 20

Ballandar wyjąkał:

— To falsyfikat.

Aleksander przysiadł tuż obok niego, na kanapce w stylu Dyrektoriatu.

— Uważam — powiedział — że styl jest nieco trywialny. Lecz ortografia już nienaganna. Ponadto wykazał się pan dobrym smakiem, czekając, aż umrze pański ojciec. To było eleganckie.

5

STRACH NA CZARNĄ GODZINĘ (Montaż *Psków*, faza numer dwa)

Powietrze szczypało chłodem. Pomędzy złotawymi kałużami rosły brzozy, klony płonęły czerwienią liści jak pochodnie. Jakub Mojsiejewicz lubił myśleć, że klony są heroldami, zapowiadającymi przybycie Bożego Narodzenia. Gdy dorósł, czerwień klonów wiązał z pojęciem dyktatury proletariatu, która była koniecznym etapem przejściowym pomiędzy chaosem przeszłości i błogim przepychem jutra. Z radością witał zawsze zimę, z przyjemnością patrzył, jak pod kojącymi krzywiznami i kopułami śniegu znikają ostre kąty różnorodnej, dziwacznej rzeczywistości.

— W tym roku śnieg pewnie spadnie wcześniej, co, Potapicz?

Kierowca, przyjemnie zaskoczony tym zaproszeniem do rozmowy, wychodzącym od zwierzchnika mającego opinię kogoś raczej wyniosłego, postanowił, że sprawi mu przyjemność.

— Tak, towarzyszu generale, w tym roku śnieg będzie wcześniej.

W gruncie rzeczy nic o tym nie wiedział, był dzieckiem miasta. Dla Pitmana jednak lud to był lud; jak każdy dobry Rosjanin wierzył, że lud zna prawdę. „Tym lepiej — pomyślał — w przyszłym miesiącu będę mógł zabrać Światosława do *trojki*”. Przejazdźki *trojką* po sypkim śniegu, wśród brzęczenia dzwonczków, z dwójką czy trójką jego własnych, przytulonych do niego dzieci, dawały Pitmanowi doznanie szczęścia. „Rosja-trojka

— wykrzykiwał za Gogolem — nic, nic nie zatrzyma twego biegu!” Światosław, najmłodszy, późno urodzony, nie brał jeszcze udziału w tych wyprawach, i dlatego, od czasu wiosennej odwilży, postękiwał:

— Tatusiu, czy jutro spadnie śnieg?

Tak, pomyślał Pitman, przyglądając się mijanym karmazynowym klonom, będziemy mieli piękną zimę.

Jego radosne oczekiwanie zmącone było jednak nutą smutku: Mohamed Mohamedowicz nie przeżyje tej pięknej zimy.

Wołkowo. Salon daczy powiększył się, Abdulrachmanow zlikwidował dwa przepierzenia, by móc swobodniej oddychać. W pokoju tym panował styl dawnego ustroju, carskiej Rosji, i to bynajmniej nie w sensie pompatycznego przeładowania meblami, nie, przeciwnie, wyrażał się on w nieco fantazyjnym nieporządku — dobrej próby — w jakości wszystkich sprzętów i braku pretensjonalności. Umeblowanie, niejednolite stylistycznie, lecz z dobrego drewna i z dobrych warsztatów, pochodziło z ubiegłego stulecia. Niektóre sprzęty przykryte były pokrowcami. Na stole partia szachów, niedokończona, czekała na następny ruch. Oszklone szafy biblioteczne zawierały z pięćset tomów, wiele w językach, których gospodarz domu nie znał wcale. Jego książki znajdowały się gdzie indziej, w gabinecie, tu wystawione były trofea i łupy, żniwo długiego życia, którego treścią była praca nad wywieraniem wpływu i praktyka dezinformacji.

— Witam waszą ekscelencję, witam. Co słyhać?

Ubrany w szlafrok uszyty z wzorzystej tkaniny i z głową okrytą rodzajem ośmiokątnej piuski z materiału czarnego o złotych motywach, Abdulrachmanow bardziej niż kiedykolwiek indziej podobny był do kamiennego menhira. Zmniejszenie postury, ten „wzrost ku ziemi”, właściwy tyłu starcom, nie ośmielił się zaatakować Abdulrachmanowa, który wciąż trzymał się prosto. Był jednak coraz chudszy. Jego policzki zapadły się, a jabłko Adama sterczało pośrodku obnażonej szyi jak w szyi kondora.

Często kaszłał, chociaż nie był zakatarzony. Dotykał wciąż dłonią okolicy nerek, choć jego plecy nie były dotknięte żadną chorobą. Czulo się, że ta ogromna maszyna przepracowała już swoje. Lecz umysł starego człowieka nie zdradzał śladów osłabienia, jeśli nie liczyć tego, że Abdulrachmanow lubił opowiadać, z najdrobniejszymi szczegółami, rzeczy, które były doskonale znane i o których on też wiedział, że są znane. Przyjemność snucia opowieści była pokusą, której nie umiał się oprzeć.

- Przynoszę panu podarek, Mohamedzie Mohamedowiczu.
- Otwórz sam.

Nie chciał może pokazać, że jego palce już prawie nie potrafią się zginać.

Pitman otworzył pakunek. Biała obwoluta książki przedstawiała rosyjską lalkę, czerwoną i żółtą babę. W tytule „r” w słowach *Rosyjska* i *prawda* były odwrócone. W miejscu nazwiska autora widniał „Anonimowy więzień”. Pitman zdjął obwolutę. Oprawiona w karton książka, ciężka i zwarta, przypominała piękny, czerwony kamienny blok.

— Zrobili dwa warianty: oprawny i broszurowany. Szykowne, co?

Abdulrachmanow patrzył na książkę swymi zmęczonymi oczami.

- Kenti, samowar. I likiery.

Zaczął sączyć likiery. Przysyłano mu je ze wszystkich stron świata. Najbardziej przepadał za francuskim *Za Vieille Cure*, który był już prawie nie do odnalezienia. Żartował: „Dla małych staruszków małe rozkosze”.

- Opowiadaj.

Na początek Pitman przyznał się do kosztów operacji. Zakład dla niewidomych dzieci został wykorzystany, więc być może spalony. Donos na Aronsona, znaleziony pośród dziesięciu tysięcy innych w archiwach komendantury Paryża, przeniesionych do Paryża, został wreszcie użyty.

— Ależ to nie są żadne poświęcenia, mój fajansowy Jakubie Mojsiejewiczu. Po prostu z amunicji trzeba robić użytek. Ci panowie z wywiadu skłonni są traktować informacje jako sztukę dla sztuki. Dla nas te małe brudne tajemnice są środkiem do wykorzystania, niczym więcej. Mów dalej.

Książka była już w księgarniach. Ballandar okrzyknął ją natychmiast arcydziełem. Orkiestra Oprycznika, odpowiednio nastrojona, sprawowała się jako tako. Pismo «Zastrzeżenie» wystąpiło z długim tekstem, wrogim lecz solidnym. „Książka ta jest nienawistna — pisał Johannès-Graf— a jednak, ktoś kto urodził się w rodzinie żydowskiej i stał się potem protestantem, co stało się moim losem, nie będzie z tych właśnie powodów brać udziału w żadnej nagonce i będzie się buntował przeciwko każdej próbie zgaszenia płomienia myśli, choćby nawet płomień ten wydawał zapach siarki”.

Monthignies wypowiedział się szczerze, lecz podkreślał rangę dzieła: „Wystarczy najlżejsze podejrzenie, że ktoś szykuje ponowne zniewolenie mas pracujących przez tak zwaną elitę, by moje nerwy gwałtownie zareagowały; za dużo jest we mnie bolesnych wspomnień i wciąż nie odpokutowanych odpowiedzialności. A jednak trzeba złej wiary, by uważać, że tego właśnie domaga się «Anonimowy więzień». Rosja jego marzeń nie rozdziela zarządzania od własności. Autor nie okazuje wrogości spółdzielniom robotniczym, obejmującym we władanie fabryki. Mamy tu do czynienia z korporacjonizmem być może nieco folklorystycznym, ale ożywionym duchem humanistycznym, bez ciągotek totalitarnych”.

Jeanne Bouillon potrzebowała więcej niż pół kolumny druku, by „zdemistyfikować odmianę teosyndykalizmu, głoszoną przez «Żelazną Maskę». Trzeba zadać sobie pytanie, czy obrzydliwe praktyki medyczne, jakim musiał być poddany w psychuszcze, nie uszkodziły jego mózgu. Gdyby tak było, reżim sowiecki powinien by wreszcie ukrócić ekscesy patologicznych tortur, rozwijane tuż pod jego nosem. Być może zresztą teorie wysnuwane

w celi numer 000, choć szalone, nie są zupełnie absurdalne w kraju z tradycją ziemstwa i miru”.

Pani Choustrewitz udało się nie tknąć problemów natury politycznej. Interesowało ją tylko pytanie, czy autor książki to ten sam Kurnosow, który strzelał do Breżniewa.

— Bardzo dobrze — powiedział Abdurachmanow. — Wszystko to wydaje mi się znakomite. Jak zareagowali zaproszeni przez Psara dysydenci?

Niezręcznym ruchem przewrócił książkę. Na czwartej okładce sławne nazwiska firmowały entuzjastyczne cytaty. Pitman roześmiał się:

— Wsadziliśmy kij w mrowisko, Mohamedzie Mohamedowiczu!

Gdy książka została opublikowana, dysydenci, nie chcąc przekreślić swych wcześniejszych wypowiedzi i zarazem lękając się, by nie przypisano im poglądów „Anonimowego więźnia”, zaczęli wydawać niezliczone ilości deklaracji, komunikatów i wyjaśnień. Niektórzy spośród nich byli tak płodni, że dzienniki nie były w stanie zamieszczać ich oświadczeń *in extenso*, co siłą rzeczy prowadziło do nowych konfliktów i nowych wyznań wiary. Brodaty mędrzec przyklasnął częściowo tezom „Anonimowego więźnia”. Marksiści skorzystali z okazji, by rzucić się na brodatego mędrca. Zawodowi impertynenci mogli sobie ulżyć do woli, każdy oskarżał wszystkich pozostałych o przynależność do „organów”. Pitman zabawnie opisywał cały ten bałagan, Abdurachmanow był rozradowany.

— Krótko mówiąc, nasz montaż dobrze się zapowiada. Co piszą inne gazety?

Francuska prasa, z wyjątkiem orkiestry Oprycznika, przyjęła wobec „Anonimowego więźnia” zdecydowanie wrogą postawę. Nawet przy założeniu, że chodzi tu o bohatera i męczennika, pisano, trzeba się strzec, by nie uznać go za mędrca i przewodnika duchowego.

— Piszą o tym na ilu kolumnach?
— Na bardzo wielu, Mohamedzie Mohamedowiczu.
— Doskonale. Niezależne umysły, które już przechylały się ku prawicy, zahamują ten ruch. A my dopiero zaczęliśmy naszą operację, mój posrebrzany Jakubie Mojsiejewiczu.

Wojewoda, jeden z siedmiu *agents d'influence* pracujących we Francji, odpowiedzialny bezpośrednio za prasę, czynił cuda. Pudła rezonansowe, przez niego sterowane, dyktowały ton innym gazetom.

— Jesteś pewien, że nikt jeszcze nie wypowiedział „obszernego słowa”?

— Niech pan będzie spokojny, Mohamedzie Mohamedowiczu, czekamy z tym do drugiej fazy, zgodnie z pańskimi instrukcjami.

— „Korporacja” została skompromitowana, jak zawsze?

— Tak, jak zawsze. «Fraternité» utrzymuje, że „Anonimowy więzień” wcale nie istnieje i że idzie tu o apokryf sfabrykowany przez Pinocheta.

Abdulrachmanow śmiał się jak człowiek nieco roztargniony. Nie palił już, ale niekiedy wkładał do ust cygarniczkę i wdychał odory wszystkich papierosów, które się w niej wypaliły. Tym razem powstał wyraźny odgłos ssania, czego starzec zdawał się nie zauważać. Patrzył przed siebie:

— Nnno tak, wygląda na to, mój diamentowy Jakubie Mojsiejewiczu, że możemy bez przeszkód rozpocząć drugą fazę.

— Co mnie niepokoi, Mohamedzie Mohamedowiczu, to faza numer trzy.

Chodziło o co innego. Faza numer trzy, to jest demontaż montażu, wywoływała u Pitmana skrupuły natury moralnej. Gdyby to zależało od niego, sprowadziłby Psara zaraz po zakończeniu operacji, awansowałby go i dałby mu sposobność spłodzenia następnych dzieci (mały Dymitr miał zginąć w wymagowanym wypadku). Istota sprawy sprowadzała się jednak do czego innego. Pitman od dawna nosił się z pewnym pomysłem i teraz przekonany był, że nadarzyła się sposobność wprowadzenia

go w życie. Nie widział powodów, dla których miałby z tego zrezygnować.

— Faza numer trzy — powiedział Abdurachmanow — będzie dziecinnie prosta. Kurnosow zostanie tam gdzie jest. Mówiąc ogólnie, sytuacja, w jakiej się on znajduje, nie bardzo pozwala mu na zrobienie czegokolwiek przeciwko nam. Zellman uwolni nas od Gawierina i zniknie bez śladu. Pozostanie tylko Psar.

— No właśnie. To on...

— Faza numer jeden nadwątlą jego pozycję, faza druga zniesławia go, faza trzecia pograży go całkowicie. Nie podniesie się już z tego. Nic nie będzie mógł zrobić. Jego sowieckie obywatelstwo nigdy nie było oficjalnie obwieszczone, można je skreślić jednym ruchem pióra. Jego stopień? Zdegraduje się go za machinacje antysowieckie, choćby za publikację tej *pseudo-Rosyjskiej prawdy*. Jeżeli zwróci się do Francuzów, na kogo wyjdzie? Wyjdzie na reakcjonistę manipulowanego przez komunistów, albo na komunistę, sterowanego przez reakcjonistów. Poza tym on wciąż wyobraża sobie, że w naszych rękach znajdują się jego żona i syn, a więc raczej nie przejdzie na stronę wroga. Nawet jeżeli to zrobi, czyż potrafi przekazać francuskiemu kontrwywiadowi informacje, których ten jeszcze nie posiada? Nie, mój Jakubie Mojsiejewiczu w kolorze brzoź karelskich, nie ma się czym niepokoić. Trzecia faza to po prostu pozbycie się Psara, zrzuci się go tak, jak się zrzuca pantofel z nogi. Zmieni się po prostu numery telefonów i to wszystko. Pamięta pan Henryka V? «Nie znam was wcale, mój drogi człowieku». Trzeba będzie usunąć oficera pilotującego z terytorium Francji, to jedyny środek ostrożności, jaki się poweźmie.

— Czy agencję pozostawiamy Psarowi?

— Oczywiście. Zostanie kompletnie zdyskredytowana.

Pitman nie mógł zrozumieć, skąd bierze się wrogość Abdurachmanowa do jego własnego „protegowanego”. Już ze

dwadzieścia razy chciał zapytać o jej powód, ale nie śmiał tego zrobić. Być może teraz postawiłby to pytanie, gdyby nie musiał jeszcze zabiegać o akceptację innego projektu. Nagły przypływ nieśmiałości sprawił, że jego serce, serce generała, zaczęło bić szybciej.

— Mohamedzie Mohamedowiczu, czy mógłbym zaproponować coś jeszcze innego?

Stary człowiek zrobił kwaśną minę. Jego zwiotczałe policzki świetnie się do tego nadawały.

— Cóż takiego chce pan zaproponować?

W sposób czuły i unizony jednocześnie Pitman wybełkotał:

— Pan pamięta, chodzi o plan *Twardy znak*, który pan był tak dobry w zasadzie przyjąć i który został zaakceptowany przez Areopag, pod warunkiem, że wszystkie potrzebne elementy będą pod ręką...

Plan ten był ukochanym dzieckiem Pitmana, który uważał go za swoje przyszłe arcydzieło. Jeżeli plan się powiedzie, Pitman zajmie wyższą pozycję wewnątrz areopagu czapek-niewidek. Dyrekcja «A», a także pierwsza, druga i piąta dyrekcja główna wyraziły swą zgodę. Najwyższy przełożony Komitetu Bezpieczeństwa Państwa podpisał projekt. Sekretarz generalny partii i premier w jednej osobie rzucił nań senne, lecz nie wrogie spojrzenie aligatora. Plan nabierze mocy operacyjnej, gdy tylko pojawią się korzystne warunki. Pitman był przekonany, że oto właśnie nadarza się sytuacja wręcz wymarzona. Tandem Psar-Kurnosow, jeżeli tylko zaryzykuje się utworzenie takiego tandemu, mógłby przeprowadzić operację, w zestawieniu z którą nawet *Montaż Psków* wydałby się tylko grą salonową.

— Wiem oczywiście, że *Vademecum* sprzeciwia się łańcuchowemu łączeniu montaży. Ale sam mnie pan uczył, Mohamedzie Mohamedowiczu, że niekiedy nie trzeba się trzymać *Vademecum*. Zresztą przez to, że wprowadziliśmy „Żelazną Maskę” do operacji, w której centralną rolę odgrywa do tej pory całkiem

czysty Oprycznik, już naruszyliśmy reguły... Natomiast w operacji tak kolosalnej jak *Twardy znak*...

Pitman przemawiał długo i niedobrze, onieśmiewały go rozmiękczone oczy Abdurachmanowa, wyrażające pełną wyższości dezaprobatę. Pitman zaś należał do tych delikatnych kwiatów, które kwitną tylko w promieniach słońca i po obfitym skropieniu wodą. Wreszcie Abdurachmanow przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki:

— Zawsze ta pańska oszczędność, liczenie pionków, mój tekturowy Jakubie Mojsiejewiczu. Zawsze ta pańska krótkowzroczność. Psar i Kurnosow nie będą nigdy dobrym tandemem. Dwa sklezione ze sobą mydełka do golenia mogą się przydać podczas kąpieli, ale później trzeba je wyrzucić. To nie jest materiał na operację *Twardy znak*. Niech pan sobie owinie dookoła wąsa: Psar jest tym, co Sun Tsu nazywa agentem martwym. Trzeba, żeby pan czytał Sun Tsu (Pitman znał go już prawie na pamięć). Sun Tsu wyróżnia pięć kategorii tajnych agentów. Czwartą kategorią, związaną z kontrwywiadem i technikami dezinformacji, określa mianem martwych agentów. Tak, srebrny Jakubie Mojsiejewiczu, martwych.

Nie pamiętam już, czy opowiadałem ci historię (opowiadał ją cztery razy do roku i dobrze o tym wiedział) szefa sztabu Tsao. Był to prawdziwy chiński generał, z wiszącym wąsem i warkoczykiem na plecach. Prowadził wojnę z Tangutami, którzy mieli genialnego ministra. Nnnno więc, oto co zrobił Tsao. Wziął pewnego skazanego na śmierć, ułaskawił go i ubrał w mnisi habit. Tak, ekscelencjo, mnisi habit. Dlaczego? By zwrócić na niego uwagę, ponieważ człowiek ten nie mówił tak, jak mówią mnisi. Przed wysłaniem go w misję kazał mu połknąć kulkę z wosku. „Kiedy ta kulka wyjdzie z ciebie, przekażesz ją ministrowi króla Tangutów”. Fałszywy mnich przybywa do Tangutów i natychmiast zostaje schwytyany i poddany przesłuchaniom. Przyznaje się, że ma przy sobie, lub raczej w sobie, przesłanie dla ministra.

Woskowa kuleczka zostaje odnaleziona i otwarta. W jej wnętrzu znajduje się list adresowany do ministra Tangutów, list, w którym wspomina się o tajnej umowie zawartej między nim i Tsao. W rzeczywistości nie było żadnej takiej umowy, lecz król Tangutów nie ma nic pilniejszego do zrobienia niż ściąć głowę jednocześnie swemu ministrowi i fałszywemu mnichowi. Oto w jaki sposób, mój złociutki Jakubie Mojsiejewiczu, nasz przyjaciel Tsao, Chińczyk z wiszącym wąsem i warkoczykiem na plecach, zajął królestwo Tangutów.

Powtarzam więc panu, czas Psara dobiega końca. Zresztą nigdy nie był niczym innym niż martwym agentem, przedwcześnie martwym. Jak tylko uzna pan, że dobiegła końca druga faza, zamyka pan *dossier* i nie myśli o tym więcej. Rzecz jasna, trzeba będzie pomyśleć o kimś na miejsce Psara. Na razie jednak podpali pan krótki lont i weźmie nogi za pas. Nic więcej nie musi pan robić.

Pitman nie został przekonany, lecz nie chciał sprzeciwiać się swemu mistrzowi. Podniósł się i ujął szorstkie i ciężkie dłonie Abdulrachmanowa w swoje miękkie i pulchne ręce:

— Z całą pewnością ma pan rację, jak zwykle. Jak pan sądzi, co powinniśmy zrobić z Kurnosowem?

Abdulrachmanow wciągnął powietrze przez swą pustą cygarniczkę, która zaświstała jak gwizdek.

— Gdybyśmy byli w dawnych, dobrych czasach, odpowiedziałbym ci, może trochę zbyt szybko: trzeba położyć na nim krzyżyk. Natomiast biorąc pod uwagę naszą dekadencję, uważam, że będziecie musieli odżywiać go luksusowo aż do końca jego dni. I zaklinam cię: nie oszczędzajcie na kulebiakach, to byłoby okrutne. Jeśli zaś idzie o operację *Twardy znak*, potrzebni są do niej agenci całkowicie czysti.

Abdulrachmanow wstał, tłumiąc jęk.

— A twój podarek postawimy o, tutaj.

Na skórzanym pulpicie spoczywała książka w języku hiszpańskim.

Abdulrachmanow zdjął ją i położył na jej miejsce *Rosyjską prawdę*.

— To książka z Meksyku, bardzo dobra, ale już się jej napa-trzyłem. Nowe, wychodzące z pieca jak świeże bułeczki, wysta-wiam zawsze na widok, a gdy przychodzi nowy tom, chowam poprzedni. Ale niedługo będę musiał coś z tym zrobić, nie mieszczą mi się już te książki. Zwrócę się do dyrekcji biblioteki. Twoja książka jest piękna, i ma swój ciężar. Widać, że to nie byle co. *Rosyjska prawda!* Jeśli idzie o mnie, podobają mi się frag-menty Kurnosowa poświęcone dzwonom. Są mądre i proste zarazem, a o to trudno. Nie przez przypadek pismo tego fireyka Hercena nazywało się «Dzwon». Wyobraź sobie, że dawniej wszystkie dzwony miały imiona. Najczęściej Polielej. Nie wiem, co znaczy to słowo, może pochodzi od *elej*, to znaczy od świętych olejów. Można sobie wyobrazić dzwon, który nazywałyby się Mir-ra... Ale był też Łabędź i Baran, i nawet Kozioł. W siedemnastym wieku, w Rostowie, znajdowały się dwa dzwony, Łabędź i Polielej. Ich dźwięki tworzyły małą tercję i to podobało się metropolicie Jonaszowi, jako że spotkała go niełaska cara Aleksego. Me-lodia dzwonów kołysała jego melancholię. Gdy jednak nastał Piotr Pierwszy, dzielny metropolita wrócił do łask. Co robić? Zamówił dodatkowy dzwon, dostrojony do niższej kwinty Polieleja. Dzięki temu uzyskał teraz akord w tonacji majorowej, cho-ciaż nie usunął żadnego z dwóch dzwonów! Przecież to lekcja dla nas, mój spizowy, mój Jakubie Mojsiejewiczu z brązu. Wyobraź sobie mieszkańców Rostowa, skazanych przez lata całe na wy-słuchiwanie smutnych tonów, i nagle, pewnego dnia, obu-dzonych dźwiękami radosnego koncertu! Wyobraź sobie, jaki to musiało wyrzucić efekt na rodziny, pary zakochanych, na rze-mieślników! Dowcipnisie wynajdują nowe żarty, kochankowie nowe pieszczoty... Ach! Chciałbym żyć w Rostowie, w roku 1688, pod rządami dobrego metropolity Jonasza i Piotra, który nieba-wem miał się stać carem Wszechrosji. Gdyby oni wszyscy byli

tego samego pokroju co Piotr, wcale nie musielibyśmy robić Re...

Atak kaszlu nie pozwolił mu dokończyć tej tyrady. Kaszel był tak gwałtowny, że ogromny nos starca zwilżony został łzami, a ramiona zaczęły poruszać się jak wiosła, wskazując przy tym w kierunku drzwi. Pitman wreszcie zrozumiał ten znak i wyszedł, unosząc niezbyt miłe poczucie, że został wyproszony.

„W gruncie rzeczy — myślał — on po prostu nie chciał, żeby go ktoś oglądał w takim stanie. To straszne, być kiedyś takim tytanem, i stać się później tak słabym. Jak to dobrze, że ja sam nie jestem postacią tej samej skali. To zapewne wcale nie jest przyjemne”.

Pogrążony w marzeniach wrócił do Moskwy.

Dopóki jego mistrz pozostawał przy życiu, był mu posłuszny. Doprowadzi operację Psków do końca, nie biorąc pod uwagę własnych zastrzeżeń. Szkoda. Nie tylko jego kariera była przy tym narażona na szwank, ale i jego pragnienia służenia, z latami przybierające na sile i coraz mocniej zabarwiające jego ambicję. Przydarzyło mu się to, co zdarza się często ludziom na najwyższych stanowiskach: są już tak blisko swego bóstwa, że nieomal stapiają się z nim w jedno, i nie brakuje im uzasadnień: książę służący swemu królestwu służy też samemu sobie. W początkach swej kariery Jakub myślał: „To moja ojczyzna, moja partia”. Czuł, że do nich należy. Obecnie zmienił się wektor przynależności, to one były prawie jego własnością. Na szczeblu, na którym się znajdował, zrezygnować z operacji, korzystnej i nawet zasadniczej dla przyszłości Partii, było nie tylko oznaką kapitulacji, ale i aktem sabotażu. Cóż, Abdurachmanow (Pitman, gdy o nim myślał, nazywał go najczęściej swoim dobroczyńcą) zasługiwał na wierność bez skazy. Jeżeli umrze, to co innego. Śmierć rozwiązuje nawet śluby małżeńskie. W przyszłym wyzwoleniu kryła się więc słaba kompensacja straty, nie dającej się niczym zastąpić straty mistrza. Na razie jednak nie trzeba było jeszcze o tym myśleć.

*

Komputer, zapytany kilkakrotnie o zdanie, podawał zawsze w odpowiedzi nazwisko Gawierina, i nie było mowy o nieposłuszeństwie wobec komputera. A jednak Pitman lękał się spotkania z tym skrajnie nieszczęśliwym człowiekiem. A Pitman nienawidził nieszczęścia.

Arsenij Jegorycz Gawierin urodził się tuż po zakończeniu wojny domowej, jako syn-pogrobowiec oficera, który skończył życie w więzieniach nowego reżimu. Gdy Arsenij miał dziesięć lat, jego matka umarła z głodu. Wcielony do Armii Czerwonej skorzystał z pierwszej sposobności i przeszedł na stronę Niemców, by zabijać bolszewików. Wyróżnił się szybko, w wieku lat dwudziestu dowodził kompanią. Gdy nadeszła klęska, Gawierin razem ze swymi żołnierzami oddał się w ręce Anglików, jako że pewien pułkownik, jękający się z akcentem oksfordzkim, przyrzekł im azyl polityczny. Wąsaci kozacy wahali się, lecz Gawierin powiedział im: „To przyrzeczenie królewskie, a królowie zawsze dotrzymują słowa”. Wkrótce potem został rozbrojony i razem ze swymi ludźmi przekazany wujaszкови Stalinowi. Oczekiwał rozstrzelania i przyznawał, że w ten sposób sprawiedliwości stałoby się zadość. Został jednak skazany tylko na dwadzieścia pięć lat ciężkich robót, a ponieważ nie opuściła go odwaga, podjął próbę ucieczki, za co dostał jeszcze piętnaście lat kary. I naraz dzielny zuch załamał się. Leczony z histerii, zaczął się włóczyć po komendantach obozu, oferując im usługi szpicla, byle tylko choć trochę poprawić swoje położenie. Okazana przezeń dobra wola przyczyniła się do pewnego zelżenia jego doli, nie wpłynęła jednak na redukcję kary. Także jego zdrowie ucierpiało w obozie. Liczył sobie pięćdziesiąt dziewięć lat i cztery miał jeszcze odsiedzieć. Lekarze, którzy go badali — on sam nie wiedział, czemu to miało służyć — orzekli, że najpewniej nie dożyje zakończenia zasłużonej kary.

W momencie, gdy rozpoczęto operację Psków, Gawierina z syberyjskiego obozu przeniesiono do więzienia Lefortowo.

Sądził, że i tym razem przysłuży się jako donosiciel, lecz nie zażądano tego. Od wielu lat oczekiwał cudu, który by go uwolnił. Czekał na nową wojnę światową, rewolucję w Rosji, lądowanie Marsjan, obojętnie co. Teraz jego nadzieje wyczerpały się całkowicie, wiedział, że spełniają się tylko złe przeczucia. Gdy wywołano go z celi, pomyślał, że chcą mu wmówić nową próbę ucieczki. Przywarł do swej pryczy:

— Mnie tu dobrze. Nie wyjdę stąd.

Trzeba było zaciągnąć go siłą do furgonetki z zasłoniętymi oknami. Dziecko odrywane od matki nie okazuje większego przerażenia niż Gawierin, opuszczający ponure więzienie, w którym pomiędzy piętami rozpięte były siatki. Lustra i złocenia pałacu Roztopczynów nie dodały mu pewności siebie. Pomyślał, że i tak wyobraźnia KGB w dziedzinie grozy górowała nad jego wyobraźnią.

— Zdaje się, że pan mówi po francusku — zwrócił się do niego w tym właśnie języku Pitman, z pewnością po to, żeby między tym człowiekiem, któremu odebrano jego człowieczeństwo, i nim samym, tak bardzo ludzkim, ustawić barierę, chroniącą ich wstydlivość.

— Oczywiście, mówię po francusku.

Matka nauczyła go tego języka w dzieciństwie, „przyda ci się, jak znów będzie tak jak przedtem”. W obozie anonimowi ofiarodawcy dostarczyli mu książek. Uczył francuskiego wielu więźniów, a także rodzinę jednego z komendantów obozu. Wymawiał po staroświecku twarde „r”, podczas gdy Pitman grasejował, ale jego wymowa była prawie idealna.

— Prosiłem, żeby pan mnie odwiedził, panie Gawierin — podjął wolno Pitman; to on miał pewne problemy z mówieniem po francusku — ponieważ być może mogliśmy sobie nawzajem wyświadczyć przysługę. Popęłnił pan poważne wykroczenia, okazał pan skrucę i już je pan prawie odpokutował. Pozostają panu już tylko cztery lata kary. Jeśli pan zgodzi się pomóc nam

w kłopotliwej sytuacji, to myślę, że moglibyśmy uregulować tę sprawę z Ministerstwem Sprawiedliwości. Uprzedzam pana, to będzie wymagało całej pańskiej inteligencji i oddania dla sowieckiej ojczyzny.

Zamiast cudu, w który nie wierzył, Gawierin zwietrzył tu raczej podstęp.

— Jestem na służbie ojczyzny i na nic się nie skarżę. Jeśli ma pan na myśli ostatnią głódówkę, to ja byłem przeciwny. Każdy to panu powie.

— Proszę pana, czyż ja panu cokolwiek zarzucałem? Po prostu tak się składa, że z jednej strony pana znajomość francuskiego, z drugiej pewne zainteresowanie reakcyjnymi ideami politycznymi, które można było u pana zaobserwować...

— Towarzyszu, to było czterdzieści lat temu. Ja się poprawiłem. Jestem teraz marksistą-leninistą z przekonania.

Było to niezwykle: dwaj Rosjanie rozmawiający książkowym, napuszonym francuskim pod kandelabrami pałacu Roztopczynów.

Głos Pitmana stał się jeszcze słodszy:

— Wiem, wiem, oczywiście. A jednak musi się pan z tym zgodzić, że w czasie tych wszystkich lat, które spędził pan w armii hitlerowskiej, miał pan wiele okazji, żeby czytać, wejść w kontakt...

— Już za to zapłaciłem! — wykrzyknął więzień, prostując się. Zazwyczaj zgarbiony, miał teraz sylwetkę Don Kichota. — Już zapłaciłem! Trzydzieści sześć lat życia! Litości!

Pitman przeszedł nagle na rosyjski. Zdenerwowanie więźnia udzieliło mu się.

— Ależ proszę się uspokoić! Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić, Arsenij Jegorycz. Zapomnijmy o przeszłości. Proszę pana tylko o to, żeby pomógł mi pan skrócić czas cierpienia, jaki panu jeszcze pozostał. Jeśli zgodzi się pan na moją propozycję, już pan nawet nie wróci do Lefortowa.

— Nie byłem tam nieszczęśliwy — zachlipał Gawierin. — Proszę mi nie wymawiać tego, czego nie powiedziałem. W obozie także nie byłem nieszczęśliwy. Proszę mnie odesłać do obozu. Cztery lata szybko przelecą. Tak, wiem, podpisałem podanie o ulaskawienie. Byłem głupi. Trzeba umieć wybaczać głupotę.

To słowo tak rosyjskie, tak mało sowieckie: wybaczać.

— Ależ już dawno panu przebaczyliśmy, Arsenij Jegorycz. To tylko ta piekielna sprawiedliwość. Jeśli nie będziemy mogli powiedzieć, że pracował pan dla nas, to wie pan, co pana czeka po odbyciu kary — osiedlenie w jakimś tam Kirgistanie. Żadnej opieki lekarskiej, a pan przecież jest człowiekiem chorym! Jak pan będzie zarabiać na życie...?

Patrzył na Gawierina oczyma pełnymi zrozumienia, czekając aż uświadomi on sobie grozę tej perspektywy.

— Oczywiście, jeśli woli pan ryzyko tego typu wygnania, jest pan wolny... Chciałem powiedzieć, ma pan wolny wybór. Jeśli o mnie chodzi, to to, co brałem pod uwagę dla pana... To się panu wyda niemożliwe, ale przysięgam panu, że mogę dotrzymać moich obietnic... Wyobraziłem sobie dla pana Riwierę francuską. Mała willa w Nicei, morze, słońce... Pan nie ma już żadnej rodziny w ZSRR, prawda? A Francuzi, wie pan, to naród bardzo serdeczny. Znam ich. Są pełni radości życia. Zresztą jest tam dużo emigrantów, i to nawet z tak zwanej pierwszej emigracji. Poczuje się pan wśród swoich. Szczególnie w Nicei. Sami książęta, hrabiowie...

Pitman rozmyślnie nie wspominał o pieniądzach. Cóż mogły oznaczać pieniądze dla człowieka, który prawdopodobnie nie wydał w życiu więcej niż sto rubli?

Lew Aronowicz Zellman, mały człowieczek z lekko zaznaczoną zajęczą wargą, spędził piętnaście lat w tym, co nazywa się teraz Gułagiem, czyli prościej w obozie ciężkich robót, za propagandę antysowiecką. „Krytykowałem system karny, więc dano

mi możliwość zweryfikowania moich tez, co można zrozumieć” — mówił z uśmiechem pełnym zadumy. Nie odczuwał wcale go-ryczy. W rzeczywistości był wdzięczny reżimowi za tak łagodną karę. Rozumował w następujący sposób: „W końcu życie ludzkie stało się dłuższe, a może nawet weselsze. Piętnaście lat, jeśli będę miał szczęście, to tylko jedna piąta czasu, który został mi przeznaczony przez najwyższe Prezydium. Nie mam na myśli ziemskiego prezydium, tylko to drugie, jeśli istnieje. Cóż to jest jedna piąta? Mniej niż pięć godzin dziennie. W dodatku w obo-zie spałem osiem godzin, byłoby więc niesprawiedliwe odliczać te pięć godzin wyłącznie z godzin dziennych. Jedna trzecia z tej jednej piątej musi być odliczona z godzin nocnych. Z mojego czasu czuwania straciłem więc około trzech i pół godzin dzien-nie. A pozostające mi do życia dwadzieścia lat nie są już obciążo-żone hipoteką, bo zapłaciłem dług z góry! Naprawdę nie mogę narzekać”.

Właśnie ta pokora i poczucie humoru uratowały go. Wyszedł z piekła zraniony, lecz nie złamany. Co nie zmienia faktu, że kie-dy pojawiła się możliwość emigracji, zdecydował się z niej sko-rzystać. „Nie chodzi o to, że nie kocham Rosji. Kocham ją i nie bardzo sobie wyobrażam, jak mógłbym pracować w jakimś ki-bucu. Zanadto przyzwyczałem się do klimatu Workuty. Lecz jeśli tu zostanę, skąd mam wiedzieć, czy pewnego pięknego po-ranka znów nie wyślą mnie do Workuty? Uprzejmie dziękuję. Piętnaście lat, to pouczające. To wystarczy”.

Poprosił o paszporty dla siebie i dla swojej żony, która czeka-ła na niego piętnaście lat. Paszporty jakoś nie nadchodziły. Cze-kał już trzy lata. Zawsze brakowało jakiegoś papierka. Zła wola władz była ewidentna. Lew Aronowicz nie ustępował, zabiegał o wyjazd łagodnie lecz z uporem, przekonany, że pewnego dnia pokona opór czynników oficjalnych. „Mysz jak chce to i kabel przegryzie”, mówił sobie ten skromny i uparty człowieczek.

Mylił się. Ten właśnie kabel nie był rozciągnięty przez przypadek czy też przez nieuwagę i będzie tkwił aż do dnia, kiedy dyrekcja «A» wyda rozkaz usunięcia go! Wówczas zniknie jak zaczarowany.

Pewnego jesiennego dnia Lew Aronowicz został wezwany do biura, w którym jeszcze swojego nie odstał. Dziwne: był przekonany, że stał w kolejkach we wszystkich urzędach, mających najmniejszy choćby związek z jego sprawą. Jeszcze dziwniejsze: tym razem nie było kolejki. Dyżurny zaprowadził go do gabinetu w rodzaju tych, które widywał tylko w kinie, w filmach historycznych. Dywan, kinkiety, stiuki. Oczywiście nieodzowny portret zdobił ścianę. Zellman zażartował w duchu: „Od tak dawna wiesz się go wszędzie, a jednak egzekucja wciąż się nie udaje!” I dodał jeszcze: „Jestem więc w urzędzie podległym KGB. Uważaj, Lew Aronowicz, żeby nie popełnić błędu!”

Człowiek w wieku Zellmana, około pięćdziesięcioletni, okrągły i dobroduszny, w małych okularkach, uśmiechał się spoza ministerialnego stołu. Jego nos, mały kartofelek, nadawał tej pickwickowskiej twarzy wyraz jeszcze bardziej niewinny, prawie infantylny.

— Lew Aronowicz Zellman?

— Obecny, towarzyszu generale.

Zellman przybrał postawę pośrednią między wojskowym „baczością” i przykłonieniem. Nie miał pojęcia, jaki był stopień wojskowy tego dygnitarza, ocenił go po wyglądzie gabinetu. Twarz dygnitarza rozświetliła się jeszcze bardziej:

— Nie bądźmy tak bardzo oficjalni, Lwie Aronowiczu. Nazywam się po prostu Jakub Mojsiejewicz i mam przyjemny obowiązek poinformowania pana, że otrzymał pan zgodę na wyjazd.

Zellman chciał wyrazić swoją wdzięczność nie zdradzając za bardzo swej radości. Zaczął coś bełkotać. Dygnitarz przyszedł mu z pomocą, przerywając w pół słowa:

— Nie chciałem przedłużać pańskiego oczekiwania, Lwie

Aronowiczu, i dlatego od razu na początku powiedziałem panu najważniejsze. Musimy jednak jeszcze porozmawiać. Proszę usiąść w tym fotelu.

Kraj, który wpisał pan w rubryce „kraj osiedlenia”, to Izrael. Mówiąc między nami nie sądzę, żeby miał pan zamiar jechać właśnie tam. Klimat z pewnością by panu nie odpowiadał. (Zellmana opanowała panika: „Kto mógł powtórzyć mój żarcik?”) Zresztą nie zna pan hebrajskiego, a w naszym wieku nowy język... to bardzo trudne. Ale mówi pan po francusku. Francja byłaby dla pana wspaniałym schronieniem.

Zellman milczał przez roztropność. W rzeczy samej, właśnie we Francji chciał się osiedlić.

— I chciałby pan, nieprawdaż, wyjechać w towarzystwie żony, Lizawiey Grigoriewny? To nie będzie takie proste. Nie przyznano jej paszportu.

Zellmanowi udało się przed chwilą ukryć radość. Teraz próbował zataić także i swą rozpacz. Jeżeli Lizawiecia nie będzie mogła wyjechać, także i on zostanie.

— Tymczasem — ciągnął dalej dobry generał (założywszy, że był generałem, i do tego dobrym) — jestem pewien, że przy odrobinie dobrej woli z obu stron wszystko da się załatwić. Jest pan, Lwie Aronowiczu, wolnym człowiekiem i byłoby absurdalne zatrzymać pana w kraju, z którym łączą pana złe wspomnienia. Mógłby pan wrócić na złą drogę i narazić się znów na podobne przykrości. Nie, nie, nie ma sensu powtarzać dawnych nieporozumień.

Zellman próbował teraz ukryć ogarniające go przerażenie. Groźba nie była niczym osłonięta.

— Daję panu moje słowo — dygnitarz uśmiechał się wciąż — za rok, albo w ciągu trzech miesięcy będzie pan mieszkał razem z Lizawiecia Grigoriewną w małym, uroczym gniazdku pod dachami Paryża.

Pół godziny później Lew Aronowicz ścisnął dłoń Jakuba Mojsejewicza, odczuwając ogromną ulgę. W gruncie rzeczy przysługa, o którą go poproszono, była zupełnie błaha. Miał wyjawiać prawdę dotyczącą pewnego szczególnego zagadnienia. Nikogo nie narazi w ten sposób na prześladowania, wyrządzi przysługę i Rosji, którą prawdziwie kochał, i Francji, która miała się stać jego drugim domem.

Lizawieta Grigoriewna zaakceptowała układ, jaki jej mąż zawarł z KGB, niepokoiła się tylko tym, że na początek miał on wyjechać sam:

— A jeżeli oni mnie potem nie wypuszczą?

Pogłaskał jej szpakowate włosy, farbowane na rudo:

— Któżby cię mógł potrzebować, moja staruszko? Wiesz dobrze, że na całym świecie tylko ja cię kocham.

Objął ją czule. Pomogła mu spakować małą walizkę i już na jutro, jakby za skinieniem magicznej różdżki, znalazł się w Paryżu.

— Proszę pana — oznajmił poważny głos Małgorzaty — dzwoni pan o nazwisku Kurnosow.

— Czy to żarty?

— Nie wiem, proszę pana.

Małgorzata miała zwyczaj udzielania odpowiedzi na retoryczne pytania.

Rosyjska prawda ukazała się przed dwoma tygodniami. Od tego czasu urywał się telefon w biurze agenta literackiego, któremu udało się taka mistrzowska sztuczka: wydobyć ze Szpitala Specjalnego w Leningradzie pełnego rękopisu „Żelaznej Maski”. Z Rzymu zadzwonił wściekły Gucci, oskarżając Psara o oczywistą kradzież. Niektóre osoby we władzach niepokoiły się i stawiały sobie pytanie, dzięki jakim kontaktom udało się Psarowi wywieść w pole ZSRR. Specjaliści zadawali pytanie, czy także i w przyszłości będzie można korzystać z usług tej siatki, która przetrzymała na Zachód cenny rękopis. Zagraniczni wydawcy podawali cyfry nakładów. Dziennikarze domagali się szczegółów,

dotyczących strony anegdotycznej operacji. Dawni emigranci definiowali swoje stanowisko. Dysydenci protestowali przeciwko posłużeniu się ich nazwiskami na okładce książki. Adwokaci śpieszyli ze swymi usługami. Wariaci szantażowali Psara. Sceptycy przekonani byli, że odkryli sekret: „Niech pan, Psar, zrzuci maskę, która wcale nie jest żelazna; proszę się przyznać, że to pan jest w istocie autorem *Rosyjskiej prawdy*”. Nazwisko niedoszłego zabójcy, Kurnosowa, obiegu rzecz jasna cały Paryż. Inteligencja orzekła, że autor nieudanego zamachu i autor książki nie mogą być jedną osobą, choćby dlatego, że wierzył w to motłoch. Motłoch tymczasem przekonany był, że Kurnosow był „Żelazną Maską” podobnie jak Ian Fleming — Jamesem Bondem.

— Proszę mnie połączyć.

— Czy mogę mówić z Aleksandrem Dmitryczem Psarem?

Kurnosow mówił po francusku, lecz nazwisko wypowiedział po rosyjsku, zmiękcżając końcowe „r”.

— Przy telefonie.

— Ja jestem Kurnosow, jestem na lotnisku.

— Jaki Kurnosow? Jakie lotnisko?

— Michał Leontycz. Ten właśnie, o którym pan myśli. Ten sam. Czy w Paryżu jest więcej lotnisk?

— Skąd pan przybywa?

— Z naszej matki Moskwy.

— Czyli Roissy. W którym miejscu na Roissy pan jest?

— W biurze... — ktoś musiał mu podpowiedzieć — Policji Granicznej.

— Przyjeżdżam.

Wychodząc powiedział do Małgorzaty:

— Nie wiem, co to za historia. Oczywiście całkowita dyskrecja.

— Ależ proszę pana!

Z kawiarni zatelefonował na numer, który otrzymał na wypadek sytuacji wyjątkowej:

— Poproszę Iwana.

— Nie ma go — powiedział ostrożny głos. — Kto go prosi?

— Kobei.

Był to kryptonim Aleksandra, różniący się od jego pseudonimu, którego nie znał.

— Iwan zostawił dla pana wiadomość: „Wszystko jest w porządku”.

— Proszę mu powtórzyć, że chcę się z nim spotkać dziś wieczorem tam gdzie zawsze.

Omega pomknęła w kierunku Roissy. Siąpił deszcz, szosa była wilgotna, opony pogwizdywały.

— Pan Psar? Proszę tutaj.

Dwóch mężczyzn w małym pokoju. Policjant w garniturze z kamizelką, z wąsami przypominającymi szczoteczkę do zębów, oczami bez wyrazu, i przybysz z Moskwy, wielki suchotniczy kruk, nieogolony, w zbyt niebieskim ubraniu, które wisiało na nim jak na wieszaku.

„Wydaje mi się — pomyślał Psar — że jeszcze nigdy nie widziałem człowieka tak chudego”.

Patrzył z natężoną uwagą na ziemistą twarz, nieomal odsłaniającą kości, nasycone brylantyną włosy, wcale nie wygładzone, tylko zastygłe i utrwalone razem z kosmykami sterczącymi we wszystkich kierunkach. Miałby ochotę natychmiast zapytać: „To pan jest autorem?”. Prawdziwy Kurnosow, był o tym przekonany, gryzł ziemię od dziesięciu lat. Przedstawił się:

— Psar.

— A ja otóż właśnie jestem Kurnosow.

— Pan Kurnosow — powiedział policjant — twierdzi, że jest autorem *Rosyjskiej prawdy*, którą pan opublikował. Czy pan to potwierdza?

Według Iwana Iwanycza „wszystko było w porządku”.

— Nigdy nie spotkałem pana Kurnosowa. Czy pozwoli pan, że mu zadam kilka pytań?

— Tak, ale zechce pan po francusku.

- A więc pan nazywa się Kurnosow?
- Tak, to ja. Ten pan ma mój paszport.

Policjant wyciągnął małą brązowoczerwoną książeczkę. Aleksander miał dokładnie taką samą w sejfie ambasady. Poprosił, żeby mu ją pokazano.

Michał Leontycz Kurnosow, obywatel sowiecki narodowości rosyjskiej, urodzony w Kostromie (RFSRR), 4.06.1926. Zdjęcie rzeczywiście przedstawiało tego człowieka o zapadłych policzkach, wklęsłych skroniach i dziko patrzących oczach.

- Ten paszport został wystawiony wczoraj.

- Tak — powiedział Kurnosow — dali mi go wczoraj. Pozwoli pan...

Na jednej ze stron widniała pieczętka. Można było przeczytać po rosyjsku: „Paszport wydany jako dokument stwierdzający tożsamość. Ważny na wyjazd z ZSRR, nie upoważnia do powrotu na terytorium ZSRR”.

- Odebrano panu obywatelstwo?
- Jeszcze nie. Tyle że już nie mogę wrócić.
- A książka? To pan ją napisał?

Kurnosow uśmiechnął się nieśmiało, jak ktoś, kto zapomniał, co to jest śmiech. Jego usta były wąskie jak u szczupaka, a zęby w strasznym stanie, pełne dziur, spróchniałe, czarne, połyskujące żelazem. „Dziwne, do jakiego stopnia jego nazwisko nie ma nic wspólnego z jego postacią” — pomyślał Aleksander. *Kurnosy* to ktoś, kto ma zadarty nos.

- Tak, ja.

Dla Aleksandra autor *Rosyjskiej prawdy* mógł być tylko oficerem KGB.

- Ale pan jest także...
- „Anonimowym więźniem” z celi 000, „Żelazną Maską”, wszystko to razem. Widziałem gazety. Pokazali mi je, gdy mnie — tu zrobił przerwę — gdy mnie wydalili z ZSRR.
- Wydalili pana? Dlaczego?

— Powiedzieli mi, że nie jestem godzien oddychania sowieckim powietrzem.

Aleksander przypomniał sobie, że uchodził za człowieka prawicy i uśmiechnął się ironicznie:

— Wciąż te wielkie słowa, jak słyszę. To grzech jakobinów, odziedziczony przez bolszewików. Cóż, cieszę się, że mogę pana poznać. Wie pan chyba, że stał się pan człowiekiem bogatym, w każdym razie zamożnym?

Uściskał dłoń suchotnika. Czy był to jego wróg, czy przyjaciel? Jakby odpowiadając na to pytanie, Kurnosow zaczął mówić:

— Przede wszystkim jestem człowiekiem, który stracił orientację w świecie. Spędziłem dziesięć lat w azylu psychiatrycznym i nie jestem pewien, czy nie zrobiono ze mnie wariata. Poza tym nie mam pojęcia, jak się żyje na Zachodzie. Zdaje się, że ludzie są tu wolni. To tak, jakby się człowiek znalazł na wierzchołku drapacza chmur i nie chroniła go żadna bariera.

— Przyzwyczajai się pan szybko. Czy zamierza pan poprosić o azyl polityczny?

— Pan Kurnosow już wystąpił o azyl — wtrącił się policjant. — Dzwoniłem w tej sprawie. Nie przewiduję żadnych trudności, ale może to zabrać trochę czasu. Na razie skłonni bylibyśmy przyznać mu wizę turystyczną. Chcieliśmy tylko upewnić się co do tożsamości pana Kurnosowa. Pisarz jego klasy — skłonił się — może liczyć na serdeczne przyjęcie w naszym kraju.

— Francja i Rosja to jedyne kraje na świecie uznające pisarzy za ludzi wybitnych — powiedział Psar.

— Proszę pana — zwrócił się do niego policjant — jest pan kimś znanym, wiadomo, jak pana odnaleźć. Czy możemy uznać, że zaopiekuje się pan Kurnosowem do chwili, kiedy jego sytuacja prawna zostanie uregulowana?

— Oczywiście. Michale Leontyczu, czy ma pan walizki?

— Tylko ten stary worek, nic więcej.

Zaledwie opuścili biuro policji, gdy Aleksander zadał pytanie, które paliło mu wargi:

— Az Breżniewem to prawda? Strzelał pan do niego?

Kurnosow odpowiedział po chwili wahania, jak gdyby chodziło o wyznanie prawdziwe, lecz niełatwe:

— Strzelałem.

W Aleksandrze rozbudziło się zainteresowanie dla spraw związanych z bronią palną:

— Z czego pan strzelał?

— AK-47.

— Co to jest?

— Kałasznikow. Słyszał pan o kałasznikowie?

— Jasne. Jaki kaliber?

— 7,62. Zasięg: 400 metrów.

— Jaki ładownik?

— Na trzydzieści naboí. Oddaje 600 strzałów na minutę.

Aleksander gwizdnął z podziwem.

Nastąpiły teraz dziwne bardzo godziny. Aleksander nie mógł w żaden sposób sprawdzić, czy ten człowiek rzeczywiście był Kurnosowem tyranobójcą, „Żelazną Maską”, autorem *Rosyjskiej prawdy*, agentem KGB, czy był wszystkim tym naraz, czy jeszcze kimś innym. Rozsądnie odpowiadał na pytania, ze zrozumieniem mówił o „swojej” książce i o wyrażonych w niej poglądach. Przyznał, że to od oficerów, którzy zjawili się w jego celi, dowiedział się, że powinien po przybyciu do Francji zwrócić się do Psara. Mówił jednak o tym wstrzemięźliwie, o wiele bardziej interesowało go życie w wolnym kraju.

— Jak się tu żyje? Normalnie.

— Nie, proszę, żeby mi pan wyjaśnił, jak się tu żyje.

Miał zupełnie fantastyczne wyobrażenia na temat funkcjonowania kapitalizmu i podziału władzy. Z rozczarowaniem dowiedział się, że ludzie zamożni na Zachodzie nie są, by tak rzec, otoczeni służbą.

— Ale przecież pan z pewnością ma służącego?

— Nie. Dozorczynie sprząta u mnie raz na tydzień.

Gdy tylko dowiedział się, że we Francji często dochodzi do strajków, i że strajkują nawet pracownicy państwowi, był oburzony:

— Trzeba by tych ludzi zdzięsiętkować! Rozstrzelać co dzieięsiętego, i to wcale nie przywódców! To by ich uspokoilo.

Zdziwił się widząc dzieci na ulicy:

— Powinny być w szkole. I dlaczego nie noszą mundurków?

Chciał zobaczyć wielki dom towarowy. Aleksander zaprowadził go do Galeries Lafayette. Policzki suchotnika pokryły się rumieńcami:

— Wszystko to mistyfikacja, nie? Tak naprawdę to nic tu nie można kupić?

Aby przekonać go, że wcale tak nie jest, Aleksander kupił mu w prezencie ładną czapkę z lisa:

— Jeśli nie będzie pan miał futrzanej czapki, Francuzi nie uwierzą, że przyjechał pan z Moskwy.

Na Kurnosowie nie wywarło to wcale wrażenia:

— Cóż, taką lichotę można dostać też u nas, ile dusza zapragnie.

— Ależ to oryginalny lis, wcale nie lipa!

— Nie mam piętnastu lat. Gdyby futro było oryginalne, nie byłoby go w wolnej sprzedaży.

Aleksander zaprowadził go do Hermesa, ale i tu Kurnosow nie zmienił zdania. Jeszcze gorzej było w restauracji „Plaza-Athénée”, dokąd poszli na obiad. Kurnosow nie miał pojęcia, jak się zachować przy stole i odzywał się do kelnerów tonem, jakim generał Durakin strofował swoich poddanych. Jeśli zaś idzie o wygląd sali restauracyjnej, Kurnosow komentował, oglądając się na wszystkie strony:

— Nieźle, całkiem nieźle. Przypomina trochę nasze metro.

Wciąż jednak powracał do swego pytania: jak wygląda tu życie? Czy wszyscy mieszkają we własnych domkach? Czy pracują dla prywatnych właścicieli fabryk? Ile godzin dziennie? Ile zarabia właściciel? Ile robotnik? Ile kosztuje kawał słoniny? Ile wełniane kalessony?

Zdumiał się rozmiarami przestępczości:

— I wszystkich tych nicponi nie posyła się na gilotynę?

— Niedawno zniesiono karę śmierci.

Kurnosow wybuchnął śmiechem, pochłaniając jednocześnie trójkątny kęs sera:

— A u nas rozstrzeliwuje się przestępców gospodarczych! Za dużo zarobiłeś? Dwanaście kulek w łeb!

Aleksander podzielał co prawda przekonania Kurnosowa o konieczności pozbycia się wszystkich przestępców, lecz zarozumiałość nowoprzybyłego drażniła go.

— Sądzi pan, zdaje się, że wszystko jest w porządku w ZSRR. To niech pan poprosi o przebaczenie, być może zgodzą się na pana powrót. Opublikuje pan wtedy następną książkę pod tytułem *Rosyjska krzywda*.

Fourveret, który robił dobrą minę do złej gry, i który uważał *Rosyjską prawdą* za nieco mniej szokującą od chwili kiedy zaczęła dobrze się sprzedawać, poklepał jej autora po ramieniu:

— Drogi panie, jestem szczęśliwy mogąc pana powitać u nas. Wykonaliśmy kawał ładnej roboty, sądzę, że będzie pan zadowolony. Nasz przyjaciel Psaaaaar dzielnie bronił pana interesów. Za każdym razem gdy otrzymywaliśmy szczególnie radosną wiadomość, artykuł czy entuzjastyczną deklarację od jakiejś znanej osobistości, myśleliśmy o panu, bez którego nie byłoby tego sukcesu, zamkniętym w więzieniu psychiatrycznym, i nasze serce krwawiło dla pana. Teraz, kiedy pan wreszcie jest wolny, radość nasza jest całkowita.

— Jaki zysk przyniesie mi ta książka? — zapytał Kurnosow.

A kiedy poznał wysokość sumy:

— Ile to jest w przeliczeniu na ruble? Co można z taką sumą zrobić? Gdzie została zdeponowana na moje nazwisko? Jaka jest obecnie stopa procentowa banku? Jaki dostanę zadatek? Dlaczego taki mały?

Wieczorem Aleksander zawiózł go do Suresnes. Konferencja

prasowa miała się odbyć nazajutrz i nie trzeba było, żeby jakiś dziennikarz spotkał Kurnosowa wcześniej.

„Żelazna Maską” uznał, że apartament jest wygodny, choć sufity wydał mu się nieco zbyt niski. Zahipnotyzowały go elektroniczne szachy. Aleksander zostawił go przy tej grze z butelką Single Malt i piękną kryształową szklanką.

— Czy dostawał pan alkohol w szpitalu? Jeśli nie, to proszę uważać, żeby sobie pan nie zaszkodził. Nie wygląda pan na kogoś, kto był tak dobrze odżywiany, jak się o tym mówiło. Dla osłabionego organizmu whisky może być zdradliwa.

Kurnosow zdziwił się:

— Jedna butelka? Aleksandrze Dmitryczu, tam pijemy czysty spirytus i świetnie nam to służy.

Jessica była czarna jak czarna Indianka. Przed wakacjami na jachcie zażywała specjalne pigułki przyspieszające opalanie, a teraz podtrzymywała swoją opaleniznę chodząc na kwarcówce.

— Piękna pani — powiedział do niej Aleksander — pewnego dnia dostanie pani raka skóry.

Iwan Iwanycz już był na miejscu:

— Więc odebrałeś paczkę? Jak ci się podoba ten sukinsyn?

— Jeżeli wy wszyscy Sowietnicy jesteście do niego podobni, to nie wracam.

Usiedli obok siebie na kanapie w czarnobiałe pasy.

— A teraz: kto to jest?

— Kurnosow.

— Człowiek, który strzelał do Breżniewa?

— Dokładnie ten sam.

— I to naprawdę on napisał *Rosyjską prawdę*?”

— Któżby inny?

— Dlaczego nie zostałem uprzedzony o jego przybyciu?

— Żeby twoje zdziwienie wypadło naturalnie. A poza tym wiesz sam, że od jakiegoś czasu zacząłeś krytykować rozkazy, jakie

otrzymujesz... Więc przypuszczam, że towarzysz Pitman chciał cię postawić przed faktem dokonanym.

— I rzeczywiście wyrzuciliśmy tego Kurnosowa z ZSRR?

— Tak by się wydawało.

— W jakim celu?

— Żeby poczęstować dysydentów miotaczem płomieni.

— Czy masz dla mnie nowe instrukcje?

— Tak. Zrobisz wszystko, co zechce Kurnosow.

— I chciałbyś, żebym uwierzył, że to nie jest jeden z naszych?

Iwan Iwanycz zaczął się śmiać:

— On, jeden z naszych? U nas nie ma takich chudzielców, Saszeńka!

— Utrzymujesz więc, że *Rosyjska prawda* nie została przez nas sfabrykowana?

— Oczywiście, że nie! Chcesz, żebym ci opowiedział całą tę historię? Kiedy Kurnosow próbował zastrzelić Breżniewa i kiedy go zamknięto, zaczęły się przesłuchania. Wydał się trochę stuknięty. Przekazano go psychiatrom, którzy uznali, że nie jest do końca zbzikowany, tyle że wyznaje reakcyjne poglądy i niemarksiowską formację polityczną. Więc co zrobić? Rozstrzelać go na Placu Czerwonym? To by wywołało łyzy u zachodniaków o miękkich serduszkach. Posłać go do obozu? To wydawało się niewspółmierne do jego zbrodni. Więc pojawił się towarzysz Stalagmit z twojej dyrekcji i powiedział: „Nie chcecie go? To mi go dajcie. Pewnego dnia przyda się do czegoś. Nie zrobię mu krzywdy. Przechowam go w jakimś kącie. Jak mówią Francuzi, na czarną godzinę”. Kurnosow nie wyglądał groźnie, zachowywał się spokojnie, poprosił tylko o pióro, atrament i papier. I zaczął pisać z zapalem. Wyobrażał sobie, że oddając co drugą kartkę, zawierającą mało istotne uwagi, będzie mógł ukryć drugą. Wkładał je do pudła telewizora. Ale domyślasz się, że cela była naszpikowana kamerami. Stalagmit wywahał w tym typie

geniusza i miał zamiar go wyeksploatować do końca. Zastanów się. Niedoszły morderca z reakcyjnymi poglądami! To ktoś na wagę złota! Zdobywcza doktryna, w rodzaju naszej, potrzebuje opozycji, żeby się nią żywić, żeby robić postępy. A jak wiesz, u nas, jeśli chodzi o opozycję, to Iljicz i Wissarionowicz załatwili ją raz na zawsze. Stąd też strzeżono Kurnosowa jak źrenicy oka. Przydzielono mu dwóch pielęgniarzy, oczywiście naszych kolegów. W nocy jeden z nich zabierał go na spacer po podwórku i podczas gdy razem podziwiali gwiazdy, drugi fotografował zawartość telewizora. Później specjalista kopiował nowe strony, naśladowując pismo więźnia, a jeden z oficerów z twojej dyrekcji podając się za pielęgniarza wynosił wybrane kawałki.

— W jakim celu?

— Żeby przygotować to, co właśnie teraz robimy.

— A co właśnie teraz robimy?

— Już ci to powiedziałem. Mamy zamiar skrócić kark dysydemom wszelkiej maści.

— Poczekaj, teraz Kurnosow wie, że to KGB wynosiło strony jego książki. Wie, że nie udało mu się nikogo oszukać...

— Oczywiście. Powiedziano mu to, pokazując mu gazety. Do tej chwili nie wiedział, że jego książka ukazała się. Myślał cały czas, że istniał tylko jeden egzemplarz, ukryty w telewizorze. Ale mówienie o tym nie leży w jego interesie. Absolutnie nie chce być podejrzany o współpracę z nami, nawet wbrew woli. Pamiętaj o jednym, dla niego jesteś człowiekiem Zachodu jak wszyscy inni. Z niczego nie będzie ci się zwierzał.

— Od jak dawna wiesz to wszystko?

— Jego chwalebny życiorys dostałem wczoraj, kiedy uprzedzono mnie, że będzie zwolniony.

— Czy nie byłoby prościej wysłać jednego z naszych oficerów? Kurnosow, jak tylko otrzyma azyl polityczny, nie będzie już przez nas sterowany.

Iwan Iwanycz westchnął:

— Ależ osioł z ciebie! I to ty należysz do dyrekcji subtelnych spryciarzy? Wcale nie musimy nim sterować. Znamy jego poglądy lepiej niż on sam. Wiemy z góry, co powie. A jakbyśmy potem mogli odzyskać naszego oficera? Podczas kiedy ten jest autentyczny, prawdziwy, wzbudza zaufanie. Potem porzucimy go. Jakie jest ryzyko? Chodzi tylko o to, żeby powiedział prawdę, swoją prawdę. I jeszcze jedno, Aleksandrze Dymitryczu, o czym nie powinienem być może mówić. Znane są już przypadki na szczytach oficerów przechodzących na drugą stronę, chociażby z powodów religijnych, jak prototyp tego Popowa, którego historię dałeś mi do przeczytania. Wyobraź sobie, że nasz towarzysz składa deklarację: „Jestem major Iksiński, nie strzelałem do Breżniewa, nie napisałem *Rosyjskiej prawdy*, ale napiszę wam wspomnienia oficera KGB”. Ładnie byśmy wyglądali. Kurnosow nie może się zwrócić przeciwko nam, ponieważ już jest przeciwko nam. I właśnie dlatego jest taki pożyteczny.

Aleksander nie był do końca przekonany. Wydawało mu się, że jest jakaś luka w rozumowaniu Iwana Iwanycza. Przede wszystkim, czy opłaciło się posłużenie się człowiekiem „na wagę złota” i przeprowadzanie tak skomplikowanej akcji tylko po to, żeby wywołać zamieszanie w szeregach dysydentów? Ale już nic więcej nie mógł wyciągnąć od swojego pilota.

— Uprzedzam cię, że Kurnosow dostanie swoje honoraria. Nie mogę mu w tym przeszkodzić.

— Nie przeszkadzaj mu.

Dziwne. Na ogół KGB stawiało sobie za punkt honoru położenie łapy na pieniądzach wypłacanych własnym agentom. Ale jednak Kurnosow nie był agentem; być może dyrekcja zdecydowała, że należy mu się zapłata za jego talent. Zdarzało się, że system zachowywał pozory legalności. Aleksander wyszedł z mieszkania po złożeniu oficjalnej reklamacji: należało uprzedzić go o przyjeździe Kurnosowa, a nawet skonsultować się z nim w tej sprawie. Jeśli nadal z uporem będzie się go traktować jak

podwładnego niskiego stopnia, to on odmawia brania na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za skutki akcji, w których miał uczestniczyć.

Następnego dnia około stu dziennikarzy paryskich i prowincjonalnych zgromadziło się wśród sztukaterii o startych złoceńniach wydawnictwa Lux. Telewizyjny operator przesuwiał się z trudem, dźwigając na ramieniu kamerę jak pancierzownicę. Spoceni fotografowie przynosili swoje instrumenty, zaczepiając szelkami o pasy aparatów. Rzucali przekleństwa pozbawione oryginalności. Reflektory zapalały się i gasły, zmieniając kolory i perspektywy. Brakowało krzesel. Niektórzy dziennikarze stali oparci o ścianę, inni siadali na podłodze po turecku lub po amerykańsku, z wyciągniętymi nogami, i pomstowali na fotografów, którzy deptali im po stopach. Las mikrofonów jeżył się wokół małego stolika, za którym miał zasiąść „Anonimowy więzień”. „Jak myślisz, jak on wygląda, «Żelazna Mask»?”

— Czy to naprawdę on strzelał do Breżniewa?

Weszli. Najpierw Fourveret, surowy i uśmiechnięty jednocześnie, później Psar, napięty, pełen skoncentrowanej siły, i na końcu ten, dla którego wszyscy się tu zjawili, „Więzień bez nazwiska”, w swym nowiutkim sowieckim ubraniu, zbyt niebieskim, w krawacie, który Aleksander wybrał dla niego, może nie bez ironii, u Hermesa.

W nagłym porywie wszyscy podnieśli się z miejsca. Żeby lepiej widzieć, ale i powodowani szacunkiem. Ten człowiek spędził dziesięć lat w jednym z tych więzień psychiatrycznych, których już samo wspomnienie wywołuje dreszcz na plecach. Jakie tortury, jakie zastrzyki z siarki musiał znosić? Czy był jeszcze w pełni władz umysłowych? A wcześniej, w pierwszych godzinach po zamachu (jeśli rzeczywiście to jest Kurnosow), jakie chwile musiał przeżyć w lochach Łubianki? A nawet jeśli go nie torturowano, czyż dziesięć lat izolacji nie jest dość przerażające? Nie umiemy już darzyć szacunkiem bohaterstwa, ale potrafimy jeszcze oddać cześć cierpieniu. Rozbrzmiały oklaski, po chwili

wzmogły się jeszcze bardziej, bez końca. Wreszcie Fourveret poprosił o ciszę, unosząc ramię niemal jak generał de Gaulle:

— Panie, panowie, przyjaciele, siostry i bracia, towarzysze, tak, czuję, że jesteśmy dzisiaj tym wszystkim... Mam zaszczyt, powtarzam: zaszczyt, przedstawić państwu autora *Rosyjskiej prawdy*, „Anonimowego więźnia”, który już za chwilę odzyska imię. Obowiązek i przyjemność zdradzenia wam jego nazwiska pozostawiam temu wielkiemu odkrywcy geniuszy, którego przy jaźń przynosi mi zaszczyt... Drogi panie Psaaaaar, czy uda się panu tutaj dotrzeć? Proszę nie deptać rąk. Chciałem powiedzieć, ani własnych, ani należących do tej uroczej panienki, proszę mi przypomnieć pani nazwisko? Ach tak, Denise Esclaffier z «Patriotycznego Alzateczyka». Jest nas tu tak dużo. To taka radość, widzieć zebrane w jednym miejscu tyle dobrej woli i błyskotliwej inteligencji przeciwko hipokryzji i prześladowaniu. To taka radość, że mamy za mało miejsca... (jąkał się umiejętnie). Panie i panowie: Aleksander Psaaaaar!

Aleksander umiał mówić do publiczności. Potrafił pozostać bez ruchu przez parę chwil, stopniowo, nie patrząc na tłum, nabierał rozpędu, po czym nagle skierowywał wzrok na salę, jednocześnie na wiele twarzy, obracał głową wolno jak wieżyczką czołgu, potem wciągał powietrze w płuca, aby rytm oddechu pozwalał przeczuć moment, kiedy wybuchnie pierwsze zdanie.

Zaczął cichym szeptem:

— Przedstawiam państwu...

Tu udał, że odrzuca, jeden po drugim, epitety, superlatywy, entuzjastyczne pochwały, i że wybiera w końcu prostotę, jako jedynie godną podobnego momentu. Wyciągając ramię krzyknął:

— Michaił... Leontycz... KURNOSOW!!!

Przy imieniu Michaił szmer poszedł po sali. Patronimik sprawił, że hałas się wzmógł (nie znaczy to, że był on znany; był to efekt napięcia wywołanego przez głos Psara). Przy nazwisku hałas zamienił się w ryk. Ten człowiek, który był autorem książki

tak bardzo dyskutowanej, rzeczywiście trzymał w rękach pistolet maszynowy, rzeczywiście otworzył ogień do najpotężniejszego w świecie człowieka. To dopiero reportaż! To dopiero artykuł!

Na ten wybuch Aleksander uśmiechnął się i wykonał bezradny gest, pełen uroku: — Cóż mógłbym powiedzieć, wam, którzy wiecie najważniejsze — i skromnie się wycofał.

Kurnosow trwał w lawinie oklasków, ze zwisającymi luźno rękami, lekko pochyloną głową, wysoki lecz zgarbiony, z piersią tak zapadłą, zielonkawą cerą, z tak wychudzonymi policzkami, jak tego się po nim spodziewano. Można było wyczuć, że nie był onieśmielony, ale chciał się takim wydać przez uprzejmość. Sowieci przyzwyczajeni są do publicznych zebrań. W końcu przesunął się bokiem w stronę stołu i to wystarczyło, żeby uciszyć salę.

— Pragnąłbym — wypowiedział, starannie wymawiając „r” — podzielić się z państwem kilkanaście uwagami.

To zaskoczyło wszystkich. Wszyscy byli przekonani, że będą mu zadawać pytania, a tymczasem Kurnosow wyjął z wewnętrznej kieszeni plik notatek, cienkich kartek, pokrytych drobnym, pochylonym, ostrym pismem.

Zaczął od piętnowania ZSRR, obozów, więzień, poziomu życia. Taki reżim był skazany na klęskę w najbliższej przyszłości. Sołżenicyn był bogiem, a nieodżałowany Amalrik prorokiem.

Aleksander słuchał głosu Kurnosowa, starannie śpiewającego niemodną francuszczyznę Dymitra Aleksandrowicza i jego rówieśników, francuszczyznę guwernantek, które ukończyły szkołę Des Oiseaux, francuszczyznę zmodyfikowaną przez społeczeństwo, które zmuszało się do mówienia tym obcym językiem jak niegdyś do noszenia gorsetu, sztywnego kołnierzyka i bindy do usztywniania wąsów. „Mogliby mnie przynajmniej uprzedzić, że pozwolą mi zabrać notatki”. Od jakiegoś czasu dyrekcja nie okazywała mu względów i za każdym razem odczuwał to jak ukłucie *banderillas*. Nie wiedział, że szpada toreadora była już przygotowana do śmiertelnego uderzenia (chodziło przynajmniej o cios

administracyjny).

Kiedy Kurnosow zakończył krytykę reżimu sowieckiego, zabrał się za Zachód: zaślepienie, egoizm, zepsucie. Nic mu się nie podobało. Raz jeszcze zacytował Solżenicyna i Bukowskiego. Dni Zachodu były policzone. „Panie i panowie, jest za minutę dwunasta”.

Publiczność zaczęła odczuwać znudzenie. To wszystko było już znane. Nie należy powtarzać paryżanom po raz drugi czegoś, czego nie zrozumieli za pierwszym razem. Jeśli natomiast zrozumieli, to zupełnie co innego. Mają słabość do banałów.

Kurnosow czytał dalej, pozornie nieświadomy rozczarowania słuchaczy, i w tym właśnie kryła się jakaś siła. Aleksander, stojąc, zdenerwowany spoglądał co chwila na zegarek. Fourveret opuścił swą piękną głowę na prawe ramię z miną, która równie dobrze mogła znaczyć „cierpię męki”, co „a nie miałem racji?” Jeden z dziennikarzy wstał z miejsca:

— Przepraszam, że panu przerywam, ale mam wrażenie, że pan sam sobie przeczy. ZSRR rozpadnie się, Zachód jest u kresu sił. No więc?

Kurnosow uniósł niecierpliwie dłoń:

— Nie przerywa się mówcy.

I ciągnął dalej, nie okazując zakłopotania. Ale trzy minuty później, mimo że nie nastąpiła żadna zmiana w tonie głosu Kurnosowa, długopisy dziennikarzy znów zabrały się do pracy.

— Jednak — czytał dalej Kurnosow — zmuszony jestem stwierdzić, że jakkolwiek idee głoszone przez dysydentów, których zacytowałem, są słuszne, oni sami są skorumpowani, i to w tym samym stopniu, jeśli nawet nie bardziej, niż ich akolici, rywale, ci, co im pochlebiają i ci, co nimi gardzą.

Wszyscy obecni w tej sali słyszeli rozmaite plotki na temat niektórych dysydentów, ale nigdy nikt nie był jeszcze świadkiem tak planowej egzekucji, jak ta, która teraz nastąpiła. Żadne znane

nazwisko nie zostało oszczędzone, żaden wiolonczelista, żaden tancerz, żadna śpiewaczka, żaden rzeźbiarz, żaden szachista, nie wspominając nawet poetów, pisarzy, działaczy związkowych, logiczków, ani tych, których jedynym wyczynem było to, że stali się pierwowzorami postaci książkowych. Dostało się też dysydentom pozostającym wciąż w kraju oraz przedstawicielom starej emigracji.

Pan X., recytował Kurnosow, sfałszował swoje nazwisko i patronimik, podaje się za wierzącego prawosławnego, tymczasem ożenił się ze swoją chrześniaczką. Rozgłos pewnego Y. jest przyręta dla dysydentów, którzy tłoczą się wokół niego i są wskutek tego natychmiast identyfikowani przez organy. Ta zabawa trwa od tak dawna, że można sobie zadać pytanie, czy główny zainteresowany nie podpisuje przypadkiem listy płac. Pan Z. stworzył fundusz pomocy dla ofiar reżimu, z którego bardzo przyjemnie żyją jego najbliżsi współpracownicy. Inny z kolei zrobił karierę dzięki donosom, a wygnanie wybrał tylko dlatego, że systematyczne donosy i tak nie zdołały zapewnić mu profesorskiej katedry, o którą zabiegał. Ktoś inny jeszcze przesiedział ileś lat w obozie za to, że zarzucał Stalinowi nadmierną łagodność. Droga innego usiana jest samobójstwami. Aktualnie ma na swoim koncie trzy samobójstwa przez powieszenie. Ten jest rozpustnikiem, inny alkoholikiem, ta lesbijką, tamten szpiegiem, tamta handluje ikonami, ktoś inny podejrzanymi rękopisami. Zatwardziałym marksistom także się dostało. Ten jest donosicielem, tamten zboczeńcem. Żadne z tych oskarżeń, wzięte z osobna, nie wywołałoby większego wrażenia na tej zblazowanej publiczności. Ale takie ich nagromadzenie wywołało zażenowanie.

I tak trwało to trzy kwadransy. Kurnosow czytał powoli, jak skrupulatny profesor, żeby wszyscy zdążyli zanotować. Podawał nazwiska, imiona, patronimiki, szczegóły, odpowiednie daty. Aleksander zaczynał rozumieć: oczywiście, wszyscy zaczną krzyczeć, że jest on agentem KGB, wilkiem w owczarni!

Ale zło zostanie dokonane, publiczność ma zawsze dobrą pamięć do brudów. Kilku dziennikarzy wyszło, być może chcieli zatelefonować, a może dlatego, że zrobiło im się niedobrze; jednak większość zgromadzonych pozostała w sali, czekając na dalszy ciąg.

Kurnosow mówił dalej:

— Ci ludzie są na ogół zgodni co do jednego: prawdziwa i zwyczajna demokracja nie jest możliwa w ZSRR. Proszę zauważyć, że nie ma wśród nich ani jednego demokratty. Sami marksiści i reakcyjniści. A najbardziej interesujące jest to, że mają w tym absolutnie rację!

Wykrztuszał wszystkie te okrzyki z całkowitym brakiem troski o elokwencję, przez co stawały się one jeszcze bardziej elokwentne.

Przedstawił system, w którym pokładał zaufanie. Zawarty był już w *Rosyjskiej prawdzie*. Oddany dyktator, system reprezentatywny nie regionów geograficznych, ale zawodów, sieć funkcjonariuszy.

— Nie należy się bać słowa aparat; tak, aparat i aparatczycy są potrzebni, ale muszą oni być oddani narodowi, podczas gdy Partia jest oddana ideologii.

Kurnosow odradzał wybory powszechne, zalecał natomiast system doboru, uwzględniającego w szerokim zakresie elity społeczne. Wolność prasy jest burżuazyjnym, przedawnionym pojęciem. (Długopisy pisały długo.) Wolność myśli jest pojęciem relatywnym, jako że i tak większość obywateli pozwala, by telewizja myślała za nich. Wolność zgromadzeń powinna być ograniczona; zgromadzić się dla dobra ogółu, owszem, ale dla dobra jakiejś grupy partykularnej — nie. Zanim zaczniesz mówić o prawach człowieka, należy wyliczyć jego obowiązki. Jednostka — sprecyzował swą definicję, którą tylko niektórzy dziennikarze zanotowali — może być traktowana jako mniej lub bardziej udany owoc mniej lub bardziej przypadkowego stosunku płciowego — i w takim razie dlaczego miałyby mieć jakiegokolwiek prawa? —

lub też jako produkt społeczeństwa, które gwarantuje jej życie, bezpieczeństwo, wykształcenie, co sprawia, że społeczeństwu winna jest jednostka pewne zobowiązania.

Żaden efekt oratorski nie przygotował finału przemówienia. Po prostu Kurnosow przewrócił ostatnią kartkę i powiedział:

— Skończyłem.

I dodał po rosyjsku, składając swoje papiery:

— Na żadne pytania nie odpowiadam.

Aleksander pochylił się ku niemu:

— Tutaj się tak nie robi. Trzeba odpowiadać.

Kurnosow przecząco kręcił głową.

— Niechże pan odpowiada, do diabła!

Kurnosow podniósł się. Co robić? Aleksander zwrócił się ku zgromadzonym dziennikarzom:

— Pan Kurnosow jest wyczerpany. Ciężkie przeżycia. Emocje. Prosi państwa o wybaczenie.

— Nie jestem wyczerpany. Jednak nie będę odpowiadał — powiedział Kurnosow, przepychając się w stronę wyjścia w błyskach fleszów. Na jego twarzy malował się wyraz niesmaku. Potykał się o wyciągnięte nogi dziennikareczek w dzinsach i mruzczał pod nosem: „Dekadencja!”.

W małym salonie, gdzie kilka szklanek i kieliszków czekało na organizatorów, Aleksander złapał Kurnosowa za łokieć:

— Skąd pan ma te wszystkie plotki? Dostarczano je panu do domu wariatów?

Kurnosow popatrzył na niego zdumiony:

— Czy wyobrażał pan sobie, że wyszedłem bez powodu?

Aleksander coraz lepiej pojmował sens całej operacji. A jednak! Poświęcić „Żelazną Maskę” tylko po to, żeby rozsiać trochę plotek?

— Dla kogo pan pracuje? — zapytał. — Dla nas czy dla nich?

Ale kogo miał na myśli, mówiąc „my” i „oni”?

Fourveret położył mu rękę na ramieniu:

— Proszę nie robić krzywdy mojemu przyjacielowi Kurnosowowi. Kiedy myślę o wszystkim, co musiał znieść... Podniósł dłoń do piersi.

Kiedy Aleksander otworzył gazety następnego dnia, zorientował się zaraz, że do jego orkiestry dołączyła się nowa kapela, i z ulgą stwierdził, iż akcja prowadzona jest z wielką wirtuozerią. Można było sądzić, że dyrekcja jednak doskonale wiedziała co robi. Wszystko, co działo się do tej pory, było tylko precyzyjnym ustawianiem tarczy. Teraz padła komenda: ogień. To, że znalazł się w polu obstrzału, wcale Aleksandrowi nie przeszkadzało. Był, do diabła, żołnierzem, całkowicie zdolnym w sytuacji bez wyjścia do heroicznego okrzyku: „Strzelajcie do mnie!”. Wiedział także, że aby zatopić łódkę, trzeba ją rozchwiać. „Nie wiem, kto dyryguje tą drugą orkiestrą, ale widać, że zna się na rzeczy”.

Artykuł Etienne Depensiera, w którym Aleksander przeczuwał jeśli nie *agent d'influence*, to przynajmniej metodycznie używane „pudło rezonansowe”, charakterystyczny był dla całej symfonii.

Mamy to, na co zasłużyliśmy, zatytułował swój tekst znany dziennikarz, który w oczach inteligencji uchodził za autora humanitarnego i umiarkowanego:

Konferencja prasowa Kurnosowa wywołała zaskoczenie, ale trzeba się zastanowić, czy to zdziwienie, które dzieliłem z innymi, nie wywodzi się z naiwności właściwej krajom liberalnym, hipokryzji typowej dla społeczeństw burżuazyjnych. Jeśli o mnie chodzi, wskazałbym raczej na pewien brak demokratycznej czujności.

Nikt oczywiście nie może mnie oskarżyć o pobłażliwość dla reżimów stalinowskich i poststalinowskich. Tym łatwiej przyjdzie mi zauważyć, że nasze przywiązanie do wartości demokratycznych podlega silnej erozji. Pseudonauczanie pseudonowych pseudofilozofów opanowało szpalty naszych gazet i witryny księgarni. Reakcyjna grupka ośmiela się przybrać nazwę „nowej prawicy” i mimo to nie powstaje spontanicznie żaden trybunał

ludowy, żeby sądzić i skazać opryszków, którzy wyrosli jak pasożyty na gnuśnym organizmie naszej inteligencji. I my przyjmujemy z otwartymi ramionami ludzi, którzy zamiast brać czynny udział w największej rewolucji, to znaczy największej nadziei czasów nowożytnych, gotowi skierować ją na demokratyczne tory, jeśli się od nich oddali, przychodzą szlochać w nasze kamizelki, wyplakując cierpienia, jakich doznali. Panowie, nie można usmażyć omletu nie rozbijając jaj.

Pan Kurnosow powiedział co następuje: my, dysydenci, jesteśmy wszyscy (i to tu właśnie Wojewoda pozwolił wreszcie użyć „nieprzyzwoitego słowa”, którego do tej pory, zdaniem Abdurachmanowa, należało unikać) faszystami. Otóż oburzenie spowodowane tą deklaracją było bardzo umiarkowane. Niektórzy spośród moich kolegów dziennikarzy — dla ich integralności i talentu odczuwałem szacunek — nie tylko chwalili tę książkę, ale nawet wysłuchali do końca przemówienia. Zmusza nas to do poważnej refleksji.

Myślmy jasno i precyzyjnie, choćby miało od tego ucierpieć nasze, nieco zmieszczające, z gruntu republikańskie sumienie. Woleliśmy połyskliwość zmienności niż czysty blask pewności.

Mamy tu na myśli szczególnie pewnego agenta literackiego, którego związki ze skrajną prawicą są dobrze znane, a także pewne wydawnictwo, które, zdobywszy opinię obrońcy liberalizmu, zniża się do ciągnięcia zysków z reakcyjnych poglądów. Myślmy też o pewnym krytyku, niegdyś niezależnym, godnym szacunku i o pewnym piśmie, w którym dokonuje się jego degeneracja i które nie troszczy się już tak bardzo o własną obiektywność, choć wciąż mają w herbie. Myślmy również o pewnym pretendującym do bezstronności głosie, który tęskniąc do minionych przywilejów wydaje się wiązać nie wiadomo jakie okrutne nadzieje z ciemnymi siłami przyczajonego faszyzmu.

Quousque tandem Catilina, które musieliśmy recytować gdy byliśmy sztubakami, nie straciło nic ze swojej aktualności, o

czym uroczyście przypominam wszystkim tym biesiadnikom, którzy, jak się zdaje, cierpią na demokratyczną niestrawność. Domagamy się tolerancji, lecz nie dla przeciwników tolerancji, chcemy wolności, lecz nie dla wrogów wolności. Zniesiono karę śmierci dla synów ludu. Ale przeciwnicy, wrogowie ludu, którzy zresztą protestowali przeciwko temu, zasługują na to, by przywrócić ten wymiar kary. Nie mam na myśli śmierci, o której decydują wymowni sędziowie w czerwonych togach, nie, mam na myśli karę wymierzoną na oczekaniu przez obywateli w koszulach z zakasanyimi rękawami.

Pan Kurnosow przyznaje, że jest zabójcą, może niezręcznym, ale jednak zabójcą. Przyznaje, że opuścił szpital psychiatryczny, a nikt jeszcze nie utrzymywał, że w sowieckich szpitalach znajdują się wyłącznie ludzie zdrowi na umyśle. Jeżeli pan Kurnosow zarażony jest wścieklizną, czyż mamy pozwolić, żeby się nam udzieliła?

Zwracam się do opinii publicznej. Przeprowadźmy, przyjaciele, czystkę w naszym społeczeństwie, a przede wszystkim przyrzycmy się uważnie naszej inteligencji, warstwie, do której z dumą przynależymy. Jeśli tego nie uczynimy, pozwolimy, by znów rozpanoszył się najbardziej bezwstydnym faszyzm.

Jeśli tak się stanie, sami będziemy temu winni.

Nie trzeba było długo czekać na następstwa tego artykułu i tuzina tekstów jemu podobnych.

Zarząd wydawnictwa Lux pośpiesznie zwołał zebranie i jednogłośnie zdecydował przedwczesne przejście na — wysoką zresztą — emeryturę pana Fourveret. Naczelny redaktor «Obiektywu» zwrócił się do José Ballandara, tak, do legendarnego Ballandara, by zechciał sprzedawać swą prozę na innych łamach. Redakcja «Niezależnego» zmuszona była przeprowadzić redukcję etatów, której ofiarą padł de Monthignies. Podobne środki zastosowane zostały gdzie indziej. Prawie wszystkie dzienniki paryskie publikowały artykuły wstępne, których zadaniem było dogodzić wymaganiom Etienne Dépensier.

Aleksander z pewnym zakłopotaniem przyglądał się demon-
tażowi własnej orkiestry. „Przecież dyrekcja była zadowolona z
moich pudeł rezonansowych. Prawdopodobnie ma w zanadru
następnych Ballandarów, Fourveretów i de Monthigniesów. Tak
czy inaczej trzeba przyznać, że operacja powiodła się. Głowy
oszczędzone przez gilotynę chowają się w ramionach”.

Donosy weszły w modę. Każdy bił się ze skrucą w pierś są-
siada. Oskarżano się tym chętniej, że nikt od tego nie umierał.
Sprawa Kurnosowa ujawniła cały ocean zazdrości i zawiści. Na
początku podejrzani byli ci tylko, którzy pochwalili *Rosyjską
prawdę*. Potem ci, co jej nie zaatakowali. Być podejrzanym w
epoce jakobińskiej to tyle samo, co być winnym. Miejsca opróż-
nione przez skazanych Wojewoda obsadzał rzecz jasna własnymi
„pułkami rezonansowymi”, pionki zajmowały miejsce damy.

Aleksander zaczynał rozumieć, że operacja miała zatoczyć o
wiele szersze kręgi niż mu się pierwotnie wydawało. Pojął też,
dlaczego nie został wtajemniczony w tajniki tej strategii: oba-
wiano się, że mógłby zawahać się przed zniszczeniem własnego
dorobku i własnej reputacji: „Nie doceniają mnie”, pomyślał z
goryczą. Ale w końcu jakież to miało znaczenie? Wkrótce, za
parę tygodni, „wróci”.

Kurnosow nie przejmował się wcale rozwojem wydarzeń.

— Chcę — rzekł — kupić sobie dom.

Większość dysydentów chce sobie kupić dom. Aleksander,
któremu polecono dogadzać Kurnosowi, towarzyszył mu w po-
szukiwaniach. Obaj przeszukiwali prowincjonalne agencje nie-
ruchomości, jako że Kurnosow nie chciał osiąść w Paryżu:

— Chcę solidny dom, otoczony siatką.

— Czy nie ma pan dość życia za kratami?

— Chcę krat, które będą mnie broniły, a nie krat, które by
mnie zamykały.

— Czego się pan boi? Przecież zwolnili pana. Przyznano panu azyl.

— Pan ich nie zna. Wypuścili mnie, żebym wylał pomyje na dysydentów, ale gdy przestanę być im użyteczny mogą mnie zlikwidować. Nie chcę ułatwiać im zadania. Zresztą także i dysydenci mogą mieć do mnie pretensje.

— Czy pańskie sumienie, Michale Leontyczu, nie wyrzuca panu, że oczernił pan dobro, by dać satysfakcję złu?

— Dobro, dobro! Czy zauważył pan, że wszyscy dysydenci wywodzą się z uprzywilejowanej klasy społeczeństwa komunistycznego? W większości są to nienasyceńci prześladowcy. I żaden z nich nie uczynił tego, na co ja się zdobyłem, to jest nie podniósł zbrojnego ramienia na panujący system!

Odbywając wędrówki z Kurnosowem, Aleksander próbował dowiedzieć się czegoś o jego życiu: „Teraz powinien pan napisać swoją autobiografię”. Kurnosow odpowiadał: „Jestem człowiekiem jednej książki”. Albo: „W moim życiu nie było nic interesującego”. Czy też: „Moje ostatnie dni chcę spędzić z dala od publicznego życia”. Lekarze, którzy go badali po przyjeździe do Paryża, orzekli, że stan jego zdrowia nie jest dobry, lecz nie wykluczyli możliwości poprawy. Nie wierzył im. „Jestem starym chorym wilkiem”. Nic się nie dało wyciągnąć od niego na temat próby zamachu, jego młodości, powodów, które uczyniły z niego buntownika. Dysponował pewną kulturą polityczną, która jeszcze dodatkowo zabarwiała na czarno jego pesymizm. „A przecież w *Rosyjskiej prawdzie* zawarty jest pewien program, to znaczy jest w niej jakaś nadzieja”. „*Prawda* to książka, a ja jestem człowiekiem. Mówmy raczej o pieniądzach, dobrze? Pieniądze, to coś kojącego, to pokarm”.

I zaczął od nowa obliczać sumy pożyczek, jakie zaciągnie, by spłacić dom, procenty, które zarobi od zainwestowanych pieniędzy, dochody po odliczeniu podatków, a także zastanawiał się, jak zapobiec skutkom inflacji.

Sprawy te mało zajmowały Aleksandra, który z upodobaniem przyglądał się za to krajobrazom. Na początku sądził, że chory wilk będzie chciał się osiedlić na wybrzeżu. „Nie, za dużo ludzi. Z okien mojego domu nie chcę oglądać domu sąsiadów.” „To nie będzie bezpieczne dla pana”. „Sprawię sobie strzelbę myśliwską”. Zwiedzili we dwójkę Quercy, Périgrod i Limousin.

Aleksander słabo znał Francję. Stopniowo jednak stawał się wrażliwy na delikatne odcienie różnych pejzaży. Przypomniało mu się zdanie Machado: dobry Bóg był młody, gdy malował Hiszpanię, starszy, gdy wyrzeźbił Francję. Uderzyła go nieprzemijająca tajemniczość Francji: na pogańskiej ziemi wzniesiono niezliczone kościoły, drogi i szosy opasywały lasy i doliny, a jednak dusza krajobrazu i tak pozostawała nieuchwytna.

Zauważył też — on, który częściej zaglądał do muzeów niż na wieś — że krajobrazy, które spotykał, związane były z konkretnymi epokami. Niekiedy, późnym popołudniem, natrafiał na pastwisko ocienione przez majestatyczne drzewa, nieruchome białe krowy, nad nimi pokryte obłoczkami niebo, oświetlone przez niewidoczne słońce — siedemnasty wiek. Kiedy indziej, rano, strumyk, żywopłot okalający małe pole, młyn, lekka mgiełka, omszały mur, pokryty winoroślą dach, może też różowa twarzyczka dziecka ponad drewnianą bramą — wiek osiemnasty. Kiedy indziej był to odrestaurowany zamek, umyty przez deszcz, o lśniących krawędziach i otworach strzelniczych, otoczony ogrodami, sadami i opadającymi winnicami; pod zimnym, błękitnym niebem wznosiły się tyczki podtrzymujące fasolę. Bruzdy dzielące poletka, a także pionowe tyczki sprawiały, że Aleksander czuł żywą obecność Średniowiecza. Natomiast jesienne listowie, przerzucone nad szczytem kamiennego muru i, u kresu zarośniętej trawą alei, marmurowa, zielonkawa waza stojąca na poszczerbionej balustradzie — mówiły do niego językiem romantycznym. Z okresem romantyzmu czuł się najsilniej związany, może dlatego, iż był to złoty wiek w dziejach Rosji, a może

decydowały o tym względy czysto osobiste. Są w nas ślady wszystkich minionych epok, ale tylko niektóre spośród nich są nam prawdziwie bliskie.

Zdumiewały go i piękno, i stan, w jakim znajdowały się odwiedzone przez nich domostwa. Niektóre z nich zachowały tylko ściany i komin, inne, całkowicie zmodernizowane, wyłożone dywanami, wyposażone w loggie i lodówki, utraciły za to duszę. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że domy mają dusze. Uświadomił sobie zresztą, jak mało znał prawdziwych domów: nieco małych zamków, wiejskich rezydencji i, przede wszystkim, zwykłych mieszkań. Pomyślał, że nauczył się czegoś ważnego dowiadując się, że w pełni dwudziestego wieku nie wszyscy Francuzi zamieszkują mrowiskowce. „Muszę wracać. Jeżeli nie wrócę zaraz, skusi i mnie kupno domu”. Wyobraził sobie ganek, ogień na kominku, psy śpiące pod stołem, kurnik, gołębnik, konia. Niewątpliwie odtworzyłyby posiadłość swego dziadka, o której nieraz opowiadał mu ojciec. „Wyrywało się kogutowi pióra i przyozdabiało nimi głowę, bawiło się w Indian, zrywało ogórki z grządek i przywiązywało kuzynki do pala męczarni...”

Kurnosow znalazł jedno tylko domostwo dostatecznie strzeżone przez metalowy płot. Budynek był jednak zbyt wielki i w dodatku znajdował się wewnątrz zdziczałego parku, z którym nie wiedziałyby co począć. Tymczasem śpieszył się. Zadowolił się więc solidnym domem otoczonym przez ogród i mur. „Zabezpieczę mur odłamkami szkła”. Zasięgnął informacji co do możliwości opancerzenia bramy i okiennic. Był rozczarowany, gdy dowiedział się, że dom nie może stać się natychmiast jego własnością. Jak najszybciej złożył swój podpis pod umową. Tego samego wieczoru zaprosił Aleksandra na kolację w najlepszej restauracji w Limoges. Upierał się, żeby zamówić najdroższe dania i wina. Powstała z tego dość dziwna kombinacja pasztetu sztrasburskiego z *Clos-de-Vougeot* i homarem. Ale „Anonimowemu więźniowi” sprawił wielką satysfakcję fakt, iż mógł w ten sposób dogodzić swemu przewodnikowi.

— Żałuję — powiedział — że nie pomyślałem o tym, by przywieźć panu jakiś prezent. Na przykład starą ikonę. Gdybym o to poprosił, z pewnością pozwoliliby mi ją wywieźć.

Tymczasem w Paryżu sprawy zaczęły przybierać inny obrót.

Część opinii publicznej okazująca przychylność Kurnosowowi przygotowywała się do kontrnatarcia. Nie było to zbyt trudne, jako że chodziło tu o nonkonformistów z tak zwanej skrajnej prawicy, znających się między sobą. Dołączyło się do nich kilka osób stojących pomiędzy partiami, przeciwnych jakobińskiemu faryzeizmowi większości. Tak naprawdę, co można było zarzucić Kurnosowowi? Że jest antysowiecki? Czegóż innego można oczekiwać od dysydenta? Że nie darzy uczuciem miłości swych kolegów dysydentów? Czyż nie jest rzeczą powszechnie wiadomą, że ilość kapliczek jest u nich niemal równa ilości osób? I to nawet było zrozumiałe i oczywiste: odkrywali wolność myślenia i robili z niej użytek. Jedyne poważne oskarżenie dotyczyło „nieprzyzwoitego słowa” — „faszysta”. Otóż właśnie. Ale, przede wszystkim, co ono oznacza? Słownik mówi: „zwolennik systemu autorytarnego”. Kurnosow nikomu nie narzucił żadnego reżimu. Zresztą czy ktokolwiek odważyłby się utrzymywać, że Rosja dojrzała do demokracji? A w końcu czyż każdy reżim autorytarny musi być z gruntu zły? I tu każdy wsiadał na swego konika: jedni powoływali się na Tygrysa, inni na Generała, jeszcze inni na Marszałka. Byli tacy, co wspominali czasy *quattrocento* i tacy, co marzyli o „czterdziestu królach, którzy w ciągu tysiąca lat stworzyli Francję”. Rezultat: liczne prośby o wywiady, tym liczniejsze, że *Rosyjska prawda*, nie wystawiana co prawda w witrynach księgarń, w dalszym ciągu znakomicie się sprzedawała.

— Wywiadów nie udzielam.

Aleksander zaalarmował Iwana Iwanycza:

— Proszę, niech pan naciska.

Aleksander umiał przekonywać:

— Chce pan spłacić swój dom, uwolnić się od długu? Będzie pan potrzebował pieniędzy na życie, przecież wie pan o tym. Każdy wywiad zwiększa sprzedaż. Ci ludzie nie są najważniejsi, ale są panu przychylni, niech pan tego nie odrzuca. Czyż nie rozumie pan, że jeśli będzie się pan upierał przy odrzucaniu każdej propozycji, wszyscy zaczną się zastanawiać, czy nie jest pan kimś podstawionym. To prawda, że potrafi pan wyrecytować z pamięci niektóre fragmenty *Prawdy*, ale czyż to o czymś świadczy? Były już pewne insynuacje w prasie. Niektórzy myślą, że jest pan manipulowany przez KGB i w jakimś sensie tak rzeczywiście jest, inaczej nie wystąpiłby pan z tym małym wykładem o dysydentach. Im dłużej będzie się pan uchylać od spotkań z dziennikarzami, tym bardziej będzie pan podejrzany.

— Zgoda. Spotkam się z nimi.

Wywiady nie były specjalnie zajmujące. Dziennikarze chcieli przede wszystkim szczegółów zamachu, a Kurnosow wołał mówić o eurazjatyckim powołaniu rosyjskiego imperium. Tymczasem jeden z księgarzy, śmiały i pewien swej publiczności, poprosił „Żelazną Maskę”, by zgodził się na podpisywanie książki w jego księgarni. Naciskany przez Aleksandra, przystał na to.

Księgarnia znajdowała się przy uliczce dla pieszych, tuż obok Centre Pompidou. Aleksander słyszał o niej tylko — można w niej było znaleźć wszystkich autorów z czarnej listy, a jej właściciel, potężny wesołek z tołstojowską brodą i delikatnym głosem, przedstawiając się dorzucał zawsze: „Najbardziej prawicowy księgarz Paryża”. Wobec skrajnej prawicy Aleksander odczuwał ten sam niesmak co w obecności zwierzęcia, czy nawet człowieka, bardzo chorego: „Zdechnijże już wreszcie”. Nie bez pewnego zażenowania przekroczył próg księgarni, wyobrażając sobie, że znajdzie tam samych szlagonów albo może *clochardów* czy też spadochroniarzy. Lecz rój pszczeli, który tam brzęczał, niewiele się różnił od tłumu zapełniającego księgarnię mniej ezoteryczną. Zresztą Kurnosow wywołał już był taki skandal, że stał się

„osobistością”, i niektórzy śmiałkowie z paryskiej elity dołączyli się do stałych klientów, wśród których spotykało się studentów, kupców, przedstawicieli wolnych zawodów, wyglądem nie odbiegających od zwyczajnych obywateli. Być może wachlarz społeczny reprezentowany tutaj był nieco szerszy niż w księgarni na Saint-Germain-des-Prés. Było więcej dam w futrach z nurków, wygłodzonych kudłaczy, wojskowych w cywilu, prowincjuszy, archiwistów i anarchistów, ale w atmosferze nie wyczuwało się żadnych nadzwyczajnych, gdzie indziej nie spotykanych miazmatów.

Kurnosow już tam był. Nie można było nigdy przewidzieć, o której godzinie się pojawi. Codziennie przenośił się z hotelu do hotelu. „Czy rzeczywiście ma się czego obawiać?”, zapytał Aleksander Iwana Iwanycza. „Przysięgam ci, że nie chcemy mu zrobić krzywdy”, odrzekł tamten, a jego oczy stały się czule i łagodne. A jako że szczerłość jest niebezpieczną równią pochyłą, dorzucił: „Pamiętaj jednak, że gdyby się szykowała jakaś mokra robota, nie powiedziano by mi o tym. Ale szczerze mówiąc, bardzo by mnie to zdziwiło: piąty departament to cherylaki. Za czasów trzynastego, to co innego”.

Wśród mężczyzn, którzy otaczali Kurnosowa jakby aplikując mu rozgrzewkę przed występem, Aleksander rozpoznał pewnego byłego ministra, naczelnego redaktora okrzyczanego i krzykliwego czasopisma, a także drobnego wydawcę, który wywołał już dość skandali, by móc spodziewać się kariery. Jego upierścieniona dłoń bez ustanku sięgała do wewnętrznej kieszeni, jakby po to, żeby dotknąć książeczki czekowej. Bez wątpienia czynił nieuczciwe propozycje autorowi ze stajni Luxa, ale była to normalna wojna wydawców i Aleksander, który czuł się już bardzo odległy od tego, co Divo określał jako światek paryski, nie widział najmniejszego powodu, żeby interweniować.

Kurnosow odnowił swoją garderobę. Nosił gruby garnitur z czarnej prążkowanej flaneli, bardzo ciepły i okazały. Usiadł przy

małym stoliku i składał na lewo i prawo podpisy. Przynajmniej raz sprzedaż książek z podpisem autora zwabiła wielu chętnych.

— Panie Kurnosow, czy można powiedzieć o panu, że jest pan faszystą? — drobna dziewczyna w przydymionych okularach, o tłustych włosach, trzymała ołówek nad kartką notesu.

Kurnosow rozglądał się z niepokojem. Przecież Aleksander uprzedził go, co zastanie w tej księgarni: „Dopóki ci ludzie nie postanowili pana rozszarpać, będą bardziej liberalni lub mniej purytańscy niż inni. Można im wszystko powiedzieć”.

— Jestem faszystą o tyle, o ile Solżenicyn i Bukowski są faszystami. O tyle, o ile tylko faszyzm może zwyciężyć komunizm.

Pewna dama z pieskiem pod pachą — wydawało jej się, że jest w Pen Clubie — powiedziała z oburzeniem:

— Ależ panie Kurnosow, faszyzm został zmieciony z powierzchni ziemi pod koniec II wojny światowej!

— Faszyzm jest nieśmiertelny. Cezar był faszystą i Napoleon też.

— Ma pan więc nadzieję, że nastąpi renesans faszyzmu? — zapytał młody dandys, trzymający w ręku złote pióro.

— Powiedziałem w mojej książce wszystko, co miałem już do powiedzenia — odrzekł ostrożnie Kurnosow. — Następny proszę. Proszę pani, zechce pani napisać swe nazwisko na tej kartce papieru, nie chciałbym pomylić się w pisowni, byłoby to bardzo niegrzeczne.

Podpisywał w dalszym ciągu. Księgarz i jego pracownicy wciąż i wciąż znosili egzemplarze *Rosyjskiej prawdy*.

— Trzeba będzie pójść po książki do Luxa — powiedział właściciel księgarni.

Przed księgarnią zebrał się tłumek. Wewnątrz fotoreporterzy potrącali wszystkich swoimi opasłymi torbami.

— Pozwoli pan, panie Kurnosow? Może się pan uśmiechnie? Niechże pan nie robi takiej obrażonej miny! Co pan taki nadęty? Błyskały flesze.

Mały człowieczek w wytartym i zbyt długim płaszczu przecisnął się do pierwszego rzędu. Nosił okulary w kwadratowych oprawkach i z podwójnymi szklami. Miał lekko zajęczą wargę. Tkwił tam, z rękami wciśniętymi w kieszenie, nic nie kupując, z oczami utkwionymi w podłużnej, kościstej czaszce Kurnosowa. Być może chciał coś powiedzieć i nie miał odwagi. Być może coś przeszkadzało mu mówić, może nie miał pieniędzy na kupno książki.

— Następny proszę. Zechce pan napisać swoje nazwisko...

Kurnosow uniósł głowę. Jego spojrzenie zatrzymało się na zmiętej, nieśmiałej twarzy.

I wtedy, mimo obecności tłumu, wszystko rozegrało się w cztery oczy. Rzeczywiście między czterema oczami, ciemnymi i ponurymi. Z jednej strony gruźlicze węgle, a z drugiej łagodne i przerażone ślepka.

— Wiedziałem — powiedział Kurnosow po rosyjsku.

— Ty jesteś Gawierin — powiedział ten drugi po francusku.

— Jestem Kurnosow — odpowiedział Kurnosow, także po francusku, ale słabo, już w to nie wierząc, jak byk, który zadaje ostatnie ciosy rogami po śmiertelnym pchnięciu szpada.

— Nie jesteś żaden Kurnosow. Jesteś Arsenij Jegorycz Gawierin. A ja jestem Lew Aronowicz Zellman, i spaliśmy na tej samej pryczy w Workucie. Ty na dole ja na górze. Nazywałeś mnie „małpka”, ponieważ wdrapywałem się do góry. *Obiezianka*.

Głosik Zellmana uciszył wszystkich. Księgarz, jeszcze pochylony nad ostatnim stosem książek, ukazał swoją brodę między futrem z astrachanów i dzinsami. Jeden z dziennikarzy już wyciągał rękę w stronę telefonu.

— To oni cię wysłali? — zapytał Gawierin, wracając do rosyjskiego.

Zellman nie odpowiedział. Patrzył na Gawierina z głębokim współczuciem.

Jakiś student, blondyn, trzymający w ręku kwadratowy bloczek, zapytał bardzo grzecznie:

— Proszę pana, czy potwierdza pan twierdzenia tego pana?

— Ja mam dowody. Mam zdjęcia — powiedział Zellman, wciąż patrząc łagodnie na Gawierina, jakby chcąc powstrzymać go przed kłamstwem, a jednocześnie błagać o przebaczenie.

Gawierin opuścił swoje trupe powieki, grube, nowe pióro wysunęło mu się z palców:

— Potwierdzam.

Aleksander rzucił się do sąsiedniej kawiarni, żeby zatelefonować. Wykręcił numer zarezerwowany na wyjątkowe sytuacje. Natychmiast zaczął mówić:

— Tu Kobei. Chcę...

W słuchawce słodki głos recytował:

— Nie ma żadnego abonenta pod numerem, który pan wykręcił. Proszę sprawdzić w książce telefonicznej.

OBRÓT ŚRUBY

Tego dnia Pitman zamknął po raz ostami bladuróżową teczkę, nieco już zresztą wypłowiałą, na której trzydzieści lat temu napisał swoim prostym, okrągłym pismem o rozstawionych literach, czarnym atramentem złego gatunku, który po latach nabrał odcienia fioletowego, opalizując w niektórych miejscach, to jedno słowo: „Oprycznik”. Zanim podał teczkę sekretarzowi, majorowi Biełoszwejskiemu, zamyślił się nad tym długim okresem, który zaznaczył się tyłoma sukcesami. Wydawałoby się, że to wczoraj stał na galerijce łączącej wieże Notre Dame, i oto Ziemia trzydzieści razy zatoczyła krąg wokół Słońca, on zbliżał się małymi kroczkami do starości, kończąc to, co wówczas rozpoczął. Te same dłonie, ta sama teczka. „Jak ja się zmieniłem! Czy rzeczywiście tak się zmieniłem? W sumie zmieniłem się bardzo mało”. O, było jeszcze przed nim wiele *dossiers* do otwarcia, czekało nań wiele przygód, to jeszcze nie był koniec, absolutnie nie. A jednak jego aktualne życie było tak pełne intensywnych barw właśnie dlatego, że schyłek, choć jeszcze nie dostrzegalny, już się zaczął. Zamyślił się nad nieprecyzyjnością określenia „szczytu”; w pewien sposób ta chwila poprzedzająca dokonanie jest najwspanialsza, można jednak także uznać, że przyjemniejszy jest moment następujący potem, wtedy, kiedy można uznać, że dokonanie już jest za nami, i do syta rozkoszować się jego pełnią. Środek nocy wypada nie o północy, tylko później, południe przeżywa się o drugiej godzinie.

Prowadzenie Oprycznika przyniosło Pitmanowi najwięcej zysków w całej jego karierze. Ale zamykał to *dossier* bez żalu. Być może gdzieś w środku miał za złe Aleksandrowi Psarowi, że taki odniósł sukces, podczas gdy on przewidywał dla Oprycznika powodzenie o wiele bardziej umiarkowane. Jego diagnoza była: nie czerwony, nie mający wpływu na innych. Pozbawiony wpływu? Psar skompensował swój chłód, naturalny czy nabyty, przez taką intensywność w realizacji swych zamiarów, taką zdolność rzucaenia uroku na ludzi — że im wykręcało oczy, jak mówią Rosjanie — iż jego chłodny blask zaowocował obficie niż ciepłe powiewy agentów pozornie bardziej obiecujących. Czerwony? Psar złożył wszelkie dowody wierności, a jednak pozostawał na zewnątrz pewnego rodzaju etyki, być może pewnej estetyki.

Z drugiej strony Pitman żałował, iż upór Abdulrachmanowa nie pozwalał mu na wynagradzanie Psara według jego zasług. Przeciwnie, zmuszał go do opłacenia mu za jego nieocenione usługi niewdzięcznością i porzuceniem go.

Z innej jeszcze strony żałował, że nie może użyć Oprycznika po raz ostatni, ale on sam miałby ochotę to zrobić w sposób najbardziej klasyczny, w akcji dezinformacji bardziej zgodnej z duchem kontrwywiadu, sławnej akcji *Twardy znak*, z którą wiązał tyle nadziei i do której Aleksander cudownie się nadawał. Tak, niestety należało pogodzić się z tym, że Abdulrachmanow tracił wycucie, jak to się zdarza wielu starym artystom, szczególnie kucharzom. Jaka szkoda pozbywać się Oprycznika, wówczas gdy mógł jeszcze oddawać przysługi! Co za nędza, upierać się przy trzeciej fazie *Pskowa*, chociaż można by było łagodnie wejść w pierwszą fazę *Twardego znaku*!

To nie oznacza, że trzecia faza *Pskowa* nie miała przynieść satysfakcji. Zadenuncjowanie Gawierina przez Zellmana pozwalało Wojewodzie rozpocząć kampanię, której temat został mu dostarczony w zaklejonej kopercie w ubiegłym tygodniu: „Dysydenci są systematycznie manipulowani przez KGB”. Wielu już o

tym szeptało, oczywiście, a szczególnie sami dysydenci, przy czym każdy z nich żył w przekonaniu, że tylko pozostali są na usługach KGB. Teraz rzecz została udowodniona: ten, którego cały świat wziął za autora *Rosyjskiej prawdy*, za drugiego Sołżenicyna, nieomal za nowego Boga dysydentów, w rzeczywistości był pachołkiem (zdemaskowanym) rządu sowieckiego. Myśl, że większość innych dysydentów, a przynajmniej niektórzy spośród nich, była także pachołkami (jeszcze nie zdemaskowanymi) tego samego rządu, nasuwała się sama. Już teraz dysydenci stracili wiele ze swej popularności. Druga faza *Pskowa* pokazała ich jako faszystów, faza trzecia ukaze tych faszystów w roli współpracowników komunistów. Wtedy będą już naprawdę załatwieni i będzie się z nimi miało spokój przez parę lat. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że wrzawa, jaką na skalę światową podnosili dysydenci w obronie tego lub innego chuligana czy rozpustnika, była za każdym razem w najwyższym stopniu irytująca. Dysydenci byli jednak bezradni, jeśli nie mieli oparcia w zachodniej opinii publicznej. Odtąd, jeśli będą się zwracali o pomoc, usłyszą: „Faszyzm nie przejdzie” albo też „Komuniści mordery”. To zamknie im usta.

Trzecia faza funkcjonowała sama z siebie, podobna do tych ptaków, zabawek dziecięcych, którym wystarczyło dać lekkiego prztyczka, by kołysały się w nieskończoność. Także i jej zakończenie będzie proste, całkiem automatyczne. Sądy francuskie nie będą w stanie nic udowodnić Gawierinowi (jedeny dowód tożsamości, jakim dysponował, wystawiony był na nazwisko Kurnosowa). Wydawnictwo Lux było zagrożone przez napływające z różnych stron wielkie fale, jak łódka, w pobliżu której przepłynął wielki statek. Psar był podejrzany (choć nikt nie wiedział, w jakim stopniu podejrzenia te były uzasadnione) o mniej czy więcej świadome wysługiwanie się reżimowi sowieckiemu. Dawał o sobie też znać uśpiony szowinizm francuski: niektórzy światli dziennikarze przypomniał emigrantom, obojętnie jakim, aferę

Stawiskiego, Gorgułowa, a także pożyczkę rosyjską. Któryś z młodych krytyków napisze powieść z kluczem, gdzie Ballandar zostanie przedstawiony jako agent komunistyczny, jako że w ostatnich latach przesunął się nieco na prawo. Bilans był więc nadzwyczajny, nie tylko rozbity został klan dysydentów, ale i od nowa rozkwitł we Francji terror intelektualny. W dodatku operacja, która trwała dwadzieścia pięć lat, „rozpruła się” niejako sama z siebie („Największa finezja polega na tym — mawiał Abdurachmanow — by wasze montaże podlegały degradacji czysto biologicznej i nie zostawiały śladu”), podczas gdy praca prowadzona była w dalszym ciągu przez orkiestrę Wojewody.

A jednak... Czy takie ujęcie było wystarczające? Czy opłacało się oszczędzić życie prawdziwego Michała Kurnosowa, wielkiego myśliciela politycznego, po to tylko, by usunąć bez śladu Aleksandra Psara, rozproszyć komary dysydencji i zasiać strach (co nie jest wcale trudne) w szeregach zachodniej inteligencji?

Pitman westchnął.

— Czy zamykamy *dossier*, towarzyszu generale?

— Tak, Biełoszwejski, złożcie je w archiwum. (W odróżnieniu od innych dyrekcji, które niszczyły ślady własnych aktywności, dyrekcja «A» dbała o aspekt doktrynalny, o gromadzenie przykładów właściwie prowadzonej działalności.) Ściągnijcie pilota tak, żeby nawet nie miał czasu się pożegnać. Jego rodzina powróci parę dni później. Dacie pilotowi dwa tygodnie nadzwyczajnego urlopu w Soczi, pokryjecie wszystkie koszty. Zapytacie go, czy chce, żeby rodzina dołączyła tam do niego, czy też woli się z nią spotkać dopiero później. Jego żonie można zawsze powiedzieć, że powierzono mu nowe zadanie.

— A pułkownik dokooptowany Psar? Czy skreślić go z listy pracowników? Awansować? Czy ma prawo do emerytury? I co robić z pieniędzmi, które uzbierały się na jego koncie bankowym?

Pitman zawahał się. Abdurachmanow, którego kochał, był jak najgorzej usposobiony...

— Ze wszystkimi tymi decyzjami poczekamy jeszcze trochę.
— Dobrze, towarzyszu generale. Stanowisko *agent d'influence*, zajmowane do tej pory przez Oprycznika, przypadnie Chorążemu. Co towarzysz generał poleca w jego przypadku? Czy już teraz zacznie dyrygować swoją orkiestrą? Czy posłuży się tymi samymi rekwizytami co Psar? I kto będzie jego pilotem?

— Tu też poczekajmy jeszcze chwilę. Chorąży to agent uśpiony. Nie budźmy go jeszcze. Zacznie funkcjonować w sposób możliwie niezauważalny. Ma czas, już teraz jest zastępcą redaktora naczelnego francuskiego odpowiednika naszego «Ogonioka». Dysponujemy we Francji w tej chwili sześcioma innymi orkiestrami. Nie musimy za wszelką cenę uruchamiać natychmiast Chorążego. Jeśli zaś idzie o agencję... Nie. Koszt jej założenia zamortyzował się sześciokrotnie. Zostawmy ją Psarowi, niech to będzie nasz prezent na pożegnanie. Jeżeli tylko potrafi wyciągnąć coś jeszcze z agencji po ostatnim skandalu, będzie mu się słuszenie należał cały dochód. Zresztą, kto wie czy nie będziemy go jeszcze potrzebowali, a wtedy...

Pitman nie porzucił myśli o *Twardym znaku*, którego plany leżały w jego gabinecie.

— Ale jego honoraria, towarzyszu generale, nie będą już wypłacane? Mam na myśli zarówno wynagrodzenie we frankach jak i żołd w rublach?

— Zatrzymajcie to wszystko, ale nie ruszajcie jego funduszy, niech się zbierają. Później zobaczymy, co z nimi zrobić.

— Rozkaz, towarzyszu generale.

Biełoszwejski ruszył w stronę drzwi. Był to sympatyczny młody człowiek, nieco anemiczny, z lokiem jasnych włosów nad czołem, dumny bardzo ze swego angielskiego garnituru. Od czasu kiedy go nosił, zaczął unikać półobrotów przepisanych przez regulamin. Nie przeszkadzało to jednak Pitmanowi, i on nie był nigdy zbyt biegły w półobrotach. Już przy drzwiach Biełoszwejski obrócił się zgrabnie na piętach:

— Jeszcze jedna rzecz, towarzyszu generale. Co zrobić z Ałłą Kuzniecową? Już od trzech lat składa odwołania. Zatrudniamy ją przy pracach biurowych, poniżej jej kompetencji. Utrzymuje, że w ten sposób niszczy jej karierę.

— Dziękuję, żeście mi przypomnieli ten aspekt zagadnienia — Pitman bawił się ołówkiem automatycznym. — Skąd ona przyszła?

— Z drugiej dyrekcji głównej. Siódmy departament, sekcja druga. Zrobiła staż w manipulacji, pracując z turystami francuskimi, intelektualistami.

— Ach tak...

Cała ta historia z kobietą i dzieckiem nigdy nie podobała się Pitmanowi. Abdulrachmanow powtarzał mu ze dwadzieścia razy, że w sprawy związane z wywiadem człowiek angażuje się całkowicie, „razem ze swym ciałem fizycznym, kosmicznym i duchowym”, a jednak Pitman nie mógł uwolnić się od myśli, że zerowanie na więziach rodzinnych było czymś złym, tym bardziej, iż sam żywił tak wielkie uczucia rodzinne. Psar miał córkę. Dlaczego mu ją odbierać? Jakim prawem narzucano mu syna, który wcale nie był jego dzieckiem? Z uczuciem ulgi podjął Pitman decyzję o zaniechaniu — na tyle, na ile było to możliwe — szkaradnej inscenizacji wymyślonej przez Abdulrachmanowa, tego wielkiego człowieka, który uważał, iż stoi ponad dobrem i złem.

— Kapitan Kuzniecową wróci do dyrekcji, z której wyszła. Przedstawicie ją do awansu. I przygotujecie też, Biełoszwejski, mój samochód, pojedę do Wołkowa.

Spadł już śnieg, lecz było go za mało, by myśleć o sannie. Światosław będzie musiał poczekać do stycznia. W styczniu najstarsza córka Pitmana, Swietoczka, wyjdzie za mąż za tego porucznika z ministerstwa spraw wewnętrznych, który marzył o przejściu do KGB. Pitman pomoże mu w tym, ale nie zaangażuje całego swego autorytetu w tej sprawie. Dział kadr wyraźnie wołał chłopców, którzy mieli wszystko do zawdzięczenia tylko

własnym ręką, od kandydatów popieranym przez ich teściów. Zresztą, ten porucznik... Wybór, jakiego dokonała jego córka, nie zachwyił wcale Pitmana. Wyczuwał w Walerym niepokojącą słowiańską brutalność. Czy będzie dość czułym mężem? Swietoczka tak bardzo potrzebowała ciepła, czułości; w domu rodzinnym miała ich zawsze dość. Walery myślał tylko o poręczach i pierścieniach. Gdy tylko znajdował się w salonie, nie mógł sobie odmówić przyjemności zrobienia stójki na poręczu fotela. Ale czy gimnastyka akrobatyczna jest niezbędnym składnikiem szczęścia małżeńskiego? Jakim ojcem będzie Walery? Można się było obawiać, że stłumi w swych dzieciach wszelką tkliwość i że zaszczepli w nich pierwotny arywizm, dla którego bolszewizm będzie zaledwie przykrywką: „Daję, bierz; biję, zwiewaj”.

Pitman westchnął. Wzdychał teraz często. Być może jego ojciec, drobny krawiec, nie miałby nic przeciwko tego rodzaju etyce. Nie potrafił on jednak wzbudzić w synu wielkiego uczucia i dlatego Jakub Mojsiejewicz gdzie indziej ulokował swoje sentymenty, swój podziw i potrzebę naśladownictwa. Mały krawiec umarł skromniutko, cichutko przed dziesięciu laty, a teraz zbliżała się coraz bardziej śmierć tego drugiego, przybranego ojca, kolosa, giganta. Kończyła się jakaś epoka. Przed chwilą zamknął tamto *dossier*, a wkrótce zamknie się tamto niezwykle życie, jak księga we wspaniałej oprawie, pięknie żyłkowanej, księga o grubych kartach, bogato zdobionych i połączonych; księga zamknie się i wyda ostatecznie westchnienie, szelest wszystkich jej stronic, a na koniec rozlegnie się ostatni, definitywny dźwięk, ostatni stuk.

Dacza spoczywała pod ośnieżonym wzgórzem jak na widokówce. Cienka jak płat plastiku warstwa lodu pokrywała jezioro, tchnące chłodem i wilgocią.

Wielki człowiek spoczywał, jak w dawnych czasach, na skórzanej kanapie, otoczony przez swe książki i dywany, przez pistolety arabskie i mieszki na proch, które migotały miedzią i

srebrem na ścianach. To w takich pomieszczeniach żyli i umierali zamożni ludzie dawnego reżimu, carskiej Rosji. Małżeńska sypialnia nie bardziej jest typowo rosyjskim pokojem niż jadalnia typowym pomieszczeniem francuskim. Ale czy jest jakiś sens w tych rozróżnieniach, dotyczących ruchomości i nieruchomości? Pitman ze swej strony nie chciałby nigdy spać bez swej ciepłej Eliczki.

Kryjówka pogrążona była w mroku, okiennice były zamknięte, zasłony zaciągnięte, ale w kącie naprzeciw drzwi paliła się mała czerwona lampka, odbijająca się w srebrnym zwierciadle. To srebro było ikoną, a lampka — wiecznym światelkiem. Pitman nigdy przedtem nie widział tych przedmiotów u Abdurachmanowa. Zaczął się zastanawiać, czyjego przybrany ojciec przypadkiem nie zwariował.

Na kanapie piętrzyły się koce, futra i poduszki, które z trudem tylko dało się odróżnić w mroku. Z tego mauzoleum dobywał się tubalny głos, jeszcze potężny, lecz jakby pęknięty, załamujący się czasem i przechodzący w szept. Lecz dykcja nie zmieniła się wcale, wymowa była wciąż staranna, muzykalna, wytworna:

— Otóż jesteś, ekscelencjo!

Słysząc ten głos tak wyraźny, lecz tak mocno już naznaczony przez nadchodzącą katastrofę, Pitman myślał o polanach wypalonych już od środka, a żarzących się jeszcze i zachowujących do końca wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły swego unerwienia, swych włókien, i sęków i pęknięć, i potem nagle — wystarczy dotknąć je pogrzebaczem — rozsypujących się bezszelestnie i przemieniających się w szary popiół.

— Jak się pan czuje, Mohamedzie Mohamedowiczu?

Umierający nie wyrzekł ani słowa. Pomiedzy tymi dwoma mężczyznami nie mogło być mowy o kłamstwie. Przez długi czas milczeli obaj, jakby ciesząc się swą bliskością, czując po raz ostatni pożywnie ciepło łączącej ich przyjaźni.

— Nnno więc — zaczął wreszcie Abdurachmanow, nie rezygnując ze swego senatorskiego „nnno” — jak się ma mój podopieczny?

Oczy Pitmana przywykły już do ciemności. Rozróżniał teraz wielką głowę wciśniętą pomiędzy okrągłości poduszek. Dziwaczny czepek wydłużał jeszcze czaszkę, tak że stawała się podobna do głowy cukru. Na pół siedząc, Abdurachmanow położył dłonie na prześcieradle i jego ręce od czasu do czasu gładziły tkaninę, tak jakby poruszały się z własnej woli. Być może była to oznaka zbliżającej się śmierci.

— Mohamedzie Mohamedowiczu, od dawna chciałem pana poprosić... Nie miałem śmiałości... Ale to przecież pan właśnie... Wciąż nie chce pan, żeby on wrócił? Tak byłoby lepiej, właściwiej. Wyciągniemy wszystkie nitki. W końcu służył nam przykładnie.

W trzewiach Abdurachmanowa powstało jakieś drżenie, przeniosło się przez całe jego ogromne ciało, zgasło na wargach. Zapadł w sen, jakby zawieszony między świadomością i nieświadomością, w otchłaniach, w których nie można było go odnaleźć.

Pitman, trzymając ręce pomiędzy kolanami, siedział bez ruchu ponad godzinę. Później przeszedł do jadalni. Innokentij nakrywał do stołu: położył tylko jedno nakrycie. W kącie pokoju rozłożył już łóżko polowe: liczył na to, że Pitman zanocuje w daczynie. To nie odpowiadało Jakubowi, wolałby spędzić wieczór w gronie rodzinnym i wrócić tu nazajutrz.

— Słuchaj... — zaczął.

Niemy zwrócił ku niemu głowę. Na jego pustej, pokrytej zmarszczkami twarzy, z której wyrastał ogryzek nosa, pod szczotką włosów, Pitman dostrzegł dwa świecące wilgotne ślady, jak te, które zostają po przejściu ślimaka.

— Zostanę — powiedział.

Zadzwoił do domu. Eliczka nie była zadowolona.

— Eliczka, gdyby nie on, nie doszlibyśmy do niczego. A on ma przed sobą już tylko parę godzin.

Wrócił do pokoju Abdurachmanowa. W ciemności świeciły oczy starca.

— Likierku!— zażądał.

Wziął Pitmana za Innoktientija, gdy jednak Jakub zbliżył się do niego niosąc na tacy zieloną butelkę i mały kieliszek, uśmiechnął się:

— A, to ty. Połóż to tutaj, synku.

Jego szczęki poruszały się; dłonie leżące na prześcieradle drgnęły:

— Odsłoń okno.

Pitman podszedł do okna i rozchylił ciężkie, wzorzyste zasłony. Za podwójną szybą ukazała się ziemia usiana kryształkami śniegu, a nad nią ciemnogramatowe niebo, usiane kryształami gwiazd. Abdurachmanow chłonął ten widok, jakby chcąc po raz ostatni nakarmić oczy takim obrazem. Wymruczał dwa zdania, których Pitman nie rozumiał:

— Niewolnik tego, który przynosi przebaczenie, nie ma co być miłosierny. Syn tego, który przynosi przebaczenie, nie ma co być miłosierny.

Zdawało się, że nie wie, którą wybrać wersję. Mała przesądna lampka wciąż paliła się przed srebrnym zwierciadłem, które też się zaróżowiło.

— Zauważyłeś? — powiedział Abdurachmanow. — Umiera się prawie zawsze w innej porze roku. Urodziłem się w czerwcu. Zawsze wiedziałem, że umrę jesienią.

Pitman pochylił się nad nim i pocałował dłoń, tę małą dłoń, wieńczącą ramię olbrzyma.

— Idź— powiedział Abdurachmanow — idź jeść. Innokientij z pewnością ugotował dla ciebie zupę kalafiorową. Zdaje mi się, że czuję jej zapach. Ale pewnie się myślę, bo mój nos strajkuje od dawna.

Rzeczywiście była na kolację zupa kalafiorowa, i nawet śledź wędzony, i wódka. Pitman zjadł ten chłopski posiłek powstrzymując

szloch, który nie pozwalał mu połykać jedzenia. Powiedział sobie: „Jestem zbyt wrażliwy. A przecież nie ma nic niezwykłego w śmierci człowieka, który liczy sobie osiemdziesiąt jeden lat”.

Wytarł usta i wrócił znowu do swego przyjaciela. Abdurachmanow drzemał. Od czasu do czasu w półcieniu pokoju coś się zmieniało w oświetleniu: to Innokentij pojawiał się w obramowaniu drzwi.

— Nnno więc — powiedział naraz umierający silnym głosem, nie podnosząc powiek, które spoczywały na jego oczach jak ogromne muszelki. — Teraz pozostaje tylko oczekiwanie. Jak w skomplikowanych montażach. Czekać i za nic w świecie nie interweniować. Poczekać, aż zamarznie, aż mróz weźmie. Nic innego nie robi ten na górze, Wielki Monter. Czeka.

— Kto? — spytał Pitman, bojąc się zrozumieć zdanie Abdurachmanowa.

— Ten od największego ze wszystkich montaży. Czyż nie w ten właśnie sposób myślisz o stworzeniu, synu? I tak właśnie powinno być. Ty i ja jesteśmy tylko pałeczką przechodnią. Nie możemy się uważać za źródło promieniowania, za dyrygentów orkiestry. Jesteśmy zaledwie, mój plastikowy Jakubie Mojsiejewiczu, pudłami rezonansowymi. Pamiętasz, co mówi się w Księdze. Anioły zbuntowały się. Doszło do wojny. Ludzkość powstała w ramach operacji dezinformacyjnej przeciwko Szatanowi. Wąż, pamiętasz, wąż to przebrane słowo. Zakaz to element dezinformacji. Ponieważ trzeba było zmusić ludzi, żeby zainteresowali się dobrem i złem. W przeciwnym razie wojna z tym hitlerowcem Lucyferem byłaby przegrana. A ludzie, najlepszy sposób, żeby ich nakłonić do zrobienia czegoś... To ty, Kenti? Ty jesteś chłopem z chłopów, ale dobrze zaopiekowałeś się twoim generałem. Twój generał dziękuje ci. Słyszysz? Twój generał składa ci podziękowanie. To jak u Sun Tsu. Któregoś dnia, synu, powinieneś wziąć się do czytania Sun Tsu. On opowiada o Prefekcie

Hsiang, który walczył z dwoma buntownikami, których imion nie pamiętam. Zadał im straty i obłowił się przy tym. Wtedy jego żołnierze nie chcieli wrócić do walki, obawiając się że stracą to, co do tej pory złupili. Czy wiesz, co uczynił Hsiang? Posłał ich na polowanie i podpalił ich obóz. Żołnierze wracają. Łupów nie ma. Rozplakali się. Sun Tsu mówi wyraźnie, że się rozplakali. Wtedy prefekt zwrócił się do nich: „Panowie, to co straciliście jest niczym w porównaniu z tym, co wciąż jeszcze znajduje się w posiadaniu buntowników”. Żołnierze sami zażądali bitwy. Hsiang, powiada Sun Tsu, zarządził, by nakarmić konie i by każdy żołnierz dostał swój posiłek do łóżka. Dlaczego do łóżka, nie wiem. W każdym razie następnego dnia rano buntownicy zostali unieczystwieni. Podobnie postępuje Wielki Monter.

Pitman obawiał się, że jego mistrz kompromituje się, wołał jednak wyjaśnić sprawę. Zapytał go:

— Co pan chce powiedzieć, Mohamedzie Mohamedowiczu? Czyżby wierzył pan w Boga?

Nie otrzymał odpowiedzi. Abdurachmanow znów pogрузzył się w mroku.

Pitman przypatrywał się małej lampce. Co miała oznaczać? Po jakimś czasie Abdurachmanow znów się rozbudził:

— Wiesz— powiedział zwykłym głosem, tak jakby był zdrowym człowiekiem — jestem dość zadowolony z mojego życia. Udało mi się chyba odrobinę nagiąć Historię we właściwy sposób, raz czy dwa razy podstawilem nogę Szatanowi, często czyniłem go wykonawcą moich zamierzeń.

Pitman wiedział, który sposób był właściwy, nie był jednak pewien, czyjego mistrz zdawał sobie jeszcze z tego sprawę.

— Co to znaczy „we właściwy sposób”, Mohamedzie Mohamedowiczu?

Drżał cały. Jeżeli Abdurachmanow odpowie: w sposób wyznaczony przez Marksa i innych ojców Rewolucji, jego duch był jeszcze obecny. Jeżeli nie, to wielkie ciało nie kryło już żadnej

duszy. Abdurachmanow nie odpowiedział na to; Pitmanowi przynajmniej wydało się, że zmienił temat rozmowy:

— Czy czytałeś Dostojewskiego?

— Trochę.

Powieści Dostojewskiego nie były lekturą zalecaną w ich środowisku.

— Naszkicował mój portret, wiesz o tym?

Pitman zamknął oczy. Odczuwał ból. Tak bardzo chciał, żeby jego dobroczyńca umarł w pełni przytomności umysłu, jak przystało bolszewikowi. Być może lekarze umieliby to osiągnąć, ale Abdurachmanow zapowiedział, że jeśli sprowadzi mu się lekarza, przywita go strzałami z pistoletu. „Jestem za stary, żeby można mnie było wyleczyć, a on nie zechce umrzeć za mnie, więc o co chodzi?”

— Mohamedzie Mohamedowiczu, kto jest tym Szatanem, o którym pan mówi?

— Szatan, synu, to Wielki Démonter. Gdy byłem mały, wszędzie dookoła znajdowały się wielbłądy. Posadzono mnie na grzbiecie wielbłąda. Było wiele wielbłądów i derwiszy. I dywany piękniejsze niż ciało kobiety.

— Pan jest Uzbekiem, Mohamedzie Mohamedowiczu, to dlatego widział pan wielbłądy.

— Nie, mój tombakowy Jakubie Mojsiejewiczu, nie bardziej jestem Uzbekiem niż ty Żydem. Jesteśmy Rosjanami, mój złościutki Jakubie Mojsiejewiczu. Cała reszta, to dezinformacja, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Jesteśmy prawdziwymi Rosjanami, jedynymi prawdziwymi Rosjanami, z naszymi ciemnymi kędziorami, ty, który zrodzony zostałeś z Sema i ja, zrodzony nie wiadomo jak. Przyjrzałeś mi się kiedyś? Pozostali, Wielkorusy, potrzebni byli tylko do tego, żeby nam przytrzymać strzemię. Zobacz, jaka była ich historia. Naprzód ubлагali Wikingów, żeby zechcieli nimi rządzić. Później zgnetliśmy ich. Potem Polacy. Potem szukają sobie opiekunów w Niemczech... Rosja nigdy nie

rządziła się sama, mój synu, nigdy nie potrafiła nawet utrzymać stolicy w jednym miejscu. Jej jedyny sprawny przywódca od czasów Rewolucji był Gruzinem. Inni to amatorzy. Tak właśnie musi być. Imperium rosyjskie! Nic więcej nie trzeba dodawać. To jedyne nowoczesne imperium kolonialne, któremu się powiodło. Czy wiesz, dlaczego? Tak, nie było tu żadnych mórz do sforsowania, rozległość, ale także dlatego, że Rosjanie zawsze praktykowali integrację, hopla. Dajcie nam wasze kobiety, a narobimy wam maleńkich Rosjan. Pamiętasz tę książkę, którą kazał opublikować Oprycznik? Tam, gdzie były same statystyki? Dowiedzono, że imperium rozsypie się na kawałki. Dzięki temu Zachód był spokojniejszy, to było w porządku, dzielny Oprycznik. Zapomniano tylko o jednej rzeczy: że Uzbegy są bardziej rosyjscy niż sami Rosjanie. Prawdziwi Rosjanie są na wymarcu. Piją tak dużo, że stają się impotentami. Ich żony buntują się. Widziałeś wskaźniki demograficzne? Ty co innego, ty masz rodzinę, jesteś Rosjaninem przyszłości. A ja, ilu bastardów? Napłodziłem ich, Uzbeków, w łonach kobiet wielkorosyjskich i małorosyjskich, białoruskich i czerkieskich, żydowskich i lapońskich... Nie znam ich, nie chcę ich znać, ale pracowałem dla sprawy. Słyszałeś o micie Trzeciego Rzymu? Nie jest fałszywy, jako że tylko pierwsi rzymscy cesarze byli Rzymianami. A cesarzami przyszej Rosji, mój diamentowy Jakubie Mojsiejewiczu, będziemy my, ty i ja, August i Cezar... Nasz największy car, Borys, był moim kuzynem. Anglicy nie mylą się: wystarczy poskrobać Rosjanina, wyjdzie spod niego Tatar. Ale także i Żyd. I Bałt. I Polaczek. I Rosja będzie się tak długo skrobać, póki jej mieszanka nie będzie doskonała. Ale wtedy...

Abdulrachmanow znowu zapadł w niebyt, a Pitman odnalazł w sobie moralną siłę — czy może raczej słabość — by pogodzić się z degradacją intelektualną wielkiego człowieka. „Kochałem nie tylko jego inteligencję, ale całego człowieka. Dopóki więc choć jedna jego cząstka pozostanie przy życiu, będę go kochał”.

Przysiadł przy łóżku, tak żeby widzieć jak najdokładniej twarz Abdulrachmanowa, o cerze tak ciemnej, że na tle poduszek wydawała się całkiem czarna. Oddech był na zmianę szybki i powolny, niekiedy zanikał i znowu się pojawiał, podobny w tym do źle pracującego silnika. „Nie dożyje następnego dnia”, pomyślał Pitman.

Gdy Abdulrachmanow otworzył oczy, rozglądnął się wokół ze zdumieniem, po czym, ujrawszy ikonę, rozchylił wargi w lekkim uśmiechu. Pitman nareszcie zdobył się na odwagę postawienia mu tego pytania w najłagodniejszej formie, czując, że zniesie każdą odpowiedź, najbardziej absurdalną i poniżającą nawet:

— Po co to panu?

— Aha, to cię dręczyło. Zastanawiałem się nad tym. Dobrze, więc po pierwsze dzisiaj jest jego święto. Myślałem, że sprawi mu to przyjemność.

— Czyje święto?

— Matwieja, Mateusza. Gdy byłem mały, jego obraz był u nas w domu, i była stara służąca, która miała szczypczyki i... ty wiesz, knot.

— Ależ, Mohamedzie Mohamedowiczu, pan przecież pochodzi z rodziny muzułmańskiej. Muzułmanie nie znają ikon.

— Pochodzę, pochodzę, śmiesz mnie to pochodzenie. Może pochodzę z rodziny muzułmańskiej, ale zostałem ochrzczony. I być może mój ojciec również. Nazywam się Matwiej Matwiejowicz.

— Ale przecież mówił pan...

— Dezinformacja, mój cukierkowy Jakubie Mojsiejewiczu, de-zin-for-ma-cja. W tamtym momencie nie warto było być chrześcijaninem.

— Chce pan powiedzieć, że... że jest pan chrześcijaninem?

— Mój synu — powiedział Abdulrachmanow — istnieje tylko jedna religia.

Westchnął i całe jego ciało poruszyło się przy tym.

— Zauważ, to nie jest Mateusz Ewangelista, to nasz Matwiej,

Pieczerski, Rosjanin. O, jakże kochałem Rosję, mój synu. A najadłem się jej sporo.

Jego oczy szukały czegoś niepewnie.

— Czy chcecie likieru, towarzyszu generale?

Pitman nie odważał się mówić ani Mohamed, ani Matwiej.

— Myślę, mój mały, że już nie będę więcej pił na tej ziemi. Mój organizm nie chce już nic przyjąć.

Jego oczy odnalazły ikonę, zatrzymały się na niej i zdawało się, że odnalazły dzięki temu spokój.

Abdulrachmanow zamilkł znowu, tym razem nie zamykając oczu. Później Pitman zapytał go, czy cierpi.

— Już nie wiem — odpowiedział Abdulrachmanow.

Zsuwał się po pochyłości, nie próbując nawet uchwycić się wystających gałęzi. Ale czasem zatrzymywał się w tym upadku, jak balon, do którego wdmuchnięto porcję ciepłego powietrza. Właśnie w trakcie jednego z tych momentów bliskich upojenia Abdulrachmanow wyjawiał Jakubowi tajemnicę czapek-niewidek.

— Wypadałoby, żebyś zaczął rozumieć, na czym polega nasza praca. Czy oni pozwalają ci zorientować się w tym?

— Tak, wydaje mi się, że odgaduję...

— No właśnie, właśnie. Pamiętasz, co się stało z Bukowskim? Wpadliśmy na pomysł, żeby wymienić go na kogoś tam z Chile, aby pokazać światu, że wcale nie jesteśmy bardziej brzydki i niebezpieczni niż Chile. Leonid Iljicz nie zgadzał się na to. Wmówiliśmy mu, że Bukowski to wariat. Gdy przekonał się, że tak nie jest, było już za późno. Niczego nie podejrzewał. Wrzeszczał, ale był pewien, że źle nas poinformowano. Oni zorientują się dopiero za kilka dobrych lat... Tak, jeżeli chcieli w dalszym ciągu jechać na swojej ideologii, nie powinni byli tworzyć naszej dyrekcji. Dopóki jeszcze byliśmy małym departamentem, wykonującym określone polecenia... Teraz dysponujemy planami na dwadzieścia, trzydzieści lat naprzód... Nie można zatrudnić zawodowych kłamców, nie przyznając im monopolu na prawdę.

My, my w areopagu, jesteście fabryką prawdy. Do użytku zewnętrznego, do użytku wewnętrznego. Wziąwszy pod uwagę rozwój techniki... to my wytwarzamy wszystkie obrazy. Mogą nas rozstrzelać, ale nie poradzą sobie z obrazami, które już wyprodukowaliśmy. My zaplanowaliśmy już dwudziesty pierwszy wiek, mój synu. Wszystko się zazębia, wszystko się zgadza. Gdyby nawet nas zabrakło, musieliby i tak podążać zgodnie z naszymi drogowskazami, bo nigdy nie będą wiedzieli, jakie jest ostatecznie kłamstwo. Nigdy nie wyjdą z naszego labiryntu. W tym czasie, mój, mój... Jakubie Mojsiejewiczu... (zawiodła go wynalazczość językowa) w tym czasie my poprowadzimy ludzkość do szczęścia, to jest do Dobra. Chodzi o jeden i ten sam cel, jeśli idzie o Rosjan, będą trzymali strzemie. W porządku. Ale w ogóle... Rosjanie... nie są potrzebni.

Pitman nie wiedział, czyjego mistrz pada ofiarą niewiarygodnej megalomanii, co zdarza się czasem ludziom umierającym, czy też mówi prawdę. On sam przeczuwał już wcześniej ten sekret: ci, co mają klucze do dezinformacji, muszą mieć też dostęp do informacji, a to oznacza panowanie nad światem.

- Zimno mi — powiedział nagle Abdulrachmanow.
- Kenti! Jeszcze jeden koc.
- Nie — powiedział Abdulrachmanow. — Dywan.

Pitman wybrał dywan, który wydał mu się najpiękniejszy, kwadratowy, lazurkowo-ciemnopurpurowy, ozdobiony deseniem w kształcie rombów. Przykrył nim ciało swego nauczyciela jak sztandarem, i tylko głowę zostawił na zewnątrz. Tkanina dywanu była tak sucha i twarda, że nie wydawało się, by mogła zatrzymać ciepło, być może jednak umierającemu nie chodziło o ciepło w znaczeniu czysto fizycznym. Pod przykryciem tak sztywnym i tak hieratycznym przypominał raczej postać wyrzeźbioną na wieku sarkofagu niż człowieka z krwi i kości.

- Czy tak lepiej?

Abdulrachmanow nic nie odpowiedział. Jego oczy stały się szkliste.

Innokentij zawył z bólu, a Pitman nie wiedział, jaki wykonać gest. Nagle wydało mu się, że ta śmierć ma w sobie coś niesłusznego. Czuł, że jego dobroczyńca zasłużył na śmierć bardziej doniosłą, inną, a nie w takich okolicznościach, przed nimi dwoma.

Chwila niepewności nie trwała długo. Pitman padł na kolana przy łóżku i przycisnął policzek do starego bucharskiego dywanu. Płakał, a tuż obok niego Innokentij, też na klęczkach, robił szeroki znak krzyża, wracając do przyzwyczajień z dzieciństwa. Przyciskał przy tym z wielką siłą palce do czoła, ramion i piersi, jakby tym samym mógł jednocześnie wyrazić swoją miłość i pobożność.

Generał-pułkownik Abdurachmanow Mohamed Mohamedowicz, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, dwukrotny kawaler Orderu Lenina, odznaczony orderem Czerwonego Sztandaru, orderem Wojny Patriotycznej, insygniami honorowego czekiisty, miał uroczysty państwowy pogrzeb. Członkowie korpusu dyplomatycznego wzięli w nim udział wyłącznie z chęci przypodobania się gospodarzom, bo nie wiedzieli, kim była ta osobistość, której nazwiska nigdy nie słyszeli. Było wiele przemówień i generał-porucznik Pitman, w którym wielu rozpoznało ukochanego ucznia i w pewnym sensie duchowego dziedzica zmarłego, mówił przez pół godziny o absolutnej lojalności nieboszczyka. To właśnie ta lojalność sprawiła, że tyle jego nadludzkich misji uwiecznionych zostało sukcesem. Żadnych dodatkowych informacji na temat tych nadludzko trudnych misji. A jeśli chodzi o lojalność, Pitman nie bardzo wiedział, co należało o tym myśleć. Tak, Abdurachmanow służył ojczyźnie i Partii lepiej niż ktokolwiek inny. Ale czyż na łożu śmierci nie dał do zrozumienia, że ojczyzna i Partia były dla niego tylko środkami? Środkami do osiągnięcia jakiego celu? Dobra i szczęścia. Czyż Partia nie jest najwyższym sędzią dobra i szczęścia?

Po zakończeniu pogrzebu odbyła się oczywiście stypa, z której wielu wyszło tak ślaniając się na nogach ze smutku, że musieli być odwożeni przez swoich szoferów, chociaż dzień pracy

jeszcze wcale nie miał się ku końcowi. Pitman nie należał do nich, pił mało i ostrożnie. Kazał się odwieźć do Pałacu Roztopczynów i zamknął się w swoim pokoju. Kiedy wielki człowiek umiera, najpilniejszą sprawą dla jego wyznawców jest obalenie jego testamentu. Nie inaczej miało się stać i tym razem.

Z rękami założonymi na plecach Pitman najpierw przespacerował się po swoich własnych dywanach, które były tylko imitacjami starych, jako że Eliczka nie pochwałała przesadnych wydatków. Chodząc kołysał się i wykonywał piruety. Ogólnie rzecz biorąc mimo cierpienia był raczej radośnie podniecony. Poniósł stratę nie do naprawienia, myślenie o niej, roztrząsanie jej, nie mogło niczego zmienić. Śmierć Abdurachmanowa spowodowała wielką wyrwę w szeregach areopagu, Dyrekcji, w całym KGB. Należało się liczyć z poważnymi przeszerogowaniami personelu i, do diabła, Pitman miał zamiar również z tego skorzystać. Czyż nie tego właśnie życzyłby sobie Abdurachmanow? Po piętnastu minutach nieskoordynowanego marszu, kiedy to raz miał łzę w oczach, to znów uśmiechał się, Pitman zatrzymał się przed sejfem i otworzył go. Wyciągnął stamtąd kartonowe pudełko, na którym prócz firmowego nagłówka dyrekcji «A» można było przeczytać słowa „Absolutnie tajne”. Postawił pudełko na stole, usiadł i rozwiązał błękitne sznurki, które przytrzymywały pokrywkę.

Wewnątrz znajdowała się seledynowa teczka, z jednym, wypisanym ciemnozielonym atramentem znakiem zamiast tytułu. Był to twardy znak alfabetu rosyjskiego, niezwykle rzadko używany, nie dający się wymówić sam w sobie i służący wyłącznie do waloryzacji poprzedzającej go spółgłoski. Pitmanowi spodobało się, żeby nadać swojemu ukochanemu planowi nazwę, której nikt nie mógł wymówić bez dodatkowych wyjaśnień. Z trudem tylko można było znaleźć coś jeszcze bardziej nieuchwytnego, lecz właśnie rzeczy nieuchwytnie składają się na codzienność

służb wywiadowczych. A poza tym *Twardy znak* świetnie pasował do stylu dyrekcji. Litera ta, będąca w użyciu w carskiej Rosji, mogła również sugerować twardość i nieustępliwość reżimu sowieckiego. Istnieje w języku rosyjskim miękki znak. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby nazwać jakąś operację „miękkim znakiem”.

Pitman otworzył teczkę i oblizując wargi, jak każdy autor czytający swą własną prozę, wycelował okulary w pierwszą stronę tekstu:

Od chwili, kiedy to, co określamy mianem, nieprecyzyjnym, lecz wygodnym, faszyzmu, a co lepiej byłoby nazwać narodowym socjalizmem (*Nationalsozialismus*), poniosło klęskę, którą uznać można za ostateczną, w świecie zmagają się z sobą dwie siły. Jedna z nich, energiczna, konstruktywna, agresywna, ożywiona wielką wiarą w samą siebie, to marksizm-leninizm. Druga, apatyczna, konserwatywna, pokojowa, pozbawiona ideałów i natchnienia, to kapitalizm. Założywszy, że żadna zmiana nie naruszy tej równowagi, a raczej nierównowagi sił, można już w tej chwili przewidzieć zwycięstwo marksizmu-leninizmu. Zatriumfuje on jako taki, albo też posłuży się, jak Grecy koniem trojańskim, socjalizmem nienarodowym.

Nie powinien nas jednak usypiać przesadny optymizm. Jeśli posłużymy się jako przykładem jednym z krajów zachodnich, Francją, możemy zauważyć, że doszło tam do pewnego wrzenia intelektualnego; mogłoby ono w końcu spowodować uformowanie się trzeciego prądu ideowego, którego dalsze losy trudne są obecnie do przewidzenia. Pojawiając się w jakimś konkretnym kraju, ruch tego typu mógłby gwałtownie się rozszerzyć na cały Zachód, dzięki nowoczesnym środkom komunikacji. I wówczas stanęlibyśmy w obliczu konieczności wywołania otwartego konfliktu, zamiast zadowalać się oczekiwaniem na zgniecie przeciwnika i powiększanie się przyszelej zdobyczy.

Oceńmy trzeźwo sytuację. Tego typu prąd jest nie tylko prawdopodobny, lecz jest prawie niemożliwe, biorąc pod uwagę

reguły dialektyki, aby jakieś wzburzenie tego typu nie zagroziło realizacji naszych projektów. Nie możemy przewidzieć, czy ruch ten odwoła się do wartości wstecznych czy postępowych, religijnych czy humanitarnych, zrodzi się w masie ludowej czy też będzie elitarny, czy będzie miał poważne szanse, żeby nas postawić w trudnej sytuacji, czy rozprzestrzeni się również w krajach, które korzystają już z systemu komunistycznego. Jakkolwiek będzie, możemy uznać jego pojawienie się za coś niezbieżnego. W takiej perspektywie aktualna konserwatywna tendencja Anglii, Niemiec Federalnych, Australii, Szwecji, a przede wszystkim USA nie jest, wbrew pozorom, neutralizowana przez tę tendencję, która jak się wydaje, zwyciężyła teraz we Francji. Nie należy bowiem zapominać, że Francuzi posiadają tę cechę szczególną, iż nie głosują na frakcję, do której mają więcej sympatii — pozostawiając ją w ten sposób w opozycji — ponieważ wszelka władza wzbudza ich wstręt.

Założywszy, że prosty i czysty kapitalizm nie nabierze nagle drugiego oddechu, możemy uznać prawdopodobieństwo utworzenia się Trzeciej Partii Światowej, która teoretycznie będzie równie wroga wobec burżuazyjnego kapitalizmu, co wobec proletariackiego komunizmu. Ponieważ jednak partia ta będzie mogła się rozwijać swobodnie tylko w krajach kapitalistycznych, można przewidzieć, że będzie ona szczególnie uczulona na komunizm, bo tylko on będzie dla niej zagrożeniem. Ta trzecia siła, obdarzona większą witalnością niż kapitalizm, może, przynajmniej przez pewien czas, opóźnić nasz pochód ku promiennej przyszłości.

Gwałtowne unicestwienie takiej uformowanej grupy przysporzyłoby nam problemów i nie byłoby całkowicie zgodne z duchem, w którym organy bezpieczeństwa państwa sowieckiego zwykły działać. Natomiast zawiązanie się takiego ugrupowania nie może być w żadnym wypadku groźne dla naszego kraju, a mogłoby nawet przekształcić wymierzoną w nas broń w skuteczne

narzędzie. Można więc wyciągnąć wniosek, że w przypadku, gdyby formowanie się tego typu partii opóźniało się, byłoby dobrym posunięciem strategicznym dostarczenie potrzebnych katalizatorów po to, aby zgromadzić wokół kontrolowanej przez nas bazy wszystkie elementy potencjalnie zainteresowane taką działalnością. Mówiąc inaczej, w naszym interesie leży rzucenie na Zachód magnes, który będzie do nas należał i który przyciągnie do siebie opiłki żelaza nowych idei i ich wyznawców. Jest całkowicie oczywiste, że aktualna dyrekcja lepiej niż ktokolwiek inny nadaje się do prowadzenia tej akcji.

Przypomnijmy, że operacje tego typu, choć na mniejszą skalę, prowadzone były już z powodzeniem: siatka *Trust* pozwoliła nam nie tylko wydrenować poważną część białej emigracji, lecz w dodatku subwencjonować pewną ilość naszych własnych operacji przez Stany Zjednoczone, które działały w przekonaniu, że finansują ugrupowanie kontrrewolucyjne. Dalej, partia Młodych Rosjan, prowadzona przez jednego z naszych agentów przenikających, pozwoliła skłócić z sobą różne pokolenia emigracji, jak również wchłonąć i wysterylizować wszystkie talenty, które mogły być przyciągnięte przez faszyzm.

Ale sytuacja międzynarodowa mocno się zmieniła. Szczególnie rosyjska emigracja, całkowicie izolowana w latach dwudziestych i trzydziestych, odgrywa obecnie pewną rolę w świecie. Jej przedstawiciele, jakakolwiek byłaby ich jakość, są przyjmowani przez szefów państw, deklaracje ich są publikowane w prasie, pojawiają się w telewizji, kształtują opinię publiczną. To, co planujemy w ramach montażu *Twardy znak*, to posłużenie się tym wniknięciem naszych dysydentów w świat zachodni tak, byśmy my z kolei mogli go przeniknąć. Jeśli tego zechcemy, to Trzecia Partia, której utworzenie wydaje nam się nieuniknione, mogłaby się skryształizować wokół tych dysydentów, ponieważ *a priori* sympatyzują oni z ideami liberalnymi.

Dyrekcja, skonsultowana w sprawie decyzji dotyczącej A. Sołżenicyna, zaleciła po prostu ekspulsję, w nadziei, jak sobie przypominamy, utworzenia się wokół niego zbiorowiska zwolenników skrajnej prawicy, składającego się nie tyle z emigrantów co raczej ludzi Zachodu. Jak wiadomo, każda koncentracja przeciwnika w określonej przestrzeni poprawia warunki obstrzału, w sensie i psychologicznym i materialnym (zobacz *Vademecum agent d'influence*: każde uderzenie musi przesunąć czerwoną i białą kulę przeciwnika na pozycję, która pozwala na następny karambol). Operacja ta nie przyniosła oczekiwanych rezultatów, ponieważ osobnik ten natychmiast wywołał niezadowolone ludzi Zachodu, nawet dobrze wobec niego nastawionych. Rzeczywiście, nie dopilnowano, by w jego pobliżu znalazł się zatrudniony przez nas manipulator, i osobnik ten skazany został na swoje własne nieprzejednanie.

Za to na terytorium ZSRR, kiedy tacy osobnicy pozostają w naszych rękach, tego rodzaju operacje prowadzone są z powodzeniem dzięki współpracy z drugą Dyrekcją Główną (patrz referencje w aneksie).

Mówiąc inaczej, sukces planu takiego jak *Twardy znak* polega na odpowiedniej manipulacji „katalizatora” przez *agent d'influence*, chyba że, jak w operacji *Młodzi Rosjanie* wspomnianej wyżej, wykonawstwo powierzone jest bezpośrednio *agent d'influence*, poprowadzonemu przez oficera-pilota. Tym niemniej w przypadku branym pod uwagę takie uproszczone rozwiązanie nie wydaje się godne polecenia z następujących powodów:

— „katalizator” nie omisszka wzbudzić podejrzeń organów przeciwnika, i jego legenda, jeśli w ogóle istnieje, zostanie kawałek po kawałku zdemontowana; najmniejsza luka będzie zauważona i operacja stanie się niemożliwa;

— dezinformacja i wywieranie wpływu mogą być stosowane, jak wiadomo, tylko poprzez system pośredników, których niewinność i oddalenie od źródła uwierzytelniają dostarczone im fałszywe informacje.

Wydaje się nam więc istotne, aby wybrany „katalizator” nie zdawał sobie sprawy z powierzonej mu roli i żeby stał za nim wypróbowany *agent d'influence*...

Dotarłszy do tego miejsca Pitman zatrzymał się. Świętej pamięci Abdurachmanow wymagał zawsze, aby raporty napisane były starannie:

— Nie jest pan policjantem, którego zadaniem jest regulacja ruchu ulicznego, żadnym tam Dzierzymordą! Jest pan myślicielem politycznym i niech pan nie zapomina, że styl jest formą myśli.

Wszystko szło dobrze do tej pory, lecz teraz trzeba było dorzucić paragraf, być może nawet cały rozdział, którego plan ukształtował się natychmiast w czujnym umyśle Pitmana:

1. Podkreślić

a) że osobnik i jego manipulator, odpowiadający naszym oczekiwaniom, są bardzo trudni do znalezienia;

b) że właśnie dyrekcja dysponuje w tej chwili dwoma indywidualiami, które mogą utworzyć pożądaną konstelację.

2. Nakreślić

a) karierę Oprycznika i wykazać, dlaczego byłby idealnym manipulatorem;

b) kwalifikacje autora zamachu przeciwko Breżniewowi, któremu nadano pseudonim *Diak*; wykazać, dlaczego byłby najlepszym możliwym katalizatorem.

3. Zrobić bilans

a) wydatków poniesionych na utrzymanie *Diaka* i usług oddanych przez niego — nie ma między nimi właściwej proporcji;

b) działalności Oprycznika, precyzując, że nie ma żadnego powodu, by zrezygnować z usług doświadczonego i pełnosprawnego agenta. Dorzucić być może notę: „Oprycznik poprosił o zakończenie swej misji, lecz nie wydaje się, żeby w jego przypadku chodziło o zmęczenie lub ryzyko demaskacji. Agent po prostu powołuje się na obietnicę sprzed trzydziestu lat, której nie ma powodu nie dotrzymywać. Proponuje się tylko opóźnienie jej spełnienia. Powołuje się on również na swe pragnienie, bez wątpienia prawowite, poznania matki ojczyzny. Nie jest to jednak nic pilnego”.

Przez trzydzieści lat Aleksander był prowadzony, podtrzymywany, nadzorowany, chroniony. Nagle znalazł się sam, jak sierota, w wielkim świecie. Nie umiał pływać i wyrzucono go za burtę.

Pierwsza myśl, którą podsunęła mu intuicja, była dobra: „Opuścili mnie”. Ale natychmiast opanował się, to znaczy nauczył się pływać i kłamać sobie. Nie, *oni* nie opuścili go. Wydarzyło się zapewne coś, co łatwo sobie wyobrazić: policja francuska wpadła na ich trop i dla ogólnego bezpieczeństwa podczas kilku godzin lub kilku dni musi unikać wszelkiego kontaktu z *nimi*. Taka sytuacja, przypominał sobie teraz, była uwzględniona w instrukcjach, których nauczył się na pamięć podczas kursu w Brooklynie: jeśli kontakty drogą zwyczajną są zablokowane, posłużyć się sygnałem alarmowym. Jeśli i to nie działa, poczekać. To centrala ma nawiązać zerwane połączenie. Zaczął wyrzucać sobie swoją chwilową panikę. Był oficerem, powinien się trzymać w garści. Nie było w tym nic dziwnego, że podstawienie Gawierina rzuciło na niego podejrzenie, na niego, Psara, który był przecież gwarantem fałszywego Kurnosowa. Dyrekcja musiała z pewnością oczekiwać wielkiej akcji kontrwywiadu: podsłuch, śledzenie, prowokacje, i w interesie Aleksandra poczyniono kroki, żeby to niczego nie dało.

Uspokojony, Aleksander zadał sobie oczywiste pytanie: czy Zellman był wysłany przez dyrekcję? KGB musiało dobrze wiedzieć, że Gawierin nie był Kurnosowem. Czy należało wyobrażać sobie, że popełniona została jakaś nieostrożność i że Zellman zwolniony został przez pomyłkę? Czy też, przeciwnie, chodzi tu o montaż i Gawierin został przedstawiony jako Kurnosow po to, żeby mieć okazję do zdemaskowania go? Dwa argumenty przemawiały na korzyść tej drugiej hipotezy: zwyczajowa sprawność dyrekcji, a poza tym fakt, że telefon alarmowy został wyłączony przed, a nie po publicznej demaskacji.

Jeszcze raz zirytowało wtedy Aleksandra, że nie został uprzedzony. Do niego należało teraz stawić czoła burzy i można było mu dać instrukcje, zakładając, że burzę tę wywołano specjalnie. Próbował się pocieszać. Być może traktowano go już jak członka hierarchii, a nie jak agenta. To dlatego pozostawiono mu swobodę podejmowania inicjatyw dla dobra służby.

Został wezwany przez DST, francuski kontrwywiad, złożył mu też wizytę inspektor wywiadu. Nikt nie podejrzewał w panu Psarze agenta, ale zadawano sobie pytanie, czy przypadkiem on sam nie był manipulowany. Chciano mieć informacje na temat kanału przerzutowego do Rzymu. Uprzejmie, kategorycznie odmówił odpowiedzi. „Jestem agentem literackim, wykonuję swój zawód, zostałem wprowadzony w błąd przez pokazane mi dokumenty osobiste, nie jestem zaangażowany politycznie...”

Gawierin próbował zniknąć, potem jednak pojawił się w agencji: „Chcę mówić”. *Rosyjska prawda* widniała teraz na listach bestsellerów i coraz więcej chętnych domagało się wywiadów. Gawierin przyjmował wszystkie propozycje i za każdym razem opowiadał inną historię. Raz był prawdziwym Kurnosowem, którego zdrowie psychiczne nadwyrężone było przez pobyt w szpitalu specjalnym. Kiedy indziej był wysłannikiem, którego zadaniem było zaszkodzenie księżce. Kiedy indziej jeszcze przedstawiał się jako osoba dyrygująca siatką antykomunistyczną, mającą swych ludzi nawet w Radzie Najwyższej. Czasem okazywał się pułkownikiem, zbiegiem z CIA. Niepokoiły go dwie rzeczy: „Czy zostanę wydalony z Francji? Czy odbierze mi się moje pieniądze?” Załatwił sobie bowiem, poza honorariami i okazałą zaliczką, także pożyczkę na zakup domu.

Psar przypomniał sobie ostatnie przekazane mu instrukcje, przez nikogo nie odwołane: „Zrobisz wszystko, co tylko Kurnosow zechce”.

— Co pan powiedział policji? Z pewnością pytano pana o pańską tożsamość, po tym jak przyznał się pan, że nie jest Kurnosowem.

— Powiedziałem, że nic nie wiem. Zastrzyki siarki uszkodziły moją pamięć.

— A jak jest naprawdę?

Cierpiące oczy Gawierina zaświeciły szalonym spojrzeniem:

— Tak naprawdę to jestem osaczony.

Aleksander wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, jaką grę prowadził ten człowiek i nie przejmował się tym wcale. Był na tyle biegły w swej profesji, że nie interesował się tym, co wykraçało poza jego kompetencje.

— Wszystko będzie zależało od Zellmana.

Zellman powiedział prawdę przed całym światem, i nikt mu nie uwierzył. „Historia powtórzona tak wiele razy, na pierwsze zamówienie, i zawsze tak samo, najwidoczniej wyuczona na pamięć w najdrobniejszym szczególe, może być tylko baśnią — pisała Jeanne Bouillon w «Głosie». — Trzeba będzie zdemaskować Zellmana”. „Ależ nie ma tu nic do zdemaskowania, obiecano mi paszport dla mnie i dla mojej żony, pod warunkiem, że zadenuncjuję oszusta”. Dzielny człowiek był zakłopotany: „Nie jestem wtyczką. Byłem przekonany, że w powiedzeniu prawdy nie kryje się nic złego. Zresztą, pan nie może o tym wiedzieć, ale ona czekała na mnie przez cały czas, kiedy byłem w obozie. Każda inna wyszłaby dawno za mąż”. Ten żalony ton powinien był budzić litość, wzruszać, tymczasem nie podobał się słuchaczom. Nie chciano wierzyć w niewinność aż tak kryształową. Opublikowano dwa zdjęcia z czasów obozowych — jedno z nich przedstawiało grupę ze dwudziestu więźniów, drugie zrobione pod pryczą, w baraku — na których Zellman znajdował się obok Gawierina. Dawano do zrozumienia, że są to montaż, przygotowane w laboratorium.

Sytuacja nie była do końca wyjaśniona. Gawierin napisał dla «Obiektywu» artykuł pod tytułem *Nie trafilem w Brezniewa*, popełniając cztery rzeczowe błędy. Psar spędził trzy dni we Frankfurcie, gdzie sprzedał *Rosyjską prawdę* dziewięciu wydawcom zagranicznym, pobierając obfite zadatki. Gawierin

zażądał przypadającej na niego części nowych honorariów. W końcu legitymował się paszportem, potwierdzającym jego tożsamość. Aleksander grał jednak na zwłokę, spodziewając się nowych poleceń.

W tym samym okresie Aleksander zbliżył się do Małgorzaty. Nie mogła znać jego najgłębszych obaw, czytała jednak artykuły, które przedstawiały go jako złowrogiego faszystę, jako ofiarę manipulacji KGB, albo też jako przedpotopowego białogwardzistę czy ograniczonego, pełnego dobrej woli liberała. Te ataki sprawiły, że jej oddanie dla szefa podwoiło się.

To ona odpowiadała na listy adwokatów, którzy grozili panu Gourvierinowi-Kanossoviwi procesem o zniesławienie i szukali go za pośrednictwem Aleksandra. To ona stawiała czoła dziennikarzom najróżniejszego autoramentu, którzy zgłaszali się do jej patrona po wywiady, nie kryjąc wrogości mającej wyprowadzić go z równowagi. Rozumiała, że w oczach dysydentów Psar odpowiedzialny był za Gawierina, ponieważ należał do francuskiego *establishmentu* literackiego. Podobnie obciążali go Francuzi, jako że pochodził z rosyjskiej rodziny. Przede wszystkim jednak zdawała sobie sprawę, że mały świątek, w którym królował Aleksander, uległ rozbiciu. Już nie wiadomo było, do kogo zadzwonić w redakcji «Niezależnego» czy «Obiektywu». Nowy dyrektor wydawnictwa Lux, Baronet, zrywał konsekwentnie więzy łączące tę instytucję z agencją. Publikacja tomów z serii *Białej Księgi* — nawet pracy demaskującej Boga — została wstrzymana i przyczyna była zupełnie oczywista: Baronet rozglądał się za mniej kompromitującym redaktorem serii.

Wszystkie te ciężkie próby w niczym nie zmieniły postawy Małgorzaty; była czujna, uprzejma, uśmiechała się tylko po to, by odpowiedzieć na uśmiech, pozostawała w biurze po godzinach pracy i nie liczyła sobie tego jako godzin nadliczbowych. Aleksander zauważył wreszcie, że miała bardzo niebieskie oczy i bardzo ciemne włosy, co dawało bardzo interesujący kontrast. On jednak zwracał uwagę głównie na siwe włosy.

Gdy był dzieckiem, słyszał często: „Wrócimy do kraju na Boże Narodzenie. Nie, nie przesadzajmy z optymizmem — wrócimy na Wielkanoc, albo jeszcze później”. Dlatego też skłonny był sądzić, że pieśń *Malbrough* przetłumaczona została z języka rosyjskiego. Może nie na Wielkanoc, może na święto Trójcy. Teraz jednak nadchodziło Boże Narodzenie. Co działo się z Ałłą? Co z Dymitrem? Bez pośrednictwa Iwana Iwanycza wszelki kontakt z nimi był niemożliwy.

— Pani Boisse chce z panem mówić.

— Jessica?

— Jak się panu powodzi, złowrogi faszystowski liberale, wystrychnięty na dudka przez KGB? Może byśmy się zobaczyli dzisiaj wieczorem?

— Chętnie.

— Będzie wódka.

Pomyślał, że należałoby zmienić hasło. Nie wątpił, że jego rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane. Jakże jednak był szczęśliwy, o, jaki szczęśliwy, że ojciec marnotrawny znowu miał go przytulić do swego łona.

Jessica otworzyła mu drzwi:

— Wszystko wskazuje, że zdobył pan sobie szczególny rozgłos. Moi przyjaciele radzą mi, żebym uwolniła się od pana. Powiedziałam im jednak, że nigdy nie był pan moją własnością.

Na kanapie w pasy siedział mężczyzna około czterdziestki, ogorzały, o trójkątnej twarzy, ubrany w czarny garnitur. Spod białych mankietów koszuli wyłaniała się opalona skóra. Sklepio-na kamizelka, widoczna pod rozpiętą marynarką, świadczyła o jego szczupłości.

— Kto to? — zapytał Aleksander.

— Nowy.

— Aha! Iwan Piąty. A co się stało z poprzednim? Czy został wypchany?

— Nazywam się Piotr — powiedział gość po rosyjsku. Rzecz jasna, także i on unikał patrzenia prosto w oczy, wprawił się jednak w utrzymywaniu gałek ocznych bez ruchu, tak jakby to były perłowe guziki przyszyte do koszuli.

Aleksander uznał, że człowiek ten przypomina małego węża i natychmiast go znienawidził. Czy było tak dlatego, że przyszedł na miejsce doskonałego Iwana Iwanycza? Czy dlatego, że nie podniósł się z kanapy, by powitać Aleksandra? Czy też dlatego, że przemawiał typowo sowieckim, sentencjonalnym tonem, którego nie mogli znieść przedstawiciele pierwszej emigracji, i to zupełnie niezależnie od ich przekonań politycznych?

— Dla mnie będzie pan Iwanem. Ale niech pan nie liczy, że Groźnym. Spóźnił się pan o jeden numer.

Obaj mężczyźni odwrócili się od siebie, nie ukrywając wzajemnej antypatii. Jessica przypatrywała im się rozbawiona. Piotr skrzyżował nogi i wskazał na fotel:

— Niechże pan siądzie — powiedział w sposób, w jaki zwraca się dorosły do dziecka, którego wybryki toleruje i wobec którego najwłaściwszą postawą jest cierpliwość.

KBG jest rodziną. Wspinając się po schodach Aleksander wierzył, że odnajdzie kogoś bliskiego i że dzięki temu odzyska spokój wewnętrzny; należała mu się taka rekompensata po kilku tygodniach trudnej do zniesienia wrogości. Tymczasem natknął się tu na wrogość jeszcze bardziej skoncentrowaną i całkowicie niezasłużoną.

— Jaki jest pański stopień?

— Jestem pułkownikiem-porucznikiem, i to nie dokooptowanym. Jestem pańskim nowym pilotem.

Przez sekundę Jessica przekonana była, że Aleksander chwyci Piotra za krawat, obrzuci go obelgami, w które tak obfitował język rosyjski, i wyrzuci przez okno. Aleksander uśmiechnął się ironicznie. Podszedł do stolika znajdującego się w przeciwległym kącie pokoju, nalał sobie szybkim ruchem kieliszek wódki — karafka była oszroniona, tak jak tego wymagał — wychylił

kieliszek do dna i zjadł małosolnego ogórka, który zazgrzytał pod jego zębami.

Piotr patrzył na niego z politowaniem, wzrokiem kogoś, kto trzyma w ręku dobre karty. Poczekał, aż Psar odzyskał wigor, i wreszcie, widząc, że ten znowu sięga po wódkę, powiedział:

— Mam dla pana złe wiadomości, Psar.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę. Aleksander, by ją odebrać, musiał ponownie przejść na drugą stronę pokoju. Jessica, której pozwolono zostać, przypatrywała się tej scenie, opierając się plecami o ścianę i paląc papierosa. Byłby czas, pomyślała, żeby ktoś nauczył Aleksandra moresu.

Aleksander tymczasem oddalił się o parę kroków, by przeczytać list pod świecznikiem:

Mój drogi Aleksandrze Dmitryczu, nie wiem, jak mam panu przekazać nieszczęsną wiadomość, i to w chwili, gdy już powracał pan do bezpiecznego portu. Proszę, niech pan zachowa się jak mężczyzna i zniesie tę próbę jak przystało mężczyźnie, bolszewikowi, oficerowi. Wie pan z pewnością, jak niebezpieczne są nasze drogi. Pijany kierowca ciężarówki, i oto ginie dwoje niewinnych istot. Pańska żona i pana syn nie cierpieli wcale. Niech to pana pocieszy.

Jest pan jeszcze miodny, nic nie jest na zawsze stracone dla człowieka tak tryskającego zdrowiem, energicznego i pełnego wiary jak pan. Gdy tylko wróci pan do naszej ukochanej ojczyzny, założy pan, jestem tego pewien, prawdziwą rosyjską rodzinę, prawdziwą sowiecką rodzinę.

W obecnej sytuacji pański powrót nie jest już zapewne aż tak pilny dla pana. Działanie dla ludzi pańskiego pokroju jest z pewnością najlepszym środkiem zaradczym, dlatego przekonany jestem, że spełnię pańskie życzenia, proponując panu podjęcie dla nas operacji na wielką skalę, operacji, na której bardzo zależy naszej ojczyźnie i Partii.

Najlepsze pozdrowienia

Szczerze oddany Jakub Pitman

— Oddajcie! — zażądał Piotr i wyciągnął rękę.

Aleksander przestał słyszeć i widzieć. „Dymitr! Syn!” A potem: „Ała! Ałocзка!”. Nabrał powietrza, oddychał głęboko. Miał płuca pełne powietrza. Coś w nim groziło wybuchem. Ale nie doszło do tego. Ujrzał szare oczy Ałły i przypomniał sobie, z jaką wesołością wskakiwała do ich wspólnego łóżka. Próbował poruszać szczęką, nie wiedział dlaczego. Źle się czuł. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo to trwało. „Mój chłopiec”. Z najwyższym trudem wykrztusił pytanie:

— A kierowca ciężarówki?

Pitman przewidział to pytanie. Piotr odpowiedział więc:

— Także zginął w wypadku. Ciężarówka spłonęła. Proszę oddać mi list.

W sercu Aleksandra zrodziło się nagle podejrzenie. „A jeżeli to bolszewicy ich zabili?” Ale przecież nie było żadnej racji, dla której miano by zabić tę kobietę i to dziecko, osoby, które otrzymał w darze.

Nie panując jeszcze nad sobą, Aleksander przeszedł kilka kroków, podał siedzącemu wciąż na kanapie Piotrowi list, krążył po salonie. Poruszał ramionami. Próbował odnaleźć zwykły rytm oddechu. Jego przętyk kurczył się, chociaż nie miał nic w gardle. Jessica patrzyła nań, ciekawa, przerażona, wcale nie smutna. Nie wiedziała, co kryło się w liście, ale domyśliła się, o co chodzi. „Także zginął”. To jej wystarczyło. Był więc na świecie ktoś, kogo ten lodowaty Psar kochał?

Na twarzy Piotra pojawiło się znużenie. Aleksander dotknął czołem szyby, patrzył na ulicę, nic nie umiał zobaczyć, spojrzal na zegarek — nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

— Wystarczy już, niech się pan uspokoi — powiedział Piotr. Aleksander spojrzal na niego, w dalszym ciągu nic nie pojmując.

— Mam panu przekazać kilka instrukcji. Nasze sposoby

kontaktowania się pozostają bez zmian, z tym że nie będzie już mowy o wódce. Wystarczy, jeżeli powie pan Jessice, że chce ją zobaczyć albo jeśli ona panu zaproponuje to samo. Numer telefonu alarmowego został zmieniony. To będzie...

Podał ten numer. Aleksander sięgnął w pierwszej chwili po notes, lecz w czas przypomniał sobie, że tego rodzaju numer trzeba umieć na pamięć.

— Proszę, niech pan powtórzy.

Piotr ponownie wyliczył te same cyfry, nie ukrywając zniecierpliwienia:

— Jeśli będzie mnie pan potrzebował, niech pan prosi Piotra. Proszę unikać wszelkich zbędnych spotkań ze mną.

— Jestem w tym fachu od trzydziestu lat — powiedział głucho Aleksander.

Był bliski płaczu z powodu brutalności tego mężczyzny, nie dlatego, że stracił żonę i syna. Tamta rozpacz tkwiła gdzieś głębiej niż łzy.

— Obecnie pańska misja polega na domaganiu się, także za pośrednictwem pana orkiestry...

— Moja orkiestra już nie istnieje. Zniszczyliście ją.

— ...na domaganiu się zwolnienia Michała Kurnosowa, prawdziwego autora *Rosyjskiej prawdy*.

— Nie mam już mojej orkiestry.

— Niech pan pozbiera resztki. Inne orkiestry będą żądały tego samego. Chodzi tu o operację zgraną. Trzeba jednak, żeby pan wystąpił jako pierwszy. W ten sposób oczyści się pan przed opinią publiczną we Francji. Gdy pan zacznie, inni pana poprą. Przy następnym spotkaniu podam panu dalsze instrukcje.

Piotr podniósł się z miejsca. Był nieduży, zwinny, energiczny. „Żmija!” — pomyślał Aleksander.

Tamten podał mu dłoń. Sparaliżowany przez ból Aleksander przyjął uścisk.

— Niech pan coś zrobi i weźmie się w garść — powiedział

Piotr z lekkim odcieniem litości. — Niech pan zastosuje odpowiednie środki polityczno-kulturalne — ruchem podbródka wskazał stolik, przygotowany przez gospodynię. — Tam jest wszystko, co trzeba.

Spojrzał zimno na Jessicę:

— Ty... — powiedział po rosyjsku, dorzucając jedną z mniejszych obelg — będę cię miał na oku.

Ruszył miękkim krokiem w stronę drzwi. Jego ciemny garnitur, rozcięty na obu bokach, uszyty został z pewnością po tej stronie żelaznej kurtyny.

W pierwszym momencie Aleksander chciał skorzystać z rady Piotra. Uczyniłby tak, gdyby nie wrażenie, jakie na nim wywarł ten człowiek: była to nienawiść od pierwszego wejrzenia. Poprzestał na wypiciu dwu kieliszków wódki, jako że był spragniony. Zrobił to tak, jakby alkohol mógł zaspokoić pragnienie. Potem wyszedł nie spoglądając nawet w stronę Jessiki.

Włóczył się ulicami. Było chłodno, wilgoć przylepiała się do skóry, atakowała kości, arterie. W otwartej jeszcze ciastkarni, która jaśniała jak świetlista bryła w ciemnościach wieczoru, dostrzegł grupę dzieci. Poczul nienawiść do ich rodziców.

Najgłębsze cierpienie kryło się w myśli o przerwanej linii czułości, która nie znalazła dla siebie żadnego przedmiotu... dlaczego zabrano mu to życie, które nigdy więcej nie powtórzy się, istnienie, którego nawet nie poznał? „Ach, gdybym go był znał, to byłoby łatwiejsze do zniesienia”. Mylił się oczywiście. Wciąż powtarzał słowo „dlaczego?”. Spotkała go straszna niesprawiedliwość. Miał czterdzieści dziewięć lat, mógł jeszcze spłodzić synów, ale to nie będzie już nigdy Dymitr. Zazwyczaj myślał w sposób całkiem abstrakcyjny, nie posługując się żadnym językiem. Tego wieczoru jednak w jego myślach panował taki nieporządek, że odczuwał potrzebę ujęcia ich w słowa. Powiedział sobie więc, używając francuskich słów i rosyjskiej gramatyki: „Jeżeli bym nie miał syna, dlaczego żyłem?”.

Nieco mniej dotkliwie odczuwał śmierć Ałły, choć tak bardzo rozdzierające były wspomnienia tej czy innej bardzo intymnej chwili, wzajemnego zaufania, wspólnie zapoczątkowanej kreacji nowego człowieka. Myślał o dołku, który się tworzył w jej prawym policzku — a może w lewym? — gdy się śmiała, przypominał sobie, jak ciemniały jej szare oczy, gdy przestawała kontrolować swe reakcje. Wszystko to było nie do odzyskania. Ile razy uśmiechała się do niego? Już nigdy tego nie zrobi. I mały też nigdy się już nie uśmiechnie.

Te dwa cierpienia stanowiły jak gdyby *basso continue* dla bólu jeszcze ostrzejszego. Na samej górze, tam, gdzie wynurza się każdy ból, niezależnie od hierarchii przyczyn i motywów, dręczyły go zmartwienia ostatnich dni, bezczelność tego czy innego dziennikarzyni, którego odprowadził grzecznie do wyjścia, chociaż miałby ochotę (i mógłby to zrobić) wyrzucić go przez okno, poczucie bezsilności w obliczu wszystkich wyzwisk, jakie zgromadzono pod jego adresem, wreszcie poníženie na myśl, że te wyzwiska raniły go, chociaż w gruncie rzeczy obmowa i dezinformacja były jego rzemiosłem. Te udręki dokuczały mu jak pęcherze u stóp czy jak wypryski na wargach, a jednak w niczym nie odbierały dotkliwości żałobie. Mogłoby do tego doprowadzić tylko fizyczne cierpienie. Czuł, że pojawia się w nim coś złego i było to coś nowego, gdyż do tej pory uważał złośliwość za przejaw słabości.

Przeszedł przez cały prawie Paryż, od La Muette do Ogrodu Luksemburskiego, i nagle zorientował się, że znajduje się przed ozdobnymi drzwiami mieszkania Ballandara. Otworzył mu młody, niewysoki chłopak o czarnych włosach, w koszuli o szeroko otwartym kołnierzyku, odsłaniającym chorobliwie delikatną pierś. Zmierzył Aleksandra wzrokiem:

— José nie ma w domu.

— To zależy dla kogo — odparł Aleksander, wkraczając do przedpokoju.

Byłby zachwycony, gdyby młody człowiek próbował mu stanąć na drodze. Zrzuciłby go natychmiast ze schodów. Efeb jednak uciekł przed nim, poruszając ramionami niczym motyl skrzydłami:

— José, José, jakiś Turek chce z tobą mówić.

Aleksander, ze swą kasztanową, falującą czupryną i brązowymi oczami, trochę zamglonymi, swą cerą „krew z mlekiem”, w niczym nie przypominał Turka. Lecz biła od niego w tej chwili brutalna siła, i to mogło usprawiedliwiać turecki epitet.

Ballandar, w koszuli z podwiniętymi rękawami, zdejmował właśnie ze ściany jeden z obrazów z serii nowoczesnej, najbardziej wartościowy. Gdy zobaczył Aleksandra, mina mu zrzedła.

Aleksander uśmiechnął się:

— Nie widzę zachwyty w pańskiej twarzy.

Ballandar odpowiedział mu wolno, dobierając słów i celowo unikając spojrzenia młodego człowieka:

— Artykuł, który napisałem z przyjaźni dla pana, zrujnował moją karierę. To chyba wystarczy, nie sądzi pan?

— Drogi panie Ballandar, bardzo mi zależy na pańskiej przyjaźni, do tego stopnia, że jeszcze raz chcę się do niej odwołać.

Uniesione ręce, trzymające ramę obrazu, zaczęły drżeć. Aleksander przyglądał się temu z satysfakcją:

— Niech się pan tak nie denerwuje. Jeszcze upuści pan ten bohomaz. Pisuje pan teraz, nieprawdą, w małej szmacie dla pozabawionych wielkiego wpływu lewicowych intelektualistów. To się nazywa «Buldożer»?

— To rewolucyjne, godne szacunku pismo nazywa się «Lemiesz».

Młody człowiek, przejęty zgrozą, otworzył szeroko usta. Aleksander mało co nie obrzucił i jego oszczerstwami.

— Dobrze, zamierzam więc zrobić niezły prezent «Lemieszowi». Jeżeli tylko potraficie z tego wyciągnąć korzyści, będzie to dla was wielka okazja. Być może wdrapie się pan z powrotem na

swój piedestał. Od jutra zaczniecie kampanię na rzecz uwolnienia prawdziwego Kurnosowa. Prasa was poprze, obiecuję to panu. Teraz z kolei Ballandar uśmiechnął się:

— Pan mi to obiecuje? Pan sobie chyba nie zdaje sprawy, że jeżeli ja jestem w rynsztoku, to pan tkwi po prostu w kloace.

— Może pan wybierać, drogi panie. Albo rozpocznie pan tę kampanię i zbierze pan laury...

Aleksander przypomniał sobie, że poprzednio szantażowanie Fourvereta i Ballandara nie przyszło mu tak łatwo. Dzisiaj było inaczej. Dzisiaj był w nastroju „jeńców-rozstrzeliwać-na-poczekaniu”.

— ..albo też urządzimy rozbiór pewnego tekstu, publicznie. A zaczniemy od pańskiego młodego przyjaciela — wsunął dłoń do kieszeni marynarki.

— Pewnego dnia — powiedział Ballandar ze znużeniem — znajdę jakiś sposób, żeby się pana pozbyć.

Aleksander zaśmiał się obraźliwie, co nie było całkiem udane, i obrócił się na piętach. Dwa dni później «Lemiesz» zamieścił w ramach następujący tekst:

I z czego się śmiejemy?

Publikacja książki, której tytuł odważmy się wymienić — *Rosyjskiej prawdy* — pracy, co do wartości której nie mogą się pogodzić wybitne umysły, stała się czymś więcej niż tylko wydarzeniem czysto literackim. (Powyższe zdanie nie jest zbyt udane, lecz autor chciał pokazać, jak bardzo jest wzruszony.)

ZSRR przysłał do nas pirata, który naprzód przedstawił się jako autor tej książki, później wyznał, że jest oszustem, później jeszcze odwołał swe wyznanie... Nie wiadomo już, w co wierzyć, i jaka jest gra. Gra wojenna?

Nie chce nam się w to wierzyć.

Jedyny sposób, by oczyścić tę sytuację, jedyną metodą uzyskania prawdy, nie rosyjskiej tym razem, lecz całkiem zwykłej i

nagiej, będzie uwolnienie autentycznego autora tego kontrowersyjnego dzieła, a także, jeśli nie jest to ta sama osoba, autora zamachu na Breżniewa, Michała Kurnosowa.

Oto wyzwanie, jakie rzucam, szansa, jaką ofiarowuję przywódcom Związku Radzieckiego. Panowie, czy też towarzysze, jak wolicie, okażcie wreszcie dobrą wolę!

Ośmieliwszy się napisać te linijki, Ballandar schował głowę w piasek. Oczekiwał teraz, że straci swe miejsce w «Lemieszu». Nie minęły jednak dwadzieścia cztery godziny, gdy spełniło się proroctwo Aleksandra. Sam Etienne Dépensier we własnej osobie, zmieniając o 180 stopni pozycję, zaśpiewał swym wykształconym i liberalnym sopranem: „Nasz przyjaciel Ballandar, z głębi swego wygnania, które tak przejęło tych wszystkich, co podziwiają jego wyjątkowy talent (niechże jego nowa trybuna nie weźmie mi za złe tego sformułowania!) daje nam przykład, trwożąc się o to, o co wszyscy winniśmy się trwożyć, domagając się tego, o co wszyscy powinniśmy zabiegać w sposób jak najjaśniejszy. Tego już za wiele! Niechże Kreml nie bawi się z francuską opinią publiczną jak kot z myszą. Chcemy, by prawdziwy Kurnosow został uwolniony i byśmy mogli go zobaczyć”.

Paryż gotów jest pasjonować się byle czym, od jojo do gilotyny, nie wierzymy jednak, by te namiętności były aż tak spontaniczne, jak mogłoby się wydawać. Jeśli siedem orkiestr na raz gra tę samą melodię, dołączą do nich z pewnością całkiem szczerze skrzypki i kobzy. To gorączkowe przekazywanie sobie pałeczki z rąk do rąk sprawiło, że po ośmiu dniach cały Paryż wołał zgodnym chórem: „Uwolnijcie Kurnosowa!”

Ponieważ jedna z orkiestr umieszczona była w administracji, prasa mogła szybko wykazać się sukcesami. Półoficjalne głosy dawały do zrozumienia, że rząd bada możliwości zażądania od przywódców pewnego kraju wyjaśnień, które mogłyby w danym wypadku doprowadzić do uwolnienia pewnej osoby o nazwisku wymienianym przez wszystkich. Te wyjaśnienia mogące prowadzić do zwolnienia z więzienia, cóż to za wyłom!

Opinia publiczna (lub to, co określa się jako opinię, tak jakby społeczeństwo było już tak ogłupiałe, by mieć zaledwie jedną opinię na pięćdziesiąt milionów osobników) rzuciła się z ząjadłością na ten kąsek. Na ogół działo się tak, że zażarci i zachrypnięci zwolennicy domagania się cudzej wolności woleli atakować raczej greckich pułkowników czy chilijskich generałów niż komunistów, gdyż nie byli oni zdolni do jakiegokolwiek rewanżu. Z komunistami natomiast nigdy nie wiadomo. Byłe co wystarczy, by krwawo załatwili swoje porachunki. Tym razem jednak miało się wrażenie, że można było pociągnąć za ogon tygrysa, a nie kotka, a to przecież jeszcze zabawniejsze. Komuniści zasiadali w rządzie, a więc naturalnym odruchem szanujących się Francuzów była rezerwa wobec skrajnej lewicy. Wreszcie, czyż Ballandar nie dał dobrego przykładu? Rzecz więc nie mogła być nadto niebezpieczna. Dzielni Paryżanie biegli manifestować pod ambasadą sowiecką i przed siedzibą ambasadora.

Była to jedna z najweselszych mód Paryża. Każda organizacja wydała własne instrukcje i w ten sposób rozpoczął się karnawał. Tylko późnojesienna pogoda sprzyjała interesom ZSRR. Ale przecież ktoś, kto żywi humanitarne przekonania nie cofnie się przed ryzykiem przeziębienia i kataru. Zresztą można połączyć przyjemne z pożytecznym. Zwłaszcza dotyczyło to mieszkańców XVI czy VII dzielnicy, posiadaczy psa czy roweru, a także wyznawców zachodniej odmiany jogi, to jest *joggingu*: nic im nie przeszkadzało w jednoczesnym zabieganiu o wolność i troszczeniu się o zdrowie własne lub Medora.

Na ulicy Grenelle nie działo się nic skandalicznego. Przechodnie prowadzący psy zatrzymywali się ostentacyjnie przed numerem 79, lecz to raczej psy niż ich opiekunowie dawały wyraz swym przekonaniom. W godzinach natomiast, gdy pojawiali się w tych okolicach szczególnie wymagający profesorowie prawa czy literatury, młodzi śmiałkowie wykrzykiwali pod bramą wjazdową budynku, oświetleni przez uliczne lampy: „Oddajcie

nam Kurnosowa!”. Było to jednak niezmiernie skromne w porównaniu z cyrkiem, jaki działał się na drugim końcu Paryża w XVI dzielnicy, przed pałacem-bunkrem, który eksterytorialne przywileje przekształciły w działkę proletariackiego raję.

Tutaj trwał nieustający niemal pochód. „Idziemy dookoła budynku, w kierunku wskazówek zegara” — zadekretowali rzeczownicy wolności. Tak więc obchodzono dookoła budynek ambasady. Panowie w kapeluszach opowiadali sobie przeżycia wojenne lub przygody innego rodzaju. Licealiści pokonywali całe kilometry. Panienci w granatowych mundurkach przychodziły ze swoimi pinczerami, a damy w brajtszwancach — z afganami. Niektóre panie — tak przynajmniej opowiadano — wysyłały pod ambasadę swoje portugalskie służące z poleceniem, by odbyły trzy rundy (płacone były wedle najniższych stawek). Członkowie *Racing Club* pojawiali się ubrani w kolorowe krótkie spodenki i krążyli wokół pałacu, sprawdzając czas biegu na chronometrach, posługując się czerwonym sztandarem jako punktem odniesienia. Widać było zaciekleńców i leniwych właścicieli motorowerów. Krążono. Była to okazja do wyznaczania sobie spotkań: „Będzie pan krążył dziś wieczorem?”. Ten czasownik, krążyć, oznaczał przez dziesięć dni „okrążyć z lewej na prawo ambasadę ZSRR”. Gazety publikowały zdjęcia, obliczały dane statystyczne, podawały własne oceny. Pieśniarze udzielali wywiadów: „Wczoraj właśnie krążyłem i był koło mnie taki facet, brzuchaty, z cygarem, styl kapitalistyczny, i on też krążył. No więc żeby zacząć rozmowę, bo już się trochę nudziłem, mówię: jestem pieśniarzem, a pan? A ja, on mi na to, jestem incognito. Ach tak, mówię, i dużo pan za to dostaje? Aż trudno uwierzyć. Pensję ambasadora, nie jesteśmy przecież w Peru. Ja pod wrażeniem, mówię dalej, bo pan jest? Tak, on mi na to, jestem ambasadorem, ale to nic między nami nie zmienia. A jeśli mogę być niedyskretny, jaki kraj pan reprezentuje? No, Związek, on mi na to. Wie pan, byłbym niespokojny, gdybym nie miał swojej budy

pod ręką. Zaraz, chwileczkę, jeżeli pan jest ambasadorem Związku, to dlaczego krąży pan razem z nami? Cóż, nie jestem snobem. To dobre dla zdrowia, a poza tym nie lubię wyróżniać się spośród tłumu. No to ja byłem zaszokowany. Mówię mu dalej, niech pan posłucha, dam panu radę. Niech pan krąży, ale nie w tym kierunku, od lewa do prawa, bo może się pan narazić swoim szefom. Niech pan przynajmniej krąży z prawa na lewo. Dziękuję, powiada, nie myślałem o tym. Dobrze, możecie więc zobaczyć, jeśli spostrzeżecie gościa, który krąży w przeciwną stronę niż wszyscy pozostali, możecie się do niego zwracać per Wasza Ekszelencjo”.

Większość derwiszów — bo tak ich przezwali satyryczny «Indyk uwolniony z okowów» — zadowalała się samym krążeniem, wielu jednak sięgało ponadto po proporceyki, powiewające ponad ich rowerami lub tkwiące za paskiem spodni. Gdy szli lub jechali, wystawiali na pokaz mniej czy bardziej pomysłowy slogan: „Wolność dla Kurnosowa”, „NIE dla sowieckich oszustów”, „Uwolnijcie Anonimowego więźnia”, „Pokażcie go albo zdemaskujcie się sami”, „Wymieńmy Marchais na Kurnosowa”, „Uwolnijcie Kurnosowa, leczcie Breżniewa”, „Precz z psychuszkami”, „Jesteście gorsi niż carzy”, a nawet zagadkowe „Skróćcie”.

Wiele spośród tych dowcipnych haseł przetłumaczonych zostało przez ochoczych sławistów na język rosyjski i dzięki temu niejeden zuch, który nigdy przedtem nie widział na własne oczy cyrylicy, zabierał się do kopiowania, z mniejszym czy większym powodzeniem, rosyjskich zdań, przenosząc je na papier, karton, skrawki, prześcieradła, dyktę, surowe płótno, a nawet — dawała tu o sobie znać nostalgia do *Action Française* — na stare kalessony, powiewające później raźnie na trzonkach mioteł.

Policja nakazywała demonstrantom oddalenie się od budynku ambasady, nie mogła jednak zabronić wszystkim zwolennikom Kurnosowa wstępu do XVI dzielnicy, tak że pod znudzo-
nym okiem gwardii republikańskiej krążenie trwało dalej, już

nie tak blisko budynku. Cierpiący na bezsenność mieszkańcy dzielnicy zjawiali się o drugiej nad ranem, by zatoczyć rundę wokół wyniosłej budowli. Pewien znany karykaturzysta narysował dwu elegantów w szlafrokach, idących ramię w ramię, z których jeden w nawiązaniu do łacińskiego słowa *revolutio*; mówi: „Wiesz, po raz pierwszy w życiu czuję się rewolucjonistą”. Wzburzenie dotarło nawet do parlamentu. Jeden z deputowanych okrążył ambasadę, mając na sobie trójkolorową szarfę. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, wylansował jeszcze jedną submodę. Pojawili się wkrótce merowie z trójkolorowymi pasami. Pospieszili za nimi obywatele odznaczeni różnymi orderami. Odtąd zapanował zwyczaj, by na to miejsce przychodzić z odznaczeniami. Zapoczątkowano prawdziwe współzawodnictwo orderowe, śledzone przez dzienniki wyliczające potem najbardziej rzadkie okazy: order Alberta Niedźwiedzia, Św. Juliana z Poirier, Odwróconego Smoka, Gwiazdy Polarnej i Afrykańskiego Zbawienia. Przez dwa dni panie prezentowały najbardziej niewiarygodne kapelusze, pochodzące z Rio czy Nowego Orleanu, a odnalezione na strychach, wykopane z kufrów. Ach, mój Boże, jakaż to była radość, przeciwstawić się ZSRR, zwłaszcza we Francji rządzonej przez socjalistów! Królowały rekwizyty: zwolnienia Kurnosowa domagano się w hotchkissach i studebakerach, w trójkołowcu De Diona i Boutona, na wrotkach, na deskorolce, na welocypedzie. Atak przypuszczano przy pomocy lufek i trzciniowych laseczek. Największy sukces odniosła pewna belgijska księżniczka, posiadająca od dwóch lat wyścigowego rumaka czystej krwi, którego nazwała „Żelazną Maską”. Gdy pojawiła się na swym gniadoszu przed ambasadą, w asyście całej kawalkady i powiewając transparentem z napisem „Wymienię mojego na waszego”, słodki dreszcz przeszył Paryż. Lewicowcy i księżniczka w służbie tej samej sprawy! Dochodziło do wypadków prawdziwie epickiego bratania się w tej okolicy: dwaj anachroniczni już nieco hippisi połączyli się entuzjastycznie z kawalerami maltańskimi. Jedyne w swoim rodzaju snobizm jednoczył

wszystkie warstwy społeczne Paryża. Czegoś podobnego nie widziano od czasów jojo.

Aleksander Psar, odkrywca *Rosyjskiej prawdy*, stał się królem tego karnawału. Nikt tego ani nie negował, ani nie potwierdzał. Sfotografowano go w momencie, gdy całował dłoń belgijskiej księżniczki. Udzielał wywiadów gazetom, egzaminowany był przez radio rządowe i wypytywany przez rozgłośnie prywatne. Pojawił się w telewizji, biorąc udział w debacie, w której uczestniczył także Ballandar. Obaj panowie odnosili się do siebie nawzajem bardzo przyjaźnie. „Co pan myśli o Gawierinie? Kto jest prawdziwą «Żelazną Maską»? Do czego zmierza w całej tej sprawie ZSRR? Czyż nie został przez to wszystko ośmieszony?”. Psar wypowiadał się w sposób enigmatyczny, najchętniej także sprzeczny. Fakt, że ktoś mógł wziąć pod uwagę możliwość ośmieszenia się pierwszej potęgi militarnej świata wydał mu się niezgłębionym idiotyzmem.

Nie konsultując się więcej z Piotrem, Aleksander rzucił się do walki ze wściekłym zapałem. Dyskutując, wygłaszając przemówienia, przyjmując oznaki skrytej sympatii i krzykliwe objawy poparcia, apelując do specjalistów od sumienia i zawodowych znawców opinii publicznej, udowadniał swoim przełożonym, że choć pozbawili go wsparcia znacznej części jego głośnej niegdyś orkiestry, potrafił prowadzić grę w pojedynkę. Szalona działalność miała błogosławiony skutek — mniej cierpiał. Rzecz jasna, także i Małgorzata pracowała tak jak on, jeśli nie więcej nawet, i nie kryła się ze swym uczuciem radości na widok agencji, która, niedawno jeszcze znieważana, teraz podwajała swój autorytet. Przybywało maszynopisów. Telefon dzwonił bez wytchnienia. Kalendarzyk Psara, do którego wpisywało się terminy spotkań, wypełniony był na tygodnie naprzód.

— Czy nie za dużo pracy spadło na panią, Małgorzato? Nie chce pani, żebym wziął kogoś dodatkowego na ten gorący okres?

— Och nie, proszę pana, nie. Chyba że uzna pan, że nie daję sobie rady z robotą, że się zaniedbuję.

Niebieskie oczy, schowane pod ciemnymi włosami, pełne były blasku.

Aleksander nieufnie przyjmował oficjalne zaproszenia, jednak list z Quai d'Orsay pełen był uprzejmości, a szef gabinetu, który go przyjął w salonie w stylu Ludwika XVI o trochę tylko wyblakłych tapetach, przywitał gościa jak najserdeczniej. Za dwoma wysokimi oknami przedwczesny zmierzch kładł się nad Sekwaną, a fioletowe mgły szły mu na spotkanie.

— Drogi panie — powiedział Edme de Malmaison, składając palce obydwu dłoni na kształt późnogotyckiej katedry — mam dla pana wiadomości, zupełnie dobre wiadomości. Rozumiem oczywiście, że w sensie legalnym nie może pan reprezentować interesów pana Kurnosowa, ale pańskie talenty i, ośmielę się tak powiedzieć, pańska odwaga (przepraszam za to wielkie słowo), sprawiły, iż w całej tej skomplikowanej sprawie wysunął się pan na pierwsze miejsce, w tej skomplikowanej sprawie, w której my możemy odgrywać co najwyżej rolę pośredników, rolę, jak mi na to zwrócił uwagę minister, bliską zresztą naszej tradycji, powie działbym nawet — i minister zapewne też — bliską duchowi naszego powołania.

Rosjanie sygnalizują nam coś w tym rodzaju: „Twierdzicie, że stworzyliśmy w intelektualnym środowisku francuskim trudną sytuację, wypuszczając niejako pod wasze nogi — tu pan de Malmaison uśmiechnął się chytrze — fałszywego dysydenta, fałszywego zabójcę, fałszywego autora nieprawdziwej *Rosyjskiej prawdy*. Wszystko to, mówią dalej, jest wymyślone. Nie możemy wam podać żadnych wyjaśnień, mimo to chcemy wyjaśnić sprawę. Pozwoliliśmy po prostu wyjechać z naszego kraju niejakiemu panu Kurnosowowi, który potem, z nieznanych nam przyczyn, postanowił wystąpić jako autor nieznanego nam dzieła, książki opublikowanej przez waszych wydawców na ich własną

odpowiedzialność, pracy, której autorstwo przypisano Bóg wie czemu — pewnie dlatego, że Marks tego nie wie — jakiemuś «Anonimowemu więźniowi». Tenże «Anonimowy więzień» został przez waszą prasę błędnie utożsamiony z pewnym biednym wariatem, który z dziesięć lat temu dowiódł, w jak złym stanie jest jego zdrowie psychiczne, jako że otworzył ogień do pierwszego sekretarza partii. Także i ten osobnik nosi nazwisko Kurnosow, i nie ma w tym nic dziwnego w kraju wielko-rosyjskich nosów. Oczywiście nie mamy najmniejszego udziału w tym, że pomyłono dwóch różnych ludzi. O co więc chodzi? Rozpętała się u was kampania trochę nieprzyjemna dla nas, ale w pierwszym rzędzie upokarzająca was samych, gdyż okazuje się, że nie jesteście w stanie zapewnić bezpieczeństwa nam, waszym gościom, nie potraficie nas uwolnić od kłownów, którzy grają swoje numery pod naszymi oknami. (Przemawiam cały czas w imieniu Sowietów, drogi panie, rozumiemy się przecież.) Cóż, jesteśmy ludźmi z gruntu dobrymi, pomożemy wam usunąć ten kolec z nogi. Ci histerycy domagają się naszego szaleńca? Dostaną go. Im więcej szalonych, tym więcej śmiechu, jak się trafnie mawia w naszym kraju. Rzecz jasna, nie możemy wam gwarantować, że to ten sam szaleniec, który napisał ową książkę. Jeżeli ją napisał, wysłał na Zachód i opublikował, to bez naszej zgody. Natomiast możemy wam zapewnić, że ten Kurnosow, którego wysłaliśmy wam za opłatą pocztową, to ten sam człowiek, który uznał za wskazane strzelać do Breżniewa. Powie się znowu, że ustępujemy pod presją światowej opinii publicznej. Proszę bardzo, czemu nie. W końcu to właśnie rządy prawdziwie demokratyczne powinny być wrażliwe na opinie społeczeństw. W zamian za naszą usługę prosimy was tylko o jedno: nie przysyłajcie nam z powrotem drugiego Kurnosowa, tego, który w pewnym momencie oświadczył, że nazywa się Gawierin. Także i on musi być wariatem, nie wiedzielibyśmy, co z nim począć. Gdybyśmy go tylko zamknęli w jakimś odosobnionym miejscu, zaczęlibyście po dwóch tygodniach

krzyknąć: «Nie, to właśnie on był autentycznym Kurnosowem». Trzymajcie więc z łaski swojej obydwu, nawet gdybyście mieli umieścić ich obu w celi wyłożonej materacami». Oto, drogi panie, co nam przekazują Rosjanie.

Nie będę próbował przekonywać pana, że nasz rząd odnosi się do tej sprawy z entuzjazmem. Jeden Kurnosow ujdzie, dwu — to męczące. Co zrobić jednak? Opinia publiczna jest wzburzona. Wzburzona? (Położył akcent nad „o”.) Wściekła! Nic zresztą nie wyklucza tezy, że nasi sowieccy koledzy rzeczywiście ustąpili pod wpływem naszej oburzonej opinii. Krótko mówiąc, premier nie wyraził zastrzeżeń. Tymczasem wolelibyśmy, by w całej tej sprawie nie angażowały się nasze najwyższe sfery. Byłoby znacznie lepiej, jak sugerował mój minister, gdyby powołać do życia pewnego rodzaju... komitet powitalny, na którego czele zechciałby pan może stanąć. Komitet, złożony z osobistości świata artystycznego i literackiego, miałby charakter na pół prywatny i przez to podkreśliłoby się równie prywatny charakter negocjacji z Moskwą.

I jeszcze jedno. Jak się wydaje, rząd sowiecki urażony jest postawą Kurnosowa-Gawierina, który zachowuje się tak, jakby obawiał się zamachu na swoje życie, przenosi się z hotelu do hotelu o północy, buduje dla siebie nowoczesną, elektroniczną fortecę... Byłoby dobrze, gdyby pan Kurnosow numer dwa nie powtarzał tych wyświechtanych chwytów. Zapewniono nas — nie w sposób czysto formalny, lecz najwidoczniej wystarczający, tak przynajmniej uważa mój minister — że nic nie będzie mu groziło ze strony sowieckiej, niechże więc nie bawi się w chowanego...

Jedna brew dyplomaty uniosła się na wysokość wieży Eiffla.

Aleksander wrócił do biura. Dzwoniła pani Boisse: będzie w barze angielskim hotelu Plaza o pół do ósmej.

Poszedł na spotkanie. Przekazała mu wiadomość od Piotra. „Jutro o 14.30 w Luwrze, przed egipskim sarkofagiem. Gdyby to

było niemożliwe, pojutrze, pół godziny wcześniej, w muzeum Opery”. Aleksander z trudem opanował niechęć. Miewał już pilotów, którzy lubili miejsca spotkań uczęszczane przez wielką publiczność, byli i tacy, co najchętniej wyznaczaliby spotkanie na pustyni, i to o północy. Nowy Iwan był bardziej wyczulony na niuanse. Nie miał nic przeciwko publiczności, ale w małych dawkach.

— Piotr każe przypomnieć panu — powiedziała Jessica — o niezbędnych środkach ostrożności.

Aleksander przesiadł się dwukrotnie na stacjach metra przeszedł przez dom towarowy mający dwa wyjścia i zjawił się w Luvrze wchodząc od strony kwadratowego podwórza. Mały, suchy, giętki, żmijowaty Piotr, ubrany w ładny garnitur, czarnoniebieski, kręcił się tam już niespiesznie, trzymając ręce założone na plecach. Aleksander przypominał sobie zasady tego rodzaju spotkań i udał się pod egipski sarkofag. Usłyszał głos:

- Nie myślę się: Psar?
- Nie myli się pan, Iwanie.
- Piotr.
- Byłem pewien, że Iwan.
- Jestem Piotr.
- Poprzednio był pan Iwanem.

Piotr wzruszył ramionami. Zaczęli wspólnie przechadzać się po muzeum, udając, że podziwiają wazy i grobowce.

- Jakie powziął pan środki ostrożności?
- Wystarczające.
- O której godzinie wyszedł pan od siebie?
- Z biura? O dwunastej trzydzieści. Zrobiłem sobie przerwę obiadową.

— Gdy mówię „środki ostrożności”, biorę rzecz poważnie. Ja wyszedłem od siebie o siódmej rano i przez cały czas przesiadałem się z jednego środka lokomocji na drugi.

— Tak właśnie trzeba postępować, jeśli nie ma się naturalnych zdolności.

— Psar, niech pan mnie nie zmusza do sięgnięcia po metody dyscyplinarne.

— Iwan, niech pan zajrzy do mojej teczki. Gdy byłem jeszcze młody i dziecinny, przysłano mi skrupulata w pańskim stylu. Niech pan się dowie, gdzie się obecnie znajduje ten człowiek.

Zatrzymali się przed posążkiem siedzącego w kucki skryby o dziwnych, inkrustowanych oczach.

— Mam dla pana dalsze rozkazy — powiedział cierpliwie Piotr.

— Najwidoczniej każda cywilizacja ma swoich biurokratów — odezwał się Aleksander, bawiąc się porównywaniem nieruchomego spojrzenia egipskiego skryby z oczami Piotra.

— Zauważyłem, że zapożyczył pan od Francuzów pewną lekkość tonu i stanowczo wypraszam to sobie. Zameldowałem już towarzyszowi Pitmanowi, że istnieje pomiędzy nami pewien konflikt i zaproponowałem mu, żeby wyznaczył innego *agent d'influence*, jako że prowadzona przeze mnie operacja jest nadzwyczaj ważna. Odpowiedział mi, że trzeba pana zostawić, i dodał: „Wystarczy, żeby mu pan przykręcił trochę śrubę”. Czy to jasne, Psar?

Aleksander wykręcił się żartem.

— Istotą tej operacji — Piotr nauczył się swego tekstu na pamięć, by nie nosić przy sobie kompromitujących dokumentów — będzie stworzenie, naprzód we Francji a potem na całym świecie, pewnego rodzaju powszechnej partii politycznej o tendencji prawicowej, autorytarnej, korporacyjnej, występującej z propozycją innego, trzeciego rozwiązania i zwracającej się do tych, którzy odrzucają i kapitalizm, i komunizm. Wybrano Francję ze względu na jej uniwersalistyczną tradycję. Zresztą wybór kraju bardziej potężnego, na przykład Stanów Zjednoczonych, mógłby zrazić niektóre osobistości. Rolę katalizatora odegra tu dysydent, ktoś, kto swym życiem dowiódł wrogości wobec komunizmu, a

którego dzieło wyraża wrogość wobec kapitalizmu. Chodzi o Michała Leontycza Kurnosowa, urodzonego w Kostromie 12 lipca 1926, autora zamachu na Breżniewa i pracy pod tytułem *Rosyjska prawda*.

Opuścili dział egipski, przemaszerowali przez dział asyryjski, i, po przejściu długiego korytarza wyłożonego białymi płytkami, dotarli do Greków. Trwały tu prace remontowe i bogowie, broniący się przed inwazją rusztowań i drabin, budzili w zwiedzających dziwny niepokój. „Wszystkie te piękne posągi, cała ta cywilizacja, do czego to służy?” — pytał się Aleksander. — „Nie mam już syna, a państwo, któremu służyłem przez trzydzieści lat, zamierza założyć faszystowską partię polityczną. Barbarzyńcy zwyciężyli. Barbarzyńcy zawsze zwyciężą”. Drażniło go płaskie światło rozlewające się wokół tych ogromnych mas ożywionej skały.

— Kurnosow — ciągnął dalej swym dydaktycznym tonem Piotr — przejął ideę utworzenia takiej właśnie partii. Rzecz jasna nie podejrzewa wcale, i nie wolno dopuścić, by zaczął podejrzewać, że jego partia będzie sterowana przez KGB. W tej sytuacji, ponieważ nie można mu przydzielić zwyczajnego pilota, zostanie oddany pod nadzór *agent d'influence* Aleksandra Dmitrycza Psara.

Znaleźli się na wprost wielkich schodów. *Agent d'influence* Aleksander Dmitrycz Psar zatrzymał się przed posągiem Nike z Samotraki. „Zwycięstwo: nie ma nic wspanialszego. Ale kto pokonuje kogo? Maraton, Salamina, tak, to oczywiste. A później? Grecja czy Rzym? Co to wszystko oznacza?” Jednocześnie czuł poruszenie swej ambicji czy próżności. Być szarą eminencją (złym duchem?) partii działającej na skalę globu, i przywieść ją któregoś dnia przed oblicze mistrzów, przelożonych... Nie miał racji, gdy oskarżał swych szefów. Dyrekcja ofiarowywała mu najwspanialszą misję, jaką tylko można sobie wyobrazić. Przez sekundę ujrzał znowu galerię chimery i dwie sylwetki na szczycie tego wielkiego kościoła-okrętu. Potem przypomniał sobie powieść Verne'a, w której złoczyńca podkłada pod busolę sztabę

żelaza i zmienia w ten sposób kurs statku nie dotykając steru; przesuając północ...

— Pierwszym zadaniem Psara — mówił wciąż Piotr głosem pozbawionym wyrazu — będzie zaskarbienie sobie absolutnego zaufania Kurnosowa. Kurnosow będzie tak dalece zależny od Psara, że nie uczyni sam ani jednego kroku. Wszystko wskazuje na to, że Kurnosow będzie chciał głosić swą doktrynę, jednak trzeba będzie pomóc mu, żeby mógł ją przedstawić w sposób dokładniejszy i bardziej zrozumiały dla Zachodu, lepiej niż w książce. Trzeba będzie także zasugerować mu wybór do komitetu kierującego partią następujących nazwisk...

Piotr wyliczył trzydzieści siedem nazwisk mężczyzn i kobiet różnych narodowości, intelektualistów, dość już znanych i zapewne marzących o tym, by być jeszcze lepiej znanymi. Wszyscy oni zaliczani byli do umiarkowanej prawicy; ją właśnie trzeba było skompromitować. Jeśli uda się ich zwerbować, będzie to udany połów.

Nagle jednak cała ta sprawa wydała się Aleksandrowi nieskończenie skomplikowana i męcząca. Tak, pochlebiał mu rozmiar tej operacji, tak, był w stanie ją przeprowadzić, tyle że, w pewnym sensie, przestało go to interesować. W pewnym sensie wszystko się dla niego skończyło. Żył jednym tylko pragnieniem, marzeniem, które było osią i sprężyną jego egzystencji. „Ja już nie wrócę, Alek. Ty wrócisz zamiast mnie”. I palec, który chciał dotknąć policzka i nie mógł go dotknąć. Aleksander nie miał obecnie więcej sił niż ten palec.

— Jestem zmęczony — powiedział — a nasz podręcznik powiada, że nie powinno się doprowadzać do ostateczności zmęczonego, wyczerpanego agenta. Wie pan o tym, że marzę o powrocie. Jeśli poprzednim razem, gdy Pitman podsunął mi tamtą pułapkę, zgodziłem się jeszcze, to dlatego, że chciałem wrócić, i w dodatku z podniesioną głową.

Z trudem tylko utrzymywał się na nogach, z trudem wypowiadał poszczególne słowa. Wolał cofnąć się niż wspinać się po

schodach.

— Założmy, że zgodzę się teraz i założę nową partię. Zajmie mi to dziesięć lat. Gdy ma się czterdzieści dziewięć lat, nie powinno się już płodzić dzieci. Dzieci nie chcą mieć starych rodziców.

Piotr, idący przy nim, patrzył na niego ironicznie:

— Mnie się wciąż wydaje, Psar, że Pitman myli się co do pana. Wyobraża sobie, że jest pan jedną z gwiazd jego sławnej dyrekcji. W gruncie rzeczy nie stać pana nawet na to, by spokojnie przyjąć wiadomość o śmierci kobiety, którą znał pan przez dwa tygodnie, i bachora, którego pan nigdy nie widział. Musi pan natychmiast zniechęcić cały świat. Albo ma pan nerwy w bardzo złym stanie, albo też wyobraźnię zbyt bujną jak na naszą profesję. Powiedziano mi, że był pan po trosze literatem. Najwidoczniej nie przeszło to panu całkowicie.

Aleksander, mimo że zląany przez kogoś młodszego od siebie, powstrzymał wybuch gniewu:

— Być może ma pan rację. Tak, to nie jest wykluczone.

— Nie chodzi o to, żebym miał rację, czy żebym się mylił. Mam dla pana instrukcje. Przekazuję je. Mam zacisnąć śrubę. Zaciskam.

— Bierze pan własne życzenia za rzeczywistość, Iwańczyk. W jaki sposób miałby pan przykręcić tę śrubę? Nie ma pan nawet pod pachą bułgarskiego parasola.

— Psar, sprawa jest oczywista: pan się wykoleja. Jeżeli chce pan poprosić o urlop, poprę pana. Ale jeżeli odmówi pan wykonania rozkazów... Nie, nie, nie naszpikujemy czekolady kurarą. Ale, niech pan zrozumie, nasze społeczeństwo nie potrzebuje wcale niezdyscyplinowanych fantastów.

Przez dłuższą chwilę stali przed posągiem Wenus z Milo.

— Piękna samica — powiedział Piotr.

Prócz nich rzeźbie przypatrywało się jeszcze kilku turystów, trzy reakcyjne zakonnice w kornetach i dwaj rozbawieni licealiści.

— Wolę Afrodytę niż Erosa — odpowiedział na to Aleksander, wskazując na piękną, klasyczną Wenus i asystującego jej Kupidyna z późniejszej epoki. — Tak więc, jeżeli odmówię, przyjdzie i mnie zgnić na cmentarzu w Sainte-Genève?

Piotr wzruszył ramionami, szczupłymi i ukrytymi pod ładnym garniturem:

— Czy to ważne, które robaki się karmi?

— Proszę sobie wyobrazić, że to dla mnie istotne. Zdecydowanie wolę robaki rodzime i dziedziczne. Nie chcę być pożarty przez faunę wykarmioną na francuskich drobnomieszczanach.

— To zależy od pana.

Piotr ruszył w drogę: zmija wijąca się między posągami bogów.

Aleksander dogonił go:

— Ile czasu zajmie tym razem operacja?

— Pięć lat. Trzy, jeśli znajdziemy dla pana następcę.

Aleksander zamknął oczy. „Ja już nie wrócę, Alek. Ty wrócisz zamiast mnie”.

— Dobrze, zajmę się tą operacją, Iwan.

— Piotr.

— Zajmę się tą operacją, Piotr.

TWARDY ZNAK

Lodowa, porowata skorupa pokrywała pustynię lotniska w Roissy, gdy lądował tam samolot specjalny. Gawierin, agent „martwy”, lub też „samoniszcący się biologicznie”, wysłany został do Francji chyłkiem i w pośpiechu, lecz Kurnosow, którego ten kraj domagał się tak głośno, został odprowadzony do Paryża przez przedstawicieli Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, odzianych w zielone mundury ozdobione czerwonymi insygniami.

Komitet powitalny schronił się przed zimnem za szybą. Stąd jego członkowie obserwowali niewielkiego człowieka stawiającego wielkie kroki, patrzyli na jego krótki, piramidalny nos, wystający nad okulary w żelaznej oprawce i na tors, wciśnięty w nowiutką kanadyjkę. Z ust przybysza buchały kłęby pary.

— Kto powie, jaki dialog wpisać mu w rysunek? — pytał Monthignies.

Był on teraz szczęśliwym bezrobotnym: zdecydował się na naukę języka niemieckiego, dzięki temu jego zasilek wynosił 110% pensji.

Pozostali członkowie komitetu powitalnego, któremu przewodniczył Aleksander, mieścili się w dwu kategoriach. Amatorzy, to jest pewien pijany albański dramaturg, pewien chytry biskup bułgarski, żydowsko-amerykańska hrabina; wszyscy oni rzecz jasna udawali, że są bardziej paryscy niż paryżanie. Zawodowcy: Baronet, dyrektor naczelny wydawnictwa Lux, Fourveret, na emeryturze, lecz z wielkimi szansami na rychły

powrót do zawodu, Ballandar, wciąż krytyk «Lemiesza» i doraźny współpracownik «Obiektywu», pani Choustrewitz, która ciekawa była, czy Sowietci całują w rękę równie wprawnie jak emigranci, a także wymieniony już Monthignies. Aleksander postarał się o to, by zdecydowanie wyrugować z komitetu osobistości zbyt wrzaskliwe lub podejrzane o przynależność do innej orkiestry, lub też po prostu zdolne wymówić choćby dwa słowa po rosyjsku. Chciał przejąć wyłączną opiekę nad Kurnosowem, w czym dyrekcja, przewidująca jak zawsze, szła mu na rękę. Gawierin, który miał w swoim czasie odegrać rolę fałszywego Kurnosowa, wspomagany był potajemnie w jego staraniach wyuczenia się języka francuskiego. Natomiast Kurnosow autentyczny otrzymał wprawdzie wszystkie książki, jakie tylko zechciał, ale żadnych wskazówek ustnych. Sprawilo to, że francuskie słowo *oiseau* wymawiał „o-isse-e-a-u”, a angielskie *church* „skiursk”. Przez jakiś czas wymowa ta będzie chroniła go przed niedyskretnymi natrętami tak samo, jak przedtem kratki szpitala specjalnego w Leningradzie.

- Michał Leontycz?
- To ja. A kim pan jest?
- Psar, Aleksander Dmitrycz.
- Z Psarów Iwana Groźnego?
- Tak jest.
- A więc z pierwszej fali emigracji?
- Mój ojciec był oficerem białej armii.
- Poznajmy się. Nie mam żadnych przesądów.

Dziennikarze napierali. Błyskały flesze. Kurnosow znieruchomiał w środku tego kręgu, majestatyczny pomimo niewielkiego wzrostu i za długiej kanadyjki. Trzymał się całkiem prosto, ściskając pod ramieniem paczkę rękopiśmiennych notatek.

- Mam trochę bagażu. Proszę, żeby ktoś się tym zajął.
- Ze wszystkich stron padały pytania.
- Co oni chcą wiedzieć?

— Michale Leontyczu, będzie pan miał konferencję prasową dziś wieczorem. Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie złoży pan teraz żadnej deklaracji, żeby nie psuć efektu.

Kurnosow skłonił ciężko głowę, po czym zwrócił się w stronę dziennikarzy i wypowiedział bardzo wyraźnie:

— Wiw lia Frann-ss.

Podkreślił tę formułę suchym ruchem podbródka.

— Ma pan może moją książkę? Oni pokazywali mi tylko gazety.

Psar zademonstrował mu obydwa wydania, broszurowe i oprawne.

— Całkiem niezłe — powiedział Kurnosow uprzejmie. — Tyle tylko, że margines dość skąpy. Gdzie jest samochód?

Tym razem konferencja prasowa odbyła się w Pałacu Kongresowym. Przybyło na nią blisko tysiąc osób — derwisze chcieli uczcić swój sukces. Czyż nie udało im się wyrwać nieszczęsnego „Anonimowego więźnia” ze szponów represyjnej psychiatrii? Wśród dziennikarzy panowało wielkie podniecenie, nie zawiedli nawet najwięksi. Komunizm międzynarodowy mógł co prawda odnosić sukcesy w Angoli, Abisynii, Nikaragui, w Salwadorze, w Polsce... ale Związek Radziecki dał dowód, że lęka się opinii publicznej. Było się z czego cieszyć.

W kularach Aleksander natknął się na Divo, który natychmiast, krzywo się uśmiechając, zadał mu pytanie:

— Tym razem to oryginał?

— Mam nadzieję.

— Zupełnie inny niż tamten?

— I tak, i nie.

Aleksander zadziwił samego siebie, dodając do tego jeszcze jedno zdanie:

— *Homo sovieticus* pozostanie zawsze *homo sovieticus*. („Rozmawiam z Divo nieomal przyjaźnie, prawie jak ze współnikiem. Co się dzieje? W jakiś sposób jest mi bliższy niż oni”.)

Mówił dalej :

— *Homo sovieticus* przekonany jest, że wszystko mu się na leży, lecz nic nie będzie mu ofiarowane. W rezultacie gotów jest zdobyć dla siebie byle co, posługując się byle jaką metodą. Wiesz, jedno mnie dziwi. Gdy mam się zobaczyć z kimś, kto ocalał z łagru, przygotowuję się na spotkanie z człowiekiem wygłodniałym, zgaszonym, zdegradowanym, z żywym trupem. W końcu jeżeli tam posyła się ludzi do łagru, to nie po to, jak to jest u nas z pospolitymi przestępcami, żeby im pochlebiać i co tydzień płacić im bilet do kina. Ale trafiam na ogół na szyderców, bardzo wymagających. Nie jest tak, by myśleli tylko, jak przeżyć. Gawierin wciąż domagał się pieniędzy. Ten natomiast tylko postawił nogę na ziemi francuskiej, już zapytał, gdzie stoi jego samochód. Jak myślisz, skąd się to bierze?

Divo przysłuchiwał się, jednocześnie nie przestając obserwować z ironicznym wyrazem twarzy norek, popielic, kaszmirów i alpag, które defilowały w pobliżu.

— To nie jest wielki świat, ani półświatek, ani trzeci świat. To jest zapewne światek — mamrotał. Później zwrócił się do Aleksandra:

— Myślę, że chodzi tu o rodzaj doboru naturalnego. Aby przetrzymać łagier, zwrócić na siebie uwagę międzynarodowej opinii publicznej, żeby, po wyjściu na wolność, znaleźć jeszcze w sobie energię i wyjechać z kraju, kontynuować walkę, trzeba być wyposażonym w pewne zalety i pewne wady. Typ, o którym mówisz, to *homo sovieticus militans*. Definiujesz go całkiem dobrze. Ja powiedziałbym po prostu, że to typ człowieka mający wielką siłę przebicia. Bez tego Solżenicyn uczyłby wciąż, w najlepszym razie, fizyki w Riazaniu. Założę się, że nawet swego raka zwalczył siłą przebicia.

Wciąż ten krzywy, skośny uśmiech.

Ten ironista, nierozgoryczony intelektualista, któremu nikt nie mógłby zarzucić żadnej podłości, ten poeta, specjalizujący

się w pewnego rodzaju chirurgicznej jasności wyrazu, byłby, myślał Aleksander, świetnym kandydatem do uniwersalnej partii. Byłoby doskonale, gdyby udało się nakłonić ten reakcyjny umysł (reakcyjny w najlepszym znaczeniu tego słowa: wciąż reagujący na bodźce) do udziału w wywrotowym przedsięwzięciu. Teoria przekazywania pałeczki, sztafety, jest dlatego taka trafna, że poszczególni uczestnicy sztafety nie wiedzą, co czynią. Praca wywrotowa, myślał Aleksander, przypomina gigantyczną maszynę elektroniczną: funkcjonuje dzięki półprzewodnikom. Divo byłby nadzwyczajnym półprzewodnikiem. Oczywiście, trzeba by trzymać go z daleka od Kurnosowa i nie dopuszczać do udziału w podejmowaniu decyzji; mógłby zakłócić przebieg całej operacji.

Aleksander zasiadł na scenie Pałacu Kongresów z pewnym ociąganiem. Jeszcze niedawno przedstawiał prasie fałszywego Kurnosowa, teraz musiał zaprezentować prawdziwego, przygotowując się jednocześnie do zainicjowania wielkiego ruchu. Ale w okresie pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami został zraniony, jego dusza została zraniona. Śmierć żony i syna tkwiła w nim jak pocisk, który został zablokowany gdzieś w ciele i którego nie można usunąć bez narażenia na szwank życia rannego. Także i przekonanie, że dyrekcja i Pitman we własnej osobie nie mają już do niego takiego zaufania jak niegdyś, było dla niego niemal równie bolesne. Jego życie toczyło się z dala od prawdziwych trosk, tylko śmierć ojca stanowiła wyjątek. Był do tej pory, by tak rzec, dziewicą cierpienia. Obecne przejścia zbliżały go do innych ludzi i sprawiały, że w pewnym sensie stał się bardziej rzeczywisty, ludzki, bardziej przekonujący. Nigdy jeszcze nie promieniował tak wielką siłą wewnętrzną, jak tego wieczoru.

W chwili gdy zaczął przemawiać, przypomniał sobie nagle ten pogodny moment, w lecie ubiegłego roku, gdy pod fontanną Berniniego wziął od mężczyzny w pomarańczowej bluzie pakiet «Oggi», zawierający wewnątrz manuskrypt *Rosyjskiej prawdy*. Myślał o tym nie w kategoriach: „Jaki byłem wtedy szczęśliwy”,

lecz: „Ależ byłem wtedy młody”. I rzeczywiście, w ostatnich dniach jego kasztanowe włosy nabrały nowego blasku. Jeśli tylko będzie żył odpowiednio długo, będzie nosił na głowie wspinałe srebrne runo. Przez moment z radością doznał poczucia własnej dojrzałości.

Zaczął od przypomnienia całej sekwencji wydarzeń. Sowiecka perfidia jest czymś oczywistym, nie trzeba mnożyć dowodów na rzecz tej tezy. Ostatni epizod stał się kolejnym przykładem tej perfidii. Związek Radziecki, przyprawiony o paniczny lęk zainteresowaniem, jakie wolny świat okazał *Rosyjskiej prawdzie*, pośpiesznie uwolnił fałszywego Kurnosowa, oszukując wszystkich, także i jego, Aleksandra Psara, w pierwszym rządzie. Prosił, by wybaczone mu tę pomyłkę. Na szczęście powszechne oburzenie francuskiej opinii zmusiło „wielkich kłamców” do uwolnienia nieboraka. I oto jak Jonasz uratowany z brzucha wieloryba, prawdziwy autor tego dzieła, którego doniosłości nie sposób przecenić (w ciągu dwu miesięcy sprzedano 200000 egzemplarzy!), znalazł się wśród nas, jak posłaniec nadziei, nadziei dla krajów demokratycznych i ludów ujarzmionych. Niestety, Michał Leontycz nie włada językiem francuskim, lecz gotów jest, za pośrednictwem Psara, odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jeśli zaś idzie o wstępną deklarację „Więźnia”, który przestał już być „anonimowy”, to przedstawia się ona następująco: Michał Leontycz Kurnosow, wydalony z ZSRR, zamierza poświęcić swe życie pracy nad utworzeniem i prowadzeniem niezależnego ugrupowania, które będzie nosiło nazwę „Konfraternia prawdy ludów”.

Następnego dnia «Niezależny Dziennik», którego kierownictwo objął po swym zdymisjonowanym przyjacielu i protektorze Hugues Minquin, opublikował „duże fragmenty” stenogramu konferencji prasowej. We wstępie, bardzo umiarkowanym, Minquin pisał: „Niektóre przekonania pana Kurnosowa mogą się wydawać trudne do przyjęcia przez naszą społeczność, mimo to jednak nie sposób odmówić im charakteru charyzmatycznego.

Oddajmy zresztą głos ludziom dobrej woli, którzy zadawali pytania nonkonformistycznemu przybyszowi”.

Pytanie: — Panie Kurnosow, z pewnością orientuje się pan, z jakim trudem przychodzi nam ustalić pańską tożsamość. Czy zechce pan potwierdzić, że to właśnie pan próbował zastrzelić Breżniewa?

Odpowiedź: — Potwierdzam to.

Pytanie: — W jaki sposób przystąpił pan do dzieła?

Odpowiedź: — Miałem szwagra milicjanta, pijaka. Zabrałem jego mundur i pistolet maszynowy. Kosztowało mnie to dwa litry wódki. Mój szwagier był w stanie uniesienia (śmiechy).

Pytanie: — Czy można zapytać, jakim motywem kierował się pan przystępując do zamachu?

Odpowiedź: — Można. Byłem przekonany, że wystarczy zniszczyć zwornik sklepienia sowieckiej katedry, by zawaliła się całość.

Pytanie: — Już pan tak nie myśli?

Odpowiedź: — Nie. Komunizm to rak, któremu tego rodzaju zniszczenie w niczym nie przeszkadza.

Pytanie: — Dlaczego zmienił pan zdanie?

Odpowiedź: — Ponieważ stałem się inteligentniejszy. Po zamachu uznano mnie za wariata i umieszczono w zakładzie psychiatrycznym, gdzie pozwolono mi czytać wszystkie książki, jakich tylko zażądałem. Pozwoliło mi to udoskonalić moją kulturę polityczną i jaśniej zobaczyć rzeczy. Jeśli zna pan *Borysa Godunowa*, wie pan, że stanowi to część rosyjskiej tradycji. Tam tylko szaleńcy widzą jasno.

Pytanie: — Jak się panu udało przemycić na Zachód najpierw fragmenty pańskiej pracy, a potem całość?

Odpowiedź: — Naiwność tego pytania jest równie wielka jak impertynencja w nim zawarta.

Pytanie: — W zasadzie był pan dość dobrze traktowany. Czym pan to sobie tłumaczy?

Odpowiedź: — Na początku było rzeczą korzystną dla reżimu przedstawić mnie jako szaleńca, bo tylko wariat mógł się targnąć na życie państwowego dobroczyńcy numer jeden. Później ludzie z KGB zorientowali się, że posiadam pewne wykształcenie polityczne i pomogli mi jeszcze w jego poszerzeniu. Podobnie lekarze hodują bakterie. Marksizm uważa się za teorię naukową. Marksiści są przekonani, że za każdym razem, gdy spełnione zostają pewne warunki, prowadzi to do określonych następstw. To, że się dostałem w ich ręce, było dla nich niezłą gratką. Mogli odtąd studiować *in vivo* funkcjonowanie umysłu kontrrewolucyjnego.

Pytanie: — Pańscy strażnicy wiedzieli, że niektóre partie pańskiej książki przedostały się na Zachód. Czy nie zaostrzyli wtedy kontroli?

Odpowiedź: — Oczywiście. Założyli kraty na moich oknach, przesłuchiwali moich pielęgniarzy, innych chorych, przeszukiwali moją celę. Nigdy nic nie znaleźli.

Pytanie: — Czy ta nieudolność nie wydaje się panu podejrzana?

Odpowiedź: — Nieudolność w ZSRR nigdy nie wydaje się czymś dziwnym i podejrzanym.

Pytanie: — Co sprawiło, że stał się pan wojującym antykomunistą?

Odpowiedź: — Komunizm, rzecz jasna. Ale i pewien epizod z mojego życia, o którym nie chcę publicznie mówić.

Pytanie: — Co pan myśli o Zachodzie?

Odpowiedź: — Zachód stanowi zaledwie część świata, a świat kręci się wkoło jak wiewiórka w swoim bębnie. To koło to demokracja silniejsza niż faszyzm, faszyzm silniejszy niż komunizm, komunizm silniejszy niż demokracja. Myślę, że trzeba wyjść z tego koła.

Pytanie: — Mogłoby się wydawać, że nie wie pan o tym, iż to komuniści pokonali faszystów.

Odpowiedź: — Nieściskość. To Rosjanie zwyciężyli Niemców. Wyczuwam w pana głosie sympatię prokomunistyczną i radzę panu przeczytać ponownie przemówienie Stalina z 9 maja 1945.

Pytanie: — Co myśli pan o socjalizmie?

Odpowiedź: — Mógłbym panu odpowiedzieć słowami Władimira Bukowskiego: „Jeśli chcecie zamienić wasz kraj w gigantyczny cmentarz, wstąpcie w szeregi partii socjalistycznej”. Ale wolę zacytować Puszkina. Zna pan naszego Puszkina? Napisał on bajkę, która zaczyna się mniej więcej tak: „Trzy młode dziewczyny przędły przy oknie późnym wieczorem. «Gdybym była carycą», powiedziała jedna z nich, «wydałabym ucztę dla wszystkich chrześcijan świata». «Gdybym to ja była carycą», powiedziała jej siostra, «utkałabym płótna dla całego świata». Obie one okazały się następnie najgorszymi łotrzcami: nie zaważyły się przed zdradą cara, który stał się ich szwagrem, przed morderstwem ich siostry carycy i siostrzeńca carewicza. Fragment ten porównać można do kuszenia na pustyni w interpretacji Dostojewskiego, w legendzie o Wielkim Inkwizytorze. Oto co *Rosyjska prawda* i ja sądzimy na temat socjalizmu.

Pytanie: — Nie jestem pewien, czy dobrze pana zrozumiałem. Co chciała zrobić trzecia siostra?

Odpowiedź: — Trzecia siostra mówi: gdybym była carycą, dałabym carowi syna bohatera. Widzi pan, na czym polega różnica. Ta Kordelia chce osiągnąć coś realnego, naturalnego i pożytecznego. Coś na miarę jej możliwości. Dwie pozostałe, socjalistki, marzą. I marzą o dobrach materialnych, które nie zasługują nawet na to, żeby o nich marzyć.

Pytanie: — Panie Kurnosow, oszust, który podszył się pod pana nazwisko, wypowiedział bardzo negatywne sądy na temat dysydentów. A pan? Co pan o nich myśli?

Odpowiedź: — Oni są różni od nas. Pochodzą z sowieckiej elity i dlatego też nie są reprezentatywni dla narodu rosyjskiego. Ale są wśród nich przyzwoici ludzie.

Pytanie: — Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”? Czyżby nie uważał się pan za dysydenta?

Odpowiedź: — Nie. Wasz Diderot powiedział: „Dysydenci

prześladowani staną się prześladowcami, kiedy uzyskają przewagę”. Nie jestem potencjalnym prześladowcą. Dysydent po rosyjsku oznacza „który-myśli-inaczej”. Ja nie myślę inaczej. Ja myślę jak wszyscy ludzie zdrowego rozsądku. Nie jestem dysydem, jestem Rosjaninem, który próbuje konsekwentnie i organicznie traktować swoją rosyjskość. Być Rosjaninem, być Francuzem — to nie ideologia, to konkretny fakt.

Pytanie: — Czy uważa się pan za rosyjskiego nacjonalistę?

Odpowiedź: — Jestem świadom tego, że słowo „nacjonalista” ma na Zachodzie pejoratywny wydźwięk. Jesteście w tym mocni, żeby nadawać pejoratywnie znaczenie słowom, których sens nie jest wcale negatywny. „Nacjonalista”, „Murzyn”, „Żyd”... Mamy tu do czynienia ze smutnym faktem dewaluacji lingwistycznej. Końcówka *-ista* w słowie „nacjonalista” z trudem oddaje tak konkretną rzeczywistość jak naród. Każda ideologia, prawicowa czy też lewicowa, która pociąga za sobą gwałt na rzeczywistości, jest diaboliczna w swojej istocie.

Pytanie: — Co pan przez to rozumie?

Odpowiedź: — Rewolta Lucyfera nie jest rewoltą złą przeciwko dobru, lecz dobra przeciwko istnieniu.

Pytanie: — Powróćmy na ziemię, jeśli pan pozwoli. Czy jest pan faszystą?

Odpowiedź: — Faszyzm jest formą socjalizmu, faszyzm jest abstrakcją. Oto dwa powody, dla których nie jestem faszystą.

Pytanie: — Mówi się, że istnieją w Rosji ruchy monarchistyczne, na przykład Ogurcowa. Czy jest pan monarchistą?

Odpowiedź: — To nie ja jestem monarchistą, to Rosja jest, zawsze była i prawdopodobnie jeszcze długo będzie monarchią. Myślę, że jedynym sposobem powstrzymania sowieckiego ekspansjonizmu ideologicznego jest uznanie imperialistycznej natury Rosji, ściśle związanej z określonym i ograniczonym terytorium.

Pytanie: — W pana książce robi pan aluzję do pewnego typu teokracji. Czy mógłby pan to sprecyzować?

Odpowiedź: — Rządy społeczeństw opierają się na dwóch zasadach. Jedną z nich jest prawomocność, drugą wymogi życia praktycznego. Na ulicznym skrzyżowaniu niezbędny jest policjant — oto wymóg życia praktycznego. Ale ten policjant nosi mundur — oto prawomocność. Prawomocność jest zawsze irracjonalna: prawo boskie, zasada dziedziczności, wybory powszechne, losowanie nie wypływają z przesłanek racjonalnych i właśnie dlatego stają się źródłem prawomocności. Dobrze wiadomo, że syn geniusza może być kretynem. Wiadomo też, że więcej jest imbecyli niż ludzi inteligentnych, i to wszystko nie ma znaczenia, ponieważ inteligencja nie ma tu nic do rzeczy. Prawomocność republikańska bazuje na braku koherencji, tak jak prawomocność monarchiczna na absurdzie. Potrzeby życia praktycznego dyskutuje się punkt za punktem, ich ewolucja odbywa się stopniowo, poprzez adaptację. Natomiast prawomocność może być ujmowana tylko globalnie — tak albo nie. Będąc chrześcijaninem myślę, że to dobrze, żeby irracjonalność prawomocności była irracjonalnością chrześcijańską. Nie oznacza to, że chrześcijanie muszą organizować państwo ziemskie na wzór niebiańskiej Jerozolimy. Potrzeby praktyczne wciąż dają o sobie znać. Sformułowanie „chrześcijański książę” zawiera w sobie sprzeczność, co wcale nie oznacza, że należy je odrzucić.

Pytanie: — Dostojewski także opowiadał się za teokracją. Czy teokracja nie została nieco nadwerżona w waszym kraju?

Odpowiedź: — Rosja ma powołanie Chrystusowe. Proszę pamiętać, co się stało z Chrystusem. Jego apostołowie wierzyli, że wyzwoli królestwo Izraela. Faryzeusze również w to wierzyli, i bojąc się, że nie będzie w nim dla nich miejsca, ukrzyżowali króla. I dlatego właśnie, że został ukrzyżowany, mógł stworzyć swoje prawdziwe królestwo, którego faryzeusze nie umieli sobie wyobrazić. To już nie jest *felix culpa*, tylko *felix error*. Podobnie Dostojewski, który myślał, że Rosja ocali świat przez teokrację. Tymczasem doprowadzi ona do tego przez męczeństwo.

Pytanie: — Kto to są według pana faryzeusze?

Odpowiedź: — Więc to jednak prawda. Zachód nie uświadomił sobie jeszcze tego, co tak jasno tłumaczą ludzie w rodzaju Knupfera i Chestertona!

Pytanie: — Co oni tłumaczą?

Odpowiedź: — Że to lichwiarze są faryzeuszami naszych czasów. Że kapitalizm zachodni i sowiecki komunizm są jak nagonka, która pcha zwierzynę na polanę, gdzie czekają już strzelcy.

Pytanie: — Kto jest zwierzyną?

Odpowiedź: — Wy.

Pytanie: — A myśliwi to kto?

Odpowiedź: — Widzę, że przeczytał pan moją książkę dość nieuważnie. Przypomnę więc jej zasadnicze punkty.

Początkiem wszystkiego jest kredyt, czyli lichwa. Nie bez powodu średniowieczny Kościół potępiał oprocentowane pożyczki. To one umożliwiły powstanie nowoczesnego społeczeństwa, a wcześniej przeprowadzenie rewolucji przemysłowej. Nie wiem jednak, czy możemy być dumni z tych osiągnięć.

Instytucja kredytu wiąże się z powstaniem banków. Nawet banki funkcjonowały jeszcze jako tako, póki spełniały funkcję agencji wymiany i kredytu. Niestety, wkrótce przyznano im prawo wypuszczenia własnego pieniądza; banki nie były monet i nie drukowały banknotów, lecz udzielały pożyczek na sumy, których wcale nie posiadały. Proszę nie mieć złudzeń: czek bankowy, który otrzymuje pan jako pożyczkę, jest w 80% bez pokrycia. To już nie jest sprawa z bankiem, to sztuczka prestidigitatora. Banki jednak nie poprzestają na tym. Nie tylko uzurpują dla siebie przywilej państwa, emitując pieniądze, ale też pożyczają te nieistniejące pieniądze, ten wiatr, instytucji państwa, uzależniając od siebie całe narody. Czy wiadomo panu, że do niedawna Anglia spłacała bankowi Rotszyldów pożyczki zaciągnięte w okresie wojen napoleońskich?

Niewątpliwie dla państwa będzie to szokiem, szokiem dla waszego cynizmu, jeśli powiem, że cały system bankowy jest niemoralny. Proszę wziąć pod uwagę wasze spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, słusznie zwane też anonimowymi. Wiecie państwo, że operują one sumami dziesięciu- i dwudziestokrotnie przewyższającymi ich kapitał. Jeśli osiągają zysk, wszystko dobrze, jeżeli jednak bankrutują, kto płaci? Wierzyciele. Akcjonariuszy nikt nie konsultuje w sprawie ryzykownych poczynań zarządu. Póki otrzymują oni dywidendy, nie mają powodów do niepokoju. Czy to jednak moralne, aż tak dalece zrzec się własnej odpowiedzialności? I jaki związek zachodzi między agentem giełdowym, kupującym czy też sprzedającym jedną milionową część wartości kopalni miedzi równie obojętnie, jakby nakładał czy zdejmował pantofle, a czarnym górnikiem, który nadwyręzą własny kręgosłup, czołgając się w tej samej kopalni, z kilofem w ręce?

Proszę jednak nie sądzić, że jestem pryncypialnie przeciwny prywatnej własności kopalń; jest ona dopuszczalna, jako że ktoś zakłada takie przedsiębiorstwo, ktoś musi nim zarządzać. Sprzeciwiam się tylko temu, by praca ludzka była przedmiotem gry, podobnie jak w waszym... jak się to nazywa? (Psar odpowiada: „Monopolu Loteryjnym”).

Wróćmy jeszcze do banków. Znajdują się one w rękach ludzi, których nazywam Lichwiarzami. Fakt, że nagromadzili oni tak wielkie zyski, kryje w sobie pewną *hybris*, wynika z jakiegoś fatalizmu. Zaczęli przybierać na wadze, nie potrafią się zatrzymać. Wiecie państwo lepiej ode mnie, że władają oni w sposób prawie absolutny Europą i Ameryką Północną. Wiecie, że dążyli do dekolonizacji, jako że młode i mało doświadczone narody, posiadające bogate i słabo wykorzystane zasoby surowcowe, stają się dla nich łatwiejszym łupem, oferują im zyski większe niż to było możliwe, gdy ich terytoria zarządzane były przez narody lepiej rozwinięte, zagarniając dla siebie sporą część dochodu. Ja jednak chcę państwu pokazać przede wszystkim to, co stało się w Rosji.

Carska Rosja nie poddawała się operacjom Lichwiarzy, była też od nich o wiele mniej zależna niż pozostałe kraje Europy. Wskaźnik zadłużenia publicznego w przeliczeniu na jednego mieszkańca w roku 1908 wynosił we Francji 288 punktów, a w Rosji tylko 58,7. W 1914 roku 83% tego zadłużenia zostało spłaconych dzięki dochodom państwowych kolei żelaznych. W roku 1912 wskaźnik opodatkowania wynosił w Rosji 3,11, podczas gdy we Francji 12,35 i 26,75 w Wielkiej Brytanii. W roku 1913 rezerwa rosyjskiego złota opiewała na 1550 milionów rubli, podczas gdy w obiegu znajdowało tylko 1494 milionów rubli papierowych. W tym samym czasie frank francuski miał tylko około 50% pokrycia w złocie. Jednocześnie wzrost gospodarczy Rosji osiągał wówczas takie rozmiary, że jeden z francuskich ekonomistów skomentował to w następujący sposób: „W połowie stulecia Rosja zdominuje Europę politycznie, ekonomicznie i finansowo”. Produkcja przemysłowa rosła w Rosji w skali 3,5%, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych o 2,75% i 1% w Wielkiej Brytanii. Widzicie więc państwo, że Lichwiarzom nie brakowało powodów do niepokoju. Dodajmy do tego, że w roku 1912 prezydent USA Taft stwierdził, iż ustawodawstwo socjalne Rosji było „bliższe doskonałości” niż w jakimkolwiek kraju demokratycznym. Jeżeli więc praktyka pokazywała, że państwo rządzone w sposób nie demokratyczny, lecz, jak byście wy powiedzieli, teokratyczny, umiało rozwiązać problemy, przed którymi kapitulowali Lichwiarze, ich, Lichwiarzy, władza nad światem gospodarczym była zagrożona.

To, co się dalej wydarzyło, nietrudno było przewidzieć. Wiadomo powszechnie, że niemiecki bankier, Warburg, przyznał Leninowi poważne subsydia finansowe. O wiele mniej znany jest fakt, że Warburg miał brata, założyciela systemu amerykańskiej Rezerwy Federalnej i że ten brat także subwencjonował rosyjskich rewolucjonistów, posługując się jako pośrednikami amerykańskimi bankierami Ruhnem, Loebem i Shiffem. Jednocześnie

Trocki przyznawał się chętnie, że otrzymał znaczną pożyczkę od finansisty, członka brytyjskiej partii liberalnej.

W rezultacie Rosja carska wyeliminowana została z walki i ZSRR został klientem Zachodu. Pierwszą sowiecką fabrykę samochodów zbudował Ford (choć w Rosji przedrewolucyjnej produkowano już własne modele samochodów). Doradcą Stalina w okresie kolektywizacji był Campbell. Nie mówiąc już o tym, co dzieje się w chwili obecnej. Rosjanie śpiewają: „Dzieci, rzućcie szkołę, pijcie Coca-Colę!”, a państwo wydaje rezerwy swego złota, by wyżywić lud. Lecz to należy do mniej obrzydliwych aspektów wspólnictwa, łączącego kapitalistycznych Lichwiarzy z ich sowieckimi dogami. Założmy, że ZSRR staje się państwem takim samym jak inne: zobaczymy, jak bardzo zmniejszyłaby się wtedy władza Lichwiarzy nad światem zachodnim. Wy boicie się tak bardzo ZSRR, że szukacie opieki w ramionach Lichwiarzy, krzycząc „babciu!” Ale to nie jest wasza babcia, to złośliwy wilk, który ostrzy sobie zęby, żeby was lepiej zjeść, moje dzieci.

Sądźcie państwo, że wszystko to jest wymysłem? Proszę przyjrzeć się, w jaki sposób USA, będące całkowicie we władaniu Lichwiarzy, traktowały swego głównego wroga podczas ostatniej wojny i po jej zakończeniu.

Zamiast czekać, aż ZSRR upadnie i potem rzucić się na osłabione Niemcy, Amerykanie włączyli się do walki w sam czas, by uratować rozsypujący się reżim komunistyczny. To rosyjski żołnierz, powtarzam, pokonał żołnierza niemieckiego, lecz system marksistowski ocalony został przez amerykańskie dostawy materiału wojennego. Gdy Mołotow zaproponował w zamian za te dostawy pewną liberalizację systemu, Roosevelt odrzekł, że nie widzi takiej potrzeby.

Churchill domagał się, by inwazja Aliantów dokonała się w Grecji, lecz Amerykanie byli zwolennikami desantu we Włoszech. W rezultacie Rumunia, Bułgaria, Czechosłowacja, Węgry, Albania i ta Polska, nad którą teraz Zachód wylewa krokodyle łzy,

wydane zostały Sowietom. I obok nich Niemcy! Czyż nie jest symboliczny podział Niemiec, tej kury znoszącej złote jajka, pomiędzy dwóch współników? Jedno udko dla ciebie, jedno dla mnie. Wiecie też państwo o tym, że tysiące Rosjan, pragnących uciec przed komunizmem, zostało przemocą załadowanych do wagonów i ciężarówek i oddanych Sowietom. Przez kogo? Przez Anglików i Amerykanów.

Ale nie ma nigdy tragedii bez elementów komicznych: na procesie norymberskim kaci sowieccy zasiadali obok sędziów wyznaczonych przez kraje Zachodu.

Amerykanie nie pomogli Chinom w ich desperackiej walce z komunizmem, wydali je w ręce komunistów.

CIA popchnęła Węgrów do rewolty, w wyniku czego siły wolnościowe tego kraju zgniecione zostały przez Armię Czerwoną.

I proszę też sobie przypomnieć, jak harmonijnie, w jakiej zgodzie, Moskwa i Waszyngton — dwa groźne głosy z dwu końców świata — nie pozwoliły wam zaprowadzić porządku w świecie arabskim!

Lecz najbardziej wstydlivy przypadek to Kuba. Jak to możliwe, żeby jakikolwiek kraj tolerował pistolet wymierzony we własne podbrzusze? Lecz Castro zdobył władzę korzystając z pomocy Amerykanów, i w taki sposób pistolet został nabity ślepym nabojem. Oczywiście Amerykanie udawali później, że stoją po stronie emigrantów kubańskich i rozmyślnie doprowadzili do fiaska inwazji w Zatoce Świń. Tak, rozmyślnie: proszę sobie przypomnieć, że lotnicza osłona operacji została odwołana na osobisty rozkaz prezydenta Kennedy'ego. A gdy Sowietci, którzy od czasu do czasu próbują zrzucić jarzmo nałożone na nich przez Lichwiarzy, próbują naprawdę nabić kubański pistolet, ten sam Kennedy sprawia, że muszą z podkurczonym ogonem wrócić do domu. Widzicie państwo, Chruszczow, ze wszystkimi swymi wadami, był prawdziwym Rosjaninem, który zabiegał o niepodległość dla swego kraju. Wystarczyło jednak, by Rockefeller wybrał się na wakacje — wakacje, mój Boże — na Krym, by

Chruszczow dostał wymówienie.

Czy wiecie państwo, że Roosevelt oświadczył, iż Indochiny po wojnie nie powinny pozostać we francuskich rękach? I czym są Indochiny w chwili obecnej? Amerykanie prowadzili tam co prawda wojnę, lecz bardzo uważali, by jej przypadkiem nie wygrać. W tym celu wynaleźli nawet specjalną metodę: eskalację.

Jakie są w tej chwili dwa wielkie mocarstwa nuklearne? Które z nich ofiarowało bombę drugiemu? Tak, nie całkiem jawnie, za pośrednictwem szpiegów, których zechciano nawet później posadzić w krzesła elektrycznym, tym nie mniej fakt pozostaje faktem: gdyby tylko Amerykanie mieli bombę, kto grałby rolę wilkołaka na użytek Lichwiarzy?

A kto, całkiem niedawno, podzielił między siebie świat w Helsinkach? I co stąd wynikło dla ludów ZSRR? Jeszcze okrutniejsze represje, gdyż układ helsiński miał takie oto znaczenie: „Wszystko w porządku, wasza rola jest jasno określona, róbcie tak dalej”.

A co dzieje się w Afganistanie? Jeden ze współników posługuje się gazem i napalmem, drugi nie pozwala swym sportowcom wziąć udziału w olimpiadzie.

Posunę się jeszcze dalej. Nie przekonuje mnie sposób, w jaki Reagan szczyrzy zęby, a Breżniew pokazuje pazury, gdy mowa o Polsce. ZSRR szuka pretekstu, żeby nie musieć dokonywać inwazji Polski, a USA próbują odzyskać swój nadwyreżony prestiż. Ten pies rozumie się z tym kotem jak dwaj złodziejaskowie w dzień targowy...

„Przedstawiciele różnych obozów politycznych — kontynuował Hugues Minquin — rozmaicie reagowali na te zdumiewające deklaracje. Musimy jednak przyznać, że główną niespodziankę zatrzymał Kurnosow na sam koniec swej konferencji. Widząc mianowicie, że część publiczności dość nieufnie odnosi się do jego oświadczeń, wykrzyknął z humorem:

— Nie chcecie mi wierzyć? Ależ zaraz wam udowodnię, że Stany Zjednoczone współdziałają z Sowietami, by utrzymać naród rosyjski w niewoli, a wszystko po to, by handlarze bronią, ci kuzyni Lichwiarzy, powiększyli swe zyski.

Wyjął jakiś przedmiot z kieszeni:

— Dziś rano — powiedział — opuściłem ZSRR. Póki samolot leciał nad terytorium ZSRR, miałem ręce skute kajdankami. Zażądałem, by mi je zdjęto, gdy już nie znajdowaliśmy się nad terytorium ojczyzny. A ponieważ jestem troszeczkę kieszonkowcem, udało mi się zachować kajdanki jako pamiątkę.

Zwrócił się w stronę pani Choustrewitz z pisma «Wybór» i podał jej przedmiot, który trzymał w ręku:

— Czy może pani z łaski swojej odczytać wytłoczony na tym napis?

Pani Choustrewitz uniosła przedmiot wysoko: były to kajdanki. Wyraźnie i głośno odczytała wytłoczoną markę:

— Smith and Wesson. Made in U.S.A.”

Po zakończeniu konferencji prasowej Baronet, który lubił małe, dyskretne restauracyjki, dobre choć nie bardzo drogie, zabrał Fourvereta, Psara i Kurnosowa na kolację do „Tyburcjusza”.

— Nie jest pan zmęczony? Nie wolałby pan odpocząć? — spytał Aleksander Kurnosowa.

— Zmęczony? Przecież ja tylko gadałem.

— Ale jeszcze dzisiaj rano był pan...

— Od dziesięciu lat przygotowywałem się do tej podróży.

— Wiedział pan, że do niej dojdzie?

— Wiedziałem, że jeśli darowali mi życie, to po to, by prędzej czy później wydalić mnie z kraju.

Kurnosow zachowywał się przy stole znacznie bardziej elegancko niż Gawierin.

— Dużo czytałem — wyjaśnił z prostotą — i między innymi także podręczniki *savoir-vivre*. Jestem przekonany, że wiedza

powinna dotyczyć wszystkiego i że dobry chrześcijanin powinien też umieć posługiwać się widelcem.

Baronet, młody, pełen godności i pucułowaty, o różowej cerze i jasnych włosach, noszący intrygujące, połączone okulary, ciekaw był, dlaczego ruch, który Kurnosow zamierzał zainicjować, miał nosić nazwę „Konfraterni prawdy ludów”.

Kurnosow, o siwych włosach, gęstych jak słomianka raczej niż jak szczotka, ze sterczącym nosem, w statecznych okularach, o dłoniach, których wszystkie palce były prawie równej długości, przypominał głównego księgowego, który nagle oszalał.

— „Konfraternia prawdy ludów” — odparł — nawiązuje do pełnej honoru pamięci „Konfraterni prawdy rosyjskiej”, której członkowie zostali uwięzieni i skazani w epoce terroru postleninowskiego. Nie tylko nie ponizyli się, nie padli na kolana, nie przyznali się do wszystkich możliwych zbrodni, jak to uczynili przed tym samym trybunałem komunistów, komunistyczne szmaty, lecz na wszystkie stawiane im pytania odpowiadali śpiewając chórem *Boże chroń cara*. Można nie podzielać ich przekonań, nie można nie podziwiać ich męczeństwa.

Ta pewność siebie samouka, to pełne logiki szaleństwo wywoływały wściekłość Aleksandra. A jednak czuł, że w tym drobnym ciele wciśniętym w czerwony sweter z golfem, w tej kwadratowej czaszce, porośniętej językiem włosów tak prostych i twardych, że zdawały się naelektryzowane, kryła się ogromna pasja i że w innych okolicznościach mógłby ją podzielać.

— Proszę im to przetłumaczyć. Ufam panu. Do pewnego stopnia przynajmniej.

Jego małe, twarde oczka zdawały się wwiercać w niewzruszoną twarz Aleksandra.

— Lud rosyjski jest nosicielem prawdy, tak jak to napisałem w mojej książce. Nawet katolicy wiedzą, od czasu objawienia w Fatimie, że mamy własne, osobne przeznaczenie. Rewolucja zwana rosyjską jest nierosyjskim zamachem, mającym pokrzyżować

nasze zamiary, nasze przeznaczenie. Rosja ma serce, mistyczne serce, a jego prawdziwym imieniem jest monaster Trójcy — Św. Sergiusza. Miejscowość tę nazwano Zagorsk, na cześć mało znanego rewolucjonisty, który nosił pseudonim Zagorski, a naprawdę nazywał się Krachman. Czyż to nie symboliczne?

Czy znacie panowie nazwiska zabójców, którzy zmasakrowali cara, carycę, carewicza, carewnę i cztery wierne im osoby, w tej piwnicy, w Jekaterinoburgu, 17 lipca 1918 roku o godzinie pierwszej piętnaście? Trzech spośród nich to Rosjanie, ale oto jak nazywało się siedmiu pozostałych: Jurowski, Horvat, Fischer, Edelstein, Fekete, Nagy, Grünfeld, Vergazy. Trocki nazywał się naprawdę Bronstein. Nie chodzi wcale o to, że pojawia się tu wiele nazwisk żydowskich: Dzierżyński był Polakiem, Stalin Gruzinem, Beria także, Lenin trochę Szwedem i mocno Tatarem. Nie ma więc powodu, by protestować przeciw antysemityzmowi, jak to czynią Lichwiarze za każdym razem, gdy się powie, że rosyjska rewolucja ma w gruncie rzeczy charakter antyrosyjski. Trzeba zresztą oceniać drzewo po jego owocach. Czternaście republik Związku żyje lepiej niż piętnasta — rosyjska — każdy wam to potwierdzi. Każda z republik jest teoretycznie suwerenna, co sprawia, że republika rosyjska (140 milionów mieszkańców) ma tyle samo znaczenia co Estonia (milion mieszkańców). Tymczasem rosyjska republika — jedyna — nie posiada własnej partii komunistycznej.

— Jak to? — zdziwił się Aleksander.

— No tak. Istnieje wszechsowiecka partia komunistyczna, ale nie ma rosyjskiej partii, podobnie jak nie ma rosyjskiej akademii nauk, podczas gdy wszystkie pozostałe republiki mają swoją partię i swoją akademię.

— Ale czy nie wynika to z tego, co niektórzy określają jako wielkorosyjski kolonializm?

— Nie. Rosyjski uczoney musi zaczynać od pracy na wygnaniu, wśród Uzbeków czy Kirgizów, zanim będzie mógł wykazać

się w Moskwie czy Leningradzie. Tak samo rosyjski komunista, jeśli jest szczery, oddany sprawie, nie może służyć swojemu ludowi i swojemu krajowi, tylko zostaje podłączony do federacji. Są i gorsze rzeczy. Propagowany przez państwo alkoholizm przekształca Rosjan w eunuchów. Wystarczy spojrzeć na dane demograficzne. Jeszcze kilkadziesiąt lat i państwo komunistyczne zniszczy całkiem dosłownie lud rosyjski. Dopiero wtedy rewolucja zwana rosyjską osiągnie cel, a Lichwiarze-faryzeusze będą zacierali z radości dłonie, od których odpadną świecące plamy, w wyniku naturalnego fenomenu złotońskiego łuszczenia się skóry.

— Co się dzieje? Co on mówi? — zapytał Baronet, którego uwadze nie uszło rosnące podniecenie Kurnosowa.

Psar zawahał się. Rosyjski mesjanizm będzie drożdżami „Konfraterni”, lecz nadmiar drożdży psuje ciasto.

— Pan Kurnosow — powiedział — jest wielkim patriotą. Zależało mu na tym, żebym to zrozumiał.

— Jakież to piękny język, rosyjski — powiedział Fourveret, wznosząc oczy ku niebu. Lecz Molier powiedziałby zapewne, że jeśli idzie o zwięźłość nie dorównuje on tureckiemu.

Kolacja stanowiła post-scriptum do konferencji prasowej. Doszło do tego jeszcze post-scriptum do kolacji.

Kurnosow chciał się przejść i Aleksander odprowadził go do hotelu. Spod opon samochodów przyskało zamarznęte błoto, reflektory aut otoczone były mglistą aurą. Kurnosow stawiał wielkie kroki, jego potężne buty gniotły śnieg i błoto. Aleksander, wyższy od niego prawie o głowę, kątem oka obrzucał go spojrzeniem, w którym zaciekawienie mieszało się z obawą i rozbawieniem. W tym człowieku tkwiła potęga, lecz siłę tę wykorzysta się tak, by służyła innym, wyższym mocom. Kurnosow stanie się nieświadomym elementem sztafety propagującej to, czego najbardziej nienawidził. I właśnie ta nienawiść sprawi, że będzie

skutecznie wykonywał powierzone mu zadanie. „Technika wywierania wpływu — mówi *Vademecum* — czyni użytek z zasady Archimedesesa. Neron i Dioklecjan służyli w pośredni sposób chrześcijaństwu”. Przypomniały mu się słowa psalmu, który umiał na pamięć w dzieciństwie: „To przeciwko Tobie grzeszyłem i przed Tobą popełniałem nieprawości, aby spełniły się twoje słowa i abyś zatriumfował, gdy będziesz sądzony”. Zadał sobie pytanie, czy i tu nie chodziło o operację sztafety? I czy Judasz, któremu Jezus podał kawałek chleba, wskazując go jako zdrajcę (nie denuncjując go, tylko wskazując na niego, tak jak wyznacza się kogoś do brudnej roboty), czy i Judasz nie brał udziału w sztafecie, bez której operacja Zbawienia świata nie byłaby możliwa? A słowa „Przebaczcie im, gdyż nie wiedzą co czynią”, czyż nie odnosiły się także do uczestników sztafety? Zimny paryski wiatr mroził, paraliżował usta. W tej samej chwili obaj mężczyźni poprawili szaliki: Kurnosow swój sznurek z szarej wełny, Aleksander wytworny, biały szal.

— Michale Leontyczu, jak to się stało, że jest pan jaki jest?

— Przede wszystkim dzięki moim rodzicom, którzy nie przekazali mi żadnych fałszywych idei. Jaka dyskrecja! Nie przekazali mi żadnych idei, ponieważ nie znali ich wiele. Byli to ludzie prawdomówni i w społeczeństwie takim jak nasze, zbudowanym na kłamstwie, ratowali się przez skromność swej pracy, prostotę języka, bierność, ociążałość ofiar systemu. Szli na manifestację, gdy nie mogli tego uniknąć, podpisywali petycje i protesty, gdy nie mogli odmówić, ale wszystkie te śmiecie sływały po nich, nie zostawiając żadnego śladu. Wierzyli w Boga i w Rosję, lecz zdrowy rozsądek czy może wrodzona czystość, nie pozwalały im wierzyć w jakąkolwiek ideę abstrakcyjną. Z idei, która jest zazwyczaj przedmiotem rozmowienia, czynić przedmiot wiary, to zapewne właśnie ten osławiony grzech przeciwko Duchowi Świętemu, i do tego byli niezdolni. Dzięki nim uzyskałem integralność intelektualną, a nade wszystko przekonanie, że to, co

abstrakcyjne (nie licząc, rzecz jasna, matematyki) jest zdradzieckie i nieprawe. To dlatego nie napisałem traktatu, tylko zbiór przypowieści. To, co istotne w prawdzie, nie daje się wypowiedzieć. Prawdę trzeba chwycić w sidła. Dlatego w Piśmie świętym tyle parboli. No, a później byłem na wojnie, dostałem się do niewoli, i doszło do tego spotkania...

— Jesteśmy już przed pańskim hotelem. Chce pan może na pić się czegoś w barze?

Kurnosow przeczytał szyld hotelu:

— Ach, umieścił mnie pan w S-koj-seul. To był nabywca Lotaryngii i Korsyki? Czy może ktoś inny? Ten, co zabił własną żonę? Jedna ze sławnych spraw sądowych dziewiętnastego wieku... Nie, wolałbym się jeszcze trochę przejść. Albo usiąść w prawdziwym bistro, tam, gdzie spotyka się prawdziwych Francuzów. Wie pan, że oni mnie fascynują? Czuje się tak wyraźnie, że jako zbiorowość nie są nieszczęśliwi, mają tylko troski, i nawet troski są tylko po to, żeby życie było poważniejsze.

Weszli do kawiarni, w której czuło się zapach frytury.

— Zapach wolności! — wykrzyknął Kurnosow.

— Nie trzeba poprzestawać na zapachu — powiedział na to Aleksander.

Zamówił porcję frytek i dwa piwa. Bystro, ale i z czułością patrzył Kurnosow na kelnera, który przyniósł piwo i frytki.

— Dziękuję *monne-si-eour*! — powiedział poważnie. Po chwili dodał:

— Wiem, że nie powinno się mówić *monne-si-eour*. Trzeba wymawiać *moussiou*. Ale ja wolę mówić *monne-si-eour*. To słowo uczy respektu nawet dla ostatniego nicponia.

— Proszę, niech mi pan opowie, jak trafił pan do szpitala psychiatrycznego.

— Chce pan powiedzieć — do separatki? Dzięki człowiekowi, którego nazwiska nie znam, ogromnemu jak góra, z KGB, oczywiście. Wyglądał przyzwoicie, włosy ostrzyżone, nic, co pachniałoby

gilotyną... Wyrażał się jak profesor uniwersytetu w Sankt-Petersburgu. Powiedział do mnie: „Niech pan się zgodzi, że jest pan wariatem, a nie będzie pan miał żadnych problemów. W zamknięciu będzie pan żył wygodniej niż na wolności. Będzie pan karmiony, będzie pan sobie czytał i pisał. Jeśli pan od czasu do czasu będzie potrzebował kobiety, zajmiemy się tym. Jeżeli nie wyrazi pan zgody, będę musiał przekazać pana tym szaraczkom z ministerstwa sprawiedliwości i skończy pan w kopalni soli. A szkoda byłoby tak inteligentnego człowieka jak pan. Nnn-no tak — wymawiał to przeciągając, jak się dawniej mówiło — jaka jest pańska decyzja?” Dobry człowiek, myślę, i bardzo niebezpieczny. Na pewno wyrządził więcej zła niż źli ludzie. Aleksander, obojętnym tonem, zadał mu pytanie:

— W tej transakcji, jaką przeprowadził pan z KGB, co było pańskim towarem?

Kurnosow odpowiedział mu natychmiast:

— Prawda. Ci ludzie wyobrażają sobie, że mogą zaprząć prawdę do własnego wozu. Ale prawda to rumak, którego nie można okiełznać. Zna pan rosyjskie bajki, Aleksandrze Dmitryczu? Pamięta pan bajkę o kiju-samobiju, który wystarczy wyjąć z worka? I stolik, który się sam nakrywa? Wystarczy rozłożyć na stole obrus, a będzie pan miał przed sobą prawdziwie pantagrueliczny posiłek. Podobnie z prawdą: prawda-która-się-sama-usprawiedliwia, prawda, która przynosi wyzwolenie. Tylko prawda jest jednocześnie istotą i funkcją. Temu człowiekowi-górze powiedziałem wtedy, gdy mnie sprowadzono, nagiego, po gruntownej rewizji: jestem silniejszy od was.

— I to pańska inteligencja sprawiła, że KGB zdecydowała uczynić z pana kulturę bakterii kontrrewolucyjnej?

— Nie tylko. Dzięki temu spotkaniu w Niemczech posiadałem kulturę polityczną nie-marksistowską, coś zupełnie wyjątkowego w kraju zamieszkałym przez 250 milionów osób. Moja inteligencja nie była uszkodzona przez mikroba dialektyki.

Przyzwyczailem się do myślenia, które nie musiało uciekać się do pomocy jednej tylko, zresztą prymitywnej metody. Dla KGB, Aleksandrze Dmitryczu, byłem zdobyczą o wartości nieocenionej. Zapisywałem moje myśli. Przekazywałem je dobrowolnie człowiekowi-górze. Wybierał fragmenty, które najbardziej mu odpowiadały, i oddawał je jednemu ze swych podwładnych. Ten udawał, że jest moim pielęgniarzem i oddawał je ludziom z siatki przerzutowej. Ci z dziecięcą niewinnością transportowali je dalej. Cóż za organizacja, Aleksandrze Dmitryczu! Za jej mózg uważał się człowiek-góra, lecz był w gruncie rzeczy tylko elementem układu, pracującego dla mnie! Oczywiście, dziennikarzom opowiedziałem inną historię. Trzeba umieć kłamać, żeby być uznanym za prawdomównego.

Kurnosow wytarł chusteczką pianę z piwa, która osiadła mu na ustach. Pożerał tłuste frytki, jakby nie zjadł przed chwilą wspaniałej kolacji. Aleksander zamówił dla niego jeszcze jedno piwo:

— Nie chce mi pan opowiedzieć o tamtym spotkaniu?

— Chętnie. Powiedziałem już, że dostałem się do niewoli, prawda? Poddaliśmy się na samym początku, cała dywizja, i dlaczego? Przez buty z cholewami. Ponieważ nie mieliśmy butów, a ZSRR sprzedał krótko przedtem setki tysięcy takich butów Niemcom. Wydawało nam się, że zostaliśmy sprzedani razem z butami. Wojna dopiero się zaczynała i Niemcy traktowali nas dość przyzwoicie. Rozstrzelali naszych komisarzy politycznych, ale to nas nic nie obchodziło, nie uważaliśmy ich za naszych. Wie pan, co w końcu sprawiło, że partia zjednoczyła się ze społeczeństwem? Wojna. Bo trzeba jednak uznać, że to partia poprowadziła naród do zwycięstwa. Przewieziono nas do Niemiec w bydłych wagonach i rozdzielono pomiędzy chłopskie zagrody. Niektórzy chwalili to sobie: chłop w wojsku, baba sama w domu... Ze mną było inaczej. Nie miałem jeszcze dwudziestu lat, nie znałem kobiet. Kobieta, u której służyłem, była dla mnie raczej matką.

Smarowała mi chleb masłem. Nie tak jak Rosjanka, to prawda: jedną stroną noża nakładała masło, drugą zbierała wszystko to, co nie weszło w chleb. Mimo to była dobra dla mnie. Podobne kromki chleba, jakie robiła dla mnie, ukrywała nieraz w pojemnikach na śmieci, które opróżniali inni jeńcy. To było już później, gdy Niemcy mieli tylu jeńców, że nie mieli ich jak żywić. Zacząłem pracować na ziemi. Mój ojciec był introligatorem, proszę sobie wyobrazić! Ale ziemia jest wielkoduszna, trzeba tylko pogodzić się z jej surowością. Matka-ziemia, wilgotna, nie robi nic na złość, wynagradza tych co ją uprawiają, nawet obca ziemia. Pracowałem motyką i kosą, i dawało mi to radość, regenerowałem się mając kontakt z rzeczami prawdziwymi. Jeżeli sadi się rośliny, rosną. Jeżeli się nie plewi, będą zduszone przez chwasty. Jeżeli zbiera się zboże, będzie zwiezione, jeżeli się spóźnić, zgnije. Nie trzeba tu żadnego marksizmu-leninizmu. Nasza zagroda — mówię o niej: nasza! — umieszczona była na skraju lasu. Po drugiej stronie lasu znajdowały się inne gospodarstwa, pracowali na nich jeńcy francuscy. Ale wszystkie te zagrody należały do jednej wsi. Pewnego dnia poszedłem na wieś, żeby przetransportować dziesięć worków nawozów chemicznych — Niemcy są mocni w nawozach chemicznych — i po drodze spotkałem Francuzów. Jeden z nich patrzy na mnie z rozbawieniem i mówi do mnie po rosyjsku: „Więc ty rzeczywiście jesteś stamtąd?” Nie wierzyłem własnym uszom. Słyszałem oczywiście o białych emigrantach, ale zawsze nam opowiadano, że są to hrabiowie, książęta i wykolejeńcy. I oto chłopak niewiele starszy ode mnie, dobrze zbudowany, z wielkimi dłońmi i małymi uszami, mówi do mnie: „Ty jesteś stamtąd”. Dla mnie było to, nie wiem jak panu wyjaśnić... To było tak, jak zobaczyć ducha dawnej Rosji. Nie wolno nam było rozmawiać. Ale pilnowali nas inwalidzi, niezbyt dobrze pilnowali. Umówiliśmy się więc na niedzielę, o trzeciej, w lesie, pod dębem o dwóch pniach, który obaj pamiętaliśmy.

Za pierwszym razem moi koledzy poszli razem ze mną, żeby zobaczyć tego rzadkiego ptaka, Rosjanina z Francji, syna pani, damy. Ale wkrótce mieli dosyć: „To białoogwardzista, chce nam z powrotem cara na grzbiecie posadzić. A kto ci zaręczy, że carowie nie zatrzymają komisarzy? A my wtedy będziemy się pocić pod podwójnym jarzmem?” Krótko mówiąc, woleli zostać ze swoimi chłopkami, ja natomiast co niedzielę przychodziłem pod dąb o dwu pniach.

Teraz widzę to wszystko w innej perspektywie. Mikołaj Władimirowicz był z ruchu Młodych Rosjan, i sądzę, że ta partia manipulowana była przez KGB. Kiedy zacząłem brać to pod uwagę, ogarnęła mnie rozpacz. Czułem się osaczony. Później doszedłem do wniosku, że to nie ma aż tak wielkiego znaczenia, bo prawda to materiał wybuchowy, którym niełatwo manipulować. Może wybuchnąć pod nosem tych, którzy chcieli jej użyć jako balastu ich własnych kłamstw. Pod dębem w każdym razie nie zadawałem sobie jeszcze tego rodzaju pytań. Słuchałem, jak ten emigrant opowiada o Rosji i syciłem się jego słowami, wysysałem z nich całą prawdę, jaka się w nich znajdowała, tak jak się wysysa szpik z kości kuropatwy, jak się wygrzebuje kaski homara. Wszystko to wśród zapachu grzybów i mchu, zapachu, który odtąd kojarzy mi się z prawdą.

Mikołaj Władimirowicz kazał mi nauczyć się na pamięć całego programu, egzaminował mnie... Uczyłem się, harowałem ciężko, zadawałem pytania, recytowałem, on stawał stopnie, podpowiadał, kiedy nie znałem odpowiedzi. Mieliśmy złodowacie stopy, zmarznięte nosy i tylko jeden ołówek na nas dwu. Przez cały tydzień harowaliśmy jak niewolnicy. Gdyby nas nakryto, słono byśmy zapłacili, ale nie dbaliśmy o to. Ja rosłem dzięki niemu, a on — zrozumiałem dopiero później — rósł dzięki mnie. Przekazywał mi to, w co wierzył. Szeptał, przemawiał do mnie, a ja niewykształcony, głupi, zaczynałem myśleć. Dzięki mnie, dzięki ideom, które mi przekazywał, on wracał do kraju.

Rozumie pan to? „Wracał”. Nie tylko do swego kraju: do swego dzieciństwa, nawet do łona matki.

Jego idee nie były jasne, był to rodzaj papki. *Politgrammota*, jak to nazywał. Coś w rodzaju doktryny monarchiczno-socjal-faszystowskiej. „Trzeba nam cara, żeby panował, i przywódcy, żeby rządził”. Mnie się wydawało, że wystarczy car. Trzeba szefów, zwierzchników, tak, ale nie za wielu. Złościł się na mnie. Dyskutowaliśmy. Wreszcie przyszła wiosna i zdałem ostatnie egzaminy. Wtedy dopuścił mnie do złożenia przysięgi.

— Przysięgi?

— Tak, przysięgi wierności. Złożonej carowi.

Metaliczne oczy Kurnosowa nie zwiłgotniały. Raczej stały się twardsze, tak jak żelazo, które się hartuje. Była w nich duma. Jego wargi poruszały się, wypowiadając cicho świętą formułę. Nie mógł jej powiedzieć głośno w tym bistro, przesyconym zapachem frytek.

— Tak — powiedział Kurnosow — miałem wtedy dwadzieścia lat, i złożyłem przysięgę, której nigdy nie odwołałem. Ci ludzie chcieli wiedzieć, dlaczego strzelałem do Breżniewa... Dla tego, Aleksandrze Dmitryczu, żeby zrobić miejsce.

Uśmiech, w którym było i szyderstwo i zawiść, wykrzywił usta Aleksandra:

— Dla kogo chciał pan zrobić miejsce? Dla obecnego następcy?

Kurnosow jeszcze raz wytarł usta chusteczką:

— Do pewnego momentu Historii, Aleksandrze Dmitryczu, książęta tworzą trony. Później osiąga się taki punkt, że to trony tworzą panujących.

Wstał z miejsca:

— Przejdziemy się jeszcze trochę?

Były więzień celi numer 000 miał niespożyte siły.

Zaczęto przygotowywać rozruch „Konfraterni”. Trzeba było zająć się trzema zasadniczymi punktami: programem, budżetem i rekrutacją.

Podstawą programu była powszechna deklaracja obowiązków człowieka. Kurnosow pisał:

Każda filozofia społeczna, która za punkt wyjścia obierze prawa jednostki, a nie jej powinności względem innych jednostek, przypominać będzie orkę pługiem zaprzęgniętym przed wołami. Słowianofile odrzucili demokrację mieszczańską, gdyż jej fundamentem jest absolutny liberalizm, który musi doprowadzić do wyzysku słabego przez silniejszego, choćby nawet wyzysk ten był osłonięty, zamaskowany. Wolność może być ugruntowana tylko na odpowiedzialności. Natomiast równość istnieje pod jednym tylko względem: stosunku do śmierci. I rzeczywiście każdy system równościowy prowadzi do śmierci. Bowiem albo ponosi klęskę w walce z przyrodą i ucina równość, znajdując schronienie w sztucznych ramach terroru, albo też odnosi zwycięstwo, lecz likwiduje niezbędną różnicę potencjału, wytwarzającą vitalny prąd działań społecznych (oto socjalizm). Tymczasem odpowiedzialność stanowi wystarczająco solidną bazę sprawiedliwego społeczeństwa. Odpowiedzialność wiąże człowieka w jego konkretnych relacjach z innymi ludźmi — wytwórcę z konsumentem, rzemieślnika z klientem, zwierzchnika z podwładnym — i także z naturalnymi społecznościami, do których przynależy, z rodziną, grupą zawodową, ludem, całą ludzkością. Lecz konkretne obowiązki, których adresatami są nasi bliźni, są zawsze ważniejsze niż obowiązki abstrakcyjne...

Tekst, przygotowany przez Kurnosowa, poprawiony przez Psara i przedłożony na nowo Kurnosowowi, został później dyskretnie przekazany Piotrowi podczas spotkania w muzeum Cluny czy Carnavalet. Ta metoda pracy prowadziła do konfliktów, gdyż Aleksander zwykł działać samodzielnie, a czysto dydaktyczna postawa Piotra drażniła go w najwyższym stopniu.

— Wasz program jest za mało budujący — krytykował go pilot. — Powinniście wypracować antymarksizm, jawnie fałszywy, jako że marksizm jest teorią prawdziwą. Trzeba sprawić, żeby

nasi przeciwnicy nauczyli się myśleć wspak, na ukos. I nic więcej.

— Nie mam pojęcia, z której pan wyszedł dyrekcji — odpowiadał na to agent — ale najwidoczniej nic pan nie zrozumiał z tej operacji, którą ma pan dyrygować. Oto o co tu chodzi: uświadomiliśmy sobie wreszcie, że marksizm to tylko jeden z momentów dialektycznego ruchu i że zarysowała się sytuacja, w której zaczęła się szykować synteza historyczna, zawierająca go w sobie, lecz wroga mu; zamiast żeby zatriumfowała antyteza, czyli właśnie marksizm. Dlatego postanowiliśmy oszukać Historię, tak samo jak oszukuje się niektóre owady podstawiając im sztuczne jaja, które one bezskutecznie usiłują zapłodnić ginąc przy tym. Oto właśnie sztuczka, jaką zamierzamy podsunąć zachodniej inteligencji. Mamy przy tym nadzieję, że gdy powiedzie się ta pseudo-synteza, którą będziemy prowadzili tak, jak prowadzi się kukielkę w teatrze lalek, będziemy mogli powrócić do przerwanej pracy nad tezą znów dla nas korzystną.

Aleksander wywalczył pewne ustępstwa u Piotra i znów zobaczył się z Kurnosowem, by spróbować wymóc na nim zmiany w tych punktach, w których Piotr nie dał za wygraną. Rzecz jasna Aleksander musiał przedstawić te propozycje jako swoje własne, chociaż zupełnie się z nimi nie zgadzał.

— Aleksandrze Dmitryczu — słyszał wtedy od Kurnosowa, który zwracał się do niego z pewną wyrozumiałością — jeszcze nie spotkałem człowieka tak bardzo zmiennego w przekonaniach jak pan.

Inne problemy związane były z budżetem. Kurnosow z oszczędności opuścił po dwóch dniach hotel „Choiseul” i przeniósł się do małego hoteliku w XV dzielnicy, gdzie zamieszkał w pokoju bez łazienki. „Do łaźni będę chodził w każdą sobotę. Wie pan, co było jednym z moich leningradzkich przywilejów? Tajemnica była dobrze strzeżona, ale w każdą sobotę opuszczałem moją celę, i, z kajdankami na przegubach, amerykańskimi oczywiście, udawałem się razem z eskortą do łaźni

przeznaczonej dla KGB. Moi strażnicy lali mi na plecy wrzącą wodę i chłostali mnie brzożowymi wtkami. Niekiedy oddawałem im pięknym za nadobne. Nieźle bawiliśmy się przy tym”. Gdy Kurnosow dowiedział się, że w Paryżu nie ma rosyjskiej łaźni, był wstrząśnięty tą wiadomością: „Jak mogliście o tym nie pomyśleć, wy, emigranci, przez sześćdziesiąt lat?” Zadowolił się jednak łaźnią turecką, na ogół zaś nie wystawiał nosa ze swego podejrzanego hoteliku. Jadł prawie wyłącznie wtedy, gdy był proszony na przyjęcia. „Dość się napchałem w więzieniu; przyszedł czas, żeby trochę popościć”. Dzięki temu miesięczne wypłaty, jakie otrzymywał z wydawnictwa Lux, wędrowały prawie w całości do kasy „Konfraterni”. Wydawnictwo tymczasem zamierzało wytoczyć proces Gawierinowi i odebrać mu przywłaszczone honoraria.

Sumy te jednak nie mogły wystarczyć jako baza finansowa ruchu na skalę światową, nawet w najskromniejszym wymiarze. Agencja Aleksandra poświęciła część swych zysków przekazując je wspólnemu przedsięwzięciu, dzięki czemu Psar mógł sprawować kontrolę nad „Konfraternią”. Jednocześnie jego stosunki z Kurnosowem pogarszały się. Ponieważ wszystkie zyski musiały być zatwierdzane przez Piotra, przyznawał on sobie prawo ogłaszania kont „Konfraterni”. Wiercił się po parkietach pałacu Biron (jego buty skrzypiały nieprzyjemnie), zatrzymywał się przed makietą *Bramy piekieł* i domagał się podkładek usprawiedliwiających zakup znaczków czy biletów metra. Gdy zaś Aleksander rzucał mu w twarz:

— Pan jest skończonym biurokrata!

Piotr odpowiadał na to, uśmiechając się z zadowoleniem:

— Jestem zawodowcem.

Jeszcze inne kłopoty wiązały się z naborem członków stowarzyszenia. Kurnosow chciał pójść na ilość:

— Trzeba osiągnąć masę krytyczną, aby mogły wyklarować się elity. Przyjmujemy każdego, kłaniając mu się głęboko, po rosyjsku.

— Niemożliwe, Michale Leontyczu. Założmy, że całe francuskie getto faszystowskie postanowi zapisać się do nas. Nikt inny nie zechce wtedy pracować z nami. Czy pan wie, że we Francji istnieją cztery ugrupowania monarchistyczne, żrące się między sobą? Nie chce pan chyba, żebyśmy zostali opanowani przez trockistów, prawda, albo przez bonapartystów? Ani przez światowców czy anarchistów? Nie chce pan chyba również, żebyśmy dopomogli w rehabilitacji lewicowym intelektualistom, tym nowobogackim władzy? Tworzymy całkowicie nowy organizm polityczny i musimy dbać o to, by nie został on zdominowany przez żadne z już istniejących ugrupowań.

Przeciwnie Piotr: ten uważał, że przyjęcie kogoś do „Konfraterni” będzie przywilejem, wyróżnieniem. Żądał, by kandydaci wypełniali sześciostronicowe formularze, był zdania, iż należy sprawdzić ich pochodzenie, założyć kartotekę. Biegły w kontrwywiadzie, przejęty był obsesją, że „Konfraternia” zostanie opanowana przez drugą stronę. Aleksander irytował się:

— Jaka druga strona ma nas opanować? Przecież wiemy z góry, że przyciągniemy antykomunistów.

— O to chodzi. Niech teraz jakiś francuski gagatek wciśnie się do „Konfraterni” i odkryje, że jest ona manipulowana przez nas. Wyobraża pan sobie to krótkie spięcie?

Trzymany krótko przez Piotra Aleksander odczuwał coraz większe zmęczenie, tłumaczył sobie jednak, że dzięki temu nie poddaje się najbardziej haniebnemu uczuciu: litości nad samym sobą.

Dochodziły do tego także wysiłki i występy publiczne. Kurnosow zapraszany był wciąż na prowincję i nawet za granicę, do Belgii, Wielkiej Brytanii. Aleksander był nieodmiennie jego tłumaczem i mentorem.

Któregoś poranka wracali z Monte Carlo. Kurnosow drzemał. Odrzucił w tył głowę, jego usta były otwarte. Ale wyczuwało się, że mięśnie twarzy wciąż są napięte. Aleksander przyglądał mu

się uważnie. Wiedział, że jego stosunek emocjonalny do Kurnosowa jest bardzo złożony, ale nie analizował tego.

„Oto «Żelazna Mask»», myślał. „Oto Harmodius, który na próżno zaatakował Brezniewa. Oto uczeń Mikołaja Władimirowicza. Oto sześćdziesięciolatek, prawdopodobnie wciąż jeszcze nie znający kobiet. Oto synek introligatora, który nigdy nie kłamał. Oto szaleniec, który spędził dziesięć lat w zakładzie psychiatrycznym, gdzie nie tyle go leczono, ile raczej umożliwiono mu rozwój jego szaleństwa”. Otworzył gazetę, «Niezależny Dziennik». Przeczytał wiadomość o śmierci Gawierina.

Listonosz, który przywiózł kolejną porcję rachunków, wezwań i zawiadomień do ufortyfikowanego domu w pobliżu Limoges, stwierdził, że skrzynka na listy od wielu dni nie została opróżniona. Zawiadomił żandarmerię. Żandarmi znaleźli wygnańca w kuchni. Wisiał na jednej z tych odsłoniętych belek stropowych, które tak zachwalają agenci nieruchomości. Trup, odziany w niebieski garnitur pochodzący z zagranicy, zawieszony był na jedwabnym krawacie, kupionym w Hermesie.

Czyżby więc lęk, dławiący Gawierina od chwili, kiedy przybył do Francji, okazał się uzasadniony? Aleksander natychmiast zażądał spotkania z pilotem. Piotr siedział już w rożku kanapy w pasy w salonie Jessiki. Jego górną wargę pokrywał rzadki wąsik. Ten nowy szczegół jeszcze wzmógł nienawiść Aleksandra. Żmija z wąsikiem, to już naprawdę przekraczało wszelkie granice!

— To nasza robota?

Piotr studiował z zimną krwią pomiętą gazetę, którą Aleksander cisnął na kanapę.

— Nie.

— Pokazałem ten artykuł Kurnosowowi. Powiedział na to: „To ułatwi prawdopodobnie procedurę odzyskania pieniędzy”. Ładne słowa w ustach chrześcijanina! Wszyscy jesteście tacy sami.

— Jacy my?

Aleksander opanował się:

— Ma pan rację. Jeżeli Gawierin stał się niewygodny, trzeba go było sprzątnąć. Myślałem o nieszczęsnym losie tego człowieka, zamiast skupić się na sprawie.

Dorzucił nie bez pychy:

— Mam sobie to za złe.

Piotr uprzejmie przyjął do wiadomości słowa Aleksandra.

— Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć?

Aleksander uświadomił sobie, jak wielki błąd popełnił. Nie chciał się go jednak wypierać. Tu także wchodziła w grę pycha.

— Właśnie w tej sprawie.

Piotr westchnął lekko. Jego wąsik dopiero kiełkował.

— Chce pan powiedzieć, że pan, pułkownik dokooptowany, ryzykuje demaskacją i mnie naraża na to samo, żąda pilnego spotkania, i wszystko z powodu śmierci agenta, od dawna już wyłączonego z gry? Niech pan się ma na baczności, Psar. W naszej robocie niekompetencję od sabotażu dzieli tylko jeden krok.

Następnego dnia Aleksander umówiony był na obiad z Emanuelem Blunem. Ich kontakty stały się rzadsze od chwili, kiedy powieści Bluna, bardzo przeciętne i chętnie czytane, zajmujące się najczęściej tematem „wiernego przyjaciela”, zaczęły się sprzedawać tak dobrze, że ich autor nie musiał już dzielić się z agencją częścią swego honorarium. Blun jednak nie przestał okazywać swej wdzięczności, i gdy tylko spotykali się w którymś z modnych miejsc, odwiedzanych przez dziennikarzy, uważał za punkt honoru ująć swego byłego agenta za ramię i wykrzyknąć głośno:

— Oto najlepszy agent Paryża. To on wyciągnął mnie z błota.

Jego telefon — „Niech mnie pan zaprosi na obiad. Spotkamy się w «Pont-Royal»?” — zaskoczył całkowicie Aleksandra. Czego mógł chcieć od niego ten człowiek, który zrobił majątek na obronie biedaków?

Obaj zjawili się w tym samym momencie w restauracji i jednocześnie weszli do szatni, żeby zostawić swe okrycia. Blun miał na sobie płaszcz z czarnego kaszmiru, ozdobiony aksamitnym kołnierzem. Gdy zawiesił go już, wybrawszy bardzo starannie jeden z wielu identycznych wieszaków, ukazał się oczom Psara w eleganckim garniturze, z zegarkiem zawieszonym na łańcuszku, z kamizelką, która osłaniała młodzieńczą jeszcze sylwetkę i brzuszek, oznakę powodzenia.

— Wypijemy po jednym w barze? Stół mamy zarezerwowany.

Aleksander skinął głową na znak zgody. Cenił luksus, przyćmione światła, dyskretną obsługę tego baru, ale tak naprawdę nie lubił go. Uważał, że spotykało się tam zbyt wielu pisarzy, a w głębi duszy był przekonany, że pisarze nie należeli do „jego świata”. Pozwolił, by Blun zaprowadził go do jednego z foteli, trzymając go za łokieć.

— Lubię ten lokal. Tu spotyka się sama góra — powiedział Blun, wzdychając z ukontentowaniem.

Plotkowali przy kieliszku. Przy pierwszej chwili milczenia Blun rzucił:

— Wracam z Rosji.

Aleksander nie zorientował się, że tamten wyciąga do niego przyjaźnie dłoń. Nie było w tym nic dziwnego, że powracał z ZSRR; literat, któremu przyznano tam nagrodę. Agent literacki ciągnął dalej rozmowę o literaturze, przyglądając się jednocześnie gładkiej, obrzmiałej i bladej twarzy tego drobnomieszcza-
nina, nie pozbawionego talentu, ale tak trywialnego, że bardziej godne szacunku byłoby, gdyby go nie miał. Gdzie podział się Emanuel Blun z brudnymi paznokciami i głową pełną ideologii, którego wyciągnął z anonimowości, aby stał się jednym z uczestników sztafety? Teraz jego paznokcie były regularnie sprawdzane i korygowane przez manikiurzystkę, a ideologie rozpedzone zostały na cztery wiatry przez bank Credit Lyonnais.

— Myślę, że nasz stół jest już gotów — powiedział Blun.

Byli dla siebie uprzedzająco grzeczni przed na pół ukrytymi drzwiami, które prowadziły w głąb hotelu.

Dopiero po szczegółowo przemyślanym wyborze menu i konferencji na temat win z *maitre d'hôtel*, B lun poruszył temat, który był powodem tego spotkania. Pomimo to uznał jeszcze za stosowne zacząć od wstępu, po którym dopiero nastąpił gwałtowny przeskok.

— W zeszłym roku to było proste, wystarczyło po prostu zamówić Bouzy. Ale to zaczyna już wyglądać archaicznie. Mam nadzieję, że będzie panu smakował Cahors. W końcu u ortodoksów jest to wino mszalne. A propos, co się dzieje z „Konfraternią”?

— Wszystko w porządku. Właśnie intronizowaliśmy wielkiego amerykańskiego reżysera, tego, który nakręcił *Lowcą łosi*.

Blun bawił się kawałkiem chleba:

— Jak to się robi, żeby dostać się do waszego klubu? Czy to partia, do której się wstępuje? Rodzaj *Rotary Club*, który zaprasza, czy też Kościół, gdzie wymaga się inicjacji?

— Wszystko po trosze.

— Nie ukrywam przed panem, że to by mnie interesowało.

— Pana, Emanuela Bluna? Przecież większość członków to zdecydowani antykomuniści. Mamy...

Aleksander przytoczył kilka bardzo znanych nazwisk. Blun mrugał powiekami przy każdym nazwisku:

— To świetnie, to świetnie. Czy mógłby mnie pan zaprotegować?

— Blun, nie rozumiem pana. Jest pan oficjalnym laureatem ZSRR!

— Liczę, że to właśnie pomoże mi się tam dostać. W końcu powinno to zrobić przyjemność wszystkim tym pana reakcjonistom, kiedy zobaczą mnie w worku pokutniczym i z głową posypaną popiołem.

Aleksander nie mógł nie pomyśleć o obsesji Piotra, który wszędzie węszył inicjatywę francuskiego wywiadu.

— Ale dlaczego miałby się pan pojawiać w worku i z popiołem?

— Nie mam nic do stracenia, Psar. Jestem na bakier z lewicą i potrzebuję publiczności.

— Na bakier z lewicą? Jak to?

— To długa historia.

— Kelner— zwrócił się Aleksander do *maître d'hôtel*— proszę nam przynieść jeszcze jedną butelkę.

Co prawda Blun miał wielką ochotę opowiadać, jednak chciał być o to proszony: ogniste wino okaże się w tym pomocne.

Od jakiegoś czasu w Związku Sowieckim przestały pojawiać się nowe wydania jego książek. Zastanawiał się dlaczego, i przyjął zaproszenie. Samo w sobie było ono niezbyt interesujące, ale mogło mu pomóc w stwierdzeniu na miejscu, co się dzieje.

— Kilka lat temu rozwijali przede mną czerwony dywan, wszelkie koszty były opłacone, kawior szuflami. Tym razem oszczędzali. Chciałem wreszcie wiedzieć, o co chodzi. W końcu stać mnie jeszcze na zapłacenie sobie pobytu w ich „Ukrainie”, nawet w apartamencie z fortepianem, jeśli mam na to ochotę.

Od samego początku Blun stwierdził, że jest źle przyjmowany. Zapominano go w przedpokojach, nie był zapraszany na przyjęcia. Spędził dwa samotne wieczory w hotelu. Trzeciego wieczoru, w barze, poznał panienkę, jedną z tych laleczek, co to nie tylko to, ale w dodatku jeszcze inteligentna. Mieszkała w tym samym hotelu. Przyszedł do niej, do jej pokoju, „służbowymi schodami, żeby mnie nie nakryła *etażna*”. Następnego dnia nowa wizyta u sowieckiego wydawcy: „«Genadij, co się u diabła dzieje, dlaczego przestaliście mnie drukować? Czy coś jest nie w porządku w mojej linii politycznej? Mam tylko jedno sumienie. No, ale jeśli chodzi o ponowne przemyślenie jakichś szczegółów...» «Musi się pan zobaczyć z Sieriożą» — powiedział Genadij. Sie-riozą? Nie znałem Sierioży, ale wystarczy mi dać adres. Sądziłem, że to jakaś gwiazda edytorska. Absolutnie nie. Ten

Sierioża, który miał minę równie radosną jak strajkujący przedsiębiorca pogrzebowy, przyjmuje mnie w ponurym pokoju z portretem szalonego ascety na murze, styl Greco, i przedstawia mi wybór: albo będzie pan pracował dla nas i płacimy panu dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy rocznie, niezależnie od sprzedaży, albo spławiamy pana. No więc tutaj, szanowny panie, jeśli o mnie chodzi to nie, dziękuję bardzo. Po pierwsze jestem Francuzem, i to nawet dobrym Francuzem, a poza tym szpiegostwo to prosta droga do tego, żeby znaleźć się w kanale Saint-Martin czy też w fosie Vincennes. «Bardzo mi przykro, Sierioża, ja bym z wielką przyjemnością, ale naprawdę nie widzę, co mógłbym dla was zrobić». «Ależ tak, tak, pan może nam dostarczyć informacji na temat ogólnej atmosfery, a poza tym może pan dotrzeć do ludzi, którzy nie zgodziliby się z nami rozmawiać». «Ja znam wyłącznie pisarzy». «Po pierwsze, pisarze nie są aż tak bardzo nieprzydatni, jak się na ogół sądzi. A ponadto zna pan ludzi polityki, będących obecnie w rządzie. Wiceminister Polipier jest pana bliskim przyjacielem...» «Przykro mi», ja mu na to, «szpiegostwo to nie mój dział». Ten Sierioża z początku był bardzo uprzejmy, nawet nadskakujący, wspólny ideał, wszystkie te bzdury, ale stawał się coraz mniej uprzejmy i nadymał się jak żaba, która chce być wielka jak bawół. «Proszę mnie posłuchać», powiedział mi w końcu, «próbowaliśmy panu ułatwić zadanie. Zawsze jest przyjemnie, kiedy motywem jest idealizm, ale nie jest także źle, jeśli staje się nim interes. Nie należy jednak sądzić, że nie mamy innego typu uzasadnień do zaproponowania. Czy byłby pan zadowolony, gdybyśmy dostarczyli pani Blun taki oto komplet?» To mówiąc otwiera szufladę, bierze stamtąd klaser, otwiera go, wyciąga stamtąd teczkę, otwiera tę teczkę, znajduje tam kopertę, otwierają — jak te rosyjskie lalki — i rozkłada przede mną tuzin zdjęć. «Jeśli ma pan ochotę opublikować nowe wydanie Aretina, mogłby ich pan użyć jako ilustracji». Były to zdjęcia, jak pan już zapewne odgadł, laluni z hotelu i pańskiego sługi w pewnej akcji”.

— Tyle tylko, że ten Sierioża nie wiedział — i tutaj właśnie Rosjanie mnie zawiedli, wydaje się, że jednak popełniają błędy — że pani Blun i ja uznaliśmy, iż żarty trwały już wystarczająco długo, i tuż przed moim wyjazdem wystąpiliśmy o rozwód. Więc śmiałem się w duchu. Sierioża mógł sobie marszczyć brwi, sapać ile chciał, a ja mu powiedziałem: „To fajny pomysł. Może to zainspiruje panią Blun. Nauka przez obraz, miłość bez łez, i tak dalej. Za jednym zamachem osiągniecie to, do czego dążyłem przez dwadzieścia lat. W dodatku, żeby wam oszczędzić wydatku na znaczki pocztowe, sam jej przyniosę wasze dydaktyczne fotografie”. Sięgam po zdjęcia, *in the pocket*, i odchodzę. Sierioża za stygł jak soplek lodu. Trzeba dodać, że na lotnisku poddano mnie dwugodzinnej rewizji, od stóp do głów, ale ja nie jestem taki głupi, zdjęcia przekazałem znajomemu sekretarzowi ambasady, który dał je do walizy dyplomatycznej: ani widu, ani słyhu. Wszystko to opowiadam panu, żeby wyjaśnić, że między Sowietami i mną skończyło się. W pańskim interesie będzie teraz wykorzystać mnie, póki jeszcze mogę uchodzić za kogoś, kto dezerteruje. W przeciwnym razie, zobaczy pan, za dwa tygodnie ukaże się w «Literaturce» artykuł oznajmiający, że Blun jest zmiłą pozbawioną nie tylko talentu, ale i świadomości klasowej. Niech pan spojrzy, zasłużyłem się. Mogę się panu przyznać, że się wahałem. Sierioża dał mi do zrozumienia, że jeśli się zgodzę, moim pilotem zostanie ta sama lala z hotelu. I muszę panu powiedzieć, że jak na pilota, to ona nieźle prowadzi. I jaką ma słodką skórę. Jak niemowlę. Tyle że, widzi pan, na mojej skórze zależy mi jeszcze bardziej niż na czyjejś.

Blun był już przy drugim koniaku, gdy Aleksander, który na ogół nie interesował się wcale tego rodzaju opowieściami, zwrócił się jednak do swego rozmówcy, niedbale, pchany przez zwykłą, zawodową ciekawość, lub może odgadując koleje przeznaczenia:

— Ma pan przy sobie te zdjęcia?

Blun gdałnął:

— Właśnie dlatego zarezerwowałem stolik w rogu sali!

Nie bez trudu odnalazł wewnętrzną kieszeń marynarki, później jednak wydobyl z niej zręcznie plik zdjęć, które wciąż trzymał w zamkniętej dłoni:

— Niech pan zamknie oczy.

Aleksander zamknął oczy.

Blun, sapiąc bez przerwy, wyłożył dwanaście fotografii na żółty obrus:

— Może pan otworzyć.

Aleksander patrzył na zdjęcie przez piętnaście sekund, a potem podniósł się i skierował się w stronę wyjścia. Kelnerzy cofali się, żeby pozwolić mu przejść. Blun na pół wstał z krzesła:

— Psar...

Psar wyszedł z restauracji.

Blun opadł na krzesło. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna musiał sam uregulować rachunek.

PERŁA

To wciąż był ten sam wytworny budynek, te same kamienne schody, tak wytarte, że zdawały się miękkie i elastyczne, te same lamperie Trianon, te same medaliony i wole oka, ta sama Małgorzata, czekająca na niego:

— Pan Lewicki telefonował już. Grozi, że przedstawi komu innemu swoje tezy na temat Dostojewskiego, jeśli w ciągu trzech dni nie dostanie od pana odpowiedzi.

Lecz Aleksander Psar nie był już tym samym człowiekiem co przedtem. On, tak zawsze pewien, że umie panować nad sobą, nie przypominał dawnego Aleksandra: zostawił swój płaszcz z wielbłądziej wełny i rękawiczki w szatni „Pont-Royal”.

— Muszę wyjechać na kilka dni.

Mówił z trudem i najwidoczniej nie usłyszał wcale jej słów:

— Czy zając się rezerwacją biletów?

Wszystko się rozpadło: otoczka, która chroniła go przez ostatnich trzydzieści lat, całe jego życie, życie mężczyzny. Musiał od nowa nauczyć się, jak oddychać. Gdy się ma czterdzieści dziewięć lat, przypląca się to lękiem.

— Nie, żadnych rezerwacji. Chociaż tak. Samolot do... Nowego Jorku.

— Na kiedy, proszę pana?

— Jak najwcześniej.

Małgorzata zaczęła dzwonić, Aleksander oparł czoło o szybę.

W pierwszej chwili nie widział nic na ulicy, potem zauważył, że kręci się tam chłopak z szalikiem zarzuconym na szyję, który już wcześniej deptał mu po piętach.

W jego wyobraźni pojawił się znowu obraz Gawierina wiążącego na belce stropowej.

- Proszę mi też zarezerwować sypialny.
- Dokąd, proszę pana?
- Rzym.
- Na kiedy?
- Jak najwcześniej.

Pomyślał, że powinien sam zająć się którąś z tych rezerwacji. Nie był jednak w stanie wyczekiwać teraz w kolejce, w biurze podróży, i rozmawiać ponad kontuarem z jedną z tych ufryzowanych idiotek nie znających się na rozkładzie jazdy.

Błądząc po ulicach Paryża, przejeżdżając samochodem przez Sekwanę, aby uciec od lewego brzegu, potem znowu wracając tam, żeby zbliżyć się do biura, stając na czerwonych światłach, ruszając na zielonych, włączając się w ruch okrężny na rondach, patrząc na zegarek, którego prawie nie potrafił odczytać, zrekonstruował z dokładnością do paru pomyłek zaledwie wydarzenia ostatnich lat. I to on, który zawsze tak bardzo uważnie przeżywał bieżącą chwilę!

Ała była po prostu dodatkowym oficerem-pilotem, którego mu przydzielono, aby uwierzył, że będzie mógł „wrócić”. Gdy tylko wypełniła swoją misję, zajęła się innymi, podobnymi do niego. Panienek nie brakowało, ale kobiet-oficerów, uwodzicielskich i zdolnych zarazem do manipulowania ludźmi, nie było zapewne wiele. Dlatego trzeba było zatrudniać je co jakiś czas. Ała robiła najprawdopodobniej, w drugiej dyrekcji głównej, staż manipulacji intelektualistami francuskimi o orientacji literackiej. Nie dało się wykluczyć, że miała do czynienia z dwoma znającymi się wzajemnie; ryzyko wynosiło ileś tam procent. KGB przyjęło to ryzyko kierując się przesadną troską o oszczędność, i zraniło wskutek tego Aleksandra tak bardzo, gdyż związany był

ze swą służbą i nienawidził wszelkiego oszustwa. Był poza tym obrażony, że nie zasłużył na oficera-pilota zajmującego się nim i tylko nim. Zraniona miłość własna powoduje wielki ból.

Nie sądził nigdy, by Ała go kochała, tak jak post-romantyczni drobnomieszczanie ludzą się, że się ich, ach, kooocha. Nie była też dla niego rozczarowaniem myśl, że ich związek był, dla Ały, wypełnieniem rozkazu. O tym wiedział zawsze i nawet zadowolony był, że ich relacja zbudowana została nie na kaprysie przyciągania się dwu naskórków czy dwu wrażliwości. Fundamentem ich związku była dla niego raczej świadomość, że jego uczestnicy tworzą coś, co przerasta ich oboje. Nie czuł się więc oszukany w miłości. To przynajmniej zostało mu oszczędzone.

Nie pocieszało go natomiast to — co byłoby pewnie dobrą wiadomością dla bardziej banalnego kochanka — że Ała wcale nie zginęła. Stratę syna odczuł tym boleśniej w chwili, gdy doszedł do wniosku, że nigdy go nie miał, nigdy ktoś taki się nie urodził. Podobnie też — jako że myśl o dawnej miłości łagodzi zwykle ból z powodu jej urwania się — wolał odczucie swej pierwszej żaloby od ohydneho stanu pustki, który go teraz opanovał. Nawet przez moment nie chciał obecnie przyjąć możliwości, że jego syn być może był jednak na świecie. Był całkowicie pewny, że kobieta-oficer, spełniająca swą misję, musiała przerwać ciężę. Nie przyszło mu też na myśl, że ma córeczkę, co pewnie byłoby dla niego jakąś pociechą. „Nigdy nie miałem dziecka. Nawet nie wiem, czy mogę mieć dzieci”.

Ten ukryty prąd miłości, obecny w nim przez ostatnich pięć lat, był czymś całkowicie wyobrażonym, urojonym. Czyż nie jest rzeczą potworną kochać coś, czego nie ma? Czyż nie uprawiał odrażającego onanizmu emocjonalnego? Wszystkie te wewnętrzne poruszenia duszy, cała jego miłość, tak napięta, że musiał niekiedy aż przymykać oczy, jakby tracił równowagę, jego ręka, wyciągnięta w przyszłość: „Mój syn zostanie... Mój syn osiągnie...”, poczucie, że nie jest już sam na świecie, że pękła

muszła ontologicznej samotności, na którą skazuje nas fakt urodzin i z której wyzwoleniem jest dopiero spłodzenie własnego dziecka—wszystko to było więc tylko halucynacją? A fotografie? Ileż razy pochylał się czule nad zdjęciami! Jak bardzo szukał — i znajdował! — oszukańczego podobieństwa rysów! Jak bardzo był dumny, rozpoznając w tym nie wiadomo czyim dziecku potomka własnego rodu! Jak bardzo przepadał za tym, żeby nazywać syna imieniem swego ojca, zgodnie z tradycją! „Wybacz, ojcze”. Doznawał uczucia, które było stokroć silniejszym powiększeniem wrażenia, jakiego się doznaje, gdy zaufanym przyjaciółom przedstawia się kogoś, kto okazuje się człowiekiem bez honoru.

Był pionkiem w grze. Kto prowadził tę grę? Ci, którym zgodził się służyć za cenę nielojalności, nielojalności wobec ojca, przez niego samego aprobowanej. Być manipulowanym przez własnych podwładnych — to jeszcze ujdzie. To zła wojna, ale wciąż jeszcze wojna. Ale przez przełożonych? To już podłość nad podłościami, coś, co Synowi wysłanemu w misję każe wykrzyknąć: „*Lama sabachtani?!?*”.

Grano nim. Dlaczego? Czy zawiódł w czymś? Czy zażądał może zapłaty nieodpowiedniej w stosunku do usług, jakie oddał? Podejrzewał, że targ, który ubił przed trzydziestu latu, od samego początku nie był uczciwy, że jego mistrzowie nigdy nie mieli zamiaru pozwolić mu na „powrót”. Nawet jego stopień służbowy, do którego przywiązywał wagę z chłopięcym zapałem, typowym dla wielu żołnierzy, był tylko jeszcze jednym wabikiem w tej rozgrywce. Podczas gdy z biegiem lat awansował na drabince urojonych stopni i rang, jego przełożeni musieli się niezłe śmiać z niego w swojej dyrekcji, która była przecież fabryką iluzji. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji Piotr traktował go jak zwyczajnego agenta. Nie chodziło wcale o „dokręcenie śruby” jakiemuś oficerowi, który okazał się zbyt niezależny, lecz po prostu o zastosowanie wobec niego podwójnego systemu kija i marchewki, dającego znakomite rezultaty z agentami niższego szczebla.

— Proszę pana — powiedziała Małgorzata bez ironii — wyjeżdża pan do Rzymu dziś wieczorem lub do Nowego Jorku jutro w południe.

Przeszedł do swojego gabinetu i, inaczej niż to było w jego zwyczaju, pozostawił drzwi otwarte. Lubił boazerie, które otaczały go różowym cieniem surowego drewna. Jego spojrzenie padło na orientalne sztylety. Pozostawi je tutaj, żeby nie wzbudzić podejrzeń Małgorzaty. Oczywiście, musiała się domyślać, że wyjeżdżał jeszcze gdzie indziej, ale nie powinna wiedzieć, że nie był pewny, czy wróci. Później zauważył ikonę:

— Ty także drwiłbyś ze mnie, gdybyś umiał drwić.

Podszedł do biurka. Leżała tam poczta dla niego. Zaczął czytać i stwierdził, że nic nie rozumie.

„Więc jak to jest, czyżby mieli rację? Czyżbym był tylko szeregowcem, niezdolnym do poddania się autodyscyplinie?”

Powróciła mu potrzebna jasność umysłu. Zrobił kilka notatek, propozycji odpowiedzi na listy. Myśl o Gawierinie nie opuszczała go: „Nie chcę, żeby mnie spotkało to samo”.

Żadna decyzja jeszcze się w nim nie skryształizowała. Wiedział tylko, że potrzeba mu kilka dni odprężenia i że w tym czasie powinien uniknąć nadzoru dyrekcji. Czy wróci obłąskawiony? Będzie próbował zniknąć? Postawi jakieś warunki przed powrotem do służby? Tego nie wiedział. Ale w każdym wypadku potrzebne mu było odzyskanie dystansu.

— Małgorzato...

Nigdy jej nie wzywał w ten sposób, przez otwarte drzwi.

— Małgorzato, będę musiał wyjechać na parę dni.

To samo zdanie, jak na zepsutej płycie. Ale już wiedział, że nie może uciec. Wyda dyspozycje na czas swej nieobecności. Zasługiwał na ten wyjazd.

— Tak, proszę pana.

Normalnie zapytałaby go, czy będzie go można osiągnąć telefonicznie, ale tego dnia nie spytała o nic. Stała z bloczkiem i

ołówkiem w ręce, lekko przechyliwszy głowę. Miała na sobie granatową sukienkę z wielkim białym kołnierzem i białymi mankietami. Jej ciemnoniebieskie oczy, obramowane ciemnymi włosami, wyrażały skoncentrowaną uwagę.

— Powie pani, że musiałem wyskoczyć do Nowego Jorku na negocjacje w sprawie kontraktu. Wrócę prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

Mówiąc bazgrał jednocześnie karteczkę z przeprosinami po rosyjsku dla Kurnosowa.

— Proszę to wysłać pocztą. Pneumatykiem. Jeśli madame Boisse będzie mnie szukała, proszę powiedzieć, że niezwłocznie do niej zadzwonię.

Oczywiście nie miał prawa wyjeżdżać nie zostawiając Piotrowi wskazówki, jak ma się z nim skontaktować. Czuł, że znów jest komendantem swojego statku.

— Mówiła mi pani... Ach, tak! Pan Lewicki. To prawda, źleśmy go potraktowali przez tych wszystkich Kurnosowów. Proszę mu powiedzieć, że będę mu wdzięczny, jeśli poczeka jeszcze piętnaście dni, ale że zrozumieć także, jeśli zechce spróbować gdzie indziej.

— Już to z pewnością zrobił, proszę pana — powiedziała Małgorzata sztywnymi wargami.

— W każdym razie proszę go przeprosić. Nie powinniśmy się opuszczać, mimo nawału pracy. Ma pani tutaj także brulion listu do Baroneta, który prosi mnie o ponowne objęcie kierownictwa serii *Białej Księgi*. Nigdy nam tego nie zabrano. Trzeba mu to dać odczuć, temu prostakowi.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na wypowiedzenie opinii o kimś równym mu w obecności podwładnego. Dla Małgorzaty było to żenujące.

Spojrzał na zegarek.

Mówiąc nie przestawał się zastanawiać, czy weźmie swój samochód — numer rejestracyjny, szczególnie na samochodzie o

dość rzadkiej marce, mógłby go zdradzić — czy też wynajmie jakiś pojazd. Na razie nie chciał wywoływać wrażenia, że zaciera ślady. Jednocześnie wielokrotnie miał okazję stwierdzić, do jakiego stopnia KGB było dobrze poinformowane i przygotowane do działania. Z jaką łatwością znaleźli sposób, by przywołać do porządku Ballandara i Fourvereta! Uniknąć nadzoru KGB wydawało mu się przedsięwzięciem przekraczającym możliwości zwykłego śmiertelnika. A jednak właśnie to spróbuje osiągnąć, przynajmniej na przeciąg kilku dni. Najlepiej byłoby pożyczyć od kogoś jakiś samochód. Ale od kogo? Zdał sobie sprawę, że nikogo nie zna wystarczająco dobrze.

— Nie słuchałem pani. Proszę o wybaczenie.

Małgorzata powtórzyła:

— Czy nie mogłabym pojechać z panem? — zaczerwieniła się pod warstwą pudru. — Proszę o wybaczenie (nauczył ją posługiwać się tym zwrotem zamiast zwykłego „przepraszam”), jeśli jestem niedyskretna, ale wydaje mi się, że mógłby mnie pan potrzebować.

— Nikogo mi nie trzeba.

A później jakaś tama w nim pękła. Był przyzwyczajony do samotnego życia, ale nie do poczucia, że jest całkiem samotny. Podczas trzydziestu lat niedostrzegalnie spoczywała na nim ręka Pitmana, przyjacielska, ochraniająca. Za chwilę znajdzie się sam za kierownicą omegi czy też innego, wynajętego, nieznanego samochodu. Ta perspektywa przeraziła go. Być może obecność tak pełna zrozumienia, tak mało ciężąca, pomogłaby mu przeżyć tych kilka dni. Oczywiście, nie zwierzyłby się jej ze swojego dylematu, ale ciepło jej uwagi, pragnienie, jakie okazywała, żeby we wszystkim mu się wiodło, pomoże mu, kto wie, podjąć optymalną decyzję. „Czy zabierając ją, nie wystawiam jej na niebezpieczeństwo? (wciąż myślał o Gawierinie, o jego wybałuszonych oczach i wywalonym języku). Wprost przeciwnie, nie narażam jej na ryzyko, w dodatku moje własne pomniejszy się dzięki temu”. Niewiele przypominał sobie ze swego stażu w Brooklynie,

ale nagle powróciło jedno zdanie: „Mokra robota przeciwko dwu osobom nie jest dwukrotnie, lecz dziesięciokrotnie bardziej niebezpieczna niż przeciwko jednemu, odizolowanemu osobnikowi”.

Małgorzata, umierając z onieśmienia, podjęła ostatnią próbę:

— Nie ma nic takiego, co nie mogłoby poczekać jeden czy dwa dni. Zresztą pojutrze jest Gwiazdka. I mamy magnetofon, rejestrujący telefony...

Aleksander wciąż jeszcze się wahał. Małgorzata odgadła z pewnością, że nie wybierał się do Rzymu ani do Nowego Jorku. Dałaby się raczej poćwiartować niż powiedziała by to komuś. Jeśli jednak rzeczywiście będzie torturowana? Nawet bez użycia metod fizycznych można wymusić bardzo wiele. A samochód, gdyby go wynajmował, byłoby dobrze wziąć na nazwisko madame Thérien.

— Dobrze. Na drogę proszę sobie kupić szczoteczkę do zębów.

— Co mam nagrać na magnetofon, proszę pana?

— Sam to zrobię.

Trzeba było postarać się o rozproszenie wszelkich wątpliwości:

„Tu Aleksander Psar. Dziękuję za telefon. Musiałem niestety wyjść na parę godzin, a moja sekretarka, pani Thérien, jest chora. Bardzo proszę o nagranie wiadomości dla mnie na taśmę. Z przyjemnością zadzwonię do pana, pani, po powrocie. Proszę poczekać, aż odezwie się sygnał i potem proszę mówić”.

Jeśli po odczekaniu „paru godzin” zaczną go szukać, sprawdzą naprzód, czy poleciał do Nowego Jorku. Gdy stwierdzą, że nie było go w samolocie, zajmą się sprawdzaniem Rzymu...

Chwycił swą grubą, czarną teczkę. Pomógł Małgorzacie nałożyć popielaty płaszcz z lisim kołnierzem. Poczul przyjemny zapach:

— Jaka to perfuma, Małgorzato?

— *Jolie Madame*, proszę pana. Dostałam ją od pana na urodziny.

— Miałem dobry pomysł.

Uśmiechnął się lekko, przepraszając za swoje roztargnienie.

W podwórku wsiadł do swojej omegi i otworzył prawe drzwi Małgorzacie. Trzeba zacząć, powiedział sobie, od tego co jest nerwem każdej wojny. Pojechał do swego banku, na bulwarze Saint-Germain.

— Zostawię samochód w drugim szeregu. Gdyby policjant protestował, niech pani użyje swych wdzięków.

Po raz pierwszy pozwalał sobie przy Małgorzacie na aluzje czysto osobiste.

Podjął w gotówce cały swój wkład. Wychodząc z banku zobaczył, że Małgorzata przestawiła samochód, ale ponownie zajęła miejsce pasażera.

— Zawadzaliśmy — wyjaśniła.

Przypomniał coś sobie: wykładowca z Brooklynu doradzał, by osoby, które nie chcą zwracać na siebie uwagi, „zlały się z otoczeniem”. Ale jak to osiągnąć? W jednej z powieści Paula Bourget pewien nauczyciel kupuje nowe ubranie w sklepie „Old England” i dopiero potem ośmiela się pójść do krawca. „Ja postąpię całkiem przeciwnie”.

Aleksander raz jeszcze opuścił lewy brzeg. Udało mu się znaleźć miejsce do parkowania pod Operą.

— Małgorzato, w tej dzielnicy pełno jest biur podróży. Proszę z łaski swojej wynająć samochód na pani nazwisko. Oczywiście oddam pani pieniądze. Czy ma pani kartę kredytową?

— Tak, proszę pana. Na kiedy wziąć samochód?

— Od razu.

— Czy poprosić, żeby nam dostarczyli samochód?

Trzeba było uniknąć zwracania na siebie uwagi.

— Nie. Weźmiemy samochód z garażu. Spotkamy się w tym samym miejscu za pół godziny.

Wahała się.

— Jeśli nie jest pan pewny omegi, może weźmiemy mojego renault? Jest niebieski — dorzuciła, jakby miało to jakieś znaczenie.

Samochód Małgorzaty mógł być im znany.

— Nie, dziękuję pani. Proszę wziąć jakiś wygodniejszy samochód, nadający się na większą podróż.

Nie miał pojęcia, dokąd jechać.

Bez płaszcza marzył. Pomyślał jednak, że nic jeszcze nie zrobił, by zmylić ewentualny ogon. Zanim więc zrobił zakupy, wykonał kilka elementarnych manewrów w Galeries Lafayette. Chłopak z szalikiem na szyi nie pojawił się, nie zauważył nikogo innego podejrzanego. Aleksander opuścił dom towarowy. Na ulicy paliły się girlandy lamp. Zapadał zmierzch. Niech żyje Boże Narodzenie kupców!

W sklepie „Old England” Aleksander kupił ciepły, dwustronny płaszcz nieprzemakalny, tweedowy kaszkiet, parasol i rękawiczki. Nie nosił nigdy ani kapelusza, ani parasola, czuł się głupio wyposażony w ten sposób.

Małgorzata czekała na niego tuż obok omegi. Uznała, że nie powinna całkiem zataić swego zdziwienia:

— Ubrał się pan w stylu angielskim.

— Sherlock Holmes, bardzo mi miło. Brakuje mi tylko fajki. No więc?

— Musimy odebrać peugeota z Avenue de la Grande-Armée.

— Proszę, niech pani tam pójdzie i weźmie wóz. Proszę mnie zabrać spod dworca Saint-Lazare. Będę czekał od strony Cour du Havre, tak żeby nie musiała pani szukać miejsca do parkowania.

Małgorzata ruszyła w stronę postoju taksówek. Ładnie się poruszała. Jej popielaty płaszcz prawie nie dotykał bioder. Zaczynał padać śnieg, kilka płatków osiadło na jej czarnych włosach. Otworzyła niebieski parasol. Na postoju nie było żadnych pojazdów, ale udało jej się złapać przejeżdżającą ulicą taksówkę. Aleksander siedł za nią w pewnej odległości. Nie odwróciła ani razu głowy. Weszła do samochodu i nie wyglądało to na to, żeby ktoś ją śledził ani żeby rzucił się w stronę kawiarni, do telefonu. Można było całkiem spokojnie przyjąć, że także i ona nie miała ogona.

Aleksander wsiadł do metra. Przyklejony do białej, śliskiej bariery, z oczami utkwionymi gdzieś w pustce, mówił do siebie: „Nie powinienem był opuszczać tak nagle Bluna. Mogło mu to dać do myślenia. Skąd mam mieć pewność, że on naprawdę odmówił współpracy?”

A może w grę wchodził wariant rozgrywki jeszcze bardziej wyrafinowanej? Może nie była to wcale pomyłka dyirekcji, małosłowna oszczędność, lecz, przeciwnie, końcowa faza montażu? W ten sposób dano by mu do zrozumienia, że był oszukiwany. Ale po co? Operacja *Konfraternia* rozwijała się w najlepsze i KGB nic by nie zyskało odtrącając Psara, popychając go w stronę Francuzów. Oczywiście, nie zdradzi nigdy. Czy oni o tym wiedzą? Wszystko razem nie trzymało się kupy.

Z dworca Aleksander zadzwonił do Bluna:

— Bardzo mi przykro, drogi przyjacielu. Mógłbym coś wymyślić na poczekaniu, ale wolę panu powiedzieć prawdę: chywiła mnie nagle straszna kolka.

Blun nie odważył się zażądać zwrotu rachunku za obiad. Aleksander, rozbawiony, odłożył słuchawkę.

Spacerował chodnikiem, czekając na Małgorzatę. Chłód szczypał go w nos, policzki i uszy. Czuł, jak dobiera się do palców u nóg.

„Nie wypełnia się już kwestionariuszy w hotelu. Ale recepcjoniści to donosiciele. Trzeba będzie podać fałszywe nazwiska. To zaskoczy Małgorzatę. Jak jej to wytłumaczyć?”

Mógł złożyć wszystko na karb KGB. Śmierć Gawierina była dobrym argumentem. A zatem: „Oni powiesili Gawierina, więc ja ukrywam się w pani towarzystwie?”

Przypomniał sobie, jak starannie Małgorzata zamknęła wszystkie trzy zamki w drzwiach biura, przekręcając dwukrotnie klucz. Dobra gospodyni, pewna, że powróci tam, zabezpieczająca wszystko przed wyjazdem.

Fałszywe nazwiska. „Nazywam się Jean Dupont. — Tak? Założyłbym się, że nazywał się pan inaczej: Aleksander Psar. To

niesłychane, jak bardzo jest pan do niego podobny. Widziałem program w telewizji, w ostatni piątek, z «Żelazną Maską»..

„Jeszcze za mało «zlałem się z otoczeniem». I nawet nie mam brody, którą mógłbym zgolić! To brak przenikliwości. Okulary? Ale nie zdobyłem się na to, żeby wejść do optyka i kupić okulary ze zwykłymi szklami. Chyba żeby powiedzieć, że mam wystąpić w przedstawieniu teatralnym? Nie, to byłoby podejrzane. Peruka? I Małgorzata miałyby mnie zobaczyć w peruce albo z przyklejonym wąsem? A jeżeli jednak dam się złapać i oni zerwą ze mnie tego wąsa, tę perukę, okulary?” Kupił lekko przydymione okulary słoneczne, lecz przeszkadzały mu i nie nosił ich.

Małgorzata nadjechała, prowadząc czarnego peugeota. Odstąpiła mu od razu kierownicę. Peugeot miał całkiem inne właściwości niż omega. Czuło się inne rozłożenie mocy silnika, coś agresywnego; samochód łaciński w miejsce anglosaskiego.

Aleksander zapuścił silnik i ucieszył się jego mocą; motor zdawał się obiecywać zarówno przyśpieszenie jak i wytrwały wysiłek. „Mój krążownik!” Pomyślał, że nigdy nie prowadził rosyjskiego samochodu. „Gdy wrócę...” Czy jednak rzeczywiście uda mu się wrócić? Zaczynał w to wątpić. Dotykał dłonią przyrządów i dźwigni, ogarniał wszystko spojrzeniem. Obejmował w posiadanie mostek kapitański, tak by to określił jego ojciec. Małgorzata przyglądała mu się, jej twarz nie wyrażała nic. Podbródek schowała w lisim kołnierzu. Czerwona szminka dokładnie zakrywała jej duże, pewne siebie usta.

Peugeot włączył się do żelaznego potoku samochodów. Aleksander zmieniał biegi, bawiąc się czynnością, która nie miała żadnego znaczenia. Wokół nich mrowił się grudniowy, posępny Paryż; pełni zawziętości przechodnie biegali ulicami, nie wiadomo za czym, potrącając się wzajemnie. W kioskach marzli sprzedawcy gazet. Jedynie sprzedawca kasztanów mógł być uznany za nostalgiczną aluzję do poczciwego dickensowskiego świata. Naprawdę jednak panowała tu tylko szarzyzna i melancholia.

Małgorzata patrzyła wprost przed siebie:

— To straszne — powiedziała — co przydarzyło się biednemu Gawierinowi.

Skąd jej to przyszło do głowy?

Dopiero na prowadzącej na północny zachód drodze wyjazdowej Aleksander uświadomił sobie, dokąd jedzie. To będzie oczywiście tylko etap, ale niezbędny. Jemu, który zawsze bardzo precyzyjnie kalkulował swoje postępowanie, wydało się bardzo dziwne, że może aż tak poddać się swojej podświadomości, ni czym samolot prowadzony przez automatycznego pilota. Czy Gawierin kupił strzelbę myśliwską? Czy powiesił się z rozpacz? Myśliwska strzelba nie chroni przed rozpaczą. A jednak tak, w pewnych przypadkach. Aleksander pochodził z rodziny, w której posiadanie broni uznane było przez stulecia za coś oczywiste go, nie tyle ze względu na bezpieczeństwo, co dla poczucia godności człowieka. Biedny Dymitr Aleksandrowicz przez całe życie marzył o posiadaniu choćby karabinu. Ileż razy próbował zaoszczędzić kilka franków, żeby go kupić. Nie dlatego, by miał być użyteczny, ale — w pewnym sensie — niezbędny! A później roztrwonił te drobne oszczędności, żeby nakarmić jakiegoś kolegę, ofiarować róże swojej żonie albo synowi używany słownik łaciński. Broń to coś więcej niż broń: to decyzja, duma, szansa ofiarowana odwadze, poleganie na samym sobie, patrzenie losowi prosto w oczy.

— Tak — powiedział Aleksander po kwadransie milczenia.

— To straszne, co stało się z Gawierinem.

Myślał o tym człowieku, samotnym w jego fortecy, wieczorem. Używany, zużyty. Być może usunięty, jak usuwa się niepotrzebną fastrygę czy też rusztowanie, które do niczego już nie służy. Być może opuszczony, ponieważ wiedziano, że w końcu sam siebie usunie. Zlikwidować, spławić — ileż znaczeń kryje się w tych słowach! Spławić — upłynnić, skierować do ścieku, utopić w kloace. W jaki sposób został „zlikwidowany” Gawierin?

Czy przysłano mu ekipę z V departamentu, czy też sam miał w sobie coś w rodzaju ekipy likwidacyjnej, komórki czy ciała krwi, które jak małe gnomy pewnego pięknego dnia dotarły aż do mózgu i postanowiły go usunąć, spławić? W jakimś sensie to nie miało znaczenia. Został zaklasyfikowany jako niezdatny do służby, czy też sam tak się określił, i krawat Hermesa, ozdobiony strzemionami i munsztukami, piękny, jedwabisty krawat, śliski jak powierzchnia płynu, zacisnął mu przelyk i tchawicę, Bóg wie co, i umarł. Jak długo cierpiał? W takich okolicznościach, czy czas płynie tak jak zazwyczaj? Czy próbował znaleźć stopą taboret, który odepchnął? Sam, sam. Albo nie sam, jeśli specjaliści z piątki mu dopomogli; ale jednak sam z fizycznym bólem, agonią. Czyż można odrzucić człowieka jak rzuca się niepotrzebne narzędzie?

— To ja — powiedział Aleksander — ofiarowałem mu ten krawat.

Czy to był znak? Czy to był sygnał? Czy próbowano mu dać coś do zrozumienia, używając właśnie tego krawatu? Małgorzata wyciągnęła dłoń w rękawiczce i złożyła ją na okrytej rękawiczką dłoni Aleksandra:

— To nie pana wina, znalazłby coś innego.

Myślała, że Aleksandra gnębią wyrzuty sumienia. Czy całkowicie się myliła?

— Czy sądzi pan, że to... oni?

Aleksander skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

„Gdybym zatrzymał omegę, mogliby coś w niej zmajstrować. Jeśli idzie o peugeota, nie mogą wiedzieć, że to ja go prowadzę. Jutro, pojutrze pomyślą o sprawdzeniu, gdzie znajduje się Małgorzata. Ale na razie nic nam nie grozi. Chyba że zainstalowali mikrofony w moim biurze? (Jakże szybko ludzie, których jeszcze parę godzin wcześniej określał jako „my”, znaleźli się w przedziałce „oni”!) Jeśli tak, to wiedzą, że wyjechałem z Małgorzatą. Ale nie wiedzą, że samochodem, a przede wszystkim, że wynajęтым. Jeżeli

jednak mają swoje anteny w biurach wynajmu, a mają z całą pewnością...”

Próbował otrząsnąć się z tego koszmaru:

„Czy zamieniam się w Gawierina?”

Gawierin kołysał się na końcu krawata. Być może jego mania prześladowcza nie była tak absurdalna, jak się uważało. A Ballardara doścignęła jego przeszłość sprzed czterdziestu lat. Forveret został napiętnowany własnym wstydem i dalej musiał się uśmiechać. Wszystko to przychodziło im bez najmniejszego wysiłku.

W Pontoise powiedział:

— Coś mam do załatwienia, Małgorzato. Czy może pani po czekać na mnie w tej kawiarni?

Wziął ze sobą teczkę.

Mały, okrągły pułkownik był uradowany jego widokiem.

— Kopa lat! Niech mi waćpan coś wyjaśni. To pana widziałem kiedyś w telewizji, czyż nie, albo ma pan sobowtóra? Tylko ja zawsze myślałem, że pan nazywa się R-sar, a oni mówili P-sar.

Rozpadało się bezpieczne alibi, które sobie tu skonstruował. Aleksander miał nagle przypływ inspiracji:

— To byłem ja. Tylko, widzi pan, jestem z pochodzenia Rosjaninem i w naszym alfabecie literę „p” wymawia się jak „r”,

— Co też pan mówi!

Pułkownik uznał, że byłoby niegrzecznie naciskać, ale puszczona w ruch maszyna jego mózgu nie zatrzymywała się. Niedługo dojdzie do tego, że zapyta po prostu: „A jakie jest pana oficjalne nazwisko? Na przykład to, które ma pan w prawie jazdy?” Jeszcze do tego nie doszedł.

— Może wiatrówka, albo strzelnica kulowa, jak zawsze? — zapytał tylko.

— Tym razem tylko wiatrówka. Dokucza mi reumatyzm, lepiej unikać odrzutu.

Sam nie wiedział, dlaczego nie chciał strzelać kulami.

Pudłował bez przerwy. Nie udawało mu się osiągnąć tej syntezy oddechu, celowania i spustu, która pozwala zminimalizować rozrzut trafień. Ale kiedy wychodził, niósł w teczce swojego *Smitha & Wessona* i pudełko naboji 357 magnum, z kulami o ściętych czubkach. Nie miał pozwolenia na posiadanie broni. „Pepełniam wykroczenie”, powiedział sobie z ponurą satysfakcją. Jakież było prawdopodobieństwo, że policja zatrzyma go i podda rewizji? Podwójny teraz ciężar teczki dodawał mu otuchy. „Przez kilka godzin, kilka dni, będę żył jak samotny wilk. Potem się zobaczy”.

Nie był już od nikogo zależny i gdy tylko minął pierwszy moment niepokoju, poczuł się radośnie podniecony. Spojrzał na zegarek: „Biedna Małgorzata, czeka na mnie... „ Naprzód jednak, przejechawszy peugeotem w bardziej ustronne miejsce, otworzył (wojskowi mówią na to: rozdziewczył) święte pudełko, po to, aby zastąpić zwykłe naboje 38, tkwiące w bębunku rewolweru, przez sześć wielkich, ciężkich, złośliwych naboji 357. Z prawdziwą przyjemnością rozmyślał nad tym, że ich wielkie, na pół otwarte pyski posieją więcej spustoszenia niż normalne, ostre pociski.

Małgorzata czekała na niego cierpliwie, pijąc ciepłą czekoladę. Po raz pierwszy w życiu nie wstała na powitanie swego przełożonego, tylko uśmiechnęła się do niego. Nie chciała wprawiać go w zakłopotanie. Zauważył, że zdjęła rękawiczkę tylko z jednej, prawej dłoni. Stwierdził także, że jak na solidnie zbudowaną kobietę miała zadziwiająco drobne ręce. Spojrzał na zegarek, gdyż zapomniał całkowicie, która to może być godzina. Czuł się teraz młodo, czuł przypływ energii.

— Czekolada? Pani to lubi? Od czterdziestu lat nie piłem kakao. Wtedy wydawało mi się dobre. Czemu by nie spróbować? Kelner, poproszę filiżankę czekolady.

Kwaśny, wstrętny smak natychmiast odnowił w jego pamięci dawne przeżycia:

— Gdy wracałem ze szkoły, mojego ojca nie było jeszcze w

domu, ale zostawiał na kuchence garnuszek, na dnie którego była czarna plama po odprysniętej emalii. Zapalałem gaz, nastawiałem kakao i, czekając aż się zagotuje, pisałem jeden czy dwa poematy epickie.

— Nie miał pan matki?

— Moja matka umarła, gdy miałem dwa lata.

— To znaczy nie pamięta jej pan?

— Nie. Czasem wyobrażam ją sobie... Jak różę, jak błękit nieba... Wmawiam to sobie z pewnością.

— Czy ojciec opowiadał panu o niej?

— Nigdy. I właśnie coś mi przychodzi na myśl... To ciekawe. Był zmieszany. Małgorzata odczekała dłuższą chwilę, a potem ośmieliła się spytać, cichym głosem:

— Co jest ciekawe?

Jego przysłonięte rzęsami oczy wpatrywały się w coś, czego ona nie mogła zobaczyć.

— Ojciec nauczył mnie kilku modlitw: *Ojciec nasz*, *Zdrowaś Mario*, i jeszcze modlitwy za tych, co żyją i za tych, co umarli. Modliłem się za niego, za moich dziadków, krewnych. Nigdy za matkę. Wtedy dziwiło mnie to. Byłem przekonany, że moja matka była świętą, a za świętych nie trzeba się modlić. Raczej do niej mógłbym się modlić. Ale czemu mój ojciec...?

Małgorzata uśmiechnęła się smutno. Poczul się w obowiązku zadać jej podobne pytanie:

— A czy pani rodzice żyją, Małgorzato?

— Matka. Ojciec zginął w Indochinach, w czasie wojny. Matka mieszka w Lisieux, dlatego spędzam tam wakacje.

Nie słuchał jej. Myślał o próżni, w jakiej się znalazł. Przyszło mu na myśl rosyjskie określenie używane wtedy, gdy ktoś stracił i ojca i matkę: „całkowity sierota”. Tak właśnie było z nim. Gdziekolwiek się obrócił, trafiał na pustkę. Przypomniawszy sobie, że ma jeszcze rewolwer. Tak samo *clochard* myśli o swoim psie.

— Chodźmy — powiedział, wstając z krzesła.

— Dokąd?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć, rzekł więc:

— Zjemy kolację.

Znał niedaleko stąd, nad Sekwaną, lokal, do którego przemysłowcy sprowadzają swoje sekretarki, a lekarze — asystentki. Fourveret zaprosił go tu kiedyś na obiad. Była już noc, gdy zostawił peugeota pomiędzy jaguarem i porsche, na podwórku otoczonym nowoczesnymi budynkami, w których zastosowano starą technikę pruskiego muru. Było zimno. Błotnisty śnieg lodowaciał. Małgorzata pośliznęła się, niewiele brakowało, by upadła. Aleksander wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę oświetlonego ganku.

— Czy ma pan zarezerwowany stółik?

— A trzeba rezerwować?

— Dzisiaj jest wigilia Bożego Narodzenia, proszę pana.

— Na pewno znajdzie pani coś dla nas.

Westchnienie, wzrok wbity w niebo: „Ach, ci klienci! Jak przyjemnie żyłoby się bez nich!”

— Tędy, proszę pana.

Aleksander nie mógł uwolnić się od myśli, że w gruncie rzeczy w każdej restauracji świata czeka na niego zarezerwowany stół. Dlatego też niezmiernie rzadko się zdarzało, by musiał odchodzić z niczym. Gdy do tego jednak dochodziło, odczuwał zarazem upokorzenie i wściekłość. Gdyby tak miało być teraz, wobec Małgorzaty... Ale nie, znalazło się rozwiązanie. Nagle nabrał wielkiej ochoty, by „dogodzić” Małgorzacie. Pracowała z tak niezwykłą wydajnością, tak kompetentnie, zasługiwała na coś więcej niż pensja.

— Szatnia, proszę pana?

Zależało mu na tym, by pomóc Małgorzacie, zdjąć jej płaszcz, tak jakby nikomu nie chciał odstąpić tego przywileju, a potem obrócił się plecami do kelnera, pozwalając mu zabrać swój własny prochowiec. Drażniła go wulgarność tej pół-usługi, oddawanej w restauracjach: odbiera się od klientów płaszcze i podsuwa

im się krzesło, ale gdy już uiszczą rachunek, niech sobie sami dają radę, łobuzy.

— Czy zostawi pan teczkę?

— Tak... Nie. Wezmę ją ze sobą.

Oparł ją o nogę krzesła. Na szczęście teczka sama w sobie była obszerna i ciężka, skórzana, pełna zamków; jej dodatkowy ładunek nie zwracał na siebie uwagi. Tak czy inaczej trzeba było mieć się na baczności. Wyobraźnia Aleksandra nie mogła się uspokoić: ciekawe, czy we francuskim więzieniu byłby bezpieczny, czy też i tam dosięgliby go przyjaciele?

Małgorzata zamówiła porto i dostała butelkę pięćdziesięcioletnią. Aleksander wziął whisky z małą ilością lodu. Symfonia bieli i czerni, na którą składały się ubrania kelnerów i nakrochmalone serwetki, a także ogień trzaskający w stylizowanym na średniowiecze kominku, kontrastowała przyjemnie z mrozem zimowej nocy.

— Powiedział pan przed chwilą... Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. Pan pisał kiedyś wiersze?

— Dziesiątki! Uważałem się za poetę.

— Teraz już pan nie pisze? Szkoda. Z pewnością ma pan za mało czasu.

Czyżby wyobrażała sobie, że pisze się dlatego, że ma się dość czasu?

— Brakuje mi talentu, a nie czasu, Małgorzato. Sądzę że jestem dość dobrym agentem — potknął się na słowie „literackim” — ale pisarzem? Nie. Do tego potrzebne są specjalne właściwości — brak wstydu i respektu dla samego siebie — na jego twarzy pojawił się wyraz niesmaku. — Naprawdę, to nie jest zajęcie zupełnie... jak to powiedzieć... czyste. Zwłaszcza od czasu romantyzmu. Pluć w chusteczkę i podsuwać ją innym pod nos, w nadziei, że znajdą tam krew? Nie, dziękuję bardzo.

Spis potraw oprawiony był w skórę, na której wytłoczone były fantastyczne, baśniowe herby.

— Od czego pani zacznie, Małgorzato?

Wahała się, speszona brakiem cen w karcie:

— Może zupeł...

Odgadł, że chce wziąć coś najtańszego, by go nie rujnować.

— Pozwoli pani, że sam coś dla pani wybiorę.

Wybrał królewskie menu: pasztet z gęsich wątróbek i do niego wino *Dom Perignon*, *Clos de la Pucelle* do krabów i *Grands--Echezeaux* do bażanta. Zmusił Małgorzatę, by wzięła jeszcze sery, chociaż nie miała już apetytu, i na koniec uraczył ją jeszcze sorbetem z *fruits de la passion*. Sam także jadł bardzo dużo. Tak, nie miał syna. Owszem, został zdradzony przez własnych ludzi. Tak, walczył przeciwko Francji, a Francja ofiarowywała mu co miała najlepszego. Stawał się agresywny.

— Niech mi pani opowie o sobie, Małgorzato. To śmieszne, pracujemy razem od dwudziestu lat, a ja nic o pani nie wiem. Czy ma pani rodzeństwo?

Opowiedziała mu o swoim życiu. Ojciec był podoficerem, zginął na wojnie. Matka uczyła pisanie na maszynie. Była jedynym dzieckiem. Skończyła skromne lecz niezłe studia. Musiała pracować, i przyjęła to z radością. Nim została zatrudniona przez agencję Psara, pracowała w dwóch miejscach.

Aleksander przyglądał się jej raczej niż słuchał. Podobał mu się sposób, w jaki jej palce o starannie zaokrąglonych, pokrytych czerwonym lakierem paznokciach przylegały do kieliszka z białym winem. To nic, że wyszła ze środowiska drobnomieszczańskiego. I tak miała klasę. Ubierała się bardzo dobrze, miała ładną postawę, mówiła prawie bez zarzutu. Restauracja, w której się znajdowali, nie olśniła jej. I nie grała kogoś, kto jest zachwycony. Przerwał jej w pół zdania:

— I nigdy nie myślała pani o zamążpójściu, Małgorzato?

Kochała pewnego mężczyznę. Dawno temu. Był żonaty, miał dzieci. „Nie chciałam żyć w poczuciu, że coś komuś ukradłam”. I dodała uśmiechając się:

— Jestem szczęśliwa mimo tego.

I jeszcze później, ciszej:

— Jestem szczęśliwa mogąc pracować u pana.

— Nie wiem (wiedział to całkiem dobrze), czy kiedykolwiek pani powiedziałam, ile agencja pani zawdzięcza, Małgorzato. Bez pani nigdy by nam się nie powiodło.

— Och, na pewno.

— Ależ nie. Poszlibyśmy na dno bez pani, niejeden raz.

Co miało znaczyć to majestatyczne „my”, z którego Małgorzata najwidoczniej została wykluczona? Podjęła to określenie, włączając się *w pluralis*:

— O tak, przeżywaliśmy bardzo ciężkie chwile. Raz czy dwa było bardzo źle, ale udało nam się z tego wykaraskać. 1 w szedłby pan z tego beze mnie albo z kimś podobnym do mnie.

Wypili jeszcze kawę, a potem on zapłacił, gotówką, by nie zostawiać żadnych śladów w tej podróży. Na zewnątrz także trwała symfonia bieli i czerni. Niebo było czarne, ziemia biała, pruski mur mieszał z sobą elementy. Aleksander, całkiem nieświadomie, ruszył na południe. Długo jechali w milczeniu.

„Dlaczego na południe?”, zapytywał samego siebie Aleksander. „Dlatego, że mapa obejmuje właśnie ten obszar, albo dlatego, że przywykłem jeździć w tę stronę z Gawierinem, a może dlatego, że przyciąga mnie trupi odór Gawierina, tak jak zabójcę miejsce zbrodni?”

Ciepło panujące w tej małej, ciemnej komórcie, pędzącej przez mróz jak rakieta w kosmosie, to ciepło dzielone przez Aleksandra i Małgorzatę, powodowało, że dzielące ich bariery zaczęły stopniowo tracić na znaczeniu i znikać.

— Nawet pani nie pyta, dokąd jedziemy — powiedział Aleksander.

Małgorzata patrzyła przed siebie. Jej podbródek krył się w fu-trzanym kołnierzu.

— To wszystko jedno — odpowiedziała.

Aleksander myślał o wypitej niedawno filiżance czekolady i o wywołanych przez to wspomnieniach. Emaliowany rondel. Później, wieczorem, chrobotanie klucza w drzwiach. W ostatnim okresie przed szpitalem klucz długo szukał wejścia do zamka. I sfermentowany zapach wina wydobywający się z ust Dymitra Aleksandrowicza, gdy jego syn podnosił się, żeby go pocałować. Wszystko to w pamięci Aleksandra tworzyło epicką konstelację, gdzie mieszały się ze sobą dziurawe podeszwy, przeziębienia, odkrycie majestatycznego rytmu rosyjskiego heksametru, profil sąsiadki, dostrzeżony na tle okna po drugiej strony ulicy, pikantny smak sekretu, który towarzyszył już jego okresowym spotkaniom z Jakubem Mojsiejewiczem. Przypomniawszy sobie nagle próbę, której poddał go serdeczny, ale ironiczny Jakub Pitman: nigdy nie być pierwszym, ale uplasować się jak najbliżej pierwszego. Myślał o tym z wielkim niesmakiem do samego siebie. Te ćwiczenia, które tłumaczyły się przez ascezę rycerskiej inicjacji, były tylko upokorzeniami znoszonymi bez potrzeby, po nic.

To słowo, „nic”, uderzyło go. Od trzydziestu lat żył po coś, w co wierzył, lecz czego istnienie wydało mu się nagle wątpliwe. Rosja? Rosja opuszczona przez jego ojca, tak, albo Rosja jego syna, gdyby taki istniał, ponieważ tam właśnie by wzrastał. Gdyby wiedział, że pewna mała dziewczynka o ciemnych włosach, owoc jego lędzwi, właśnie w tych dniach nauczyła się pierwszych linijek rymowanki ku chwale Lenina:

Gdy małemu Leninowi rosły mleczone zęby

Do walonek swoich musiał kłaść otręby...

byłby w dalszym ciągu wierzył w Rosję, oczywiście nie z powodu Włodzimierza Iljicza, który był dla niego niczym, ale dla owej wcielonej Historii. Ponieważ jednak sądził, że jest bezdzielny, cała Rosja wydawała mu się tylko krwawym mitem. Kto mógłby mu udowodnić, że Piotr i wszyscy Iwanowie, i wszyscy Kurnosowowie pochodzili rzeczywiście z tego królestwa za górami, za lasami? Piotr nie nazywał się Piotr ani Iwan Iwan, ani niektórzy

z Kurnosowów Kurnosow. Rosja, siódma część stałego ładu kuli ziemskiej, być może nie była nim wcale, przyplływ morza zatopił ją, razem z białymi brzożami, szarymi wilkami, złożonymi kopułami, nieskończonymi stepami, a ludzie, dla których pracował, pochodzili skądinąd, z jakiejś innej planety. A w końcu może nawet ten wariat Kurnosow miał rację, i agenci KGB byli na usługach światowej konspiracji lichwiarzy. KGB jest może tylko przykrywką czegoś innego?

Aleksandrowi przydarzało się to, co dzieje się z nastolatkiem, który zawsze wierzył w Boga, ponieważ widział kościoły, święte obrazy, krzyże, komunię świętą, i który odkrywa, że to niczego nie dowodzi i może być tylko gigantyczną inscenizacją. Mówiono mu o pewnej Rosji, która miała jakoby istnieć gdzieś w świecie, a on wymyślił sobie inną Rosję, nieśmiertelną, idealną, lśniąca gdzieś poza światem. Ale cóż on o niej wiedział? A jeśli nawet istniała, co go z nią łączyło? W jaki sposób byli ze sobą związani?

Nagle inna myśl przejęła go zgrozą: czym jesteśmy? Tym, co jemy. To dlatego chrześcijanie jedzą ciało Chrystusa, żeby stać się Chrystusem. A tymczasem, jeśli o niego chodzi, poza kilkoma litrami wódki, kilkoma pudełkami kawioru, czy kiedykolwiek spożył coś pochodzącego z ziemi jego przodków? Nigdy nie czuł się Francuzem, ale wszystkie molekuly tworzące jego ciało pochodziły z tutejszego *humusu*. Nie, nie wszystkie. Na początku były dwie gamety, które złączyły się w jedno i które pochodziły skądinąd. Ale reszta? Ta początkowa komórka, zakładając, że istniała jeszcze w jakikolwiek sposób, była na obczyźnie, w wielkim ciele Aleksandra, ciele żywionym frankońskim zbożem, frankońskim mięsem.

Oczywiście był też język, cywilizacja, pewne formy myślenia, dziedzictwo, no i w końcu wierność. Ale wierność dla wierności? W jednym błysku zrozumiał nagle paradoksalny hieroglif swojego losu.

Urodził się zdrajcą.

Był czystym, absolutnym zdrajcą, takim, który nie ma ani motywu, ani wytłumaczenia. Zdradził Rosję, rodząc się we Francji, powtórzył zdradę jedząc Francję. Zdradzał Francję, którą jadł, marząc o Rosji.

Oddając się w służbę bolszewikom, Aleksander, a przed nim jego ojciec, zdradzili ducha całej tej cywilizacji i kasty, która ją stworzyła (nie klasy, nie; Aleksander w głębi duszy odrzucał zawsze to słowo tak charakterystyczne dla brodatego pedanta, który je rozślawił). Ale ta kasta, ta cywilizacja już się przeżyły. Wdowiec, który się ponownie żeni, nie popełnia zdrady małżeńskiej. Ta zdrada, jeśli nawet była, była tylko formalna, bez konsekwencji. Druga zdrada — urodzić się gdzie indziej — nie pochodziła z wyboru. Nie usprawiedliwiała jej nawet pokusa, odczuwana wobec innego kraju. Także i fakt, że Aleksander we własnym przekonaniu dotrzymywał wierności swej ojczyźnie, nie łagodził tej zdrady.

Wierność, przede wszystkim, pewnej nadziei: „powrócić” do tego raj, skąd pochodził; wierność zmuszająca do tysiąca poświęceń, tysiąca upokorzeń, dająca tylko wewnętrzną satysfakcję. Poza tym wierność wyobrażonemu wspomnieniu: tej martwej, pogrzebanej cywilizacji, której Aleksander już nie znał, ale której wyrzeczenie się splamiłoby jego honor. Wierność więc zupełnie bezinteresowna, chwalebna, lecz sterylna ofiara żyjącego człowieka dla pięknej zmarłej. A w końcu wierność wobec przyszłości, którą sobie wymarzył, więc mniej bezinteresowna, ale związana z tymi samymi wyrzeczeniami: osamotnienie, bolesne zahamowanie twórczych impulsów, dobrowolne wygnanie. Właśnie w taki sposób stał się w pewnym sensie negatywem samego siebie.

„Nie wiem, co znaczy żyć jak ryba w wodzie”.

I wszystko to po co?

„Przypuszczam, że chciałem dać Bogu lekcję wierności”.

Bóg słynie z tego, że, zwyczajem książąt, opuszcza swoich wyznawców. Armie białych ruszały do ataku modląc się, z rozpostartymi sztandarami, i pozwalały się ścinać przez karabiny maszynowe bluznierstw. Gdzie były legiony aniołów i archaniołów, które doskonale mogły pomóc żołnierzom Chrystusa? Stara historia: nawet samemu Chrystusowi nikt nie udzielił pomocy.

A tymczasem, od momentu kiedy Aleksander włożył swoją dłoń w dłoń wrogów Boga, poczuł się podtrzymywany, asekurowany. Pitman powiedział mu, uśmiechając się: „Zobaczy pan, Aleksandrze Dmitryczu, pan, który zna łacinę — KGB *patria nostra*”. Kiedy musiał wywrzeć nacisk na Fourvereta i Ballandara, dano mu do dyspozycji odpowiednie środki. To samo, kiedy zdecydował, że wylansuje Bluna. Dziesiątki razy, kiedy prosił o pomoc, pomoc nadchodziła, skuteczna, a niekiedy piorunująca. Cóż więc się teraz stało? Czy tylko udawano, że stanowi część tego organizmu? Czy też może również diabłowi zdarza się opuszczać swoich?

Aleksander jechał powoli i wmawiał w siebie, że postępuje tak z ostrożności, jako że szosa była śliska i nietrudno było o wypadek. Ale naprawdę po prostu nie wiedział, dokąd jechać. Zamiast wybrać autostradę, pojechał szosą, co także miało opóźnić jazdę i pozwolić, by dojrzała w nim decyzja co do punktu docelowego podróży. Zegar samochodowy lśnił w ciemności i pokazywał, że minęła już trzecia nad ranem. Aleksander był senny. Zaczął się zastanawiać, co dalej robić. Nagle przypomniał sobie o kobiecie, siedzącej tuż obok niego.

W pierwszej chwili rozdrażniło go to. I bez niej dość miał zmartwień. Później wytłumaczył sobie, że przecież chodzi o Małgorzatę, o kogoś, kto pomagał mu tyle razy. Małgorzata odrzuciła głowę do tyłu. Miała zamknięte oczy. Jej powieki, obrzeżone niebieską kreską — w restauracji zmieniła swój makijaż, przekształcając go na wieczorny — były jak noc przeciwstawiona nocy panującej na zewnątrz. Oddychała spokojnie i cicho.

„Biedna mała”, pomyślał wzruszony Aleksander. Ten odruch czułości zaskoczył go. Pomyślał z wdzięcznością o dwudziestu latach jej wyteżonej uwagi, o wysiłku nie bezinteresownym, lecz wydajnym — to ważniejsze — o nieustannym zmaganiu się z rzeczywistością, o wszystkich jej inteligentnych staraniach ofiarowanych agencji Psara, czyli KGB. W gruncie rzeczy Małgorzata była jednym więcej uczestnikiem sztafety.

Ostrożnie zjechał na pobocze szosy. Małgorzata otworzyła oczy.

— Trzeba, żebyśmy się trochę przespali — powiedział cicho Aleksander. — Byłoby niemądrze jechać dalej. Opuszczę pani fotel.

Usunęła się trochę, tak żeby mógł zmienić układ fotela, po czym znalazła się w wygodnej pozycji poziomej. Silnik pracował w dalszym ciągu, zasilając ogrzewanie. Aleksander zgasił reflektory, sięgnął po swoją teczkę i otworzył ją. Później położył także swój własny fotel trzymając teczkę na kolanach. Położył dłoń na drewnianej kolbie rewolweru. Bawiła go ta gra, ta przygoda. „Będzie pan miał swoją wojnę”, powiedział mu już dawno temu Pitman. Ale nie miał tej wojny, o której marzył. Zamknął oczy i zapadł w sen. Ostatnie obrazy, jakie przesunęły się w jego głowie, związane były z elektronicznymi szachami, które włączył dziś rano. Zastanawiał się, czy komputer wykonał ruch wieżą czy gońcem.

Obudził go chłód, mimo że ogrzewanie mruczało w dalszym ciągu. Stwierdził ze zdziwieniem, że jego dłoń, ubrana w rękawiczkę ze skóry antylopy, trzyma niedużą dłoń Małgorzaty, ukrytą pod kozią skórą. Nie przypomniał sobie, jak doszło do tego niestosownego gestu. Nie trzyma się za rękę własnej sekretarki.

Popenił jeszcze większe wykroczenie. Spać obok kogoś, choćby nawet tak niewinnie jak on obok Małgorzaty, przedstawiało niewyobrażalne, kosmiczne ryzyko. W zasadzie każdy

chowa się w swych snach i pozostaje w nich do chwili przebudzenia jak więzień w fortecy, pilnujący własnego więzienia. Skąd jednak mamy wiedzieć, jakie tajemne wpływy wywierają na siebie nawzajem śpiący? Do jakich uniesień duchowych dochodzi w nocy? I przede wszystkim skąd mamy wiedzieć, czy ten drugi nie przygląda nam się w sposób najbardziej niedyskretny, jako że patrzy na nas, a my nie możemy go widzieć? Spać obok kogoś to naprawdę wydać się na jego łaskę. Dlatego też, nie całkiem zdając sobie sprawę z przyczyn swego postępowania, Aleksander unikał, gdy tylko mógł, spędzania nocy ze swymi przygodnymi kochankami. Najczęściej starał się za wszelką cenę wrócić na noc do siebie. Gdy — czego na ogół unikał — przyjmował kobiety u siebie w mieszkaniu, umywał do salonu, na kanapę, a drzwi od sypialni zamykał na klucz, tak aby jego „gość” nie mógł rozkoszować się widokiem jego uśpionej twarzy. „Jak mógłbym dopuścić do tego, by ktoś obcy widział mnie w stanie, w którym ja sam siebie nigdy nie zobaczę?” Tylko u boku Ałły zrezygnował ze zwykłych ostrożności.

To, że podobne ryzyko podjął przy Małgorzacie, powinno by go upokorzyć lub zezłościć. Kim była dlań Małgorzata? Nikim. Widywała go w różnych sytuacjach, zatroskanego, zmieszanego, zmęczonego, triumfującego. W zasadzie powinien teraz mieć jej za złe, że dzieliła z nim także godziny snu. Ale nie, ten nagły skok w intymność nie krępował go. Zamknął teczkę i postawił pionowo swój fotel.

Szyba samochodu oblepiona była śniegiem. Wycieraczki drgały nerwowo, lecz odmawiały pracy. Aleksander odblokował drzwiczki, potem otworzył je. Postawił nogę na ziemi. Śnieg sięgał mu do kostek.

Oczarował go krajobraz, roztaczający się dokoła. Ponieważ znał tylko Paryż, nigdy nic podobnego nie widział. Śnieżne fale, płaszczyzny, wybrzuszenia i wklęsłości, delikatne łona ziemi, przykryte śniegiem. Czarne, bezlistne drzewa, zupełnie jak

ludziki, narysowane przez dziecko: jedna kreska na pień, dwie na konary. Zdumiewająca cisza. Wzdłuż drogi krzaki, których liście kołysały się pod ciężarem kiści śniegu. Przez ogromne pole ciągnęło się klinowe pismo, ślad ucieczki zająca.

Aleksander nabrał powietrza do płuc.

W oddali spostrzegł wielkie A wieży kościelnej, a pod nim mniejsze głoski domków mieszkalnych.

Małgorzata wciąż znajdowała się w samochodzie, schowana tam jak pod namiotem.

Aleksander zrobił parę kroków. Było mu zimno. Zaczął uderzać się w plecy, tak jak to zwykli byli niegdyś robić woźnice fiaków: lewa ręka, prawa ręka. Ojciec nauczył go tej nieskomplikowanej gimnastyki. Aleksander przyśpieszał coraz bardziej rytm swych ruchów. Czuł, że krew znów zaczyna pulsować w rękach i nogach. Grudka śniegu oderwała się od gałązki i spadła mu na nos. Roześmiał się.

„Gdzie jestem? Nie mam pojęcia. Byłoby prawdziwym diableństwem, gdyby oni to wiedzieli”.

Nigdy nie czuł się wolny.

„Zdarza mi się to po raz pierwszy”.

Wytarł twarz śniegiem, nawiązując nieświadomie do gestów swych przodków. Zjadł trochę śniegu, napił się go.

Otworzył drzwi samochodu. Małgorzata przetarła oczy.

— Dzień dobry, Małgorzato.

— Gdzie jesteśmy?

Roześmiał się:

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

Przeciągnęła się, przejrzała się w lusterku samochodu.

— Wyglądam jak potwór — powiedziała.

— Nie zauważyłem. Jeżeli chce się pani odświeżyć, niech pani wytrze twarz śniegiem. Właśnie to zrobiłem. Nie ma nic wspanialszego.

Zaryzykowała opuszczenie samochodu, chwiejnym nieco

krokiem. Gdy wróciła, jej policzki świeciły się. Zrobiła poranną toaletę przy pomocy śniegu. Śmiała się, trochę wstydliwie, nie bez kokieterii.

Aleksander usunął dłonią śnieg z przedniej szyby. Specjalnie zdjął rękawiczkę, aby poczuć igiełki chłodu. Włączył znowu wycieraczki, nacisnął guzik płynu odmrażającego.

— Małgorzato — zaczął mówić, gdy już znowu usiedli obok siebie w samochodzie — wszystko to może się pani wydać całkowicie absurdalne. Pani jest taka... wyważona, tymczasem prawda jest... nie mogę pani powiedzieć prawdy. Ale pani nie chciałaby, nieprawdaż, żebym naraził się na to samo ryzyko co Gawierin. To dlatego właśnie zachowujemy się tak romantycznie. Za dzień czy dwa rzeczy będą już jaśniejsze. Teraz, jeśli pani tylko chce, mogę panią odwieźć na dworzec kolejowy...

Na co ona, z zaczerwienionymi policzkami i błyszczącym nosem:

— Kiedy to wydaje mi się zabawne, proszę pana!

Czy po raz pierwszy w życiu posłużyła się tym słowem? W każdym razie śmiała się z całego serca, zdziwiona sytuacją dosyć niebanalną, i jeszcze bardziej zaskoczona tym, że jato bawi.

— Dobrze. Zjedzmy śniadanie. Kończy nam się benzyna. Mam nadzieję, że znajdziemy stację benzynową, tak żeby samochód też dostał śniadanie.

Przygoda, tak tragiczna wczoraj wieczorem, zamieniała się teraz w miłą wyprawę. Na pół mityczny i na pół realny świat KGB rozpływał się w mgłę. Śni nam się czasem, że przydarzyło nam się wielkie nieszczęście, a później budzimy się z tego koszmaru. W takim właśnie nastroju znajdował się obecnie Aleksander. Jego zły sen trwał trzydzieści lat.

Znaleźli wioskę, a w niej małą stację benzynową, obsługiwaną przez czarownicę, która sporządzała też kawę:

— Kawy, pszę pana, pszę pani?

— Ma pani może czekoladę? — spytała Małgorzata.

Także i Aleksander, nie wiadomo czemu, wolał czekoladę.

Gdy wrócili do samochodu i podjęli jazdę na południe, do niewiadomego wciąż miejsca przeznaczenia, Aleksander zaczął mówić o swoim dzieciństwie, tak jakby wracał do przerwanej w jakimś punkcie medytacji.

— Jakie to dziwne, rosnąć tak jak ptak w wodzie, jak ryba w powietrzu. I gdyby to poczucie obcości wiązało się tylko z moimi kolegami... nie, cały świat stał na głowie. Gdy byłem mały — pani już tego nie zna, Małgorzato — wszystkie lekcje w podręcznikach kończyły się podsumowaniem, którego trzeba było nauczyć się na pamięć. Szczególnie dotyczyło to lekcji geografii. „Anglia jest wyspą, na której wydobywa się dużo węgla...” Nie pamiętam dalej. Ale pamiętam dobrze streszczenie dotyczące Rosji, bo nauczyłem się go na pamięć i odmówiłem wyrecytowania go: „Rosja to kraj o ogromnej powierzchni, bogaty w zboże, zamieszkały przez barbarzyński lud”. Nie wierzy mi pani? Jednak to prawda. Zależało mi na dobrych stopniach, a jednak czułem, że nie jestem w stanie wypowiedzieć tego zdania. Przeczytałem ten tekst, całkiem cicho, mojemu ojcu. Powiedział mi na to: „Jeśli wyrecytujesz to, stracisz honor”. Ile mogłem mieć lat wtedy? Siedem? To za mało, żeby móc stracić honor. Powiedziałem nauczycielce: „To nieprawda, co pisze podręcznik”. Nie rozumiała, co się stało. Ten chłopczyk, zawsze taki grzeczny i pilny, nagle zaczyna się buntować? Zostałem ukarany, o wiele surowiej niż zwykle nieuki. Ta kara zaboląła mnie, ale jednocześnie byłem dumny z siebie, zaciskałem zęby. Uważałem się za męczennika. W jakimś sensie byłem męczennikiem. W tym miesiącu nie byłem pierwszym w klasie, ale w każdym razie odmówiłem przyznania, że moja rodzina składała się z barbarzyńców.

A później tortura Larousse'a! W domu dowiedziałem się, że Rosja wydała więcej wielkich ludzi niż inne kraje. Gotów byłem uznać, że kryje się w tym pewna przesada, ale jednak zależało mi na tym, by przynajmniej częściowo było to prawdą. I ten wspaniały

Larousse, który w innych sprawach zaopatrywał mnie w tak świetne informacje — na przykład biografie Archiasza, Damoklesa, Bonchamps, Astera — czy wie pani, co miał do powiedzenia o Rosji?

Aleksander nie przestawał prowadzić samochodu, na oślep, nie znając kierunku, i jednocześnie strzępy zdań, które go tak raniły przed czterdziestu laty, pojawiały się wiernie w jego pamięci.

— Na przykład Kutuzow. Dla nas był on półbogiem, w końcu trzeba uznać, że załatwił Napoleona. Cóż, Larousse porachował się z nim w sposób bardzo zwięzły: „Kutuzow (Michał), generał rosyjski, pobity pod Moskwą”. To wszystko. A Suworow? Larousse nazywał go Suwarowem! Ze wszystkich jego osiągnięć zostało tylko jedno, został „pobity przez Massenę pod Zurychem”. A Musorgski, któremu dano nieprawdopodobne imię „Petrowicz”! A Aleksander I! Wie pani, czego dokonał Aleksander I? „Walczył przeciwko Napoleonowi, który go pobił pod Austerlitz”. Jak mógł to znieść mały chłopiec, syn emigranta, na którego koledzy wołali: „Ty brudny Rusku! Wracaj tam, skąd przyszedłeś!”

Małgorzata przysłuchiwała się bez słowa komentarza. Czulo się, że na zmianę przeżywa litość i oburzenie. Pan Aleksander, jej pan, musiał doznać tak niegodziwego traktowania? Humor Aleksandra, którego słowa witała tak ciepła i pełna oddania sympatia, poprawiał się coraz bardziej.

Tymczasem drogi i szosy kryją w sobie własne przeznaczenia. Szosa, którą jechał peugeot, migła naprzód drogowskazami i nazwami miejscowości, które nic nie mówiły Aleksandrowi, by wreszcie przedstawić mu znaną nazwę: święty Yrieix. Aleksander nie miał pojęcia, za co Yrieix został świętym, pamiętał jednak, że ze dwa miesiące temu był w tych okolicach z Gawierinem i pewnym agentem nieruchomości. Tuż obok znajdował się ten otoczony parkanem pałac, którego mało co nie kupił Gawierin i na który nawet Aleksander miał chętkę. Nie był tego jeszcze

świadom, ale coś w rodzaju wstępnego zarysu projektu zaczęło się w nim formować. Na razie miał po prostu ochotę zobaczyć ponownie pałac.

— Nie ma pani nic przeciwko temu, Małgorzato, żebyśmy trochę nadłożyli drogi?

Jak gdyby można było nadłożyć drogi, gdy podróżuje się nie wiadomo dokąd.

Nie miał dobrej orientacji w terenie, zwłaszcza na wsi. Poza tym śnieg przykrył wszystkie te miejsca, po których mógłby rozpoznać okolicę. Ale udało mu się jednak znaleźć wieś, której szukał. Wieś składała się z jednej ulicy, kościoła romańskiego, brzydko przerobionego w XIX wieku, i kabiny telefonicznej na małym placu. Wszystko przykryte było warstwą śniegu i całkowicie pustynne. Odkał pojawiła się telewizja, domy wiejskie zwrócone są ku swemu wnętrzu, a piesi zniknęli z ulic. Pałac powinien być albo z prawej, albo z lewej strony, ale w każdym razie już niedaleko.

Aleksander przejechał jeszcze dwa kilometry. Po prawej stronie otwierała się majestatyczna aleja. Śnieg przykrywający drzewa był nienaruszony.

Wjechał w aleję, którą przecinało kilka zaledwie czarnych śladów po kołach samochodów. Zardzewiała krata bramy trzymała się na dwu murowanych postumentach, mało wdzięcznych, lecz nie pozbawionych godności. Zgubiono klucz od bramy albo może zamek źle funkcjonował, w każdym razie przez pręty kraty przerzucony był łańcuch spięty kłódką. Aleksander przypomniał sobie, że agent nieruchomości z trudem tylko otworzył tę kłódkę.

— Czy tu mieszkają pańscy przyjaciele?

Potrząsnął głową. Zapomniał o kłódcie. Parkan otaczający posiadłość miał trzy metry wysokości i najeżony był żelaznymi prętami. Aleksander wysiadł z samochodu. Pałac, zdobny w wieżyczki, gotyckie naszczytniki, dzwonniczki, wznosił się po przeciwnej stronie owalnego trawnika, obrośniętego trawami i nawet niewielkimi krzewami. Wszystko było zamrożone, ośnieżone, a desenie i cieniowania, wytworzone przez zimę, prowadziły

ku skojarzeniu z białym rysunkiem na czarnym papierze. Wiał zimny, uporczywy wiatr. Od czasu do czasu ciężka kiść śniegu odrywała się od gałęzi drzewa i wolno, w ciszy spadała na ziemię, jak w zwolnionym i niemym filmie. Jeszcze dziesięć minut temu Aleksander mógłby się całkiem dobrze obejść bez zwiedzania pałacu. Teraz zależało mu na tym. Przecież nie da się pokonać starej, zardzewiałej bramie! Dał o sobie znać wściekły upór, który tyle razy przysłużył mu się w interesach.

Zaczął od wypróbowania na kłódce wszystkich kluczy, które były spięte w pęku. Rdza kłódki poplamiała mu rękawiczki. Nic to nie dało. Małgorzata podała mu własne klucze.

— Niech pani nie stoi w śniegu, Małgorzato. Zamoczy pani sobie stopy.

Klucze od mieszkania najwidoczniej nie pasowały do kłódki. Zaczął szukać kamieni pod śniegiem. Małgorzata, odgadując jego zamiary, pomagała mu. Znalazła ostry i ciężki kamień. Próbował rozbić łańcuch, lecz bez skutku. Zdusił przekleństwa, które przychodziły mu na usta. Na koniec uderzył się w palec i musiał stłumić okrzyk bólu.

— Może mógłby pan odwiedzić pałac kiedy indziej, gdy jego właściciele będą w domu — odpowiedziała Małgorzata.

— Ja znam już ten pałac. To pani chciałem go pokazać. Nie wiem czemu, ale przecież wcale nie jest powiedziane, że ta cholerna krata...

Wiedział, że zachowuje się niepoważnie. Wolał jednak zachowywać się niepoważnie niż ustępować przed przeszkodą.

Stwierdził, że lewy zawias bramy był złamany. Spróbował więc wybić ją z tej strony. Zwarty śnieg nie pozwalał na to. Zaczął go więc odgarniać obydwiema rękami, w czym pomagała mu Małgorzata, która przykucnęła tuż przy nim. Gdy udało im się wydrążyć wystarczające wgłębienie, Aleksander podniósł lekko bramę i, popychając ją, odciągnął ją od murowanego postumentu, tak że Małgorzata mogła wsunąć się na czworakach

do parku. Z kolei ona podtrzymała kratę, żeby i Aleksander, nie rozstając się ze swą cenną teczką, mógł pójść jej śladem.

Małgorzata puściła bramę i roześmiała się wesoło. Chciał otrzepać jej płaszcz ze śniegu i rdzy.

— Proszę, niech pan zostawi. Mojemu płaszczowi dobrze zrobi czyszczenie chemiczne. Ale pan! O mój Boże!

Przejmowała ją zgroza na widok wzoru wytłoczonego na nowym płaszczu jej szefa, lecz zarazem śmieszność tego obrazka była tak rozbijająca, że odważyła się dać jej wyraz:

— Można by powiedzieć, że został pan podpieczony na różnie.

Pałac był w rzeczywistości brzydkim gmaszyskiem z dziewiętnastego wieku. Wyposażony w fałszywe machiuky i równie fałszywe otwory strzelnicze, miał jednak w sobie coś majestatycznego, nie był całkiem pozbawiony czaru. Czulo się, że warstwa społeczna, która zdolna była znieść to kanciaste jajo, musiała wierzyć we własne powołanie, w wieczne trwanie instytucji i godności. Chodziło tu, rzecz jasna, o arcydzieło bowaryzmu, ale i bowaryzm ma swe dobre strony. Jest w nim urok pewnej nostalgii, pewnej skruchy.

Do rzeźbionej bramy pałacu prowadziły ciężkie schody, obrzeżone balustradami o kwadratowych słupkach. Wiatr usypał górę śniegu w lewym kącie bramy. Prawa natomiast była zupełnie odsłonięta. Brama była najwidoczniej zamknięta na klucz.

— Proszę na mnie poczekać.

Aleksander obszedł pałac dookoła, po kolana w śniegu. Spróbował wdrzeć się do jednego z okien, sforsować tylne wejście do budynku — bez rezultatu. Nowa nadzieja zaświtała mu, gdy znalazł się na tarasie przylegającym do tylnej ściany pałacu. Pomyślał, że zbije szybę i nawet złamie drewniane listwy okna. Czulo się jak zdobywca. Zrezygnował jednak z tego pomysłu, gdy zobaczył wewnętrzne żaluzje. Odwrócił się plecami do pałacu, żeby przyrzeć się zamrażającemu stawowi, pokrytemu zamiecionym przez wiatr śniegiem. Wiatr był tu gwałtownym ogrodnikiem.

Krzewy i drzewa wyrosły bujnie, jak pierwotna dżungla, zagrażająca temu miejscu, które, mimo swych niezgrabności i stylizacji, poddane było pewnemu porządkowi, a więc refleksji.

Pałac zbudowany został na zboczu, tak że jego tylna ściana miała o jedno piętro więcej niż fronton. W pewnym miejscu Aleksander znalazł drzwi prowadzące do sutereny. Wystarczyło je pchnąć, by znaleźć się w rozległym, prostokątnym pomieszczeniu, wyłożonym kaflami i skąpo oświetlonym przez trzy półkoliste okienka. Była to zapewne dawna oranżeria. Posuwając się przed siebie w kurzu i półmroku, Aleksander znalazł schody; wszedł na nie pomagając sobie dłonią opartą o poręcz, którą stanowiła zwykła listwa, położona na trzech żerdziach. Znalazł się na małym balkoniku nad oranżerią. Zielone błyski na półkach i belkach świadczyły o tym, że znalazł się w piwniczce z winami. Podniósł kilka butelek. Były puste. Przypomniawszy sobie to miejsce. Gawierin był przekonany, że chciano mu sprzedać te próżne butelki jako pełne i w rezultacie zażądał, by obniżono cenę transakcji. Wrócił na balkonik. Oranżeria wydawała się całkiem jasna w porównaniu z nieoświetloną piwnicą. Wszędzie widniały pajęczyny: na oknach, wokół abażurów, w formie odwróconych talerzy, w kamiennych kątach sali. Znalazł przełącznik elektryczny, przekręcił go, lecz światło nie zapaliło się.

Zszedł na dół, zbadał gruntownie całą oranżerię. W drugim jej końcu znalazł jeszcze inne schody, kamienne tym razem, biorące początek pod kopułą sklepienia. Wchodził powoli, krok po kroku. Wiedział, że nie ma się czego obawiać, mimo to trzymał prawą rękę w teczce, którą chował pod prawym ramieniem. W końcu zapomniał o ostrożności, wyrwał rewolwer z teczki i powiódł nim dookoła, jak mały chłopiec bawiący się w wojnę. Dotarł na parter, który składał się z obszernych korytarzy, przedsiionków i salonów. Przyjemnie byłoby móc przyjmować tu gości. Wyobraził sobie wykształconych nowobogackich — bo tacy z

pewnością wzniesli pałac — jak zapraszają do siebie okoliczną szlachtę, ale także, by mieć więcej gości, niepewnych siebie i zamożnych mieszczan. Szlaccice, popijając maderę gospodarza, drwią jednocześnie z niego lub też wymieniają poufne informacje na temat mieszczańskich posagów. Skrzypią parkiety, pojękują zawiasy drzwi, sztukaterie i lamperie wypełniają dom. Aleksander lubił burżuazyjną gigantomanę, przypadającą na czasy, kiedy szlachta zajmowała się tylko tym, co ładne, i już tylko burżuazja miała zrozumienie dla wielkości. Obie te warstwy teraz znajdowały się w rozkładzie. Dobrze im tak. Niech ginie ten, kto nie wierzy w samego siebie.

Nim wdrapał się na pierwsze piętro, schował rewolwer do teczki i poszedł po Małgorzatę. Ona też chciała obejrzeć pałac, ale zatrzymała się przed bramą oranżerii. Wziął ją za rękę, by prowadzić przez ten labirynt; wędrowali przez piwnice i kotłownię, a potem, na parterze, otwierali żaluzje wpuszczając promyki światła do ciemnych pokoi. Potem weszli na piętro, przechodzili od sypialni do sypialni, zaglądając do szaf, w których znajdowali zniszczone fotografie i guziki od liberii. Dziwiły ich metalowe wanny, stojące na lwich łapach. Wreszcie znaleźli się na strychu, gdzie zdzierali z siebie pajęczyny i kichali na każdym kroku.

— Nigdy nie widziałam takiego domu — powiedziała Małgorzata.

Aleksander przekreślił kurek. Nie popłynęła z niego woda, rozszedł się tylko zapach rdzy.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Potrzebował dwu czy trzech dni skupienia. Dlaczego by ich nie spędzić tutaj, gdzie nikt nie będzie ich poszukiwał? Jakaż była szansa, że przedstawiciel agencji nieruchomości przyjedzie tu w pełni zimy? A nawet gdyby pojawił się jakiś ewentualny nabywca domu, kilka słów przeprosin i niewielkie odszkodowanie załatwią sprawę. Jaką wspaniałą przygodą będzie zainstalowanie się tutaj! Zupełnie jakby się naśladowało Robinsona na jego wyspie!

Woda? Był śnieg. Ogień? W parku pełno było suchego drewna. Zakupy? O dwadzieścia kilometrów stąd znajdowało się Limoges.

Jedna rzecz tylko go niepokoiła. Za każdym razem, gdy w dzieciństwie realizował jakiś szalony projekt nie sam, lecz z kolegą, przeżywał rozczarowanie: to niebezpieczne, to się nie uda, to nie jest zabawne, a co na to powie tatuś. A jednak, poczynając od pewnej skali przedsięwzięcia, samotne zabawy nie udają się, trzeba mieć do nich współników. Czy Małgorzata mogła stać się takim kumplem do zabawy? Czy też zażąda wkrótce centralnego ogrzewania i pończoch na zmianę? I czy on nie wykraczał poza swą rolę szefa, proponując jej tę dziwną wilegiaturę? Nie, uspokoił siebie, nie wychodził ze swej roli. Nie był przecież, do diabła, mieszcuchem, fantazja nie była mu zabroniona. Pochlebiał sobie nawet, że jeśli Małgorzata była mu w pracy tak oddana, to właśnie dlatego, iż potrafił zachować odpowiedni dystans wobec wszystkiego i nigdy nie opuszczał go ów naturalny wdzięk, z którym się można tylko urodzić.

— Małgorzato, spędzimy tutaj weekend.

Klasnęła w rękę, jak zwykle bez ostentacji.

— Naprawdę zgadza się pani?

Był szczęśliwy w swoim nieszczęściu.

— Ach! Ale w takim razie potrzebujemy zapasów, zapalek i... Czy umie pani gotować na ognisku?

Zjedli szybki obiad w Limoges, a potem rzucili się do sklepu, na łowy, jak gdyby przygotowywali się do oblężenia. Aleksander był uradowany, że nareszcie znalazł towarzysza zabaw. Małgorzata szybko przejęła inicjatywę. Ustalała listę potrzebnych rzeczy, oczywiście z tysiącem zastrzeżeń. Oszczędzała jak mogła pieniądze Aleksandra i wahała się z kupnem ekspresu do kawy:

— Wiem oczywiście, że mógłby pan go zatrzymać. Tak jak spiwory.

— Niczego nie zatrzymamy — odpowiedział. — Zostawimy

wszystko na miejscu dla nieznanых właścicieli, od których pożyczamy dom.

Gdy tylko po przerwie obiadowej otworzono sklepy, w workach znalazły się siekiera, piła, pościel, świece, świeczniki (Aleksander uparł się przy ich kupnie), patelnia, pułapki na szczury (Małgorzata mogłaby bać się szczurów), wino, marynowana gęś, wołowa konserwa, bochen chleba, befsztyki („za dużo konserw to niezdrowo”), szampan („włożymy go do śniegu”), whisky, koniak („ale przecież pani lubi porto, Małgorzato, musimy dokupić” – Aleksander stwierdził, że może myśleć o kimś innym), lniane irlandzkie ręczniki, latarka, kieliszki z kryształowego szkła, papierowe ręczniki, koce, dwa grube swetry, miednica plastikowa („nie, Małgorzato, nie kupimy denaturatu, ale mieszek tak, to dobry pomysł”), sól, ano właśnie, szczotki do zębów, maszynka do golenia... Wszystko to gromadziło się w peugeocie. Aleksander płacił gotówką, żeby nie pozostawiać śladów po sobie, ale także dlatego, że sprawiało mu przyjemność wyskubywanie banknotów z grubego pliku w wewnętrznej kieszeni marynarki, z wrażeniem, że ten plik wcale nie maleje.

Wrócili do zamku i znieśli paczki do małego saloniku wyłożonego drewnianymi boazeriami, który Małgorzata wolała od wielkiej sali z kamienną posadzką, pociągającej Aleksandra; mniejsze pomieszczenie będzie łatwiej ogrzać. Podczas kiedy ona roztasowywała rzeczy, najlepszy agent literacki Paryża wyprawiał się do parku i zaczął ścinać drewno, piłując, rąbiąc, wysiłając się, raniąc sobie ręce, upuszczając sobie polana na palce, jęcząc, narzekając, pocąc się w zimnie, napinając wszystkie mięskuly, które utrzymywał cierpliwie w formie dzięki gimnastyce, znajdując prostą i głęboką przyjemność w wywijaniu ciężkim kawałem drewna na końcu siekiery, żeby potem rozszczepić go na spłowanym pniu.

Zapadł wieczór, na ziemi pojawiły się błękitne cienie. Nagie pnie drzew odcinały się na tle nieba, które, wydawało się, jaśniało w miarę jak ziemia stawała się coraz ciemniejsza. Chmury

ciężkie od śniegu opadały coraz niżej jak gigantyczne zeppelin i rozdzierały się na koronach drzew. Aleksander uderzył jeszcze parokrotnie siekierą. Wojownik-drwal. Cieszył się hałasem, który stawał się coraz bardziej matowy w miarę jak zmrok gęstniał i białe płachty śniegu znów zaczęły osuwać się na ziemię.

Przyniósł zapasy drewna, odbywając pięć tur. Odrzucił tors do tyłu, a przedramiona służyły mu jak taca na coraz większe ciężary. Małgorzata protestowała, że za dużo dźwiga, a jego to właśnie radowało.

— Ależ to za ciężkie, powinien pan uważać...

— Ależ skąd, staruszek jeszcze nie skapcał do końca — mizdrzył się, zrzucając na parkiet sterty polan, które wydzielają woń trocin.

Po przyniesieniu ostatniego ładunku zamknął drzwi oranżerii — „chcemy mieć spokój” — a nawet je zabarykadował przy pomocy koślawego stołu. Następnie pozamykał wszystkie okiennice. W sadzawce odbijały się ostatnie promienie dnia. Nad wodą stały ciężkie ozdobne wazony. Aleksander przesuwiał się przez wielkie puste komnaty — był zaledwie cieniem, który musnął zmatowiałe lustro — czując chłód, przedostający się do wnętrza pałacu przez szczeliny okien. Trochę się gubił w amfiladzie pokoi, prowadzących do saloniku, w którym oczekiwała go Małgorzata.

Była na tyle taktowna, by nie przygotować wcześniej kunsztownej budowli gałązek, konarów i polan, budowli, bez której nie może się obyć prawdziwy ogień w kominku. Zabrał się więc do tego, ale — jako że w kominku dawno nie palono — potrzebował dobrej godziny, by podsycany jego oddechem płomień wdrapał się na szczyt katedry z drewna. Z początku ciąg był słaby, gdy jednak stopił się śnieg, który tarasował zapewne komin, płomień buchnął dziarsko, drewno trzaskało, a na ścianach pojawiły się żółte i czarne cienie jak na teatralnym parawanie. Ogień dyszał, zwęglone drewno zamieniało się w peruwiańskie ruiny, a później matowiało i stawało się podobne do katakumb.

Wystarczyło dmuchnąć, żeby znowu nabrało rumieńców, żeby znów zaczęło szeptać.

— Pańska whisky, proszę pana.

Ich dłonie zetknęły się, a ponad szklankami uśmiechnęły się do siebie dwie twarze, oświetlone z jednej strony i ciemne z drugiej.

Kolacja była tyleż fantazyjna co obfita. Aleksander wrzucał korki z butelek do ognia i przyglądał się procesowi ich zmiany w żar. Wrócił do swego dzieciństwa. Wszystkie historie, które opowiadał, krążyły wokół jednego, głównego tematu, to jest niezrozumienia, na jakie natknęli się we Francji obaj Psarowie, ojciec i syn.

— A przecież Foch powiedział: „Jeżeli Francja nie została wymazana z mapy Europy, to zawdzięczamy to przede wszystkim Rosji”. A Joffre, w roku 1929, to znaczy w piętnaście lat po fakcie: „Korzystam z każdej okazji, by wyrazić podziw dla armii rosyjskich i dać upust mojej najgłębszej wdzięczności wobec nich... Nigdy nie zapomnę o straszliwych poświęceniach rosyjskiej armii, heroicznym i całkiem świadomie ściągniętych na siebie, po to by wróg obrócił się przeciwko niej”. I Mangin: „Aliantom nie wolno nigdy zapomnieć usługi oddanej im przez Rosję”. I Naylor: „Bitwa nad Marną wygrana została przez kozaków”. I Paléologue: „Nie mieliśmy nigdy lepszego i bardziej nam oddanego przyjaciela niż Mikołaj II”.

Wszystkie te urywki cytatów, które jego ojciec znał na pamięć, pojawiały się znowu w jego pamięci; wygłaszał je więc huczącym głosem, wylewając żółć, która się w nim nagromadziła.

— Kto jak kto, ale Joffre musiał wiedzieć co mówi, prawda? A oni wszyscy mówili mojemu ojcu tylko o rosyjskiej pożyczce!

Płomienie odbijały się w jego kieliszku napełnionym burgundem. Małgorzata nałożyła jeden wielki biały sandał i usiadła na piętach. Słuchała monologu Aleksandra, reagując tylko nieartykułowanymi dźwiękami, mającymi wyrażać współczucie.

Aleksander pił wino. Coraz to nowe obrazy odżywały w jego pamięci:

— Psar! Nazywano mnie Car, naturalnie Car, szyderczo! Ale w końcu carowie, jeśli się wszystko weźmie pod uwagę?... Komu by się bardziej udało w Rosji? Moja rodzina nie jest bardzo stara. Słyszała pani o Iwanie Groźnym? Stworzył on rodzaj gwardii, której przyznał część terytorium kraju, oddzieloną od pozostałych prowincji: oprycznina. I miał takiego forysia, służącego, zajmującego się psami. Wszyscy nazywali go Psar, bo psar to psarczyk. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia. Był jednym z oprychników najbardziej wiernych, najzacieklejszych. Przemierzał Rosję na koniu, mając przymocowane do siodła psią głowę i miotłę. Psia głowa oznaczała czujność, miotła była symbolem nienawiści do zdrady. I właśnie jedno i drugie mamy w naszym herbie. Stare rody kpily z nas: „Nie wiedzą, co umieścić w herbie, dlatego dali tam insygnia swego korpusu”. Ale było też przysłowie związane z nami: „Wkradłem się w łaski cara, brak mi zgody psara”. Miało to znaczyć: car mnie lubi, ale jeżeli Psar jest mi niechętny, moja sytuacja nie jest najlepsza. To właśnie szepotali sobie do ucha starzy bojarowie w ich pelisach, z dłońmi zaplecionymi na brzuszyskach. Byliśmy ludźmi z awansu, tak. Jak bolszewicy, w pewnym sensie.

Małgorzata słuchała z policzkami zarumienionymi od ognia, który na zmianę przygasał lub rozjarzał się. Aleksander rzucał od czasu do czasu polano do kominka, nic tam nie poprawiając. Zachwycaly go iskry buchające z ogniska.

W chaotycznych wspomnieniach pojawiała się często postać Dymitra Aleksandrowicza.

— Jak on cierpiał! Za nic! Byłoby lepiej, gdyby zginął w walce z czerwonymi.

— Wtedy nie byłoby pana na świecie — wymamrotała Małgorzata.

Opowiedział jej nieszczęsną historię chłopca wyzwanego na pojedynek.

— A pan, pan nawet nie miał matki.

Nie wiedział jak to się stało, że wziął Małgorzatę w ramiona. Przyciskał usta do jej warg, przydymionych ogniskiem i palących jak ogień. To wrażenie sprawiło, że otrzeźwiało. Za nic w świecie nie chciałby nadużyć współczucia, okazanego mu przez tę kobietę. Cofnął się:

— Proszę mi wybaczyć. Za daleko się posunąłem.

Ona jednak, wisząc prawie w jego ramionach, odpowiedziała:

— Ależ ja pana kocham.

Ponad ich głowami wciąż jeszcze pojawiały się na suficie różowe odbłaski, nawet gdy szlachetnie suche ciepło ognia w kominu już nie drażniło ich nagich skór. Aleksander zasnął, rozważając fakt, że po raz pierwszy miał w swych ramionach Francuzkę i dziwić się jej czułości. Wiedział, że Francuzki są sentymentalne, zmysłowe, ale czułe? Te zawsze pokryte makijażem kobiety, policzkujące swe dzieci? Był dotąd przekonany, że czułość jest cechą Słowian. Rozpłynął się w śnie i towarzyszyło mu błogie przeświadczenie, że nie docenił Francuzek.

Małgorzata walczyła ze snem, na zmianę szczypiąc się i wbijając sobie paznokcie prawej ręki w lewą dłoń. Gdy przekonała się, że Aleksander jest już całkowicie rozluźniony, jak to się zdarza tylko w najgłębszym śnie, zaczęła się powoli ubierać, nie spuszczać Aleksandra z oczu. Dorzuciła drewna do ognia, wzięła latarkę i, starając się iść lekko, tak by nie trzeszczał parkiet, wyszła na korytarz. Idąc za żółtym krążkiem światła latarki, przedostała się do oranżerii, odsunęła wzniesioną przez Aleksandra barykadę i wyszła na dwór. Natychmiast zmoczyła nogi, kolce krzewów podrapały jej łydki. Przeszła przez bramę i założyła ją kamieniem, żeby dało się później wrócić. Mogła była wziąć kluczyk od samochodu. Wiedziała, w której kieszeni Aleksander go nosił. Obawiała się jednak, że odgłosy silnika mogłyby go obudzić. Wybrała się więc do wsi piechotą. Na szczęście nie

nosiła szpilek. I tak jej miejskie buciki nie były stworzone do marszu w śniegu. Na przejście dwu kilometrów potrzebowała czterdziestu minut.

Wioska spała, jak w bajce dla dzieci.

Odnalazła kabinę telefoniczną, wrzuciła do automatu pięciofronówkę i wykręciła numer. Gdzieś rozległ się dzwonek telefonu. Gdzie? W jakimś gabinecie? W czyjejs sypialni? Nie miała pojęcia.

Wreszcie ktoś podniósł słuchawkę, lecz nie odezwał się. Zaczęła mówić:

— Tu Łajka. Nie mam dużo drobnych, a dzwonię z kabiny.

— Spokojnie — usłyszała męski głos — już nagrywam.

Opowiedziała wydarzenia ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Wspomniała o teczce. „Nie wypuszcza jej z rąk. W tej chwili śpi na niej”. Podała numer rejestracyjny samochodu, nazwę wioski, opisała położenie pałacu, wyjaśniła, jak można dostać się do środka.

— Przykro mi, że musiałam się uciec do metod nadzwyczajnych. Ale postępuję zgodnie z instrukcjami. On jest w stanie nerwowego wyczerpania. Trzeba było tak zrobić, żeby go podreperować.

— W porządku, proszę kontynuować — odrzekł na to głos mężczyzny.

Rozmowa przerwała się.

Małgorzata wróciła do zamku, starając się iść po swoich własnych śladach. Wiedziała już, że będzie miała silny katar. Czyż to jednak miało znaczenie? Czekala na ten moment dwadzieścia dwa lata.

Przed dwudziestu dwoma laty była po drugim roku prawa, była aktywna w kole naukowym, należała do zrzeszenia studentów, kokietowała wszystkich napotkanych komunistów. Nie mogła wybaczyć swemu ojcu, że pozwolił się zabić. Chciała zapisać się do partii. Pewnego dnia nowy kolega, starszy niż pozostali, wziął ją na stronę: „Chcesz robić naprawdę coś poważnego? Nie

tylko blabla? W organizacji będziesz miała tylko jedną alternatywę, będziesz albo katem, albo głuptaskiem. Zaslugujesz na coś lepszego”. Miał w ustach niedopalek i patrzył na nią z dołu. Zaufała temu niewysokiemu kędzierzawemu mężczyźnie o zielonych oczach. Zerwała wszystkie kontakty ze skrajną lewicą, opuściła uniwersytet, zapisała się na kurs dla sekretarek, nabyła trochę doświadczenia. Po jakimś czasie przydzielono jej pilota i misję: pilnować Psara, tego poplecznika reakcji. Co tydzień sporządzała raport o działalności agencji; dołączała listę spotkań, kopie listów, omawiała rozmowy telefoniczne, bardzo szczegółowo. Od czasu do czasu ogarniał ją niepokój: „Nie wygląda wcale na takiego prawicowca. W każdym razie niczego nie ukrywa, gwarantuję wam. Jesteście pewni, że nie pomyliliście się? Nie chcę tracić mojego czasu, chcę zrobić użytek z tego, czego się u was nauczyłam”.

Niekiedy kończyło się ofuknięciem: „Proszę się zajmować tym, co do pani należy”. Kiedy indziej zapewniano ją: „Ten osobnik tylko się maskuje. Zobaczy to pani pewnego dnia”. Dopiero publikacja *Rosyjskiej prawdy* i założenie „Konfraterni” przekonały Małgorzatę, że Psar istotnie był antykomunistą i chce zaszkodzić ZSRR, krajowi, który odwiedziła dwukrotnie i który ją tak gościnnie przyjął. Wcale nie uważała, że ona, zwykła sekretarka, zasługuje na takie powitanie, ale najwidoczniej ZSRR potrafił docenić wysiłki swych zwolenników. Francja natomiast nic nie uczyniła dla starszego sierżanta Thériena, który dla niej pozwolił sobie podziurawić skórę na drugim końcu świata. Podziwiała niegdyś swego ojca, a teraz nienawidziła go, karząc go za to, że zginął.

Wkradła się z powrotem do pałacu. Psar spał dalej w tej samej pozycji. Przypatrywała mu się przez kilka sekund. Leżał na boku, miał rozchylone usta, skórę twarzy zarumienioną od ognia, policzek rozplaszczony na powierzchni teczki. Widziany w ten sposób, z góry, tracił arogancję swej urody, nie towarzyszył mu też blask jego inteligencji. Był to po prostu nie pierwszej

młodości jegomość, śpiący jak dziecko, zwinięty w kłębek. Mógłby w kimś wzbudzić litość, ale Małgorzata nie miała dla niego litości. Tego ją nauczono: to był wróg klasowy. Byłoby rzeczą nieprzyzwoitą litować się nad wrogiem klasowym. Pracowała dla niego całym latami, służyła mu przykładnie, lecz robiła to przeciwko niemu. Był białogwardzistą, kontrrewolucjonistą. Ojciec Małgorzaty był zaledwie podoficerem — podróżował drugą klasą, nie miał prawa wstępu do mesy oficerskiej — ale i on był kontrrewolucjonistą. A przecież w rewolucyjnej armii byłby co najmniej pułkownikiem. Nacierając sobie alkoholem stopy zastanawiała się, czy nienawidzi swego szefa. Nie, pracowała dla niego z przyjemnością, lubiła oddawać mu usługi. Nie tyle jemu, co agencji. Podobała jej się praca, nie człowiek. Tak samo przed paroma godzinami dobrze się czuła w jego ramionach. Ale liczyła się tylko czysta przyjemność. Mężczyzna, który dał jej tę przyjemność, nie odpychał jej ani jej pociągał. Był wrogiem klasowym, to wszystko. Trzęsła się z zimna. Wsunęła się więc pod koce i przywarła do Aleksandra. To jej się spodobało: zabrać wrogowi klasowemu ciepło.

9

„WRÓCIĆ”

— Przepraszam że cię budzę, Pietucha, ale coś mi się wydaje, że „twój” wypuścił się na dalszy spacer.

Nikitin, młody, jasnowłosy i spokojny, bardzo spokojny, zadzwonił o trzeciej nad ranem do drzwi Piotra.

— Wejdz. Siadaj. Opowiedz.

Piotr na swą pidżamę w paski brązowe i srebrzyste narzucił czarny, w złociste wzory japoński szlafrok. Nikitin, pilot Małgorzaty, usiadł, skrzyżował nogi, zapalił papierosa:

— „Moja” zadzwoniła do mnie.

Wyłożył wszystko, czego się dowiedział. Podkreślał węzłowe momenty opowieści wypuszczając błękitne kłęby dymu.

Piotr nie był wcale zaskoczony. Wyczuwał od jakiegoś czasu chwiejność Oprycznika. To dlatego właśnie — i także na skutek instrukcji Pitmana — postanowił przykręcić mu śrubę. Najwidoczniej nie przyniosło to spodziewanych rezultatów. Raczej przeciwnie. Bywa i tak.

Piotr niepokoił się szczególnie dotyczącym teczki. On sam był całkiem pewny, że nigdy nie zostawił Oprycznikowi żadnych dokumentów. Może jednak jego poprzednicy byli mniej ostrożni. Nawet gdyby to nie były dokumenty... Podczas trzydziestu lat służby Oprycznik mógł robić notatki — prawdopodobnie przechowywał je w sejfie banku w Pontoise — i gdyby przekazał je Francuzom, byłoby gorąco. Zapłaciliby za to on, Piotr. Jego głowa poleciałaby. Nie dosłownie, rzecz jasna. Ale szkoda byłaby tak czy

inaczej. I natychmiast zaczęło się dobrze mu znane pieczenie w żołądku... Podziękował Nikitinowi, pożegnał go:

— Gdyby było coś nowego, daj mi zaraz znać.

— Tak jak widzę twojego faceta — powiedział Nikitin — nawet jeżeli go odzyskasz, trzeba będzie mu znaleźć inną sekretarkę. Nie jest to ktoś, kto by się cackał ze swoim personelem.

— Zobaczmy, co trzeba będzie zrobić.

Nikitin odszedł. Piotr zażył tabletkę przeciwko nadkwasocie.

Trudno, trzeba zadzwonić do Możuchina, „rezydenta”, bezpośredniego zwierzchnika Piotra. Możuchin cieszy się pewną sławą, na tyle na ile to w ogóle możliwe w wywiadzie. Przez dwadzieścia lat był „nielegalnikiem”, to jest żył pod fałszywym nazwiskiem, uchodził za Francuza. W końcu został zdemaskowany, zdążył na czas uciec, by potem — rzecz niesłychana w kronikach KGB — rozpocząć od nowa następną karierę, tym razem „legalną”. Jest kawalerem, wypija półtora litra dziennie. Gdy ceruje skarpetkę, nakłada ją na bułkę, a potem zjada tę bułkę. Piotr wolałby polować oszczepem na dzika albo iść z nożem na niedźwiedzia niż budzić Możuchina o trzeciej nad ranem.

— Towarzyszu pułkowniku, czy mógłbym was zaraz zobaczyć?

— Daleś się opanować przez tych spryciarzy. Nie poznają cię.

— Towarzyszu pułkowniku, oddano mnie do ich dyspozycji wbrew mojej woli. Wolałbym nadal służyć pod wami, wiecie o tym dobrze.

— Pluję na to. Zadzwoń do Moskwy i daj mi się wyspać.

Piotr ubiera się pośpiesznie, wskakuje do swego volvo, przejeżdża przez Paryż, wchodzi do gmaszyska w pobliżu La Muette, osiąga swój gabinet i ze swego telefonu, którego nie da się podsłuchiwać, dzwoni do Moskwy. Automat przełącza go z pałacu Roztopczyńów na mieszkanie prywatne Pitmana:

— Jeszcze nawet słońce nie wzeszło!... Wiesz, że nie zasnę już. W ogóle nie zwracasz uwagi na moje zdrowie — gderze tłu-
stawa Eliczka, która z wiekiem zamienia się w zrzęde.

Pitman nie słucha jej. Przysłuchuje się pełnemu niepokoju
głosowi, który biegnie z Paryża. Ucieczka. Teczka. „To nie moja
wina, towarzyszu generale”. Jeżeli *Twardy znak* zostanie zdra-
dzony Francuzom, cały areopag będzie z niego drwił. Pitman ma
wrogów pośród czapek-niewidek. Przede wszystkim antysemitami
będą zachwyceni, jeśli jego montaż się rozleci. Jeden plus w ka-
żdym razie: sekretarka, opłacana przez dwadzieścia lat i do tej
pory przysyłająca świetne raporty, tyle że do niczego nie przy-
datne, nagle się przydaje. Inny plus: jeśli Psar schował się w tym
pałacu, to znaczy, że można go jeszcze tam znaleźć. Czyżby pilot
zachował się niezręcznie? A może on, Jakub Mojsiejewicz, po-
mylił się nakazując przykręcić śrubę Oprycznikowi? Zawsze go-
tów jest przyznać się do pomyłki, lecz w tym wypadku przeko-
nany jest, że operacja *Twardy znak* ma zbyt wielkie znaczenie,
by jej losy uzależniać od inicjatywy pojedynczego *agent*
d'influence, jakkolwiek wybitne byłyby jego zalety. Myśl, że mo-
gła z tym mieć coś wspólnego Ała Kuźniecowa, przekazana z
powrotem do dyspozycji jej dyrekcji, nie przychodzi mu w ogóle
do głowy. Generał Pitman ma może zbyt wąskie pole widzenia.

Co robić? Być może alarm jest fałszywy. Może Oprycznik miał
umówione sekretne spotkanie z jakimś członkiem „Konfraterni”
albo też zechciał spędzić oryginalne wakacje z własną se-
kretarką. Jeśli tak, to jedyny zarzut, jaki można przeciwko nie-
mu wysunąć, wiąże się z tym, że nie zawiadomił Piotra o wyjeź-
dzie. W każdym razie sprawę tę należy potraktować bardzo deli-
katnie, tak jak rozbraja się bombę. Gdyby tylko Eliczka przestała
mrużyć w swoich poduszkach, Pitman mógłby jaśniej rozumo-
wać.

— Oto co trzeba zrobić. Natychmiast wybierze się pan do te-
go pałacu i powie Oprycznikowi, że ma pan dla niego dobre wia-
domości. Sprowadzi go pan do Paryża i będzie mnie pan z go-
dziny na godzinę informował o rozwoju sytuacji psychologicznej.

Jeśli dojdzie pan do wniosku, że spotkanie ze mną może mieć dobroczynny wpływ — w końcu to ja zwerbowałem Oprycznika, jesteście starymi znajomymi — proszę mi zaraz dać znać. A gdyby zapowiedź awansu miała się okazać pożyteczna... (Pitman zawahał się: oszczędza i na promocjach, i na kosztach, ale tym razem postanawia okazać wielkoduszność). Proszę mu powiedzieć, że bardzo jesteście zadowoleni ze sposobu, w jaki się rozwija operacja i że ktoś, kto prowadzi działania na taką skalę, powinien być przynajmniej generałem, i w rezultacie, krótko mówiąc... (jednak żał mu wymówić to słowo, chociaż podjął już decyzję) krótko mówiąc czeka go przyjemna niespodzianka.

— Tak, towarzyszu generale. (Pitman wolałby, żeby zwracano się doń *per* Jakubie Mojsiejewiczu, tyle że od pewnego czasu „Mojsiejewicz” nie jest najlepiej widzianym patronimikiem.) Tylko, towarzyszu generale, jak wytłumaczę Oprycznikowi, skąd wiem o miejscu, w którym się ukrył? Czy mam spalić sekretarkę?

— Dziękuję, że pamiętał pan o tym... Nie, nie, lepiej oszczędzić sekretarkę. Znajdziemy później jakieś wytłumaczenie. Na razie niech pan gra na naszej reputacji wszechwiedzących. Żadnych szczegółów. I najważniejsze: trzeba położyć rękę na Opryczniku, nie dopuścić, żeby przeszedł do Francuzów, jeśli istotnie ma taki zamiar. Za wszelką cenę.

Przełożeni lubią posługiwać się wyrażeniami w rodzaju „za wszelką cenę”. Są jednocześnie mało konkretne i dramatyczne, tak że w razie jakiegoś incydentu mogą się nimi zasłonić.

— Towarzyszu generale?

— Co takiego?

— Czy mam... wziąć broń?

Piotr wypowiedział te słowa z pewnym zażenowaniem. Spryciarze z dyrekcji «A» lekceważą na ogół broń, nie ufają jej. Ale jedyny sposób, by sprawdzić, co znaczy owo „za wszelką cenę”, to zapytać, czy ma wziąć ze sobą coś, co pozwoliliby zapłacić naprawdę słoną cenę.

Pitman westchnął:

— Tak, myślę, że tak... Ale, na miłość boską, niech pan się stara nie robić z niej użytku. Niech pan działa łagodnie, inteligentnie...

Eliczka chrapała od nowa. Ale Jakub Mojsiejewicz nie mógł zapaść w sen. *Twardy znak*, największy montaż jego życia, znalazł się w niebezpieczeństwie. Podnosi się z łóżka, ubiera się i każe się zawieźć do biura. Dzięki temu ewentualne telefony osiągną go w pracy. Eliczka będzie mogła się wyspać, a on będzie na posterunku, przygotowany do podjęcia koniecznych decyzji.

Część pracowników dyrekcji przeniosła się do nowych budynków wzniesionych na obrzeżach miasta, ale Pitman zatrzymał swój stary gabinet, intymniejszy i bardziej nobliwy niż nowe biura — pokój z podwójnymi zasłonami zdobnymi w falbanki i pompony, niemodne meble. Także ordynansi przejęli ten sam styl i zawsze mieli na podorędziu dymiący samowar.

Jakub Mojsiejewicz przechadza się po gabinecie, wygniata dywany, imitacje starych dywanów, swymi wielkimi wojskowymi buciskami i prawie że żałuje swej przynależności do czapek-niewidek, gdyż wskutek tego nie wolno mu wyskoczyć do Paryża. „Gdybym go spotkał, tego Aleksandra Dmitrycza, którego znałem, gdy był chłopcem i którego uwiodłem na wieży Notre-Dame, szybko przemówiłbym mu do rozumu”. Zaczął igrać z myślą sprowadzenia Aleksandra na krótko do Moskwy, matuszki-Moskwy, z jej tysiącem złożonych kopuł. „To by mu dopiero pochlebilo! Samolot specjalny! Mohamed Mohamedowicz byłby przeciwny, z powodów raczej mistycznych niż profesjonalnych. Przyjęłoby się go triumfalnie, nałożyłoby mu się na grzbiet jego mundur, znalazłoby się kobietę dla niego... Tak, czasem trzeba okazać wielkoduszność, by poprawić *morale* żołnierzy”.

Takie są marzenia Pitmana, lecz Piotr nie odzywa się z Paryża.

Gęsty śnieg sypie się na plac Dzierżyńskiego. Tym razem można będzie popróbować *trojki* ze Światosławem.

Aleksander obudził się z gorączką, lecz szczęśliwy, tak szczęśliwy, jak już dawno mu się to nie przydarzyło. Długo nie podniósł się z posłania. Patrzył w białe okno i mówił sobie, że znowu zajmie się przygotowywaniem drewna, że jest to świetne zajęcie.

Dopiero po jakimś czasie przypomniał sobie o Małgorzacie i o wszystkim, co się wydarzyło. „Ja pana kocham”. Od jak dawna go kochała? A on nic nie zauważył! Sytuacja będzie bardzo trudna, jeśli zdecyduje się prowadzić dalej tę grę i zachować agencję. „Jestem chamem, wykorzystałem sytuację. Gdyby ona wiedziała, dla kogo ja pracuję!” Musiałby poszukać innej sekretarki. Nie można dyktować służbowych listów własnej kochance. Dałby Małgorzacie najlepsze rekomendacje. W razie potrzeby poprosiłby Fourvereta, żeby znalazł dla niej odpowiednie miejsce. Na razie... Na razie znowu wziął Małgorzatę w ramiona, nie bez prozaicznego wyrachowania: „Jeśli już popełniłem głupstwo, niechże z niego skorzystam”.

Później wybrał się z plastikową miednicą po śnieg i zrobił coś w rodzaju porannej toalety. Jego dłonie drżały z gorączki. Przy goleniu zaciął się kilkakrotnie. Przyniósł jeszcze śniegu dla Małgorzaty i wybrał się po drewno. Dzięki gorączce nie czuł mrozu. Gdy wrócił do pokoju, Małgorzacie udało się rozpalić ogień przy pomocy kartonowych opakowań. Zaparzyła też kawy, okropnej, ponieważ czuć ją było dymem, wspaniałej, gdyż był to ich dym.

Małgorzata przeciągnęła się:

— Jesteśmy jak prawdziwi kasztelanowie.

W dali rozległo się bicie dzwonów. Dźwięk ten przypominał nieco głos pękniętego gongu, wędrował długo w śnieżystym powietrzu i uderzał o szyby pałacu. Od ilu wieków były te dzwony? „Przyzywa mnie głos Francji”, pomyślał Aleksander.

Wczorajsze zwierzenia sprawiły, że czuł się teraz swobodniejszy.

— Jeżeli jesteśmy kasztelanami — powiedział — powinniśmy teraz pójść do kościoła.

Nigdy nie pozwalał sobie na to, by słuchać głosu instynktu czy przeznaczenia, dziś jednak był w nim spokój, wewnętrzna cisza. Pomysł pójścia do kościoła rozśmieszył Małgorzatę. Ale właściwie czemu nie? W końcu było Boże Narodzenie i wszystko było już całkowicie fantastyczne.

Jej buty, zostawione na noc przy kominku, wyglądały kiepsko, były twarde, lecz jednocześnie prawie suche. Kaszląc i kichając pozwoliła się zaprowadzić na pierwszą mszę, w jakiej brała udział od czasu śmierci ojca.

Kościół był ogromny, zimny i pusty. Choć nie, nie całkiem pusty. Ze trzydzieści osób, kobiet i mężczyzn, siedziało w pierwszych ławkach. Światło czerwonej lampy było jedynym akcentem kolorystycznym w szarości kamienia, monotonii brązowych ławek, matowości włosów, karków i ciepłych kołnierzy. Dzwon zamilkł. Ciszę podkreślały jeszcze bardziej odgłosy kaszlu, szepety, zgrzyt krzesła na kamiennej posadzce.

Weszła procesja. Za krzyżem posuwały się dzieci. Dopiero po chwili Aleksander zrozumiał, że były to postacie szopki: dziewczynka z głową przybraną skrawkiem czerwonego sukna, trzymająca porcelanową kukielkę w ręku, obok niej chłopczyk z buzią wysmarowaną pastą do butów i w złoconej koronie, inny z przyprawioną brodą, jeszcze inny z pudełkiem pełnym biżuterii, inny z kadzielnicą, i na końcu chłopczyk i dziewczynka, trzymający pałki w rękach, ubrani w owcze skóry. Ci prowadzili jagnię, które opierało się i nie chciało iść naprzód. Wtedy chłopczyk kopnął zwierzę w brzuch.

Za dziećmi postępował, kiwając się, ksiądz w białozielonym ornacie. Miał szarą twarz, szare, cienkie, jakby ulotne włosy, i małe ciekawskie oczy, które zdawały się przeliczać wiernych. Nieszczęśnik wyglądał na wyczerpanego. Musiał obsługiwać dziesięć parafii i odprawiał właśnie piątą mszę świętą tego Bożego Narodzenia. Wszyscy śpiewali harcerską, pełną werwy pieśń, gdzie „dłonie” rymowały się z „błonie”, a „droga” z „do Boga”.

Gdy dzieci dotarły do groty zrobionej z *papier-mâché*, a dziewczynka prowadząca orszak złożyła lalkę na łożu ze słomy, ksiądz wygłosił małe przemówienie utrzymane w tonie skargi. Na przemian złączał i rozłączał dłonie:

— Moi drodzy, chciałbym was o jedno prosić. Może wyda wam się to śmieszne. Zróbcie to jednak dla Pana Boga. Albo dla mnie, jeśli wam tak wygodniej. Wiem, że kochacie wasze dzieci, i ja także je kocham. Wróć do was, gdy wyjdziecie z kościoła. Ale tutaj, wewnątrz, nawet ci, którzy wydali pieniądze i kupili lampy błyskowe... Dzieci rozumieją powagę tego, co robią. Nie trzeba im podsuwać pokus próżności. Tak więc proszę was, wiem, że to trudne, ja wiem, ale... proszę was: nie róbcie teraz zdjęć.

Kilka przygotowanych już aparatów fotograficznych zniknęło i Aleksander pomyślał z szacunkiem o tym księdzu, który nie godził się na kompromis i próbował ocalić w swoim kościele choćby tylko jeden atom *sacrum*.

Zaczęła się msza. Było w niej coś biednego, a trywialna muzyka podkreślała tylko słabe strony pieśni. Aleksander, który miał w pamięci surową wspaniałość rytu gregoriańskiego i zaglądał czasem do cerkwi prawosławnej, gdzie *Pan króluje w majestacie*, nie mógł nic zrozumieć z tej parodii mszy protestanckiej, z ponumerowanymi przyśpiewkami i lekturą Ewangelii w języku prostym, jeśli nawet nie prostackim.

„To niemożliwe — powiedział sobie — żeby nie maczała w tym palców moja dyrekcja. Wykluczone, żeby Kościół sam z siebie zrezygnował z piękna mszy świętej, dającej ludziom na ziemi wyobrażenie o Królestwie Niebieskim. *Quos vult perdere Directoratus dementat*. A przecież przypominam sobie z całą pewnością, że ich Mistrz dał pierwszeństwo Marii, a nie Marcie”.

A mimo to coś się wydarzyło, choć nie potrafiłby powiedzieć co. Być może Duch Święty był mniej wymagający niż Aleksander, może postanowił wytrwać w upokorzeniach i blasfemii

brzydoty, a może słowa i gesty kryły w sobie tajemnicę o nieodpartej mocy. Po wygłoszeniu skromnego kazania ksiądz zaczął przed ołtarzem gromadzić swe małe gospodarstwo, Aleksander doznał najpierw wzruszenia, a potem wstrząsu. To, co się tam działo, ta domowa inscenizacja z jej naczyniami, chlebem, winem, dzieckiem podającym wodę czerwonymi chłopskimi rękami, miało decydujące znaczenie, i to niezależnie od marności otoczenia. To po to właśnie ludzie przyszli do kościoła. Po to był tu ksiądz. To się tak mało zmieniło przez dwa tysiące lat. W Aleksandrze zaczynał się wielki przełom, pogodzenie się z losem, i nie miał nic przeciwko temu, że przemianie tej patronowała rzeczywistość nadprzyrodzona, co prawda zdegradowana, poniżona, ale jednak nie-rozszczepialna.

Zarzucał zawsze Bogu, że porzucił swych wyznawców, tutaj jednak zdawało się, że Bóg porzucił samego siebie i jednak odnajdował siebie, w cudowny sposób, tym bardziej niezwykły, że skromny, bez honoru. Czyżby krył się w tym sens głębszy niż Aleksander umiał to kiedykolwiek zobaczyć? Czyżby wtedy, gdy boskie maszyny druzgocą wiernych, dochodziło do metamorfozy podobnej do tej, co materię przemienia w Boga? Mękę w Boga? Czy znaczyło to, że Chrystus był z definicji tym, który cierpi, i przyłączyć się do niego można tylko w cierpieniu, przybierającym postać męczeństwa, opuszczenia, niedostatku i nawet głupoty? Czy właśnie tego miał się nauczyć w tym wiejskim kościele, pośród wiejskich głuptasów, przed którymi proboszcz co tydzień wygłaszał kazanie w złym guście?

„Być może — myślał — takie oczyszczenie jest niezbędne. Być może zbyt wielu jest kardynałów, zbyt wielu dostojników w fioletach, zbyt wiele wzniosłej lecz nie uduchowionej muzyki oplatającej Kościół, zagubienie, błędna droga, która domaga się właśnie swego przeciwieństwa, kompensaty... Kościół to może żaglowiec, który musi płynąć zakosami...” A jednak nie podobało mu się to. Wolalby biskupów w mitrach, dłonie na pastorałach,

przypominających wiernym, że nie są z tego świata, że gdzie indziej jest ich królestwo, i gdy tylko zdecydują się „wrócić”, przyjmie ich niebiańska ojczyzna.

„A ja? — pytał samego siebie — czy wciąż jeszcze zależy mi na «powrocie»?”

Jeśli jednak przyszło się znikąd, dokąd miałoby się wrócić?

Gdy msza się skończyła, Aleksander z Małgorzatą, śledzeni wzrokiem przez tubylców, wrócili do pałacu. Małgorzata powiedziała, że idzie do kuchni:

— Proszę przynieść mi śniegu.

Nie mówiła już do niego „proszę pana”, ale jeszcze nie nazywała go Aleksandrem. Zaczynała nim komenderować. Wziął miskę, ale nie zapomniał o swojej teczce. Nie śmiała go zapytać, dlaczego nie rozstaje się z nią nawet na moment. On sam nie miał pojęcia, dlaczego nie chciał, żeby ona wiedziała, że jest uzbrojony. Może lękał się śmieszności, a może nie chciał, by wiedziała, jak bardzo łamie przepisy prawa.

Właśnie zamierzali usiąść do stołu, jak to nazywali, czyli siąść na podłodze nad dwoma befsztykami pachnącymi dymem, gdy Aleksander, który miał wyczulony słuch, usłyszał zgrzytanie metalu o metal. Skoczył do okna. Nieduży mężczyzna w ciemnognatowym płaszczu, ciasno ściągniętym paskiem, odsuwał bramę, żeby wejść do parku. Na końcu alei prześwitywał samochód, pozostawiony daleko, by w pałacu nie usłyszano motoru.

— Co to? — spytała Małgorzata, nie ruszając się z miejsca.

Aleksander właśnie powiedział, że lubi pieprz i ona zajęta była posypywaniem jego befsztyka pieprzem.

Mały mężczyzna prześliznął się przez bramę. Wyprostował się, otrzepał dłonie z rdzy, przyjrzał się uważnie okolicy. Jego spojrzenie przesunęło się wzdłuż śladów pozostawionych na śniegu. Po chwili, obchodząc pałac, zaczął iść wzdłuż tych śladów, otrzepując co jakiś czas w komiczny sposób śnieg z butów.

— Proszę tu czekać.

Aleksander chwycił teczkę i rzucił się na korytarz. W biegu uświadomił sobie, że opracował już plan obrony; przyszło mu to prawdopodobnie do głowy wczoraj, gdy rąbał drzewo. Zbiegł błyskawicznie po kamiennych schodach. Gdy przebiegał przez oranżerię, zobaczył cień przesuwający się w jednym z pół-okrągłych okienek. Wdrapał się szybko na drewniane schody, prowadzące do piwnicy z winem. Zatrzymał się na balkoniku wieńczącym schody, w cieniu bramy. Stąd panował nad całą przestrzenią oranżerii.

Mężczyzna otworzył zewnętrzne drzwi, odsunął barykadę. Aleksander mógł obserwować jego poruszenia.

Aleksander otworzył cicho teczkę, położył ją u swych stóp, wyjął z niej rewolwer i czekał, chroniony przez mrok i układ oranżerii. Serce biło mu mocno i szybko, gardło miał ściśnięte, lecz ręce mu nie drżały.

Mężczyzna wszedł do środka. Znajdował się w odległości dziesięciu metrów od Aleksandra i o trzy metry niżej niż on. Gdyby obrócił się w prawo, musiałby zobaczyć drewniane schody, ale nie spojrział w tę stronę. Wiedział, dokąd iść. Skierował się do kamiennych schodów, chociaż nie mógł ich widzieć.

Wargi Aleksandra poruszyły się. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nabrał powietrza do płuc. Mężczyzna znajdował się w połowie oranżerii. Brakowało mu niewiele już tylko metrów do schodów.

Aleksander wyrzekł jedno słowo:

— Piotr.

Mężczyzna zamarł w bezruchu. W chwilę później odwrócił się wolno. Jego wzrok usiłował przeniknąć ciemność, znaleźć miejsce, z którego dobywał się głos.

— Gdzie jesteś?

Jego trójkątna twarz oświetlona była skośnym promieniem światła dziennego, przesączonym poprzez brudne i osnute pajęczynami okienka. Widać było nawet pojedyncze kielki wąsów.

Aleksander pomyślał z odrazą: „Wąsata źmija”.

Odwiódł bezpiecznik. Rozległy się dwa dźwięki: obrót bębena i kurek, przyjmujący tylną pozycję.

— Gdzie jesteś? — spytała znowu, nerwowym głosem, wąsata źmija.

Aleksander pomyślał, że powinien zapytać Piotra, w jaki sposób go odnalazł. Ale cóż tam! Udało im się przecież znaleźć Gawierina. On, Psar, nie pozwolił się wziąć jak jakiś Gawierin.

Naprowadził muszkę na szczerbinę. Huk wystrzału był ogłuszający.

Piotr trafiony został w okolicach lewej kłapy marynarki. Nie upadł od razu. Został odrzucony w tył i w lewo. Ten efekt wydał się Aleksandrowi komiczny, przesunął go więc w przeciwną stronę kulą wysłaną w prawe ramię.

Miałby ochotę zwymyślać w ordynarny sposób, po rosyjsku, tego pajaca, który wyginał się przed nim, nie uczynił tego jednak, przez szacunek dla śmierci. Jednocześnie krążyła mu po głowie myśl, zabarwiona prawdziwą rozkoszą: „Zastrzeliłem bezbronного człowieka”.

Posługując się podwójną akcją rewolweru, umieścił trzecią kulę po lewej stronie klatki piersiowej. Piotr przechylił się teraz w lewo, ale jego nogi nie mogły go już utrzymać i zwałił się na ziemię, tak jakby nie mógł się zdecydować, czy przewrócić się w tył czy też do przodu. Czwarta kula rozłupała czaszkę Piotra. Aleksander strzelał dobrze, mimo gorączki, wściekłości i paniki. Pochwalił samego siebie.

Echa wystrzałów przetaczały się przez oranżerię. Opadł kurz, wzniesiony przez eksplozje.

Aleksander szedł po schodach i stanął nad trupem, który wydawał obrzydliwy zapach. Jelita nie wytrzymały. Aleksander nie wiedział, czy jest to zwyczajne zjawisko; dotąd sądził, że na polach bitewnych czuje się zapach krwi. „A więc Piotr był tchórzem — osądził niesprawiedliwie. — To mnie wcale nie dziwi”.

— Bolszewik! — syknął.

Tak jakby sam nie był bolszewikiem.

Ciało osunęło się w ten sposób, że widoczne było miejsce, przez które wyszła kula. Rana, zadana przez kulę o spiłowanym zakończeniu, była straszliwa. Płaski, gruby pocisk wyrwał wielki kawał ciała. Zmieszały się z sobą włókna ciała i strzępy ubrań, koszuli, marynarki, płaszcza. Z rany tryskała rytmicznie krew, lecz coraz wolniej. Tam, gdzie wsiąkała w pył, którym pokryta była podłoga, tworzyła się gęsta skorupa.

Aleksander wdrapał się z powrotem na drewniane schody, by wziąć teczkę. Jego kolana drżały, było mu niedobrze, ale nie stracił panowania nad sobą. Gdy jednak usuwał z bębenka zużyte łuski i zastępował je nowymi nabojami, spostrzegł, że jego dłonie znowu zaczęły drżeć. Jeden z dwu naboju, które pozostały w bębenku, potoczył się w ciemny kąt. Potrzebował trzech minut, by go znaleźć. Wydało mu się to bardzo istotne, tak jakby obawiał się, że ktoś kto znajdzie ten nabój będzie mógł zidentyfikować broń.

Zadowolony z wyniku poszukiwań założył rewolwer za pasek spodni i ujął teczkę w rękę. Dziwaczny obrazek: kupiec z bronią za pasem. Przeszedł przez oranżerię obchodząc z daleka trupa, wszedł na górę po kamiennych schodach. Był przekonany o zdradzie Małgorzaty, zadawał sobie tylko pytanie, jak z nią postąpić. Powinno by się ją zabić, ale jednak archetypy nie pozwalały na to: nie czuł się na siłach strzelać do kobiety.

Małgorzata, taktowna jak zawsze, postanowiła oszczędzić mu mąk wyboru. Nie znalazł jej w małym saloniku, natomiast, zrobiwszy obchód parteru, zobaczył, że jedno z okien wielkiej sali było otwarte. Na śniegu widniały świeże ślady. Powinien był ją ścigać, mógłby ją dogonić, po co jednak, skoro wiedział, że jej nie zabije? Żmija to co innego. Nienawidził tego człowieka od pierwszego wejrzenia, a poza tym walczył o siebie, nie chciał kołysać się na krawacie jak Gawierin. Zresztą opróżniając

bębenek rewolweru miał wrażenie, że spłaca jakiś bardzo stary dług.

Nagle pomyślał, że być może Piotr nie przybył tu w pojedynkę. Na razie jednak posiłki nie pojawiały się. Może ktoś zaczął się w parku? Trzeba sprawdzić. Wrócił do saloniku. W kominku dogasał ogień. Spojrzał w stronę okna. Zniknął peugeot, zapewne wypożyczony przez Małgorzatę. Rzeczywiście, w kieszeni jego płaszcza nie było kluczyka do samochodu.

Systematycznie przetarł chustką do nosa wszystkie przedmioty, których mógł dotknąć, raczej dlatego, że widział to w kinie niż z czysto praktycznych względów. Potem wrócił do oranżerii i, starając się wstrzymać oddech, przeszukał kieszenie zabitego bolszewika. Znalazł tam przede wszystkim coś, czego wcale nie szukał: czeski pistolet automatyczny, VZ-62, broń, która, złożona, ma wygląd zwyczajnego pistoletu, a która jednak potrafi strzelać z szybkością 700 pocisków na minutę. Miał ochotę wziąć ten pistolet jako trofeum, a głównie dlatego, że uwielbiał broń palną, pomyślał jednak, że będzie czuł odrazę, jeśli posłuży się bronią, na której się nie znał. (Gdyby był bardziej doświadczony, powiedziałby sobie, że pistolet o takiej charakterystyce nie może mieć żadnych nadzwyczajnych właściwości technicznych. Nie wpadł jednak na to i postanowił zostawić broń na miejscu. Cechowały go wszystkie ograniczenia, typowe dla dobrego strzelca — nie zabrał ze sobą *Skorpiona*.) W innej kieszeni znalazł to, czego szukał: klucze od samochodu.

Zadał sobie teraz pytanie, czy powinien pogrzebać zwłoki. To wydało mu się skomplikowane. Nie miał ani szpadla, ani oskar-da, był znużony, wracała gorączka... Nie wystarczyłoby zresztą zakopać zwłoki, trzeba by usunąć krew rozlaną na posadźce. Zresztą, jeśli poszukuje go KGB, fakt, iż w pałacu, do którego nikt nie zaglądnie przed wiosną, pozostaną zwłoki, nie zmieni w niczym jego sytuacji.

Opuścił pałac nie kryjąc się wcale. Jeśli nawet zaczajono się na niego, proszę, niech strzelają! Odpowie strzałami. Ale nie

było nikogo w parku, ani w alei, ani w samochodzie Piotra. Wsiadł więc do volvo i zapuścił silnik.

— A teraz: dokąd?

O drugiej w południe Małgorzata zadzwoniła do swego pilota. Słyszała strzały. Przestraszyła się. Uciekła peugeotem.

— Co się stało? — spytał Nikitin, spokojny jak zawsze.

— Nie wiem, nie wiem!...

— Idiotka. Proszę się uspokoić i wrócić na miejsce, zobaczyć, co się zdarzyło.

— Boję się.

— Czego? — wypuścił kilka obłoczków dymu, żeby uspokoić własne nerwy. — Bardziej powinna się pani mnie bać. Już ja panią przestraszę. Mogę sprawić, że zatrzymają panią Francuzi. I to nie DST. Policja równoległa. Ci zabiorą się do pani w taki sposób, że wszystko pani wygada. A później zostawią panią w betonowej piwnicy.

Małgorzata wróciła do pałacu. Volvo, które stało na samym początku alei, zniknęło. Osłabiona, Małgorzata myślała, że nie uda jej się tym razem podnieść bramy. Zrobiła to wreszcie, rozrywając rękawiczki, łamiąc paznokcie, zdzierając skórę dłoni. Przechodząc przez trawnik zaczęła znowu płaszczem o kolczaste gałęzie krzewów. Zaczęła ciągnąć poły płaszcza, zostawiając strzępy materii na kolcach. To trudno, trudno.

Drzwi prowadzące do oranżerii są otwarte. Małgorzata wchodzi tam. Za chwilę wychodzi, cofając się. Wymiotuje. Zadaje sobie pytanie, czy i jej ojciec tak wyglądał po śmierci.

Biegnie w stronę bramy, grzeźnie w trawie, w śniegu, przewraca się, podnosi. Nagle czuje wstyd: „Ja, komunistka? Ja, córka sierżanta francuskiej armii?”

Bierze się w garść.

Zaczyna iść powoli, starając się widzieć to tylko, co znajduje się przed jej oczami: drzewa, bramę, przejście przez bramę, samochód.

Przed kabiną telefoniczną uświadamia sobie, że brakuje jej drobnych. Jest zła. Co za głupota, po co dała tyle drobniaków na tacę w kościele? Jedzie do sąsiedniej wsi, gdzie, mimo świąt Bożego Narodzenia, znajduje otwartą stację benzynową. Dostaje tam drobne, ale nie ma telefonu do dyspozycji. Najbliższy telefon znajduje dziesięć kilometrów dalej.

Dzwoni. Składa sprawozdanie.

— Proszę mi powiedzieć — Nikitin mówi spokojnym głosem, przepowiada mu się wielką karierę — kiedy przejeżdżaliście przez Pontoise, została pani sama w kawiarni. Czekala pani pół godziny, tak?

— Tak.

— Dlaczego nie zadzwoniła pani stamtąd?

Zawsze przypisywać pomyłki podwładnym i na piedestale tych pomyłek stać się wielkim człowiekiem. Wszystkie administracje są do siebie podobne.

— Polecał mi pan używać tego numeru tylko w sytuacji alarmowej.

— Powinna była pani wiedzieć, że właśnie o taką chodzi. Spróbujemy naprawić pani błędy. Proszę wracać do Paryża. Proszę zadzwonić do mnie po powrocie. Z kabiny, oczywiście.

Z aparatu, który — Nikitin wie o tym — nie jest podsłuchiwany przez Francuzów, pilot Małgorzaty dzwoni do rezydenta, posługując się jednym z jego tajnych numerów:

— Towarzyszu pułkowniku (próbuję znaleźć formułę, która osłodziłaby przykrą wiadomość), Pietucha odwalił kitę.

— Szkoda — mówi na to Mozuchin. — To był zręczny chłopak. Wszystko to przez tych spryciarzy z nowej dyrekcji.

Dzwoni do Moskwy.

W Moskwie zapada już zmierzch. Generał Pitman wciąż chodzi po swym gabinecie. Ordynansi i sekretarze, mimo że dzielą ich różnice stopni, wymieniają znaczące spojrzenia. Ich szef, na

ogół łagodny i pełen zrozumienia, jest dzisiaj w nastroju „zdecydowanie ludożerczym”, jak to określił podporucznik Wołodia Wozniesiński, przytykając jedno oko.

Gdy dotarła doń wiadomość z Paryża, Jakub Mojsiejewicz zamknął oczy.

Zdarza się czasem, że agenci, spisujący się świetnie przez dziesiątki lat, nagle wpadają w amok. Nowe humanitarne normy KGB nie stosują się do tak skrajnych przypadków.

„A przecież to był dobry pomysł: *Twardy znak...*”

Teraz jednak nie ma czasu na rozważanie losów *Twardego znaku*, który pchnie się dalej, gdy tylko to będzie możliwe. Na razie montaż umyka monterowi, na Jakubie Mojsiejewiczu ciąży teraz obowiązek wprawienia w ruch odpowiedniej procedury.

Z wyrazem niesmaku malującym się na twarzy zdejmując słuchawkę swego aparatu na korbkę i dzwoni do Dyrekcji Piątej:

— Trzeba go sprowadzić żywego. Nie wiem jeszcze, czy oddamy go pod sąd po przesłuchaniu, czy też poprosimy was, żebyście go załatwili, ale w każdym razie musimy się dowiedzieć, które kółeczko w maszynie zacięło się.

Aleksander spędził całą resztę tego dnia w samochodzie, nie bardzo sobie z tego nawet zdając sprawę. Dręczyła go gorączka. Na przemian włączał ogrzewanie, które dmuchało gorącym i suchym strumieniem powietrza, i otwierał szyby, wyziewając wnętrze samochodu. Przez cały czas odczuwał sensację unoszenia się w powietrzu, szybowania, a nie prowadzenia samochodu. Tymczasem czynił to drugie właśnie, jechał skradzionym autem, i to całkiem pewnie.

W trakcie tych godzin jego umysł powtarzał setki, może tysiące razy tę samą operację myślową. Aleksander przeżywał wciąż od nowa moment zabójstwa. „On stał tam... ja byłem tu... krzyknąłem... odwrócił się...” Nie odczuwał wcale litości dla Piotra. Z ciekawości próbował wzbudzić w sobie odruch współczucia, perswadując sobie, że, być może, podpułkownik Piotr miał rodzinę.

Czy jednak niepokoiimy się o los rodziny żmii, której przetrącimy grzbiet?

Nie robił sobie też żadnych wyrzutów. Zostałyby rozwiane, gdyby to było potrzebne, przez fakt znalezienia przy zabitym broni. Ale nawet to nie było potrzebne. Żmija uzbrojona jest w swój jad, to wystarczy jako uzasadnienie. Obraz wydarzeń sprzed kilku godzin pojawiał się w nim z wielką regularnością. „On na dole, ja na górze. «Gdzie jesteś?» (patrzac, mówił do mnie *per ty*), i po chwili znowu «Gdzie jesteś?», i trzy koliste okienka, i sylwetka ludzka, stale obracająca się, raz w tę stronę, raz w tamtą, i znowu w lewo, i padająca, i otwarta czaszka. Zależny był od mojej łaski. Mogłem też nie... «Gdzie jesteś?» A ty, gdzie ty teraz jesteś, bolszewiku? Chciał mi przykręcić śruby. Kurz, wzbijający się w powietrze po wystrzale. Kurz, tworzący skorupę na strumykach krwi. Huk wystrzałów i ból bębenków w uszach. Przez chwilę bałem się, że do końca życia będę głuchy. Mówiłem sobie, że powinienem był nałożyć nauszники. A może wcale tego sobie nie mówiłem? Może wymyśliłem to już teraz. I znowu żmija na muszce. Twarz Piotra. Jaki wyraz twarzy? Przesraszony? Nerwowy? Znużony?” Aleksander miałby ochotę złożyć tę twarz, która w tej chwili musiała zacząć się już niepostrzeżenie rozkładać. Przychodziły mu na myśl najostrożniejsze rosyjskie obelgi, lecz odpychał je od siebie. Nie można łżyć śmiecia. On stał w cieniu, wypuszczający niczym Zeus odmierzone pioruny. Błysk, jeden, potem drugi. „Ile razy strzelałem? Cztery razy podniosła się iglica, cztery razy opadła, uderzyła spłonkę, proch eksplodował i pocisk, nakręcany przez gwint lufy jak dziecinny bąk przez rzemień, przemierzał przestrzeń. Dzielny rewolwer, mój druh. Nie na próżno wziąłem cię ze sobą. Czy powinienem był zabrać *Skorpion*a? Ale cóż bym z nim zrobił?” I znowu wszystko zaczynało się od początku: trójkątna twarz, mały komiczny wąsik, i jeszcze raz muszka, trójkąt przeciwko trójkątowi, wycinający część tej twarzy, którą czeka zaraz proces rozkładu.

Zatrzymał się na Porte d'Orléans. Poznał kawiarnię, w której spotykał się wielokrotnie z Iwanem Iwanyczem. Oczywiście, nie pokaże się tam. Musiał teraz podjąć ważne decyzje, co wydało mu się prawie niemożliwe, zważywszy na fale gorączki szalejącej w mózgu. Długa jazda w mroku, później w nocy, była już za nim. Zostawił za sobą wszystkie te ciężarówki, reflektory, wycieczkowiczów z okazji Bożego Narodzenia. Cały ten Babilon autostradowy był już za nim. Wrócił do Paryża, bez wypadku. Nie wiedział jednak, gdzie się podziąć.

Zdrada Małgorzaty nie zabolęła go zanadto. Dziwił się tylko, że wcześniej się tego nie domyślił. Jeśli idzie o KGB, nie tylko nie był urażony brakiem zaufania z tej strony, ale, przeciwnie, pochlebiało mu to, że uznano za stosowne przydzielić mu szpiega pracującego w pełnym wymiarze godzin. Nie zabił jej, to błąd; trzeba jednak rozeznac dobrze własne możliwości, nie nadwerężyć głosu. Nie robił też sobie złudzeń co do losu, jaki go spotka, jeśli dostanie się w łapy KGB. Zabijając Piotra, przekroczył niepisane prawa. Nadawał się tylko do tego, by, po przesłuchaniu, władować mu kulę w kark. Ale KGB nie mogło wiedzieć, gdzie on się teraz znajdował. Odkąd pozbył się Małgorzaty, która przyklejona była do niego jak żaróweczka kontrolna, mógł bez trudu rozpląnąć się w nocy, zniknąć bez śladu. Co więcej, fakt, że została zdemaskowana wyzwalał go od przesądnej trwogi związanej z jego sytuacją. Okazuje się więc, że donosiciele KGB można wykryć, a oficerów KGB — zabić. To tylko kwestia uwagi.

Trzeba było zacząć, rzecz jasna, od pozbycia się volvo. Samochód mógł być wyposażony w tajny nadajnik, pozwalający odnaleźć go w każdej chwili. Nic łatwiejszego. Porzucił samochód w pierwszej uliczce, gdzie znalazł wolne miejsce do parkowania. Postawił kołnierz płaszcza, który otoczył mu szyję jak wilgotna tkanina, nacisnął tweedowy kaszkiet na uszy i na chybił trafił poszedł ulicą Alésia.

Nawet mu się to podobało, że był sam, bez przełożonych. Zarazem jednak wiedział, i to mimo trawiącej go gorączki, iż nie potrafi długo walczyć w pojedynkę. Musiał albo zawrzeć rozejm z KGB — co tylko w rzadkich wypadkach nie jest możliwe — albo przejść do Francuzów, albo też znaleźć sobie jeszcze innego protektora. Na razie jednak potrzebował schronienia, miejsca, gdzie mógłby się skupić, rozważyć sytuację, określić przyszłe postępowanie. Gdyby nie był chory, spędziłby całą noc maszerując. Chodzenie sprzyja trzeźwej myśli, a ciągła zmiana położenia — własnemu bezpieczeństwu. Już jednak po przejściu stu metrów poczuł, że musi gdzieś usiąść i odpocząć, a jeszcze lepiej położyć się w jakimś łóżku czy na podłodze, wszystko jedno gdzie, byleby tam było ciepło, bardzo ciepło. Wszedł do kawiarni i zamówił grog, skrywając nieco twarz, by nie zapisać się w pamięci kelnera.

Dokąd mógł się udać?

Ani do siebie, ani do biura. Małgorzata z całą pewnością dała znać o zabójstwie, i obydwie te adresy zamieniły się w pułapki na myszy. Hotel, w którym zameldowałyby się pod fałszywym nazwiskiem? To byłoby najrozsądniejsze, lecz Aleksander nie wierzył, że byłby naprawdę bezpieczny w hotelu. Jak mógłby zasnąć wiedząc, że zarządca hotelu ma klucz od jego pokoju? Istnieją wewnętrzne zasuwki, tak, lecz... Myśl o Gawierinie nie opuszczała go. Zbyt wiele samobójstw zdarzało się w hotelach. Nie chciał się pozbywać swego paszportu, a czy szczury hotelowe nie są przy okazji złodziejaskami? A iluż recepcjonistów odmówiłoby prośbie fałszywego detektywa, gdyby ten pokazał im zdjęcie uciekiniera? Małgorzata mogła przy tym szczegółowo opisać jego ubrania, nie bardzo mógł je teraz zmienić. Nie, hotel nie wchodzi w grę, dziękuję bardzo.

Komisariat policji? Tak, Aleksander mógł się oddać natychmiast w ręce policji, ale nie był jeszcze do końca zdecydowany na zmianę obozu. Wiedział też, że Francuzi nie zgodzą się, by stał się odtąd kimś neutralnym, będzie musiał zwrócić swą inteligencję, swe doświadczenie i wiedzę przeciwko tym, którzy

jeszcze przed trzema dniami byli jego przyjaciółmi, przeciwko nadzwyczajnemu Jakubowi Mojsiejewiczowi, kochanemu Mefistosowi.

Przyjacieli? Przyjaciółka?

Zamówił następny grog i przeglądał w pamięci film, na którym ukazywały się znane mu oblicza; brał pod uwagę wszystkie znane mu nazwiska.

Nie miał osobistych przyjaciół. Znajomości towarzyskie, podtrzymywane przez snobizm, owszem (mój przyjaciel, markiz...), lub dla wygody — jacht, weekend na wsi. Nie mógł liczyć na nikogo spośród tych ludzi. Kobiety? Stracił z nimi kontakt, z wyjątkiem jednej tylko Jessiki Boïsse, a przecież nie będzie szukał schronienia w paszczy lwa. Poza tym ludzie, których poznał przez kontakty zawodowe. Nie będzie się na pewno ukrywał u Fourvereta! Johannès-Graf ukryłby go może, ale chciałby wiedzieć, o co chodzi. Monthignies przechowałby go u siebie i nawet bronilby go, narażając własne życie, tyle że po trzech godzinach cały Paryż wiedziałby o wszystkim. Pomyślał o Divo. Tak, u Divo znalazłby dość odwagi, dyskrecji, a nawet sprytu. Gdyby jednak przemilczał przed nim okoliczności ucieczki, miałby uczucie, że sprzeniewierzył się pewnemu kodowi etycznemu, ponad który nic cenniejszego nie znał. Jeżeli natomiast wyjawia mu prawdę, Divo uśmiechnie się ironicznie i powie coś w tym rodzaju:

— Jeśli dobrze rozumiem, znowu obracasz marynarkę na drugą stronę.

„Dla jednych jestem zdrajcą. Dla innych mordercą”.

Przyglądał się ludziom siedzącym dookoła i mówił sam do siebie: „Oto pocziwcy, z których większość nigdy nikogo nie zabiła. A nawet jeśli tak zrobili, to nie widać tego po nich”. Na jego twarzy także nie było wypisane, że jest mordercą. Czyż nie? Muskał czule stopą, jakby dotykał psa, teczkę, w której znajdował się *Smith & Wesson*. Rewolwer ten przerwał karierę, a także, dodatkowo, linię żywota podpułkownika „Piotra”.

— „«Piotr»! Gdyby pozwolił się nazywać Iwanem, prawdopodobnie nie zabiłbym go”.

Uderzyła go paradoksalność sytuacji, w jakiej się znajdował. Oto on, dusza paryskiego towarzystwa, nie wie, u kogo spędzić noc w Paryżu. Otworzył swój kalendarzyk, tak jak robił za każdym razem, kiedy układał listę do wysyłki swoich książek czy też gości zapraszanych na cocktaile. A, B, C, D... Nazwiska, adresy, numery telefonów przesuwają się przed jego oczami. Dla dawnych numerów INW, WAG, MAI, JAS, BAB, ODE. Dla nowych 525,329,265,254. Przed niektórymi numerami nie figurowało żadne nazwisko, i nie przypominał już sobie, do kogo należały. Niektóre z nazwisk nie wywoływały w jego pamięci żadnej twarzy. Jedno czy dwa skojarzyły mu się wyłącznie z zapachem perfum. (Te kobiety przyjęłyby go może, jeśli byłyby same dziś wieczorem, ale nie składa się wizyt zapachowi perfum mając końską gorączkę. Podobno istnieją mężczyźni, u których zabójstwo wzmagą apetyt seksualny. On nie odczuwał niczego podobnego.) Zawahał się przed nazwiskiem Kurnosowa. Mógł poprosić o taką przysługę swojego towarzysza walki, ale personel hoteliku był już z pewnością obstawiony. A! Był jeszcze Sasza de Fragance, podejrzany *reżyser*, *playboy* o przyprószonych siwizną skroniach, który posiadał mieszkania i wille prawie wszędzie, ale Małgorzata wiedziała, że darzyli się wzajemną sympatią i podałaby to nazwisko jako jedno z pierwszych. Tak, tak, trzeba było znaleźć taki adres, który nigdy nie przyszedłby do głowy Małgorzacie. To eliminowało Perquigny, sympatycznego, niezależnego, małego wydawcę, który lgnął do Psara, ponieważ brał go za prawnicowca. I to wykluczało także Bernou, dzielnego redaktora «Seconde», który z całą pewnością dysponował siecią tajnych garsonier i byłby z pewnością gotów bawić się w konspirację, licząc na sensację. Eliminowało to także wszystkich autorów jego wydawnictwa. Eliminowało...

Aleksander przejrzał od nowa kalendarzyk, i tym razem jego oko spoczęło na nazwisku, które nie zainteresowało go poprzednio.

Zatelefonować? To należało do dobrego tonu, tak się zazwyczaj postępuje.

Uznał jednak, że lepiej będzie postawić na absolutny absurd.

Tego popołudnia w ambasadzie odbyła się narada wojenna. Pułkownik Możuchin, rezydent wywiadu, pułkownik Wiazew z Piątego Departamentu i major Nikitin, oficer-pilot Małgorzaty Thérien, konferowali popijając herbatę. Dwóch ludzi wysłano w stronę Limoges z zadaniem pozbycia się zwłok i zatarcia śladów. Nikitin nakazał jednemu ze swych przybocznych przesłuchanie Małgorzaty. Wiazew zastawił pułapkę w mieszkaniu delikwenta.

Gdy tylko Małgorzata zgłosiła się telefonicznie po swoim powrocie do Paryża, Nikitin ze swym przybocznym zabrali ją do biura agencji. Na zmianę przesłuchiwali ją i robili rewizję. Nikitin przybrał ton autorytatywny: „Dziecinko, służy pani ludowi, tak czy nie?”. Jego przyboczny grał światowca: „Naturalnie, droga pani, osoba o pani talentach...” Małgorzata, wyczerpana, przeziębiona, wycierając co chwilę nos w papierowe chusteczki, była pełna najlepszych chęci. A jednak irytuje ją widok tych mężczyzn, którzy zupełnie nie znają się na literaturze i grzebią w jej archiwach, uporządkowanych przez nią z tak wielką troską i przyjemnością. „Tymi ich łapskami!” W rzeczywistości jednak starali się nie narobić bałaganu, zachowywali się ostrożnie, z pełnym zrozumieniem.

Małgorzata, opowiedziawszy szczegółowo po raz szósty zwyczajnie, stosunki, manie swego szefa, nie może się powstrzymać, żeby nie zapytać od czasu do czasu:

— Ale w końcu kto to był, ten człowiek? I dlaczego on mu to zrobił? Dobrze wiem, że Psar był pachołkiem skrajnej prawicy, ale teraz to morderca!

Obaj oficerowie zbywali te pytania i wracali do przesłuchania:

— Poza panią Boisse, jakie inne kobiety były w życiu Psara?

W miarę jak Małgorzata podawała adresy, pod którymi mógł się schronić Psar, Nikitin komunikował je sztabowi, gdzie podejmowano odpowiednie dyspozycje. Wiazew rzucił do akcji wszystkich swoich ludzi. Tu ktoś zakłada dzwonek, tam pojawiają się hydraulicy, jeszcze gdzie indziej postawiona zostaje czujka. Wszyscy ci okazalni współpracownicy, którzy spędzają w ten sposób bezsenną noc, są Francuzami. Jedni pracują dla pieniędzy, inni dla idei, ale i oni są opłacani, rzecz jasna, podpisują pokwitowania, które przydadzą się w chwili, gdy ich idealizm osłabnie.

Volvo zostaje odnalezione i przeszukane, ale nie daje to żadnych nowych informacji. Tyle tylko, że jego obecność dowodzi, iż delikwent znalazł się w Paryżu. Komputery linii lotniczych, skonsultowane przez płatnych informatorów, nie zawierają żadnej nowej rezerwacji na nazwisko Psara. Podobnie rezerwacje kolejowe. Wydaje się, że żadna agencja wynajmu samochodów nie miała z nim do czynienia. Co prawda tej nocy, z 25 na 26 grudnia, wielu z nich nie można sprawdzić. Omega wciąż znajduje się w pobliżu Opery, tam gdzie Psar pozostawił ją przed trzema dniami. Telefon do restauracji „Pont-Royal” pozwala ustalić, że płaszcz z wielbłądziej wełny wciąż znajduje się w szatni...

Małgorzata, płacząca ze zmęczenia, chociaż co chwilę pojono ją koniakiem, powtarzała bez końca histerycznym tonem:

— On nie miał przyjaciół. Nie miał przyjaciół. Nie miał żadnych przyjaciół.

A później dodała, patetycznie:

— Miał tylko mnie.

W pewien sposób, najzupełniej zresztą dyskretny, konspiracyjny, znowu czuła się lojalna wobec Aleksandra — od chwili, kiedy brała udział w nagonce na niego. Owszem, czyniła wszystko, by odkryto miejsce pobytu Psara, ale nie jawił się jej już jako przeciwnik. Wrogiem klasowym niech się zajmą ci dwaj Rosjanie, niech go znajdą. Ona pozwala sobie na luksus pamiętania

wielkodusznego przełożonego, który zawsze wiedział, czego chciał. Oczywiście, przypominała sobie też Aleksandra-kochanka.

Nad ranem Nikitin postanowił zamknąć przesłuchanie. Małgorzatę odwieziono do domu i dano jej do towarzystwa pielęgniarkę, na której można było polegać. Zostanie przy chorej tak długo, jak to będzie potrzebne, tak by mogła odzyskać dobre samopoczucie i by nie popełniła żadnej niedyskrecji, nawet gdyby zaczęła majaczyć w gorączce.

Poszukiwania trwają przez cały następny dzień i noc. Żaden z posterunków obserwacyjnych nie zameldował sukcesu. Żaden podsłuch telefoniczny nie przyniósł pożądanych efektów. Zasadzki, zorganizowane w mieszkaniu i w biurze Aleksandra, nie ujęły żadnej zdobyczy.

Aleksander Dmitrycz Psar, pułkownik dokooptowany Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego, chwilowo w ukryciu, zniknął.

Generał Pitman, członek areopagu zarządzającego dyрекcją «A», zaczyna się w Moskwie niecierpliwić.

Pułkownik Możuchin, w Paryżu, mruczy:

— Dobrze im tak, czapkom-niewidkom. Psują nam robotę tymi swoimi metodami zdobywania świata bez użycia dobrych znajomych, wywiadu i kontrwywiadu.

Tym niemniej Możuchin z zapalem i metodycznie poszukuje zabójcy Piotra, chłopca, który miał przed sobą przyszłość i popełnił jeden tylko błąd: zaciągnął się do tych spryciarzy.

Właśnie miała położyć się do łóżka, gdy poderwał ją na równe nogi dzwonek do drzwi.

Musiała wspiąć się na palce, żeby spojrzeć przez judasza. Nie rozpoznała w pierwszej chwili swego gościa. Widziała go raz tylko, w czerwcu, a jego twarz, wtedy tak wypiełgnowana, gładka, była teraz nieomal twarzą szaleńca. Policzki nosiły ślady żyłki. Podobnie szyja. Oczy były oczami człowieka chorego.

Otworzyła jednak drzwi:

— Pan Psar?

— Panna...

Jego powieki były boleśnie skurczone, a podbródek drżał. Dłonie trzymały wielką czarną teczkę. Miał na sobie podarty angielski prochowiec.

— Panna Petit...

— Tak.

Przygryzł wargi i zmrużył jeszcze bardziej powieki, tak jakby wskutek gorączki coraz gorzej widział:

— Bardzo mi przykro, że zawracam pani głowę. I to o tak późnej porze. Nawet nie wiem, czy jest pani sama w domu. Proszę, niech pani powie tylko jedno słowo, zaraz się wyniosę.

Jakże to było komiczne, ten słownik dobrze wychowanego człowieka w ustach źle ogolonego mężczyzny, który nie mógł ustać na nogach.

Józefina Petit cofnęła się o krok, żeby przepuścić tego zarozumialca. Nie wiedziała, co go sprowadza, potrafiłaby jednak w razie czego obronić się przed nim. Z uwagą przyglądała się pięknej końskiej twarzy, w której odczytywała zaledwie trochę okiełznaną brutalność.

Aleksander stanął na środku jedyne go pokoju i przyglądał się meblom z białego drewna, wersalce, którą Józefina właśnie przygotowała do snu, reprodukcjom Braque'a na ścianie, starannie uporządkowanym książkom. Rozpoznał wśród nich kilka tomów *Białej Księgi*.

— Przyszedłem... — zaczął.

Przerwał. Uśmiechnął się i w uśmiechu tym krył się urok, o jaki nie podejrzewałoby się tej twardej twarzy.

— Najtrudniej wypowiedzieć coś, co jest zupełnie proste, prawda? Pani interesuje się terroryzmem. Jakiś czas temu nie udało mi się pani ani zastraszyć, ani przekupić. Stąd mój szacunek dla pani, moje zaufanie... Jest pani tym, kim pani jest. To bardzo rzadkie. Ja, ja mam gorączkę. Nic groźnego, przeziębieniem się. Ale potrzebuję kilku godzin spokoju, żeby się zastanowić. I wypocząć.

Skloniła głowę. Pojęła, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Miała dla niego odrobinę współczucia. I była bardzo ciekawa.

— Dlaczego — spytała poważnie, z zainteresowaniem — nie może pan wrócić do siebie?

Przyglądał jej się intensywnie, tak jakby zapomniał, dlaczego nie może być we własnym mieszkaniu.

— Ach, tak, dlaczego? Dlatego, że, widzi pani, muszę się ukrywać.

Wykonał gest dłonią, jakby szukając innego, mniej harcerskiego określenia. Nie znalazłszy nic lepszego, powtórzył:

— Ukrywać.

Patrzył na jej małą kwadratową twarz. Miała gęste, ostre rzęsy, grubą skórę, oczy czarne i bystre. Mój Boże, ależ ta dziewczyna była młoda! Miała na sobie białą koszulkę i niebieskie spodnie, dziwne rzeczy noszące barbarzyńskie nazwy — *t-shirt*, *jeans*... Oto on, Aleksander Psar, prosił o azyl u niziutkiej, dwudziestosiedmioletniej dziewczyny w spodniach.

Rozłożyła ramiona, w czym wyrażała się nie odmowa, lecz namysł. To prawda, interesowała się terroryzmem: bardziej teoretycznymi aspektami tej choroby społeczeństw niż jej konkretnymi przejawami. Ale nie była też kimś, kto cofnąłby się przed czysto praktyczną aktywnością, gdyby zaszła taka potrzeba. Żyła sama, przed nikim nie musiała zdawać sprawy ze swego życia. Przed trzema tygodniami zerwała ze swym przyjacielem, ponieważ ten próbował narzucić jej swe przekonania polityczne i swą pasję do gry w automatach pieniężnych.

Później zaczęła się zastanawiać nad rodzajem terroryzmu, w jaki uwikłany był Aleksander Psar. Była zdecydowanie przeciwna wszelkim nadużyciom i pogwałceniom wolności indywidualnych. Gdyby więc ten człowiek miał do czynienia z akcjami tego rodzaju, stanęłaby przed trudnym dylematem: czy mogła

ukrywać u siebie kryminalnego przestępcę, czy należało wydać policji uciekiniera? Pochodziła jednak z dobrej rodziny; wiedziała, że nie stawia się gościom pytań, póki się ich nie podejmie. Trzeba było zdecydować się natychmiast, i to bez żadnych zastrzeżeń w rodzaju „mam tylko jeden pokój”, albo „nie będzie się pan u mnie dobrze czuł”. Gdy miała kilkanaście lat, żałowała, że nie dane jej było żyć pod okupacją niemiecką czy też odgrywać aktywnej roli w wojnie algierskiej. Teraz niespodziewanie los ofiarował jej okazję działania, skromnego lecz realnego. Czyżby miała nie skorzystać z tej okazji? Poza tym ten człowiek był chory. Józefina Petit nie była osobą czułościową, ale, rzecz jasna, nie mogła odmówić pomocy komuś, kto jej potrzebował.

Zamknęła za Aleksandrem drzwi, założyła łańcuch, zasłoniła judasza.

— Powinien pan wziąć gorący prysznic i napić się grogu — powiedziała patrząc na Psara, który starał się powstrzymać drżenie całego ciała. — Tutaj jest łazienka. Moje pidżamy będą dla pana za małe. Ale chwileczkę, Ludwik zostawił u mnie swoją... Chciałam mu ją odesłać.

Żeby umeblować jej małą garsonierę, trzeba było rozwiązać kilka równań z wieloma niewiadomymi. Józefina stanęła na taborecie i znalazła pidżamę, schowaną w wysoko umieszczonej szafce.

— Oczywiście — skonstatowała z kwaśną miną — różowa. Ludwik uwielbiał różowe rzeczy. Ale lepsze to niż nic.

Aleksander oderwał dłoń od uchwytu czarnej teczki i sięgnął po różową pidżamę.

— Dam panu ręcznik kąpielowy — wspięła się do innej szafki. — Jak różowe, to różowe, niech pan trzyma.

Gdy przechodziła obok kaloryfera, przekręciła termostat. Chory potrzebuje ciepła.

— No dobrze, niech pan idzie do łazienki — powiedziała Aleksandrowi, który w płaszczu wciąż jeszcze stał na środku pokoju. — Zajmę się grogiem dla pana.

Nie bez trudu ściągnął z siebie płaszcz. Zaciskał wargi, zatrzymując szcęknięcie zębów. Józefina zwróciła uwagę, że zabrał do łazienki teczkę.

Rzuciła okiem na telefon. Czy zadzwonić do przyjaciółki? Powiedzieć: „Gdyby mi się coś stało, pamiętaj, że tego wieczoru Psar...” Nie. Czuli, że nie ma prawa wymieniać tego nazwiska. Gdyby jednak nie wymieniła nazwiska, jej telefon byłby tylko znakiem, że się boi. Ale Józefina nie bała się.

Zostawi swoje łóżko choremu, a sama przygotowuje sobie posłanie z koców i poduszek. Chciała już to zrobić i dopiero potem przyrządzić grog, ale pomyślała, że Aleksander może się krępować tym, iż skazuje ją na spanie na podłodze. Trzeba więc było zacząć od położenia go do łóżka. Zgromadziła rzeczy, które będą jej potrzebne do snu, i zostawiła je na razie w rogu pokoju; wysunę je dalej już po zgaszeniu lampy. Z łazienki dobiegał odgłos wody lejącej się z prysznic (jakby śpiewała zachrypnięta syrena). Gdy tylko zapadła cisza, Józefina krzyknęła:

— W apteczce, na drugiej półce, leży nowa szczotka do zębów. Obok jest pasta. Mam nadzieję, że lubi pan miętę.

Po namyśle zmieniła pościel w łóżku. Miała trzy zmiany. Będzie więc mogła dać jutro czystą bieliznę, jeśli w nocy Psar bardzo by się pocił. Przygotowywała grog. Sytuacja zaczęła ją bawić. Było coś niestosownego w tym, że nauczycielka matematyki zamieszana była w sprawę z terroryzmem. „Gdyby mnie zobaczyli moi uczniowie...”

Aleksander wyszedł z łazienki, trzymając nadal czarną teczkę. Pidżama sięgała mu do połowy ramion i połowy łydek. Trząsał się. Posłała go do łóżka. Dała mu grog, trzymając filiżankę, żeby nie bał się, że ją przewróci. Podała mu też dużą dawkę aspiryny i nakazała:

— A teraz proszę spać.

Osunął się na poduszkę. Zgasiła światło. Lecz w pokoju wciąż było widno, jako że łazienka była oświetlona, a drzwi do niej prowadzące szklane.

— A pani, gdzie pani będzie spała? — spytał Aleksander.

— Proszę się tym nie przejmować. Co pan jeszcze wyrabia? Z łóżka wysunęło się ramię, sięgające po coś: po czarną teczkę.

Dłoń otworzyła teczkę, wyjęła coś z niej i włożyła pod poduszkę.

„Ładna historia — pomyślała Józefina. — Być może udzieliłam schronienia mordercy. Nareszcie dowiem się, czy jestem odważna czy nie, jeśli dojdzie do strzelaniny. Zawsze chciałam się o tym przekonać”.

Nazajutrz gość nie ruszył się z domu. Józefina zrobiła zakupy, wróciła, krzątała się, czytała, pisała. Aleksander był jak martwy, tyle że oddychał. Następnego dnia wciąż jeszcze spał z otwartymi ustami. Pot zlepił kosmyki jego włosów, które leżały na czole jak muszelki.

Józefina zrobiła sobie kawę, zebrała notatki, zostawiła instrukcję dla Aleksandra („W lodówce są jajka i pomidor”), wyszła na palcach. Miała teraz ferie i korzystając z tego pracowała nad swoim doktoratem razem z przyjaciółką. Fakt, że miała u siebie gościa, nie mógł w niczym zakłócić harmonogramu jej prac. Przez cały dzień zajmowała się prawem wielkich liczb. Zjadła tylko dwa jogurty. Przyjaciółka była w porządku, politycznie wyzwolona (to znaczy wyzwolona z marksizmu), ale miała za złe Józefinie, że się nie wpisuje do związku zawodowego. Tego dnia irytacja przyjaciółki wydała jej się szczególnie infantylna. „Chciałabym ją widzieć, przechowującą zabójcę we własnym łóżku”!

W drodze powrotnej autorka *Psychoanalizy terroru* zrobiła niewielkie lecz wybredne zakupy — mrożona kaczka i krab w puszcze — i powtarzała sobie bez przerwy, wysuwając do przodu podbródek: „Na pewno już pognął gdzieś dalej”. I przy okazji myślała z pewnym smutkiem o Ludwiku. Ale nie, niemożliwe, ktoś żąda od niej cerowania skarpetek tylko dlatego, że jego anatomia różni się nieco od jej własnej!...

Z ulgą powitała Aleksandra, którego stan najwidoczniej poprawił się. Na jego policzkach pojawiła się siwo-blond szczecina. Pościelił łóżko. Zawinał się w koc, zakrywając w ten sposób różową pidżamę. A może nawet zdjął ją. Łazienka błyszczała, kuchenka też była odczyszczona, a na białym biureczku pojawił się bukiet herbacianych róż.

— Mam nadzieję, że nie wychodził pan z domu?

— Nie. Pozwoliłem sobie tylko zrobić użytek z pani telefonu.

Z zdumieniem przyglądała się temu człowiekowi, który zajmował jednocześnie tak wiele i tak niewiele miejsca. Ze świeżym zarostem na twarzy zaczynał upodabniać się do postaci z ikony: miał ciemnobrązowe, lekko zamglone oczy, ciemniejsze niż włosy.

Kolacja była udana. Józefina lubiła siedzieć na podłodze. „Zresztą stół jest taki nieduży. Wygodniej siedzi się na dywanie”. Aleksander nie był kimś stworzonym do siedzenia na podłodze. Zrobił jednak dobrą minę do złej gry. Józefina patrzyła na niego z mieszanymi uczuciami: najbardziej podstawowe było uczuciem kobiety, która żywi mężczyznę, ponieważ leży to w jej naturze.

— Smakuje? Nie jest pan już głodny?

Był blady, o wiele chudszy niż w czerwcu, ale już nie drżał, a jego myśli zazębiały się logicznie. Na szczęście nie zamęczał jej podziękowaniami za to, że udzieliła mu gościny.

— Co się dzieje — zapytał — z pani maszynopisem?

Józefina westchnęła. Dowodem szczególnych względów dla niego była żubrówka, którą podała dość letnią i bez zakąsek.

— Byłam z nim wszędzie. Nikt go nie chce.

— A Perquigny? Niech pani spróbuje. Ma głowę na karku i dobrze mu się powodzi. Powinna pani znaleźć z nim wspólny język.

Zapisała sobie numer telefonu wydawcy.

— Czy mogę się na pana powołać?

Rozśmieszyło go to pytanie:

— Tak. Perquigny ufa mi w dalszym ciągu.

Żubrówka sprawiła, że zaczęli poruszać coraz bardziej ogólne

tematy. Aleksander opowiedział jej o mszy świętej, na której był niedawno:

— Czy pani wierzy?

— Proszę mówić do mnie Józia. Powiedzmy tak: istnienie Boga nie jest dla mnie hipotezą, którą należałoby *a priori* odrzucić. A pan?

— Tak. Z tego powodu właśnie zaczynam mieć trochę kłopotów.

Ona tymczasem, nabrawszy śmiałości, poprosiła, żeby pokazał jej broń. Wyjął więc rewolwer i wyjaśnił zasadę jego działania. Przyglądała się temu wielkiemu przedmiotowi. Mimo że ekspert w sprawach terroryzmu, rewolwer znała tylko z okna wystawowego, a strzelała tylko na jarmarcznej strzelnicy.

Usunął naboje, wyjaśnił jej różnicę między zwyczajną i podwójną akcją. Józefina miała tak krótkie palce, że z trudem tylko potrafiła pociągnąć za język spustu.

Broń najwidoczniej fascynowała ją, jak wszystkich tych, którzy nie mieli nigdy do czynienia z rewolwerem czy karabinem.

— Myśli pan, że z tego rewolweru zabito już kogoś?

— To możliwe — odrzekł chłodno Aleksander.

Siedzieli na podłodze, blisko siebie, prawie przytuleni do siebie. Po raz któryś z kolei zwrócił uwagę na jej szorstką, nieładną skórę. Ona natomiast, patrząc na jego młodą brodę, mówiła sobie: „To by kłuło”. On pierwszy odsunął się, prawie niezauważalnie. Wtedy i ona odsunęła się, zadając następne pytanie dotyczące funkcjonowania maszynki zbudowanej z błękitnej stali i jasnego drzewa.

Tej nocy nakłonił ją, żeby to ona spała w łóżku. Józefina, czy to zaniedbując się trochę, czy z jakiegoś innego powodu, nie zmieniła pościeli.

Następnego poranka obudziła się ze świadomością ciężących na niej obowiązków. Pamiętała o tym lepiej niż pierwszego wieczoru. Żywiła go, więc do niej należał.

— Zaniepokoił mnie pan tymi kwiatami — powiedziała. — Dzisiaj nie otworzy pan nikomu drzwi, dobrze?

Podziękował jej, mówiąc z roztargnieniem:

— Nie, nie, oczywiście.

Zjedli razem śniadanie, siedząc przy stoliku, zazwyczaj mieszczącym się w kuchence, który jednak można było wysuwać do pokoju, tak że jedna osoba siedziała w kuchni, a druga w pokoju. Aleksander patrzył ze zgrozą, jak gospodyni macza posmarowaną masłem kromkę chleba w kawie.

— Dzisiaj — powiedziała Józefina — wrócę trochę wcześniej (wciąż pracowała nad prawem wielkich liczb). Co pan zamawia na kolację?

— Co pani chce.

— Steki mogą być?

— Oczywiście.

Gdy tylko Józefina wyszła, Aleksander ubrał się, bez pośpiechu, tak jak niegdyś rycerze nakładali zbroję. Od czasu do czasu podchodził do okna, wychodzącego na park Buttes-Chaumont. Przyglądał się wiszącemu mostowi, który lekko się kołysał, i jednocześnie zapinał złotą spinkę w mankiecie nieświeżej już koszuli.

Podjął już decyzję. Nie „wróci”. Nie zobaczy ponownie tych gęstych brzeźniaków, których nie widział nigdy na oczy. Nigdy nie usłyszy rosyjskich dzwonów, które wprawia się w ruch rozkołysując ich serca i których dźwięki, głuche i czyste, płyną ponad nieskończonymi równinami. „Ja już nie wrócę. Ty, Alek, wrócisz zamiast mnie”. Ale ojcowska ręka opadła, nim zdołała dosięgnąć policzka syna.

„Przekazałeś mi, ojcze, obowiązek «powrotu». Ale widzisz, że to niemożliwe. Przepraszam cię”.

Wobec fałszywych mistrzów, którym służył do tej pory, nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Związał się z nimi umową i to oni złamali umowę. Ale była jeszcze Rosja:

„Nie przestanę jej kochać. I nie będę jej niewierny, wmawiając

w siebie, że się zmieniła. To wciąż ten sam język i ten sam czarny chleb”.

Gdyby mógł walczyć w pojedynkę — zawsze myślał w tych kategoriach — zostałby sam, ale nie miał wyjścia. Musiał przekonać samego siebie do wyboru, który w gruncie rzeczy był już faktem.

„Zawsze mogłem wybierać tylko między dwiema zdradami”.

Spojrzał na swoje dłonie:

„Gdy umrę, nie będę nawet pochowany w Sainte-Geneviève, tam gdzie prochy Rosjan zniszczyły ziemię. Moje ciało, wykarmlone przez Francję, nakarmi Francję”.

Ponieważ zaś, jak zwykle w trudnej sytuacji, człowiek znajduje pocieszenie w myśli o całej ludzkości, dorzucił tę banalną myśl:

„Nie jestem ani pierwszym, ani ostatnim emigrantem”.

Nie miał już gorączki, lecz był osłabiony, książka telefoniczna wydała mu się bardzo ciężka:

— Halo, chciałbym mówić z kimś kompetentnym. Mam do przekazania informacje dotyczące sowieckiej siatki we Francji.

— Proszę czekać.

Inny głos:

— Halo, tak?

— Chciałbym rozmawiać z kimś kompetentnym. Mam do przekazania informacje o sowieckiej siatce we Francji.

Jeszcze inny głos:

— Halo, tak?

— Chcę mówić z kimś kompetentnym. Chcę przekazać informacje o sowieckiej siatce w Paryżu.

— Tak, proszę pana. Bardzo mi przykro, ale nie mogę pana połączyć. Czy może mi pan podać numer, na który można zadzwonić do pana?

Zirytował go ten dziecinny podstęp. Domyślał się, że gdyby był nieustępliwy, połączono by go natychmiast dalej, ale nie miał sił, marzył tylko o tym, by go zabrano. W pierwszej chwili fakt, że zabił, nie wywarł na nim wielkiego wrażenia, ale na

dłuższą metę zachodził w nim niedobry proces. Wydawało mu się, że coś w nim gnije. Śmierć jest zaraźliwa. Podał numer telefonu Józefiny i odłożył słuchawkę.

W chwilę później rozległ się dzwonek telefonu. Inny głos, jakby namaszczony:

— Czy to pan dzwonił do ministerstwa?

— Tak, ja. Mam do przekazania ważne informacje o sowieckiej siatce pracującej we Francji. Czy pan jest osobą kompetentną?

— Moglibyśmy się spotkać. Pan jest w Paryżu. Niech pan do nas zagładnie.

— Mogę być śledzony. Jestem *agent d'influence*. Wolalbym, żebyście wy się pofatygowali do mnie.

Podał nazwisko i adres.

— Ustalmy hasło. W przeciwnym razie nie otworzę drzwi.

— Niech pan zaproponuje.

Aleksander przypomniał sobie słowa, które uderzyły go w *Kwartecie aleksandryjskim* Lawrence'a Durrella:

— „Widzieć to egzorcyzmować”.

Inspektor Vaudrette z poddyrekcji «A4» liczył sobie czterdzieści osiem lat, co nie jest mało jak na kogoś, kto zajmuje stanowisko inspektora. Jego żona besztła go nieustannie:

— A Paulus, dlaczego ten może być już komisarzem? Przecież byliście razem w szkole policyjnej, nie?

Dzieci inspektora Vaudrette ukrywały przed swymi rówieśnikami, że ich ojciec jest policjantem. W najrozmaitszych formularzach, które musiały wypełniać, w rubryce „zawód ojca” pisały: funkcjonariusz. Fabrycy miał więcej płyt niż byłby w stanie kupić lub otrzymać w prezencie. Sabina wrzucała do swej szkolnej torby pudełeczko pigulek antykoncepcyjnych, po to najprawdopodobniej, by imponować swym koleżankom.

Inspektor Vaudrette nie był zadowolony z życia.

W podróży służbowej do Sète, siedząc w wagonie drugiej klasy,

przeczytał książkę, która zrobiła na nim wielkie wrażenie. Był to *Wierny przyjaciel* Emanuela Bluna, w wydaniu kieszonkowym. Blun pisząc swą książkę myślał zapewne wyłącznie o tym, by zdobyć rozgłos, a jednak historia, którą opowiedział, zmieniła bieg życia Vaudrette'a. Gdyby w dworcowym kiosku kupił inną książkę, *Madonnę sleepingu* albo *Życie Van Gogha*, pozostałby uczciwym człowiekiem.

Od tego momentu zaczął sobie mówić, że i on chciałby mieć wiernego przyjaciela tego samego pokroju, kogoś, kto służyłby mu radą i pomógłby mu znaleźć sposób na to, by pokazać światu, na co go było stać. Vaudrette był marzycielem. Rozmyślał, co by było, gdyby został wezwany na ulicę Matignon, lub nawet do Pałacu Elizejskiego, gdzie ktoś bardzo wysoko postawiony, za podszeptem wiernego przyjaciela, tak by się do niego zwrócił, oparty o biurko w stylu Regencji: „Vaudrette, zamierzamy utworzyć nową służbę wywiadowczą, bardzo niewielką, lecz elitarną i supernowoczesną, wywiad, w porównaniu z którym DST będzie się wydawał czymś anachronicznym. Doszliśmy do wniosku, że właśnie pan nadaje się doskonale na szefa nowej formacji”. Kto jednak odegrałby rolę wiernego przyjaciela? Książka Bluna nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości. Tylko komunista miał dość silne przekonania, dość energii i konsekwencji w działaniu i myśleniu.

Vaudrette zajmował się właśnie nadzorowaniem komunistów. Oto weszli oni do rządu wbrew woli społeczeństwa i dzięki woli społeczeństwa. Spróbujcie coś z tego zrozumieć. Wynikałoby z tego, że w systemie demokratycznym te dwa słowa, „wola społeczeństwa”, nie miały żadnego znaczenia. W każdym razie wydawało się, że nadszedł stosowny moment, by znaleźć wiernego przyjaciela w partii, która przegrała wprawdzie wybory, lecz weszła w skład rządu.

Odbyło się to całkiem gładko, nie wymagało żadnych przygotowań. Na pewnym dyplomatycznym cocktailu, który miał

dyskretnie obserwować (może nie był dość dyskretny), poznał młodego, wesołego Rosjanina, który podawał mu kieliszki cytując Rostanda: „My, mali, nieznani, bez rangi”. Umówili się na partię kregli. Rosjanin odwiedził go w domu, zjadł pieczeń wieprzową z kiszoną kapustą. Odwdzieczył się ofiarowując mu magnetowid („U nas, dyplomatów, to kosztuje grosze”). Kiedy indziej, w saunie, do której też wybrali się razem, wielkoduszny Rosjanin poprosił go o listę adresów i byłoby grubiaństwem z jego strony, gdyby mu odmówił. (Niektóre zresztą znajdowały się w książce telefonicznej — więc nie było żadnej sprawy!) Jeszcze kiedyś dyplomata dostał od swoich przełożonych zadanie spisania biografii kilku osobistości francuskiego życia politycznego. Było to trudne dla niego, ale o ileż łatwiejsze dla Vaudrette'a... Grali też w szachy i, mimo że Rosjanin grał doskonale, gdy tylko zakładał się, że wygra i stawiał pięćset franków, przegrywał partię. Żona Vaudrette'a nie widziała nic niestosownego w tej przyjaźni, która nie była podlewana alkoholem, a do tego przynosiła korzyści. Młody Rosjanin wydawał jej się prawdziwym rosyjskim księciem.

Któregoś wieczoru, po wyśmienitej kolacji, Vaudrette wyszedł z domu, by podprowadzić kawałek swego gościa. Nim się rozstali, postanowił zajrzeć na moment do baru i napić się piwa. Rosyjski książę wygłosił tam następujące przemówienie:

— Wie pan, Kławdi Lwowicz (co miało znaczyć „Claude, syn Leona”)... Zresztą przejdźmy na ty, Claude, mów do mnie Wołodia. Widzisz, Claude, mam wrażenie, że dobrze się rozumiemy. Pracujemy dla tej samej sprawy: dla szczęścia ludzkości. Francja, Związek Radziecki, to są tylko byty pośrednie; tak naprawdę zależy nam, tobie i mnie, na całej ludzkości. Tyle tylko, że w obecnym momencie historycznym Związek Radziecki jako taki bardziej przyczynia się do szczęścia ludzkości. Zobacz więc, mówię do ciebie jak idealista do idealisty i mam dla ciebie pewną propozycję. Wiesz, to tak samo jak w tej książce, którą mi

pożyczyłeś, gdzie dwaj przyjaciele stają ramię przy ramieniu, gdy tylko pojawia się jakieś zagrożenie... Gdybyś kiedykolwiek miał coś ważnego, ale naprawdę bardzo ważnego, mógłbym ci oddać przysługę. Żadne tam okazyjne robótki – regularne, miesięczne prace. I nic dla urzędu skarbowego, rozumiesz. W razie czego zawodowcy natychmiast uruchomią przerzut. W dwie godziny później jesteś już w Moskwie. Moskwa to wielkie miasto, piękne miasto. Mógłbyś otworzyć kręgielnię. Oczywiście, żeby zawrzeć tego rodzaju umowę, trzeba zacząć od czegoś bardzo znacznego, rozumiesz co mam na myśli.

— Czy w razie czego – spytał Claude syn Leona – przerzucilibyście też moją żonę?

Wołodia uśmiechnął się spoglądając w sufit:

— Będzie tak, jak sobie zażyczysz, rzecz jasna. Ale dla kobiety takiej jak Teresa, z jej wiekiem i charakterem, przystosowanie się do życia sowieckiego może nie być łatwe, prawda? Ty co innego, ty jesteś młody duchem, Claude!

Od tej chwili inspektor Vaudrette patrzył nieco z góry na swoją małżonkę („Gdyby ona wiedziała, co mi zaproponowano”) i mniej go bolały wybryki dzieci („Nie mogę być nawet pewny, czy rzeczywiście jestem ich ojcem”). Żył jak w marzeniu. Znalazł wiernego przyjaciela. Tyle tylko, że, dla ostrożności, przestał nosić czerwone krawaty.

Wielokrotnie pewien był, że już natrafił na coś wielkiego, ale gdy relacjonował swe odkrycie Wołodii, ten, choć chętnie słuchał inspektora, potrząsał głową i dawał do zrozumienia, że to jeszcze nie to. „Claude, jeszcze mały wysiłek, i podpiszesz listę płac!” Wołodia lubił posługiwać się zwrotami z codziennego języka francuskiego.

Odebrawszy telefon od Aleksandra Psara – nazwisko nie było mu obce, Teresa widziała tego typu w telewizji i także uznała za wcielenie rosyjskiego księcia – inspektor Vaudrette usiadł

wygodnie w swoim fotelu i zaczął masować czoło: „Rozegram to — powiedział do siebie — jak partię szachów”.

Po dziesięciu minutach zredagował notatkę, w której zawarł otrzymane informacje, i wyszedł na korytarz zmierzając do gabinetu swego szefa, przełożonego «A4», zastępcy wicekomisarza, Duverriera. Vaudrette nie wątpił w to, że jego telefon, jak wszystkie aparaty w tym budynku, znajdują się na podsłuchu. Trzymał w ręku życiową szansę, lecz musiał rozegrać całą tę sprawę z niezwykłą, właściwą mu subtelnością, subtelnością, której jego przełożeni nie potrafili do tej pory dostrzec.

Zastępca wicekomisarza Duverrier, brzydki i sympatyczny, miał wielką gębę pełną brodawek, narodził się i śladów po ospie. Odsunął notatkę na brzeg stołu, odrzucił w tył głowę i przesunął okulary na sam koniuszek swego okazałego, ozdobionego pryszczami nosa. Vaudrette, pochylony do przodu, w postawie pełnej uszanowania, patrzył na niego. Założyłby się o jednego franka (kieszonka prawa zakładała się z lewą), że Duverrier, zwany powszechnie Raminagrobisem, wysunie koniec języka i powie: „Dziękuję. Przekażę dalej”.

Raminagrobis przeczytał notatkę, spojrzął na Vaudrette'a ponad soczewkami okularów, wysunął język i powiedział:

— Dziękuję. Przekażę dalej.

Vaudrette wyszedł z gabinetu i przemieścił jednofrankową monetę z prawej kieszeni do lewej.

Zamiast skierować się z powrotem do swego pokoju, Vaudrette wszedł do windy. Strażnik, nadzorujący wejście do budynku, miał talię osy i piękny, biały wąs, co sprawiało, że nazywano go „kapitanem kawalerii”.

— Uszanowanie panu kapitanowi — powiedział grzecznie inspektor.

— Dzień doooooooooobry — odrzekł z szacunkiem „kapitan”, kłaniając się do samej ziemi.

Vaudrette przeszedł z pięćdziesiąt metrów i wszedł do kawiarni. Nigdy nie korzystał z tej, która położona była dokładnie

naprzeciw numeru 13. Vaudrette był chytrusem i podejrzewał swych przełożonych, że telefon znajdujący się w najbliższej kawiarni był na podsłuchu.

Wykręcił numer, który znał na pamięć:

— Halo, Wołodia? Tym razem mam coś wielkiego. Ale trzeba się pośpieszyć, bo ja...

Wyjaśnił, o co chodziło. Wołodia nie był do końca przekonany:

— Nie wiem, Claude. Zobaczą, co na to moi szefowie...

Vaudrette wrócił do swego gabinetu. Wołodia mógł sobie udawać, że nie jest pod wrażeniem, ale tym razem nie będzie mógł kręcić głową. *Agent d'influence*, który zamierza zdezertrować... Inspektor wyjął z szuflady swój pistolet i dmuchnął w lufę. Miał poważną minę. Raminagrobis omawia teraz z pewnością sytuację z dyrektorem. Upłynie z dziesięć minut, zanim Vaudrette dostanie polecenie udania się na miejsce. I gdy się tam uda, nikogo już nie znajdzie. Chłopcy zabiorą już Psara.

Minęło dziesięć minut, potem dwadzieścia i trzydzieści. Prawa kieszeń straciła dwa franki. Inspektor nie wytrzymał i poszedł dowiedzieć się, co się dzieje. Raminagrobis był wciąż zamknięty w gabinecie z dyrektorem.

„I właśnie w ten sposób — powiedział sobie Vaudrette, który nagle zmienił się w patriotę — uciekają nam najlepsze okazje. Nic dziwnego, że zawsze przegrywamy z innymi”.

Zastępca wicekomisarza poprosił o audiencję, której natychmiast mu udzielono:

— Panie dyrektorze, oto co mi przyniósł Vaudrette.

— Vaudrette?

— Ten sam, panie dyrektorze.

Raminagrobis patrzył na dyrektora chłodno i z sympatią zarazem. Z sympatią, gdyż szanował starego, który wyszedł spośród pracowników resortu i stanął na czele dzięki sile swych

mięśni i swemu urokowi, nie popełniając niepotrzebnych świństw. Chłodno, jako że on sam uważał się za człowieka szczęśliwego, za kogoś, kto osiągnął odpowiednią rangę i ta ranga zupełnie mu wystarczała. Drapać się jeszcze wyżej? To nie wchodziło w rachubę. Miał poczucie humoru, a to w administracji jest balastem, zwłaszcza gdy u władzy jest lewica. Jeśli straci posadę, pójdzie na rentę, będzie moczył haczyk, grał w bilard i nie będzie się bardziej niepokoił ludzkimi szaleństwami niż zdarzało mu się to do tej pory. Ach, tak! Duverrier z powodzeniem rozegrał większość swych spraw, udało mu się kilka świetnych połowów w środowisku dywersyjnym, uchodził wśród kolegów, a nawet w krajach sąsiednich, za papieża kontringerencji; przy tym wszystkim patrzył na swój zawód, na życie, na swych przełożonych i podwładnych, a także i w pierwszym rzędzie na siebie samego pogodnie i ironicznie. Udany montaż miał dla niego smak zupy z bazylii: „Jakie to smaczne! Ależ można się przy tym ubawić!” I dodawał trzeźwo: „Nigdy nie zostanę zastępcą dyrektora, bo wszystko wydaje mi się komiczne. Tak musi być, zastępca dyrektora musi wywołać szacunek”. Był szczery, lecz wciąż żartował. Z renty będzie mógł żyć. Jego dwaj synowie radzili sobie nieźle. Jeden był w Wyższej Szkole Administracji, drugi interesował się marynarką handlową. Jego córki dostarczały mu satysfakcji, jedna była na politechnice, a druga rozpoczynała wielką karierę gwiazdy. Jego żona miała dla niego dużo czułości i wdzięczność, co wzruszało go za każdym razem, gdy tylko o tym myślał, to znaczy wiele razy dziennie: „Dzięki tobie, mój grubasie, nie nudziłam się przez całe życie nawet przez jedną sekundę”. Byłoby rzeczą nieprzyzwoitą dorzucać do tych wartości jeszcze nazbyt błyskotliwie uwieńczoną karierę. Wystarczało mu to powodzenie, które osiągnął do tej pory. Duverrier, przyniatając swym ciężarem krzesło petenta, patrzył na szefa — który, przeciwnie, mały i suchy jak świerszcz, niknął w czeluściach fotela — z pełnym szacunkiem pobbążaniem i zrozumieniem bez granic.

Jeśli kąciki jego płazich ust drgały, nic nie mógł i nie chciał na to poradzić: „Jestem zastępcą wicekomisarza, szefem sekcji, to wystarczy; niech inni mają, panie dyrektorze, swoje medale, wątpliwe zaszczyty, pewne ryzyka, napięcie przez dwadzieścia sześć godzin dziennie i lęk, żeby nie przegapić dwudziestej piątej, dyżur przez trzysta sześćdziesiąt sześć dni w roku z obawy, by nie zostać wyśmianym w tym czy innym roku przestępnym”.

— I jeszcze jeden drobiazg, panie dyrektorze. Notatka z pod słuchu, przyniesiona mi przez Cavaillèsa.

Dyrektor umiał odczytywać całą stronicę jednym rzutem oka. Być może dzięki temu właśnie osiągnął stanowisko dyrektora.

— Vaudrette nie obawiał się podsłuchu?

— Vaudrette, panie dyrektorze, obawia się zawsze, lecz nigdy wystarczająco. To mały człowieczek, który nie potrafi zobaczyć przeszkody ukrytej w cieniu przeszkody. Wybrał się do trzeciej kawiarni, żeby zadzwonić do swoich kumpli, uniknął kawiarni najbliższej i drugiej w kolejności. To do niego podobne. I dziwi się, że nie został jeszcze komisarzem.

Dyrektor raz jeszcze przeczytał notatkę, tym razem bardzo uważnie. Raminagrobis siedział wciąż na zbyt małym dla niego krześle i leciutko się uśmiechał, co wyrażało się nie tyle w jego grubych i obrzeżonych minimalnym wąsem ustach, ile w oczach, które na pół przymykał, by zasłużyć na przydomek sprawiający mu przyjemność.

— Co pan sugeruje, Duverrier?

Raminagrobis podniósł się, prawie się przeciągnął. Zachowywał się swobodnie w obecności przełożonych, i nie tylko dlatego, że upoważniał go do tego wiek. Umiał wywalczyć dla siebie pewną niezależność sposobu bycia, posługiwał się tonem jednocześnie pełnym respektu i protekcyjnym. Przeszedł wolno przed olbrzymią fotografią, przedstawiającą Paryż i rozpiętą na dwu ścianach gabinetu, potem podszedł do potrójnego okna, by rzucić nieco senne spojrzenie na realny Paryż:

— Panie dyrektorze, tę partię belotki rozegrać można na różne sposoby. Wie pan, kim jest Psar. Twierdzi, że jest *agent d'influence*. Wyznaję, że nie domyślałem się tego, ale dobrze, przyjmijmy, że tak jest.

Wie pan także, kim jest Vaudrette. Te jego garniturki, różowe koszule. (Raminagrobis także miał na sobie różową koszulę.) Od jakiegoś czasu zwracał na siebie uwagę, mieliśmy go na oku. Dla mnie moment przełomowy nastąpił wtedy, gdy przestał nosić czerwone krawaty. Krótko mówiąc, zbadaliśmy co trzeba i od tej pory nie ma wglądu do żadnych dokumentów supertajnych. Niektóre tylko, specjalnie zdeklasowane, puszczam w obieg, żeby nie zaczął niczego podejrzewać. Mówiłem już panu, jak oceniam sytuację: Vaudrette czeka na coś większego, by móc tamtej stronie ofiarować to w posagu i przejść do nich. Wszystko to potwierdza — podsłuch, obserwacja.

U jego kumpli zauważyliśmy w ostatnich dniach spore poruszenie. Komunikacja radiowa bardzo intensywna, rozmowy telefoniczne na liniach specjalnych urywają się. Być może ma to jakiś związek z tą sprawą.

Jeśli chce pan, żebyśmy zagarnęli Psara, nic prostszego. Tamci muszą się przemieścić, nam wystarczy jeden telefon do najbliższego komisariatu i mamy Psara w siatce.

Ale w takim razie trzeba by zacząć działać, bo ryzykujemy, że na miejscu znajdziemy tylko *purée* z Psara albo w ogóle pustkę. Co byłoby oddaniem punktu w belotce.

— Co by pan postanowił będąc na moim miejscu, Duverrier? Pan jest starym lisem i byłbym zły na siebie, gdybym pana nie wyżyłował przed pańską emeryturą.

— Ja, panie dyrektorze, zawsze myślę w najprostszych kategoriach. Widzę ten problem jak tabelę z czterema przegródkami i dwoma wejściami. Zagarniamy Psara albo nie interesujemy się nim. Zgarniamy Vaudrette'a albo jeszcze mu pozwalamy pobiegać.

Pierwsza przegródka: uderzamy. Vaudrette zostaje na swobodzie, ale mamy Psara w więcierzu. Wielka sprawa, *agent d'influence* zeznaje, robi się wrzawa. Listy gratulacyjne, promocje, przetargi.

Druga przegródka: zapominamy o wszystkim albo, wariant bardziej wyrafinowany, specjalnie pojawiajemy się na miejscu już po naszych przyjaciółach. Vaudrette na wolności, Psar nigdy więcej na swobodzie. Trochę płaskie rozwiązanie, jeśli chce pan znać moją opinię.

Trzecia przegródka: próbujemy załatwić obie sprawy za jednym zamachem. Vaudrette zamknięty, Psar też. Dwa wróble w garści.

Czwarta przegródka...

— Znam pana dobrze, Duverrier. Czekałem na czwarty wariant.

— Psara oddajemy przyjaciółom, a Vaudrette'a rzucamy na pożarcie. Wiem dobrze, że ten dureń nie wyrządza większych szkód, ale to w każdym razie męczące, pilnować go od rana do nocy, męczące i drogo kosztuje.

— Według pana więc należy pozostawić przeciwnikowi czas, żeby mógł zgarnąć Psara, a następnie zwrócić się przeciwko Vaudrette'owi, oskarżając go o przekazywanie informacji obcemu mocarstwu? Czy nie będzie to znaczyło, że umknie nam niedźwiedz, a złapiemy tylko zająca?

Raminagrobis uśmiechnął się. Dyrektor lubił eleganckie formuły. To słuszne i normalne, dyrektorzy do tego właśnie byli potrzebni.

— Jeśli ma się cztery przegródki, to trzeba wielkiego pecha, by nie znaleźć jeszcze i piątej, trochę dziwacznej, zrobionej z na różników pozostałych. W najlepszym razie osiągniemy to, że Vaudrette zostanie skazany z jednego z artykułów numer 70. I co to znaczy? Że wszyscy będą wrzeszczeć, że jesteśmy penetrowani, infiltrowani, osaczeni. Widzi ich pan już, pańskich przyjaciół z SDK, i Amerykanów, i jeszcze bardziej Anglików i Niemców, którzy już nie będą mieli monopolu na podstawionych

agentów. Naprawdę, nie widzę tu nic korzystnego dla nas. Jeżeli Vaudrette wykorzysta okazję i przeskoczy na drugą stronę, tym lepiej dla jego finansów. My natomiast będziemy mogli z tego skorzystać i przesłać przez niego tę czy inną wiadomość, fałszywą lub prawdziwą, zgodnie z naszymi potrzebami.

— Zgoda, Duverrier, ja także tak to widziałem. Ale czy nie moglibyśmy odesłać Vaudrette'a i jednak wykorzystać Psara?

— Panie dyrektorze, to zależy wyłącznie od pana. Pytanie tylko, co z nim zrobimy. Proszę sobie przypomnieć poprzednią sprawę. Przez cały rok śledziliśmy tego chłopaka, wydaliśmy mnóstwo grosza, i co to dało? Był przesłuchiwany po harcersku przez sędziego śledczego, równie po harcersku skazany przez trybunał bezpieczeństwa państwa, i po upływie dwu lat ułaskawiony, nie wyjawivszy nic praktycznie z tego, co wiedział. Ten będzie może mówił, ale co my będziemy z tego mieli? Kilka nazwisk, kilka metod, rzeczy, których domyślaliśmy się. Po czym posłany zostanie przed sąd przysięgłych, jako że nie ma specjalnego trybunału dla takich spraw. I sąd przysięgłych uniewinni go, mimo że ten człowiek zatruwa narodowe sumienie od dwudziestu pięciu lat.

— Uniewinni go?

— Tak, gdyż prokurator nie potrafi dowieść szkodliwości jego działań.

— Może mi pan to wyjaśnić?

— Chętnie, panie dyrektorze.

Raminagrobis pieścił końcami palców swe sympatyczne brodawki porośnięte czarnymi włoskami. Wysunął lekko język:

— Paragraf 3 artykułu 80 Kodeksu Karnego, jedyny, który pozwala nam podjąć jakąkolwiek akcję przeciwko *agents d'influence*, przewiduje karę więzienia od dziesięciu do dwudziestu lat dla każdego, kto „przekazywał przedstawicielom obcego mocarstwa informacje mogące przynieść szkodę sytuacji wojskowej

lub dyplomatycznej Francji, lub też jej żywotnym interesom gospodarczym”. Nie będę analizował, panie dyrektorze, wieloznaczności terminów „informacje” lub „żywotne”. Ale widzi pan, że interesy kulturalne, intelektualne, duchowe, ludzkie, nie są w ogóle uwzględnione przez nasze prawodawstwo. Można śmiało zatruć naszą młodzież, rozmontować system edukacji narodowej, podkopywać rodzinę, niszczyć Kościół, zasmradzać naszą literaturę. Wszystko to jest legalne. Pod ochroną znajdują się tylko nasze interesy wojskowe, dyplomatyczne i ekonomiczne. W dodatku trzeba jeszcze udowodnić, że naprawdę poniosły one szkody. Otóż pan Psar nie uczynił im żadnej krzywdy. Gdyby pan Psar został skazany, doszłoby do tego tylko w wyniku straszliwej pomyłki sądowej, której ofiarami w pierwszym rządzie bylibyśmy my. «Indyk uwolniony z okowów» wystąpiłby znowu z tezą, że zamykamy ludzi za wypowiedzanie przekonań politycznych i czule francuskie sumienia zaprotestowałyby przeciwko naszym represywnym metodom. Dlatego właśnie, panie dyrektorze, będę tak długo utrzymywał, że nie mamy interesu w oskarżeniu *agent d'influence*, gdyż to oskarżenie zwracać się może przeciwko nam, jak długo prawodawstwo nie zostanie zmienione i przestępstwo czynnego ingerowania w życie społeczeństw, „*influence*”, nie zostanie uznane za jedną z najcięższych zbrodni, cięższych na pewno niż klasyczne szpiegostwo.

— Krótko mówiąc, Duverrier, z wysokości pańskiej mądrości i pańskiego doświadczenia...

— Z wysokości sterty moich profesjonalnych śmieci, panie dyrektorze, zauważę co następuje: pewien *agent d'influence*, wynajęty przez naszych przyjaciół, pokłócił się ze swoimi. Pozwólmy przyjaciołom wykonać brudną robotę, której nam nie wolno podjąć. Wyślijmy Vaudrette'a do tamtego mieszkania, ale dopiero za godzinę. A później skorzystajmy z przywilejów, jakie otrzyma w darze od wdzięcznego ZSRR.

*

Rozległ się dzwonek do drzwi. Aleksander przykleił oko do judasza. Zobaczył człowieka o rumianej twarzy, z czołem porytym zmarszczkami, ubranego w skórzaną marynarkę.

— Kto tam?

— „Widzieć to egzorcyzmować” — lekki akcent prowincjonalny.

Aleksander otworzył drzwi.

— Aleksander Psar?

— To ja.

— Proszę za mną.

Aleksander zabrał swoją teczkę. Już wcześniej naskrobał wiadomość dla Józefiny: „Dziękuję. Zadzwońię do pani”.

Wsiedli do windy. Rumiany mężczyzna wydziela trudny do nazwania odór: alkohol? Płyn po goleniu? Skórzana marynarka?

Na dole czeka czarny citroen pallas. Silnik jest zapuszczony, przednie drzwi otwarte.

— Niech pan wsiada.

Aleksander wchodzi do samochodu.

Szofer jest wielki i ponury. Jeszcze inny mężczyzna siedzi w tyle samochodu. Pali papierosa. Ma na sobie ciemny garnitur i białą koszulę. Jego twarz przysłonięta jest obłokiem dymu papierosowego. Rumiany siada przy Aleksandrze.

Aleksander mówi:

— Panowie...

I nagle czuje, że określenie „panowie” nie jest właściwe w tej sytuacji. Jest w atmosferze coś tak ciężkiego i napiętego, że słowo „panowie” brzmi tu dość niestosownie. Aleksander ujmuje uchwyt teczki. Nie może jej otworzyć. Samochód jedzie wzdłuż Buttes-Chaumont.

Mężczyzna siedzący z tyłu odzywa się:

— Zostawcie to, towarzyszu. Jestem pułkownik Wiazew, z Piątego Departamentu.

Rumiany pochyła się.

W kark Aleksandra zagłębia się igła. Jego wsunięta do wnętrza teczki dłoń rozluźnia się, całe jego ciało staje się bezwładne, pogrąża się w ciemności.

Pallas wjeżdża na obwodnicę, opuszczają i w końcu zatrzymuje się przed zamkniętymi wrotami garażu położonego w przemysłowej dzielnicy. Metalowa brama unosi się automatycznie, jej segmenty ze zgrzytem chowają się w żelaznych prowadnicach.

Samochód wjeżdża do rozległej, uwieńczonej szklanym dachem hali. Wewnątrz znajduje się gigantyczna ciężarówka, na której wielkimi, niebieskimi literami rosyjskiego alfabetu wypisane jest jedno słowo, *Sowtransawto*. Na stopniu kabiny siedzi wysoki chłopak o długich nogach i krótkim torsie; ma na sobie włoską, skórzaną wiatrówkę.

Metalowa brama opuszcza się znowu; towarzyszy temu taki sam zgrzyt, który w momencie gdy metal styka się z betonem podłogi zamienia się w prawdziwy grzmot i długo przetacza się echem po całym garażu.

Ciężarówka jest zamknięta, jej tylne drzwiczki zaplombowane. Mężczyzna, którego otacza chmura dymu papierosowego, otwiera plomby.

W środku ciężarówki znajduje się ładunek win i alkoholi. Po między kartonami postawiono skrzynię, na której nalepiono etykiety znanych firm: Rémy Martin, Vieille Cure, Cherry Rocher, Chartreuse, Drambuie, Mandarine Napoléon, a także nalepki w rodzaju „Uwaga – szkło”, „Góra”, „Dół”. Ta maskarada jest właściwie zbyt czynnym środkiem ostrożności, jako że nikt nie będzie zaglądał do środka nim ciężarówka nie przekroczy granicy suwerennej i sfederowanej Republiki Białoruskiej.

Rumiany na spółkę z szoferem pallas wynoszą bezwładnego Psara, któremu na przeguby i kostki u nóg założono kajdanki marki *Smith & Wesson*. Umieszczają go w skrzyni i zamykają jej wieko. Z oddychaniem nie będzie kłopotu, ściany skrzyni

zaopatrzone w tyle otworów, ile nakazuje regulamin wewnętrzny Piątego Departamentu.

Z hukiem zatraskują się drzwiczki ciężarówka. Wysoki chłopak wyjmuje z wiatrówki szczypcę do plombowania. Pułkownik spogląda nań z aprobatą.

Plomby zostają ponownie założone. Wysoki chłopak wchodzi do kabiny kierowcy, lekko, bez trudu, gdyż jego nogi są tak bardzo długie. Towarzyszący mu kierowca dopytuje się nerwowo:

— To co, ruszamy?

Palacz papierosów patrzy po raz ostatni na ciężarówkę:

— Gotowi, Wiaczesław?

— Zawsze gotowy, towarzyszu pułkowniku.

— No to jedź i niech ci pan Bóg sprzyja.

Ciężarówka zaczyna drgać, wibrować, rusza z miejsca. Metalowa brama unosi się jeszcze raz i ogromny samochód, powoli, centymetr po centymetrze, wytacza się na ulicę, tarasując ją całkowicie. Mogłoby się wydawać, że to cały garaż szykuje się do drogi.

Jest 28 grudnia. Nim rok się skończy, Aleksander „wróci”.

SPIS TREŚCI

1. ZARZUCANIE SIECI	7
2. BOSKI WĘZEŁ	64
3. JEDEN DZIEŃ W ŻYCIU ALEKSANDRA DMITRYCZA	112
4. OSTATNIA DROBNA PRZYSŁUGA	165
5. STRACH NA CZARNĄ GODZINĘ	225
6. OBRÓT ŚRUBY	276
7. TWARDY ZNAK	328
8. PERŁA	368
9. „WRÓCIĆ”	413